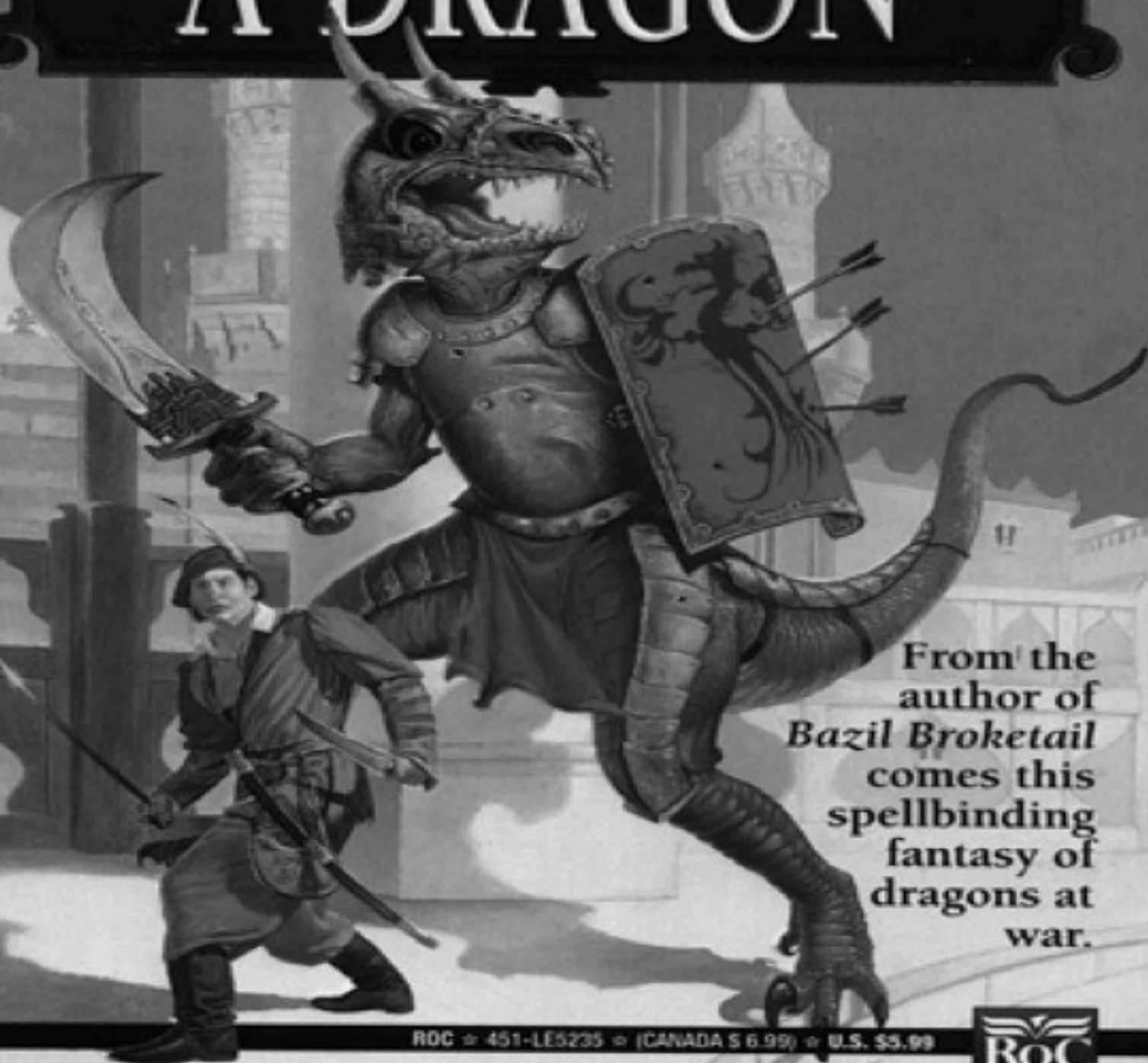


# Christopher Rowley

# A SWORD FOR A DRAGON



From the  
author of  
*Bazil Broketail*  
comes this  
spellbinding  
fantasy of  
dragons at  
war.

ROC • 451-LE5235 • (CANADA \$ 6.99) • U.S. \$5.99

The logo for the publisher, Random House Children's Books, featuring a stylized bird or wing design above the letters 'ROC'.



**Christopher Rowley**  
**Miecz dla Smoka**

**tyt. oryg.: A Sword for a Dragon**

**Tłum. Jerzy Marcinkowski**

## **PROLOG**

Po zniszczeniu Zagłady, prawie trzy miesiące później, w samym środku lata, ten sam Bazil z Quosh, znany w całych legionach jako Złamany Ogon, przeszedł powtórnie przez bramę Marneri.

Świeciło Słońce, a znad Długiej Cieśniny wiała ciepła bryza, kiedy z Relkinem u boku mijali Bramę Wieży. Towarzyszyły im niedobitki z Tummuz Orgmeen, pogromcy Nieuchronnej Zagłady. Od trzech lig witał ich gęsty tłum, ustawiony w szpalerach wzdłuż drogi.

Ocalali tworzyli nieliczną grupkę, na czele której maszerowały dwa pozostałe ze 109 smoki: Bazil i wielki Chektor, któremu zdążyła zagoić się stopa. Dalej szła gromadka smoczych giermków, odnalezionych na targu niewolniczym w Tummuz Orgmeen i tuzin niedobitków z Trzynastej Marneri i Szóstego Oddziału Lekkiej Kawalerii Talionu.

Przy bramie czekały na nich wiwatujące tłumy, obsypujące ich płatkami białego lalyxa – kwiatu Marneri. Przy wejściu do Smoczego Domu stały wszystkie obecne w mieście smoki. Sam potężny Vastrox obdarował Bazila nowym mieczem, jako że Piocar uległ zniszczeniu podczas upadku Zagłady.

Tego samego dnia Kapitan Hollein Kesepton i Lagdalen z Tarcho wzięli ślub w Świątyni Marneri. Życzenia składali im między innymi sierżant Liepol Duxe i Subadar Yortch, który wyzdrowiał już z odniesionych ran.

Obecni byli także Smokowy Pierwszej Klasy Relkin z Quosh i sławny smok Złamany Ogon. Po raz pierwszy zdarzyło się, żeby smok odwiedził Świątynię Marneri – takie żądanie zmusiło świątynną administrację do przeszukania ksiąg w poszukiwaniu precedensów. W końcu Lessis porozmawiała z Ewilrą – wzniesiono specjalną ławę i pozwolono smokowi wejść do środka.

Ceremonię prowadziła czarownica Lessis, która przyznała, że był to pierwszy ślub, jakiego udzielała w życiu. Mimo to poszło jej bardzo sprawnie, za wyjątkiem momentu, w którym uwolniła parę gołębi, symbolizujących nowożeńców, a te zamiast wyfrunąć przez świetlik w dachu, przycupnęły na belce, najwyraźniej niechętnie porzucaniu jej towarzystwa.

Hollein Kesepton nie trafił – czego oczekiwał – przed sąd wojenny, nie został jednak również awansowany. W zamian, po długim namyśle, powierzono mu nowy oddział, kompanię w Drugim Legionie, stacjonującą na pograniczu krainy Teetoli. Lagdalen miała dołączyć do niego w Forcie Picon.

Jedyną znaczącą nieobecną była Księżniczka Besita. Zabrano ją do Bea, do szkoły Nadzwyczajnego Biura Śledczego. Podczas wielomiesięcznej niewoli srodze ucierpiała. Przez prawie cały ten czas podlegała działaniu zaklęcia, które czyniło z niej powolną niewolnicę swego porywacza. Złamanie tego czaru i przywrócenie jej pełni władz umysłowych było ponurym i trudnym zadaniem.

Po Threbode’ m Nowym słuch zaginał. Ostatnie informacje Biura Śledczego mówiły o czarodzieju, który trzy miesiące po upadku Tummuz Orgmeen pożegłował

statkiem z Ourdh na zachód.

Zniszczenie Nieuchronnej Zagłady miało poważne reperkusje. Potęga Władców na wschodzie została poważnie nadszarpnięta, zmuszając ich do zajęcia pozycji defensywnych. Pogranicze uwolniło się na pewien czas od groźby wojny.

Po zaślubinach goście wspięli się na wzgórze Wieży Straży, gdzie rodzina Tarcho wyprawiała wesele. Rozpoczęły się toasty i zabawa, lecz po kilku tańcach z Holleinem i ojcem Lagdalen wymknęła się schodami na dziedziniec. Znalazła tam Bazila i Relkina siedzących nad beczułką ale. Chłopiec dzierżył cynowy kubek, a smok baryłkę.

–Witaj, panno młoda! – zawołał smok i zabrał ogon, czyniąc jej miejsce na stopniu.

–Nie mogłam już tam wytrzymać, zanim z wami nie porozmawiam. Minęło tyle czasu...

Smok roześmiał się.

–Nam też ciebie brakowało, Lagdalen Smocza Przyjaciółko.

–To prawda – dodał Relkin, potrząsając radośnie kubkiem.

Lagdalen z podziwem obejrzała ich nowe stroje – mundur smokowego Relkina i nowy skórzany kaftan Bazila.

Przyjrzeni się nowemu mieczowi: standardowej broni legionów, nie tak długiej i masywnej jak Piocar, niemniej będącemu niezaprzeczalnie smoczym orężem. Od utraty Piocara Bazil czuł się dziwnie nagi. Wziął sobie najcięższy miecz trolli, lecz nigdy do niego nie przywykł. Teraz nareszcie poczuł się całością.

Lagdalen uśmiechnęła się.

–Nie chciałabym was rozczarować, lecz teraz, po zniszczeniu Zagłady, możecie nie mieć okazji, żeby go wypróbować.

–To by się temu smokowi spodobało. Życie pełne piwa i dobrego, legionowego jedzenia. Siedzenie przy ognisku, obrastanie tłuszczem, a potem emerytura.

Lagdalen ponownie wybuchła śmiechem, dziwiąc się, że przeżyli i mogą teraz siedzieć w tak radosnej kompanii.

–Kiedy wyjeżdżacie do Kenoru? – zapytała po chwili.

–W przyszłym miesiącu wyruszamy do Dalhousie, ze świeżymi rekrutami. A ty? Wzruszyła ramionami.

–Wkrótce. Skierowano nas do Fortu Picon.

Relkin westchnął cicho.

–No to będziemy daleko od siebie.

Roześmiała się.

–Och, Relkinie, jeżeli jestem czegokolwiek pewna, to tego, że nasze drogi jeszcze się skrzyżują.

Smok wyciągnął ogromną łapę i położył ją delikatnie na ramieniu dziewczyny.

–Nigdy o tobie nie zapomnimy, Lagdalen Smocza Przyjaciółko.

–Ja także cię nie zapomnę, Bazilu Złamany Ogonie.

\* \* \*

Biskup zrozumiał, że nie ma odwrotu, kiedy przemówiło do niego martwe dziecko tuż przed własnym pogrzebem w domu Aurosa w Dzu.

Nocą przeszywały go spojrzenia gorejących oczu. Żądano od niego lojalności. Jego wierzenia zakpiły sobie z niego. We śnie słyszał szept.

Wiedział, że taka jest prawda. Opuściła go wiara. Auros, dobroczynne centrum wszechświata, nie istniał. Nawet dom Aurosa w popadającym w ruinę Dzu był oszustwem. Naprawdę była to stara świątynia Sephisa, Boga-Węża. Kilka stuleci temu przekazano ją kapłanom Aurosa, korzystając z obalenia tyrańskich rządów Sephisa nad Ourdh.

Ale biskup Aurosa w Dzu zajął się mroczną sztuką. Zagłębił się w czarne księgi Władców. Zaczął eksperymentować. Aby uniknąć odpowiedzialności za katastrofę, jaka przydarzyła mu się podczas próby zamiany miejscami osobowości małpy i szlachetnie urodzonej dziewczyny, złożył straszliwą przysięgę tajemniczemu człowiekowi, który wybawił go z opresji.

A teraz upomnieli się o zapłatę.

Martwe dziecko nie zgodziło się na pogrzebanie. Rozsiadło się w komnatach biskupa.

–Czekają na ciebie – oświadczyło i powiodło go do głównych wrót świątyni.

Oczekiwał go mężczyzna o obliczu kościotrupa, określający siebie mianem wysokiego kapłana Odiraka. Towarzyszyła mu postać skryta w obszernym, czarnym płaszczu. Z tyłu trzymała się siedemnastoletnia dziewczyna, ubrana jedynie w bawełnianą koszulę. Otwarte, śliniące się usta świadczyły, że poddano ją działaniu jakiegoś czaru.

Biskup poprowadził ich do domu Aurosa, gdzie otworzył przed nimi ciężkie drzwi do piwnic. Zstąpili do rozległego pomieszczenia, gdzie postać w płaszczu zdjęła kaptur. Biskup jęknął. Twarz mężczyzny kończyła się na nosie, poniżej lśnił dziób. Nad oczami, przypominającymi okienka paleniska, błyszczał blady, bezwłosy skalp.

Martwe dziecko zachichotało, a biskupowi ścierpła skóra. Rozpoznał w przybyszu mezomistrza, najpotężniejszego z akolitów Władców. W najgorszych koszmarach nie przypuszczał, że kiedykolwiek ujrzy jednego z nich.

Chrapliwymi słowami mocy istota przyzwała z nicości Czarne Zwierciadło. Lustro zawisło w powietrzu; przewalał się w nim chaos szarości. Na komendę mezomistrza zwierciadło opuściło się na wysokość kolan. Dziewczyna o pustych oczach położyła się na ziemi. Martwe dziecko uniosło ostrze.

Biskup przypomniał sobie swój nieudany eksperyment. Jakimż okazał się głupcem! Po raz kolejny zastanowił się, czy aby nieprzyjaciel nie nakłonił go podstępnie do uwikłania się w mroczną sztukę, docierając do niego przez jakiś słaby punkt, co umożliwiło mu złapanie go w pułapkę.

Martwe dziecko podcięło dziewczynie gardło i przekrzywiło jej głowę, tak aby krew spryskała powierzchnię Czarne Zwierciadła. Krople zadymiały, a mezomistrz wyrecytował przerażający psalm.

W mroku Zwierciadła zaczęło się coś formować. Po chwili owo rosnące coś otoczyła poświata rozszczepionego świniła. Chmury chaosu zafalowały.

Mezomistrz cofnął się. Z lustra buchnął kłęb zielonego dymu, rozlewając się po podłodze na podobieństwo płynu i sięgając wkrótce do kolan.

**Nagle w samym środku chmury rozbłysnął punkcik światła. Z oparów zaczęło wynurzać się coś materialnego. Początkowo było ciemnozielone, po chwili jednak nabrało złocistej barwy, a na powierzchni uwidocznił się wyraźny rysunek łusek.**

**Na podłodze zaległy zwoje ogromnego, złotego węża, przypatrującego się im ślepiami przypominającymi studnie nieskończoności.**

**Bóg Sephis odrodził się – demon z innego, mrocznego świata.**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Smokowy pierwszej klasy, Relkin z Quosh, potrafił wyobrazić sobie mnóstwo lepszych sposobów spędzenia cennego, czterotygodniowego urlopu, niemniej dał smokowi słowo. Dlatego właśnie stał teraz w strugach zimnego, wiosennego deszczu pod powykręcaną sosną na zboczu góry Ulmo, wpatrując się w górską łąkę, zasnutą lodowatą mgłą.

Padało od wielu dni. Relkin przemókł pomimo suto nawoskowanego płaszcza z Kenoru, odpornego na pojedynczy deszcz. Westchnął głośno.

Na łące majaczyła wysoka, ciemna sylwetka smoka, także okutanego w strój przeciwdeszczowy i wodoodporną opończę, chroniącą go przed najgorszą ulewą.

Tkwili tu od wielu godzin – dokładnie rzecz biorąc: cały dzień – nie wspominając o dniu wczorajszym i jeszcze poprzednim. Prawdę rzekłszy, spędzili tu już dwa tygodnie, a za wyjątkiem pierwszego dnia było tak jak teraz: zimno, mokro i paskudnie.

Od tygodnia do jedzenia miał tylko suszoną wołowinę i owies, a za całe towarzystwo musiał mu wystarczyć posępny smok. Nie mogli rozpalić ogniska, gdyż las nasiąkł wodą tak, iż nawet Relkin Sierota nie był w stanie rozniecić najmniejszego płomyczka.

Najgorsza była świadomość, że dysponując czterema tygodniami urlopu mogli udać się o wiele dalej, być może nawet na wybrzeże, gdzie Relkinowi udałoby się rozwiązać najpoważniejszy z trapiących go problemów. Miał szesnaście lat i nie wpuszczano go do żołnierskich domów uciech – generał Paxion uznał dbanie o moralność młodych żołnierzy i smoczych giermków za jeden z priorytetów swego dowództwa w forcie Dalhousie. Działające poza burdelami dziewczki prędko wyłapywano i deportowano z miasta. W ten sposób szybko dojrzewający młodzian stracił niemal wszystkie możliwości zgłębienia tajemnic seksu. Oczywiście w miasteczku, na okolicznych farmach czy nawet w forcie mieszkały także dziewczęta, lecz ich rodzice absolutnie nie dopuszczali do jakichkolwiek kontaktów ze smoczymi giermkami. Tacy chłopcy byli zawsze sierotami, szumowinami z nadmorskich miast, a kto chciałby, żeby taki pozbawiony domu śmieć zadawał się z jego córką? Na pewno żaden porządny obywatel Dalhousie, mimo iż los tych ludzi zależał od odwagi i niezłomności w boju tychże samych chłopców.

Szybka wycieczka do Marneri lub Talionu diametralnie zmieniałaby sytuację. Mogliby popłynąć łodzią do Razacu, a potem skorzystać z traktu. Rozprawiliby się ze swoją obsesją na punkcie płci przeciwnej, a potem przez tydzień czy dwa rozkoszowaliby się cieplejszym klimatem, co stanowiłoby idealne antidotum na długą, ciężką zimę w 87 Szwadronie Smoków Marneri w forcie Kenor.

Fort Kenor, usytuowany na północnym zboczu góry Kenor i mający za zadanie strzec potężną rzekę i zachodnie równiny, był najmniej przytulnym ze wszystkich fortów Kenoru. Wiatry, wiejące z tamtej strony Ganu, od Wyżyn Hazogu, były tak lodowate, że przenikały przez dwie wełniane koszule i płaszcz z futrzanym podbiciem.

Niemniej obietnica była obietnicą, a smok miał pamięć lepszą od ludzi czy słoni,



co uniemożliwiało wykręcenie się sianem. I tak oto Relkin znalazł się tutaj, przyglądając się zmarzniętemu, przemoczonemu, smętnemu smokowi, wyczekującemu na środku łąki na przyłot miłości swego życia.

Po której, rzecz jasna, nie było śladu. Nic nie wskazywało na zbliżanie się zielonej smoczycy.

Oczywiście Relkin słyszał tę historię mnóstwo razy. Zawsze, kiedy Bazil znalazł gdzieś jedną czy dwie baryłki piwa. Stąd orientował się, że dokładnie w tym miejscu Baz walczył z potężnym, dzikim smokiem – Purpurowo-zielonym z góry Hak – i pokonując go, zdobył względy zielonej smoczycy. Oraz że Bazil został ojcem co najmniej jednego smoczątka, poczętego ze związku pomiędzy wolną samicą a bezskrzydłym smokiem z Argonathu. I wreszcie, że gibka smoczyca wróci na spotkanie z Bazem, jak tylko wyklują się ich młode.

Niestety nie przyleciała i nic nie wskazywało na to, że ma taki zamiar. Relkin przez kilka tygodni będzie miał do czynienia ze zrzędzącym smokiem. Westchnął. Chciało mu się krzyczeć.

Podniósł wzrok. Ściemniało się. Padało jeszcze mocniej niż zwykle. Przypuszczał, że nie uda mu się rozpalić ognia – ot, kolejny zimny posiłek i lichej nocleg pod skalnym nawisem.

Olbrzymi kształt poruszył się. Relkin zmienił pozycję. Jego prawa noga omal nie zdrętwiała. Potrząsnął nią, by pozbyć się mrowienia. Baz poddawał się na dzisiaj. Relkin podziękował starym bogom i natychmiast przeprosił za to Wielką Matkę. W kwestiach wiary był beznadziejnie zagubiony.

Podszedł do niego smok. Był przybity

–Nie przyleci. Teraz wiem to na pewno – obwieścił żalobnym tonem.

Chłopiec milczał. Lepiej nic nie mówić. Smok wyciągnął zbrojną w pazury łapę i oparł ją na ramieniu giermka. Lekkie dotknięcie jak na dwutonowe cielsko.

–Ach, wszystko na próżno! Przykro mi, chłopcze, głupi ze mnie smok. Nie przyleci.

Relkin zachowywał dyplomatyczne milczenie. Razem wrócili pod skałę.

Leśne szczury znalazły ich prowiant. Suszone mięso było rozszarpane na kawałki i porozrzucane, a owsiane i żytnie suchary pogryzione i pokruszone. Najgorsze zaś, że wylizały do czysta garnek akh. Relkin ocalał kilka szczątków na kolację. Smok pożarł funt dobrego owsa i resztę mięsa. Nie zdołał odegnać szponów głodu.

Lało przez całą noc.

Rano wciąż padało i było zimniej niż kiedykolwiek. Relkin obudził się i ujrzał Bazila pracującego nad nowym mieczem – legionowym orężem bez imienia, opatrzonym sześćset dwudziestym siódmym numerem.

–To już koniec – obwieścił z istic smoczą stanowczością. – Dziś wracamy. Przyjdę tu za rok. Wiem, że przyleci, jeżeli w ogóle jeszcze żyje.

Relkinowi ciarki przeszły po plecach.

–Za rok? Chcesz tu wrócić?

–Chłopiec nie musi tu przychodzić! Smok przyjdzie sam!

–Może tak się zdarzyć – mruknął Relkin, choć obydwaj wiedzieli, że nie zgodziłby

się spuścić swego podopiecznego z oczu.

Bazil skończył z mieczem i podniósł go w górę, pozwalając kroplom deszczu rozpryskiwać się o błękitną stal.

–Ba, ten miecz jest niewygodny, głupi. Nie chcę nim walczyć. Giermek słyszał narzekania na miecz – proste, wojskowe ostrze, długości niemal ośmiu stóp – odkąd Bazil otrzymał go zeszłego lata.

Prawdę rzekłszy, Relkin odkładał w tajemnicy srebro na nową, lepszą broń, lecz ceny były strasznie wysokie. Taki miecz stanowił równowartość rocznych zarobków, toteż giermka czekała jeszcze długa droga, zanim odwiedzi kogoś z płatnerzy fortu Dalhousie i wpłaci zaliczkę na jedno z tych przepięknych ostrzy, które wisiały na tyłach ich sklepów.

Bazil wstał i zamachnął się, aż zaświszczała stal, ścinając czubki kilku pechowych drzewek. Zaburczał coś i wetknął miecz do pochwy, po czym przetrząsnął resztki worka z ziarnem w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Schodzili z góry Ulmo w ponurych nastrojach i przy akompaniamencie burczących z głodu brzuchów. Kiedy dotarli do wezbranej wskutek ciągłych deszczów Argo, jedyny przewoźnik nie zgodził się na przeprawę do małego miasteczka Sutsons Camp.

Musieli czekać na północnym brzegu rzeki, gdzie nie było nic prócz kilku zaniedbanych chat rybackich. W jednym mieli szczęście, przebywało w nich paru rybaków, którzy poprzedniego dnia mieli całkiem udany połów. I choć zaliczyli kolejną paskudną noc – Relkin w zarobaczywionym i zadymionym domku, a Bazil pod wyciągniętą na brzeg rybacką łodzią – to przynajmniej mieli w brzuchach po kilka kwart gorącego, rybnego gulaszu.

Rankiem deszcz nareszcie ustał, zastąpiony przez lodowaty wiatr z północnego zachodu, Oddech Hazogu, jak nazywano go na kamiennych umocnieniach fortu Kenor. Relkin i Bazil czekali niepocieszeni, kuląc się przy niewielkim ognisku. Na obiad kupili kolejne porcje zupy rybnej od rybaków. Była wyraźnie cieńsza i nie zaspokoila ich głodu. Relkin był tak przybity zimnem i głodem, że prawie nie dyskutował z rybakami na temat jej jakości.

Popołudnie ciągnęło się; było coraz zimniej. Po niebie od czasu do czasu przemykała ciemniejsza chmura. Rzeka wzbierała.

Wreszcie, przed samym zmierzchem, dojrzeli żagiel i wkrótce witali radośnie zawinięcie dużego statku kupieckiego, *Tench*, kapitana Polymusa Karpone'a.

Smok i chłopiec machali jak szaleni i statek zrzucił żagle, po czym podpłynął po nich, walcząc z przeciwnym prądem.

*Tench* był dwumasztowym brygiem o niewielkim zanurzeniu i ruchomym kilu. Jednostkę zbudowano z myślą o handlu rzeczonym, umożliwiając jej przybicie do niemal każdego brzegu.

Kapitanem okazał się łysy, brzuchaty jegomość w wypłowiałym, czarnym ubraniu. Miał pomarszczoną, rumianą twarz, a z kącika ust zwisała mu fajka.

–Co możecie zaoferować smokowi i smokowemu? – zapytał Relkin po wciągnięciu ich na pokład.

–Kabinę w przedniej ładowni. Jest trochę ciasna, lecz ciepła i sucha. Mnóstwo siana. Woziliśmy już smoki. Dokąd zmierzacie?

–Do fortu Dalhousie.

–Cóż, będzie to was kosztować jedną sztukę srebra od głowy.

–Dwie sztuki srebra?! Żeby dotrzeć stąd do Dalhousie? To rozbój! Wystarczy wam jedna sztuka.

–Za jednego srebrnika otrzymacie zimną kolację, składającą się głównie z chleba. Relkin skrzywił się.

–A co macie w menu na ciepło?

–Dziczyznę w cieście z przystani Argo. I zupę rybną – nasz kucharz jest mistrzem w jej przyrządzaniu.

–Zapomnij o zupie rybnej, przez ostatni dzień jedliśmy tylko to.

–Wobec tego musicie zapłacić dwie sztuki srebra. Smok zje całą porcję ciasta na raz, nie licząc klusek.

–Macie akh?

–Mamy najlepszy akh z Jemins i Sveet, sławnych z ich butelkowanych sosów. Musisz znać te nazwy.

–Smok uwielbia akh, zwłaszcza z kluskami.

–Może mieć klusek, ile dusza zapagnie, ale za dwa srebrniki. Sama dziczyzna jest tego warta.

Relkin zerknął na Bazila, który wzruszył ramionami. Kapitan uchylił wywietrznik kambuza, skąd buchnęło gorące powietrze, przesycone cudownym zapachem rumieniącej się w piecu dziczyzny w cieście. Bazil jęknął.

Giermek westchnął ciężko.

–Bardzo dobrze. To stanowczo za drogo, ale jesteśmy zbyt zmęczeni, by się spierać. Dwie sztuki srebra.

*Tench* odbił od brzegu i ruszył szparko w dół rzeki. Bazil ściągnął opończę, a Relkin wyskoczył z mokrego ubrania i założył nieco suchsze rzeczy – podkoszulek z wełny Marneri i brązowe spodnie. Następnie udał się na poszukiwanie ciepłego jedzenia.

W kambuzie spotkał drobnego człowieczka z mnisią tonsurą, odzianego w brązowy strój i zajadającego kluski w sosie. Spodnie kończyły się mu nad kostkami, a obute w sandały stopy były sine od chłozującego pokład lodowatego wiatru. Jednak mężczyzna nie zważał na chłód, radośnie pomrukując do siebie podczas jedzenia.

Kiedy Relkin poprosił o więcej akh do porcji Bazila, mnich podniósł głowę z nagłym zainteresowaniem.

–Wybacz mi, młodzieńcze – odezwał się. – Czy w tych okolicach ludzie jadają akh?

Miał dziwaczny akcent, którego Relkin początkowo nie był w stanie umiejscowić. I cóż to za groteskowy pomysł – akh sporządzano z najostrzejszego pieprzu, najsilniejszego czosnku i wywaru ze starych ryb. Zdaniem Relkina, przyprawa ta nadawała się tylko dla smoków i leśnych szcurów.

–W żadnym razie, mój dobry mnichu. Biorę akh dla smoka. Nieznajomy zrobił okrągłe oczy.

–Smok? W takim razie jesteś smokowym. Miło mi cię poznać. Wiele słyszałem o dzielności smoczyczych giermków.

Relkin wyciągnął dłoń.

–Smokowy pierwszej klasy Relkin z Quosh, do usług. Niewielki człowieczek miał mocny uścisk i paciorkowate, niebieskie oczy.

–Jestem Ton Akalon z wysp Cunfshon. Pracuję dla Wydziału Gleby.

Teraz to chłopiec przeżył chwilę zdumienia. Ten niepozorny człowieczek przywędrował tu aż z Cunfshonu! To wyjaśniało dziwaczny akcent. Z samego Cunfshonu, z jego sławetnymi czarownicami i starożytnymi miastami z kamienia.

–Czy oznacza to, że na statku jest smok? – dopytywał się badacz.

Wytrącił Relkina z rozmarzenia.

–Zgadza się, panie Ton. A ja jestem jego smokowym.

–Ton, proszę, mów mi Ton. Bardzo chciałbym poznać smoka. Oczywiście czytałem o nich, lecz nigdy nie miałem okazji zobaczyć któregoś na własne oczy.

Giermek zdążył już wziąć tacę dziczyzny, miskę klusek z akh i torbę gorącego chleba.

–Mój smok byłby zaszczycony, mogąc cię poznać, panie Ton.

–Nie, po prostu Ton. Nie jestem rycerzem Imperium i wątpię, żebym kiedykolwiek takowym został. Nie jestem żołnierzem. Specjalizuję się w glebie.

–Glebie?

Oczy człowieczka zablęsnęły na to słowo.

–Tak, prowadzę badania gleby w Kenorze. Jest tam parę bardzo urodzajnych, głębokich pokładów na podłożu wapiennym. Imperium rozważa poczynienie poważnych inwestycji w tym regionie. Widzisz, żywność to potężna broń. Rozpoczęcie przez Kenor eksportu ziarna wydatnie zwiększy efektywność zabiegów dyplomatycznych Imperium.

–Jedzenie to broń? – Ta idea była dla Relkina zupełnie nowa.

–Obawiam się, że tak. I widzę, że twój smok lubi spożywać wielkie jej ilości – zauważył Ton, wskazując na miskę klusek w ostrym, aromatycznym akh. – No, ja już skończyłem. Pozwól, że ci pomogę.

Ton Akalon złapał ciężką michę i czekał, aż Relkin wskaże mu drogę. Chłopiec nie zauważył u niego najmniejszych oznak złej woli, a strój był zbyt skromny jak na agenta nieprzyjaciela. Problemem, z jakim zawsze borykał się ich wróg, była niechęć jego szpiegów do wcielania się w role zwykłych, biednych ludzi. Relkin przypomniał sobie groźną aurę, otaczającą złego czarodzieja Thrembode'a, kiedy ten pojawił się w Smoczym Domu w Marneri, by unieszkodliwić Bazila. U Tona Akalona niczego takiego nie dostrzegał, wręcz przeciwnie: mnich wydawał się całkowicie nieszkodliwy.

Baz nie miał najlepszego humoru, lecz na widok obiadu załśniły mu ślepia.

–Bazil, to jest Ton Akalon z Cunfshonu. Jeszcze nigdy nie widział smoka.

Wielkie, czarne oczy zlustrowały przybysza.

–Jestem Bazil z Quosh. A to mój giermek, Relkin. Czasami sprawia mi kłopoty.

–Smok jest dzisiaj trochę smutny – szepnął Relkin mnichowi na ucho. Bazil prychnął szyderczo i zabrał się do jedzenia.

–Jestem zaszczycony tym spotkaniem, panie Bazilu. Wiele słyszałem o smokach Argonathu – powiedział Ton Akalon – lecz w Cunfshonie nie widzimy ich zbyt często.

Bazil przełknął kęs chleba grubo posmarowanego akh. Cunfshon?

–A cóż sprowadza mieszkańca Cunfshonu do Kenoru? – zapytał, skubiąc długą na sześć cali porcję dziczyzny w cieście.

–Wspomagam wysiłki rolnicze Kenoru, panie Bazilu. W szczególności wyszukuję tereny nadające się do intensywnej uprawy zbóż.

–Aha. I znalazłeś takie miejsca w Kenorze?

–Och, w rzeczy samej, panie smoku. Najlepsze warunki przewiduję na południu, w Monistol i Tuali.

Relkin wrócił z garncem pianistego ale. Odał kufel dla siebie, drugi dla mnicha, a resztę wręczył Bazowi, który wziął szczodry łyk.

–Opowiadałem twojemu smokowi o moim zadaniu. Mam nadzieję potwierdzić nasze podejrzenia odnośnie Tuali i zachodniego Monistol.

Chłopiec nadstawił uszu. Interesowały go dobre ziemie, jak każdego na pograniczu. Pewnego dnia opuszczą z Bazilem legiony i otrzymają kawałek roli do uprawy.

–Ach tak, a czego oczekujesz?

Badaczowi zabłyśły oczy, a kościste oblicze ożywiło się na moment, zaraz jednak człowieczek odzyskał czujność.

–Cóż, mogę wam jedynie powiedzieć, że Tuala będzie wspaniałym miejscem do uprawy roli. Oczywiście wyniki badań pozostają tajemnicą do momentu ich publikacji, nie widzę jednak nic złego w zdradzeniu wam tego.

–Oznacza to jezioro Tuala. No cóż, dotarcie tam nie jest zbyt łatwe. Brakuje bezpośredniej drogi.

–Trakt Tuali z fortu Redor zostanie uznany za oficjalny szlak handlowy – wyjawiał im Ton Akalon z pewnością siebie wysoko postawionego biurokraty. – Wierzę, iż zostanie przedłużony do samego jeziora Tuala. W swoim czasie wyłożą go belkami. Ruch na szlaku będzie żyłą złotą dla posiadaczy dobrych wozów z mułami. Tak, dla Tuali rysuje się świetlana przyszłość.

Relkin przeżuł jedzenie i przełknął. To ciasto było diabelnie smaczne.

–Słyszałem piękne opowieści o uprawach w dolinie Esk. Ton Akalon zmarszczył się.

–Ach tak, Esk. Wiele czytałem o urodzie tej doliny. Lecz jej ziemie są zbyt lekkie. Mój poprzednik, Acultax, wiele o nich napisał. W dawnych czasach, przed upadkiem Veronathu, tamta okolica słynęła z winnic i sadów. Obawiam się jednak, że obecnie tamtejsze gleby są wyjałowione. Wkrótce zawita tam pustynia. Jak tak dalej pójdzie, za dwadzieścia lat będą tam jedynie lasy i zagajniki jałowca. Wspomnicie moje słowa.

Relkin uśmiechnął się. On z pewnością. Nazwa doliny Esk została właśnie wymazana z jego prywatnej listy na rzecz Tuali.

Chłopiec miał wiele pytań o bajeczne wyspy Cunfshon i Ton Akalon zrobił wszystko, by skorygować pewne jego mylne wyobrażenia. Jednak wkrótce jedzenie, a przede wszystkim piwo roztoczyły własną magię. Pierwszy opadł wielki łeb Bazila. Zaraz potem Relkin ziewnął i osunął się pod ścianą, przyjmując wygodniejszą pozycję. Nagle trzymanie oczu otwartych stało się bardzo trudnym zadaniem. Badacz zauważył, że jego publika usypia i zerwał się na nogi.

–A niech mnie, znowu mnie poniosło. Zdarza mi się czasami. Dajcie staremu badaczowi trochę piwa, a przegada całą noc! Widzę, że jesteście gotowi do snu, dobrzy panowie. Dziękuję wam za wszystko, miło było was poznać.

Odpowiedziało mu chrapanie. Ton Akalon dokończył ale, wyslizgnął się za drzwi i wrócił do kajuty, gdzie opisał w dzienniku podróznym swoje pierwsze spotkanie ze smoczym zespołem. Dziennik liczył już sobie sześćdziesiąt stron zapisanych drobnym maczkiem.

Smok był wielką, brązowo-zieloną bestią z jaśniejszymi plamami na brzuchu i większymi łuskami na grzbiecie. Miał czarne, niewątpliwie inteligentne oczy i krokodylą paszczę, zdolną do pochłaniania nadzwyczajnych ilości pożywienia. Ton Akalon wzdrygnął się, wspominając ten moment. Smoczy giermek był równie godny opisania. Szesnastoletni chłopiec, zachowujący się jak dorosły, u którego pewna twardość rysów wokół ust zdradzała doświadczenie wojenne. Nosił broń równie niedbale jak dzieci w Cunfshonie skakanki i gumowe piłki.

W końcu mnich także poczuł senność i wślizgnął się pod koce, natychmiast głęboko zasypiając.

*Tench* płynął bystro w dół rzeki, dopływając w parę godzin do następnego przystanku, miasteczka Długie Jezioro, widocznego w blasku rozsianych wzdłuż doków świateł.

Kiedy tylko statek dobił do przystani, na pomoście wybuchło zamieszanie. Przez oczekujący tłum przebił się brzuchaty mężczyzna w uniformie dowódcy legionów, obrzucając wszystkich klątwami i przekleństwami. Towarzyszył mu zwalisty wojownik w czarnym płaszczu, spod którego przy szyi i z rękawów wystawała lśniąca kolczuga. Sama jego obecność torowała drogę tłuszciochowi o gromkim głosie. Kilka minut później legionista stanął na pokładzie.

–Kto jest dowódcą tego statku? – zapytał, stukając masywną trzcinką dla podkreślenia swych słów.

Kapitan Karpone wysunął się naprzód.

–Ja, dobry panie, kapitan Kaipone, do usług. Proszę też, jeśli łaska, nie stukać tak w pokład, bo pobudzi mi pan wszystkich pasażerów.

Mężczyzna jakby go nie słyszał. Krążył po pokładzie, łomocząc trzcinką o deski. Karpone złapał go za ramię i zatrzymał.

–Przestań!

–Co? Co przestać?

–Stukać w pokład, sir. – Przybysz spojrział na pokład, po czym gwałtownie

przeniósł wzrok na kapitana Karpone'a.

–Bzdura! Wcale nie stukam! Zresztą, nieważne; potrzebuję kabiny, nie – żądam twojej największej kabiny, natychmiast. I mnóstwo miejsca w ładowni. Mam bagaż. Mój strażnik także potrzebuje kabiny.

Karpone splótł dłonie i zagwizdał.

–Cóż, dobry panie, obawiam się, że wszystkie kajuty mam już zajęte. Wynająłem nawet własną. Mam jednak miejsce w ładowni. Będziecie ją dzielić ze smokiem i ładunkiem głowic toporów, zostało jednak mnóstwo miejsca na bagaż.

–To niemożliwe! – ryknął mężczyzna. – Posłuchaj mnie uważnie. Jeżeli nie dasz mi kabiny, przejmę dowództwo nad statkiem i w ten sposób otrzymam to, co chcę. – Tłuszcioch miał różową skórę i jasne, kręcone włosy. Kiedy krzyczał, trzęsły mu się policzki.

–Ależ, panie – protestował Karpone – wszystkie kajuty są pełne. Nie mogę dla ciebie wyciągnąć z którejś z nich pasażera, który zapłacił mi za przewóz.

–Jestem dowódcą Ósmego Regimentu Drugiego Legionu. Najdalej jutro muszę dotrzeć do mojego oddziału. Oznacza to, że muszę dotrzeć do Dalhousie, rozumiesz? Muszę. Sprawy wojskowe najwyższej wagi.

–Oczywiście, rozumiem to, panie, lecz ten statek nie jest okrętem wojennym, a zgodnie z prawem Kenoru wojsko nie może przejmować cywilnych jednostek bez zgody magistratu.

–Co? Chyba oszalałeś. Narażasz się na kąpiel w rzece. Jeszcze jedna impertynencja, a Dandrax wyrzuci cię za burtę.

Karpone westchnął w duchu. Miał wielką ochotę kopnąć tego tłustego bufona w zadek, lecz brakowało mu odwagi. Dandrax był młody i zręczny, i najwyraźniej obyty z bronią.

–Dobrze, panie – Karpone zatarł ręce; anion, ani j ego załoga nie chcieli kłopotów. Wszyscy już posunęli się w latach i najlepsze dni na bijatyki mieli już dawno za sobą.

–Nazywam się Graves, kapitanie, komendant Porteous Graves z Ósmego Regimentu Marneri.

Komendant był najwyraźniej pod wrażeniem własnego tytułu.

–Tak jest, hm, panie komendancie.

–Nalegam na kabinę, największą, jaką masz. I ciepły posiłek. Natychmiast!

–Jak już mówiłem...

–Jeszcze jeden sprzeciw i przejmę ten statek, zrozumiano? Karpone zerknął na zwałistego strażnika, który wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu.

Kapitan jękiem pokrył narastającą wściekłość. Miał kilku zręcznych szermierzy wśród oficerów, lecz żaden nie mógł się równać z tym drągałem. Nie miał pojęcia, co robić.

–Ja... – Stał niezdecydowany.

–Ba! – prychnął Graves. – Dandrax, przejmij kontrolę i znajdź mi kabinę.

Kapitan zakrzyknął gniewnie i wykonał ruch, jakby chciał sięgnąć po sztylet, lecz natychmiast poczuł na gardle nacisk czubka miecza strażnika.

–Nie robiłbym tego na twoim miejscu – mruknął zabijaka.

Parę minut później badacz Ton Akalon został dosłownie wyrzucony z własnej kajuty. Zaraz wyfrunęły za nim notatki i sakwojaż. Na jego miejsce wprowadził się komendant Graves, wystawiając przed drzwiami groźnie spoglądającego Dandraxa.

Kapitan Karpone wycofał się i zwołał zebranie załogi. Mamrotali do siebie przez chwilę, po czym zgodzili się, że nie warto podejmować żadnych akcji. Nikt nie miał zamiaru dać się zabić.

Ton Akalon otrzepał się i spakował notatnik do sakwojażu. Zapytał kapitana, co może w tej sytuacji zrobić i gdzie ma spać. Upokorzony Karpone odmówił podjęcia jakichkolwiek kroków, zostawiając to badaczowi.

–Nie znasz jakichś zaklęć, magii? Zamień strażnika w żabę, a my z ochotą go rozdepczemy. Niestety jest tu nas tylko czterech, wszyscy starzy, a tamten jest młody i silny. Ktoś mógłby zginąć.

Badacz nie znał czarów i musiał zadowolić się kątem w przedniej ładowni.

Spali tam smok i giermek. Od ich chrapania aż trzęsły się ściany. Szukał sobie wolnego kąta, zdumiewając się, jak mocno śpią. W ciemnościach zahaczył nogą o smoczy miecz i przewrócił się.

Relkin obudził się natychmiast ze sztyletem w garści, wpatrując się w mrok. Zauważył jakiś ruch i krzyknął.

Ku jego zdumieniu intruzem okazał się badacz z Cunfshonu, wyciągnięty jak długi na sianie.

–Wybaczcie mi, przyjaciele, szukałem jakiegoś miejsca do snu i przez własną niezręczność potknąłem się o coś.

Tłumaczenie obudziło w giermku podejrzliwość.

–Sądziłem, że masz własną kabinę, sir Tonie. – Zapalił lampę i zauważył w jej świetle, że drobnej budowy badacz ma rozcięty prawy łuk brwiowy i podarty płaszcz.  
– Co się stało?

Ton Akalon pokrótce opisał utratę kajuty. Relkin zmarszczył brwi.

–To brzmi zupełnie niedorzecznie. Co na to wszystko kapitan Karpone?

–Niestety człowiek ten jest dowódcą w legionach, a jego strażnik jest zbyt wymagającym przeciwnikiem dla mnie czy dobrego kapitana.

–Dowódca, powiadasz?

–Niejaki komendant Graves z regimentu Drugiego Legionu.

Relkin zagwizdał. Razem z Bazem mieli właśnie otrzymać nowy przydział. Miał nadzieję, że starzy bogowie wciąż mu sprzyjają.

–Jeżeli to komendant, to obawiam się, że niewiele możemy zrobić.

Ton Akalon musiał się z nim zgodzić. Zaraz jednak rozchmurzył się.

–Jestem pewny, że komendant wysiądzie w Dalhousie. Płynę aż do fortu Redor, więc wkrótce odzyskam kajutę.

Relkin wzruszył ramionami i z powrotem ułożył się do snu. Smok otworzył tylko jedno oko, lecz już zdążył je zamknąć.

Nadal było ciemno, kiedy *Tench* zawinął do fortu Dalhousie. Na Szpicu Maruderów płonęło tylko jedno światełko, lecz Polymus Karpone żeglował po tych wodach całe swoje życie.



Trap opadł ze zgrzytem i chrzęstem. Drużyna ładowaczy w płaszczach i futrzanych czapach rozpoczęła wyładunek melasy w osiemdziesięciogalonowych beczkach.

Znieruchomienie statku obudziło Relkina.

–Jesteśmy na miejscu. – Potrząsnął ciężkim łbem Bazila i podrapał go za uszami.

–Wciąż ciemno.

–Zgadza się, niemniej przybiliśmy. Chyba najlepiej dla nas będzie wysiąść przed pozostałymi.

–Dobrze myślisz, chłopcze. Wrócimy do fortu w samą porę, by zjeść śniadanie!

–Czemu sam o tym nie pomyślałem? – mruknął giermek, dla którego wojskowe jedzenie było zwyczajnie monotonne.

Smok był już na nogach. Badacz wkrótce także się obudził, pobłogosławił ich i życzył wszystkiego najlepszego. Zostawili go w ładowni i udali się do portu Dalhousie – osiedla dziesięciu budynków z drewna i kamienia, pomiędzy którymi przecinały się brukowane uliczki.

Była jeszcze godzina do świtu i prócz paru kotów nikogo nie spotkali. Relkin i Baz szybkim krokiem ruszyli w stronę fortu, górującego nad okolicą ziemnymi umocnieniami oraz drewnianymi i murowanymi wieżami.

Byli w połowie drogi, kiedy z portu dobiegły ich jakieś krzyki. Oglądając się, dostrzegli zamieszanie w dokach. Ze zgiełku wybijał się donośny głos. Wychwycili takie zwroty jak: „odmowa zapłaty”, „brudna, robaczywa klitka” i „niech mnie licho, jeżeli to zrobię”.

Relkin gwizdnął.

–Nie chciałbym znaleźć się w regimencie komendanta Glavesa.

–Gromki głos głupca, jeśli ktoś zapytałby tego oto smoka.

–Pomyślałem sobie dokładnie to samo. Zgodnie ruszyli do bramy.

## ROZDZIAŁ DRUGI

W bramie przyjął ich porucznik, przecierając zaspane oczy.

–Dobra – warknął. – Kim jesteście i z jakiego przydziału?

–Smokowy pierwszej klasy Relkin z Quosh, 109 Szwadron Smoków. Na zewnątrz zaś czeka smok zwany Złamanym Ogonem.

Porucznik uniósł brwi.

–Ten, który stracił Zagładę w Orgmeen?

–Ten sam.

–Proszę, proszę, chyba powinniśmy być zaszczyceni. Jesteście tu zgodnie z wyznaczonym terminem?

–Tak jest, sir.

Było jasne, że porucznik nie zamierza obdarzać najmniejszym szacunkiem giermka, nawet jeżeli jest nim smokowy pierwszej klasy. Relkin przyzwyczał się do takiego zachowania młodych oficerów piechoty, nie zwracał więc na to uwagi.

–W takim razie: zielona księga. – Oficer otworzył tomiszcze i przesunął palcem wzdłuż listy. Po chwili zamknął ją. – Dobrze – ciągnął. – Macie zgłosić się do Ósmego Regimentu. 109 został przydzielony tam jako wzmocnienie smoczycich sił.

Nie zaskoczyło to zbyt Relkina. Spodziewał się rozwiązania ich szwadronu. Mieli siedemdziesiąt procent strat. Przeżyli tylko Baz, stary Chektor i Vander, który odszedł na emeryturę ze względu na odniesione rany.

–Macie kwatery we Wschodniej Dzielnicy. Jest tam Smoczy Dom. Tam również wydadzą wam kupony żywieniowe. –

Oficer obrócił się gwałtownie. – Ach, jest dla was paczka. W magazynku.

–Paczka?

–Nie jestem pewny, czy ją udźwigniesz. Jest piekielnie ciężka. Mocno się natrudziliśmy, żeby przynieść ją tutaj z wozu.

Zżerany ciekawością Relkin poszedł do magazynku, gdzie przechowywano przesyłki i listy do legionistów.

Urzędnik dopiero rozkładał papiery, lecz przesyłka dla nich stała oparta o tylną ścianę. Był w niej olbrzymi miecz, owinięty białym materiałem, obwiązany czerwoną wstążką i zapieczętowany woskiem. Bez wątpienia był to smoczy miecz.

Na pieczęci widniało proste L i Relkin natychmiast domyślił się, że było to dzieło lady.

Dźwignął oręż. Faktycznie, był ciężki; dorównywał wagą Piocarowi, pierwszemu, ukochanemu mieczowi Bazila. Chłopiec ledwo zdołał zarzucić go sobie na ramię, zaraz jednak złapał równowagę i popędził w dół schodów, mijając zdumionego porucznika – spieszyło mu się do smoka.

Ślepią Baza rozbłysły niczym lampy, a język śmignął w niekontrolowanym odruchu podniecenia. Gmerał niezręcznie niezdarnymi łapami przy wstążkach, zmuszając Relkina do szybkiego ich przecięcia i odwinięcia materiału. Zanim skończył, Bazil wyciągnął miecz z pochwy i podniósł go do światła.

Broń miała w sobie lodowate piękno, zwłaszcza lśniąca klinga ze znakomitej stali o długości prawie dziewięciu stóp i dziewięciu calach w najszerszym miejscu. Wzór

był prosty: długie, zwężające się ostrze, osadzone w metalowej rękojeści z gardą. Jedyną ozdobą była kocia głowa na kuli rękojeści. Do paczki doczepiono list adresowany do Bazila z Quosh. Relkin odpieczętował go.

\* \* \*

*–Do pana Bazila z Quosh – przeczytał. – To miecz dla ciebie, imieniem Ecator, od przyjaciela, który oddał życie, byśmy mogli uratować nasze. Był postrachem dla wrogów. Jego duch mieszka teraz w tym ostrzu i z twoją pomocą nadal będzie ich prześladował.*

*Z całym stosownym szacunkiem twoja przyjaciółka  
Lessis.*

\* \* \*

Relkin mimowolnie zadrżał. Doskonale pamiętał Ecatora – paskudnie wyglądającego kocura o wściekłych, żółtych ślepiach, rządzącego hordą posłusznym mu szczurów. W Tumrnuz Orgmeen wydarzyły się rzeczy, których wolałyby nie pamiętać, a Ecator był jedną z nich.

Bazil zamachnął się potężnym mieczem, zmuszając Relkina do uskoczenia.

–Baz, jeszcze tu kogoś zabijesz...

Smok mamrotał radośnie do siebie w smoczej mowie, lecz przestał, kiedy Relkin odwinął do końca pochwę. Chrząknął z aprobatą i przyjrzał się jej bliżej. Ona także była prosta wzorniczo. Błękitna stał owinięta czarną skórą, z mosiężnymi pierścieniami do zawieszania na ramieniu. Tu również jedynym ozdobnikiem była kocia głowa.

–Podoba mi się ten miecz. Będzie się nim dobrze walczyło.

Uniósł broń w górę, obrócił zręcznie i schował do pochwy.

–Lady dotrzymała obietnicy – mruknął z satysfakcją.

Relkin udał się do Zachodniego Kwadrantu z nagle szczęśliwym smokiem za plecami. Było tuż przed pobudką i w obozie kręciły się już pierwsze ranne ptaszki. Fort wzniesiono na planie kwadratu o boku 350 wojskowych kroków z wieżami w rogach i dwiema bramami na osi wschód-zachód, połączonymi główną ulicą. Po jej obu stronach znajdowały się cztery „dzielnice”. Tworzyły je szeregi większych i mniejszych namiotów. Pomiędzy rozbitymi dla żołnierzy namiotami wznosiły się większe, drewniane budowle dla smoków.

Wschodnia Dzielnica przypominała pozostałe. Pośrodku majaczył Smoczy Dom. W środku ciągnęły się szeregi przcstronnych zagród ze smoczymi pryczami z nieheblowanego drewna.

Od korytarza odgradzały je wełniane zasłony, ufarbowane na czerwień i błękit Marneri. W tej chwili stacjonowały tu dwie jednostki, szczelnie wypełniając budynek. Podczas ich przejścia z boksów wychylały się smocze łby. Giermkowie przeciskali się koło nich, chcąc zamienić choć słowo z przybyszami. Powitał ich mężczyzna w mundurze smokowego. Relkin zasalutował mu i zameldował się na rozkaz.

–Spocznijcie, smokowy Relkin. Jestem starszy smokowy Hatlin, dowódca nowego 109 Szwadronu. W imieniu wszystkich chciałbym powitać ciebie i Złamanego Ogona z powrotem w 109. Dodam, że objęcie dowództwa nad takim oddziałem było dla mnie

zaszczytem. Wszyscy jesteście pod wrażeniem waszych dokonań w Tummuz Orgmeen.

–Dziękuję, sir – odrzekł Relkin.

Hatlin uśmiechnął się skąpo.

–W porządku, smokowy Relkin. Przekonacie się, że jestem sprawiedliwym dowódcą, lecz lubię przestrzeganie reguł. Nie podobają mi się kradzieże, oszukiwanie i tak dalej. Bądźcie wobec mnie w porządku, a wszystko będzie dobrze.

Następnie wymienił saluty z Bazilem i skierował ich do zagrody.

W Smoczym Domu giermkowie nosili chodaki, które teraz załomotały o kamienie podłogi, kiedy tłum chłopców w niebieskich kurtkach i czerwonych, wełnianych czapeczkach zakłębił się u wejścia do ich zagrody.

Relkin zaciągnął zasłonę i odetchnął głęboko, po czym wyszedł na chwilę na zewnątrz, by oznajmić zgromadzonym, że Złamany Ogon spotka się z nimi wszystkimi, lecz po kolei i później, gdy zjedzą, jakieś śniadanie. Następnie przedstawił się wszystkim, po kolei ściskając dłonie. Miał do zapamiętania sporo nowych twarzy i imion.

Wśród nich wypatrzył starego znajomego – Mono, giermka Chektora, ostatniego weterana 109 pozostającego w służbie czynnej.

Objęli się z krzykiem radości.

–To niesamowite, że przeżyłeś! – zawołał Mono, wysoki, ciemnowłosego chłopak o wyglądzie mieszkańca południa, gdzie uprawiano gaje oliwne i winnice. – Kiedy patrzyliśmy, jak znikacie w Ganie, byliśmy pewni, że żadnego z was więcej nie ujrzemy.

–Cóż, mało brakowało, a tak by się stało. Co z Chektorem?

–Wszystko dobrze; wyleczył już stopy od letniej kampanii. Mieliśmy tutaj spokojną zimę. A co w forcie Kenor?

–Znacznie gorzej. Na starych bogów, te wiatry z Ganu mogą zmrozić cię na kość!

–Cóż, czeka nas raczej ciepłe lato. Słyszałeś?

–O czym? Ledwo co tu przybyłem.

–Wojna domowa w Ourdh idzie nie po myśli tamtejszego cesarza, więc wysyłane są dwa legiony, by umocnić go na tronie.

–I...?

–Idzie Ósmy Regiment.

Relkin zakrzyknął radośnie i wyrzucił w powietrze czarny kapelusz z Kenoru.

Wizje prowincji Tuali i jej żyznych, wapiennych ziem zwolna ustąpiły miejsca obrazkom starożytnego Ourdh i jego przebiegłych, wyrafinowanych obywateli, zamieszkujących olbrzymie miasta.

Powiada się, że w Ourdh możesz kupić wszystko, o ile tylko masz srebro.

–Oznacza to, że udamy się do wielkich miast?

–Czemu nie? – Mono uśmiechnął się powoli.

–Bogowie, w Ourdh są kobiety! I to takie, o których nawet nie śniliśmy.

Nagle przypomniał sobie o chciwie go słuchających młodszych giermkach.

Gwałtownie zamknął usta. Powiedział stanowczo zbyt wiele, a jego słowa szybko się

rozejdą. Nie chciał, żeby Hatlin przyszedł do niego z pretensjami, że podkopuje moralność młodych.

Poklepał Mono po ramieniu.

–Do Ourdh. Kto by przypuszczał?

Nie miał nic przeciwko zamianie wiejskiego życia na odrobinę szaleństwa.

Wyglądało to na okazję zesłaną przez niebiosy.

Czyżby szczęście uśmiechnęło się do niego, odkąd wezwał starych bogów? Czy to grzech? Czy Wielka Matka marszczy teraz gniewnie brwi? I co, jeśli nawet tak robi, a starzy bogowie są po jego stronie? Relkin zawsze z trudem rozróżniał bogów i boginię.

Do Ourdh! Każdy wie, że w Ourdh jest wszystko. To serce całego kontynentu.

Miał ochotę wyskoczyć wysoko w powietrze i strzelić obcasami, nie wypadło mu jednak przy tych wszystkich młodych chłopcach, którzy nie przelali jeszcze krwi w bitwie. Był weteranem, od którego oczekiwano poważnego, dojrzałego zachowania.

Obrócił głowę, słysząc głośnie chrząknięcie, i ujrzał stojącego na czworakach ogromnego, mosiężnego smoka.

Z okrzykiem zadowolenia uściskał grubą szyję potwora.

–Stary Chek, tak się cieszę, że cię widzę.

–Ha, masz szczęście, że mnie widzisz. Mnóstwo szczęścia. Twoje kości powinny walać się po Tummuz Orgmeen. Gdzie Złamany Ogon?

Zasłona odsunęła się i pojawił się Bazil, zwabiony znajomym, smoczym głosem. Giermkowie spojrzeli na niego z podziwem.

–Dobrze cię znowu widzieć, Złamany Ogonie. Zostaliśmy już tylko my.

–Chektor.

Przez moment smoki potrząsały łapami.

–Słyszałem o Nessesitas. Bardzo smutne. Jestem bardzo zły.

–Zabiłem tego, który to uczynił. Nie pożył wystarczająco długo, by nacieszyć się swym triumfem. Troll z mieczem, coś nowego, o wiele szybszy od starszych gatunków. Zaskoczył ją i ciął w kolano. Nie mogła się poruszać.

Chektor kłapnął paszczą.

–Mówią, że niedługo znowu będziemy zabijać trolle. Zabiję dla niej wiele trolli. – Olbrzymy trąciły się przednimi łapami i przeszły na smoczą mowę, znikając w boksie Bazila i zasuwając za sobą zasłonę.

Mono podjął przedstawianie Relkinowi pozostałych giermków.

–Shim z Seant, opiekuje się mosiężnym Likimem. – Shim był szczupłym, bladym młodzieńcem o srebrnych włosach i dziwnych, niemal bezbarwnych oczach.

–To jest Tomas Czarne Oko od Chama, skórzanego smoka z Błękitnego Kamienia. – W miejsce brakującego oka Tomas nosił czarną przepaskę. – Solly dba o Rolda, mosiężnego z Troat. – Relkin uścisnął mu rękę.

Następny był wysoki chłopiec o ponurej twarzy. Mono zniżył głos.

–A to jest Swane z Revenant, który zajmuje się Vlokiem, innym skórzanym, weteranem z rozbitego 122.

Weteran? Z rozwiązanego oddziału? W głowie Relkina zrodziło się mrowie pytań.

**–Miło cię poznać – stwierdził.**

**–Wzajemnie – odrzekł Swane z kwaśną miną.**

**–Twój oddział został rozwiązany?**

**–Trzy smoki zapadły na chorobę stóp, białą zgniliznę. Jeden zginął podczas patrolowania Argo, a jeden odszedł ze służby z nieuleczalnie chorymi kolanami. Zlikwidowali oddział, nie dając nam drugiej szansy.**

**–Przykro mi.**

**–O mało co, a wam przytrafiłoby się to samo, jak słyszałem – rzucił Swane z Revenant. Relkin podniósł wzrok na wyższego rozmówcę. opowiadają u was niesamowite historie. Spodziewam się, że powiesz nam, jak to było naprawdę.**

**Relkin patrzył za oddalającym się Swanem z rosnącą pewnością, że będzie miał z nim kłopoty. Zastanawiał się, jaki jest Vlok.**

## ROZDZIAŁ TRZECI

Poranek następnego dnia był ponury i wietrzny; po niebie gnały na południe szare chmury. Przejmujący, północny wiatr świstał wokół drewnianych budynków i szarpał klapami namiotów. Wewnątrz ludzie kulili się przy koszach z węglem, opatulając się grubą, zimową odzieżą z Kenoru.

Po śniadaniu, w trakcie przeglądu ich arsenału, Relkin otrzymał wezwanie od – ni mniej, ni więcej – samego generała Paxiona, dowódcy fortu. Z jękiem oderwał się od porozkładanych dokoła mieczy, noży, maczug, kuszy i bełtów, i wbił się w mundur.

Udał się do generalskiego biura w Wieży Rzecznej w niebieskim płaszczu Marneri i czerwonej, wełnianej czapce z wypolerowaną odznaką 109.

W środku było ciepło, dymnie i tłoczno od cywili, prowadzących interesy z wojskowym zaopatrzeniem. Strażnicy na trzecim piętrze wpuścili Relkina po drobiazgowym sprawdzeniu wezwania.

Szybko trafił do wielkiej komnaty z długim stołem i kosmatym dywanem z Kenoru na podłodze. W końcu pomieszczenia płonął nieustannie podsycany ogień.

Generał podniósł się zza sterty zwojów i wskazał piórem na pobliskie siedzisko. –A więc wiesz, jak salutować. Rzadkie zjawisko wśród smoczych giermków.

Paxion był rumianym, potężnie zbudowanym, rudowłosym mężczyzną o żywym usposobieniu. Budzący grozę wojownik przesłużył dziesięć lat na pierwszej linii w Drugim Regimencie Pierwszego Legionu Marneri.

— Witaj w Dalhousie, młody smokowy Relkinie. Wszystko wskazuje na to, że za zamieszanie w Tummuz Orgmeen należy ci się tuzin medali.

Chłopiec starał się zachować niewzruszoną minę.

–Tak się złożyło, że wiem, iż jutro lub pojutrze przypniemy ci do piersi Gwiazdę Legionów. Otrzymałem już stosowne rozkazy z Marneri. Najwidoczniej odbyła się tam na ten temat jakaś dyskusja. – Uśmiechnął się ciepło. – Są tacy, zdaniem których smoczy giermek nie powinien być dekorowany Gwiazdą Legionów. Niemniej wiem z wiarygodnych źródeł, że twoja sprawa została poparta przez pewne wpływowe osoby, co przesądziło spór.

Relkin usiłował nie uśmiechać się ani nie przytakiwać. Gwiazda Legionów była honorowym, rzadko przyznawanym odznaczeniem za wybitne akty odwagi.

Lady Lessis pamiętała również o nim. Najpierw miecz Ector, a teraz to. Serce rosło mu z dumy, lecz Paxion uważnie go obserwował, starał się więc nie okazywać zbędnych emocji.

Po chwili generał pokiwał głową i uśmiechnął się.

–Opanowany gość, tak właśnie mi mówili. – Odepchnął się od stołu. – Pierwszy w historii smoczy giermek odznaczony Gwiazdą Legionów i nawet nie piśnie. Cóż, nie dlatego chciałem cię widzieć. Mamy kłopot.

–Sir?

–Dziki smok, olbrzym, który powrócił z wami z Tummuz Orgmeen.

–Purpurowo-zielony z góry Hak.

–Ten sam. Zimował tutaj. Nie wiem dlaczego, nie jest tu zbyt gościnnie. Jadał poza domem.

–Bez niego nie wyrwalibyśmy się z Tummuz Orgmeen, sir.

–Tak, wiem o tym – potężny sojusznik, lecz żarłoczny. – Paxion potarł brodę. – Na oddech Matki, bywały dni, kiedy zjadał całego wołu.

Relkin pokiwał głową. Smoki miały potężny apetyt, zwłaszcza kiedy były aktywne.

–Cóż – generał rozłożył ręce i odłożył pióro. – Krótco rzekłszy, smok zaczął się tu dusić i dwa miesiące temu wywędrował w góry. Ponoć tam poluje. Napłynęły do nas jednak skargi od elfów z Tuniny. Podobno płoszy zwierzęta, uniemożliwiając łowy.

–Potem wybuchła panika w przystani Argo – zginęło parę owiec, a pasterz zarzekał się, że ścigał go jakiś potwór. Tydzień później dobiegły nas wieści, że przebywa w lasach Daily. – Westchnął. – Zaś dwa dni temu przyszedł wieśniak ze skargą, że brakuje mu połowy mlecznych krów, a w lasach na południu grasuje coś dużego. – Paxion zrobił ponurą minę. – Nie możemy na to pozwolić. Musi natychmiast przestać. Z drugiej strony, nie chcę konfrontacji ze smokiem. Rozumiem, że jest dziki i nieprzyzwyczajony do cywilizacji ludzi. Wiem także, że byłby groźnym przeciwnikiem, niemniej można go zabić i zrobimy to, jeżeli będziemy musieli.

Relkin czekał.

–Chciałbym, żebyś udał się do niego z twoim smokiem. Wyjaśnijcie mu, że nie może pozostać w Kenorze.

Chłopiec skinął głową. Bazil znał tamtego lepiej od kogokolwiek. Najlepiej będzie, jeżeli to on zanieśe mu taką wiadomość.

Paxion wstał i wskazał na globus.

–Musi iść na północ, chłopcze, i to jak najprędzej. Obiło mi się o uszy, że wyruszyli już łowcy nagród, łakomi na srebro wyznaczone za jego głowę. Temu także musimy położyć kres.

–Tak jest, sir, zgadzam się w pełni. Wyruszamy natychmiast.

–Powodzenia, młodzieńcze. Zamelduj się u mnie natychmiast po powrocie.

\* \* \*

Dwa dni później wytropili jego leże w gromadzie na terenie gospodarstwa na zachodnim brzegu rzeki Daily.

Zabudowania zostały zrujnowane, a farmer z żoną ledwo uszli z życiem, kiedy dźgnął Purpurowo-zielonego widłami podczas snu. Rozwścieczony rolnik i jego wystraszona rodzina dotarli do Dalhousie, skarżąc się i złorzecząc.

Zaskoczyli go podczas snu. Obudzony gwizdnięciem Relkina, wypadł z jaskini gotowy zabić każdego, kto stanie mu na drodze.

Jednak wściekłość rozviała się natychmiast, jak tylko zobaczył Relkina i Bazila. Mięśnie karku i ramion rozluźniły się. Rozdwojony język posmakował powietrza.

–Witajcie! – ryknął.

Nauczył się nieco ludzkiej mowy w Tummuz Orgmeen, nie używał jej jednak zbyt często. Teraz także przemówił do Bazila w archaicznym języku smoków.

–Witaj, Złamany Ogonie. Przyłącz się do łowów! Zapolujemy razem, wybierając tylko to, co najlepsze.

Bazil podszedł do niego i uściśnęli sobie łapy. Dziki smok był nadal znacznie



większy od niego, choć znać było po nim głódówkę. Relkin dostrzegł wystające żebra.

–Łowy nie są tutaj zbyt udane – zauważył Bazil.

–Ha! Skąd wiesz, pożeraczu klusek?

Relkin podniósł głowę, słysząc słowo „kluski”, na który brakowało w smoczej mowie ekwiwalentu, przez co zabrzmiało całkiem zrozumiale pośród syków i pomruków.

Baz zasyczał cicho.

–Brakuje tu zwierzyny – stwierdził – za wyjątkiem tej należącej do ludzi. Jeśli będziesz ją zjadał, zmusisz ludzi do zabicia ciebie.

–Nie odważą się! Pozabijam ich! Jak to możliwe, że ośmielają się rościć sobie prawa do posiadania zwierząt? Bazil wzruszył ramionami.

–Nie znam odpowiedzi na to pytanie, wiem jednak, że mogą cię zabić. Przyjdą ze sprytnymi pułapkami, sidłami i trucizną. Być może naszpikują cię taką ilością zatrutych strzał, że stracisz władzę w kończynach. A wtedy poderzną ci gardło i utną głowę.

Purpurowo-zielony pokręcił przecząco łbem, lecz widoczna w tym geście desperacja podpowiedziała Bazilowi, że jego pobratymiec zdawał sobie sprawę z beznadziejności swej sytuacji.

–Bądź wobec siebie szczery – ciągnął. – Wiem, że pomimo czarów lady twoje skrzydła nie odzyskają dawnej sprawności.

–Odrosną. Rany zagoiły się, niemniej, masz rację – brak im siły, już nigdy nie będę latał.

Baz wytrzymał wzrok tamtego.

–Przez co ledwie możesz polować. Jesteś potężnym smokiem, nie potrafisz polować jak kot – nie jesteś lwem, czającym się i wyskakującym z ukrycia. Musisz latać i spadać zniecka na zdobycz – oto, w jaki sposób polujesz.

Purpurowo-zielony zrzucił maskę.

–To prawda, nie zjadłem nic, prócz paru niedźwiedzi i starego, chorego łosia. Nie jestem wystarczająco szybki.

O to właśnie chodziło: czterotonowy gad, rozwijający maksymalną prędkość piętnaście mil na godzinę, nie miał szans w epoce zwinnych ssaków.

–To nie wszystkie twoje posiłki.

–Ach... – Purpurowo-zielony zwiesił głowę. Przez długie pół minuty posykiwał do siebie, po czym przemówił znużonym głosem – To prawda. Ale nie rozumiem, jak jedno zwierzę może twierdzić, że jest posiadaczem innego i że należy ono wyłącznie do niego. Wszystkie zwierzęta należą do łowcy, który jest w stanie pokonać je i zjeść, i do nikogo innego, za wyjątkiem matki.

Bazil w zasadzie zgadzał się z pobratymcem.

–Tak. Tak to właśnie powinno być, lecz w dzisiejszych czasach dzieje się inaczej. Wróg ludzi jest tym samym wrogiem, który okaleczył twoje skrzydła. Tym samym, który uwięził cię w mieście zła.

Purpurowo-zielony rozjuszył się.

–Teraz musimy żyć z ludźmi. W przeciwnym razie zabiją nas, bez wątpienia są w stanie to zrobić. Wiesz o tym. Widziałeś, jacy oni są.

–Jest ich tak dużo, że zaleją cały świat. Bazil wzruszył ramionami.

–Niektórzy twierdzą, iż nadszedł kres ery smoków i w końcu na świecie pozostaną tylko ludzie. Dlatego właśnie jest ich tak wielu.

–W Smoczej Ojczyźnie nie ma ani jednego. Jeśli któryś się tam pokazuje, zostaje natychmiast pożarty.

Bazil syknął z zadowolenia, że istnieje choć jedna kraina na świecie, gdzie smoki rządzą się same, nie służąc ludziom:

–Ale tutaj to oni rządzą. Co oznacza, mój wielki przyjacielu, że albo opuścisz tę okolicę i powędrujesz na północ, albo całkowicie zmienisz styl życia.

–Pójdę na północ i zdechnę z głodu.

Baz pokiwał łbem i zamilkł, zamyślony. Po paru minutach odszedł z Relkinem na bok.

–Pozostawiony samemu sobie, dziki smok umrze. Nie jest w stanie polować, tak jak się obawialiśmy.

Relkin westchnął ze smutkiem. Wiele zawdzięczali Purpurowo-zielonemu. Lecz następne słowa Bazyla ogłuszyły go.

–Co powiedzieliby w legionach, gdyby dziki smok zasilił szeregi 109?

Relkin donośnie wciągnął powietrze. Życie, które od jakiegoś czasu wyglądało na dość proste i uporządkowane, raptownie się skomplikowało.

–Cóż – przełknął ślinę. Dziki smok w pierwszym szeregu! – Oczywiście, to genialne. Tyle tylko, że jest zupełnie dziki i nie umie włączyć broni.

–Wiem o tym, ale wytrenujemy go. W mieście zła nauczyłem go już, jak trzymać miecz i tarczę.

–Trening? A kto będzie na tyle odważny, bo na pewno nie ja? Jedna uwaga i zostałem zjedzony. Znam go, już wcześniej jadał ludzi.

Baz zachichotał i syknął.

–Czasami mam wrażenie, że nie byłby to taki zły pomysł. – Taaa, przypomnij sobie tylko o kurze, znoszącej złote jaja.

Zjesz giermka i już nigdy nie dostaniesz nic dobrego do jedzenia. Musiałbyś żywić się dziczyzną.

–Giermek nie smakuje równie dobrze jak pieczony kurczak.

Relkin wahał się. Bazil miał rację, to jedyne wyjście. Skórzany smok będzie musiał wyszkolić swego pobratymca, a pozostali nauczyć się ostrożnego z nim obchodzenia.

Miałoby to również dobre strony. Purpurowo-zielony dorównywał rozmiarami największemu z mosiężnych, był jednak od nich znacznie szybszy. Odpowiednio wytrenowany stałby się potężnym, dziesiątym smokiem szwadronu.

Zgodził się. Baz wrócił do Purpurowo-zielonego i wyłożył mu swój pomysł.

–Kiedy okaleczyli ci skrzydła, odmienili twe życie. Nawet gdybyś pożył wystarczająco długo, by dotrzeć do Smoczej Ojczyzny, umarłbyś tam z głodu. Istnieje jednak alternatywa. Wróc z nami do fortu, wstąp do legionów i walcz razem z

nami. W ten sposób zdobędziesz szansę pomsty na naszym wspólnym nieprzyjacielu. I pamiętaj, że smoki są tam zawsze dobrze karmione.

–Niby tak, ale kluskami? Nie jestem taki jak ty, nie potrafię odżywiać się niczym prócz mięsa.

–Dadzą ci trochę mięsa, lecz będziesz musiał przyzwycząić się do klusek. Musisz znowu spróbować akh. Akh wszystkiemu dodaje smaku.

–Obrzydlistwo, nie rozumiem, jak możesz to jeść.

Bazil zasyczał lekko zakłopotany. Smoki nie były biegłe w sztuce łagodnej perswazji, a akh był pyszny.

–Słuchaj no, przyjacielu, widzę, w jakim jesteś stanie. W legionach będziesz miał więcej mięsa niż na wolności. Jeżeli będziesz dalej zjadał im bydło, zabiją cię.

–Niech spróbują. – Napiął kark.

–Otrują cię. Dopadną cię całymi setkami i naszpikują strzałami. Przegrasz.

Purpurowo-zielony zamilkł. Bezskrzydły miał rację; taka śmierć byłaby bezużyteczna i poniżająca. Głodował od paru tygodni, a nie miał złudzeń, co się z nim stanie, jeżeli wyruszy na północ.

Westchnął ciężko i poddał się.

–Spróbuję. Nauczysz mnie, jak walczyć bronią ludzi.

–Nauczymy cię i będziesz w stanie zabić całe mnóstwo wrogów.

–Z chęcią.

I tak oto opuścili jaskinię i wrócili do fortu.

Początkowo prośba Relkina wywołała kompletną konsternację, lecz upór chłopca zmusił oponentów do zastanowienia się. Brakowało im smoków, a wyszkolony Purpurowo-zielony stanowiłby wielkie wsparcie bojowe.

–To wbrew regulaminowi – stwierdził generał Paxion – lecz smokowy Hatlin wyraził na to zgodę, a my mamy przed sobą długą kampanię. Potrzebujemy każdego smoka. Ale będzie musiał jeść jak pozostali, nie może więcej żerować na bydle.

Relkin obiecał, że dopóki nie ściągną nowego giermka, zaopiekuje się dzikim smokiem.

Generał Paxion podpisał specjalny rozkaz i Relkin poszedł świętować. Generał powrócił do studiowania mapy cesarstwa Ourdh, starożytnego królestwa opartego na irygacji dolnego biegu rzeki Oon. „Dobrze nawodniony teren”, jak go nazywali, był ośrodkiem cywilizacji od zarania wieków. Teraz jednak szalała tam krwawa wojna domowa, zbyt ważna dla Argonathu, by mogli ją zignorować.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Podczas gorączkowych prac nad flotyllą tratw, które miały zabrać ich w dół ogromnej rzeki- legion przeglądał ekwipunek i musztrował regiment po regimencie.

109 Szwadron Smoków Marneri po raz pierwszy zobaczył Ósmy Regiment i jego nowego dowódcę na paradzie.

Był rzeński dzień. Z północy wiał lodowaty wiatr, omiatając plac ćwiczebny. Regiment sformował kwadraty, a centurie ze smokami utworzyły ariergardę.

Bębny zagrzmiały, a piszczałki zagrały skocznie, akompaniując marszowi, trzeba przyznać – raczej niezdarne. Żołnierze wahali się, nieprzyzwyczajeni do manewrów całym regimencem. Centurie: Trzecia i Czwarta wymieszały się, powodując straszliwy bałagan.

Nowy komendant zmartwiał. Natura obdarzyła go donośnym głosem, którego używał bez zahamowań, besztając podwładnych za nieporadność. Widok znoszonych mundurów kilku weteranów, wcielonych do Ósemki dla jej wzmocnienia, doprowadził go do furii.

Porucznicy i kaprale byli nerwowi jak koty, obrzucając swoich ludzi jadowitymi spojrzeniami, podczas gdy komendant przechadzał się przed szeregami żołnierzy, krytykując szyk, ubranie, w gruncie rzeczy wszystko, co tylko zobaczył.

Poinformował ich, że Porteousowi Gravesowi nie odpowiada postawa żołnierzy z pogranicza. Pojawił się tu, by wpoić podwładnym walory miast wybrzeża takie jak pracowitość, posłuszeństwo, lojalność i chęć do ciężkiej pracy.

Oczywiście żołnierze Drugiego Legionu jak jeden mąż pochodzili z wybrzeża, głównie z Aubinas i Seantu. Te właśnie rejony Argonathu notowały nadwyżkę populacji. Wolni mieszkańcy Kenoru byli przeważnie rolnikami, w większości emerytowanymi legionistami. Z tym większym niedowierzaniem wysłuchali opinii o sobie, jako o łazęgach z pogranicza i „drwałach”, których należało nauczyć właściwego postępowania. Nie wywodzili się z lasów – co do jednego pochodzili z dużych miast. Pobledli z wściekłości.

Potem było jeszcze gorzej. Powiadomiono ich, że dopóki ich wyszkolenie nie osiągnie poziomu, z którego komendant mógłby być dumny, będą musztrowani dzień w dzień i to w znienawidzonych „obrożach” – szerokich na cztery cale, sztywnych, skórzanych kołnierzach, otaczających szyję żołnierzy i zmuszających ich do trzymania głowy prosto, a brody zadartej i wysuniętej do przodu. Dawniej narzędzie kary w legionach Kadeinu, obecnie była z chlubą obnoszona przez niektóre regimenty jako oznaka ich elitarności. Ich członkowie otrzymywali dodatkowe wynagrodzenie od bogaczy identyfikujących się z tymi oddziałami, za co przyznawano im tytuły honorowych kapitanów. Odziani w skórzane kołnierze i wyszkoleni do perfekcji żołnierze znakomicie prezentowali się na paradach z wyprostowanymi głowami i błyszczącymi tarczami i włóczniami. Świetne tło dla młodych, ambitnych polityków, chcących korzystnie pokazać się przed damami Kadeinu.

Legioniści Marneri traktowali jednak kołnierze jako barbarzyńskie i poniżające, relikwiny zamierzchłych czasów Veronathu, kiedy to żołnierze często byli niewolnikami.

Cięty język komendanta nie oszczędził także 109 Szwadronu. Wyzwał smoczych giermków od obrzydliwej zbieraniny. Ich mundury były brudne, połatane i zdekompletowane. Część uzbrojenia i strojów była niezgodna z regulaminem. Smoki sprawiały wrażenie głuchych, apatycznych i nie zainteresowanych musztrą.

Komendant ostrzegł ich, że dyscyplina w oddziale musi się wydatnie poprawić.

W końcu przegląd Ósmego Regimentu zakończył się i żołnierze rozeszli się w ponurych, apatycznych grupkach.

U Relkina i Bazila smutek mieszał się z przerażeniem. Nowy komendant był nikim innym, jak nadętym idiotą, którego słyszeli na pokładzie *Tencha* ledwo tydzień czy dwa temu.

Chłopiec strawił bezsenną noc na snuciu planów ucieczki ze 109 i Ósmego Regimentu. Niestety nie wymyślił nic obiecującego.

Poranek wstał bezchmurny i słoneczny. Kojąca bryza ze wschodu zastąpiła nagle lodowaty, północny wiatr. Tak właśnie wyglądała wiosna w Kenorze, gdzie zimy były mroźne, a lata gorące. Wyjątkowo zmienna pora roku.

W samo południe cały legion pomaszerował na uroczystość nadawania odznaczeń. Plac ćwiczebny zapełnił się raptownie mężczyznami pocącymi się w ciemnoniebieskich, zimowych płaszczach.

Generał Paxion uhonorował siedmioma Gwiazdami Bojowymi żołnierzy, którzy odnieśli rany w niewielkich, zimowych potyczkach. Następnie, trzy Ordery Regimentu przyznano bliskim odejścia na emeryturę sierżantom za ich długą i nienaganną służbę. Wreszcie nadeszła chwila udekorowania Gwiazdą Legionów smoczego giermka ze 109 Szwadronu Smoków.

Ceremonia nie trwała długo. Każdy z wyróżnionych sierżantów wygłosił krótką mowę, dziękując przyjaciołom za pomoc.

Na sam koniec wywołano z szeregu Relkina. Glaves zerknął na niego, po czym odwrócił wzrok, nie zmieniając wyrazu twarzy. Chłopiec zasalutował i znieruchomiał na podwyższeniu podczas przypinania mu odznaczenia do piersi, po czym generał wygłosił zwięzłe przemówienie. Następnie wrócił z bijącym sercem do szeregu. Zagrzmiały bębny i piszczałki, a legion przemaszerował przed dowódcami i generałem Paxionem, po czym rozszedł się do namiotów.

Relkin nie udał się wszakże do Wschodniego Smoczego Domu. Został zaproszony na obiad z żoną generała Paxiona i pozostałymi damami z fortu, głównie żonami starszych oficerów. Spodziewał się tam strasznych mąk, które mogło złagodzić jedynie dobre jedzenie.

Poszedł do wieży w południowym rogu umocnień, gdzie rezydował generał Paxion. Na najwyższym piętrze znajdowała się przestronna komnata o bielonych ścianach i dębowej podłodze. Na ścianach wisiały portrety członków rodziny Paxiona i wielki pejzaż Kadeinu pędzla znakomitego malarza, Molla. Jedynym akcentem zdradzającym, że znajdowali się na pograniczu, były wąskie, łatwe do obrony okna.

Zebrał się tu spory tłumek, skupiony głównie przy bufecie na końcu sali. Relkin zauważył pozostałych odznaczonych, stojących niby niebiesko-brązowe słupy w kipieli satyny i koronek, noszonych przez tutejsze kobiety, naśladowujące modę

**Kadeinu.**

**Pomiędzy dojrzałymi matronami kręciły się ich nastoletnie córki, uradowane przerwą w monotonnej nauce i wyszywaniu. Przewodziła im najmłodsza córka generała Paxiona, Kessetra. Ubrana była w żółtą, satynową, dopasowaną do figury suknię. Była rudowłosą piękną o zmysłowych ustach i zielonych oczach, mieniących się kokieterią i intrygami.**

**Dowiedziawszy się, kto zacz, młode panny uczyniły wokół Relkina sporo zamieszania, otaczając go morzem wachlarzy, loków i jedwabi. Musiał opowiadać im historie z miasta Tummuz Orgmeen. Jak wyglądały tamtejsze kobiety? Czy naprawdę można tam spotkać kurtyzany w wygarbowanych skórach martwych mężczyzn?**

**Pokonując wrodzoną nieśmiałość, Relkin opowiedział im o głębokich, mrocznych tunelach i niewolniczych zagrodach, gdzie przebywały zakute w łańcuchy kobiety, rodzące impa za impem.**

**Dziewczęta wzdrygały się i piszczaly, żądając jednocześnie coraz to nowszych szczegółów, które z chęcią by im wyjawiał, gdyby nie przybycie lady Fevill, korpulentnej żony oficera administracyjnego.**

**–A teraz, młody człowieku – obwieściła, odciągając go od dziewcząt, które jęknęły z rozczarowania – musisz spędzić nieco czasu ze starszymi kobietami, obecnymi na tej sali.**

**Przedstawiła go kręgowi swych przyjaciółek: Clevilli Hooks, żonie kapitana Pierwszej Centurii, Faji Rinard, której mąż dowodził Drugą Centurią, i Edyth Alexen oraz Alys Wulnow -ich małżonkowie służyli w Drugiej Centurii.**

**One także chciały na własne uszy usłyszeć o okropnościach Tummuz Orgmeen, opisał im więc targ niewolników z mężczyznami i kobietami w łańcuchach, ze śladami po bacie na grzbietach i wypalonymi oznaczeniami na skórze. Słuchały go zafascynowane, wymieniając okrzyki i trzepocząc wachlarzami, kiedy tylko robił przerwę dla zaczerpnięcia tchu.**

**Wkrótce jednak znudziły się nim i wróciły do wymiany ploteczek, umożliwiając mu zainteresowanie się znakomitym bufetem.**

**Ledwo zdążył poczęstować się sillabubem, quibini i samozą, kiedy pojawiło się przed nim zjawisko w żółtym jedwabiu.**

**–Cześć, nie poznaliśmy się dotychczas – za duży tłok. Jestem Kessetra Paxion, mów mi Kessi.**

**Relkin wiedział, kim ona jest, wiedział również, że miała siedemnaście lat i nie do końca odpowiadała wyobrażeniom mamusi o swoim dziecku.**

**–Zdaję sobie sprawę, że musisz uważać to wszystko za nieznośne – dodała.**

**–Cóż, jedzenie jest dobre.**

**–Nieszczególnie. Kurczak wysuszony, a sosy obrzydliwe. W Kadeinie wygwizdaliby takie potrawy, żądając upieczenia szefa kuchni na wolnym ogniu.**

**Powstrzymał się przed wygłoszeniem uwagi, że Kadein jest setki mil stąd, po drugiej stronie gór Malgun. Tu jest Kenor, kraina wolnych ludzi i nieobrobionego drewna.**

**–Chodź – rozkazała. – Zabierz mnie na szczyt wieży, rozejrzemy się tam trochę.**

Mamy taki wspaniały dzień. Powinniśmy zobaczyć Górę Czerwonego Dębu.

Relkin dopił quibini i odprowadził Kessetrę na otwarty szczyt wieży, przygotowany do takiego podziwiania okolicy. Wynurzyli się w ciepły blask późnej wiosny Kenoru, co ich natychmiast odświeżyło. Coś błysnęło poniżej linii jego wzroku i chłopiec spuścił oczy, natykając się na swój ą pięcioramienną, srebrną gwiazdę, lśniąca w słonecznych promieniach. Do tej pory przyznano raptem dwieście Gwiazd Legionów. Jeśli nie będzie ostrożny, wyróżnienie to oddzieli go od reszty oddziału. Uznał, że najlepiej będzie ją zdjąć i trzymać w ukryciu. Obarczała go wielką odpowiedzialnością. Nie był już dłużej Relkinem Sierotą, półdzikim smoczym giermkim i poszukiwaczem przygód. Czy może inaczej – wciąż nim był, lecz jednocześnie także kimś więcej. Stał się postacią z legendy, którego każdy postępek zostanie odnotowany przez tysiące obserwatorów. Zrozumiał, że lady zrobiła to, by zmusić go do poważniejszego podejścia do życia.

–A teraz opowiedz mi o sobie – zażądała Kessetra. – Skąd jesteś?

Była porażająco piękna. Relkinowi szumiało w głowie z zachwytu i ledwo zdołał wybąkać jakąś odpowiedź.

–Gdzie to jest? – zapytała, wpatrując się w coś w oddali i ocieniając dłonią oczy.

–To wioska w Błękitnym Kamieniu.

–Wioska w Błękitnym Kamieniu... – wymruczała, po czym roześmiała się. – Znałam kiedyś chłopaka z Błękitnego Kamienia. – Mówiła o tym, jakby było to dziesiątki lat temu. – Był hrabią, w dodatku bardzo głupim. Próbował mnie skrzywdzić.

–Co się stało?

–Musiałam udzielić mu lekcji o miłości...

–Ach, miłość... – mruknął Relkin.

–Tak, miłość. Czyż to nie wspaniale? Zakochać się w kimś do tego stopnia, że potrafisz myśleć wyłącznie o pragnieniach i chęciach drugiej osoby...

Pochyliła się nad nim, chcąc mieć pewność, że owioną go jej perfumy. Oczy błyszcząły jej niebezpiecznie.

–Kochałeś się kiedyś w kimś, smokowy Relkinie?

Zaczerwienił się, gdyż kochał kiedyś Lagdalen z Tarcho. Teraz jednak zmądrzał. Przyswoił sobie jedną ze smutnych lekcji życia. Lagdalen była od niego starsza o kilka lat i pochodziła z jednej z najświetniejszych rodzin Marneri. W przeszłości Tarcho bywali nawet królami Marneri. On zaś nie miał rodziny za wyjątkiem skórzanego smoka o wybuchowym charakterze.

A Lagdalen została żoną kapitana Holleina Keseptona, którego Relkin podziwiał jako żołnierza i człowieka.

–Byłem raz zakochany – wyznał.

Zmysłowe wargi dziewczyny uformowały nadąsany dzióbek.

–Ach tak, szczeniackie zadurzenie?

Była nieznośna, co zirytowało go do tego stopnia, że odpowiedział szorstko – W żadnym wypadku, kochałem Lagdalen z Tarcho.

Kessetra wybuchła śmiechem i trąciła go łokciem.

–Ty, smoczy giermek i sierota z Błękitnego Kamienia? Wysoko mierzysz. – Zachichotała i zapatrzyła się w horyzont.

Relkin poczuł się znieważony.

–Walczyliśmy razem w Tummuz Orgmeen. Byliśmy tam sami, w lochach Zagłady. Udowodniła, że jest prawdziwą wojowniczką Argonathu.

Próbował wyobrazić sobie tę zepsutą dziewczynę w tamtych mrocznych tunelach. Bezskutecznie.

–Och, jakie to okropne, nie chcę więcej myśleć o tamtym miejscu. Nigdy tam nie patrzę – skinęła ręką w stronę jałowych równin północnego zachodu.

Relkin chciałby móc tak łatwo zapomnieć. Zaciśnął usta w ponurą linię i zamilkł. Patrzyli na wschód. Zgodnie z przewidywaniami, powietrze było tak przejrzyste, że widzieli góry Malgun – odległą, ciemną smugę na horyzoncie.

Wskazała na majaczące na południu szczyty.

–Tam daleko jest góra Kohon. Za nią rozciąga się moja ojczyzna, Kadein. Byłeś tam kiedyś, Relkinie z Quosh?

–Nie, Kessetro, nigdy nie byłem w Kadeinie. – Prychnęła i postukała się w zamyśleniu wachlarzem w wargi. Wyobraził sobie, jak by to było całować takie usta; musiały być cudowne.

–Miasto jest takie wielkie, takie piękne. – Westchnęła i skrzyżowała ramiona na piersiach. – Jak ja żałuję, że mnie tam nie ma, że nie spaceruję teraz po wzgórzu Slyte lub nie zażywam przejażdżki Aleją Dębów.

Westchnęła znowu. Utknęła tutaj, w tym przerażającym, pogranicznym forcie, ponieważ jej ojcu odmówiono stanowiska kapitana Wieży w Kadeinie. O tak, doskonale wiedziała, co się stało, nawet jeżeli ojciec nie chciał jej tego powiedzieć. Przegrał z majorem Steenhurem i został odesłany w tę głąszę, do dyń i żołnierzy. Marnowała tu najlepsze lata swego życia, z dala od salonów, balów i przyjęć, gdzie toczyło się prawdziwe życie!

–Chciałbyś odwiedzić kiedyś Kadein, Relkinie z Błękitnego Kamienia?

–Pewnego dnia pojedę do Kadeinu. Chcę zwiedzić wszystkie miasta świata. Oczywiście byłem już w Marneri.

–Marneri to miłe miasto. W dzieciństwie byłam tam parokrotnie. Podobały mi się białe, kamienne mury i wąskie uliczki. Ale w porównaniu z Kadeinem jest takie małe. Kadein rozciąga się daleko poza swoje mury. Mamy dom na samym wzgórzu Slyte, kilka mil od Starego Miasta.

–Musi tam być pięknie.

–Jest pięknie. O tej porze szczególnie ślicznie jest w lasach Surd i parku Błękitna Fontanna. Można stamtąd dojrzeć skryty wśród drzew królewski pałac. Budowle są przepiękne, wszystko wykładane kamieniem – białym, niebieskim i szkarłatnym na dachu.

Westchnęła znowu.

–Daj mi znać, Relkinie z Błękitnego Kamienia, kiedy zajrzysz do naszego miasta. Oprowadzę cię, jeśli tylko będziesz chciał. Jest tam tyle do obejrzenia.

Relkin roześmiał się smętnie w duchu. Wątpił, żeby Kessetra Paxion ucieszyła się,



widząc go u swych drzwi na wzgórzu Słyte. Nie sądził również, by pasował do eleganckiego towarzystwa, w jakim generalska córka obraca się w Kadeinie.

To nie był jego świat. Wiedział o tym. Nie było tam dla niego miejsca, chyba że przywiózłby ze sobą fortunę, a jak na razie nie obmyślił jeszcze sposobu jej zdobycia.

Dzwon Północnej Wieży obwieścił pełną godzinę, kończąc obiad. Relkin odprowadził Kessetrę do komnaty poniżej, gdzie się pożegnali.

Wyruszył na poszukiwanie quibini, odkrył jednak, że bufet został wyczyszczony do cna. Została jedynie gorąca herbata i cytryny.

Wrócił do Smoczego Domu we Wschodniej Dzielnicy z głową pełną wspomnień o Kessetrze Paxion.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Każdy mijający dzień przybliżał ich do wymarszu na południe. Zostało jeszcze tysiące spraw do załatwienia i Relkin był szaleńczo zajęty naprawami i wymianą ekwipunku. Musiał zadbać nie tylko o Bazila, lecz także o broń, zbroję i sprzęt dla Purpurowo-zielonego.

Najważniejsza była broń. Nowy komendant upierał się, że muszą nosić cały arsenał wymagany przez regulamin legionów.

Oznaczało to, że musieli dźwigać po dodatkowym mieczu ogonowym dla każdego smoka oraz parę maczug ogonowych. Każda z tych broni była duża i ciężka. Tarcza o wymiarach cztery na osiem stóp wykonywana była ze stalowej kratownicy, obciążonej grubą skórą, warstwy twardego drewna i drugiego płatu skóry. Zgodnie z regulaminem, na przedzie tarczy powinno znajdować się osiemdziesiąt stalowych guzów, podczas gdy na tarczy Bazila Relkin doliczył się tylko sześćdziesięciu, musiał więc dołączyć do tłumów przed warsztatem kowala i spędzić tam dobrą godzinę.

Nie była to jedyna praca dla kowala. Trzeba było jeszcze przejrzeć olbrzymi smoczy hełm, napierśnik i nagolenniki w poszukiwaniu pęknięć i wgnieceń. W pancerzu Bazila znalazł szczelinę od ciosu topora trolla, jeszcze z zeszłorocznej bitwy w Ossur Galan. Trzeba było ją zespawać i nałożyć stalową łatę. Kuźnia fortu Dalhousie pracowała dniami i nocami, by podjąć natłokowi pracy.

Oczywiście trzeba było także przygotować nowe wyposażenie dla Purpurowo-zielonego, większego od każdego smoka Argonathu.

Pozostawała jeszcze broń Relkina: krótki miecz, sztylet, kusza i dwa tuziny bełtów, ale z tym nie było problemów. Miecz naostrzono w forcie Kenor i od tamtej pory nie był używany.

Niestety oręż był tylko pierwszą pozycją na długiej liście spraw do załatwienia. Trzeba było również sprawdzić butle na wodę, łyżki i talerze – musieli sprawić sobie nowe – oraz stal i krzesiwo do rozpalania ognia.

Wreszcie ubrania. Smoki nosiły kaftany i skórzane uprząże, do których tuzinem bolców przyczepiały pancerz. Kaftan Bazila wymagał naprawy, co zmusiło chłopca do wyprawy do warsztatu, zaś Purpurowo-zielonemu należało wyszykować nowy, odpowiednio duży uniform.

Dodatkowo Relkin zdjął obrys zadnich łap swojego większego podopiecznego i poszedł z nimi do szewca. Wyjaśnił mu, że delikatne stopy Purpurowo-zielonego na pewno nie wytrzymają długiego marszu. Rzemieślnik zagwizdał, widząc wymiary – to będą największe sandały, jakie kiedykolwiek zrobił.

Dla siebie Relkin zamówił nowy niebieski płaszcz oraz parę ciemnoszarych bryczesów. Nabył również kapelusz o szerokim rondzie dla ochrony przed palącym słońcem Ourdh i oddał do nawoskowania kenorski płaszcz przeciwdeszczowy.

Na koniec trzeba było zająć się medykamentami dla smoków. Relkin zawsze nosił słoik z maścią Old Sugustus, butlę oleju mineralnego oraz flaszkę z płynem odkażającym Stinger. Trzymał to wszystko w drewnianej szkatule, którą kupił parę lat temu w Borganie. Wykonana z drzewa chlebowego, była lekka, lecz wytrzymała. W środku, na górnej półce, znajdowały się waciki, pilniki i szpikulce, duże i małe

pincety oraz bezcenne wręcz nożyce do przycinania smoczycy pazurów. Musiał uzupełnić zapas oleju, po który udał się do magazynów, biorąc również stamtąd dodatkową butelkę Stingera.

Przy okazji pobrał nowy koc z szarej wełny, utkany przez mężczyzn i kobiety z Ligi Wspierania Legionów z Defwode oraz parę świeżo nawoskowanych opończy dla smoków.

Kiedy zebrali to wszystko razem, okazało się, że smoki i giermek mają bardzo ciężkie plecaki. Relkin odkrył, że odrywają mu się paski od płótna, więc czym prędzej oddał je do naprawy. Nie było nic gorszego podczas kampanii niż urwanie się ramiączek plecaka. I tak oto smokowemu pierwszej klasy Relkinowi mijały kolejne dni.

W tym czasie Bazil pracował z Purpurowo-zielonym na ringu. Oddał mu legionowy miecz, którego sam już nie potrzebował. Relkin przyciął dzikiemu smokowi pazury, po czym długo i z zacięciem wyjaśniał mu, jak poprawnie trzymać rękojeść miecza.

Z początku Purpurowo-zielony uczył się niechętnie, lecz w miarę nabierania biegłości zaczął doceniać mordercze możliwości miecza, spędzając długie godziny na ćwiczeniu ciosów na grubych, sosnowych pniach treningowych. Czasami udawało mu się przeciąć któryś z nich na pół, co potrafiły dokonać jedynie najcięższe mosiężne.

Widok ten wzbudził w pozostałych smokach ducha rywalizacji. W powietrzu pojawiła się zazdrość. Najwięcej problemów sprawiał Vlok, weteran pechowego 122 Szwadronu Smoków.

Im Purpurowo-zielony nabierał większej wprawy we władaniu bronią, tym wątpliwości Vloka były coraz głośniejsze. Smok kwestionował przydatność dzikiego pobratymca w prawdziwej bitwie. Co taki dzikus mógł wiedzieć o walce? Jak mogli mu ufać?

Część młodszych smoków okazywała pewne zaniepokojenie. Znały tylko walki pozorowane i ćwiczebne pojedynki. Nie spotkały się jeszcze twarzą w twarz z trollami i impami. Oczekiwały przewodnictwa od weteranów. Słowa Vloka miały swoją wagę, nawet jeżeli sam nie wziął udziału w zbyt wielu bitwach.

Bazil Złamany Ogon, pomimo iż służył dopiero szesnaście miesięcy w legionach, był już w ogniu walki. Wiedział, jakim walecznym i lojalnym sojusznikiem jest Purpurowo-zielony z góry Hak, nie chciał jednak zbyt wcześnie lub za mocno naskakiwać na Vloka. Rozumiał niepewność pozostałych, nieopierzonych smoków. Zwłaszcza Vlok chciał za wszelką cenę udowodnić swoją wartość i pokazać, że w niczym nie ustępuje Chektorowi czy Bazilowi.

Porywczość Vloka zaowocowała paroma utarczkami z dwoma młodszymi smokami, które nie zgadzały się z krytyką większego pobratymca, jednak nie wyszło to poza fazę przepychanek i groźnych ryków. O wiele gorzej sprawy miały się z Purpurowo-zielonym, który nie znosił zbyt dobrze czyichkolwiek uwag i poważnie szykował się do walki z Vlokiem.

Bazil doradzał mu cierpliwość.

–Brakuje ci jeszcze umiejętności do pojedynku z kimś takim jak Vlok. Dobrze

włada mieczem, a ty wciąż się uczysz. Zabije cię z łatwością. Wiesz, że taka jest prawda.

Purpurowo-zielony zgodził się, lecz dopiero po dłuższej perswazji.

Bazil i Relkin obawiali się najgorszego. Smokowy Hatlin także był zatroskany i to do tego stopnia, że przemyślał, jak anulować przydzielenie Purpurowo-zielonego do 109.

Wreszcie stało się. Pewnego dnia Vlok ćwiczył na placu, gdzie Purpurowo-zielony trenował zastawy z Chektorem. Mosiężny smok był potężnie zbudowany, lecz powolny. Purpurowo-zielony parował jego ciosy, jednak wyższość techniczna oponenta zmuszała go do ustawicznego cofania się.

Przechodzący obok Vlok zawołał.

–Spójrzcie na niego, walczy jak gęś, cofając się!

Purpurowo-zielony obejrzał się i ryknął – Kto nazywa mnie gęsią?!

Vlok roześmiał się.

–Ja, Vlok!

–W takim razie giń! – Purpurowo-zielony opuścił Chektora i z rykiem rzucił się na Vloka.

Zderzyli się i mniejszy smok upadł na ziemię. Jednak dziki smok potknął się i także przewrócił.

Podniósł się krzyk, wywabiając wszystkich ze Smoczego Domu.

Vlok zerwał się i dobył broni. Purpurowo-zielony także dźwignął się na tylne łapy. Żaden z nich nie miał tarczy ani zbroi. Wymieniając ciosy, mocowali się wolnymi łapami.

Vlok doskonale wiedział, że nie wolno mu podejść za blisko dzikusa, którego siła dalece przekraczała możliwości skórzanego. Odskoczył, zamachnął się i ciął nad głowę. Jego szybkość i zwinność neutralizowała wielką siłę przeciwnika.

Purpurowo-zielony parował ciosy. W walce na miecze nie miał szans. Vlok zmienił taktykę, tnąc teraz z prawej strony.

Dziki smok cofnął się, potknął i przewrócił. Ostatni cios Vloka rozorał mu ramię.

Skórzany zamachnął się do decydującego ciosu.

Jego ostrze przechwyciła jednak inna klinga – lśniąca, biała stal Ecatora. Czoła stawał mu teraz smok ze złamanym ogonem.

To była zupełnie inna para kaloszy, lecz rozgrzany walką Vlok odrzucił ostrożność precz.

Rzucił się naprzód, zadając kolejne ciosy. Każdy z nich napotkał doskonałą zastawę Ecatora. W miarę jak męczyło mu się ramię, Vlok stawał się coraz bardziej rozjuszony.

Rzucił się do desperackiego ataku. Niestety zanadto zbliżył się do przeciwnika, który zdzielił go mocno w ciemię. Vlok cofnął się, ogłuszony. Chwiał się przez moment na nogach, dopóki Bazil nie zadał mu ciosu płazem swego nowego miecza, przewracając go na ziemię.

Purpurowo-zielony zdążył już podźwignąć się na nogi. Z ramienia ciekł mu strumyczek krwi. Widząc jego markotność, Bazil pocieszył go delikatnie. Razem

podnieśli nieprzytomnego Vloka i zabrali go do Smoczego Domu.

Giermek Vloka rzucił się z pięściami na Relkina. Utworzyli tarzający się po podłodze kłęb kułaków i nóg.

Po kilku sekundach rozdzielił ich smokowy Hatlin.

–Dosyć! – warknął. – Walkę sprowokował Vlok. Wszyscy wiemy, że było to nieuczciwe, gdyż dziki smok nie umie jeszcze walczyć mieczem. Złamany Ogon słusznie przerwał pojedynek. Wy także macie natychmiast skończyć tę zwadę, rozumiano?

Nie protestowali. Dyszeli ciężko, czerwoni na twarzach i ze śmieciami we włosach.

Swane poszedł do swojego boksu, Relkin za nim. Tłoczące się w środku smoki obróciły głowy i zasyczały.

–Odejdźcie. Musimy porozmawiać z Vlokiem na osobności.

Giermkowie wycofali się, zaciągając za sobą zasłonę. Za ich plecami rozpoczęła się rozmowa w syczącym, smoczym języku. Kiedy do głosu dochodził Vlok, dyskusja przybierała na głośności, niemniej toczyła się dalej.

Kilka godzin później Basil i Purpurowo-zielony opuścili zagrodę.

Vlok, Swane i Relkin spotkali się we trzech. Vlok oświadczył, że nie będzie więcej zwad ani walk. Przyznał, że jego krytyka była niesprawiedliwa i przegrał w uczciwym pojedynku, co kończyło sprawę.

Swane i Relkin uścisnęli sobie ręce. Quoshita miał szczerą nadzieję, że to naprawdę koniec.

\* \* \*

Tej samej nocy nadeszły rozkazy. Rano pierwsze oddziały miały zaokrętować się na tratwy.

Kilka minut później przygalopował z miasta goniec z wiadomością. Mijając strażników przy bramie, rzucił im szeptem najnowszą wieść, która lotem błyskawicy obiegła cały fort.

Król Marneri Sanker nie żył. Na królową zostanie koronowana jego córka, Besita.

Cały fort spowiała raptem cisza. Nie kochano zbytnio Sankera jako władcy, lecz rządził bardzo długo, a jego zgon był taki nagły. Dla większości ludzi był jedynym znanym królem.

Wiadomość była szczególnie niepokojąca dla Porteousa Glavesa z Ósmego Regimentu. Tego samego dnia otrzymał z Marneri zwój ze złymi wieściami. Odmówiono jego prośbie objęcia stanowiska dowódcy wydzielonych z Pierwszego Legionu jednostek, stacjonujących w Kadeinie. Nie mógł przenieść się do innego oddziału. Razem z Ósmym Regimentem pomaszeruje na wojnę do oddalonego setki mil Ourdh. Śmierć Sankera przekreśliła możliwość szepnięcia prośby do królewskiego ucha. Nie miał kontaktów w kręgu zauszników nowej królowej. Był stracony.

Otworzył butelkę wzmacnianego wina i pociągnął tęgi łyk. Spędzi miesiące, może lata na maszerowaniu z bandą śmierdzących smoków i żołnierzy przez krainy południa. Bardzo możliwe, że weźmie nawet udział w prawdziwej bitwie.

Nie takie były jego plany!

**Jęknął. Wspomniał swojego tłustego doradcę, Ruwata. To on to wszystko wymyślił. Twierdził, że to niezbędne dla dalszej politycznej promocji Glavesa. A jak miał awansować, walcząc o życie w jakiejś głuszy w Ourdh? Całe przedsięwzięcie skończyło się katastrofalnym fiaskiem. Zwarł bezradnie pięści. Jakże chciałby zacisnąć je teraz na tłustym gardle Ruwata!**

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Skryte za potężnymi murami i wieżami, Marneri pogrążone było w żałobie. Na każdej iglicy furkotała czarna flaga, na najwyższe maszty stojących w porcie okrętów wciągnięto czarne bandery. Po czterdziestu pięciu latach rządów stary król umarł.

Król Sanker był nieszczęśliwym człowiekiem, dręczonym wyimaginowanymi lękami i opętanym niszczącą namiętnością do picia, od którego uzależnił się w ostatnich latach życia. Niemniej był dobrym władcą, głównie dlatego, że zdawał sobie sprawę z własnych ograniczeń i pozwalał rządzić w swoim imieniu wykwalifikowanym doradcą. Tym samym udowodnił, że wyciągnął nauczki z panowania swego przodka, króla Wauka, który zajmował się sprawami dalece przekraczającymi jego możliwości. Z katastrofalnym skutkiem.

I tak oto pochowali Sankera z honorami, przy wtórze grzmiących werbli. Stu doboszy, wybijających powolny rytm, powiodło kondukt, w którym kroczyli król Neath z Kadeinu oraz pięciu pozostałych monarchów Argonathu, dwie królowe i koronowany książę. Za nimi szli członkowie najpotężniejszych rodów Marneri: królewscy Bestigari, Clamothowie, Andonikri i Tarcho. Następnie maszerowały klany z Exsaf – Brusta, Sokoły i Gawrony – wpływowe rodziny, które przybyły z Cunfshonu, by pomóc w odzyskaniu ziem Argonathu. Potem szlachetnie urodzeni przedstawiciele wszystkich większych miast i Kenoru – zarówno wojskowi w mundurach, jak i cywile w czarnych strojach z białą Marneri na piersiach.

Wreszcie ogromny tłum kupców, kapitanów morskich, posiadaczy ziemskich i przedsiębiorców, a wszyscy ubrani w takie same stroje pogrzebowe z białymi naszywkami na piersiach lub kapeluszach.

Wzdłuż ulicy Wieżowej i wzgórza Foluran ustawiły się tłumy gawiedzi – wieśniaków z Seantu, Aubinas, Seinster i Błękitnych Wzgórz oraz artystów i rzemieślników ze wszystkich miast i miasteczek regionu.

Wśród Tarcho kroczyła Lagdalen, obecnie weteranka wielkiej wojny. Odziana w czarną szatę z jedwabnym kapturem szła bez męża, gdyż kapitan Kesepton przebywał daleko stąd, przydzielony do sztabu generała Hektora w odległym Ourdh. Niemniej nie była sama, jako że towarzyszyła jej lady Lessis z Valmes w wypłowiałym, czarnym płaszczu oraz znoszonych, rozdeptanych butach.

Dziewczyna była w pełni świadoma zaszczytu czynionego jej przez Lessis, będącą przedstawicielką Imperium Róży i jedną z wielkich czarownic, Szarą Panią, tą samą spokojną, bladą, drobną kobietą w nieokreślonym wieku, która od pięciuset lat uczestniczyła w pogrzebach kolejnych królów.

Mogła iść w pierwszym szeregu, u boku króla Kadeinu, wolała jednak maszerować z dawną asystentką razem z resztą rodziny Tarcho.

Przed nimi szli rodzice Lagdalen, a za nimi -jej bracia i siostry. Wszyscy świadomi byli obecności czarownicy, czując z tego powodu słuszną dumę. Wielu zazdrościło Lagdalen jej nowej pozycji, jednocześnie skrycie ją podziwiając. Raptem półtora roku temu była cichą nowicjuską służb świątynnych. Mówiło się o niej, że sprawia kłopoty i raczej nie wybije się ani zbyt prędko, ani zbyt wysoko. Krążyły nawet opowieści o jakimś mezaliansie z elfem. A tu nagle obwołano ją bohaterką, która

**powróciła z budzącego zgrozę miasta wroga i poślubiła dzielnego, młodego kapitana Holleina Keseptona. Pobrali się miesiąc po powrocie, a teraz piastowała ich pierwsze dziecko.**

**Krewni, starsze siostry, matka i ojciec, kuzyni – wszyscy borykali się z tą zmianą. Nie zwykli okazywać jej zbytniego szacunku, do którego byli teraz zmuszeni. Niektórych napawało to goryczą. Każdego dnia Lagdalen stąpała po polu pełnym pułapek i wilczych dołów – jedno nieopatrznie rzucone słowo mogło obruszyć istną lawinę plotek i komentarzy.**

**Lecz Lagdalen była daleka od troskania się tym teraz. Szła znajomymi ulicami, mijając ciche tłumy, ale myślami była ze swoim dzieckiem, Laminną, które pod opieką niańki przebywało w ich apartamencie w Wieży Straży. Myślała też o Holleinie, służącym gdzieś w przepastnych głębiach kontynentu. Starła się nie wyobrażać sobie niebezpieczeństw, jakim stawiał czoła. Był obecnie pełnoprawnym kapitanem legionu i przesłużył jeszcze przynajmniej osiem lat, a może nawet całe swoje życie. Mógł zginąć w każdej chwili. Musiała pogodzić się z tym.**

**Wszystko to sprawiało, że nie poświęcała zbyt wiele uwagi staremu królowi Sankerowi. To prawda, że był królem przez całe jej życie, a nawet o wiele wcześniej, niemniej, kiedy rozmyślała o tronie Marneri, koncentrowała się raczej na nowej królowej, Besicie.**

**Przez ostatnie kilka miesięcy poznała ją bardzo dobrze, właściwie od momentu, kiedy księżniczka wróciła z wielkiego szpitala w Bea, gdzie czarownice wykorzeniały z niej zły urok, rzucony przez kamienną władczynię Tummuz Orgmeen. Po powrocie natychmiast otoczył ją krąg oddanych jej młodych mężczyzn i kobiet, w tym Lagdalen, którzy kontynuowali leczenie księżniczki.**

**Besita-królowa musiała stawić czoła licznym problemom. Nie miała predyspozycji do ciężkiej pracy, a zdążyła już odkryć, jak wielkim brzemieniem jest każdy dzień władcy. Teraz ciężar był dziesięciokrotny. Musiała dostosować się do tego, czego nie cierpiała najbardziej. To była ciągła walka o utrzymywanie koncentracji na najważniejszych sprawach, którymi musiała się zająć i to z dobrymi rezultatami, gdyż od jej pilności zależało życie jej i całego białego miasta.**

**Wokół jej tronu aż gęsto było od intryg. Była królową, lecz władała miastem podzielonym sukcesją.**

**Wszyscy byli pewni, że następnym królem zostanie jej brat-kretyn, Erald. Stary Sanker nienawidził córki i nazywał ją bękartem. Miał ku temu powody. Jej matka, Losset, miała mnóstwo romansów, aż wreszcie Sanker ściał ją za zdradę. Niestety Erald doznał nieodwracalnych uszkodzeń w łonie matki, która próbowała zapomnieć o swoich smutkach, oddając się urządzanym w królewskich apartamentach pijatykom. Kiedy dorósł, stał się postrachem miasta, znanym ze swych perwersyjnych, okrutnych upodobań.**

**Sześć miesięcy temu zmarł w tajemniczych okolicznościach i wszyscy doskonale wiedzieli, że zabiły go czarownice. W taki właśnie sposób Imperium pielęgnowało królewskie drzewa Enniadu.**

**Zgorzkniały Sanker stał się wręcz nie do zniesienia. Wkrótce po śmierci Eralda**



zaczął gwałtownie podupadać na zdrowiu: najpierw wątroba, a potem płuca i rozdzierający kaszel.

Siostry zabrały go w końcu do świątynnego szpitala, lecz niewiele można już było zrobić. Podczas pobytu pod opieką lekarzy odkryto i udaremniono jego spisek na życie Besity.

Król umarł, a na tronie Marneri zasiadła królowa.

Na rogu ulicy Wieżowej i wzgórza Foluran procesja skręciła w prawo, kierując się ku masywnemu kwadratowi świątyni Wielkiej Matki.

Ceremonia pogrzebowa ciągnęła się w nieskończoność – takie przynajmniej wrażenie odniosła Lagdalen – lecz w końcu króla pochowano i wzniesiono okrzyk „Niech żyje królowa!”. Okrzyk podjęto, lecz bez nadmiernego entuzjazmu – kolejna oznaka wątpliwości, jakie towarzyszyły sukcesji. Lud Marneri nie był jak na razie przekonany do swej nowej władczyni ani legalności jej wstąpienia na tron.

Alternatywą była wojna domowa między najpotężniejszymi rodami. Nikt tego nie chciał.

Mimo to ludzie nie byli szczęśliwi. Mieli nieprzyjemną świadomość, że ich królowa uległa urokowi Zagłady z Tummuz Orgmeen. Czarownice uleczyły ją, usuwając pokusę – tak przynajmniej twierdziły – lecz czyż przy okazji nie uczyniły z niej swojej zauszniczki? Zagrażało to niezależności miasta. Wszystkie miasta były monarchiami konstytucyjnymi, bardzo przywiązanymi do swej niezawisłości.

Imperium Róży nie było imperium w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Imperator nie otrzymywał od swych lenników zbyt wielkich danin. Stworzono je głównie jako odpowiedź na upadek Veronathu i usunięcie Władców Demonów, którzy władali tymi ziemiami w mrocznych wiekach. Imperator starał się wskazywać miastom i wolnym koloniom słuszną drogę, nie rozkazując im. Tak przynajmniej utrzymywano. Teraz jednak obywatele Marneri przekonali się, że ręka czarownic z Cunfshonu, służek imperatora, manipulowała sukcesją tronu w ich mieście. Wywołało to powszechne oburzenie.

Ceremonia trwała jeszcze przez jakiś czas – palono kadzidła i śpiewano hymny – po czym opuścili świątynię, pozostawiając Sankera historii.

Lessis ujęła Lagdalen za ramię.

–Chodź, moja droga, przejdźmy się kawałek. Muszę z tobą pomówić.

Skręciły w lewo, przecinając Ogród Macierzyństwa i wspinając się na wzgórze Wieży Straży.

–Przykra sprawa – mruknęła Lessis.

–Pogrzeb, moja lady?

–Nie, kochanie, sukcesja. Musiałyśmy to zrobić, biedny Sanker nie potrafił pogodzić się z koniecznością. Nigdy nie otrząsnął się z tego, co zrobiła mu Losset.

Lagdalen milczała. Lessis rozmawiała z nią wcześniej o racjach stanu Marneri, lecz nigdy o tym konkretnym zagadnieniu.

–Zabiłaś go, lady?

–Nie do końca, dziecko, lecz kiedy usunęliśmy Eralda, pozbawiłyśmy go ostatniej nadziei. Zmarł wkrótce potem. Bie-daczysko. – Westchnęła ciężko. – Wiesz

doskonale, że dźwigam na swych barkach brzemień pozbawienia życia wielu mężczyzn i kobiet i mam nadzieję, że rozumiesz potrzebę takich działań.

Lagdalen poczuła na sobie spojrzenie tych szarych oczu i zadrżała, wyczuwając moc tamtej. Lessis wzruszyła ramionami.

–Moja praca wymaga ode mnie takich smutnych działań o wiele częściej, niż to sobie wyobrażałam za młodu. Zapomniałam już większość tych ludzi, których postanowiłam zniszczyć, lecz Sankera nie zapomnę. Pamiętam go jako przestraszonego młodziaka w dniu koronacji. Ojciec postępował z nim raczej brutalnie. To cud, że chłopiec zachował zdrowe zmysły, niemniej tak się stało i prawdę rzekłszy, zupełnie dobrze radził sobie z rządem. Może władza uderzyła mu trochę do głowy i wyobraził sobie, niestety, że będzie znakomitym generałem. Kiedy doszło do ostatniego wielkiego kryzysu, zostałam wysłana do niego, by wymusić wycofanie się z dowodzenia legionami. Znienawidził mnie za to. W pewien sposób zniszczyłam go, lecz nigdy nie uległ zepsuciu.

Lessis założyła ręce za plecy. Lagdalen знаła ten gest, domyśliła się więc, że za chwilę usłyszy coś ważnego.

–Lecz wina jest winą, a ja mam w tym niebagatelny udział. Takie jest życie ludzi mojego pokroju. – Czarownica podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niej. – A kiedy widzę kogoś takiego jak ty, moja droga Lagdalen, odzyskuję siły i nabieram ochoty do dalszej walki. – Uśmiech natychmiast zniknął i Lessis opuściła wzrok. – Czekają nas teraz straszliwy bój. Muszę prosić cię o pomoc. Wraz z odpływem wyruszam do Ourdh. Sytuacja w cesarstwie staje się rozpaczliwa. Tamtejszy władca, Fedafer, boi się tak, że gotowy jest poddać się wrogowi, ulegając wyłącznie jego pogróżkom. To słaby człowiek. Jeśli jednak wpadnie w ręce kapłanów Sephisa, ci uczynią z niego niewolnika zła i sługę ciemnych mocy.

Lagdalen była zaskoczona. Doskonale wiedziała, że Lessis nie podoba się społeczeństwo Ourdh, gdzie panował totalny patriarchy, a kobiety zredukowano do poziomu niewolnic o nielicznych prawach.

–Jak się zapewne domyślasz, wcale nie mam ochoty tam jechać. – Lagdalen nie wątpiła w szczerość tych słów. – Ale muszę. A sprawy w Marneri wkraczają w bardzo delikatny etap. Ktoś musi czuwać nad Besitą. Jak wiesz, to zwykła gęś.

Lagdalen przytaknęła.

–Niemniej, jeżeli będzie ciężko pracować, stanie się znakomitą królową. Potrzebuje kogoś do pomocy, kto ją poprowadzi i dopilnuje, żeby zajmowała się sprawami państwa.

–Oczywiście, rozumiem, lady. Lessis klasnęła w dłonie.

–To wspaniale, że podejmujesz się tego, mimo iż niedawno zostałam matką. Dziękuję ci w imieniu biura. Muszę cię jednak prosić o podjęcie się cięższego zadania. Powinnaś zająć moje miejsce. Musisz być przy niej tak długo i często, jak to tylko możliwe, podtrzymując ją na duchu.

Lagdalen poczuła ukłucie żalu. Nie mogła odmówić, jednak niczego na świecie nie pragnęła bardziej, niż przebywać z Laminą, swoją trzymiesięczną córeczką. Nie miała ochoty niańczyć kapryśnej królowej, przerażonej wizją czekającego ją ogromu

pracy. Wiedziała jednak, że musiała podjąć się tego, gdyż w przeciwnym razie Besitą ulegnie swej słabości i w jedno popołudnie zaprzepaści ich dotychczasowe dokonania.

–Tak, moja lady.

–Dziękuję ci, dziecko. Wiem, jakie to poświęcenie z twojej strony i raz jeszcze zapewniam, że doceniam twoją odwagę i sumiennosc. W naszym ogromnym przedsięwzięciu dochodzimy do punktu krytycznego. Nasz nieoczekiwany sukces w Tummuz Orgmeen wstrząsnął Władcami. Odpowiedzieli, wywołując tę z dawna przygotowywaną wojnę domową w Ourdh. Dzieje się tam straszliwe zło, które musimy zniszczyć. Nie wolno nam pozwolić, by Ourdh wpadło w szpony mrocznych mocy.

Okrążyły kępę kamelii, mijając pomnik Matki Płodnej.

Z ukrycia u podnóża posagu wyskoczył jakiś cień i ruszył za nimi.

W ostatniej chwili Lessis wyczuła napastnika i obróciła się, unosząc rękę. Tym samym uratowała życie, gdyż pierwszy cios ześlizgnął się po kości ramienia.

Krzyknęła z bólu i zaskoczenia i uderzyła mężczyznę pięścią tuż poniżej grdyki. Nie zdołała go jednak powstrzymać. Zadał Lessis profesjonalny cios zamachowca, nie zważając na walące go w brzuch kolano Lagdalen. Ku swemu przerażeniu, dziewczyna ujrzała, jak w bok czarownicy wbija się sztylet z czarnego metalu.

Na jej krzyk odpowiedziały liczne wołania. Pojawili się żołnierze w błękitach i czerwieni Marneri. Zamachowiec wydał dziwny okrzyk obłąkanej radości i rzucił się na nich, umierając na ostrzach mieczy.

Lagdalen uklękła przy nieprzytomnej Lessis. Na ustach czarownicy pojawiła się różowa piana; śmierć wydawała się nieunikniona. Dziewczyna poczuła ucisk w piersiach. Zalała ją fala paniki, przerażenia i smutku.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wiadomość o katastrofie została natychmiast przekazana do Cunfshonu na pokładzie klipra *Wicher Burzy*. Pomimo postawienia wszystkich żagli i sprzyjających wiatrów, podróż trwała tydzień. W tym czasie czarownice Marneri robiły wszystko, by utrzymać Lessis przy życiu.

Przeniesiono ją do szpitala świątyni, gdzie osobiście zbadał ją naczelnny chirurg. Miała uszkodzone płuco i przeciętą tętnicę. Potrzebna była natychmiastowa operacja, wymagająca najwyższych umiejętności dostępnych w imperium Róży.

Chirurg pracował igłą i najlepszymi nićmi, a czarownice tkwały potężne zaklęcie, utrzymujące ducha Lessis w ciele i zapobiegające dalszemu słabnięciu jej życiowych sił. Co było trudne. Lessis utraciła mnóstwo krwi i znajdowała się na pograniczu śmierci. Po ośmiu godzinach inkantacji i rzucania zaklęć czarownice uratowały swoją siostrę, doprowadzając ją do stanu bliskiego hibernacji. Karmiono ją przez słomkę. Oddychała powoli.

Dziesięć dni po odplynięciu *Wichru Burzy* do miasta przyleciała biała mewa, kierując się prosto na dach świątyni. Usiadła tam i krzyczała dopóty, dopóki mistrzyni zwierząt, Fiice, nie wspięła się na stromy dach i nie porozmawiała z nią. Otrzymana wiadomość zelektryzowała ją.

Natychmiast posłała po opatkę Plesentę i księżniczkę Besitę. Miały dołączyć do niej w komnacie Czarnego Zwierciadła. Nadeszła odpowiedź z Cunfshonu. Przybywała wielka czarownica.

Utworzyły krąg wokół lustra równo z dzwonem, obwieszczającym nadejście nocy. Księżniczka Besita, przyszła królowa, była przerażona. Spierała się z Fiice, że skoro wkrótce ma zostać koronowana, to z pewnością nie powinna narażać się podczas służby przy Czarnym Zwierciadle. Bezskutecznie.

Usłyszała, że Marneri ciepi niestety na braki kadrowe wśród czarownic i kapłanek, które mają doświadczenie w otwieraniu lustra. Potrzebne były trzy kobiety, a w całym mieście jedynie Fiice, Plesenta i Besita posiadały wymaganą wiedzę. Po raz kolejny dała o sobie znać zła wola starego Sankera, który zmusił ongiś Besitę do wstąpienia na tę służbę w często wyrażanej nadziei, że coś pochwyti „bękartą” i pożre w ciemnościach. Dzięki temu doświadczeniem ze zwierciadłem Besita przerastała nawet Fiice, która była wyższą czarownicą, a pewnego dnia zostanie zapewne jedną z wielkich.

W komnacie na szczycie Wieży Straży złączyły dłonie, rzuciły czar i otworzyły Czarne Zwierciadło. Przejście pojawiło się z przeraźliwym sykiem, jakby struga oleju uderzyła w rozpalony do czerwoności metal.

W bloku czarnego kamienia ziało okno na chaos energii pod-świata.

Przez szary bezmiar przemykały wirujące, mackowate kształty. To była kraina pomiotów, postrachów mroku.

Za każdym razem, kiedy śmiertelnik otwierał takie zwierciadło i wkraczał do podświata, chcąc skrócić sobie drogę przez światy powyżej, wystawiał się na ryzyko okropnej śmierci. Macki pomiotów potrafiły w mgnieniu oka sięgnąć do Ryetelth i porwać kapłanki sprzed zwierciadeł.

Rozpalony eter chaosu ryczał ogłuszająco, niczym przybój oceanu płynnego ołowiu o żelazną plażę. Z powierzchni lustra pryskały czerwone iskry. Nagle Fiice wyczuła podróżniczkę.

Przybywała z daleka i z wielką prędkością. Dysponowała ogromną mocą. Żyło tylko trzynaście wielkich czarownic, z czego tylko dziesięć nadal mieszkało w Cunfshonie. Kto to może być? – zastanawiała się Fiice. Złotowłosa Sausun? Irenę z Alaf, wyśmienita mówczyni o głosie, którego moc pozwalała kontrolować innych? Kimkolwiek była, władała straszliwą siłą astralną.

Przez lustro przemknął pomarańczowy rozbłysk. Trzy kobiety zeszywniały. Ujrzały pomarańczowo-żółte macki, które minęły je, wyciągając się po zbliżającą się podróżniczkę. Zabłąkany drapieźnik podświata wyczuł potencjalną zdobycz i wyruszył to sprawdzić. Przeoczył zwierciadło.

W mgnieniu oka dostrzegły wirujący, tygrysi kształt rozmiarów kaszalota, o konsystencji burzowej chmury. W ułamku sekundy potwór znikł w oddali, kurcząc się do rozmiarów kropki.

W dalekim chaosie rozbłysło szkarłatne światło i po chwili drapieźnik wrócił zmaltretowany i zmiażdżony, niemal zupełnie płaski.

Fiice odetchnęła i skupiła się na utrzymaniu otwartego Zwierciadła. Siła rozbłysku była porażająca. Zgodnie z jej podejrzeniami, podróżniczka była jedną z najpotężniejszych wielkich.

Niestety błysk energii nie przeszedł nie zauważony. Wkrótce przyciągnie znacznie większych drapieźców, na podobieństwo krwi w oceanie.

Daleko za podróżniczką pojawiło się purpurowe migotanie, przypominające błyskawice pod odległą, burzową chmurą.

–Szybciej, podróżniczko, ściga cię pomiot – zawołała astralnym głosem Fiice.

Przestraszonej i roztrzęsionej Besicie ciekły łzy po policzkach. Opatka Plesenta obejmowała się z szeroko rozwartymi oczami. Ta służba przy Zwierciadle stawała się stanowczo zbyt częsta. Zaledwie rok temu omal nie stracili tu Lessis.

Podróżniczka przyspieszyła; widać już ją było jako malutką kropeczkę na tle rozszalałego chaosu. Jednak purpurowy blask, na którym sunął gigantyczny kształt, poruszał się o wiele szybciej. Całkiem wyraźnie widziały jego ogromne cielsko, a rozbłyski zaczęły boleśnie razić oczy.

Z powierzchni lustra pryskały teraz oślepiająco białe banieczki, niczym srebrzyste łososie, wyskakujące z czarnej wody.

W oddali zwijały się i rozwijały grube jak włos macki. Jeśli któraś z nich natknie się na Zwierciadło, zagarnie je w jednej chwili, tworząc tu żarłoczny syfon. Jeżeli nikt go w porę nie zlokalizuje i nie zniszczy, wessie stopniowo całe miasto. Mieszkańcy Marneri przyjdą tu bezwolnie, niczym ćmy do ognia, wciągani jeden po drugim w grzeszny mrok, gdzie ich siły życiowe spłoną w krótkim, euforycznym rozbłysku na powierzchniowych receptorach pomiotą.

Besita była bliska załamania się.

Gnające na nich monstrum było wielkie jak góra, a może jeszcze większe. Serca łomotały im z podniecenia. Z powierzchni lustra dobywały się białe rozbryzgi,

zupełnie jakby ktoś polewał roztopioną stal wodą. Besita zaczęła krzyczeć i próbowała wyrwać rękę z uścisku Plesenty, która utrzymała ją jednak z dużym wysiłkiem.

Nagle ze Zwierciadła wystąpiła na podwyższenie wysoka kobieta o kanciastej twarzy, ubrana w czarny płaszcz.

Plesenta sapnęła i puściła księżniczkę, która natychmiast odskoczyła wstecz, rozrywając trójkąt. Lustro zamknęło się z ostatnim trzaskiem energii.

Trzy kobiety stały tak przez chwilę, pocąc się i dygocząc ze strachu. Nowo przybyła przyglądała się im bez słowa. Była nieskazitelna – na czarnym, jedwabnym płaszczu i butach nie było nawet jednej plamki, najmniejszy włoszek nie opuścił swego miejsca.

Fiice wystąpiła naprzód, by powitać podróżniczkę. Natychmiast ją poznała. Nie można było pomylić czarnej szaty o rąbkach wyszywanych w srebrne, mysie czaszki, obecne także na jej pierścieniach i końcach szpilek, którymi upięła włosy. To była Ribela z Defwode, najstarsza ze starych, Ukryta, Prorokini, Królowa Myszy. Miała setki imion, nadanych jej przez ponad sześćset lat służby dla Imperium Róży.

Fiice uderzyła szczupłość jej twarzy i czająca się w skośnych oczach groźba. Nagle Ribela złożyła dłonie na podołku, niczym uczennica przed ukochaną nauczycielką.

–Dziękuję wam, siostry – przemówiła słodkim, zachrypniętym głosem. – Okazałyście odwagę. Polecę was.

Co rzekłszy, wielka czarownica opuściła komnatę, a one za nią. Po drodze zabrały Burly'ego, szambelana zmarłego króla Sankera i lady Flawię z nowicjatu.

Wszyscy byli zaszokowani. Prawdę rzekłszy, Burly był wręcz przerażony widokiem przybysza. Od setek lat nikt nie widział Ribeli w ludzkiej postaci. Powiadano, że prowadzi swoją wojnę w innych światach, niwecząc wysiłki Władców Padmasy, usiłujących sprzymierzyć się z innymi ośrodkami mrocznych mocy. A jednak pojawiła się tutaj, w Marneri. Dla Burly'ego oznaczało to, że stało się coś naprawdę strasznego.

Przy łóżku Lessis Ribela natychmiast zaczęła tkać wielkie zaklęcie, rozsyłając jednocześnie wszystkich, w tym Burly'ego i Besita, po niezbędne jej ingrediencje.

Sapiąc donośnie, Burly pognał do zatoki, gdzie poleciał odciąć sobie płetwy trzech świeżych makreli i zawinąć je w papier. Następnie wrócił biegiem do świątyni, niczym dwunastoletni uczeń.

Wpadł na Plesentę, która biegła podkasawszy spódnicę, z gałązkami liomelu w ręce.

Sapiąc, odzyskiwali świadomość. Co, u licha, szambelan i opatka świątyni Marneri wyprawiali najlepszego, biegając tak w podskokach?

Próbowali zatrzymać się i odzyskać nieco utraconej godności. Przez chwilę wydawało im się, że z powodzeniem, zaraz jednak odkryli, że ich nogi są z powrotem w ruchu. Razem wbiegli na schody tak szybko, że aż serca waliły im jak oszałałe w piersiach, po czym korytarzem dotarli do Ribeli.

Pokój był pełny dymu. Na małym ołtarzyku płonęło niewielkie ognisko. Stojąca u

węzłowia Lessis Ribela czytała Birraka, budując odmiany i podstawy wielkiego zaklęcia.

Do komnaty weszła Flavia z białym gołębiem i długim nożem.

Ribela pracowała. Płonące gałązki liomelu wypełniły pomieszczenie słodką wonią. Następnie czarownica spaliła płetwy makreli, nasycając powietrze rybim smrodem. Ribela śpiewała coraz głośniejsze, dochodząc wreszcie do wykonywanych pełnym głosem *creata cadenza*. Słowa niesamowitej mocy grzmiały i syczały w komnacie. Odcięła gołębiowi głowę, spryskując krwią płomień na ołtarzu.

Uszy wypełnił im szaleńczy, pośmiertny łopot skrzydeł, mimo iż ptak leżał nieruchomo na dłoni Ribeli. Dźwięk stopniowo ucichł. Ribela położyła ręce na czole Lessis. Potem szepnęła jej coś do ucha.

Czarownica szybko otworzyła oczy. Uśmiechnęła się słabo i zaraz zamknęła je z powrotem. Ribela pochyliła się i przysunęła ucho do ust Lessis, która wyszeptała coś w mowie kotów.

Ribela odwróciła się i kłaśnięciem w dłonie przywołała pielęgniarki. Wyszła z komnaty i na zewnątrz zwróciła się do Fiice.

–Kto jest odpowiedzialny za przeprowadzoną na Lessis operację chirurgiczną? – zapytała bezpośrednio.

Zaskoczyła tym mistrzynię zwierząt, która usiłowała wykrztusić odpowiedź, nie narażając na potępienie głównego chirurga.

–No dalej, kobieto, wyduś to z siebie - warknęła Ribela.

–Naczelnny chirurg, Carleso.

–Ach, więc tutaj chirurgiem jest mężczyzna. Cóż, można go polecić. Znakomita robota. Znakomita. Powiedz mi, od jak dawna pozwalacie mężczyźnie być naczelnym chirurgiem w Marneri?

–Hm, mężczyźnie, pani?

–Tak, osobie płci męskiej – powtórzyła Ribela, jak gdyby rozmawiała z niedorozwiniętą.

–Nie wiem, pani, chyba odkąd zbudowano to miasto.

–Nadzwyczajne. Jesteś pewna, że możecie mu zaufać? Mężczyźni tak łatwo ulegają namiętnościom. Moim zdaniem nie nadają się do pracy wymagającej precyzji i konsekwencji.

Fiice przypomniała sobie, że Ribela pochodziła z Defwode, najbardziej konserwatywnego i matriarchalnego regionu Cunfshonu.

–Tutaj, w Argonathcie, sprawy wyglądają trochę inaczej, pani. Mężczyźni są zrównani w prawach z kobietami. Ribela najwyraźniej nie była zachwycona tą ideą. – Tak słyszałam – mruknęła. Chwilę później wciągnęła Burly’ego w boczne biuro, zostawiając Plesentę i Fiice za drzwiami.

Szambelan wciąż jeszcze ciężko sapał, wyraźnie zraniony do żywego w swej godności. Żeby tak zmuszać kogoś o jego pozycji do biegania po sprawunki? To niesłychane. To wynaturzenie. Mógł przecież dostać zawału serca.

Ribela stała naprzeciwko niego, więżąc go spojrzeniem tych strasznych, czarnych oczu. Nie mógł nawet drgnąć.

–Muszę natychmiast wyruszyć do Ourdh. Tamtejsza sytuacja jest bardzo groźna. Im szybciej, tym lepiej, pomyślał Burly.

Czarownica zauważyła jego kwaśną minę.

–Przepraszam, szambelanie. Lessis była tak blisko śmierci, że nie odważyłam się czekać choćby chwili dłużej. Jestem wdzięczna, że w twoim wieku potrafisz jeszcze być taki rączy.

–Hmmm.

–Czasami, mój panie, jesteśmy zmuszani do działań dalece wykraczających poza nasze standardowe obowiązki.

Burly dostrzegł cieplejszy błysk, ogrzewający tę zimną, doskonałą, zewnętrzną powłokę, policzki jak biały marmur i wargi przypominające polakierowaną na czerwono stal. Traktowała to jak żart i zachęcała go, by pośmiali się razem. W sumie, to co ona tutaj robiła? Miała inne zadania, których szambelan nie był sobie w stanie nawet wyobrazić.

–Rozumiem – wymamrotał. – Chyba. Powiedz mi jednak, co tak zainteresowało Królową Myszy w zwykłej wojnie domowej w Ourdh? Degeneraci władali cesarstwem od niepamiętnych czasów. Co zmieniło się teraz?

–Jeżeli Ourdh ulegnie siłom Sephisa, Władcy zdobędą armię kobiet do zagród hodowlanych. Niektóre kobiety żyją wystarczająco długo, by urodzić dwanaście impów, jednego miesięcznie. Pomyśl o armii stu dwudziestu tysięcy impów. Stracilibyśmy Kenor, a być może zostalibyśmy wyparci na wybrzeże oceanu.

Burly wzdrygnął się. Wyobraził sobie rozciągające się od horyzontu po horyzont mrowie wrogów, maszerujących pod sztandarami czaszki i przebitego cierniem serca.

–Przedstawiasz przerażającą wizję. – Zadygotał. – Modlę się, żebyśmy byli. w stanie jej zapobiec.

–Dokonamy tego, staruszk, dokonamy. A ty musisz nam w tym pomóc, zapominając o uprzedzeniach i pomagając Be-sicie, kiedy już zostanie królową.

Burly ponownie poczuł narastające rozdrażnienie. Sankera ledwo co przykryła ziemia, do czego zresztą doprowadziły te wiedźmy. Szambelan żałował starego króla.

–Dalej, Burly, okaż swój smutek. Wiemy, że jesteś człowiekiem honoru i szanujemy cię za to. Sanker robił, co w jego mocy, lecz nie wolno było pozwolić mu narzucić Eralda Marneri. Doskonale o tym wiesz.

Lessis pouczała Ribelę, że powinna „postępować delikatnie, gdyż lud Marneri nie przypomina mieszkańców Defwode”. Czarownica starała się „postępować delikatnie”. Niestety było to sprzeczne z jej naturą.

Jej zadanie było proste. Miała zastąpić Lessis i natychmiast wyruszyć do Ourdh. Zażąda także usług młodej damy z rodu Tarcho, która jeszcze do niedawna była asystentką Lessis.

Burly zauważył, że dziewczyna jest świeżo upieczoną matką. Nie zechce opuścić Marneri. Doczekał się jedynie miazdzącego spojrzenia ciemnych, hipnotyzujących oczu.

–Wiem – odparła tonem, jakiego używa się wobec opóźnionych umysłowo. – Lecz



**dziewczyna zna także swoje obowiązki, które w tym przypadku mają absolutne pierwszeństwo. Przyślij ją do mnie.**

**Łapiąc powietrze, Burly opuścił czarownicę i pchnął posłańca do apartamentów Tarcho.**

**Lagdalen otrzymała wiadomość w żłobku, gdzie zajmowała się Laminą. Wezwanie było pilne. Zostawiło dziecko pod opieką niańki i zbiegła po zboczu wzgórza do świątyni.**

**W skromnym, biurowym pomieszczeniu na trzecim piętrze spotkała się z samą Prorokinią, lady Ribelą, stojącą nieruchomo przy oknie.**

**Jedwabny płaszcz poruszył się.**

**–Dziękuję za szybkie przybycie, moja droga. Potrzebuję twego udziału w misji, której muszę się podjąć w obliczu niedyspozycji twojej mistrzyni.**

**Lagdalen przełknęła ślinę. Serce zaciążyło jej w piersiach, jakby było z ołowiu. Ma wyjechać? Zostawić Laminę?**

**Czarownica wpatrywała się w nią tymi swoimi niesamowitymi oczyma. *Rzuca na mnie czar* - pomyślała dziewczyna.**

**–Nie pozostawiasz mi wyboru, pani...**

**Lecz nie był to czar, a jedynie uporczywe spojrzenie. Lagdalen знаła swoje powinności. Lessis dobrze ją wyuczyła. Pojedzie. Mimo to czuła przejmujący smutek. Usłyszała rozpaczliwy płacz i mgliście uświadomiła sobie, że to jej własne łkanie.**

**Doskonałe jak wykute z marmuru rysy twarzy Ribeli napięły się.**

**–To twój obowiązek, dziewczyno! Dobrze służyłaś Lessis i zostałaś polecona. Masz doświadczenie, a to jest teraz najważniejsze. Nie mogę zabrać ze sobą na misję kogoś nie mającego zielonego pojęcia o metodach wroga.**

**Mimo to Lagdalen walczyła ze sobą. Zanim wróci, Laminna przestanie być niemowlęciem, a ona straci najśłodszy okres macierzyństwa.**

**Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Była oszołomiona, przerażona i niezdolna powiedzieć nie.**

**Zgodziła się i uciekła do żłobka, gdzie rozplakała się nad kołyską Laminny. Niańka, Wessary, robiła wszystko, by ją pocieszyć. Z mizernym skutkiem.**

**Wiadomość oburzyła jej matkę, Lacustrę, która postanowiła interweniować. Głośno oświadczyła, że wielka czarownica nie oderwie Lagdalen od dziecka. Zrobiła dla sprawy wystarczająco wiele. Dobrze urodzone dziewczęta, jak Lagdalen, nie powinny być wciąż na nowo wystawiane na takie okropne niebezpieczeństwa.**

**Lacustra udała się do Tommaso Tarcho, ojca Lagdalen. Ten zgodził się z żoną. Ich córka była teraz matką, stoczyła swoje bitwy. Nie pozwoli na to uprowadzenie.**

**Lecz Lagdalen poprosiła ich, żeby nic nie robili. Jej obowiązki były jasne, nie mogła odmówić. Wielka czarownica miała całkowitą rację – Lagdalen dysponowała koniecznym doświadczeniem.**

**–Choć kroi mi się serce, muszę zostawić Laminę pod opieką Wessary. Nie mogę tego znieść, ale muszę i dokonam tego.**

**Tommaso odsunął się od córki. W tej młodej kobiecie z trudem rozpoznawał swoje kłopotliwe dziecko. Ton głosu wskazywał, że nie zmieni zdania.**

**–Masz żelazną wolę Tarcho, to pewne – było wszystkim, co w końcu powiedział.**

**Lacustra miała więcej problemów z akceptacją tej decyzji, wreszcie jednak wycofała się do swego salonu, gdzie wybuchła płaczem, mamrocząc o zniewadze uczynionej jej rodzinie przez wielkie czarownice. Po raz drugi zabierały jej dziecko do jakichś baśniowych krain, gdzie czyhały rozliczne zagrożenia i śmierć.**

**Lagdalen przesiedziała przy kołysce Laminny większość nocy. Wessary spakowała jej trochę ubrań, zapasowe sandały, sztylet ze stali Cunfshonu, szerokoskrzydły kapelusz dla ochrony przed słońcem i deszczem oraz świeżo nawoskowany, nieprzemakalny kenorski płaszcz. Odpięła z niego watowaną podpinkę i uzupełniła guziki i klamry.**

**Lagdalen opuściła dom rankiem, ubrana w ciemnobrązowy płaszcz, niosąc zrolowany koc i niewielki plecak. Weszła na pokład białego okrętu *Merkuri* i wyruszyła z odpływem, zmierzając w stronę Długiej Cieśniny, a potem dalekiego Ourdh.**

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Drugi Legion Marneri płynął w dół rzeki pod błękitnym niebem przez wiele słonecznych, wiosennych dni. Jego długie tratwy znajdowały się w środku flotylli barek, brygów i rzecznych łodzi. Każda tratwa niosła trzystu żołnierzy lub pięćdziesięciu żołnierzy z wierzchowcami, albo stu żołnierzy i dziesięć smoków.

Ludzie cieszyli się na tę wyprawę, lecz ich generał nie. Paxion był kłębkim nerwów i wątpliwości. Od dwudziestu lat administrował fortem. Na tym się znał. Poświęcił się zapoznawaniu ze szczegółami i podejmowaniu słusznych decyzji, rozstrzygających niezbyt istotne kwestie. Znał każdego pijaczka i większość złodziejasków. Był w stanie utrzymać w formie sprawiedliwość i dyscyplinę, ciesząc się popularnością wśród żołnierzy.

Nie wyczekiwał z utęsknieniem kampanii w dalekim Ourdh, w palących promieniach słońca, chmurach much i moskitów, w ciągłym zagrożeniu chorobami. W jego wieku zakrawało to na szaleństwo.

Niemniej rozkazy były jasne i nieodwołalne. Hektor oczekiwał jak najszybszego przybycia Drugiego Legionu, dowodzonego przez generała Paxiona.

Rozkazy nadmieniały o konieczności przygotowania się do walki z piratami rzecznyymi, od których roło się w północnym Ourdh, a pozostających w przymierzu z Sephitami. Budziło to wiele nieprzyjemnych myśli. Mówiono, że Sephici są liczni i fanatyczni i nie cofają się przed straceńczymi ofiarami. Czyżby na południu czekała ich śmierć na stosie w charakterze ofiar dla mrocznego boga zła?

Czuł się strasznie niepewnie, płynąc na czele legionu przez obce i niebezpieczne wody. To było takie niesprawiedliwe: łamać w ten sposób dobrą, administracyjną karierę, jako iż wątpił, by był w stanie podołać czekającym go wyzwaniom.

–To cię przerasta, głupcze! – mówił do lustra podczas golenia.

Legionistów nie trapiły takie smętne rozważania. Wręcz przeciwnie – większość paliła się do odwiedzenia dalekich miast Ourdh, olbrzymich w legendach i rzeczywistości, i wypróbowania paru tamtejszych sławnych, cielesnych uciech.

Życie w Dalhousie i reszcie Kenoru było życiem pogranicza. Żołnierze pochodzili przeważnie ze starszych miast Argonathu i pamiętali jeszcze cywilizowane rozrywki.

Wieczorem zgromadzili się przy koszach z węglem i śpiewali kenorskie pieśni, racząc się potajemnie żytnią whisky.

„Maszerując przez Kenor, wolny, silny i nasz...”

W ciemnościach żółte latarnie flotylli ciągnęły się wzdłuż rzeki niczym strumień gwiazd, a męskie głosy niosły się po wodzie.

Generał Paxion miał kłopoty z zaśnięciem. Większość nocy spędził na niespokojnym oglądaniu każdego światła po kolei przez lunetę i przekonywaniu samego siebie, że wszystko jest w porządku.

Drugiego dnia pagórkowate środkowe Argo ustąpiło płaskiemu krajobrazowi, przedzielonemu przez rzekę. Na południu majaczył las dębów, świerków, jesionów i sosen. Na północy las przerzedzał się, przechodząc w Gan, rozległy step, ciągnący się do samych Gór Czarnych, będących granicą Smoczej Ojczyzny.

Mijali coraz mniej wiosen, nocą widzieli coraz mniej światła. Długo po zachodzie

słońca wpłynęli na mokradła Baratan, gdzie na przestrzeni tuzina lig rzeka zamieniała się w labirynt wijących się kanałów i jezierek.

Wraz ze wzejściem księżyca ozwały się miliony ziemnowodnych gadów, doprowadzonych do szaleństwa początkiem wiosny. Noc rozbrzmiewała ich rechotem, nawoływaniem, skrzeczeniem i porykiwaniem.

Ludzie wkrótce uznali cały ten hałas za męczący, lecz u smoków wywoływał on zgoła dziwny efekt. Podeszły do relingów barek i tratw, przeważając je na jedną stronę i zrzucając z ławek zaskoczonych ludzi, którzy zasypali je stekiem wyzwisk.

Gadzi koncert trwał, trącając zapomnianą strunę w sercach potężnych smoków, które pozostawały przytomne, słuchając z napięciem i mrużąc coś do siebie w starożytnym języku, podczas gdy statki sunęły przez mroczne rozlewiska i otwarte jeziora.

Wreszcie, w ostatnich promieniach zachodzącego księżyca, opuścili bagna i smoki wróciły do legowisk na środkowych pokładach barek. Stateczki wyprostowały się, ponownie zrzucając ludzi z koi. Ich głośnie narzekania skutecznie zastąpiły godowe nawoływania gadów.

Rankiem obudzili się, by ujrzeć, że tratwy zbliżają się do gładkiego stożka góry Kenor o wciąż ośnieżonym szczycie.

Bazil i Relkin spędzili zimę w forcie usadowionym na północnym zboczu góry. Doskonale znali te okolice. Na północy rozciągał się pofałdowany Gan. Przebyli go rok wcześniej, zmierzając do Tummuz Orgmeen. Relkin nie miał ochoty zawitać tam ponownie.

Na południu znajdowała się uprawna część Kenoru z porozrzucanymi z rzadka farmami, zagubionymi w liściastych lasach. Daleko na wschodzie majaczyły wzgórza Esk.

Na wieżach fortu załopotały flagi sygnałowe, którym odpowiedział kuter generała Paxiona. Niedługo potem generał zacumował w przystani pod fortem i spotkał się z generałem Dausarem. Przyszła wiadomość od generała Hektora, który przebywał obecnie daleko na południu, na ziemiach Tekatek Teetoli.

Ponaglał Paxiona do jak najszybszego marszu na południe. W środkowym Ourdh zanosilo się na walną bitwę. Cesarz Banwi Shogemessar prowadził cesarską armię na północ. Przekroczy rzekę Kwa i zmierzy się z hordą Sephitów na zachodnim brzegu.

Generał Hektor był zdecydowany wziąć w tej bitwie udział z obydwoma legionami. Żył absolutne przekonanie, iż odegrają w niej kluczową rolę. Obawiał się o niskie morale cesarskich wojsk.

Generał Dausar uważał Paxiona za szczęściarza. Sam chciałby pomaszerować z jego legionem na południe. Paxion uśmiechnął się i uściśnął mu dłoń, żalując w duchu, że Dausar nie może pójść za niego.

Wrócił z ciężkim sercem na stateczek i dogonił mijającą fort Kenor flotyllę.

Okolo południa Argo wpadła do potężnej Oon. Rzeka rozszerzyła się do połowy mili, a jej leniwy nurt omywał niezliczone wysepki z sitowia i wodorostów.

Przebili się wreszcie przez ten odcinek, wypływając na samą Oon, miejscami

zaskakująco płytką, lecz o bystrym nurcie, zasilanym topniejącym śniegiem Wysokiego Ganu. W porównaniu z nią wody Argo były mroczne i aż gęste od porywanych z lasów szczątków. Długo jeszcze można było dostrzec ją w nurcie większej rzeki.

Olbrzymi stożek wulkaniczny Kenoru malał. Daleko na zachodzie dostrzegli błyszczące, śnieżne czapy Gór Białych Kości. Przed nimi zaś falował pustynny Gan – rozciągające się we wszystkich kierunkach morze traw.

Napotykali teraz hamujące ich przeciwnie wiatry. Po południu na północnym horyzoncie ujrzeli linię ciemnych chmur. Wiatr ustał, a po chwili zmienił się na północny, przenikając ich chłodem ostatniego powiewu zimy. Wicher potężniał i Paxion nakazał flotylli wylądować w opuszczonej wiosce rybackiej w północnym Teot.

Spędzili tam noc. Następnego dnia był szary i zimny. Północne wiatry pędziły nad ich głowami bure chmury. Flota odbiła od brzegu i nabrała szybkości, płynąc w dół rzeki z dmuchającym im w plecy wiatrem.

Przez cały dzień wiatr przybierał na sile, jednocześnie chłodniejąc. Daleko na północy pojawiły się czarne chmury, próbujące ich doścignąć. Późnym popołudniem rozpadało się, a o zmierzchu spadł śnieg, uniemożliwiając przebywanie na pokładzie barek. Pasażerowie tratw tłoczyli się przy koszach z rozżarzonymi węglami, ustawionymi w namiotach i kabinach z nieheblowanych desek.

Tratwy skrzypiały, grożąc rozpadnięciem się i generał Paxion wydał w końcu rozkaz poszukania bezpiecznej przystani na wschodnim brzegu, gdzie dostrzegli światła sporych rozmiarów wsi Teetoli.

Na brzeg wyszło dwóch zwiadowców, dobrze władających teot-doshak i innymi językami Teetoli z północy. Nawiązali kontakt i sprezentowali starszyźnie wioski główce toporów i kowadła. Teetole zezwolili flotylli na wpłynięcie do chronionej zatoczki, gdzie trzymali swoje rybackie łodzie.

Legioniści wysypali się na brzeg i wyciągnęli na plażę barki i tratwy, nie zważając na zacinający deszcz ze śniegiem. Z pomocą smoków szybko uporali się z tym zadaniem i zabrali za rozbijanie namiotów i przenoszenie pakunków. Kobiety Teetoli zakrzętały się wokół ognisk, grzejąc wodę dla przybyszów.

Paxion sięgnął do sakiewki po złoto na gorącą strawę. Gulasz Teetoli był sławny ze swego smaku, a kobiety z wioski na-gotowały olbrzymie jego ilości, które zostały spożyte z wieczornymi kluskami. Żołnierze za własne srebro kupowali miód od lokalnych piwowarów.

Wśród legionistów pojawili się Teetole, próbujący sprzedać przybyszom swoje córki. Generała Paxiona przestrzeżono przed tym procederem i zawczasu zabronił tego typu transakcji, wysyłając oficerów, by pilnowali, czy podwładni nie wdają się w haniebny handel.

Część żołnierzy szemrała na taką wstrzemięźliwość, zaraz jednak znaleźli pociechę w gorącym jedzeniu i szczodrze płynącym miodzie. Rozśpiewali się przy wtórze harmonijek i harf. W kółko słychać było „Pieśń Kenoru”, „Długą Lilly, o la la” i „Za górami”.

General Paxion osobiście przeszedł się między namiotami, przystając co i rusz, by napić się z żołnierzami i pożartować z sierżantami. Ostrzegał, że Teetole byli bardzo wrażliwi na obrazę. Obrażeni toczyli pojedynki. Sposób, w jaki je przeprowadzali, sięgał korzeniami zamierzchłych czasów i był zgoła inny od walk znanych cywilizacjom Argonathu. Przeciwnicy uzbrajali się w długie drągi o obciążonych końcach. Następnie na przemian uderzali się nimi nawzajem. Za tchórzostwo uznawano najmniejszą próbę uchylecia się przed ciosem. Oczywiście pierwsze uderzenie otrzymywał wyzywający, lecz Teetole byli odporni na ból i niezwykle rzadko zdarzało się, by ktoś kończył pojedynkę już po pierwszym ciosie.

Paxion odmalował to w żywych barwach, posiłkując się wspomnieniami z dawnych czasów, kiedy był świadkiem takiego sporu pomiędzy legionistą a ojcem dziewczyny, za wykorzystanie której żołnierz nie chciał zapłacić.

Wszyscy wzięli sobie jego słowa do serca. Teetole cieszyli się zasłużoną sławą wojowników i zawadiaków. Byli dumni i zaczepni. Żołnierze postanowili zostać w namiotach.

Komendant Graves siedział we własnym namiocie, dygocząc z zimna pomimo grubego pledu. W ponurym nastroju rozpamiętywał swoje smutki, dopóki nie powrócił Dandrax, niosąc miskę pełną gorącego, wołowego gulaszu. Graves rzucił się na strawę, mrużąc z rozkoszy. Potrawa była pikantna i gęsta od kawałków warzyw i mięsa łosia. To była pierwsza dobra rzecz, jaka przydarzyła się mu ostatnimi dniami.

Zdaniem komendanta Gravesa jak dotąd warunki podróży dalece odbiegały od ideału. Na barce przydzielono mu upokarzająco małą kabinę, w której ledwo mógł się położyć, a co dopiero obrócić. Jedzenie było monotonne, a żołnierskie pienia, przypominające „ryki nie wydojonych krów”, doprowadzały go każdego wieczoru do furii. Bardzo żałował, że wstąpił do legionów.

Łyżka zazgrzytała o dno miski. Podniósł wzrok. Dandrax ze znużeniem odpowiedział na nieme żądanie. Kiedy wrócił z kolejną porcją gulaszu, Graves pochłonął ją błyskawicznie. Nareszcie się nasycił.

Wyciągnął się na pryczy i jęknął. Poczł mdłości. To był jego odwieczny problem: po przejeździe zawsze było mu niedobrze. Poczł nagły skurcz. Zerwał się na równe nogi, wytoczył z namiotu i pognał nad rzekę, gdzie zwymiotował prosto na parę białych, wełnianych skarpet.

Stał tam dłuższą chwilę, ciężko dysząc.

Deszcz ze śniegiem przerodził się w śnieżycę. Zrobiło się naprawdę zimno. Ziemię okrył biały płaszcz. Graves wziął kilka głębszych wdechów i poczuł się nieco lepiej. Lodowate powietrze odświeżyło go.

Obrócił się i zobaczył grupkę obserwujących go Teetoli, nie noszących niczego prócz spodni i pasów z bronią. Niektórzy dodatkowo odziani byli w wyszywane paciorkami koszulki z krótkimi rękawami, które nie chroniły ich jednak przed zimnym, północnym wiatrem. Stali boso na śniegu i uśmiechali się.

–Przeklęte dzikusy! – mruknął na ten widok z obrzydzeniem. – Nie mają nawet tyle rozumu, by się porządnie ubrać! – Odwrócił się, chcąc wrócić do namiotu, lecz na

swej drodze znalazł Teetola, wyższego od niego o dwa cale i znakomicie umięśnionego.

Teetol zatrzymał go, kładąc mu rękę na piersi. Miał przeszywające, czarne oczy, miedzianą skórę i ogoloną głowę z pozostawionym jednym kosmykiem, usztywnionym niedźwiedzim sadłem i sterczącym jak dziewięciocalowy róg. Pachniał tłuszczem i skórą.

–Nazwałeś mężczyzn z wioski Teut-a-Dok dzikusami? – zapytał w dobrym, choć źle akcentowanym verio.

Glaves gwałtownie wciągnął powietrze. Nie miał pojęcia, że któryś z przeklętych Teetoli włada verio.

–Z drogi – warknął. – Jak śmiesz zaczepiać oficera legionów!

Zwalisty Teetol nawet nie drgnął. Co gorsza, dźgnął Glavesa sztywnym palcem w mostek.

–Nazywam cię kundlem o odwadze kobiety – rzucił. Glaves wpatrywał się w wojownika, zaskoczony i lekko przestraszony obrotem sprawy. Obraza była porażająca. Uniósł się gniewem.

–Jak śmiesz! – Poczul, jak gorący gulasz podchodzi mu do gardła.

Słabym gestem wywołał z cienia Dandraxa.

Wysoki mężczyzna o twardej twarzy wystąpił naprzód.

–Zabij go – rzucił słabym głosem Glaves.

Dandrax zawahał się, choć jego dłoń powędrowała do rękojeści miecza. Za Teetolem, który zaatakował jego chlebodawcę, stało tuzin innych, niektórzy z tomahawkami za pasem. Jeśli dobędzie miecza, wybuchnie zwada, w której może zginąć. Dandrax obiecał sobie, że nigdy nie umrze za Porteousa Glavesa.

–Nie, panie – odrzekł. – Jest ich zbyt wielu. Wojownik wybuchł gromkim śmiechem, wskazując na Glavesa.

–Jesteś nie tylko kundlem, lecz masz także serce zająca. Wolisz, żeby ktoś inny walczył za ciebie. Nazywam cię Zajęczy Pies.

Całemu zajściu przyglądało się coraz więcej legionistów. Glaves miał wrażenie, że uwiązał w szczególnie nieprzyjemnym koszmarze. Olbrzymi dzikus był uparty.

–Wyzywam cię, Zajęczy Psie. Musisz walczyć ze mną zgodnie z tradycją.

Glaves zmartwiał. Wokół zgromadziły się tuziny starych i młodych Teetoli. Na wieść o wydarzeniu wioska zawrzała gorączkową aktywnością.

Pojawił się sam generał Paxion, który przybył biegiem, zaalarmowany przez zatroskanego porucznika, będącego świadkiem całego zajścia. Nie był zadowolony z tego, co zobaczył.

Zorientował się już, że Glaves to mściwy wół, stojący niestety na czele całego regimentu. Przeklinał nowy system, umożliwiający bogaczom wkupywanie się do legionów. Ludzie pokroju Glavesa nie mieli czego szukać na polu bitwy. Niestety miasta rozpaczliwie poszukiwały źródeł dochodów i godziły się na wszystko.

–Co tu się wydarzyło?

Na widok Paxiona Glaves upadł na duchu, niemniej uczeplił się jego obecności jak ostatniej deski ratunku.

–Ten drab podszedł i uderzył mnie. Mój człowiek, Dandrax, pomagał mi odpierać ich napaść.

Dandrax wyczuł w głosie Glavesa sarkazm, nie zwrócił jednak na to uwagi. Brał od niego złoto tylko dlatego, że tamten miał go dużo. Pewnego dnia zapomni o tym tłustym głupcu.

Wojownik wystąpił naprzód.

–Kłamie. Wyzwałem go, ponieważ to pies o zajęczym sercu, kundel, którego trzeba wysmagać. Obraził mężczyzn Teetoli. Myślał, że Teetole nie znają mowy miast.

Paxion zerknął na Glavesa.

–Co masz na myśli, mówiąc, że obraził Teetoli?

–Sądził, że nikt w wiosce Teuta nie zna verio. Ale ja, Rybie Oko, dobrze znam ten język, zgadza się?

–Hmm, tak, zgadza się. I co powiedział mój oficer?

–Powiedział, że Teetole to bezrozumne dzikusy, które łażą boso po śniegu.

–Rozumiem. – Paxion odwrócił się do Glavesa. Jego gniew przeradzał się w spokojne oczekiwanie. – Czy to prawda, komendancie?

–Absolutnie nie – zaperzył się Glaves. – Jestem posłuszny rozkazom, wedle których powinniśmy zaprzyjaźnić się z Teetolami.

Rybie Oko parsknął śmiechem. Zawołał coś do swoich przyjaciół i krąg starych i młodych Teetoli zawtórował mu radosnym rechotem.

–Świetna robota, komendancie – mruknął ironicznie Paxion. – Przekonałeś ich, że mężczyźni Argonathu to tchórzliwe kundele o zajęczych sercach. Nie wiem, co powiedziałaś, lecz jestem pewny, że coś powiedziałaś. Rybie Oko to człowiek honoru. Jest może odrobinę zanadto dumny, ale patrząc na niego trzeba przyznać, że ma ku temu słuszne powody. – Wzruszył ramionami. – Będziesz musiał stanąć z nim twarzą w twarz, chyba że wymyślisz coś mądrzejszego.

–To niedorzeczne! – wykrzyknął Glaves. – Moja godność komendanta...

–Rozwieje się, jeżeli twoi ludzie uznają, że boisz się stawić czoła temu człowiekowi. A wraz z nią honor całego regimentu.

–Odmawiam.

–W takim razie zostaniesz publicznie napiętnowany mianem tchórze.

Glaves przełknął ślinę. Totalna katastrofa. Opinia tchórze pogrzebie jego karierę polityczną. Nie miał wyjścia.

Niczym w sennym koszmarze, Porteous Glaves stanął rozebrany do pasa w zacinającym śniegu. W ręce wciśnięto mu sześciostopowy drąg.

Rybie Oko stanął parę stóp dalej, otoczony przyjaciółmi i sekundantami, którzy zakładali się, ile ciosów wystarczy, by powalić grubego głupca z miasta.

Rybie Oko obracał sześciostopową pałką z radosną niefrasobliwością, zdradzającą częste używanie i duże doświadczenie. Broń przecinała powietrze jak żywa istota. Glaves nie miał wątpliwości, że będzie to najgorszy dzień w jego życiu.

Z namiotów wychodzili żołnierze, chcąc przypatrzeć się widowisku. Nieczęsto mieli okazję zobaczyć przełożonego tłuczonego na kwaśne jabłko.



Ósmy Regiment ogarnęła ledwo skrywana radość. Nienawidzili Glavesa od chwili wprowadzenia przez niego skórzanych obroży. Ponadto rozkazał oćwiczyć dwóch legionistów za popijanie whisky w namiocie. Miał do tego prawo, lecz nie musiał tego robić, gdyż żaden z nich nie upijał się. Ich oczy błyszczały szczególnie radośnie, przypatrując się przygotowaniom.

Dandrax poczęstował go whiskey. Glaves rozkaszał się, kiedy trunek wypalał sobie drogę w dół przełyku, lecz zaraz poczuł się odrobinę lepiej.

–Uderzasz pierwszy, panie – poinformował go Dandrax. Glaves wziął głęboki wdech. Oczywiście to było to – rozwiązanie. Ten prosty dzikus przeliczył się.

–Dokładnie, dokładnie, świetnie. Przyłożę mu tak, że mu się odechce. – Zamachnął się parę razy pałką. Była przerażająco masywna, acz elastyczna – piekielna rzecz do uderzenia drugiego człowieka.

Rybie Oko dał krok do przodu.

–Już czas, żebyś stawiał mi czoła, kundlu o zajęczym sercu. – Wojownik wypiął oczekująco pierś.

Glaves zamachnął się jeszcze kilka razy dla próby, po czym podszedł do Teetola, zebrał wszystkie siły i uderzył. Oręż przeciął ze świstem powietrze i zadudnił o pierś Rybiego Oka.

Zupełnie jakby walnął w drzewo. Rybie Oko nawet nie mrugnął powieką. Uśmiechnął się szeroko i pogroził mu palcem.

Teetole podnieśli wrzawę aprobaty. Teraz zobaczą uderzenie Rybiego Oka. Wojownik był znany z siły swoich ciosów.

Teraz on wykonał parę próbnych zamachów. Glavesowi zaschło w ustach. Jesz pałkę Rybiego Oka.

Przyglądali się temu wszyscy, nawet generał. Jego hańbę mieli jak na dłoni.

Rybie Oko przysunął się, wywijając drągiem. Porteousowi Glavesowi włosy stanęły dęba. Zaczął dygotać. Nie mógł już tego znieść. Za chwilę załamał się i ucieknie, tracąc resztki szacunku.

Nagle tłum ucichł. Obejrzał się.

Przez tłum przebiła się potężna postać, stając w pierwszym szeregu gapiów. Ktoś gwizdnął.

Podniósł wzrok. Na smoczym ramieniu przycupnął giermek o nieprzeniknionej twarzy. Potem, jak we śnie Glaves ujrzał wpatrzony w siebie te ogromne, smocze ślepie. Miał sucho w ustach, pałka Teetola świszczła, chciał uciekać, ukryć się, pójść gdziekolwiek, byle dalej od tego straszego miejsca, lecz smok nie spuszczał z niego wzroku. Glaves zamarł, sparaliżowany smoczym strachem, niezdolny nawet do mrugnienia powieką.

Rybie Oko stęknął, jego drąg mignął i Glaves poczuł, jak w pierś uderza go piorun.

Przez chwilę był jak odrętwiały, zaraz jednak pierś eksplodowała mu bólem. Czuł jedynie, jak jego stopy odrywają się od podłoża. Leżał bezradnie w śniegu, łapiąc oddech.

Jednak obserwujący pojedynek Teetole zagwizdali z podziwu – tłusty

**Argonatczyk przyjął cios dobrze, bez uchylenia się czy mrużenia oczu.**

**Rybie Oko był zawiedziony. Najwyraźniej miał nadzieję na bardziej upokarzające dla przeciwnika zakończenie pojedynku. Gdyby Graves uchylił się przed otrzymaniem ciosu, zwycięzca otrzymałby prawo ponownego uderzenia go w dowolne miejsce ciała.**

**Zaprotestował głośno, że jego zdaniem grubas z Argonathu próbował uniku. Lecz zgodnie z tradycją Teetole bardzo uważnie przyglądali się przebiegowi starcia i widzieli, że Graves nie spojrzął na Rybie Oko w chwili zadawania ciosu i nie drgnął nawet na cal. W tych sprawach Teetole byli bardzo uczciwi. Wygwizdali pretensje pobratymca.**

**Rybie Oko zamachnął się pałą, lecz Teetole zagwizdali jeszcze głośniej.**

**–Wystarczy – oznajmił generał Paxion.**

**Ludziom podobał się widok poniżonego Gravesa, lecz dalsze przeciąganie sprawy groziło zhańbieniem całego legionu, a on nie mógł na to pozwolić.**

**Rybie Oko i tak zamierzał powtórnie uderzyć Gravesa, kiedy padł na niego wielki cień. Smok ze złamanym ogonem obszedł powalonego komendanta i podniósł upuszczoną przez niego pałą. Zważył ją w łapach, zmierzył wzrokiem Teetola, po czym zakręcił drągiem.**

**Uczył to tak szybko, że kształt broni zamazał się w powietrzu.**

**Wojownicy cofnęli się o krok z westchnieniem, po czym wybuchli śmiechem. Rybie Oko skrzywił się, że odmówiono mu łupu, uznał jednak, iż najlepiej będzie wycofać się w porę, udał więc, że ucieka ze strachu przed smokiem.**

**Wszyscy roześmieli się na ten żart, a Relkin i Bazil odnieśli Gravesa do namiotu i położyli na łóżku.**

**Komendant udawał omdlenie, leżąc z zamkniętymi oczami i półotwartymi ustami. Pierś płonęła mu ogniem. Tamten prawdopodobnie połamał mu połowę żeber.**

**Na mściwych, starych bogów Veronathu, przysiągł sobie, że pewnego dnia zaciśnie ręce na szyi Ruwata, który podsunął mu ten szalony pomysł z legionami.**

**Poczuł, jak giermek przytyka palec do jego tętnicy szyjnej, sprawdzając puls. Przetarto mu twarz wełnianą szmatką i rozpięto koszulę.**

**Graves leżał nieruchomo. Przeklęty chłopak próbował go okraść! Zaraz przekona się, jaki błąd popełnia. Komendant sięgnął ukradkiem po nóż.**

**Lecz Relkin szukał jedynie ran na ciele komendanta. Ostrożnie obmacał mu żebra.**

**Przez pierś Gravesa biegła wielka, czerwona pręga. Długo jeszcze będzie miał w tym miejscu bolesnego sińca, niemniej wrażliwe palce Relkina nie wyczuły żadnych złamań.**

**Zdezorientowany Graves leżał nieruchomo. Ten parszywy smoczy giermek musiał być za głupi, żeby zauważyć miszek ze złotem, przyczepiony na rzemyku pod koszulą. Ale nie, poczuł, jak chłopiec znajduje rzemień i dotyka sakiewki.**

**Zacisnął dłoń na nożu.**

**Lecz giermek nie zabrał mu miszka z monetami. Nawet nie zamierzał próbować. Nie miał ochoty na chłostę, a kradzież sakiewki komendanta gwarantowała mu taką karę.**

**Zdumiony Glaves odprężył się. Chłopak musiał być niesamowicie głupi. To on właśnie został niedawno odznaczony Gwiazdą Legionów. A więc to jest to, co legiony mają najlepszego. To zdobywa sobie najwyższe wojskowe odznaczenia. Glaves westchnął z litości dla tych biednych głupców.**

**Relkin zapiął komendantowi koszulę i przykrył go kocem. Następnie dołączył do Bazila, który oparty na mieczu gwarzył z dwójką legionistów. Razem wrócili do namiotu.**

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Flotylla płynęła na południe wijącą się szerokimi łukami rzeką, przecinającą płaskie, podmokłe równiny. Co jakiś czas widzieli łodzie Teetoli lub dymy ich wiosek, generalnie jednak okolica była dzika i bezludna. W powietrzu i na wodzie roiło się od tysięcy tysięcy kaczek, gęsi, łabędzi i żurawi. Co pewien czas widywali stada zwierząt – dzikich bawołów, bestii wodnych i czarnych antylop. Pewnego razu spostrzegli grupę teetolskich myśliwych, płynących w dwudziestoosobowych canoe z wyrzeźbionymi na dziobach totemami.

Teetole zauważyli ich i ominęli szerokim łukiem, podpływając pod zachodni brzeg rzeki.

Tak mijały im dni, aż w końcu minęli granicę ziem Teetoli i cesarstwa Ourdh.

Najpierw pojawiły się porozrzucane z rzadka wioski, faktorie handlowe i wrzynające się w rzekę pomosty, po czym raptem ujrzeli wysokie wieże strażnicze wzniesione z cegieł z wysuszonego na słońcu błota. Te potężne, kwadratowe umocnienia towarzyszyły im przez całą podróż rzeką.

Krajobraz przecinały teraz monotonne kanały irygacyjne, odchodzące od zakoli wijącej się rzeki. Brzegi zapełniły domy i gospodarstwa z cegieł z błota.

Gdzie by nie spojrzeli, widzieli wielką liczbę wieśniaków, feddów, zgarbionych nad pracą. Na ich grzbietach, przykutych do ziemi starożytnymi prawami własności, wyrosły potężne dynastie Ourdh.

Tu i ówdzie natykali się na pomalowane na biało bogatsze miasteczka i wioski. Inne znajdowały się w gorszym stanie: zarośnięte chwastami i o wałących się murach.

Na rzece pojawiły się różnorodne małe stateczki. Później ujrzeli także większe jednostki: dwu- i trzymasztowce, a nawet dalekomorskie okręty z odległych krain.

Minęli pierwsze miasto Ourdh, starożytne Forkono o trzypiętrowych kamienicach w centrum. Jak wszędzie, dominowały tu cegły z błota i białe stiuki.

Płynęli przez rozległą prowincję Usono, potem Sagala, by dotrzeć do pierwszego naprawdę wielkiego miasta – Shekawatu. Zobaczyli tu ogromną, świątynną piramidę, Shekawata Puchin, strzelającą w niebo na trzysta stóp i górującą nad całą okolicą.

Tutaj przyjrzeni się również morskim statkom, w tym kupieckiej jednostce z Kadeinu, która zawinęła do Shekawatu z ładunkiem kadeińskiego wina, zabierając za to olej sezamowy, ostrą paprykę, daktyle, miód i rodzyunki.

Kupiec opowiedział im o rzecznych piratach, grasujących w dorzeczu na południu.

–Jest ich na wodzie tylu, ile komarów na bagnie. Strzeżcie się płonących łodzi i nagłych, nocnych napaści.

W Shekawacie generał Paxion otrzymał kolejne ponaglające go rozkazy generała Hektora. Zanosilo się na wielką bitwę i Drugi Legion był rozpaczliwie potrzebny.

Flotylla podniosła kotwice i wyruszyła dalej, frustrując większość mężczyzn. Wszyscy czekali na pierwszą szansę zakosztowania wolności w wielkim mieście Ourdh. Shekawat dorównywał rozmiarami samemu Kadeinowi.

Uspokoila ich jedynie świadomość, iż czekały na nich jeszcze większe metropolie.

Ourdh miało cztery naprawdę olbrzymie miasta, każde liczące dobrze ponad milion mieszkańców: Dzebei, Kwa, Patwę i samo Ourdh. Ich nazwy były na całym świecie synonimem wyrafinowania gustów i dekadentkich przyjemności.

Flota nie zatrzymywała się jednak więcej, chyba że celem uzupełnienia zapasów pitnej wody. Mijali jedno miasto po drugim, od ażurowych iglic i jadeitowych murów Jumzu po rozległe, murowane nabrzeża Zudeinu. Żołnierze mogli jedynie odprowadzać je wzrokiem, wyobrażając sobie kryjące się w nich rozkosze.

Między miastami widywali ogromne gruzowiska, pozostałe po opuszczonych miejscach kultu zapomnianych bogów. Niektóre przypominały zwietrzałe urwiska, wybijające się z płaskiego, depresyjnego krajobrazu.

Po minięciu Zudeinu znaleźli się w samym sercu kultu Au-rosa, boga Ourdh. Każde usypane ludzkimi rękoma wzgórze wieńczyła świątynia z ogromnym posągiem. Patron udanych zbiorów wyobrażany był jako uśmiechnięty grubasek z sierpem i cyrklem w dłoniach. Pokryte warstwą złota posągi jaśniały w słońcu, widoczne na wiele mil.

Ociepliło się. Przybywając z północnego Kenoru, przez tydzień doświadczali wiosny, by w Ourdh zanurzyć się we wczesnym, upalnym lecie.

Legioniści zwinęli płaszcze i spakowali zimowe, skórzane okrycia, przerzucając się na lżejsze bawełny i płótna. Nocą, gdzie nie spojrzeć, z daleka widać było święte ognie zigguratów.

Czasami próbowała podpłynąć do nich chyłkiem smukła galera piracka o obwiązanych szmatami wiosłach.

Paxion zarządził najwyższą czujność i za każdym razem jego najzwinniejsze kutry przechwytywały napastników, odpędzając ich płonącymi strzałami i pociskami katapult.

W ciągu dnia spotykali na rzece setki najróżniejszych statków.

Nocą minęli ogromny Fozad – godzinami przepływali koło światła przedmieść ciągnących się na wschód i południe.

Krótko po świcie okrążyli zakrzywiony, piaszczysty cypel, porośnięty karłowatą roślinnością i natknęli się na grupkę oficerów z Pierwszego Legionu Kadeinu, czekających na nich pod flagą legionu.

Miejsce spotkania nie różniło się niczym od reszty podmokłych równin, porośniętych przy brzegu palmami. Za drzewami widać było wioski i zmeliorowane pola pszenicy i jęczmienia. Tu i tam wśród trujących się feddów truchtały pracowicie osiołki.

Małą łódką podpłynął do nich starszy oficer Kadeińczyków.

–Melduje się zastępca komendanta Vanute z Pierwszego Regimentu Kadeinu.

Paxion oddał honory i odebrał list od generała Hektora.

–Proszę o wybaczenie, generale, lecz generał Hektor polecił mi również przekazać wiadomość przeznaczoną tylko dla pańskich uszu.

Paxion natychmiast wziął oficera na stronę.

–O co chodzi, człowieku?

–Generał powiedział, że jeżeli nie zdąży pan do niego na czas, to obawia się, że

okażemy się bandą głupich gnojków, otoczoną hordami wrogów, którzy upieką nas na wolnym ogniu i nakarmią nami psy. Tutejsza wojna jest niewiarygodnie zacięta.

Paxionowi zaschło w ustach. Najgorsze koszmary stawały się rzeczywistością. Tego właśnie obawiał się od samego początku tej szalonej wyprawy.

Szybko przejrzał list. Polecono mu natychmiastowy marsz na zachód celem spotkania się z generałem Hektorem i cesarską armią jakieś pięćdziesiąt mil od rzeki. Na wschód maszerowała olbrzymia armia wroga, zamierzając przeciąć linie zaopatrzenia cesarskich sił. Cesarz zostałby wówczas uwięziony na zachodnim brzegu rzeki, armia cesarska rozbita i zniszczona, a to oznaczałoby kompletne fiasko.

–Sir? – zastępca komendanta czekał na odpowiedź. Paxion wrócił do rzeczywistości, z trudem formując słowa.

–Powiedz generałowi, że przybędziemy na czas, choć nie mam jeszcze pojęcia, jak to zrobimy.

–Tak jest. Jeżeli wylądujecie tutaj i ruszycie prosto na zachód, dotrzecie do miasta Salpalangum. To małe miasto, ale bardzo stare. Jest tam ziggurat słynący z wyjątkowego piękna.

–W takim razie nie ma na co czekać. – Paxion wydał rozkazy i flotylla wylądowała na brzegu. Legioniści zeszli na ląd, wraz z nimi kawaleria i smoki.

Przy takiej operacji łatwo o chaos i zamieszanie, lecz żołnierze Drugiego Legionu Marneri byli już doświadczonymi weteranami, desant przebiegł więc szybko i sprawnie. W ciągu dwóch godzin cały legion znalazł się na brzegu i pomaszerował w głąb lądu. Natchnęło to Paxiona dumą. Miał tych ludzi w Dalhousie niespełna rok, zdążyli jednak przyswoić sobie podstawową lekcję legionowej dyscypliny. Zdyscyplinowana, wypoczęta jednostka rozmiarów legionu była w stanie manewrować równie sprawnie jak dziesięciokrotnie mniej liczny oddział. Zdyscyplinowany i dobrze wyszkolony legion Argonathu był warty dziesięć razy tyle, co porównywalny oddział wroga, co wciąż na nowo potwierdzały kolejne bitwy.

Maszerowali równym krokiem, prostą drogą zmierzając na pewną bitwę o niepewną przyszłość. Pięć tysięcy piechoty, sześciuset kawalerzystów i sto pięćdziesiąt smoków – na ten widok generał Paxion czuł wzruszenie i strach przed porażką.

Opętał go pomysł dawania przykładu innym, wobec czego zmuszał swój sztab do cogodzinnego objeżdżania każdej maszerującej kolumny, by ludzie widzieli swoich dowódców. Nie ustawał w dodawaniu podkomendnym ducha, chwając żołnierzy przed ich przełożonymi i jednocześnie nakłaniając wszystkich do zwiększania tempa. Oficerowie sztabowi, zwiadowcy i gońcy jeździli tam i z powrotem, potęgując atmosferę pośpiechu.

Ósmy Regiment maszerował zazwyczaj ostatni, lecz tutaj nie byli na paradzie, w związku z czym wyszli na brzeg jako jedni z pierwszych i szli teraz tuż za Pierwszym Regimentem na czele kolumny.

Legioniści cierpieli w znieprawionych obrożach, które dławiły ich i ocierały skórę pod brodą i uszami. Było im w nich za gorąco, ciasna skóra obroży zdawała się dusić

noszącego.

Takie jednak były rozkazy Porteousa Glavesa i każdy, kto odmówiłby założenia obroży, narażał się na chłostę. Glaves notorycznie straszył ich tym na pokładzie floty. Podczas marszu mieli nosić obrożę. Wytłoczono na nich oznaki Drugiego i Ósmego, w związku z czym powinni obnosić je z dumą i bez zbędnych dyskusji.

Mimo to żołnierze utrzymywali dobre tempo, zdeterminowani, by pokazać, że Ósmy Regiment to nie baby, w obrożach czy bez.

Na tyłach regimentu, za to przed taborem z zapasami i medykamentami, maszerował 109 Szwadron Smoków. Relkin i Bazil bez trudu utrzymywali stałe tempo, choć nie obeszło się bez zwyczajowych narzekań smoka.

Bazil Złamany Ogon uważał, że dosyć już się nachodził, na przykład do Tummuz Orgmeen i z powrotem.

Przynajmniej droga była równa i nie za twarda dla wrażliwych poduszek smoczych stóp. Rzadko też oddalali się od wody. Co sto jardów przechodzili po mostku nad kanałem irygacyjnym, w którym mogli ochłodzić nogi, choć zakazano im pić wodę z obawy przed zarazą.

W strefie przy rzece pełno było sadów i małych poletek jęczmienia, później jednak sady zastępowane były większymi polami, otoczonymi żywopłotami i palmami. Przy wydeptanych dróżkach rozciągały się skupiska lepianek z zagrodami dla trzody, pełnymi niewielkich, czarnych świń.

Minęli zarośnięty drzewami, zrujnowany ziggurat. U stóp wzgórza piętrzyły się sterty śmieci, a w samych ruinach buszowały hordy głodujących dzieciaków, wypędzonych z pobliskich wiosek. Wszystkie były chude, zdesperowane i kradły na potęgę. Wzdłuż kolumny co i rusz wybuchały awantury o ginące noże, talerze, kompasy i płaszcze. Na porządku dziennym były gniewne okrzyki i widok ścigających złodziejasków mężczyzn.

Wkroczyli do miasteczka Aroshakan, którego mieszkańcy tłumnie wylegli przed domy, by pogapić się na wysokich wojowników z jasnymi brodami z północy. Westchnieniami podziwu przyjęto widok setek ognistych, rosnących rumaków, zupełnie niepodobnych do kucyków i osłów z Ourdh.

Nagle pojawiły się smoki: potężne mosiężne, szczupłe, wydłużone skórzane i kanciaste zielone. Olbrzymie gady maszerowały na czterech łapach z ekwipunkiem przytroczonym do grzbietów. Na ich widok każdy z gapiów, od najprostszego fedda po arystokratę w wysadzonym drogimi kamieniami powozie, czynił znak uśmiechu Aurosa od lewej do prawej piersi.

–Chroń mnie, Aurosie – szeptali.

Wszyscy uznawali to za zwiastun powrotu ogromnego węża. W Dzu odrodził się Sepsis Straszliwy. Zbliżał się kres panowania Aurosa. Powracał czas krwi. Takie było przeznaczenie i nic nie mogło tego odwrócić.

Kolumny legionistów zniknęły w rozległych przestrzeniach prowincji Kwa, zmierzając na zachód, do Salpalangum.

\* \* \*

Krótko przed zmierzchem przygalopował posłaniec, kapitan Kesepton ze sztabu

**generała Hektora. Przywiózł pilną wiadomość dla Paxiona.**

**–Sir, generał Hektor bardzo żałuje, ale czy moglibyście maszerować przez całą noc? To jedyny sposób, by dołączyć do niego do jutrzejszego południa, kiedy, jego zdaniem, będziecie potrzebni.**

**Paxion przeczytał pismo potwierdzające słowa młodego kapitana. Zastanawiał się, jaki będzie pożytek z jego legionu po całonocnym marszu.**

**Hektor sugerował przerwę na posiłek co cztery godziny i dodawanie ludziom ducha niewielkimi porcjami whisky.**

**Kapitan Kesepton przestrzegał także przed bandami maruderów z armii Sephitów.**

**Paxion zapatrzył się w gęstniejący mrok. Na szczytach zigguratów rozbłysły ognie. Przypominały złowróźbne, czerwone iskry, pryskające w nawiedzonych ciemnościach nieprzyjaciela.**



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Maszerowali w blasku pełnego, żółtego księżyca wśród magnolii i kwitnących migdałów. Na znakach regimentów zatknięto pochodnie, by oświetlić drogę. Śpiewali, a dobosze wybijali pospieszny rytm.

Paxion niestrudzenie zaopatrywał maszerujących w wodę. Rozumiał, jak ważne dla legionistów i smoków jest picie i jedzenie. Co trzy godziny zatrzymywali się na szybki posiłek i kubek mocnego kalutu.

Po dwudziestu minutach dobosze podejmowali bębnienie i legioniści ruszali dalej, z zaciśniętymi zębami znosząc ból nóg.

Musieli tego dokonać; kto, jeśli nie oni? Nikt nie powie, że Drugi Legion Marneri zawiódł. Stopy niosły ich przed siebie, a oni dobywali resztek sił i śpiewali „Pieśń Kenoru”, „Lilly, o la la” i „Drwale i minstrele”.

Na wschodzie świtało. Oznajmiała to ptasia wrzawa na okolicznych farmach. Wieśniacy, którzy wkrótce potem wyszli do pracy w polu, ze zdumieniem natknęli się na blokujący drogę, maszerujący na zachód legion.

Bazila bolały stopy. Biedny, stary Chektor był w jeszcze gorszym stanie. Na każdym postoju Mono uwijał się z uśmierzającymi ból maściami. Relkin nie tyle jednak obawiał się o Bazila, co o Purpurowo-zielonego. Złamany Ogon miał twarde stopy i silne łapy. Ważył o jedną trzecią mniej od Chektora, a rok temu udowodnił, że potrafi przebywać długie dystanse. Dziki smok nigdy nie zaznał takiego marszu, a jego waga, dwukrotnie większa od skórzanego, stanowiła straszliwe obciążenie dla stóp. Spodziewając się kłopotów, Relkin zaopatrzył się w parę olbrzymich, dopasowanych sandałów. Swego czasu Purpurowo-zielony odtrącił je z pełną wyższości pogardą.

Teraz jednak miał poobcierane, obolałe stopy. Relkin zdążył już natrzeć je kojącą maścią, ułatwiającą jednocześnie gojenie ran. W szczególnie paskudnie wyglądające miejsca wtarł mieszaninę miodu i melasy, która powinna zdezynfekować rany.

Z głupia frant, zupełnie jakby oferował dowolny element ekwipunku, po raz wtóry zaproponował dzikiemu podopiecznemu sandały.

Purpurowo-zielony zmierzył go przeciągłym spojrzeniem. Relkin zdążył już wyobrazić sobie, jak te potężne szczęki porywają go i pożerają.

–Ha! – prychnął olbrzym. – To w taki sposób niewolicie smoki? Pomagacie im tak długo, jak długo dla was walczą.

–Walczymy z nimi ramię w ramię. Purpurowo-zielony parsknął lekceważąco.

–Przynieś mi te sandały. Jestem przyzwyczajony do pokonywania takich odległości lotem, a nie pełzaniem. Za bardzo bolą mnie stopy.

Chłopiec był świadomy, jaką hańbę oznaczało to dla wolnego smoka.

–Całkowicie cię rozumiem – wymamrotał. – Za minutę jestem z powrotem.

Opuścił szyk po uzyskaniu zgody smokowego Hatlina. Pobiegł wzdłuż maszerującej kolumny do wozów z prowiantem i sprzętem. Odszukał parę wielkich sandałów, które niegdyś tak zaszokowały szewca. Przyniósł je smokowi i ostrożnie podsunął pod olbrzymie stopy, po czym obwiązał kostki rzemieniami. Paski obszyte były króliczym futerkiem, lecz Relkin zdawał sobie sprawę, że przez najbliższych

kilka postojów będzie miał pełne ręce roboty ze smarowaniem smoka leczniczymi maściami.

Następnie udał się po dodatkową porcję wody dla Purpurowo-zielonego. Przy beczkowie jakiś jeździec napełniał właśnie manierkę. Relkin nie poznał go, dopóki ten nie stuknął go nagle w ramię. Obrócił się i zobaczył przed sobą kapitana z czerwonymi naszywkami na wyłogach, które informowały, że jest oficerem sztabowym.

–A więc teraz, kiedy nosisz Gwiazdę Legionów, nie rozpoznajesz już dawnych znajomych, co? – zapytał z uśmiechem kapitan Hollein Kesepton.

Chłopca tak zaskoczyło to spotkanie ze starym przyjacielem i mężem Lagdalen, że przez chwilę był zdolny jedynie do niezrozumiałego mamrotania. Zaraz jednak przypomniał sobie o salucie i podaniu ręki. Kapitan zeskoczył z konia i uściskali się.

–Powinienem być wiedzieć – stwierdził kapitan – że Relkin i Bazil z Quosh zrobią wszystko, by zabrać się z tą ekspedycją. Nie można utrzymać was z dala od niebezpieczeństw.

–Uwierz mi, że nie mieliśmy wyboru. – Relkin wzruszył ramionami. – Jesteśmy jednak gotowi na wszystko. Jacy oni są?

–Wrogowie?

Przytaknięcie chłopca wywołało na twarzy kapitana ponury uśmiech.

–Cóż, jest ich bardzo dużo i nie dbają za bardzo o życie. Widziałem tu rzeczy, o których chciałbym umieć zapomnieć.

Kesepton wyglądał na prawdziwie wstrząśniętego. Relkin poczuł się niepewnie.

–Krażą słuchy, że tamci mają przewagę liczebną. I że armia cesarska jest kiepska.

Kesepton roześmiał się chrapliwie.

–Przewaga liczebna? A cóż to za słabość ducha? Mamy ponad dziesięć tysięcy argonackich żołnierzy. Sprostamy każdej ilości przeciwników, choćby byli liczniejsi od gwiazd na niebie.

Hollein dopił wodę.

–Co z cesarskimi? Są tacy słabi, jak o nich mówią?

–Nie są zbyt dobrzy, ale wierzę, że generał Hektor ma plan. Nie traćmy jeszcze nadziei. Generał rozumie nasze położenie. To nie karierowicz, lecz prawdziwy wojownik.

–Powiedz mu, że 109 Smoków jest gotowy do boju. Kesepton roześmiał się wesoło.

–Zrobię to, obiecuję. Relkin zmienił temat.

–Ale, ale, kapitanie, co słyhać u Lagdalen z Tarcho? Kesepton spoważniał.

–Niewiele, niestety. Słyszałem, że w Marneri doszło do jakiegoś kryzysu. Lagdalen opuściła miasto i pożeglowała na południe z wielką czarownicą z Cunfshonu jakiś tydzień temu. Sam nie wiem dokąd.

–A dziecko?

–Jest z niańką i babcią. Poradzi sobie. A jeśli chodzi o Lagdalen, to kto to wie? Obydwoj wiemy, jak niebezpieczna jest jej praca.

Chłopiec pamiętał aż za dobrze. Towarzyszenie wielkiej czarownicy było samo w

sobie niezwykle niebezpieczne – doświadczyli tego aż zanadto.

–A dokąd my idziemy, jeśli wolno spytać?

–To żadna tajemnica. Maszerujemy do Salpalangum, by dołączyć do generała Hektora i cesarskiej armii celem stoczenia jutro naprawdę wielkiej bitwy. Miasto leży jakieś dziesięć mil stąd, prosto tą drogą. – Machnął ręką. – Wróg nadciąga z zachodu. Próbują odciąć cesarza od Kwa, znajdującego się na południe stąd. Musimy ich powstrzymać.

–To fanatycy, którzy nie boją się śmierci?

–W nikim jeszcze nie widziałem tyle szaleństwa. Lecz nie znają pojęcia dyscypliny: atakują jak oszalały motłoch i można poradzić sobie z nimi jak z każdym tłumem. Dajcie mi dwa legiony dobrze wyszkolonych legionistów Argonathu, a... - urwał ze smutnym wzruszeniem ramion. – A ja tu gadam i gadam, i piję tylko wodę!

Relkin zdążył napełnić bukłak dla smoka. Zrzucił go sobie na ramię.

–Za Argonath!

–W porządku, chłopcze, niech cię Matka chroni.

–I ciebie, kapitanie.

Kesepton wskoczył na konia i zawrócił konia w mrok. Wkrótce potem opuścił kolumnę i z niewielką eskortą wyruszył na poszukiwania sił generała Hektora. Za nim maszerowali legioniści. Nogi mieli jak z drewna.

Mijali palmy i brązowe wioski, stawy rybne i zagrody dla trzody. Czas płynął. Słońce wspinało się po nieboskłonie, zamieniając się w ziejące żarem monstrum.

Oslabieni noszeniem skórzanych obroży legioniści z Ósmego Regimentu zaczęli mdleć. Czerwoni na twarzy, pocili się obficie i ciężko dyszeli. Co i rusz ktoś zniecka osuwał się na ziemię. Wkrótce wozy z zaopatrzeniem wypełniły się nieprzytomnymi mężczyznami. Kawalerzyści wieźli część zemdlnych na własnych wierzchowcach.

Od czoła kolumny przygalopowali jeźdźcy w mundurach kawalerii Kadeinu. Przywieźli kolejną pilną wiadomość od generała Hektora – Drugi Legion miał zwiększyć tempo marszu. Bitwa mogła rozgorzeć w każdej chwili.

Ozwały się bębny. Raz jeszcze generał Paxion rozkazał wydać piechurom herbatę z whisky, podczas gdy posłańcy objeżdżali wszystkie kolumny.

Parli naprzód. Po pięciu minutach runął na drogę kolejny żołnierz z Ósmego Regimentu. Minutę później następny.

Generał przejeżdżał przypadkiem obok, kiedy z szeregu wytoczył się legionista, po czym wyciągnął się jak długi na ziemi. Paxion natychmiast zeskoczył z konia i przykląkł przy leżącym. Po chwili poderwał się z wykrzywioną gniewem twarzą i rozkazał natychmiastowe zdjęcie znieawidzonych obroży.

–Komendancie Graves, chcę natychmiast z panem rozmawiać. Za mną. – Wskoczył na konia i oddalił się z łomotem podków.

Legioniści z zapalem rozplątywali rzemyki, z ochryplym okrzykiem radości ciskali obroże w pył. Następnie podjęli marsz, szybko dołączając do Pierwszego Regimentu.

Po dłuższej chwili powrócił komendant Graves. Był czerwony na twarzy i dziwnie wyciszony. Bez słowa zajął swoje miejsce na czele regimentu, nie odzywając się

nawet do majora Breeza.

Kolumna zaczęła mijać tyły ogromnej armii – tabory cesarskich. Wzdłuż drogi zabieliło się morze namiotów, przypominające niewielkie miasto. Pobocza zapchane były mułami i wozami, próbującymi przebić się koło maszerującego legionu.

Ujrzeni żołnierzy cesarskiej armii: szczupłych mężczyzn o brązowej skórze, w białych pan talonach, koszulach i stożkowych kapeluszach z czerwonymi otokami, noszących okrągłe, stalowe tarcze. Z każdym krokiem było ich coraz więcej. Brakowało im wojennego zapachu. Wielu nie miało broni.

Nagle ujrzeni ziggurat, niewielki – może ze sto stóp wysokości – a zaraz potem czerwone mury Salpalangum.

Okrażali miasto, mijając willowe przedmieścia i ogrody, aż dotarli do szerokiej równiny na zachód od miasta.

Znaleźli się na płaskowyżu w kształcie półksiężyca, którego rogi skierowane były na zachód. W centrum plateau wznosiło się miasto. Po obu stronach roili się cesarscy żołnierze w bieli i czerwieni, a przed sobą ujrzeni chorągwie Pierwszego Legionu Kadeinu i regimenty Kadeińczyków w zielonych płaszczach i szarych spodniach.

Legioniści Kadeinu pozdrowili ich gromkim okrzykiem. Przybysze odpowiedzieli im równie głośnym zawołaniem.

Nareszcie otrzymali rozkaz zatrzymania się. Ludzie i smoki rzucili się do ostatnich przygotowań do bitwy. Na ustach wszystkich zawisło pytanie – Gdzie jest wróg?

Generał Paxion podjechał do kwatery generała Hektora, białego namiotu rozbitego w pobliżu olbrzymiego, purpurowego, płóciennego pałacu cesarza.

Zastał generała pochylonego nad rozpostartą przed nim mapą.

Hektor powitał go silnym uściśnięciem ręki i machnął na mapę.

–Dobra robota, Paxionie, wspaniałe tempo. Drugi Marneri powinien otrzymać przydomek Żelazne Stopy.

–Dziękuję, generale.

–Czterdzieści mil w niecałe dwadzieścia cztery godziny. Znakomicie! Myślę, że zdołamy sprawić teraz przeciwnikowi prawdziwą niespodziankę.

–Czy mam rozmieścić jednostki przed spodziewanym atakiem?

–Nie, wróg jeszcze sienie pokazał. Wczoraj paradował przed frontem naszych wojsk, lecz dziś panuje cisza przed burzą. Podejrzewam, że przeciwnik próbuje rozmieścić własne siły. Taka ilość żołnierzy sprawia, że najprostszy manewr przeradza się w chaos.

Paxion odetchnął z ulgą.

–Czy oznacza to, że dzisiaj raczej nie będziemy walczyć? Hektor zgarbił się nad mapą.

–Wszystko jest możliwe, sądzę jednak, że jeszcze dzisiaj zostaniemy zaatakowani. Spójrz tutaj, to Salpalangum – dźgnął mapę grubym palcem. – Cesarz i jego armia otrzymuje zaopatrzenie z Kwa. Nieprzyjaciół próbuje przeciąć linie komunikacyjne z południem. Jest pewny siebie i wie, że cesarska armia jest chwiejna. Jeżeli zaatakuje, prawdopodobnie schwyta samego cesarza, co zapewniłoby mu całkowite

**zwycięstwo.**

**Paxion zrobił zdziwioną minę.**

**–Rozumiem. Miałem nadzieję, że moi ludzie zdążą odetchnąć przed walką.**

**Podczas marszu dali z siebie wszystko.**

**Hektor pokiwał głową i zachichotał.**

**–Nie zaznałeś jeszcze bitwy, prawda, generale? Jak tylko poczują krew w powietrzu, znajdą w sobie nowe pokłady siły. To albo śmierć. Zawsze mnie zdumiewa, ile energii nabierają żołnierze przed bitwą, jeżeli muszą. Nie martw się o swoich ludzi. A teraz uważaj – oto mój plan, przy którym potrzebuję z twojej strony ścisłej współpracy.**

**General Paxion westchnął w duchu. Pochylił się i walcząc ze zmęczeniem, starał się zrozumieć instrukcje Hektora.**

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Drugi Legion zajął pozycje. Żołnierze padli na ziemię i większość z nich natychmiast zasnęła. Równina pokryła się nagle nieruchomymi ciałami. Wyjątek stanowili kucharze, gotujący świeży kalut, ciemną kawę z południa, będącą niezwykle ważnym składnikiem menu legionów, lekarze, udzielający pomocy najbardziej wyczerpanym legionistom oraz smoczy giermkowie, uwijający się wokół własnych spraw.

Za rozciągniętymi na ziemi żołnierzami Drugiego Legionu stały szeregi Pierwszego Legionu Kadeinu w zielonych koszulach i szarych spodniach. Skupieni w luźnych grupach żołnierze popijali gorący, smolisty kalut i rozprawiali o zbliżającej się bitwie.

Po drugiej stronie, za pasem gołego gruntu, zaczynały się formacje cesarskiej armii, nieprzebrane rzesze wojowników w bieli z kolorowymi szarfami, oznaczającymi regimenty i brygady. Jak okiem sięgnąć mrowiły się tysiące tysięcy żołnierzy.

Za ogromną armią majaczyły czerwone mury Salpalangum, wzmocnione wieżyczkami i basztami. Przed zgromadzonymi siłami rozpościerała się oczyszczona z roślinności płaska przestrzeń, sięgająca do odległych o sto jardów palm.

Tu właśnie stoczą swoją bitwę. Z tego powodu przybyli z daleka. Mimo to nie zbliżający się bój zaprzętał umysły żołnierzy i smoków, lecz ich obolałe stopy i nogi. Przynajmniej dopóki byli wystarczająco przytomni, by czymkolwiek się troskać.

Tylko smoczy giermkowie nie mogli zaznać spokoju. Musieli zająć się smokami: nakarmić je, napoić i opatrzyć. Relkin ignorował ból własnych nóg, tocząc beczułkę z wodą dla swoich podopiecznych. Podczas gdy gasili pragnienie, przyjrzał się zmaltretowanym stopom Purpurowo-zielonego.

Miał sporo otarć i pęcherzy, lecz żadnych krwawiących ran. Olbrzymie sandały dobrze się sprawiły. Zadowolony z siebie, natarł pazurzaste stopy maścią gojącą i odkażającym miodem, kończąc kurację nałożeniem warstwy tonizującego kremu. Purpurowo-zielony pił wodę długimi łykami, z których każdy opróżniał półgalonowe naczynie. Po długiej chwili odstawił antałek, zamknął ogromne ślepia i westchnął z zadowoleniem.

Złamany Ogon zauważył bliski ekstazy stan przyjaciela.

–Witaj w legionach, mój dziki przyjacielu.

Oczy Purpurowo-zielonego otwarły się i zwężyły.

–Maszerowaliśmy całą noc, przebywając odległość dziesięciu uderzeń skrzydeł. To straszny sposób na życie.

–Za to chłopak jest świetny. Wie, jak dbać o smocze stopy.

Prawdę rzekłszy, Purpurowo-zielony zapomniał, że w ogóle je ma. Jeszcze kilka minut temu bardzo cierpiał, a teraz ledwo go bolały. Podniósł łeb, lecz giermek już zniknął, turlając opróżnioną beczułkę w stronę beczkowozu. To dziwne uczucie mieć kogoś, kto przynosi ci wodę i dba o twoje poobcierane stopy. Wielki smok poczuł instynktowną złość i zacisnął potężne, przednie łapy. Dobrze będzie wkrótce powalczyć. Na starych bogów Smoczej Ojczyzny, dobrze będzie zmierzyć się z wrogiem!

Dokoła leżały porozciągane pozostałe smoki – Vlok, Chektor i młodzieź. Tworzyły

razem dziwnie sielankowy widok.

–Będziemy walczyć? – zapytał Purpurowo-zielony.

–Będziemy walczyć – odrzekł z kwaśną miną Chektor. Stopy starego Cheka wyglądały naprawdę paskudnie, wiedział jednak, że uskarżanie się nie miało sensu.

–Świetnie – oznajmił zawsze chętny do bitki Vlok. – Gdzie jest wróg?

Złamany Ogon skinął na odległą kępę palm.

–Gdzieś tam.

–Będą z nimi trolle?

–Nie. Tak przynajmniej twierdzi smokowy Hatlin.

–Hmm. – Smoki myślały już o tym. Bez trolli pozostawały tylko impy i ludzie.

Ludzie nie mieli wielkich szans ze smokami, chyba że byli świetnie wyszkoleni i uzbrojeni w długie lance. Impy będą gonione na nich w wielkiej masie w nadziei na przygnięcie ich samą przewagą liczebną. Smoki zostały odpowiednio przeszkolone do radzenia sobie z obiema taktykami.

Tymczasem Relkin oddał antałek do wozowodów i pognął do kuchni, gdzie wybrał kubek gorącego kalutu.

Odpoczywający w pobliżu żołnierze narzekali na obtarte stopy i obolałe nogi. Chłopiec nasłuchiwał się już tego dosyć, w związku z czym powędrował do kowala Ósmego Regimentu, barczystego Cordwaina, który wykuwał właśnie groty włóczni. Relkin postąpił tam trochę, popijając kalut i podziwiając biegłość rzemieślnika.

Nagle poczuł w ramieniu ostry ból i okręcił się na pięcie, sięgając jednocześnie po sztylet. Tuż za nim zatrzymał się biały powóz, zaprzężony w parę filigranowych, białych kucyków. Na koźle woźnicy siedział złotowłosy młodzieniec, bawiąc się długim biczem.

Relkin potarł ramię, mierząc woźnicę wzrokiem. Nikt nie ma prawa uderzyć bezkarnie smokowego pierwszej klasy Relkina. Ten blondwłosy chłoptaş zaraz się o tym przekona.

Za odsuniętej zasłanki w oknie powozu pojawiła się głowa młodej kobiety z Ourdh o arystokratycznych rysach twarzy. Nosiła czarny, jedwabny kapelusik w kształcie pudełka, iskrzącą się woalkę i purpurową suknię.

–Hej, ty – zawołała w verio z typowym dla Ourdh akcentem. – Ty z kubkiem. Gdzie jest sztab cesarskiej armii?

Relkin odpowiedział jej zuchwałym spojrzeniem, nieskory do udzielenia odpowiedzi po tym, jak został uderzony biczem blondasa.

–To tajemnica wojskowa, proszę pani, której nie wolno mi ujawniać każdemu, kto tu podjedzie.

Kobieta zagapiła się na niego zdezorientowana.

–Co takiego? Nie powiesz mi?! Kim jesteś, chłopcze?

–Relkin z Quosh, smokowy pierwszej klasy, 109 Szwadron Smoków Marneri, do usług.

Dziewczyna uśmiechnęła się nagle i nie był to do końca uspokajający widok.

–No cóż, panie smokowy... – miała nosowy akcent, lecz mówiła poprawnie. – Ja jestem księżniczka Zettila i mam pilną wiadomość dla samego cesarza. Pomóż mi, a

wstawię się za tobą na rozprawie. Ponieważ, kiedy już złożę raport o tym, jaki brak szacunku mi okazałeś, jestem pewna, że postawią cię przed sądem wojennym.

Giermek wzruszył ramionami. Może faktycznie była księżniczką i może naprawdę mogła wpakować go w kłopoty, lecz szczerze w to wątpił. Nie zrobił nic złego. Generał Hektor nie przejmie się takimi żądaniami. Mimo to lepiej było jednak nie rozjuszać jej dalej. Wysoko postawieni ludzie potrafią być mściwi.

–Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. Dopiero co tu przybyliśmy. Maszerowaliśmy całą noc i nie miałem pojęcia, że może pojawić się tutaj ktoś o twojej pozycji, pani. Tak czy owak, przypuszczam, że powinniście zawrócić i objechać tamten sztandar legionu. Kwatera cesarza jest chyba tam. – Skinął ręką poza sztandary legionów Argonathu.

Księżniczka zmarszczyła brwi.

–Dlaczego nie miałabym pojechać dalej prosto, przez szeregi tamtych ludzi? – wskazała na śpiących żołnierzy Drugiego Legionu.

Relkin zamknął usta, tłumiąc pierwszą odpowiedź. Jeżeli rozmowa z księżniczką potrwa dłużej, bardzo ciężko będzie mu nie wpaść w tarapaty.

–Najważniejszym argumentem przeciwko dalszej jeździe w tamtym kierunku jest to, że twoje koniki wjechałyby na dwa szwadrony smoków.

Słyszając to, księżniczka Zettila pobladła, po czym wychyliła się i przemówiła ostro do młodego woźnicy.

–Objedź ich, Aimlor. Zawrócimy i zdobędziemy wskazówki od kogoś lepiej wychowanego od tego naburmuszonego chłopaka.

Złotowłosa zrobił kwaśną minę i rozpoczął skomplikowany proces zawracania powozem w ciasnej przestrzeni. Jako że nie był urodzonym woźnicą, szybko zawałił sprawę. Kucyki znarowiły się. Czerwony na twarzy Aimlor strzelał z bata, drąc się na nie bez skutku.

Relkin obejrzał się i jęknął. Zbliżała się do nich olbrzymia, znajoma postać.

–Aimlor! – zawołał w verio. – Pociągnij mocniej za lejce. Zostaw ten bat w spokoju. – Tańczył przed powozem, machając rękoma.

Aimlor niczego nie zrozumiał. Obrzucił go obelgami i zdzielił batem. Księżniczka wychyliła się z powozu, przeklinając go w ourdhi.

Purpurowo-zielony podchodził do beczkowozu. Kucyki zwęszyły smoka i oszalały. Zaczęły miotać się i wierzgać nogami, rozbijając przednią ściankę białego powoziku. Księżniczka wrzasnęła, zrzucona na podłogę gwałtownym szarpnięciem wehikułu.

Aimlor smagnął zwierzęta biczem, pobudzając je tylko do jeszcze większego szaleństwa. Zawróciły i zaczęły uciekać przed smokiem. Relkin uznał, że całkowicie wymknęły się spod kontroli woźnicy. Upuścił kalut, wskoczył na powóz i usadowił się na koźle. Aimlor obrócił się ku niemu z wykrzywioną złością twarzą i zawołał coś w ourdhi. Bez zbędnych ceregieli Relkin zamachnął się stopą i kopnął go w brzuch. Blondynek zatoczył się wstecz i spadł z powozu.

Smoczy giermek ujął lejce i zaczął ściągać je silnie, choć miarowo. Koniki rzucały się jak oszalałe, lecz nie były w stanie wyrwać się z jego uścisku. Nadal jednak umykały przed smokiem. Wierzgnęły nagle i prawy kucyk na moment wymknął się



spod kontroli, próbując sięgnąć go zębami. Relkin skoczył na równe nogi. Zwiślał przez chwilę z powozu, zaraz jednak odzyskał równowagę i szarpnął ostro za wodze, zmuszając zaprzęg do zatrzymania się.

Trzymał je jeszcze przez chwilę, po czym lekko poluzował chwyt. Ruszyły truchtem przed siebie, nie był to już jednak szaleńczy galop. Purpurowo-zielony przeszedł za powozem, rozglądając się za kolejną beczką wody. Giermek zapobiegł katastrofie.

Zmusił w końcu zaprzęg do jazdy truchtem i okrążył legionowe chorągwie, zatknięte przed namiotem generała Paxiona.

Dalej wznosił się większy namiot generała Hektora – kolejna budowla z białego płótna – za nim zaś rozbito cesarskie kwatery w barwach purpury i szkarłatu, zdobne w furkoczące na wietrze, złociste proporce.

Aimlor podbiegł do zaprzęgu i złapał za uzdę lewego kuca. Dysząc ciężko, obrzucił Relkina morderczym spojrzeniem.

Chłopiec zatrzymał powóz, przywiązał lejce do kozła, zeskoczył na ziemię i uklonił się dwornie. Aimlor podbiegł do niego, lecz choć był większy, nie zrobił nic. Zniechęcił go sztylet i coś nieuchwytnego w spokojnym wzroku Relkina. W ponurym nastroju wdrapał się na siedzisko woźnicy.

Relkin zauważył, że księżniczka Zettila wpatruje się w niego z przerażającą intensywnością. Wymierzyła w niego palce i wypowiedziała dwa słowa w ourdhi, z których jedno zabrzmiało jak *auizz*.

–Miło było pomóc Waszej Wysokości. – Relkin zdjął czapkę, obrócił się i przebił przez niewielki tłumek żołnierzy i personelu, który zgromadził się wokół powozu.

Aimlor zaciął kuce, które szybko uniosły księżniczkę w dal. W jej spojrzeniu było coś dziwnego, jakaś nienormalna intensywność, która pozostawiła Relkina w stanie pewnego niepokoju.

Wrażenie szybko rozwiało się po powrocie do jednostki, kiedy usłyszał od smokowego Hatlina kilka słów na temat nadużywania zgody na oddalenie się od oddziału. Relkin próbował się wytłumaczyć, szybko jednak zauważył, że Hatlin nie wierzy w ani jedno słowo, wobec czego poddał się i zamilkł. Hatlin oddalił się.

Bazil miał mnóstwo pytań. Kim była kobieta w powozie?

–Księżniczką – mruknął. – Zaoferowała mi ciepłą posadkę osobistego woźnicy, lecz odpowiedziałem jej, że nie mogę się zgodzić, gdyż mam pod opieką dwa smoki.

–Ha, sądziłeś więc, że mógłbyś obsiewać nocą królewskie poletko, co?

–A dlaczegożby nie? Czyż nie pochodzę z Quosh?

–Od pół roku o niczym innym nie myślisz. Może giermek powinien porzucić legiony i znaleźć sobie samice.

Relkin roześmiał się.

–Nawet przez myśl mi to nie przeszło. Wolę już opiekować się parą marudnych smoków.

–Hm. Purpurowo-zielony od dawna nie uskarżał się na stopy.

–Cud planowania.

Ślepia Bazila zabłysły humorem.

**–Dobry pomysł z tymi sandałami, zgadzam się. Czasami chłopiec jest dobry.**

**–Nadchodzą -ozwał się głos z prawej. To był Mono. Chektor dźwignął się na zadnie łapy i wyciągnął szyję.**

**–Chłopiec ma rację. Nadchodzą.**

**Relkin wdrapał się na ramię Bazila i spojrzał na zachód.**

**Przez niewielkie poletka, pomiędzy zagajnikami palm płynęła nieprzebrana rzesza postaci w czarnych szatach. Nad ich głowami powiewały chorągwie ze złocistym wężem na czarnym tle.**

**Ciemna horda rozciągała się po sam horyzont. Zza palm po lewej wychynęły konne zastępy. Grzmiały bębny, z setek tysięcy gardeł wyrwał się przenikliwy krzyk. Grunt trząsał się pod stopami nadciągających wojsk.**

**Smokowy Hatlin wybiegł przed swój oddział, wykrzykując rozkazy.**

**–Formuj szyk! – To zawołanie obiegło wszystkie regimenty. – Przygotować się na spotkanie nieprzyjaciela.**

**Smoki i giermkowie pospiesznie zajęli pozycje. Olbrzymie miecze opuściły zawieszony na ramionach pochwy, dopięto paski wielkich hełmów. Chłopcy załadowali kusze.**

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wraz z pojawieniem się na równinie chmary Sephitów pod sztandarami Węża krzys w namiocie cesarza osiągnął punkt kulminacyjny.

Złote rogi obwieściły przybycie cesarza. Drobny, przygnieciony ciężarem problemów człowieczek nosił prostą, złocistą tunikę i wyszywane szmaragdami sandały.

Dwór zerwał się na równe nogi. W prawej części namiotu skupili się wezyrowie, monstekirzy, stekirzy i inni wielmoże tego rozległego, żyznego państwa. Lewą stronę zajmowali eunuchowie ze służb administracyjnych, najwyższy kapłan Aurosa i najwyższa kapłanka Gingo-La.

Na środku stał lekki, drewniany tron, używany przez cesarzy Ourdh podczas kampanii wojennych. Otaczało go ściśle grono cesarskich doradców: siostra władcy, Biruma, posiadająca tytuł księżnej Patwy, najwyższy wezyr, stary Jiji Vokosong Montzoon z Baharadu oraz generał Knazud, dowódca cesarskiej armii.

W pewnej odległości od nich stała cesarska ciotka, Haruma, jedyna, której mógł naprawdę ufać, gdyż nie miała ona żadnej władzy, a swoje życie zawdzięczała wyłącznie jego opiece. Ubrana była w proste szaty, zwłaszcza w porównaniu z pozostałą trójką. Nosila zwyczajny, zielony płaszcz i parę klejnotów – wyłącznie szmaragdów, jako że należała do rodu Shogemessarów.

Reszta, szczególnie generał w złocistym pancerzu, roztaczała aurę oślepiającego wręcz dostojeństwa. Księżna Patwy obnosiła się z naszyjnikiem z dużych, ciętych w kwadraty szmaragdów, pięcioma złotymi łańcuchami, grubymi, złotymi bransoletami na rękach i pierścieniami wysadzanymi diamentami, szmaragdami i szafirami. Brakowało jedynie rubinów, granatów lub innych czerwonych klejnotów.

Żaden członek rodziny Shogemessar nie zakładał nigdy rubinów, gdyż był to kamień starych dynastii z południa, z prowincji Dzebei. Dynastia Shogemessarów wywodziła się ze wschodniej prowincji Patwara, gdzie z gór Malgun spływała rzeka Sunusolo, dopływ Oon. To właśnie w jej żwirze od niepamiętnych czasów znajdowano szmaragdy.

Wezyr Montzoon z Baharadu był bliskim sojusznikiem Shogemessarów, toteż również nosił szmaragdy, przede wszystkim ogromną Gwiazdę Baharadu, błyszczącą na jego turbanie. Odziany był w żółtą, jedwabną szatę i szkarłatne buty na koturnach, dodające mu pół stopy wzrostu. Takie obuwie, będące atrybutem funkcji wezyra, zmuszało do przenoszenia go z miejsca na miejsce, gdyż chodzenie w nich było zwyczajnie niemożliwe.

Cesarz Banwi Shogemessar zasiadł na prostym tronie. Z grupki eunuchów wystąpił szambelan Vixed w prostym, szarym stroju.

–Witaj, Wasza Wysokość. – Eunuchowie upadli na twarz, śpiewając zgodnie z protokołem – Chwała, Chwała, Chwała.

Cesarz klasnął w dłonie.

–Skończcie z tym zawodzeniem. Wróg atakuje! W każdej chwili może dojść do walki. Nie ma na to czasu.

–Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość - odrzekł Vixed, kłaniając się nisko i

sygnalizując pozostałym eunuchom, żeby podnieśli się z klęczek.

Banwi Shogemessar, fedafer dobrze nawodnionego kraju, władca nieba i ziemi, złoty cesarz wiecznego Ourdh siedział na tronie i dygotał. Spowodowane to było w równej mierze strachem, czy może raczej kompletną paniką oraz wściekłością na doradców za złe rady, jakich mu udzielali.

Starał się panować nad sobą, lecz było to bardzo trudne. Jego dłonie same rwały się do wymachiwania. Strasznie chciało mu się wrzeszczeć.

Ziemia drżała w rytm kroków nadciągających wrogów. Banwi doskonale wiedział, co z nim zrobią, jeżeli – czy może raczej – kiedy zwyciężą.

Dziś rano opowiedziała mu o tym ze szczegółami kogucia głowa, która wyskoczyła z otrzymanego na śniadanie jajka, zwracając się do niego w płynnym ourdhi. Zostanie zawleczony do otchłani Sephisa i oddany odrodzonemu bogu.

–Zbladłeś, bracie. – Biruma pochyliła się nad nim; długi nos nadawał jej jeszcze bardziej drapieżnego wyglądu niż zwykle.

–Siostrze, wpadliśmy w pułapkę, otoczeni setkami tysięcy religijnych fanatyków żądnych mojej krwi. Albo nawet gorzej. – Zerknął na Penitema, najwyższego kapłana Aurosa.

Obudził się w nim gniew.

–Kapłanie! To twoja przeklęta wina. Powiedzieliście mi, głupcy, że to niemożliwe, że stary bóg jest martwy. A ja, jak ten idiota, uwierzyłem wam. Gadające do mnie kruki? „To tylko czarna magia, Wasza Wysokość, nie martw się tym.” Sny z wężem? „Zażywaj środki nasenne, Wasza Wysokość. Nie zwracaj na to uwagi. W Dzu mają paru dobrych magów. Przeliczą się z siłami i zostaną rozdarci na strzępy. Nie ma powodów do obaw.” Niech cię szlag, mam teraz mnóstwo powodów do obaw!

Penitem przestąpił niespokojnie z nogi na nogę. To prawda, on i jego ludzie nie sprawdzili się za bardzo w doradzaniu władcy. Zwyczajnie nie wierzyli, by było to możliwe. W świetle racjonalizmu Aurosa, gdzie wszystko na świecie było dokładnie wymierzone i sprawiedliwie osądzone, nie było miejsca na innych bogów, za wyjątkiem tak zwanej bogini Gingo-La. Dla aurosan wyznawcy Gingo-La byli atawistycznymi poganami, oddającymi cześć starym bogom. Kapłani Aurosa z rozbawieniem przyglądali się rytuałom kapłanek Gingo-La.

Jeśli zaś chodzi o to, co działo się w innych częściach świata, to albo były to przejawy czarnej magii, albo obrzędy warte jedynie wyśmiania.

Obecna sytuacja zmuszała ich jednak do przemyślenia rzeczy, które kiedyś uznawali za niemożliwe.

–Radziliśmy się wiedźm ze wschodnich wysp. Wyjawiły nam, że tak zwany bóg Sephis wcale nie jest prawdziwym bogiem, a jedynie potężnym demonem, ściągniętym tu z jakiegoś piekielnego świata celem odbudowania kultu Węża i zniszczenia cesarstwa.

–Po co, człowieku? – warknął Banwi, pochylając się ku rozmówcy.

–Żeby umożliwić hodowcom impów swobodne kupowanie kobiet na naszych rynkach celem rodzenia impów w zagrodach Axoxo w Górach Białych Kości.

–Tak, tak – rzucił niecierpliwie cesarz. – Mówiłeś już to. Ale nie powiedziałeś mi

tego wtedy, gdy mieliśmy jeszcze czas, żeby coś z tym zrobić. A teraz jesteśmy tu uwięzieni i musimy przyjąć bitwę, którą możemy przegrać. Naszą armię osłabia defetyzm i zdrada.

Generał Knazud walczył z własnymi odczuciami. Bandy Patwari przejmowały dostawy dla wojska, korupcja była gigantyczna. Brakowało wszystkiego.

–Jeżeli mogę coś powiedzieć, sir...

–Milcz, generale, nic nie mów. Mam oczy. Nasi żołnierze boją się, nie, są przerażeni. Usłyszeli, że stary bóg ożył i że wyznawcy Aurosa staną przed jego obliczem, i zostaną zniewoleni jego wzrokiem. Każdy, kto stawia mu opór, zginie.

Grzmot bębnowy nieprzyjaciela był coraz głośniejszy. Cesarz spojrzał cierpiącym wzrokiem na ciotkę. Tylko ona wiedziała, co się stało podczas śniadania. Tylko jej mógł zaufać.

–Co mam robić, ciociu? – jęknął.

Haruma uśmiechnęła się i przyklękła na jedno kolano.

–Musimy stawić czoła wrogowi, mój panie, gdyż jesteśmy w stanie go pokonać.

–Moją armię osłabia strach. Żołnierze uciekną.

–Pokładaj wiarę w legiony Argonathu i ich generałów – oni zostaną i będą walczyć.

–Lecz jest ich tak mało. Ulegną przewadze liczebnej wroga. Sephici są dziesięciokrotnie liczniejsi od nas.

–Żołnierze Argonathu są lepsi. Mają własną kawalerię i smoki. Zobaczysz.

–Zobaczę jeszcze więcej tego, co ujrzałem rano... – Odwrócił się od Harumy z nagłą złością.

Do czego ona zmierzała? Żeby oddał władzę wiedźmom wschodu? Te przewrócą do góry nogami odwieczne reguły społeczne Ourdh, zrównując kobiety w prawach z mężczyznami. Nie mógł na to pozwolić. Nie mógł ufać obcym i ich dziwacznym pomysłom.

Walnął pięścią w drewniany podłokietnik tronu. Dźwięk ledwie było słyhać w huku werbli nieprzyjaciela.

–Niech ktoś powie mi coś dobrego... – mruknął żałośnie. – Potrzebuję jakichś dobrych wiadomości i to natychmiast...

Wielki wezyr pokiwał głową i wymamrotał coś pod nosem. Przemówił generał Knazud.

–Dołączył do nas Drugi Legion z Argonathu. Zajął pozycję w samym centrum, niedaleko nas.

Banwi jęknął i odwrócił się. Siostra przechwyciła jego spojrzenie.

–Ukochany bracie, właśnie przybyła księżniczka Zettila. Prosi o audiencję.

Zettila wróciła. Cesarz wstał. Wreszcie jakaś odmiana.

–Przychylamy się do tej prośby. Zaprowadź ją do mego namiotu.

Generałowi Knazudowi opadła szczęka. Haruma jęknęła w duchu. Biruma zrobiła triumfalną minę.

Przy wejściu doszło do nagłego zamieszania. Do środka wsadził głowę strażnik, przekazując coś jednemu z urzędników szambelana. Wiadomość szybko dotarła do

cesarza.

–Posłaniec, panie, od argonackiego generała. Banwi skinął ręką, by go wpuszczono.

Do namiotu wkroczył młody kapitan o zadziornym spojrzeniu. Podał szambelanowi niewielki zwój, ten zaś przekazał pismo cesarzowi.

–Przetłumacz – nakazał Banwi, rzuciwszy okiem na barbarzyńskie verio.

Stary Vixed płynnie władał verio, tak samo jak wieloma innymi językami.

–Do Jego Wysokości Banwi Shogemessara, cesarza Ourdh, fedafera fedaferów, światła wschodu, płomienia północy, tego, który włada Trzciniowymi Równinami, postrachu Teetoli... etc. etc. Pozdrowienia od generała Hektora, który z przyjemnością zawiadamia, że jego legiony zajęły pozycje i są gotowe na przyjęcie nieprzyjaciela, który jest już w zasięgu wzroku.

–Tak? To już wszystko?

–To wszystko, Wasza Wysokość.

–Dobrze. Przekaż barbarzyńcy, że jesteśmy zadowoleni i oczekujemy, iż umrą jak bohaterowie.

Vixed skinął głową i powiedział kapitanowi, że cesarz z radością wita ich obecność na polu bitwy i ma nadzieję, że bohaterowie z Argonathu będą dobrze walczyć.

Cesarz powstał gwałtownie z tronu, kończąc audiencję. Złociste rogi zagrały i wszyscy uklonili się lub klęknęli, za wyjątkiem młodego kapitana Keseptona, który jedynie lekko skinął głową, po czym wymknął się z namiotu i wskoczył na konia.

Banwi udał się prosto do swojego namiotu, ignorując zgiełk bitwy. Tam, w kąpiącym od złota purpurowym wnętrzu z białymi meblami, rzucił się na miękką sofę.

Księżniczka Zettila czekała na niego, klęcząc wiernopoddańczo z głową przyciśniętą do podłogi. Strzelił palcami.

Podniosła głowę.

–Wiele się dowiedziałam, mój panie. W twoim otoczeniu czają się szpiedzy.

–Znowu! Cholerny Vixed, przecież nakazałem mu czystkę.

–Vixed nie może już występować przeciwko Birumie. Ma jakieś informacje o nim, którymi go szantażuje.

Banwi wciągnął powietrze.

–Masz dowody?

–Nie, miłościwy panie. Niestety to niemożliwe. Mam jednak bardzo wiarygodne źródło.

Pochylił głowę i pokazał, żeby szeptała mu na ucho.

–Co zamierza Lopitoli? – wyszeptał chrapliwie, ledwo panując nad wściekłością wywoływaną najmniejszą choćby wzmianką o jego matce.

–Sprawdziła do Ourdh Zaniżani. Masz zostać otruty podczas najbliższego obiadu w Kwa. Wszystko zostało już zaaranżowane.

–Biruma?

–Tak. Zatruje twe wino, kiedy nie będziesz patrzył. Otrzymała od Lopitoli truciznę, która wywołuje efekt łudząco podobny do ataku serca. Upadniesz na podłogę,

trzymając się za pierś, niezdolny oddychać. Zginiesz i nikt nie będzie mógł wskazać na Lopitoli. A wtedy proklamują objęcie władzy przez Zanizaru, który zostanie oficjalnie namaszczony.

–Jakie kontrposunięcia doradzasz?

–Natychmiast wracaj do miasta, pojmiij Zanizaru i utnij mu głowę. Pokaż Lopitoli, że przejrzałeś jej spisek. Wycofa się z miasta na parę miesięcy, może nawet cały rok. W tym czasie przejmiesz kontrolę nad finansami Shogemessarów. A wtedy będzie bezradna.

Banwi zachichotał.

–Ach, podoba mi się to. Pozostaje jednak problem Sephitów. Co zrobimy z nimi?

Tym zapędził Zettile w kozi róg.

–Nie można ich pobić?

–Niezbyt realne. – Cesarz zrobił ponurą minę. – Mogą rozbić moją armię. To ją zaniepokoiło.

–Wobec tego musimy natychmiast uciekać. Jedź na południe, dostań się przed zmrokiem do Kwa i przekrocz rzekę. Do jutra będziesz bezpieczny w Ourdh i rozprawisz się z Zanizaru.

Cesarz miał na to wielką ochotę. Nareszcie pozbędzie się nazbyt ambitnego kuzyna o pretensjach do tronu. Do tej pory przed zabiciem go powstrzymywał cesarza strach przed Lopi-toli, która miała wielkie wpływy wśród potężnych rodów Ourdh.

Jeśli jednak zdobędzie niepodważalne dowody, że Lopitoli spiskowała przeciwko niemu, chcąc osadzić na tronie Zanizaru, nie będzie musiał się jej bać i zdoła nareszcie wyprowadzić kontruderzenie.

–Sephici będą mieli zachodni brzeg, Shogemessarowie wschodni – stwierdził. – Tak to widzę.

Zettila przytaknęła.

–Połowa cesarstwa jest lepsza od niczego.

–Zgadza się. Idź przyszykować powóz i oddział kawalerii, wyjeżdżamy natychmiast.

Zettila zatrzymała się przy drzwiach.

–Co z ciotką Harumą? Czyż nie powinniśmy zabrać jej z nami?

–Tak, powiedz jej, żeby tu natychmiast przyszła. Pospiesz się!

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Rozgorzała wielka bitwa pod Salpalangum. Sto tysięcy odzianych w czern Sepsitów uderzyło na sześćdziesięcioletnią armię cesarza Banwiego Shogemessara, wspieraną przez dziesięć tysięcy ludzi i smoków z Argonathu.

Przed frontem Drugiego Legionu Marneri wyrósł las sztandarów ze złocistym węzem, powiewających nad mrowiem wojowników w czerni z okrągłymi tarczami, na których również wymalowano motyw węża. Bębny wroga niestrudzenie łomotały, a powietrze wypełniały przenikliwe wrzaski.

Legion stęzał w oczekiwaniu na wstrząs, a argonaccy łucznicy, głównie mieszkańcy Kenoru, wypuścili salwę strzał, kładąc pokotem setki nieprzyjaciół, co nie wywarło jednak na nacierających większego wrażenia. W mgnieniu oka dotarły do nich pierwsze szeregi Sepsitów, wywijających mieczami nad głowami i wrzeszczących z obłąkańczą wściekłością.

Smoczy giermkowie gwałtownie wciągnęli powietrze na widok lekko opancerzonych ludzi, rzucających się na smoki. Rezultat był przerażająco łatwy do przewidzenia. Olbrzymie smocze miecze zatoczyły kręgi, rozrzucając napastników na boki, tnąc ich tarcze, zbroje i wszystko na swej drodze.

Przed smokami bardzo szybko spiętrzyły się zwaly martwych Sepsitów. Co jakiś czas któryś z atakujących przedzierał się przez śmiertcioną zaporę, lecz z tymi rozprawiały się kusze i miecze giermków i smokowych.

Niewiele większe szansę mieli fanatycy przeciwko żołnierzom Drugiego Legionu. Ci walczyli tak, jak ich wyszkolono. W tego typu starciu dyscyplina dawała miażdżącą przewagę. Pierwszy szereg dzierżył miecze i tarcze. Druga linia walczyła włóczniami i oszczepami. Prostokątne tarcze wyposażone były w zaczepy i kryzy, dzięki którym można było je połączyć. Oszczepnik ciskał w nacierającego przeciwnika lekkim oszczepem z miękkiego żelaza, który wbijał się mu w tarczę, utrudniając jej używanie.

Zawsze kiedy tylko było to możliwe, pierwszy szereg Argonathu łączył tarcze, czyniąc z nich mur, zza którego włócznicy bezpiecznie dźgali skłębioną masę Sepsitów. Następnie trzeci lub rezerwowy szereg opuszczał własne tarcze i napierał na pierwsze szeregi, pomagając w dodatkowym „sprasowaniu” tłoczącego się przed murem żelaza wroga.

Brak dyscypliny przeciwnika zbierał krwawe żniwo, gdyż coraz więcej wojowników z dalszych szeregów przepychało się naprzód, przyczyniając się do dalszego ścieśnienia kamratów, co uniemożliwiało im walkę. Bezradni fanatycy pchani byli na ścianę tarcz, zza których bodły ich włócznie i miecze. Wielu poległo w ścisku, stłoczonych niczym bydło, bezradnie zsuwające się z pochylni pod noże rzeźników.

Przed argonackimi tarczami urosła góra ciał. Jeżeli w którymś miejscu obronnego muru powstała choćby najmniejsza wyrwa, natychmiast zapełniali ją „zatykacze”. Funkcję tę pełnili zwykle najwięksi i najsilniejsi żołnierze centurii. Ich zadanie polegało na jak najszybszym dotarciu do dziury w szyku i szybkim i sprawnym jej zamknięciu.

Towarzyszyli im łucznicy ustawieni za plecami legionistów i ostrzeliwujący każdy pojawiający się cel. Koncentrowali się głównie na nieprzyjacielskich oficerach i



kawalerii, zbierając śmiertelne żniwo.

Po półgodzinnej rzezi atakująca legiony Argonathu horda Sephitów przerzedziła się, a wkrótce znikła, zostawiając wolną przestrzeń, usłaną dywanem martwych i dogorywających. Na obu skrzydłach bitwa trwała w najlepsze, lecz wokół legionów wytworzyła się dwustujardowa przestrzeń, stanowiąca ewidentną oznakę szacunku dla ich umiejętności bojowych.

Podobnie jak pozostałe smoki – za wyjątkiem Purpurowo-zielonego, któremu brakowało jeszcze doświadczenia – Bazil Złamany Ogon nie upajał się walką. Ludzie, których zabijał, nie walczyli zbyt biegle, pomimo wkładanej w to pasji. Zwykli amatorzy. To była rzeź. Złamany Ogon niemal żałował, że na polu bitwy nie pojawiły się trolle, dając Ecatorowi odpowiednie zajęcie.

Niemniej, na widok atakujących go ze stałą w rękach wojowników reagował zgodnie ze swoim wyszkoleniem. Najważniejsze było nie przepuścić człowieka pod ramieniem z tarczą – to jedyne prawdziwe zagrożenie dla smoka ze strony szermierza. Trzymaj go z dala wielką tarczą i tnij na kawałki zamachami smoczego miecza. Ludzie potrafili wyskoczyć w powietrze na niecałe trzy stopy, unikając cięcia mieczem. O tyle samo byli w stanie przykucnąć. Miecz, uderzający dokładnie na wysokości trzech stóp, dopadał większość z nich.

Bardziej niebezpieczne były włócznie i lance. W ich przypadku należało przyjąć cios na tarczę i złamać oręż wroga uderzeniem miecza, jako że nie można było dosięgnąć władającego taką bronią przeciwnika. Pozbawieni oręża ludzie uciekali.

Bazil ćwiczył to tak często, że teraz uderzał Ecatorem prawie bezwiednie. Walka tym mieczem była czystą przyjemnością – wyważeniem przypominał jego poprzednią broń, Piocara, a w klindze kryła się energia sprawiająca, że ostrze było żywsze od wszystkiego, czym wcześniej władał.

Błyskawiczne ciosy Ecatora tkwały świetlistą sieć. Nikt nie był w stanie zbyt długo dotrzymać mu pola i mało który miecz nie rozpadał się po pierwszym zetknięciu z jego ostrzem.

Z rzadka stawiała mu opór jakaś tarcza. Wówczas uderzał mieczem ogonowym lub kopał przeciwnika uzbrojoną w pazury stopą, przewracając go i depcząc.

Mało kto przemykał koło smoka. Relkin ustrzelił trzech śmiałków, dobijając ich sztyletem. Jeden z nich rzucił się na niego z mieczem, nie zważając na wystającą mu z szyi strzałę. Uwagę napastnika odwrócił zabiegający go z boku Mono, dzięki czemu Relkin zdołał zanurkować pod tarczą i wbić mu krótki miecz w brzuch.

Relkin Sierota stał się żołnierzem. Nie przypominał już młodzika z Quosh, mdlejącego na widok rzezi. To była jego praca. W jego sercu zagościła posępność, niczym nałożona przez bitwy stalowa obręcz. Mimo to nadal uważał to za coś okropnego.

Czuł się jak niewielka zębatka w ogromnej maszynie do zabijania, czymś nieludzkim, tworzonym przez zdyscyplinowany wysiłek dziesięciu tysięcy żołnierzy i kilkuset smoków. Nie zawsze było mu tak łatwo, kiedyś nie podchodził do tego z zimną krwią. Pamiętał bitwę o Leże Elgomy podczas zimowej kampanii przeciwko Teetolom. To była zupełnie inna wojna. Po długich i gorzkich doświadczeniach

**Teetole nauczyli się nie atakować frontu legionu. Walczyli łukami, strzałami, włóczniami i krótkimi, gwałtownymi szarżami na flanki smoczych szwadronów. Wykorzystywali zasadzki i wilcze doły, wnyki do łamania smoczych łap i podpalanie wysuszonych przez letnie upały zarośli. Byli groźnym przeciwnikiem nawet dla pełnego legionu.**

**Horda Sephitów nie miała pojęcia o taktyce. Nacierali masą, jak gdyby samą przewagą liczebną można było wygrać bitwę, lecz w rzeczywistości zamieniali się w siekane mięso.**

**Bez trolli, które wzmocniłyby ich szeregi, Sephici nie mieli szans przeciwko legionowi ze smokami. Raz jeszcze praktyka potwierdziła teorię.**

**Jednak po obu stronach wąskiego frontu, utrzymywanego przez Argonath, sprawy nie wyglądały równie różowo. Cesarska armia była niewiele lepiej wyszkolona od Sephitów, a wykazywała stanowczo mniejszy entuzjazm do walki. Wytrzymali pierwsze uderzenie, powodując zamęt w szeregach wroga, lecz w miarę nadciągania coraz większej liczby Sephitów, którzy poddawali się i uciekali.**

**Do tego momentu zdążyło zdradzić ich całe dowództwo. Pierwszy pole bitwy opuścił w białym powozie sam cesarz z księżniczką Zettlą w eskorcie zawstydzonych kawalerzystów. Zaraz za nimi popłynął strumień karet spanikowanej reszty dworu.**

**Na widok zmykającego cesarskiego dworu uciekli również starsi oficerowie, powołani spośród lokalnych stekirów. Z ich przykładu skorzystała reszta kadry dowódczej, wywodząca się ze szlachty, nie mającej nic wspólnego z walczącymi w pierwszych szeregach feddami.**

**Zwykli żołnierze stawiali jeszcze przez jakiś czas opór, lecz w obliczu braku dowódców i stałego naporu fanatycznego nieprzyjaciela ich formacje utraciły spójność i zaczęły rozpadać się i uciekać.**

**Zaczął się od maruderów z ostatnich szeregów, którzy pognali śladem oficerów. Następnie przeredziły się środkowe szeregi, by wreszcie wszyscy, którzy jeszcze trzymali się na nogach, ulegli panice i zerwali się do rozpaczliwej ucieczki. Tysiące miało nadzieję schronić się za murami Salpalangum, lecz bramy miejskie pozostały zamknięte.**

**Część cesarskiej kawalerii, sam kwiat armii, zdołała w zwartym szyku wycofać się z pola bitwy, lecz większość oddziałów zamieniła się w motłoch, umykający co sił w nogach ku rzece na wschodzie.**

**W pościg za nimi rzuciły się dwa strumienie ubranych w czerń wojowników, legiony Argonathu opływające niczym woda parę kwadratowych skał. Opuściwszy pole bitwy, wroga armia rozproszyła się, mijając miasto i prąc na wschód. Rozpoczęła się trwająca wiele godzin rzeź i grabież północnego Kwa. Bitwa pod Salpalangum skończyłaby się, gdyby nie pozostałe na polu dwa legiony Argonathu, które spokojnie przystąpiły do zmiany szyku.**

**Większość dowódców regimentów przyjęła rozkazy bez zbędnych emocji. Wyćwiczone w manewrach oskrzydających regimenty miały obejść główne siły i wzmocnić flanki. Jednocześnie skrócono front. Ludzie i smoki domyślili się, że szykują się do kontrataku. Pomimo ogromnej liczby wrogów morale było wysokie.**

Wyjątek stanowiła głowa Ósmego Regimentu. Komendant Porteous Glaves nie przyjął rozkazów ze spokojem.

Ósmy znajdował się pomiędzy Siódmym, świetnym oddziałem oskrzydlałym, a Szóstym. Stało się tak ze względu na to, że Ósmy Regiment był nowym oddziałem, nie mającym większego doświadczenia w technikach oskrzydlenia.

Niestety Porteous Glaves dostrzegł ucieczkę dworu Ourdh. Potem obserwował rejteradę generałów i oficerów, a wreszcie z zamierającym sercem ujrzał załamanie się i odwrót olbrzymiej cesarskiej armii.

Legiony zostały same, otoczone morzem religijnych fanatyków. Glavesa ogarnęło przerażenie i gniew. Nie chciał tutaj umierać. Sephici wyprawiali z jeńcami straszne rzeczy. Powinien odebrać sobie życie, by nie wpaść w ich łapy, lecz nie był pewny, czy się na to zdobędzie. Z drugiej strony nie wyobrażał sobie wytrzymania tortur. Zgrzytał zębami i wściekał się na Ruwata, który doradził mu wykupienie stanowiska w legionach.

Na początku bitwy Glaves jeździł za plecami swoich ludzi i zachęcał ich do walki, obrzucając wrogów obelgami. Postanowił zrobić porządne przedstawienie, by cały legion zobaczył, jak dobrze i głośno dowodzi.

Jednak żołnierze robili swoje z brutalną efektywnością, a pomagało im w tym niezdiscyplinowanie Sephitów. Nie było w tym nic porywającego czy romantycznego. Rzeź trwała w najlepsze, krew lała się i pryskała dokoła, a Glaves umilkł, zniesmaczony odgłosami i smrodem śmierci. Ściekające ze smoczego miecza krew i wnętrzności uwalniały mu spodnie. Kolejna porcja obrzydliwości pacnęła go w twarz i rozlała się na ramieniu. Omal nie wymiotował. Wycofał się na tyły i stanął cichutko obok Dandraxa. Popijał wodę i krzywił się na co głośniejsze odgłosy, z jakimi smocze miecze rozpruwały bezradnych Sephitów.

Próbował wymyślić jakąś drogę wyjścia z tej pułapki. Otwarta ucieczka nie wchodziła w grę. Nie tylko zostałby dostrzeżony i potępiony, lecz poza szeregami legionistów kłębiło się morze Sephitów i bandy ubranych na czarno jeźdźców, czekających tylko na pochwycenie kogoś takiego jak on. Ucieczka była niemożliwa, poddanie się także. Wyglądało na to, że nie zostało mu nic, prócz siedzenia w miejscu, pocenia się i modlenia o przeżycie.

Wówczas nadeszły rozkazy od generała Hektora i legiony zaczęły przeformowywać regimenty. Ósmy miał utrzymywać pozycję, przejmując część obowiązków od Szóstego, który właśnie ich obchodził, mając zamiar połączyć się z Siódmym. Za Szóstym pojawił się Trzeci, wzmacniając skrzydło. Legion przekształcił się w trójkątną broń, grot, czekający na ciśnięcie we wroga.

Jeszcze przed zakończeniem manewru generał Hektor wezwał do siebie dowódców legionów. Wyglądał na bardzo opanowanego, pomimo ucieczki cesarskiej armii. Porteous Glaves po raz kolejny doszedł do wniosku, że nigdy nie zrozumie wojskowego umysłu.

–W porządku, panowie – zagaił generał. – Oto nasza sytuacja. Armia wroga utraciła spójność. Większość jej oddziałów ściga właśnie cesarskich uciekinierów. Przed nami zostało jakieś dwadzieścia tysięcy nieprzyjacielskich żołnierzy, może

mniej, za plecami których znajduje się wrogi sztab. Atakujemy natychmiast frontem ściągniętym do czterech regimentów. Z tej samej ilości oddziałów będziemy mieć skrzydła i odwody. Drugi Legion Marneri utworzy czoło i lewą flankę formacji, zaś Pierwszy Legion Kadeinu sformuje prawą flankę i odwody. Wyruszamy natychmiast.

Dobosze zagrali sygnał, zadźwięczały srebrzyste komety Argonathu i legiony ruszyły równym krokiem przez otwartą przestrzeń w stronę centrum wrogiej armii, znajdującego się jakieś dwieście kroków przed nimi.

Zasywały ich strzały, lecz mieszkańcy Kenoru strzelali w marszu, kładąc pokotem nieprzyjacielskich łuczników tak szybko, jak ci się pokazywali.

Wówczas pojawiły się zastępy szarżującej kawalerii.

–Przygotować się na przyjęcie jazdy! – rozległ się okrzyk.

Kawaleria! Zaraz stratuja ich masy konnych Sephitów o oszalałym wzroku! Porteous Glaves myślał, że mu serce stanie. Wiele czytał o nowej taktyce ciężkiej jazdy Talionu i teraz panicznie bał się wszystkich konnych.

Ucieczka była niemożliwa, a dalszy marsz naprzód oznaczał śmierć. Porteous zobaczył nadlatujące strzały. Skulił się i załkał ze zgrozy. Koń spłoszył się i podrzucił go. Glaves poczuł nagle uderzenie w czoło, o które otarła się strzała. Oszolomiony osunął się i spadł z siodła.

W głowie dzwięczało mu od ciosu, nie stracił jednak przytomności. Przyłożył rękę do czoła i odjął ją wilgotną. Krwawił. Zesztywniał, porażony raptowną nadzieją. Może to było jego wybawieniem? Może Matka wybaczyła mu grzechy i ukazywała ratunek? Porteous leżał nieruchomo. Dandrax przyskoczył do niego, by go zbadać.

–Uspokój się, głupcze, i trzymaj innych z daleka! – warknął Glaves półgębkiem. Po chwili ciągnął szeptem – Ile mam krwi na czole?

–Mnóstwo. Trzeba obwiązać głowę.

–Później. Teraz obejrzyj się wstecz. Czy mamy wolną drogę ucieczki?

Dandrax zerknął przez ramię. Mijały ich regimenty odwodu. Sztab generała Hektora był daleko z przodu. Za nimi zostały już tylko beczkowozy i wozy bagażowe, chronione kordonem „zatykaczy” i paroma oddziałami kawalerii Talionu, gotowej odeprzeć ewentualnych maruderów.

Później nie było już nic, prócz trupów wrogów i uciekających w oddali małych grupek odzianych w biel ludzi.

Dandrax spojrział do przodu. Nieprzyjacielska jazda nie wskórała wiele. Nie potrafili szarżować z opuszczonymi lancami na ścianę tarcz. Ich wierzchowce bały się smoków.

–Jazda wroga pierzcha. Niedługo możemy stąd uciekać, panie. Niech tylko przejadą wozy.

Glaves leżał na plecach i wpatrywał się w niebo, jasne, błękitne i bezchmurne. Ocalenie!

Wozy przejechały. Dandrax trwał skulony przy nieruchomym ciele pracodawcy. Nadszedł kapitan, który zostawił z komendantem kilku ludzi, nakazując im ocucić go w miarę możliwości.

Dwieście metrów dalej Ósmy Regiment nacierał na trzymającą centrum gwardię

Sephisa, elitarną jednostkę złożoną z najsilniejszych, najbardziej walecznych wojowników. Wieść o upadku Glavesa uskrzydliła legionistów z Ósmego. Szli przed siebie z okrzykiem na ustach, byli nie do powstrzymania.

Gwardia Sephisa zaryczała własne wyzwanie i runęła na nich z obnażonymi mieczami.

Oszczepy legionistów wbiły się w tarcze przeciwników. Łatwo było je wygiąć, lecz trudno wyszarpnąć. Tak obciążoną tarczą ciężko było manewrować, a przeciwnik bez problemu mógł zaczepić ją skrajem własnej tarczy i odsunąć, wystawiając wroga na dźgnięcie mieczem, włócznią lub oszczepem.

Obydwie armie zderzyły się z hukiem tarcz, lecz w szeregach Sephitów panowało zamieszanie, co ułatwiło legionistom rozbicie pierwszych szeregów gwardii. Na osłabiony środek runęły smoki, roznosząc go na strzępy.

Za rozbitą gwardią stała linia kawalerii, a dalej kapłani Sephisa i generałowie, którzy pospiesznie wskakiwali na konie, próbując uciekać.

Niestety ich rumaki nie były przyzwyczajone do smoków i natychmiast wpadły w panikę. Smoki i giermkowie przedzierali się przez pierzchającą kawalerię, strącając jeźdźców, przewracając konie i wpadając w końcu na grupkę przerażonych mężczyzn w długich, czarnych szatach, ze złotymi opaskami na wygolonych czaszkach i dyndającymi u pasów szkarłatnymi symbolami. Próbowali oni uciekać konno, lecz było już za późno – kawaleria Talionu oskrzydliła ich z prawej strony, odcinając drogę odwrotu.

Relkin pobiegł za mężczyzną o okazałej tuszy, umykającym na szarym koniu. Wskoczył na siodło za jego plecami i przytknął mu sztylet do gardła. Nieszczęśnik spadł ze stłumionym wrzaskiem z siodła.

Złamany Ogon podszedł do wijącego się na ziemi kapłana i dźgnął go czubkiem miecza. Mężczyzna poderwał się na nogi z krzykiem.

Pochwyciło go dwóch legionistów, wiążąc mu ręce i odprowadzając na bok. Pojmany miał na czole znak węża.

Relkin zsiadł z konia i oddał go jeźdźcowi z Talionu. Uwagę chłopca przyciągnęło coś zupełnie innego. Za małym, czarnym namiotem zatknięto wysoką tyczkę, na której łopotał specjalny sztandar z wężem wyszywanym złotem i czerwienią i otoczonym złocistymi literami.

–Ich chorągiew! – zawołał do Bazila. Smok obrócił się i machnął mieczem. Razem ruszyli w stronę namiotu.

Zastąpiła im drogę garstka gwardzistów z mieczami w dłoniach. Relkin wpakował w jednego bełt, a Bazil rozprawił się z resztą. Stał zadzwięczała o stal; Ector przecinał ze świstem powietrze.

Ostatni gwardzista padł, rozrąbany na pół. Relkin ściągnął chorągiew i schował do plecaka.

Następnie wdrapał się na smoczy grzbiet i rozejrzał dokoła.

Bitwa pod Salpalangum nareszcie dobiegła końca. Horda Sephitów zbiła się w dezorientowaną masę. Ich dowódcy – generałowie ze sztabem – w większości dostali się do niewoli, a centrum armii przestało istnieć. Skrzydła zastępów Węża

wciąż ściagały resztki cesarskiej armii, stając się bezużyteczne na dni, a może nawet tygodnie. W większości nienaruszone legiony zostały same na polu bitwy. Nie ponieśli zbyt dużych strat, a morale było wysokie.

Jeden generał Hektor nie pozwalał sobie na odprężenie. Nakazał ufortyfikowanie ich pozycji. Wykopano fosę, wzniesiono palisadę i nasyp. Wewnątrz warownego obozu legiony nareszcie mogły odetchnąć. Wszedł księżyc, rozświetlając noc przeszywaną wrzaskami dogorywających na polu wrogów.

Hektor zezwolił na wydanie żołnierzom racji whisky. Drugi Legion Marneri był bardziej zmęczony, toteż mógł pójść spać jako pierwszy.

Wtedy właśnie do swoich ludzi powrócił komendant Porteous Graves, przywieziony na grzbiecie własnego konia przez Dandraxa. Miał nieporządnie obandażowaną, zakrwawioną głowę. Hektor wysłał osobistego chirurga, by ten go zbadał, podczas gdy Dandrax rozbijał namiot i kładł komendanta do łóżka.

Chirurg na jego czole odkrył długie, wąskie rozcięcie i wielkiego, purpurowego siniaka. Zameldował, że Graves miał wiele szczęścia, iż uszedł z życiem.

–Cał w prawo i strzała przeszłaby przez skroń. – Hektor przyjął wyjaśnienie i zrezygnował ze stawiania Gravesa przed sądem wojennym.

Odległe o milę Salpalangum spowiła noc. Jedna po drugiej rozbłyskiwały miejskie lampy. Humory w legionowym obozie dopisywały. Salpalangum na zawsze pozostanie synonimem wielkiego zwycięstwa. Najlepsze było to, że ponieśli niewielkie straty: nieco ponad tuzin poległych i ani jednego przypadku koniecznej amputacji wśród rannych.

Zgromadzeni przy namiotach żołnierze z ożywieniem rozprawiali o bitwie, popijając whiskey i śpiewając piosenki. Panowała rzadka atmosfera święta. Wynieśli sztukę wojenną na zbliżony do doskonałości poziom. Rozgnietli przeciwników jak żołędzie. Oczy legionistów tryskały radością i dumą.

Smoki 109 i ich giermkowie przespali całą zabawę, zbyt znużeni, by zrobić cokolwiek ponad położenie się i poddanie zmęczeniu.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Lagdalen z Tarcho stała na tarasie najwyższego piętra domu kupca Irhana z Bea i podziwiała ogrom miasta Ourdh.

Było już ciemno, lecz miasto oświetlały miliony lamp. Szerokie aleje ciągnęły się w dal niczym rzeki żółtego blasku, uchodzące do serca miasta, gdzie wznosiły się wieżycy cesarskiej fortecy Zadul z zielonymi latarniami na szczytach.

Znacznie bliżej majaczył w mroku masyw potężnego zigguratu Aurosa Kolosa ze stojącą na szczycie boską statuą, skąpaną w złocistym blasku.

Wiał ciepły wietrzyk i Lagdalen miała na sobie jedynie bawełnianą sukienkę i sandały. Powietrze przesycone było zapachami miasta: jaśminem z pobliskich ogrodów i smrodem z zachodnich i północnych dzielnic, biedniejszych i bardziej zatłoczonych. Południowe ciepło było dla dziewczyny z północy luksusem. Nie opuszczała jej świadomość, jak daleko od domu się znalazła.

Jakże niewyobrażalne było to dla prostej dziewczyny z Marneri. Przecież całe Marneri dałoby się zamknąć w murach miasta fedafera, stanowiącego jedynie niewielki wycinek ogromnego Ourdh. Mieszkały tu miliony ludzi, więcej niż cała ludność wszystkich metropolii Argonathu.

Widziała krajobrazy, których nigdy nie zapomni, rzeczy tak wstrząsające, że nawet w Tummuz Orgmeen nie spotkała się z czymś takim i istne cuda, na przykład złoty posąg bogini Gingo-La, stojący nad jej świątynią przy Cesarskiej Alei. Widziała go zresztą także teraz, lśniący srebrzystą poświatą na czubku niewielkiej piramidy, wzniesionej ponad świątynią bogini.

Pamiętała wstrząs, jaki przeżyła, gdy Ribela oznajmiła jej, że nie ma tu świątyni Wielkiej Matki. Niepojęte dla niej było, że mieszkańcy Ourdh nie rozumieją, iż Wielka Matka jest wszystkim, nawet głupimi bogami i boginiami.

Znajdowała się wszędzie. Była źródłem substancji świata. Dlatego właśnie w świątyniach nie stały żadne jej posągi. Ona sama była w pewnym sensie świątynią.

Lagdalen westchnęła. Być może w innej sytuacji byłaby tym wszystkim zafascynowana. Byłaby wdzięczna za okazje do zobaczenia tego i poszerzenia swej wiedzy. Teraz jednak działo się wręcz odwrotnie – była nieszczęśliwa i ciągle myślała o maleńkiej Laminie, o roześmianych oczach niemowlęcia. Czy była zdrowa? Szczęśliwa? Czy tęskniła za mamą?

Jęknęła cichutko. Wessary była jedną z najbardziej opiekuńczych dziewcząt, jakie знаła. Laminna znajdowała się pod doskonałą opieką. Zapewne nawet nie tęskniła za prawdziwą matką. Nim Lagdalen do niej wróci, pewnie uzna Wessary za swoją mamę.

Zacisnęła zęby. Musiała przegnać precz takie myśli. Roilo się jej, że pewnego dnia przywiezie tu swoje dziecko. Pewnego dnia.

Odwróciła się na dźwięk za sobą. Ciężkim krokiem zbliżał się ku niej kupiec Irhan. –Jak ślicznie – odezwał się. – Podziwiasz widoki? – Tak, kupcze.

–To twoja pierwsza wizyta w Ourdh? – Tak.

Irhan wypiął pierś. Był wielkim, grubym mężczyzną w prostym, ciemnym kaftanie, przypominającym krojem stroje z Cunfshonu.

–Mam szczerą nadzieję, że to starożytne miejsce wywrze na tobie pozytywne

wrażenie. Nie mamy niczego takiego w naszej ojczyźnie.

Skinęła głową.

–Dokładnie to sobie właśnie pomyślałam.

–Ach, ten wiaterek, ten delikatny zapach zepsucia i ogrodowych kwiatów – to jest dla mnie Ourdh. To oraz świetna kuchnia ulicy Ostrych Przypraw.

–Wspominało o niej wielu ludzi. Mam nadzieję, że choć raz ją odwiedzę.

Oblicze kupca zmartwiało.

–Na Wielką Matkę! Oczywiście, że powinnaś bywać tam każdego wieczoru.

Kuchnia ulicy Ostrych Przypraw jest najlepsza na świecie. Mieszają tam sezam i pszenicę północy z oliwą, rybą i winem wybrzeża i południa. Dodają tropikalnych smakołyków z Canfalonu, grzybów ze wschodnich prowincji oraz szczyptę egzotycznych przypraw z Eigo i wysp tropikalnych. Ach, ulica Przypraw owa! Uwierź mi. W Kadeinie są może trzy restauracje, które znalazłyby się w pierwszym tuzinie tutejszych lokali. Udajmy się za godzinę do jednego z moich ulubionych miejsc. Powinniśmy odwiedzić Endryda, to świetne miejsce z niesamowitym wyborem win. Co ty na to? Odpowiada ci, odpowiada ci? Na Matkę, powinno bardzo odpowiadać, jak sądzę.

Poklepał się po wydatnym brzuchu.

–A więc, do Endryda. Pieczona kaczka i falafel są wyśmienite. Pikantne węgore także powinny ci smakować.

Od drzwi dobiegł ich kolejny hałas, wzbogacony lekkim podzwanianiem. Pojawiła się żona kupca, Inula. Do kwadratowego kapelusza z czarnej satyny przyczepione miała kilka wiecznie pobrzękujących dzwoneczków. Ubrana była w wieczorową suknię z szarego jedwabiu i satynowe buty, a polakierowane włosy udrapowane miała w sztywny wachlarz na modłę Ourdh. Podeszła do Lagdalen, ujęła ją za rękę i ścisnęła pomiędzy swoimi.

–Moja droga, to taki honor gościć cię w naszych progach. Jesteś ucieleśnieniem piękna Marneri. Ta świeżość, czystość spojrzenia. Jesteś żywym zaprzeczeniem nudy dręczącej nas w tym grzesznym mieście.

–Lady Inulo, honorem jest bycie waszym gościem.

–Ależ dziękuję, moja droga. Przypomnij o mnie, proszę, swemu ojcu. Kiedyś bardzo dobrze się znaliśmy. Tommaso spędził za młodu pięć lat w Bea.

–Uczynię to, pani.

Inula wsunęła rękę pod mężowskie ramię i odetchnęła wonnym, nocnym powietrzem.

–Ach, to miasto, jak raz wejdzie ci w krew, trudno jest się od niego uwolnić. Wiesz, że podczas mojej ostatniej wizyty w rodzinnym domu byłam nieszczęśliwa? Bea jest niewielka, mniejsza od Marneri. Te wszystkie koślawe domy wewnątrz murów, ta ciasnota i duchota. Smród ryb! – Roześmiała się. – Chyba przyzwyczailiśmy się do tego wielkiego miasta.

Lagdalen zacisnęła wargi i zapytała ostrożnie – A jak radzicie sobie z tą całą podłością? Dziś mijałyśmy targ niewolników. Sprzedawano tam i kupowano ludzi setkami.



**Kupiec chrząknął.**

**–Życie w Ourdh jest okrutne – odezwała się prędko Inula. – To starożytna cywilizacja, istniejąca w czasach gdy po Veronathcie spacerowały jeszcze wilki i niedźwiedzie. – Zamachała rękoma. – Żyją tak od eonów. Początkowo trudno to zrozumieć, trzeba jednak zauważyć, iż pod skorupą okrucieństwa kryje się żywa, bogata kultura. To jedno z najwspanialszych miast świata. Kulturowane są tutaj sztuki i umiejętności nieznane gdzie indziej. Musisz zwiedzić nową wystawę w galerii Palmooku. Dzieła nowej szkoły malarstwa są absolutnie cudowne. Zaskakujące umiejętności i bardzo zabawne efekty.**

**–Zostawiają zwłoki skazańców na szubienicach Zody – dodała Lagdalen.**

**Kupiec Irhan oparł się o balustradę i przemówił spokojnym głosem, jakby recytując wielokrotnie wygłaszany tekst.**

**–Lud Ourdh wierzy, że życie to ból i smutek na równi z radością i przyjemnością. Wierzą, iż powinni celebrować wszystkie aspekty życia. Nawet śmierć. Ich system wymierzania sprawiedliwości jest brutalny, lecz skuteczny. Płacą za informacje, przeprowadzają śledztwo i osądzają. Osądzonych za zbrodnie czeka stryczek.**

**Lagdalen zerknęła na tętniącą życiem ulicę w dole. To była Kasfaar, ruchliwa aleja karet, wozów i riks, ciągniętych przez przykutych do siedzisk niewolników. Pasażerowie często wyposażeni byli w długie, grube bicze, którymi popędzali rikszarzy.**

**Irhan obserwował ją przez chwilę.**

**–Ach tak, rikse. Cóż, patrzysz właśnie na inny przejaw ich systemu sądowniczego. Na rikse skazuje się za przemoc i kradzieże, które nie podlegają karze śmierci. Odsługują swoje pomiędzy dyszlami i zwykle opuszczają je w znacznie lepszej kondycji niż przed aresztowaniem.**

**Irhan zdawał się aprobować ten system. Lagdalen nie była przekonana.**

**–Skąd wiedzą, że ci ludzie zostali sprawiedliwie osądzeni, zwłaszcza skazani na szubienicę?**

**Kupiec roześmiał się z pobłażaniem.**

**–Są rozprawy, sądy. Wszystko dzieje się oficjalnie. Panuje sprawiedliwość.**

**Jego żona parsknęła cicho i odwróciła się. Lagdalen rozumiała ją. Nie zgadzała się do końca z mężem, niemniej nie chciała mu zaprzeczać. Lecz przekaz był jasny. Była sprawiedliwość, była także korupcja. Tutejsza sprawiedliwość grzęzła w błocie krwi.**

**Kupiec z żoną mieszkali w domu dwu-, trzykrotnie większym, niż mogliby mieć w Bea lub Maraeri. Cztery piętra i dwadzieścia cztery komnaty, w tym sala balowa i podgrzewane baseny kąpielowe. Rezydencja była wystawna nawet dla Tarcho, którzy dorastają w najlepszych warunkach Wieży Straży. Dla Irhana i Inuli stało się to sposobem na życie.**

**Dla tego zbytku opuścili ojczyznę, zamieniając jej surowość i rzeczowość na hedonizm dekadencji. Irhan nie posiadał żadnych niewolników, tak przynajmniej twierdził. Inula utrzymywała, że służba kuchenna jest wolna, lecz Ribela wyjaśniła jej, iż byli związani z domem. Stale groziły im kary cielesne, a tytułem zapłaty zapewniano im posiłki, utrzymanie i kąpiel do spania. Lagdalen przypuszczała, że ani**

kupiec, ani jego żona nie byli nadmiernie zniesmaczeni pojęciem niewolnictwa. Przyjmowali je razem ze wspaniałością Ourdh.

Nagle poczuła znajomą obecność i obróciła się. Dołączyła do nich Ribela z Defwode. Odziana była jak zwykle w ciemny strój, przyozdobiony w srebrne mysie czaszki.

–Lady – pozdrowił ją kupiec kłaniając się. Inula przyklękła na kolano.

Ribela odkłoniła się wdzięcznie.

–Bracie Irhanie, siostrze Inulo, witam w ten miły wieczór.

–Zaprawdę miły. Pomyśleliśmy sobie, że zabierzemy was na ulicę Przypraw, jeden z cudów świata. Po długiej podróży musicie tęsknić do bardziej urozmaiconego jedzenia.

Pomarszczone oblicze Ribeli wykrzywiło się w skąpym uśmiechu. Żona kupca naprawdę wierzyła, że Królową Myszy interesuje w jedzeniu coś innego niż wartość odżywcza? Prychnęła z rozbawieniem.

–Może innym razem. Obawiam się, że wieczorem będziemy miały trochę pracy. – Spojrzała na Lagdalen. – Oczekują nas w pałacu. Chciałabym zobaczyć się z cesarzem. Będziesz mi towarzyszyć i notować w razie potrzeby. Weź rysik i tabliczkę.

Inula była bardzo zawiedziona.

–W takim razie może jutro?

–Dobrze, o ile jeszcze tutaj będziemy. – Ribela odwróciła się, z nieznacznym ukłonem.

Irhan położył dłoń na ramieniu żony.

–Nic nie mów, pani – mruknął. – Nic nie mów. Ribela i Lagdalen wyszły.

–To Królowa Myszy, kochanie, musisz o tym pamiętać. Ma ponad sześćset lat. Inula przytaknęła.

–Jakże można o tym zapomnieć? Te wszystkie srebrne czaszki. W pewnym sensie wyglądają dość barbarzyńsko.

Irhan zadumał się na różnicami w widzeniu świata przez Argonath i Ourdh.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Powóz turkotał na przecinającej świątynną dzielnicę Cesarskiej Alei. Ruch tutaj ograniczony był do karet i powozów oraz garści rikszy, wykorzystywanych przez biurokratów.

Minęły gmach przybytku Gingo-La, wysoki na pięćdziesiąt stóp i długi na pół mili, na którym usadowiła się mała piramida i rozległa świątynia. Na szczycie piramidy lśniła statua bogini, przedstawiająca ją w obszernych szatach i z dzieckiem na ręku.

Po lewej pojawił się znacznie większy ziggurat Aurosa Kolosa. Wzdłuż alei ciągnęły się pomniejsze świątynie, przeważnie poświęcone któremuś aspektowi Aurosa. Auros Doskonały wyróżniał się płytkami w kolorze morskiej zieleni, Aurosa Spokojnego wyobrażono w chłodnej bieli.

W końcu zostawiły świątynie za sobą i przecięły otwartą przestrzeń, znaną jako Zoda, przestronny plac, wykorzystywany do parad i egzekucji. Wzdłuż północnego krańca wzniesiono rzędy szubienic, na których powoli rozkładały się ciała skazańców. Kłębiły się tam stada kruków i sępów.

Lagdalen zerknęła w tamtą stronę, zaraz jednak odwróciła wzrok wzdrygając się. Przed nimi majaczyły potężne mury Cesarskiego Miasta, siedziby fedafera, będącej dosłownie miastem w mieście.

Dotarły wreszcie do olbrzymich Wrót Fedafera. Podszedł do nich strażnik, stanął jednak jak wryty, uderzony wzrokiem Ribeli. Wrota otwarto bez zbędnych pytań.

W środku Lagdalen ujrzała kilka pałaców i prywatną świątynię Aurosa cesarza wszechświata. Wszystkie budynki były bardzo okazałe, nawet baraki gwardii fedafera. Ogrody pyszniły się kwiatami i drzewami owocowymi. Większość budowli otaczały żywopłoty. Wzdłuż wewnętrznych uliczek rosły kwitnące drzewa. Po alejkach, w niewielkich, ciągniętych przez miniaturowe osiołki wózkach jeździli wygoleni eunuchowie.

W końcu stanęły przed imponującą bramą samego Cesarskiego Pałacu, ogromnej budowli z białej cegły z basztami i wieżyczkami.

W przestronnym, jasnozielonym holu, przyozdobionym heroicznymi freskami, zatrzymały się przy czerwonym stoliku, za którym siedział eunuch w białej szacie. Na tysej czaszce czerwoną farbą wymalowany miał geometryczny wzór.

Eunuch unikał patrzenia Ribeli w oczy. Głowę trzymał opuszczoną nisko nad białym. W ogóle na nich nie patrzył. W rękach ścisnął talizmany i nieustannie mamrotał zaklęcia, chroniące przed mocą wiedźmy.

Za wewnętrznymi drzwiami zniknął posłaniec, drobny człowieczek w białej szacie eunucha. Urzędnik przy stoliku wyjął parę zatyczek i ostentacyjnie włożył je sobie w uszy.

Ribela prychnęła.

Czekały. Lagdalen wyczuwała rosnące zniecierpliwienie lady. Ribela nie nawykła do świata ludzi, brakowało jej umiejętności Szarej Pani we wpływaniu na ludzi.

Mijały ich grupki eunuchów w bieli. Na widok Królowej Myszy wbijali wzrok w podłogę, zatykali uszy palcami i mamrotali modlitwy do Aurosa.

To tylko podsycalo gniew Ribeli. Lessis ostrzegała ją mentalnie przed utratą

opanowania w kontaktach z mieszkańcami cesarstwa.

–Źle zareagujana takie demonstracje. Nie zdobędziesz w ten sposób ich serc. Usłysz mnie, Ribelo.

Ribela słyszała, tłumaczyła sobie jednak, że Lessis nie ma zbyt wielkiego doświadczenia z Ourdh. Nigdy nie chciała mieć do czynienia z zepsuciem południa. Zanadto przerażało ją to, co tutejszy lud wyprawiał na festiwalach, zwłaszcza tym poświęconym starożytnej bogini rzeki Oon.

Prace Nadzwyczajnego Biura Śledczego prowadziły tu inne: Vleda, wyższa czarownica Talionu, i Crissima, wielka czarownica Kadeinu.

Być może więc rady Lessis odnośnie tubylców były złe. Może konieczne były bardziej bezpośrednie metody. Ribela zerknęła na eunucha przy stoliku. Gdyby usunąć mu te zatyczki, mogłaby wykorzystać przeciwko niemu Głos. Zaprowadziłby ją bezpośrednio do cesarza.

Lagdalen nie spuszczała z niej wzroku. Ribela odwróciła się, czując nagle ukłucie gniewu. Dziewczyna cały czas oceniała ją przez pryzmat Lessis. Trudno było podążać ścieżką Szarej Pani – Lessis z Valmes była najbliższym uosobieniem świętej. Ribela nie była święta. Nie znosiła, jak ludzie partaczą swoje sprawy. Zawsze miała ochotę nimi potrząsnąć.

A teraz ona, Ribela z Defwode, miała tu czekać na kaprys tego karłowatego cesarzyka, Banwiego Shogemessara. Miała czekać, zupełnie jakby jej czas nie był taki cenny. Zostawiła projekt „Escopus” w rękach podwładnych. Niech im Matka pomoże, jeżeli któraś z nich popełni jakiś błąd. Musiała szybko wracać. Spędziła już ponad tydzień z dala od Defwode. Musi skończyć tę pracę i natychmiast wracać przez Czarne Zwierciadło. W ten sposób wróci na czas, by dołączyć do projektu Escopusa przed kryzysem Solstice.

Wróciła spojrzeniem do zatyczek eunucha. Kusilo ją, żeby je wyjąć.

Lagdalen zagryzła wargi.

Otworzyły się podwójne drzwi, przez które wniesiono niewielką grupkę wyższych rangą urzędników w lektykach.

Z siedzisk zeszło dwóch dostojników o długich, potarganych włosach. Nosili bogate szaty ze szmaragdowego jedwabiu. Towarzyszyła im para eunuchów w bieli.

Urzędnik przy stoliku ukłonił się głęboko przybyszom.

–Pani z wysp, witają cię monstekir Canfalonu i monstekir Kwa – odezwał się jeden z nowo przybyłych eunuchów w purpurowej czapeczce na czubku wygolonej głowy.

Wszyscy, prócz monstekirów, ukłonili się teraz czarownicy.

Lagdalen cieszyła się, że przez ostatnie dni zdążyła poznać trochę ourdhi. Oczywiście to Ribela ją zachęciła. Twierdziła, że możliwe jest nauczenie się języka w siedem dni, jeżeli komuś bardzo na tym zależy. Miała rację. Rozmawiały ze sobą wyłącznie w ourdhi, poświęcając nauce wszystkie spędzone na statku poranki.

–Moja droga, twój umysł jest wciąż młody, relatywnie elastyczny. Musisz wyteńczyć siły, odkryć swoje możliwości. Nie poznasz ich, dopóki nie spróbujesz.

Teraz Lagdalen odkryła, że była w stanie zrozumieć większość tego, co było mówione, dopowiadając sobie resztę. To było nadzwyczajne.

**–Dziękujemy – odparła Ribela. – A teraz zabierzcie mnie do fedafera.**

**Monstekirzy potrząsnęli berłami i pokręcili głowami.**

**–Fedafer przysłała nas z wiadomością, że jest niedysponowany i musi prosić cię o odwołanie audiencji. Zgłoś się jutro z zapytaniem, kiedy będzie można zaaranżować następne spotkanie.**

**Ribela traciła cierpliwość. Lagdalen stężała. Nie igrało się z Królową Myszy.**

**–Z wielkim smutkiem słyszę, że w tak trudnych czasach cesarza zmoęła choroba. Jakaż jest jej przyczyna? Znam się, oczywiście, na leczeniu.**

**Monstekirzy zbledli, słysząc ourdhi Ribeli - płynny, lecz barbarzyńsko akcentowany.**

**–Nie ma potrzeby sprawiania ci tym kłopotu, pani – odrzekli pospiesznie. – Lekarze czuwają nad fedaferem od wielu godzin.**

**Oczy czarownicy zwęziło zdumienie.**

**–Ależ ledwie przed godziną posłaniec przyniósł mi wiadomość, że fedafer jest gotów do spotkania ze mną. Jak to możliwe? Jest w tym jakaś nielogiczność.**

**Monstekirzy poczerwieniali. Eunuchowie mamrotali między sobą.**

**Cierpliwość Ribeli prysła. Wzięła z sykiem głęboki wdech. Eunuchowie zasłonili uszy rękoma, ale monstekirzy byli za wolni.**

**Czarownica wykorzystała serię szybkich zaklęć, by ich unieruchomić, po czym utkała kolejny czar. Chwilę później opuszczali hol wewnętrznymi drzwiami. Eunuchowie ciągnęli się za nimi, pomrukując między sobą.**

**Przemierzyli ciąg komnat, z których każda kolejna była mniejsza od poprzedniej, a wszystkie przypominały wysadzane drogimi kamieniami szkatułki.**

**Wreszcie zatrzymali się przed podwójnymi drzwiami, gdzie straż *trzymała* para wojowników.**

**Monstekirzy zamachali rękoma i drzwi stanęły otworem.**

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Fedafer Ourdh, władca dobrze nawodnionej ziemi, pan wielkiej rzeki, żywiciel milionów, ukochany pierworodny Aurosa, małżonek Gingo-La, czcigodny eksceleńcja południowego wiatru, dawca deszczów, siewca, król Ajmeru, Bogry, Patwy, lord Shogemessar, cesarz Banwi Wielki kulił się rozdygotany na niebieskim jedwabiu sofy w apartamencie swojej cioci Harumy.

–Co ja mam robić? – dopytywał się żałośnie.

Haruma patrzyła na niego z litością. Biedaczek, pod presją puszczały mu nerwy. Narastało to w nim od lat, lecz rozmiary obecnego kryzysu po prostu go przerastały. Lopitoli świetnie o tym wiedziała i starała się to wykorzystywać. Znała synowskie słabości.

–Musisz odsunąć na bok spiski twojej matki. Jeżeli złapiesz Zanizaru, pozbądź się go. Ostrzegłeś go poprzednio. Nadszedł czas, żeby krokodyle wyprawiły sobie z niego ucztę. Lopitoli możesz zostawić w spokoju – bez Zanizaru zabraknie jej dziedzica, dla którego mogłaby knuć, przynajmniej nim nie dorośnie któryś z twych młodszych kuzynów. Zanim to nastąpi, przygotujesz się do rozprawy z nią. Na razie wciąż jest zbyt potężna.

–Ba! Mówisz, żeby ją ignorować, ale to bardzo niebezpieczne. Wiem, do czego jest zdolna. Istnieje mnóstwo pozbawionych smaku trucizn, z których część działa tak wolno, że dopiero po jednym lub więcej dniach zaczynają wywierać efekt. Moi kiperzy nie przydadzą się przeciwko nim, a Lopitoli zna je wszystkie. Pamiętaj, jak umarł mój ojciec. Zwrócił się przeciwko niej, a ona go zabiła. A potem moich wujków, braci i kuzyna Aloopa. A ty radzisz, żeby ją ignorować? Haruma westchnęła.

–Jej pozycja nie jest tak mocna jak kiedyś, a ty masz dowody na bunt Zanizaru. W obliczu trwającej wojny domowej wdowa po starym cesarzu nie podejmie żadnych wrogich działań. Masz polityczną przewagę. Wszyscy stekirzy pójdą za tobą, zostałyby sama.

–Och, gdzie jest Zettila? Dlaczego jej tu nie ma? Haruma zmarszczyła brwi.

–Zettila prowadzi własną grę i doskonale o tym wiesz. Niekoniecznie trzeba jej ufać.

Na jego twarzy odmalowała się uraza. – Ufam jej, ciociu. Wiele dla mnie znaczy.

–Po prostu bądź ostrożny, mój panie, to wszystko, co chcę powiedzieć. – Haruma zdawała sobie sprawę z rosnącego radykalizmu Zettili jako „córki” Gingo-La. Czy kapłankom Gingo-La dobro cesarza naprawdę leżało na sercu?

–Prawdziwym zagrożeniem jest moja matka!

–Musisz skupić się na wrogu w Dzu, mój panie. Jest nie-bezpieczniejszy niż cokolwiek innego.

–Mogą zatrzymać sobie zachód. Niech robią, co im się żywnie podoba, dopóki w moich rękach pozostanie miasto i wschód.

–Ale jesteś królem Ajmeru.

–Ba! Nie ma tam nic prócz piachu i much. Daję im Ajmer w prezencie.

–Czemu jednak zakładasz, mój panie, że przeciwnik musi wygrać? Generał Hektor pobił go pod Salpalangum.

–Dosyć! – Nie można było zaprzeczyć, że Hektor wygrał bitwę. Cesarz postanowił, że bitwa jest przegrana, uciekł, a jego wojsko zostało rozbite i uciekło także. Nie było możliwe, by ta sama bitwa okazała się wiktoria dla żołnierzy Argonathu.

–Mój panie, jestem tylko starą i głupią ciotką Haruma. Chcę tylko tego, co jest najlepsze.

–Nie zwykłaś czegokolwiek chcieć i to mi odpowiadało.

–Mój panie, czemu nie wysłuchasz, czego od jeńców dowiedział się generał Hektor?

–To wszystko kłamstwa, kobieto. Nie rozumiesz, że to wszystko jest oszustwem, mającym na celu ograbienie mnie z tego, co mi jeszcze zostało? Argonath wierzy, że może zająć wschód, podczas gdy Sephici kontrolują zachód. Myślą, że zostawią mnie z niczym! Ale ja przejrzałem ich spisek. Nie uda im się.

Głos Banwiego wzniósł się o oktawę.

–Generał Hektor maszeruje na Dzu. Zamierza dotrzeć tam przed pełną mobilizacją wroga.

–Pożre go Wąż. Widziałem to w moich snach.

Haruma przewróciła oczami. Jak argonacki generał miał zająć cesarstwo, skoro pożre go Wąż? Umysł jej siostrzeńca był bardzo słaby.

–Mój panie, twoje sny powinny zostać opowiedziane wróżbiarce. Czemu nie pójść do niej od razu?

–To szpieg.

–Myła szpiegiem? Czyim, panie? Znam ją całe życie, jest godna zaufania.

–Sen powiedział mi, że cudzoziemcy zostaną zniszczeni. Zawrę układ z Sephitami. Niech sobie mają zachód, a ja zatrzymam wschód.

Haruma poczuła, jak ogarnia ją rozpacz. Skąd u Banwiego ten absurdalny pomysł?

Rozległ się dzwonek do drzwi. Do komnaty wsadził głowę sługa, szepcząc coś do Harumy. Skinęła ze znużeniem głową.

–Mój panie, jest tu twoja kuzynka. Banwi wyprostował się z uśmiechem.

Księżniczka Zettila wbiegła, zanosząc się śmiechem.

–Och, mój panie, cóż to był za widok. Kiedy drzwi się otworzyły i czarownica weszła do pustego pokoju, myślałam, że zamieni monstekirów w psy. Obserwowałam ją przez wizjer w tajemnym przejściu. Okręciła się na pięcie, wyrzaskując pod twoim adresem tysiące obelg.

Banwi skrzywił się.

–Przeklęta wiedźma! Nie zobaczę się z nią. Zamierzają pozbyć się mnie i przejąć tron. Nie tak łatwo mnie oszukać.

Haruma westchnęła. Banwi sam się gubił. Zagrożenie ze strony Sephisa było jak najbardziej realne, lecz cesarz nie potrafił spojrzeć prawdzie w oczy. Zastanawiała się, czy starczy jej odwagi na odwiedzenie wiedźmy. Ktoś musiał to zrobić.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Nazajutrz przed zmrokiem posłaniec Ribeli powrócił od generała Hektora i jego armii oddalonej o sto mil na północ.

Lagdalen otrzymała wezwanie na balkon.

Znalazła tam Ribelę i brudną mewę, która nie odzyskała jeszcze tchu po całodniowych zmaganiach z przeciwnym wiatrem.

–Jakieś wieści? – spytała z nadzieją. Czarownica obrzuciła ją nieprzyjemnym spojrzeniem.

–Są wieści, zwłaszcza dla ciebie.

Serce załomotało jej w piersi. Co miała na myśli? Czy z Holleinem wszystko w porządku? Czy jeszcze żył? Może został ranny?

Ribela skrzywiła się na minę dziewczyny. Od czasu do czasu zastanawiała się, co Lessis w niej widziała. Czasami odnosiła wrażenie, że Lagdalen kompletnie nie nadaje się do Nadzwyczajnego Biura Śledczego.

–Generał Hektor natychmiast wyrusza na Dzu. Siły wroga są w rozsypce i takie pozostaną przez parę najbliższych dni. Do tego czasu dotrze do Dzu, gdzie spotkamy się z nim i razem zniszczymy tę piekielną rzecz, przyzwaną tutaj przez Władców.

Lagdalen skinęła z uwagą głową i odetchnęła głęboko, uspokajając galopujące serce. Najważniejsze to nie okazywać emocji, w przeciwnym razie Ribela nawet słowem nie wspomni o Holleinie. Doskonale wiedziała, jak bardzo czarownica gardzi ludzkimi emocjami.

Ribela wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę, po czym ustąpiła.

–Pewien kapitan Kesepton jest zdrow i cały. Generał Hektor zadał sobie trud dołączenia tej informacji. Zważywszy na to, iż nigdy nie powiedziałam mu, że mi towarzyszysz, generał wydaje się być dobrze poinformowany, nie sądzisz?

Lagdalen poczerwieniała, słysząc to oskarżenie. – Moja lady, nie podejmowałam prób skontaktowania się z nim.

Ribela uśmiechnęła się lekko.

–Nie wątpię, moja droga, wszak rozumiesz konieczność zachowania tajemnicy. W przeciwieństwie do jakichś gadułów w Marneri.

–Tak, moja lady. – Lagdalen odwróciła wzrok, będąc myślami z tym kapitanem legionów, maszerującym gdzieś przez rozległe połacie Ourdh.

Czarownica spojrzała na nią i poczuła nagłe ukłucie samokrytycyzmu. Nie zdarzało się to jej zbyt często. Jednak w tej chwili poczuła, że jest zwykłą pomarszczoną wiedźmą, która zapomniała już, jak to jest być człowiekiem. Oto stała przed nią piękna, młoda kobieta, którą oderwano od pierwszego dziecka, jej męża uwikłano w wojnę na obcej ziemi, całe życie wywrócono do góry nogami, a wielka czarownica Ribela nie potrafiła wykrzesać z siebie odrobiny współczucia. Nieładnie. Lessis zachowałyby się zupełnie inaczej.

–Przepraszam, kochanie, musisz mi wybaczyć. Trochę zardzewiałam w kontaktach międzyludzkich. Jak widzisz, strasznie dużo zapomniałam.

Lagdalen milczała, nie wiedząc, co powiedzieć.



Służący zaanonsował gońca. Ribela wypytała go dokładnie, po czym wpuściła posłańca.

Okazała się nim kobieta w średnim wieku, o ciele miękkim od komfortowego życia. Spowita była w welon i długą, brązową szatę, zakrywającą każdy cal ciała. Głowę, skrywał kaptur.

Ribela westchnęła. Był to codzienny strój większości kobiet w Ourdh, za wyjątkiem prostytutek i niewolnic, lecz nawet te ostatnie często nosiły sławetny garub. Czarownica nie była przyzwyczajona do tak skrajnego patriarchy. Ani Lagdalen, dla której tutejsze normy społeczne były co najmniej dziwaczne. W Ourdh kobiety były przedmiotami, nie ludźmi. Było to wielce niepokojące.

Kobieta ściągnęła kaptur i płaszcz, odsłaniając mięsistą twarz o szerokich ustach i wydatnym nosie. Ciemne oczy przepelniała cicha mądrość, którą Ribela od razu wychwyciła. W przybyszu kryło się więcej, niż było widać na pierwszy rzut oka.

–Witajcie – odezwała się kobieta. – Przychodzę do was od osoby posiadającej ważne informacje. – Spojrzała błagalnie na Ribelę. – Raczej wyłącznie dla twych uszu, wielka czarownico.

Kto to jest? – zdumiała się Ribela. – Skąd tyle wiedziała?

–Moja wiadomość dotyczy cesarza.

Czarownica sama się już tego domyśliła. Przyszła tu od samego władcy lub kogoś z jego najbliższego kręgu. Może istniało jednak jakieś wytłumaczenie dla farsy, jaką wcześniej przeżyła.

–Kim jesteś? – zapytała neutralnym tonem.

Kobieta oblizwała nerwowo usta. Nie była zbyt dobra w udawaniu.

–Nie mogę powiedzieć.

–Nie możesz czy nie chcesz?

–Tylko w cztery oczy. Inaczej nie będzie bezpiecznie. Ribela kiwnęła głową w stronę drzwi i Lagdalen ukłoniła się, po czym wyszła bez słowa.

Kobieta usiadła na tarasie, niedaleko krawędzi. Zaczekała, aż Ribela przyłączy się do niej.

–Jestem Haruma ba Shogemessar.

Czarownica otworzyła szeroko oczy. Miała przed sobą zaufaną cioteczkę cesarza.

–Rozumiem – mruknęła. – Witaj. Od kogo pochodzi twoja wiadomość?

–Ode mnie samej. Nie chciałam budzić podejrzeń w twej młodej towarzyszce.

–Nikomui nie powie o twojej tu obecności.

–Muszę wyjaśnić powody wczorajszej niegrzeczności mego bratanka.

–Czyżby?

–Sytuacja jest skomplikowana. Obawiam się, że Banwi znajduje się pod wpływem jakiegoś czaru. Wierzy, że Sephici zadowolą się połową cesarstwa, pozwalając mu zatrzymać wschód. Wszędzie widzi spiski i knowania. Księżniczka Zettila opowiada mu niestworzone rzeczy o rodzinnych intrygach.

–O ile wiem, cesarz ma słuszne powody bać się własnej rodziny.

–Nie je prawie nic. Osobiście schodzi do kuchni po chleb i pikle. Nie ufa gotowanemu jedzeniu. Nie wierzy nikomu, nawet tym, którzy próbują dla niego

potraw.

–Sytuacja nie do pozazdroszczenia. Haruma zamilkła i wzięła głęboki wdech.

–Nie zobaczy się z tobą. Wierzy, że rzucisz na niego czar i przejmiesz cesarstwo.

Nie będzie współdziałał z generałem Hektorem. Nie zrobi nic przeciwko Sephitom.

Przysięgam, że są w tym jakieś czary.

Ribela zdążyła, już podjąć decyzję w tej kwestii. Przyniesione przez mewę wieści wprawiły ją w ruch.

–Dziękuję ci, siostrze, za wizytę i powiedzenie mi tego. Wkrótce opuścę miasto i nie będę czyniła dalszych prób zobaczenia się z cesarzem.

Haruma zmartwiła się.

–Och, pani, wolałabym, żebyś rzuciła na niego okiem. Ktoś musi złamać zaklęcie, którym go opętano. Nie obroni się przed prawdziwym niebezpieczeństwem, zajmując się jedynie spiskami Lopitoli.

–Nie mogę zobaczyć się z cesarzem, skoro ten wyklucza taką możliwość. Nie mogę wszczynać walki z cesarską gwardią – jestem tylko samotną kobietą. Nie mogę go odwiedzić. Nie mam zbyt wiele czasu. Ale za niedługo będziemy, być może, mogli przyjrzeć się magii, którą wykryłaś.

Haruma chciała zaprotestować, nie odważyła się jednak. Ribela poklepała jej dłoń.

–Dziękuję ci, siostrze, za odwagę, którą się wykazałaś, przychodząc tutaj.

Przekażę to Imperatorowi Róży. Zostaniesz zapamiętana jako przyjaciółka.

Haruma wstała, nasunęła kaptur na głowę i wyszła. Ribela przemyślała sytuację, starając się przewidzieć najbliższą przyszłość. Nadeszła pora na zbadanie tej rzeczy w Dzu. Próbowwała już sprawdzić ją z oddali, lecz bez skutku. Będąc bliżej, powinna zdołać przebić welon tajemnicy.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Od trzech dni legiony maszerowały równym krokiem pylistą drogą na południe, mijając palmy, pola pszenicy i wioski z cegieł z błota. Co pewien czas z równiny wyrastał monumentalny ziggurat, który jednak wkrótce znikał za ich plecami. Wszędzie widzieli masy pracujących na roli feddów. Grupy mężczyzn kopały rowy, pojedynczy wieśniacy orali ziemię pługiem zaprzężonym w woły, inni podróżowali z osłami, dźwigającymi worki z ziarnem lub wiązki chrustu. W wioskach tłumy umorusanych dzieciaków szły za smokami z otwartymi ze zdziwienia buziami. Kobiety zerkały na armię z cieni lub podwórek, na których pracowały.

Pierwszego dnia natykali się na ślady przemarszu zastępów Sephisa: puszczone z dymem wioski, wypalone pola i tysiące uciekinierów. Drugiego dnia widzieli grupki Sephitów, które jednak błyskawicznie oddalały się od legionów.

Trzeciego dnia mijali wioskę za wioską i ani śladu wroga. Życie biegło tu jak od tysiącleci - spokojnie i niezmiennie, pobłogosławione przez Aurosa, który spoglądał na swoje dzieci ze szczytów zigguratów.

Im dalej na południe, tym większe miasta mijali. Było oczywiste, że zbliżają się do większej metropolii, co mogło oznaczać tylko ogromne Kwa.

Wreszcie szeroka, prosta droga zamieniła się w obramowaną budynkami ulicę. Niektóre z budowli były trzypiętrowe. Około południa przemaszerowali obok olbrzymiego zigguratu, gdzie odbywała się akurat jakaś ceremonia. Przy wtórze mosiężnych rogów, fletów i bębnow złożono Aurosowi ofiarę z byka, którego krew spłynęła kaskada na kamienie świątyni. Po jednej stronie zigguratu kłębił się gęsty tłum wyznawców w białych tunikach. Wszyscy oderwali wzrok od ceremonii i z lekkim zdumieniem obejrzel się na legiony Argonathu. Ledwie kilka dni temu przechodziły tędy oddziały cesarskiej armii. Przyzwyczaili się już do maszerujących wojsk.

Wówczas pojawiły się smoki i gapie zareagowali zbiorowym westchnieniem. Wielu przyłączyło się do dzieciaków na drodze, wpatrując się w olbrzymie cielska w brązowych i zielonych zbrojach płytowych, pozerających równym krokiem kolejne mile.

Godzinę później legiony zatrzymały się na posiłek. Rozniecono ogniska i kucharze zabrali się za chleb i fasolę, lecz przede wszystkim szkodziły im setki kobiet, które wynurzyły się z własnych kuchni z garnkami zupy, świeżo upieczonymi bochenkami chleba, a nawet dopiero co uwarzonym piwem, które rozdały żołnierzom.

Była to spontaniczna manifestacja wdzięczności feddów za uwolnienie ich od groźby wojsk Sephisa.

Ludzie i smoki zjedli potężny posiłek. Generał Hektor nakazał zaparzenie szczególnie mocnego kalutu, lecz kiedy tylko usłyszały o tym kobiety, natychmiast posłały dzieci do domów po tykwy z gorącym napojem prosto z naczyń, stojących na piecach we wszystkich gospodarstwach w Ourdh.

Najedzone i odświeżone legiony podjęły marsz. Daleko po lewej stronie zobaczyli szczyty wysokich budowli w centrum Kwa.

Widok dachów zigguratów i wież wywołał w szeregach falę żartów na temat

dziwek w Kwa. Rzucano w tamtą stronę wiele tęsknych spojrzeń. Niestety legiony obeszły śródmieście, wybierając drogę łączącą dwa szerokie ramiona przedmieść, ciągnących się wzdłuż dróg wychodzących gwieździście z centrum. Zabudowa między nimi była rzadsza, pojawiały się tam zagrody dla zwierząt i manufaktury.

Po południu zauważyli zbierające się na południu chmury. Przepowiadaczka pogody ostrzegła generała Hektora przed deszczem. Ten spróbował przyspieszyć. Wolał, żeby przed zapadnięciem nocy legiony znalazły się daleko od Kwa. Doskonale rozumiał, jak wielkie pokusy czyhałyby na żołnierzy, gdyby zdarzyło się inaczej.

Południowe niebo szybko pociemniało, pojawiły się burzowe chmury. W ciągu dwóch godzin rozpadało się i zerwał się porywisty wiatr.

Nadal znajdowali się na przedmieściach Kwa, wśród rezydencji otoczonych ogrodami i ozdobnymi drzewami. Domy malowano tu na liczne odcienie piasku i brązu. Po bocznych uliczkach przemykały zaprzęgnięte w konie powozy.

Generał Hektor zaklął. Nie było to najlepsze miejsce na obóz. Jednych skusi okazja do kradzieży. Inni wymkną się do centrum Kwa, by zakosztować tamtejszych rozkoszy. Musiałby zdyscyplinować ludzi, co skończyłoby się chłostą. Hektor nienawidził tej strony armijnego życia, wiedział jednak, że będzie musiał wyegzekwować pewne zasady. Legiony spajał kodeks, bez jego reguł byli skazani na klęskę.

Zwiadowcy z Talionu zameldowali mu o pobliskim amfiteatrze, który nadawałby się do rozbicia tymczasowego obozu. Hektor posłał tam przepowiadaczkę pogody, która dobrze władała uld, językiem środkowego Ourdh. Odnalazła ona lokalne władze, od których uzyskała stosowne zezwolenia.

Dwa zmęczone, przemoknięte legiony wmaszerowały na lokalną arenę wyścigową, gdzie rozbiły obóz. Hektor i specjaliści od fortyfikacji obeszli cały jej obwód. Arena miała tuzin wejść i wyjść, wliczając w to podziemne tunele do usuwania martwych zwierząt i odpadków. Utrzymanie żołnierzy wewnątrz przez całą noc nie zanosilo się na zadanie łatwe.

Hektor naradził się z Paxionem. Paxion miał wieloletnie doświadczenie w takich sprawach. Zasugerował wydanie podwójnych porcji whiskey. Ludzie byli zmęczeni trzydniowym marszem po trzydzieści pięć mil dziennie. Niech odprężą się alkoholem, a szybko pójda spać.

Miał rację. Tylko paru znanych rozrabiaków, w tym dwóch złodziei, odsługujących w legionach wieloletnie wyroki, próbowało wydostać się na zewnątrz. Reszta pośpiewała, pośmiała się, pogadała i poszła spać w dobrych humorach i z pełnymi brzuchami.

Generał Hektor odetchnął z ulgą.

–Dziękuję, generale – mruknął. Wyprostował się. – Chciałbym prosić o przejęcie dowództwa na resztę wieczoru. Major Breeze zaprosił mnie i lekarzy na kolację w jego namiocie. Musimy omówić pewne sprawy i zamierzam odprężyć się nieco przy szklaneczce wina z Ourdh. Słyszałem, że tutejsze trunki są naprawdę przednie.

Paxion, choć zmęczony, z radością powitał szansę przydania się do czegoś. Od wielkiego zwycięstwa pod Salpalangum czuł się stary i bezużyteczny. Z dumą przyjął

okazane mu przez Hektora zaufanie.

Zadowoleni z podjętych kroków dowódcy zapomnieli o smoczych giermkach, którzy byli za młodzi, by otrzymać whiskey. Co okazało się błędem.

Jak tylko legiony skończyły rozbijać obóz, pewnych pięciu giermków zabrało się z niezwykłą ochotą do swych obowiązków. Sprawdzili i wymienili okłady i bandaże, smarując uprzednio kojącą maścią odparzone smocze łapy. Następnie przynieśli podopiecznym jedzenie i po beczulce świeżego piwa, dostarczonego przez lokalny browar. Ourdh słusznie słynęło z piwa i wkrótce smocza radość wprawiła ziemię w dygot. Nie potrwało to jednak długo, gdyż smoki były wycieńczone. Wkrótce wszystkie zasnęły, głośno chrapiąc.

Pięciu giermków zebrało się we wcześniej upatrzonym miejscu. Zewnętrzny mur areny był stary i podziurawiony, toteż zręczni młodzieńcy wspięli się na niego bez najmniejszego trudu. Swane z Revenant podkraść się od nawietrznej do pary strażników, czuwających nad południową sekcją muru. Pozostali zgromadzili się po stronie zawietrznej. Swane podpalił nasączone olejem szmaty. Strażnicy poczuli dym i poszli zbadać sprawę. Swane ukrył się w załomie muru.

Pozostała czwórka wspięła się na umocnienia i ześlizgnęła na drugą stronę. Tam zaczekali w cieniu u podnóża muru.

Strażnicy nie znaleźli nic, prócz garstki popiołu. Powęszyli trochę po okolicy, lecz szybko poddali się i wrócili na posterunek. Swane nadał umówiony sygnał i zaczął schodzić na dół. Kiedy był już w połowie wysokości, pozostali wyszli z cienia i rozwinęli koc, na który zeskoczył.

Arena znajdowała się na skrzyżowaniu zachodniego traktu z jedną z promienistych alei. Panował na niej wielki ruch. Wzdłuż szerokiej alei wzniesiono szeregi sklepów i podcieni – część nadal otwartych i oświetlonych kolorowymi, zielonymi i szkarłatnymi latarniami. Na chodnikach tłoczyli się przekupnie, w tym kobiety od stóp do głów zakutane w tradycyjne, czarne szaty. To nie tymi kobietami interesowali się legionowi chłopcy.

–Noc jest nasza! Naprzód, panowie. – Swane z Revenant przewodził grupie, głównie dlatego, że był wyższy i mocniej zbudowany od reszty. Jego stronę trzymał zawsze Tomas Czarne Oko, który opiekował się Chamem. Shim z Seantu od wielkiego mosiężnego Likima także akceptował dowództwo Swane'a. Zajmujący się Chektorem Mono był mniej potulny, a Relkin z Quosh zazwyczaj chadzał własnymi ścieżkami. Tym razem jednak towarzyszył pozostałym, gnany rozpaczą, znaną jedynie młodzieńcom na krawędzi dorosłości. Pomiedzy nim a Swanem zawsze panowało lekkie napięcie. Quoshita widział zbyt wiele prawdziwej walki, by mogły mu zaimponować mięśnie Swane'a. Doskonale wiedział, że umiejętność posługiwania się sztyłem i mieczem była ważniejsza od brutalnej siły. Aleją Sokwa ruszyli w stronę śródmieścia. Pomimo wyczerpania trzydniowym marszem żwawo pokonywali brukowaną aleję, klucząc między wozami i grupkami kobiet w czerni. Dość szybko znaleźli boczną uliczkę, na której liczne knajpki rozstawiły stoliki i krzesła. Z mrocznych wnętrz, pełnych chwiejących się mężczyzn, dobiegały zawodzenia uinboru i bębnienie zambali.

–Tutaj, wygląda wystarczająco wesoło – rzucił Swane. Powietrze przesyciły zapach gorącego kalutu i kwaśny odór zwiędłego piwa.

Za drzwiami piwiarni było ciemno od dymu i pachniało batshoobą – narkotykiem palonym przez mieszkańców Ourdh. Po kobietach ani śladu.

Chłopcy byli zawiedzeni. Gdzie te sławetne miejsca rozpusty Ourdh?

Weszli do knajpki mniej zadymionej od innych. Swane z Revenant zamówił kolejkę ciemnego, mocnego piwa.

Pociągnęli tęgie łyki.

–Ciekawe – odezwał się Shim z Seantu. – Bardziej gorzkie od naszego.

–Ach, piwo z Seantu to siki. To jest dobre, trochę jak piwo z Marneri – odparł Tomas Czarne Oko, który zawsze miał własne zdanie.

–Ja ci dam siki, ty jednooka małpo.

–Wystarczy – uciszył ich Swane. – Patrzcie tam. Między stołami przechadzał się gruby mężczyzna w szarym płaszczu i czerwonej czapeczce na głowie. Na palcach rąk miał drogie pierścienie. Idąc, gwarzył z klientami. Ci odpowiadali mu radośnie, czasami obraźliwie, lecz grubas nie żywił urazy. Śmiał się wraz z nimi i szedł do następnej grupy. Swane pokazał go palcem.

–Moi przyjaciele, to jest alfons. Teraz możemy zająć się tym, po co tu przyszliśmy.

Skinął na tłuściocha. Zamienili kilka słów w uld. Obcy natychmiast domyślił się, kim są, i bardzo szybko zorientował się, czego szukają. Wybuchnął śmiechem i zamarkował przeliczanie pieniędzy.

Pokazali mu srebrne monety bite w Marneri. Mężczyzna sprawdził zębami dwie z nich, po czym pokazał gestem, żeby poszli za nim na tyły knajpki.

Swane już zerwał się od stolika. Tomas i Shim poszli w jego ślady, Mono także. Tylko Relkin nie ruszył się z miejsca.

–Co z tobą? Boisz się zamoczyć knocika? – szydził Swane.

–Nie ufam temu gościowi, to wszystko. Znajdziemy innych.

–O czym on gada? – zapytał Shim.

–Sam nie wiem. Chyba nie podoba mu się ten alfons.

–Coś z nim nie w porządku?

–Zapytaj Quoshitę.

Shim obejrzał się na Relkina. Wszyscy bardzo go szanowali, lecz chłopak z Quosh trzymał się zwykle na uboczu, nie zaprzyjaźniając się raczej z innymi. Trudno było wyrobić sobie o nim jakąś opinię. Teraz milczał. Mono spojrział na niego i wzruszył ramionami.

–Może już nie być innej okazji, przyjacielu.

–Na pewno znajdzie się drugi alfons.

Mono ponownie wzruszył ramionami i przyłączył się do reszty. Wmieszali się w tłum. Relkin dopił piwo w samotności i szybko poczuł się głupio, że z nimi nie poszedł. Po co w takim razie przełaził przez mur? Chyba nie na samo piwo. Zastanawiał się, czy postąpił tak dlatego, że to Swane pierwszy zobaczył tego sutenera. Był sutenerem Swane'a, więc nie mógł mu się spodobać. Czasami Relkin

zastanawiał się, czemu to dla niego tyle znaczyło.

Zanim jednak odstawił opróżniony kufel, znalazł się przy nim kolejny alfons. Był drobniejszy, na rękach nosił mniej pierścieni, a pod nosem zwisały mu cienkie wąsiki. Na głowie miał niewielki, kwadratowy kapelusz z jakiegoś połyskliwego, czarnego materiału. Spowijała go czarna, przetykana złotem toga.

–Zwiedzasz nasze miasto? – zapytał śpiewnie w verio. – Może masz ochotę skosztować pewnych radości życia?

Relkin przytaknął.

–Mówisz w verio?

–Owszem, od wielu lat handluję z ludźmi władającymi tym językiem. Chodź ze mną, jeżeli chcesz poznać dobrą, czystą dziewczynę, a nie jakąś ulicznicę.

Chłopiec oblizał wargi. Po to właśnie tu przybył. Mimo to nadal czuł cień wątpliwości. Zaraz jednak podjął decyzję. Musi wreszcie uporać się z problemem, który od miesiący doprowadzał go do szaleństwa. A szansa na spotkanie dziewczyny w legionach była niezwykle mała.

–Chodź – nalegał człowiek w czarnym, pudełkowatym kapeluszu. – Jesteś z zimnej północy. Za jedną sztukę srebra poczujesz trochę południowego ciepła. – Sutener uśmiechnął się gestykulując. – Jesteś z północy, prawda?

–Tak, z Kenoru.

Mężczyzna pokiwał głową i uśmiechnął się.

–Tak, wiedziałem. Bardzo zimna okolica. – Wybuchnął śmiechem, szczerząc poplamione batshoobą zęby. – Chodź, mam słodką dziewczynę, którą na pewno polubisz. Za jedną sztukę srebra.

–Srebro Marneri?

–Tak, srebro Marneri bardzo dobre. Jedna sztuka srebra i miło spędzisz czas.

–Najpierw miło spędzę czas, potem srebro – oświadczył Relkin, unosząc w górę monetę.

Mężczyzna skinął głową, zatarł ręce i poprowadził chłopca do tylnego wejścia do piwiarni. Wyszli na wąską uliczkę, obramowaną dwupiętrowymi budynkami. Na piętrach siedziały młode kobiety o odsłoniętych twarzach i wyeksponowanych ciałach. W pokojkach za balkonami pracowały i spędzały swoje smutne życie.

Relkin obrzucił spojrzeniem ich twarze, przypominające piękne maski, skrywające się zaraz za wachlarzami. Ciała zaczęły prężyć się lubieżnie. Zaczerwienił się i odwrócił wzrok, wywołując kpiący śmiech.

Mężczyzna podprowadził go pod drzwi, które otworzyły się na pukanie. Starsza kobieta zaprowadziła go do pokoju na piętrze. Na łóżku leżała osiemnastoletnia dziewczyna w cienkiej sukience, zebranej paskiem na biodrach.

Przyjrzał się jej. Nie wiedzieć czemu odniósł wrażenie, że jeden srebrnik to za mało. Była piękna – kremowo-brązowa skóra, proste, czarne włosy do ramion i kusząca miękkość warg.

Stwardniał.

Starsza kobieta uśmiechnęła się, kiwając głową i pokazując na dziewczynę. Zamknęła drzwi.

Relkin odetchnął, podszedł do dziewczyny i usiadł koło niej. Nie poruszyła się i jego wątpliwości odżyły, zaraz jednak pozbył się ich, uśmiechnął zachęcająco i pogładził ją po nodze.

Wzdrygnęła się, zamknęła oczy i z cichym jękiem położyła na plecach. Nie do końca tego oczekiwał.

–Hej, nie jestem aż taki brzydki!

Ku jego zdumieniu dziewczyna uniosła głowę.

–Jesteś z Veronathu? – zapytała płynnie w verio.

–Veronath? Nie, dziewczyno, nie ma już Veronathu. Zniknął wieki temu. Jestem z Argonathu.

–Ale mówisz w verio.

–Oczywiście, że tak.

–Skąd się tutaj wzięłaś?

–Tutaj? Cóż, ja... – Nagle opamiętał się. Co to ma znaczyć? Przyszedł do dziwki. Zarumienił się.

–O to samo mógłbym zapytać ciebie.

–Nie jestem tu z własnego wyboru. – Poruszyła się i Relkin ujrzał, że nosi na przegubach rąk bransolety połączone łańcuszkami z wezglowiem. Była przykuta do łóżka.

Zbladł. Absolutnie nie tego oczekiwał.

–A ja nie chciałem pójść z alfonsem Swane’a! – jęknął.

–Co mówiłeś?

–Nic. Ja... jestem legionistą. Przybyliśmy tu, by walczyć z Sephitami i pomóc cesarzowi.

To było śmieszne – nie mógłby zgwałcić kogoś przykutego do łóżka. Odeszła mu ochota.

–Jesteś żołnierzem? Wyglądasz trochę za młodo jak na żołnierza.

–Smoczy giermek ze 109 Szwadronu Smoków Drugiego Legionu Marneri – przedstawił się z dumą.

–Smoczy giermek? Kto to taki?

–Tworzą parę ze smokiem. Opiekuję się nim. Walczymy jako zespół.

–Słyszałam, że w armii północy walczą smoki i że są straszne w boju.

–Są takie, jeśli je rozwścieczyć.

–I sprowadziliście te przerażające monstra do Ourdh?

–Tak. Cztery dni temu walczyliśmy z wrogiem na północ stąd.

–Pokonaliście go?

–Po wielkiej bitwie.

–Tak, tego się spodziewali, kiedy mnie porwano.

–Kiedy cię porwano? Zacisnęła wargi.

–Myślałeś, że jestem jakąś zwykłą ladacznicą?

–Prawdę rzekłszy, nie.

–Cóż, w takim razie masz jednak trochę rozumu. Jestem Miranswa Zudeina i znalazłam się tutaj dlatego, że moja zła, znieawidzona ciotka kazała mnie



uprowadzić. Chciała ukraść moje dziedzictwo.

Zaskoczony wciągnął głośno powietrze.

–Mój ojciec zmarł niedawno. Na imię miał Dneej i był wspaniałym kupcem.

Nienawidził ciotki Elekwy. Niektórzy twierdzą, że go otruła. Z własnej woli niczego by jej nie zostawił. Ja dostałabym cały spadek.

–Czemu niby miałby zostawiać cokolwiek twojej ciotce?

–Elekwa jest pierwszą żoną brata cesarza i jest bardzo potężna. Zawsze wierzyliśmy, że otruła naszą matkę, zazdroszcząc jej urody.

–Myślisz więc, że zabiła obydwójce twoich rodziców?

–Tak. Tata nie potrafił ukryć nienawiści do niej.

–Hm, wygląda na to, że zostawił ci w spadku mnóstwo kłopotów.

Przytaknęła i zalała się łzami. Relkin myślał, że pęknie mu serce.

–A teraz – łkała – jestem tu skazana na gwałcenie, raz za razem, do końca życia.

Giermek nigdy jeszcze nie spotkał się z tak rażącą niesprawiedliwością.

–Nie pozwolę na to! – zakrzyknął.

–Pomożesz mi? – Wyglądała na zdumioną.

–Oczywiście. Natychmiast cię stąd zabieram.

–Złapie cię nadzorca niewolników.

–Niech spróbuje. – Relkin dobył noża.

–Wykastrują cię i sprzedadzą jako ogrodnika.

Chłopiec nawet o tym nie myślał. W pokoju było tylko jedno okno. Otworzył żaluzje. Poniżej znajdowało się niewielkie podwórko, otoczone tyłami innych posesji. Prowadziły do nich liczne drzwi, niektóre otwarte.

–Wszystko, co musimy zrobić, to zejść na dół i wyjść przez jeden z tych budynków.

–A potem co? Znajdziemy się w samym środku Kwa, a ty będziesz złodziejem. Złodzieje są u nas sprzedawani na targu niewolników. Ja wrócę do nadzorcy, który mnie zbije i ponownie zakuje w łańcuchy.

–Nie, uciekniemy do legionu i opowiemy o wszystkim generałowi Hektorowi. Nie pozwoli na to.

Zabłyły jej oczy.

–Jak daleko jest stąd do obozu twojego legionu?

–Okolo mili. Dziesięć minut biegiem.

Oblizła wargi, zerknęła na drzwi i uznała, że to prawdopodobnie jedyna szansa na uniknięcie straszego losu, jaki zgotowała jej cioteczka Elekwa. Nikt jej tu nie znajdzie, a bez tatusia nie miała obrońcy. Zostanie tutaj, przykuta do ścian burdelu Zedda, aż stanie się stara i zbyt zniszczona, by dalej służyć. Wtedy sprzedadzą ją innemu nadzorcy niewolników, który zabierze ją na wieś, gdzie będzie obsługiwać starców. – Chodźmy.

Podważył połączenie bransolet z łańcuchami.

–Zdejmiemy je w obozie.

Miranswa była zręczną dziewczyną i choć nie miała szczególnego talentu do wspinaczki, radziła sobie dobrze aż do pierwszego piętra. Tam ześlizgnęła się z

parapetu okna i spadła na bele chmielu, spiętrzone u podnóża ściany.

Relkin znalazł się na ziemi sekundę po niej i razem przecięli biegiem podwórko, wskazując do otwartego przejścia. Za ich plecami rozległ się ochryply okrzyk gniewu. Zanurkowali w mrok i znaleźli się w sali spowitej dymem batshooby. Wokół małych stolików siedzieli mężczyźni, popijając kalut i paląc batshoobę w dużych, bulgoczących fajkach wodnych.

Na widok Miranswy, odzianej jedynie w krótką, jedwabną tunikę prostytutki, zerwali się na równe nogi. Podniosły się gniewne, zaskoczone krzyki.

Zanim dotarli do drzwi, ścigał ich już tuzin mężczyzn, rozwścieczonych znieważeniem tradycji i naruszeniem tabu.

Na ulicy strój Miranswy stwarzał równie wiele problemów. W Ourdh wszystkie kobiety nosiły garub i zakrywały głowy. Dziewczyna w kusej, jedwabnej spódnicy została błyskawicznie pojmana i powieszona po szybkim procesie.

Relkin zaciągnął ją do maleńkiego sklepiku z ubraniami. Zaraz pojawił się okrągłutki właściciel. Na widok Miranswy spurpurowiał, poczuł jednak na gardle sztylet Relkina.

Miranswa wyszukała porządną materię z czarnej wełny. Oznakowanie wzdłuż boku zdradzało, że utkały go zręczne ręce w starym Defwode na dalekim Cunfshonie. Pospiesznie odcięła sobie kawałek materiału i owinęła go wokół siebie, spinając na przodzie jak garub. Drugi kawałek owinęła wokół głowy. Jako welon wykorzystwała chustę sklepikarza. Relkin cisnął mu kilka sztuk srebra i pognali dalej.

Kupiec wyskoczył ze sklepiku i rozdarł się wniebogłosy. Relkin przywołał machnięciem ręki riksę ciągniętą przez dwóch przykutych do niej mężczyzn. Miranswa wspięła się na siedzenie i zawołała coś w ourdhi. Mężczyźni ruszyli szybkim krokiem. Relkin przycupnął koło Miranswy i obejrzał się.

Kupiec i jego koledzy stali na środku alei, wygrażając im pięściami, nie rzucając się jednak w pościg.

Chłopiec zdawał sobie sprawę, że wkrótce zobaczą ich alfons i strażnicy.

–Niedługo będziemy musieli porzucić tę riksę i wziąć drugą. Będzie nas ścigał twój sutener.

–Nie ma potrzeby – oświadczyła. Wydała rikszarzom nowe polecenia i skręcili w prawo, w węższą uliczkę, obramowaną dwupiętrowymi kamienicami z cegieł z suszonego błota. Miranswa ponownie skręciła i wydostali się na trochę większą aleję.

Relkin stracił orientację. Za nimi nie widać było ani śladu pościgu.

–Gdzie są twoi przyjaciele? – zapytała.

–Obóz znajduje się na arenie wykorzystywanej do wyścigów rydwanów. – Miranswa porozmawiała z rikszarzami i wkrótce jechali na północ, wzdłuż dużych, trzypiętrowych domostw, otoczonych gdzieś ogrodami. Po niedługim czasie ujrzeli mury areny i dopiero wtedy Relkin uświadomił sobie, w jak wielkie kłopoty się wpakował. Jak on to wszystko wytłumaczy? Będzie miał szczęście, jeżeli nie wychłoszczą go na oczach całego legionu.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Porteous Glaves kręcił się po namiocie. Tej nocy wszystko się wyjaśni, wóz albo przewóz. Uznał, że nie ma innego wyjścia.

Chwila nadeszła, kiedy generał Hektor odmówił jego prośbie o urlop i nakazał mu pozostać na stanowisku. W porcie Kwa stał jednomasztowiec z Talionu, *Kość Słoniowa*. Wkrótce wraca do Argonathu. Porteous Glaves miał nadzieję znaleźć się na jego pokładzie.

Głowę obandażowaną miał grubym opatrunkiem, skrywającym płytkie rozcięcie, zszyte przez chirurga. Lekarz widział wiele takich ran. W obecności Glavesa powiedział generałowi Hektorowi, że zwykle żołnierze wstają i walczą, mimo krwi zalewającej im oczy. Z taką raną nie leży się nieruchomo na polu bitwy, czekając aż skończy się walka.

Hektor zmierzył Glavesa zamyślonym spojrzeniem i nakazał mu jak najszybszy powrót do Ósmego Regimentu. Wtedy właśnie komendant Glaves podjął decyzję.

Westchnął i wychylił kolejną szklanicę wina z Ourdh. Jego oczy spoczęły na czymś i roześmiał się na cały głos. Nikt nie odkryje prawdy, już on się o to postara!

Oparta o bok namiotu stała zdobyczna chorągiew. Rozkazał Dandraxowi przynieść jaz namiotu chłopca. Zamierzał odesłać ją do Marneri razem z długim listem, opisującym jak Porteous Glaves osobiście zdobył to trofeum po bohaterskim ataku, który przełamał linie wroga i zakończył bitwę.

Jego posłańcem będzie kapitan kupieckiego jednomasztowca *Kość Słoniowa*, który w ciągu godziny odbije od nabrzeża i za tydzień zawinie do Marneri.

Glaves pociągnął kolejny łyk wina, obracając je w ustach i delektując się smakiem. Tutejsze trunki były bardzo dobre, bogate i owocowe, o złożonej kompozycji. Zastanawiał się, czy generałowi Hektorowi smakowało równie dobrze podczas kolacji z majorem Breezem.

Zachichotał. Niedługo wywikła się z tej szaleńczej przygody. Za parę dni znajdzie się na pokładzie statku i wróci do Marneri, gdzie będą go oczekiwać jako bohatera wojennego.

Ktoś poruszył klapę namiotu. Do środka zajrzał Dandrax.

–Gość do ciebie, panie.

Był nim kapitan Streen z *Kości Słoniowej*, mieszkaniec Vusk o pociągłej twarzy.

–Komendancie, w ciągu tygodnia dotrę do Marneri. Kiedy tylko pokonamy zatokę Ourdh i opłyniemy Przylądek, złapiemy wiatr, który będzie towarzyszył nam przez całą podróż.

–Jestem ci wielce wdzięczny, kapitanie, tak samo jak lud Marneri, któremu zawozisz to świadectwo naszego zwycięstwa w Ourdh. To wielce poprawi morale w mieście, możesz być tego pewny.

–A ja otrzymam złoto, zgadza się?

–Ach tak, oczywiście. Udasz się do mistrza Ruwata i dasz mu ten list. Zapłaci ci.

–Cóż, komendancie, w przypadkach, kiedy po raz pierwszy mam do czynienia ze zleceniodawcą, oczekuję zapłaty z góry.

–Kapitanie Streen, czyżbyś mi nie wierzył? Bądź pewny, że nie zamierzam

pozbawić cię należnych ci pieniędzy. Poza tym robisz to dla sprawy.

–Zgadza się i wielki to dla mnie honor, jeśli jednak ciągle podnosiłbym żagle *Kości Słoniowej* dla sprawy, nie pozostałaby ona długo moją własnością. Muszę zarabiać pieniądze i jak najprędzej zawieźć ładunek do Talionu.

–Kapitanie, jestem wstrząśnięty takim brakiem patriotyzmu, muszę chyba jednak złożyć to na karb włóczęgowskiego życia prowadzonego przez ludzi morza. Dam ci pięć sztuk srebra, a kiedy zobaczysz Ruwata, on wypłaci ci pozostałe pięć.

Glaves naniósł poprawki na list do Ruwata i życzył kapitanowi powodzenia.

Z kwaśnym śmiechem opróżnił szklanicę wina. W milczeniu wznosił toast za przyszłość. Jeszcze kilka dni i on także znajdzie się na pokładzie okrętu płynącego do domu. Porteous Graves wziął tęgi łyk i wybuchnął głośnym śmiechem.

\* \* \*

Relkin i Miranswa wysiedli z rikszy przy bramie areny. Chłopiec zapłacił niewolnikom dwa miedziaki.

Strażnicy zatrzymali ich w przejściu, wysyłając zgodnie z ich prośbą gońca po kapitana Holleina Keseptona ze sztabu generała Hektora. Oficer pojawił się po kilku minutach. Wyglądał na mocno zdenerwowanego.

–O co chodzi? Nie mam czasu na żarty.

Relkin prędko przedstawił mu sytuację. Kesepton rozkazał zabrać dziewczynę do kwatery przepowiadaczki pogody. Potem odesłał Relkina na posterunek.

–Rozumiesz, że wraz z pozostałymi zostaniesz przykładowie ukarany. Teraz jednak mamy inne, ważniejsze sprawy.

–Pozostałymi? – zapytał Relkin, usiłując stwarzać pozory.

–Swane i reszta. Byli na tyle głupi, by wziąć kapłana Aurosa za sutenera. Nie spodobali mu się młodzi, aroganccy obco-krajowcy, poszukujący w jego okolicy dziwek. Służba świątynna spuściła im tęgie lanie. Wyrzucono ich przy bramie z wózka z gnojówką.

Relkin gwizdnął cicho. Czyli jednak miał rację. W pewien sposób.

Zauważył biegających po obozie mężczyzn. Panowała atmosfera zamieszania i napięcia.

–Co się stało?

Kesepton zmarszczył brwi.

–Podczas gdy ty ratowałeś dziewice, generał Hektor, major Breez i główni chirurdzy zostali otruci. Prawdopodobnie winem.

–Ale jak?

–Przyjmowaliśmy napoje i jedzenie od miejscowych. Wcześniej czy później musiało tak się skończyć. Wróg ma tu swoich agentów. Każdy mógł przemycić butelkę zatrutego wina.

Kesepton odprawił go i Relkin wrócił do 109 Smoków z mętlikiem w głowie. Smoki wciąż spały, lecz wszyscy giermkowie byli na nogach. Smokowy Hatlin nakazał Relkinowi stawić się u siebie po śniadaniu celem wysłuchania wyroku.

Swane z Revenant i reszta pili jakąś gorącą zupę. Bandaże skrywały podbite oczy i krwawiące nosy.

–Miałeś rację, Relkinie, poszliśmy nie z tym, z kim było trzeba – powitał go Shim z rozkwaszonym nosem. – A co u ciebie?

Relkin powstrzymał się od przechwałek. Mono miał podbite oczy i podrapaną do krwi twarz od ciągnięcia go po bruku. Swane z Revenant kulił się, nie podnosząc wzroku.

Solly Gotinder, opiekujący się wielkim mosiężnym Roldem, mieszał zupę w garnku.

–Więc powrócił nasz Quoshita. Jak było?

Relkin przyjął poczęstunek. Zupa była gorąca i słona.

–Nie tak, jak się spodziewałem. Solly zachichotał.

–Przynajmniej nie stłukli cię na kwaśne jabłko.

–No cóż, wszyscy dokonujemy w życiu pewnych wyborów.

–Zgadza się. Rano czeka was kara. Lepiej trochę spokojniej.

–Jakie plotki krążą o generale Hektorze?

–Cóż, szukają tego, kto podsunał im wino. Niestety wszyscy przyjmowaliśmy prezenty od tutejszych, nie sądzę więc, żeby im się poszczęściło. Tak czy owak słyszałem, że generał wypił tylko pół kieliszka wina. Jest nieprzytomny, ale żyje. Major Breez nie, tak samo jeden z chirurgów.

–Czyli dowodzi stary Pax?

–Tak jest, mamy jednak kłopoty z Kadeińczykami. Chcą generała Pekela.

Relkin jęknął.

–Pekel uważa, że skoro Pierwszy Kadeinu jest jednostką główną, on właśnie powinien być głównodowodzącym. Oczywiście Paxion jest generałem od dziesięciu lat, podczas gdy Pekel awansował z komendanta dopiero na początku tej kampanii.

–Ci przekłęci Kadeińczycy zawsze uważają, że to oni powinni rządzić.

Relkin w ponurym milczeniu skończył zupę i spróbował przespać się. Nawet nie zauważył zniknięcia chorągwi, którą zdobyli wspólnie z Bazilem.

W tym samym czasie generał Paxion znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Nie miał co marzyć o śnie. Był oczywistym następcą Hektora, lecz Pekel wysuwał absurdalne roszczenia. Twierdził, że to jemu należy się dowództwo nad wyprawą, pomimo bezdyskusyjnego starszeństwa Paxiona. To było niesłychane odstępstwo od powszechnie przyjętych w legionach zasad. Dla Paxiona stanowiło to obrazę nie do zniesienia – toczył bitwy, kiedy Pekel był jeszcze w szkole.

Co gorsza, czekały go dalsze kłopoty. Pekel nie był nawet bezdyskusyjnym dowódcą we własnym legionie. Służyli tam komendanci, wywodzący się z arystokracji, niechętni posłuszeństwu wobec karierowicza, którego uważali za niższego stanem od siebie.

Tacy ludzie jak Err Dastior czy Vinblat sprawiali kłopoty nawet generałowi Hektorowi, który zagroził kiedyś, że każe wychłostać Dastiora, jeżeli ten nie będzie wykonywał jego rozkazów.

Paxiona to wszystko przerastało. Wiedział jednak, że nie może się poddać. Było ich tylko dziesięć tysięcy legionistów i kilkaset smoków zagubionych w rozległych przestrzeniach Ourdh. Stawiali czoła straszliwemu wrogowi, który – choć pokonany

w jednej bitwie – z pewnością jest w stanie wysłać w pole kolejną armię.

Strażnik odsunął klapę namiotu i do środka wszedł ocalały chirurg. Mężczyzna był błydy i pachniał lekko wymiocinami.

–Jesteś w stanie funkcjonować? – zapytał Paxion.

–Tak. – Lekarz usiadł. – Nie czuję się jeszcze najlepiej, ale wziąłem środki przeczyszczające. Poza tym nie sędzę, żebym wypił wystarczająco wiele wina. Zdążyłem wziąć tylko jeden łyk.

–Major?

–Zmarł przed końcem kolacji, nagle i bezboleśnie. Wskazuje to na nerwobój, śmiertelnie groźną truciznę.

–General?

–W śpiączce. Wypił pół kieliszka wina. Major wychylił cały kielich, chirurg Paris dwa.

–I przeżył, jak wywnioskowałem z raportu.

–Tak jest. Paris to wielki mężczyzna, przyzwyczajony do wina. Może trzeba było na niego więcej czasu.

–A ty, chirurgu Tubtiel?

–Piłem z drugiej butelki – białe wino, które sam sobie przyniosłem. Zatrute było czerwone, marka bardzo tutaj popularna. Spróbowałem tylko. Miałem dużo szczęścia.

–Śpiączka?

–Bardzo kapryśny stan, czasami pacjent nigdy się nie bud/i, Nie ma reguły. Będziemy musieli po prostu poczekać.

–Cóż, nie możemy czekać tutaj. Musimy ruszać.

–Należy unikać zbyt forsownego przenoszenia generała Hektora, lecz skoro musimy, to musimy.

Paxion zaprosił generała Pekela i wszystkich wyższych oficerów na śniadanie. Miał nadzieję, że do tego czasu postanowi, co robić dalej.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Nad areną wstał szary, ponury świt. Relkin zgłosił się do wykonania kary i otrzymał wiadra, w których miał nosić wodę na śniadanie dla legionów. Pompa znajdowała się pod stajniami. Miał do pokonania dwanaście stopni. Uczynił to wiele razy, zanim pozwolono mu samemu zjeść śniadanie. Wreszcie zwolniono go i pobiegł zająć się smokami.

Zastał je przy radosnym spożywaniu kromek świeżo upieczonego chleba z akh, które przynieśli im inni giermkowie. Powitali go smoczym chichotem. Najwyraźniej usłyszeli już o jego przygodach.

Relkin zignorował ich komentarze na temat słabości ludzi, a smoczych giermków w szczególności, i zajął się otartymi stopami Purpurowo-zielonego, smarując je środkami antyseptycznymi i maścią gojącą.

Stanowczo zbyt szybko zagrały kornety i otrzymali rozkaz wymarszu.

Pakując sprzęty, zauważył zniknięcie chorągwi Sephitów. Załamał się. Od utraty trofeum gorsza była myśl, że ukradł go ktoś z jednostki. Zgłosił kradzież Hatlinowi, który aż zbladł z wściekłości.

Rozpoczęło się śledztwo i przetrząsanie bagaży, niczego jednak nie znaleziono. Solly Gotinder zeznał, że widział Dandraxa przemykającego między namiotami 109 z jakimś pakunkiem pod pachą.

Relkin był przybity. Jeżeli to Dandrax zabrał sztandar, na pewno miał poparcie komendanta Glavesa. Odzyskanie go nie będzie proste.

–Sam nie wiem, co możemy zrobić. Nie możemy oskarżyć komendanta Glavesa o kradzież chorągwi.

Smocze języki migają tam i z powrotem, podczas gdy ich właściciele rozważali sytuację.

–Może udałoby się nam zmusić go, żeby powiedział prawdę – oświadczył w końcu Bazil.

Relkin wzruszył ramionami. Smoki były takie niepraktyczne, kiedy chodziło o sprawy ludzi. Glaves był komendantem regimentu, nie mogli tak po prostu wykręcić mu ręki. Smokowy Hatlin oczywiście w pełni się z nim zgodził. 109 poszuka sprawiedliwości u wyższych instancji, ale nie będzie to łatwe. Nie mieli dowodów ani sposobu na to, by ktoś przeszukał bagaże Glavesa. Zaciskając zęby, smokowy Hatlin przyrzekł poszukać metody odzyskania chorągwi.

–Masz na to moje słowo, smokowy Relkinie. Nie pocieszyło to chłopca.

–Może powinniśmy zadać kilka pytań Dandraxowi – warknął Bazil.

Hatlin wydał wargi.

–Nie usłyszałem tego – stwierdził.

Smok wbił w niego wzrok. Dowódca odwzajemnił spojrzenie. Po chwili odszedł.

–Przyjdzie jeszcze na to odpowiednia chwila – mruknął Purpurowo-zielony.

Usiedli, oczekując rozkazu wymarszu.

Zagrzmiały bębny, zagrały kornety i przemaszerował przed nimi Pierwszy Legion Kadeinu, unosząc wysoko sztandary. Szeregi żołnierzy w szarościach i zieleniach opuszczały arenę, połyskując wypolerowanymi, stalowymi hełmami i zarzuconymi na

plecy tarczami.

Pochód zamykały smoki Kadeinu – skórzane, mosiężne, kościane i zielone – w lśniących stali i skórzanych kaftanach. Wielkie miecze kołysały się, wystając znad ramion. Ozwały się lapidarne komentarze w syczącej, smoczej mowie.

Następnie przejechały wozy ze sprzętem medycznym i lekarzami. Wśród nich, w niewielkiej kolasce jechały dwie kobiety. Relkinowi mignęła Miranswa, siedząca za przepowia-daczką pogody. Uniósł ramię i już miał zagwizdać, lecz zrezygnował, widząc wbite w siebie spojrzenie smokowego Hatlina. Miranswa znikła w powozie, który wyjechał przez bramę areny.

Chłopiec zadumał się ze smutkiem, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy. Hatlin był rozzłoszczony, Vlok miał jakieś kłopoty z ekwipunkiem. Urwał mu się pasek plecaka.

–Dokąd idziemy, panie smokowy?! – zawołał ktoś.

–Do Ourdh, niech to szlag, wracamy do miasta Ourdh. – Hatlin nie wyglądał na szczęśliwego. Zbeształ Swane’a za stan pasków u plecaka Vloka. – Powiniennem rozkazać ci nieść to teraz samemu – warknął. – Pospiesz się i zreperuj to. Nie dopuszczę, żebyśmy opóźnili wymarsz całego legionu.

Swane zabrał się z szaleńczym pośpiechem za nici i igłę, podczas gdy dokoła toczyły się luźne rozmowy.

Wszyscy wiedzieli, że oznaczało to zmianę planów. Mieli maszerować prosto na Dzu i zniszczyć serce groźby Sephitów. Teraz wracali do Ourdh.

–To sprawka Kadeińczyków, mogę się o to założyć – mruzczał smokowy Hatlin. Odpowiedziały mu przytakujące pomruki. Kadeińczycy chcieli wracać do domu przed skończeniem roboty, każdy o tym doskonale wiedział. Pierwszy Legion Kadeinu miał po dwóch latach wrócić do siebie i wyprawa do Ourdh nikogo z nich nie uszczęśliwiła.

Kroczyli aleją Sokwa do centrum miasta. Tłumy zatrzymywały się, by na nich popatrzeć i pozdrowić radosnymi okrzykami. Żołnierze wyprostowali plecy i maszerowali jak na paradzie. Wkroczyli do zatłoczonego śródmieścia. Tłum jeszcze zgęstniał.

Znaleźli się na wielkim moście Kwa, po którym opuścili miasto, przechodząc nad szeroką na milę, brązową rzeką Oon.

Był to ostatni most, składający się z szeregu łuków spinających niewielkie wysepki, za którym rzeka rozlewała się szeroko i można ją było pokonać wyłącznie promem.

Na drugim brzegu rozciągały się przedmieścia, a potem prowincja Norim. Raz jeszcze zagłębili się w okolicę pełną wiosek, pól i rozsianych zigguratów, wznoszących się ponad czubkami palm.

Wieczorem rozbili obóz za tymczasowo wzniesionymi szańcami. Rankiem poczuli dym i Paxion wysłał na północ zwiadowców. Powrócili w porze śniadania z wiadomością, że miasto oblega armia Sephitów, która pojawiła się zaraz po ich wymarszu. Dym pochodził z płonących przedmieść.

Paxion zwołał naradę. Oficerowie z Kadeinu byli ponurzy i zdeterminowani. Sprzeciwiali się powrotowi. Paxion westchnął, uznając za najważniejsze utrzymanie



**jedności w legionach. Pomaszerują dalej do Ourdh.**

**Po naradzie zawołał na stronę generała Pekela.**

**–Do licha, człowieku, przybyliśmy tu, by walczyć, czyż nie? – burknął.**

**Pekel nie zgadzał się z nim.**

**–Rusz głową, generale, nie mamy wystarczającej liczby żołnierzy, by utrzymać takie miasto jak Kwa. Nie możesz ufać tubylcom. Dziś nas kochają, a jutro mogą obrócić się przeciwko nam. Tacy właśnie są: zmienni i próżni, okrutni i pobłażliwi dla własnych słabości.**

**–Powitali nas w swoim mieście, nakarmili...**

**–Bogowie, otruli generała Hektora!**

**–Z pewnością nie chcesz zasugerować, że generał Hektor został otruty przez kogoś innego niż agent wroga.**

**Pekel machnął ręką.**

**–Ktokolwiek to zrobił, dokonał tego w Kwa i wiem, że moi ludzie tam nie wrócą. Musimy udać się do Ourdh i załadować na statek do domu. Musimy uratować nasze zwycięstwo.**

**Paxion nie znalazł wystarczająco silnych argumentów, by zmienić nastawienie Pekela. Nie był pewny własnego autorytetu. Podział legionów doprowadziłby do zniszczenia ich pojedynczo przez nieprzyjaciela, a wina za tę klęskę spadłaby wyłącznie na niego.**

**Martwił się niepewną przyszłością. Nie prosił się o dowództwo. Byli daleko od domu, otoczeni przez głęboko obcą kulturę. Pekel mógł mieć rację–jeśli okoliczni mieszkańcy zwrócą się przeciwko nim, czekać ich będzie diabelnie trudna przeprawa, żeby w ogóle ująć stąd z życiem.**

**Mimo to czuł się winny porzucenia Kwa na pastwę wroga. Tamten dym świadczył o tragedii. Pomyślał o żonie i dzieciach, pozostawionych na głębokiej północy, w forcie Dalhousie. Podziękował Matce, że były tak daleko, doskonale bezpieczne, modląc się jednocześnie o szybki powrót do domu.**

**\* \* \***

**Kiedy generał Paxion kończył śniadanie i podejmował marsz na południe, Ribela z Defwode przebudziła się w mieście Ourdh po krótkim, lecz cennym śnie. Powróciła późną nocą z nieudanej wyprawy do Dzu. Na rzece roіło się od piratów, którzy sprzymierzyli się z nową potęgą w Dzu, skuszeni obietnicą sutych łupów.**

**Ribela szykowała zakłęcie. Czekwały na nią wieści o otruciu generała Hektora, przywiezione przez jeźdźców z Talionu, wysłanych przodem przez Paxiona. Dowództwo legionów wyglądało na zdemoralizowane. Ribela rozważała przez moment pomysł udania się do armii Argonathu i natchnięcia ich bojowym duchem Hektora. Zaraz jednak przypomniała sobie cesarski zakaz ingerowania w sprawy militarne. Zdaniem cesarskiego dworu szkody, jakie wyrządziłoby złamanie przez nią tego zakazu, przewyższały taktyczne korzyści.**

**Dlatego też czarownica szykowała się do kolejnej wyprawy. Nadal nie wiedzieli, z czym dokładnie mieli do czynienia w Dzu. Najwyższa pora to sprawdzić.**

**Posłała Lagdalen po tuzin żywych myszy i trochę jedzenia. Następnie**

przygotowała przejścia Birraka i prześledziła potrzebne jej odmiany i frazy. Używała już tego czaru wcześniej, roztropnie było jednak powtórzyć go sobie. Czekał ją ponad tysiąc linii odmian, a ludzka pamięć bywała zawodna, nawet w przypadku wielkiej czarownicy.

Lagdalen udała się do stajni kupca Irhana i zaoferowała dwóm stajennym pięć sztuk srebra za tuzin myszy. Początkowo zaskoczeni chłopcy mieli kłopoty ze zrozumieniem jej propozycji – kobieta bez garubu mówiła do nich niezaprzeczalnie w uld, choć z barbarzyńskim akcentem. Zaraz jednak skupili się na pokazanym im srebrze.

Po niecałych dwudziestu minutach Lagdalen miała torbę pełną miotających się w środku myszy.

Pobiegła z nią do kuchni, skąd zabrała bochen chleba i trochę oliwy, po czym z powrotem wspięła się po schodach na górę.

Na trzecim piętrze omal nie wpadła na lady Inulę, odzianą w tunikę i białe, puchate pantofle.

–Na boginię, co ty tu robisz o tak wczesnej porze, dziecko? Dopiero świta.

Inula wygodnie przemilczała własne poranne przebudzenie. Objęła ciekawym spojrzeniem brzemię dziewczyny. Z torby dobiegło głośne, przenikliwe piśnienie, kiedy jedna mysz ugryzła drugą.

–Myszy?

Lagdalen przytaknęła.

–Muszę już iść, pani. – Ribela nie lubiła, kiedy marnowała czas.

–Tak, jestem tego pewna – mruknęła Inula, taksując dziewczynę wyrachowanym spojrzeniem. Lagdalen wbiegła po schodach na samą górę. Zajęty przez Ribelę niewielki pokój na poddaszu był zaciemniony i przesycony słodkim zapachem lapsulum, płonącego na kwadratowym ołtarzyku z białego kamienia, który czarownica rozkazała dostarczyć tu Irhanowi.

–Dziękuję, moja droga – odezwała się wielka czarownica. – Wypuść je na podłogę i przygotuj chleb i olej. Niedługo zgłodnieją.

Lagdalen rozsypała torbę i myszy wysypały się na podłogę, pierzchając we wszystkie strony.

Ribela dmuchnęła w srebrne piszczałki, wydające dźwięki niesłyszalne dla ludzkich uszu. Myszy zamarły i podniosły na nią czarne, paciorkowate ślepki.

Była tu Królowa Myszy! Trwały zauroczone. Przyciągała je do siebie tymi wielkimi, błyszczącymi oczami. Zagrała im na piszczałkach krótką melodyjkę, a one usiadły przed nią w dwóch rzędach grzecznie, niby dobrze ułożone uczennice.

Lagdalen była pod wrażeniem. Nawet po wszystkim co widziała u Lessis, ten pokaz mocy wielkich czarownic wprawił ją w podziw.

Ribela wzięła myszy w dłonie i umieściła je na ołtarzu, gdzie utworzyły krąg, pyszczek przy ogonie, wokół kopącego lapsulum. Zaczęły biec w kółko z rosnącą prędkością, aż ich maleńkie ciała zamieniły się we mgłę.

Czarownica rozpoczęła odmiany z Birraka. Kadencje rosły i opadały, tkając czar. Lagdalen stała przy drzwiach, obserwując budowanie zaklęcia i trzymając w

**pogotowiu chleb i oliwę dla biegających niestrudzenie myszy.**

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Lady Inula została wprowadzona do apartamentu księżniczki Zettili. Była pora śniadania i księżniczkę nie zachwyciło to naruszenie porannego rytuału. Niemniej dla lady Inuli mogła uczynić wyjątek. Kobieta była barbarzynką, lecz ze wszystkich sił starała się o przyjęcie do kręgu cór Gingo-La.

Takie marzenie budziłoby wyłącznie śmiech, gdyby nie fakt, że Inula była znakomitym źródłem informacji o Argonathcie i Wiedźmich Wyspach. Zettila nie dysponowała innymi informatorami, toteż żona kupca była dla niej bardzo cenna.

Pozostawała jeszcze druga kwestia. Potrzebowali młodej barbarzynki. Księżniczka dała do zrozumienia, że jeżeli Inula przyprowadzi im taką dziewczynę, czeka ją nagroda, być może nawet przyjęcie do tajemnego kultu bogini Gingo-La w jej sekretnym wcieleniu śmierci-w-życiu, Matki o żelaznych włosach i stalowych dłoniach, śmiercionośnej bogini tornada.

Zdyszana obecność Inuli o tak wczesnej porze mogła mieć z powyższym coś wspólnego. I dobrze, gdyż ceremonię należało przeprowadzić jak najszybciej. Sprawy błyskawicznie przybierały coraz gorszy obrót. Kwa upadło. Sephici opanowali wielki most i szykowali się do potężnego natarcia na południe, na miasto Ourdh.

Dlatego też księżniczka Zettila czekała na Inulę w komnacie błękitnych ptaków w nadrzecznym skrzydle cesarskiego pałacu. Ubrana była w przepiękną, zieloną szatę z trenem, udrapowanym z jej lewej strony niczym gigantyczny wachlarz. Siedziała na poduszkach i popijała kalut.

Lady Inula ukloniła się, dygnęła i usiadła blisko Zettili, na co księżniczka łaskawie jej pozwoliła. Argonarczycy byli nieokrzesani, czegoż jednak można oczekiwać od ludzi pozbawionych historii?

–Czy jesteśmy same, pani? – wyszeptała przybyła.

Zettila prychnęła.

–Moi słudzy są niemi. Utnij mu język i jądra, a mężczyzna stanie się nareszcie użyteczny. – Tak - Inula natychmiast pomyślała o Irhanie i jego licznych wadach. – Z pewnością.

–Możesz więc być pewna, że nic nie opuści murów tej komnaty. Spróbuj kalutu. Inula pokryła zakłopotanie, wyrzucając z siebie wcześniej przygotowaną przemowę.

–Dziękuję, księżniczko. Przybyłam z wizytą o tak wczesnej porze, ponieważ wierzę, iż znalazłam dla ciebie doskonałą kandydatkę – młodą dziewczynę na ceremonię.

–Czy jest matką dzieci?

Inulę przepełniła radość. Księżniczka była najwyraźniej zainteresowana.

–Tak. Zgodnie z wymogami. - Jest piękna?

–Tak, księżniczko, bogini nie będzie rozczarowana naszym podarunkiem. – To dobrze.

–Młoda kobieta, cudzoziemka. – Barbarzyńska krew zostanie doceniona. Inula przytaknęła.

–To wspaniale. Ja zaś mam idealnego kandydata na Adonisa. Musimy mieć

chłopca jako uzupełnienia dziewczyny, a ja wiem o pewnym młodzianie, który wkrótce tu się pojawi.

–Potrzeba jest pilna.

–To prawda. Cesarska armia rozsypała się niczym mokra, robaczywa trzcina. To my musimy powstrzymać zagrożenie dla cesarstwa.

–I to szybko.

–Kiedy możemy zabrać dziewczynę?

–Dlatego właśnie tu przyszedłem, księżniczko. Możemy ją pojmać nawet w tej chwili – jej pani jest bardzo zajęta.

–Kim jest jej pani?

–To Ribela z Defwode.

–Ach, wiedźma. Była już tutaj, żądając widzenia z cesarzem. Urządziliśmy jej zabawę w chowanego.

–Rozumiem, księżniczko.

–Damy Cunfshonowi lekcję wielkiej magii. Pokażemy jej, kto ma prawdziwą władzę nad światem. Nadszedł czas, by wiedźmy z wyspy zrozumiały, że córki bogini są im równe.

Księżniczka wstała i klasnęła w dłonie. Niewolnicy podbiegli do niej i z zatrważającą siłą uderzyli czołami w podłogę. Szorstkim gestem nakazała im podnieść jej tren.

–Adonis wkrótce przybędzie do miasta. Porwiemy go. Co więcej, pojmiemy także jedną z tych wielkich jaszczurek – będzie z niej odpowiednich rozmiarów ofiara. Skąpiemy kamień bogini we krwi. Podarujemy jej dwoje barbarzyńców. Wynagrodzi nasze wysiłki uśmiechem i ocalimy cesarstwo.

–Niechaj cesarz będzie wdzięczny bogini na wieki. Zettila westchnęła.

–Możemy mieć nadzieję na taki korzystny rezultat. A teraz wracaj do domu. Pośle po dziewczynę trzech ludzi. Zapewnij im wszelką konieczną pomoc.

Inula kiwnęła energicznie głową, zachwycona własnym udziałem w wielkich wydarzeniach. Czekala na to od trzydziestu lat i oto stało się. Być może ziści się jej najskrytsze marzenie i zostanie przyjęta do społeczności Ourdh.

Zettila idealnie wybrała moment. W ostatniej chwili wyciągnęła rękę i ścisnęła ramię lady Inuli.

–Krąg dowie się o twych zasługach. Dziękujemy ci, pani.

Inula dygnęła i Zettila oddaliła się.

Żona kupca wróciła do domu powozem w towarzystwie brutalnie wyglądającego mężczyzny w błękitnym, płóciennym stroju. Oczywiście był niemy, co oszczędziło jej konieczności rozmawiania z nim. Dwóch dalszych drągali jechało na koźle powozu, obok jej woźnicy, Pegsleya. Unosiła ją fala euforii, mąconej jednakowoż poczuciem niepewności co do możliwego zachowania się Ribeli z Defwode po odkryciu zniknięcia Lagdalen. Odegnała wątpliwości wzruszeniem ramion. Dziewczyna była idealna, czas wybrany znakomicie, a jej marzenia wkrótce miały się spełnić.

\* \* \*

Niedługo po tym, jak lady Inula wróciła do domu, Relkin z Quosh po raz pierwszy

ujrzał wierzchołek potężnego zigguratu miasta Ourdh. W jednej chwili nie widział nic, by zaraz potem dostrzec w oddali błyszczący czubek.

W szeregach żołnierzy doszło do poruszenia. Od pewnego czasu maszerowali przez peryferia miasta, podobne do przedmieść Kwa. Po paru minutach mogli jednak stwierdzić, że tutejszy główny ziggurat był większy od każdej świątyni, jaką wcześniej widzieli.

Świeciło słońce, robiło się coraz cieplej, a oni zbliżali się do potężnych piramid w sercu miasta. Około południa zatrzymali się i zabrali za rozbijanie obozu w jakimś parku. Otaczała ich gęsta, dwupiętrowa zabudowa z błotnych cegieł, ciągnąca się wzdłuż wąskich uliczek.

Paxion upił nieco kalutu i wezwał kapitana Keseptona, któremu wręczył zwój z wiadomością dla cesarza. Chwilę później kapitański kasztan truchtał w stronę centrum miasta. Paxion uznał za stosowne zezwolić posłańcowi na wizytę w domu kupca Irhana celem zobaczenia się z żoną, Lagdalen z Tarcho.

Paxion był dowódcą wystarczająco długo, by wiedzieć, że kapitan i tak by tam pojechał, nawet wbrew zakazom, toteż wolał uczynić z tego nagrodę. Od samego Salpalangum kapitan ciężko dla niego pracował. To był długi, wyczerpujący marsz, zwłaszcza po katastrofie w Kwa, lecz generał Paxion mógł polegać na raportach Keseptona. Poza tym aż nazbyt dobrze Wyobrażał sobie męki, jakie przechodził ten młody człowiek. Dopiero niedawno dowiedział się o obecności żony w Ourdh, czemu towarzyszyły spore niejasności. Paxion sam spędził parę bezsennych nocy, zamartwiając się żoną i córkami, które przebywały wszak w relatywnie bezpiecznym Dalhousie.

Modlił się o szybką odpowiedź od cesarza. Od ostatnich wieści od władcy lub cesarskiej armii minęło wiele dni. O ile wiedzieli, wojsko cesarza przestało istnieć. Legioniści ukończyli prowizoryczny nasyp, wznieśli palisadę i rozbili namioty, zanim w obozie pojawiła się grupka cesarskich oficerów w otoczeniu konnej eskorty. Jeden z nich udał się na rozmowę z Paxionem.

– Witaj, wodzu barbarzyńców – przemówił niewielki człowieczek, nie ukrywając niesmaku. – Przywożę rozkazy cesarskiego generała.

Rozkazy? Paxion wruszył ramionami, popijając kalut. Nic nie wiedział o rozkazach od cesarza, który ucieka z pola bitwy, porzucając własnych żołnierzy. Milczał.

– Masz podzielić barbarzyńską armię na dziesięć jednostek – ciągnął ośmielony tym oficer – które zostaną rozmieszczone zgodnie z planem cesarza. Ty sam zgłosisz się do pałacu cesarza, by go zabawić. Mamy cię tam natychmiast odeskortować.

Paxion wziął głęboki wdech.

– Jedną chwilę. Nie oddam dowództwa, to pewne. Wysłałem – wiadomość do cesarza i poczekam tutaj na odpowiedź.

Oblicze oficera kawalerii Ourdh obróciło się w kamień. Rzecz niesamowita – oparł rękę na rękojeści miecza. Paxion skinął na kapitana Trempera i oddział żołnierzy Argonathu uniósł tarcze.

**–Barbarzyńcy, przebywacie teraz na pobłogosławionych słońcem ziemiach.**

**Musicie być posłuszni cesarzowi.**

**Paxion uśmiechnął się ze zmęczeniem.**

**–To nie takie proste, przyjacielu. Byłeś pod Salpalangum?**

**Oficer poczerwieniał.**

**–Ja tak – ciągnął Paxion. – To ci barbarzyńcy dotrzymali pola Sephitom, zwyciężając ich. Mam dwa tuziny jeńców, samych wyższych oficerów wrogiej armii. Jestem pewny, że cesarz zechce powiedzieć mi, co mam z nimi zrobić. Z pewnością należy ich przesłuchać.**

**Kawalerzysta zamrugał. Prawdę rzekłszy, był zakłopotany. Barbarzyński dowódca nie zamierzał posłuchać rozkazów. Oficer nie brał pod uwagę możliwości powrotu do własnego dowódcy, nie wypełniwszy misji.**

**–Dlatego więc zaczekam tutaj na powrót mego posłańca. To nie potrwa długo. Może trochę kalutu?**

**Zmieszany oficer odmówił. Razem z oddziałem zniknął kłusem w popołudniowej mgiele.**

**Paxion wrócił do studiowania map. Od połowy dnia zwiadowcy donosili mu o grupkach odzianych w czerń jeźdźców. Wiedział o upadku Kwa i był pewny, że armia Sephitów maszeruje na południe tak szybko, jak tylko potrafi.**

**To był świeży zaciąg, co było najbardziej niepokojące w całej tej sytuacji. Utworzono drugą, potężną armię, wyekwipowano ją i posłano na Kwa chwilę po tym, jak pierwsza poniosła klęskę pod Salpalangum.**

**Gdyby postąpili zgodnie z planami Hektora, wpadliby na nią i stanęli w obliczu pięciokrotnej przewagi wroga. Paxion wciąż uważał Salpalangum za cud i wątpił, by legiony przetrwały drugą taką rzeź.**

**Przewidywał, że schronią się w mieście, pomagając je bronić i czekając na posiłki z Argonathu. Westchnął ciężko. Odpowiedzialność była straszliwa, a wątpliwości gryzły go w dzień i w nocy. Gdyby mógł załadować swoich ludzi na statki i pożeglować do ojczyzny, poczułby, że zrobił wszystko, co tylko można było osiągnąć. Modlił się o ponowne zobaczenie domu, żony i dzieci.**

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Nocą, równo ze wzejściem na północnym nieboskłonie czerwonej gwiazdy Razulgab, koszmarna praca rozpoczęła się na nowo.

Ludzie wypędzani byli na rzęsisty deszcz z zagród w samym sercu martwego miasta Dzu. Szli chwiejnie przed siebie, poganiani trzaskającymi im nad głowami biczami i kłującymi włóczyniami żołnierzy Sephisa. Z zagród wyciągano wszystkich, nie zważając na płeć czy wiek. Głodowali. Od ostatniego posiłku minęło wiele dni.

Zbijali się w niespokojne grupki. Nieledwie tydzień temu wygnano ich brutalnie z domów i gospodarstw, zaganiając do wielkiego miasta. Kraina wyludniała się. Żołnierze byli jednak nieubłagani. Bóg Sephis wymagał od nich służby, musieli więc udać się do Dzu. Albo umrzeć na miejscu.

W praktycznie niezamieszkanym, wymarłym mieście natknęli się na olbrzymią armię odzianych w czerń rekrutów. Wszyscy fanatycznie wierzyli w drogę Sephisa. Nieustannie wyśpiewywali o swej woli zabicia każdego, kto sprzeciwi się ponownemu objęciu rządów przez Boga-Węża. Wieśniaków zapędzano do zagród, za wyjątkiem najsilniejszych i najsprawniejszych młodzieńców, których natychmiast zabierano gdzie indziej.

A potem czekali, słabnąc z głodu. Masa ludzkich wraków wciąż pozostawała w mchu. Jedni przybywali do zagród, innych zabierano.

Teraz zaś zostali wyselekcjonowani, wyciągnięci na zewnątrz i zagnani pod wielkim łukiem na rozległy dziedziniec świątyni. Następnie weszli po schodach do samego świętego przybytku. Minęli stopy Aurosa. Posąg został skruszony w kostkach. Zeszli do podziemi, do olbrzymiej hali. W jednym jej końcu stał ogromny szafot, wzniesiony na wysokości dobrych piętnastu stóp nad kamienną podłogą.

Pod szafotem pracowała grupa mężczyzn, brodzących po kolana w gęstym błocie, które bezustannie mieszali łopatami. Pracowali tak długo, aż błocko nabrało konsystencji gliny na kole garncarza.

Groty włóczni zapędziły wieśniaków na platformę. Tam dopiero ujrzeli, na czym miała polegać służba oczekiwana od nich przez nowego boga.

Mordercy brali ich po kolei, wiążąc nogi w kostkach i zaczepiając haki o liny. Szybкими, precyzyjnymi ruchami podrzynali im gardła, a następnie zawieszali na belkach, by wykrwawili się na ludzi i błoto poniżej.

Ludzie wrzeszczeli, płakali i próbowali uciekać, lecz ostrza włóczni były za ostre i zbyt liczne. Batogi orały ich skórę. Szli bezradnie w objęcia śmierci.

Nagle w pomieszczeniu rozbłysło czerwone światło, które zaraz zmalowało do pojedynczego, jasnego punktu. Mordercy przerwali robotę. Wieśniacy odsunęli się od strefy śmierci sterroryzowaną, bezwolną masą.

Z żółtego prostokąta drzwi wyszły trzy postaci, żeby sprawdzić stan błota. Wszystkie spowite były od stóp do głów w czerń, tu jednak kończyły się podobieństwa. Najwyższy był arcykapłan Odirak. Koło niego stał były biskup Aurosa, teraz zaledwie sługa Odiraka, trzymany przy życiu ku uciechu arcykapłana.

Jednak to trzecia postać kontrolowała unoszącą się nad nimi kulę światła. Pod czarnym kapturem gorzały żółte oczy, a rogowy połysk zdradzał dziób, który wyrósł



na twarzy mezo mistrza Goga Zagozta. W porównaniu z jego mocą kapłan i biskup byli niczym ćmy wirujące wokół latami.

Robotnik zaciepnał garść błota, w którym Gog Zagozt zanurzył długi palec. Spróbował. Błoto dojrzało.

–Spróbujcie i zapamiętajcie smak. Takiej właśnie dojrzałości wymagamy.

Odirak skosztował błota. Ruchem ręki nakazał uczynić to samo biskupowi. Ten skrzywił się, lecz zanurzył palec w mazi i podniósł go do warg. Zadrżał, coś burzyło się w nim na tę zgrozę. Nie potrafił się przemóc.

Gog Zagozt podszedł bliżej.

–Spróbuj, głupcze. Nie będę mógł robić tego zawsze osobiście. Od tej pory to wy będziecie próbować i informować mnie, że błoto jest gotowe. Musisz spróbować... albo zrobi to kto inny, a ty dołączysz do pozostałych.

Biskup oblizał palec. Maź była obrzydliwa, gęsta od krwi. Chciał z wymiotować, lecz nie odważył się. Przez ułamek sekundy mierzyli się wzrokiem z Odirakiem. Kapłan uśmiechał się do niego, radując się jego mękami. Biskup przeklinał dzień, w którym po raz pierwszy go spotkał.

Mezo mistrz wymówił słowa mocy. Błysnęło dwukrotnie i robotnicy zmienili narzędzia, uklepując formy, które napełniali krwawym błotem.

Biskup stał u boku mezo mistrza, rozpaczliwie unikając „niewłaściwych” myśli. Ten demon miał niesamowity dar czytania w cudzym umyśle.

Napełniono wszystkie formy. Mezo mistrz uniósł dłonie i przyzywał energię śmierci. Powietrze rozbłysło czerwienią. Zagrzmiało raz, drugi, trzeci... Z każdym grzmotem jedna forma napełniała się przyćmionym blaskiem.

Po pewnym czasie we wszystkich formach zaległo się życie. Mezo mistrz odwrócił się i odszedł. Odirak udał się za nim. W ich ślady poszedł biskup, czując jak duszę przepelnia mu straszliwy smutek. Ujrzał właśnie proces wykuwania nowego oręża. Będzie musiał z tym żyć do końca swych dni.

Za nimi rozległ się przeciągły wrzask - to mordercy wrócili do pracy. Biskup odetchnął z ulgą, kiedy drzwi zatrzasnęły się, tłumiąc hałas.

Drogę zastąpił mu mroczny cień. Żółte ślepie wpatrzyły się w niego intensywnie.

–Drżysz na odgłosy śmierci, kapłanie? Biskup zawahał się.

–Nie przywykłem do nich – wydusił z siebie.

Istota wybuchła dziwnym, chrzęszczącym śmiechem, podobnym do odgłosu pocierania rogiem o róg.

–Bez trolli wasze armie nie sprostają Argonathowi. Legiony mogą próbować ofensywy. Zapobiegniemy temu, niszcząc ich korpus ekspedycyjny. Nie otrzymamy trolli na czas, poza tym nie ma ich dużo i są trudne w hodowli.

Biskup wiedział o tym. Krowy zdychały, rodząc je.

–Wobec czego musimy robić to – rzekł domyślnie.

–Zgadza się! – przytaknął mezo mistrz, odchodząc. Biskup poczuł na sobie gorący wzrok Odiraka.

–Próbujesz wkraść się w łaski Potężnego?

–Ja? Skądże znowu, panie.

**–Pamiętaj na przyszłość trzymać gębę na kłódkę! – Odirak oddalił się i biskup spiesznie podążył za nim.**

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Czar trwał. Ribela pogrążała się w głębokim transie. Poruszała wargami i językiem, recytując słowa, lecz świadomość oderwała się już od ciała i poszybowała swobodnie po komnacie w domu kupca Irhana na świecie Ryetelth. Oddzielenie było całkowite. Zakończyła odmianę. Jej astralne wyobrażenie gwałtownie zapadło się do punktu. Nie krążyła już po Ryetelth, tylko zanurkowała w otchłań chaosu, rozpościerając się pod świetlistymi bańkami światów, ukształtowanych dłonią Matki.

Eter poruszany był olbrzymimi falami i wirami energii, które zderzając się, eksplodowały mrocznymi wzorami. Towarzyszył temu klekot potężnych, elektrycznych wyładowań.

Królowa Myszy doskonale знаła te krainę. Tu właśnie dokonywała się większa część jej pracy.

W pobliżu pojawił się pomiot, przyciągnięty wyczuwaną przez siebie obecnością. Dla jej astralnego ja potwór był niewielką chmurką srebrzystych cząsteczek rozmiarów sporego psa. Pod istotą iskrzyło się od błękitnej energii.

Pożądliwe macki wystrzeliły w jej kierunku, nie natknęły się jednak na nic, gdyż była tu obecna wyłącznie na poziomie astralnym. Była ogromna, rozproszona, zdolna do natychmiastowego ruchu. Nie mógł jej skrzywdzić żaden pomiot.

Pomioty miały ograniczone umysły, ten rozumiał jednak, że coś tu jest. Wciągnął macki i nastawił się na oczekiwanie na ofiarę. Przypominał w tym niedźwiedzia polarnego, czyhającego na fokę przy przerębli – zdobycz prędzej czy później musiała się pojawić. Wtedy dopadnie ją i pożre.

Ribela nie zwracała na niego więcej uwagi, zajęła się ustalaniem własnej pozycji. Zbliżał się drugi drapieżca. Może dojdzie do walki, może nawet zniszczą się nawzajem. To się czasami zdarzało.

Ruszyła naprzód, penetrując eter chaosu niczym wieloryb przecinający ocean mgły. Prześlizgiwała się po gigantycznych polach statycznych cząsteczek i przeskakiwała paszcze wirów. Mijały ją ruchliwe kształty – nawet przesywały – były namacalnymi stworami, ona nie. Wśród nich zdarzały się drapieżne chmury, istoty rozmiarów piłeczek, napędzane żółtą energią. Otaczały ją, przebijając mackami, nie znajduwały jednak niczego namacalnego.

Zostawiła je za sobą. Pokonała już olbrzymią odległość – setki tysięcy mil gigantycznych zawirowań i kłębiącego się chaosu.

Daleko przed sobą zauważyła ślad czyjejś obecności, pole grawitacyjne wokół czegoś przerażającego, przecinającego chaos niczym mroczna struna, przeciągnięta od własnego, ciemnego świata i zakotwiczona w świecie Ryetelth.

To była istota zasiadająca w Dzu, odrodzony bóg, straszliwy Sephis.

Ribela pomknęła w tamtym kierunku niczym ćma nieodparcie przyciągana przez płomień. Zapуściła ostrożnie sondę. Czym było to stworzenie, przeciągnięte w ten sposób między światami? Jak unikało pomiotów i innych tutejszych drapieżców?

Z substancji matczynej dłoni powstało wiele piekielnych światów. Ribela zdawała sobie sprawę, że to monstrum mogło przybyć z dowolnego z tuzinów światów zła, bardzo ważne byłoby jednak dowiedzenie się, czym ono faktycznie było. Bez

przeprowadzenia takiej identyfikacji niemożliwe było dobranie magii do zniszczenia go.

Zbliżywszy się, Ribela pochwyciła kosmyki myśli stwora. Potężny umysł zajęty był zerowaniem na energii śmierci, płynącej z nie kończących się ofiar. Płonął na planie mentalnym niczym supernowa wśród gwiazd.

Podpłynęła powoli i ujrzała go – gigantyczną kolumnę chmur, przebijającą rozkołysaną materię chaosu.

Stwór gromadził w sobie niewyobrażalne ilości energii. Na świecie, z którego przybył, metale płynęły jak woda w atmosferze tak rozpalonej i gęstej, że zmiażdżyłaby każdą istotę, nie zbudowaną z metali i kryształów.

Teraz już wiedziała. To był gammadion, demon z gorącego świata. Dopiero teraz pojęła ogrom czekającego ich zadania. Wiedza Władców, która umożliwiła im przynajmniej skomunikowanie się z tak przerażającą istotą, wprawiła ją w podziw. Jej własne wysiłki spenetrowania takich światów przyniosły mienie rezultaty. Tamtejsze umysły były zbyt twarde i brutalne, by można było porozumieć się z nimi. Rozwijały się niczym kryształy – wzdłuż prostych linii, odporne zmianom.

Jak, na pot na brwi Matki, zdołali skomunikować się z tym potworem?

Okrążyła go, niby kometa gwiazdę, po czym rozpoczęła powrót do punktu wejścia do podświata.

Zamyśliła się. Gammadiony były odporne na magię znaną Zakonowi Wysp. Dotychczas w walce z takimi monstrami siostry uciekały się do pomocy wyższych światów. W wojnie przeciwko Władcom i otchłaniakom wspierały ich światy Nudar i Sinni. Kiedy Mach Ingbok podjął próbę przekształcenia własnego ciała w stal, plany pokrzyżował mu właśnie Nudar.

Wspominała ciepło łagodnych Sinni. Wspomagali ich od setek lat. To była prawdziwie wyższa rasa!

Istota władająca starożytnym Ourdh jako bóg Sephis, należała do demonów zwanych malacostraca, będących odmianą gammadionów. Z pomocą Sinni została obalona, a jej diabelskie rządy przeszły do historii.

Czy ten należał do podobnej kategorii?

Odżyła w niej nadzieja. Mogła wezwać Sinni, poza tym sporo wiedziała o niszczeniu takich demonów. Dokonano tego co najmniej raz.

Nagle poczuła szarpnięcie. W jakiś sposób została wykryta, mimo iż jej obecność w podświecie była ledwie śladowa. Co gorsza, kontakt utrzymywał się, co oznaczało, że zainteresowała się nią jakaś wyższa inteligencja, a nie zwykły pomiot.

Spróbowała prędko przerwać kontakt. Więź zerwała się, zaraz jednak została odnowiona. Przecięła ją powtórnie i powtórnie ją odbudowano.

Kątem oka dojrzała mignięcie czarnego płomienia i zrozumiała natychmiast, że przeoczyła obecność innego nieprzyjaciela. Dysponował olbrzymią mocą i wielką inteligencją.

W eterze koło niej rozrastała się projekcja, przypominająca czarną ośmiornicę. Utknęła zaklęcie obezwładniające i cisnęła je z rozpaczą na wroga.

Szarą, ruchliwą substancję chaosu oświetlił czerwony rozbłysk. Istota została

ściśnięta do rozmiarów piłki, nie udało się jej jednak przegnać. Z ponurym uporem trzymała się w pobliżu czarownicy.

Ribela pognąła w stronę przejścia. Pozbędzie się stwora, wracając do własnego ciała.

Przyspieszała, hamując jednocześnie wrogą istotę i ścieśniając ją do rozmiarów piłki, lecz ta była piekielnie silna i odporna. Czarownica zaczęła słabnąć. Ubywało jej psychicznej siły, wraz z którą malały możliwości trzymania ośmiornicy na dystans. Coś poszło źle. Myszy męczyły się. Nie karmiono ich. Ribela nie potrafiła sobie wyobrazić, by Lagdalen mogła ją świadomie zawieść.

Ogarnęła ją mdląca rozpacz. Jeśli myszy zatrzymają się, pozostanie jej jedynie własna siła i nie będzie w stanie trzymać dłużej czarnej ośmiornicy na uwięzi. W głowie formowała się jej ponura wizja. Zostanie pochwycona i dostarczona do tamtego monstrum.

Minęła parę moczujących się pomiotów. Tworzyły kłęb drgających macek, wokół którego unosiły się fragmenty walczących, a ich energia zabarwiła otoczenie na głęboki oranż.

Nareszcie przybyła na miejsce. Była wyczerpana. Powróciła do świata Ryetelth i zaczęła krążyć nad swym fizycznym ciałem w komnacie na najwyższym piętrze domostwa kupca Irhana.

Lagdalen nie było. Myszy biegały bez celu po podłodze, słabe i wygłodniałe. Misa z nasączonym oliwą chlebem stała na stole, zbyt wysoko, by mogły się do niej dostać.

Musiała wrócić, czarna ośmiornica odzyskiwała zwykłe rozmiary. Macki zaciskały się wokół niej. Ostatnim wysiłkiem wskoczyła we własne ciało. Ku jej przerażeniu, zaklęcie wroga wciąż trzymało ją na uwięzi. Macki nadal ją ścisnęły. Stwór dopadł ją, gdyż osłabły jej zaklęcia obronne.

Przeciwnik zaczął ją dusić. Walczyła o oddech, napełnienie płuc powietrzem. Gdzie była Lagdalen? Co się stało?

Jej siła wyczerpywała się. Czarna ośmiornica nie puszczała. Czarownicy brakowało tchu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Kapitan Hollein Kesepton jechał ulicami Ourdh, czując zamęt w głowie. Gnany chęcią zobaczenia się z Lagdalen kłusował po Zodzie, mijając szubienice z gnijącymi resztkami pomniejszych łotrzyków.

W głowie huczało mu od pytań. Czy dobrze się czuła? Co z ich dzieckiem? Co ona tu w ogóle robiła? Od paru dni obracał te pytania na wszystkie strony. Wtedy właśnie dowiedział się, że wysłano ją do Ourdh w misji dla Biura Śledczego. Niewiarygodne, że lady Lessis ośmieliła się poprosić ją o to. Hollein wiedział, że wyższe klasy społeczne bardzo serio podchodzą do swych powinności, z pewnością jednak mogli oszczędzić Lagdalen, która wszak całkiem niedawno powiła dziecko. Miała dopiero osiemnaście lat, a już przeżyła tyle niebezpieczeństw.

Cała ta sytuacja była zwariowana. Miasto, wojna, cesarstwo Ourdh – trudno było powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. W pałacu spotkał się z lodowatym przyjęciem. Oficjele kazali mu czekać kilka godzin tylko po to, by oznajmić mu wreszcie, że cesarz niechętnie widzi obecność armii Argonathu w murach Ourdh i że po ostateczną odpowiedź ma przyjść za trzy godziny.

Dlaczego cesarz w ten sposób traktuje legiony, które uratowały zwycięstwo pod Salpalangum? Czego od nich oczekuje, że będą walczyć z Sephitami sami?

Skrzywił się i splunął, owiany smrodem z szubienic. W Ourdh można było natknąć się na rzeczy, które każdego wolnego człowieka napawały wstrętem. Tutejsi władcy zdawali się nie dbać o miłość i wdzięczność poddanych. Feddowie byli bezlitośnie wykorzystywani.

Ci sami ludzie z otwartymi ramionami witali legiony Argonathu podczas marszu na południe, po Salpalangum. Czy była to zwykła wdzięczność za uratowanie przed Sephisem, czy może oznaka buntu wobec własnych tchórzliwych władców?

Kesepton doskonale wiedział, że w Ourdh wieszano za kradzież bochenka chleba, chyba że chodziło o przedstawiciela szlachetniejszego stanu. W miastach i wsiach powszechnie widywało się niewolników. Wszyscy, z którymi rozmawiał w pałacu, byli eunuchami, stanowiącymi własność cesarza. To całkowicie odmienna kultura.

Jechał szeroką aleją, mijając wielkie świątynie, zdominowane przez piramidę Aurosa Kolosa. Za świątyni przybytkami pojawiły się trzypiętrowe budowle ze sklepami na parterach. Na rogach ulic stały tłumy mężczyzn, przez które przedzierały się grupki kobiet w tradycyjnych, czarnych garubach. Po chwili odnalazł ulicę Tasfaar, skręcił w prawo i udał się na południe. Przy ulicy wzniesiono umiarkowanie zamożne, wysokie domy o ścianach wykładanych białym stiukiem, Większość z nich była oddzielona od ulicy ogrodzonymi dziedzińcami. Rozpoznał siedzibę kupca Irhana po białym kwiecie Marneri.

Kiedy podchodził, z bramy wyjechał powóz ciągnięty przez parę białych kłusaków. Coś mu to przypomniało. Widział już ten zaprzęg, nie mógł tylko przypomnieć sobie, gdzie. Wzruszył ramionami i wjechał na dziedziniec.

Przy drzwiach zaczekał chwilę na pojawienie się Irhana. Kupiec wyszedł z kantorku, wciąż pogrążony w liczbach i kalkulacjach.

Widząc kapitana legionów, natychmiast zrozumiał, kto to jest i czego tu szuka. To

musiał być mąż młodej Lagdalen, dzielny wnuk generała Keseptona.

–Wejdź do mego biura, kapitanie. Poczęstować cię czymś? Woda, kalut, piwo?

–Szklaneczka wody znakomicie zrobiłaby memu gardłu, sir.

Irhan poprowadził go do biura.

–Co się stało? – zapytał po zamknięciu drzwi.

Kesepton opowiedział mu zwięźle o otruciu generała Hektora i zmianie sytuacji, jaką to spowodowało. Dowodził generał Paxion, pozostający jednak pod presją dowódców z Kadeinu, którzy chcieli natychmiast wracać do Argonathu. Mieli nadzieję w ciągu tygodnia odpłynąć z Ourdh.

Irhan nie mógł w to uwierzyć.

–Ale przecież wróg odbudował swoje siły. Powstała nowa armia. Ogołacają zachodni brzeg, całe hrabstwa pozbawione są ludzi. Prawdopodobnie zdobyli już Kwa. Jeżeli tak, to właśnie maszerują na Ourdh.

Kesepton poruszył się niespokojnie, niechętny dalszym komentarzom. Irhan zamachał gwałtownie ramionami.

–Jaki będzie sens waszego powrotu do domu i zostawienia nas na pastwę hord Sephisa?

Kesepton wzruszył ramionami.

–Nie jest moją rolą krytykować rozkazy, sir. Ja po prostu je wykonuję i to najlepiej, jak potrafię.

Irhan zamarł w pół gestu i uspokoił się nieco.

–Oczywiście, kapitanie, jestem tego pewny. Ale to oznacza tragedię. Będziemy musieli wszyscy uciec. Wybuchnie panika, jakiej w życiu jeszcze nie widziałeś.

Kesepton miał w dłoniach kapitańską czapkę. Cała sytuacja stawała się katastrofalna. Stary Paxion nie miał wystarczająco siły, by przewyciężyć obiekcje Kadeińczyków, którzy wykazywali tak mało odwagi.

–Cóż, sir, wiem tylko, że na polu bitwy nieprzyjaciel nie może się z nami mierzyć. Mając smoki, możemy rozbić każdą formację wroga, nie tracąc przy tym zbyt wielu ludzi.

Irhan zagryzł wargi.

–Tak, kapitanie, czytałem relacje z Salpalangum, z których wysnułem identyczne wnioski. No cóż, będzie, co ma być, jak mówi żołnierskie powiedzenie.

Kesepton pokiwał głową.

–Będziesz jednak musiał, kapitanie, poinformować generała Paxiona, że zebranie odpowiedniej floty zabierze więcej niż siedem dni. Dół rzeki opanowali piraci i w tej chwili w porcie nie ma więcej jak dwadzieścia statków. Od trzeciego miesiąca rebelii handel stał się istną mordęgą. Obawiam się, że załadowanie dwóch legionów na te statki jest całkowicie nierealne. Poza tym cesarz musiałby wydać rozkaz zarekwirowania ich, co moim zdaniem jest wielce wątpliwe.

Hollein sam się nad tym zastanawiał. Było to mało prawdopodobne, skoro cesarz nie chciał ich nawet wpuścić do miasta, by schronili się za sławnymi na całym świecie murami i fortyfikacjami.

–Tak. Powiem mu o tym.

–Jak rozumiem, odwiedziłeś pałac.

–Mam tam powrócić za dwie godziny po odpowiedź, o ile w ogóle takową otrzymam.

Irhan przytaknął z zaciśniętymi wargami.

–Obawiam się, że cesarz jest nieprzewidywalny i notorycznie nielojalny.

Kupiec westchnął, wstał i zaczął spacerować po biurze z założonymi za plecy rękami.

–Musisz powiedzieć o tym generałowi Paxionowi w największej tajemnicy, rozumiesz?

Hollein pokiwał głową.

–Cesarz jest owładnięty obsesją na punkcie spisków swojej matki. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że prawdopodobnie otruła resztę synów. Miała trzech, z czego dwóch już zabiła. Woli swego bratanka. Jednocześnie na dworze panuje przekonanie, że wezwanie na pomoc Argonathu było błędem. Boją się, że wpuszczenie do miasta „barbarzyńców” oznacza pojawienie się nowego, potężnego gracza w walce wielkich rodów o władzę i wpływy. Z drugiej strony, co światlejsi z wielmożów zdają sobie sprawę, jak desperacko nas potrzebują do walki z Sephitami. Nie ma zgody, jakiej rady udzielić cesarzowi. – Westchnął ciężko. – Powiedz generałowi, że postaram się przekonać naszych stronników i wpłynąć na nastawienie cesarza. Niestety pozostaje on pod wpływem swojej kuzynki, księżniczki Zetilli. To ekstremistka z kultu Gingo-La. Kto wie, co mu doradza? To bardzo trudna sytuacja.

Kesepton wypił szklankę zimnej wody. Postanowił przedstawić prawdziwy powód swej wizyty.

–Muszę spytać cię, Irhanie, o pewną młodą kobietę z Marneri, imieniem Lagdalen z Tarcho.

–Faktycznie, znam ją bardzo dobrze, kapitanie. A ty oczywiście jesteś jej mężem. Muszę powiedzieć, że wizyta bohatera z Tummuz Orgmeen to dla mnie prawdziwy zaszczyt. – Irhan uśmiechnął się szeroko. – Tak, kapitanie, nawet tutaj docierają wieści z ojczyzny. Świetnie się ożeniłeś, młody człowieku. Jest piękna i pochodzi z samych Tarcho.

–To prawda. Czy jest tutaj? Irhan westchnął, radując się chwilą.

–Tak, tak sądzę. Na górze, razem z, hmm, lady Ribelą.

–Ribelą? – Hollein był zaskoczony. Kim była Ribelą? Gdzie jest Lessis?

–Tak, wielką czarownicą z wysp, sławetną Królową Myszy.

Kesepton otworzył szeroko oczy. Znał to imię. Irhan zachichotał. Gdzie jednak podziiała się Lessis?

–Idź na górę, kapitanie, i zobacz się z żoną. Jestem pewny, że nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym cię nie popędził. Pokój po prawej, na samej górze.

Hollein wbiegł po schodach. Na drugim piętrze, skryta za parawanem, siedziała lady Inula, która przyjrzała mu się, paląc batshoobę.

Dotarł na samą górę. Nie było tu nikogo, służba bała się wiedźmy. Otworzył drzwi i zajrzał do środka.

Z ciemności dobiegały odgłosy krztuszenia. Zawahał się. Może przeszkadzał w



**jakimś ważnym zaklęciu? Jeśli jednak nie wejdzie do środka, nie zobaczy się z Lagdalen. Wskoczył do komnaty. Dławienie się było coraz gorsze.**

**Gdy oczy przyzwyczyły się do mroku, ujrzał szczególnej urody kobietę w czarnych jedwabiach, będącą najwyraźniej w niezgorszych opałach. Na wpół leżała na podłodze z rozrzuconymi nogami, oparta plecami o ścianę, z rękoma przy szyi, jak gdyby chciała się udusić. To ona wydawała te dźwięki.**

**Na niewielkim, prostokątnym ołtarzyku kopciło się kadzidło. Przy drzwiach stał stolik, na którym znajdowała się misa z rozdrobnionym chlebem.**

**Dziwność całej sytuacji nie przesłaniała faktu, że kogoś tu brakowało. Ani śladu Lagdalen. Podszedł ostrożnie do kobiety. Coś smyrgnęło mu spod nogi. Mysz. Kilka kręciło się po podłodze.**

**Kobieta dławiła się coraz bardziej. Ukląkł przy niej, złapał za nadgarstki i spróbował oderwać jej ręce od gardła. Nie udało mu się, trzymała je tam siłą przekraczająca możliwości każdego człowieka. Ponowił próbę, opierając stopę o ścianę dla zwiększenia nacisku.**

**Podniosła na niego wzrok, próbując coś wyszeptać. Nic nie usłyszał.**

**–Co? Co mam zrobić? – spytał.**

**W jej oczach zabłysła rozpaczliwa nadzieja. Przełknęła ślinę i zakrztusiła się, zdołała jednak nadludzkim wysiłkiem wyskrzeczec – Nakarm myszy! Prędko!**

**–Nakarmić myszy – powtórzył bez zrozumienia, zaraz jednak połączył miskę chleba na stole z myszami na podłodze. Obrócił się na pięcie i zrzucił chleb na podłogę.**

**Wyglodniałe myszy pomknęły do namoczonych w oleju kawałków niby szare błyskawice. Pożarły je w mgnieniu oka. Hollein Kesepton wybałuszył oczy, obserwując znikanie chleba.**

**Wystarczyłoby go do nakarmienia kilku mężczyzn, a skończył się po pięciu sekundach. Myszy nawet nie zmieniły rozmiarów.**

**Wskoczyły na ołtarzyk i z rosnącą prędkością zaczęły biegać w kółko wokół kopcającego kadzidła.**

**Kobieta rzuciła się konwulsyjnie, a z piersi wyrwał się jej głęboki pomruk. Kesepton usiadł na ziemi. Odsunęła powoli dłonie od gardła, jak gdyby pokonała niewidzialnego napastnika, który tam je trzymał.**

**Oczy jej rozbłysły i wyrzuciła z siebie gwałtownie serię sylab mocy, które wstrząsnęły jej ciałem. Rozległ się trzask i w pokoju rozszedł się ostry, chemiczny zapach, który zaraz zniknął.**

**Kobieta podniosła się powoli z podłogi. Twarz odzyskała kolory.**

**Hollein wpatrywał się w nią, zaskoczony obrotem wydarzeń.**

**–Wszystko w porządku, lady? – zaczął. Miała osobliwie lśniące oczy.**

**–Dziękuję ci, młody człowieku. Mało brakowało. Z całego serca dziękuję za pomoc. Coś mnie jednak niepokoi. Powinna tu być Lagdalen, jak się domyślam – twoja żona. Ale jej nie ma. Z drugiej strony, ciebie nie powinno tu być, a jesteś. Tajemnicze.**

**–Gdzie ona może być? – zapytał Hollein, zdjęty nagłym strachem. – Wszedłem po**

**schodach parę minut temu, lecz nigdzie jej nie widziałem.**

**Czarownica rozejrzała się po pokoju.**

**–Żadnych śladów walki. Niemniej to do niej niepodobne, żeby samowolnie zeszła z posterunku. Coś tu jest bardzo nie w porządku. Muszę zadać kilka pytań.**

**Ribela ruszyła do drzwi, zatrzymała się jednak i obejrzała na niego.**

**–Rozumiem, że generał Paxion rozłożył się obozem pod murami i czeka na polecenia cesarza.**

**–Tak, lady.**

**–Chodź ze mną, kapitanie, musimy odnaleźć Lagdalen. A potem zabierzesz mnie do generała Paxiona.**

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Generał Paxion w milczeniu wysłuchał złych wieści. Po odejściu młodego kapitana osunął się w fotelu i jęknął.

Co takiego zrobił, by sobie na to zasłużyć? Zawsze wywiązywał się z obowiązków i dobrze służył legionom. Teraz zaś zagrożona była cała jego kariera, być może nawet życie.

Nie było szans, by przekonać Kadeińczyków do zawrócenia i walki. Byli zdeterminowani, żeby natychmiast wracać do domu. Paxion nie potrafił zagrzać ich do boju, nie był także w stanie sprawić, by bali się go tak, jak obawiali się Hektora.

A do tego wszystkiego w mieście przebywała wielka czarownica, która chciała się z nim widzieć. To skończy się murowanym bólem głowy! Pewnie zostanie zamieniony w żabę.

–Goniec! – zawołał po dłuższej chwili ponurych rozważań. Szybko skreślił parę słów i wysłał je do generała Pekela. Za dwadzieścia minut w jego namiocie mieli pojawić się wszyscy wyżsi oficerowie.

Przedstawił pokrótce sytuację, niczego im nie oszczędzając-

–Panowie, sytuacja jest niewesoła. Mamy wybór. Albo wdrzeć się do miasta siłą, opanować stojące w porcie okręty i zawieźć naszych ludzi do domu, albo pomaszerować na południe i spróbować zaokrętować się na statki Argonathu. Do wybrzeża dotrzemy w tydzień, góra dziesięć dni. Nie jestem w stanie przewidzieć, ile czasu zajmie miastom zgromadzenie wystarczająco dużej floty, by zabrać nas do ojczyzny. Przepowiadaczka pogody sądzi, że potrwałoby to co najmniej trzy tygodnie, może nawet miesiąc.

\* \* \*

Paxion wpatrywał się z niesmakiem w Pekela. – Do tego czasu otoczą nas armie Sephitów. Wyludniają nadrzeczne tereny, biorą każdego. Mówi się, że Bóg-Wąż nawet staruszki zmusi do złapania za broń i wystąpienia przeciwko nam.

Generał Pekel poczerwieniał z gniewu. Wiedział, co myślą żołnierze Marneri. Dowódcy Kadeinu siedzieli przygnębieni. Twarz trzymającego się z tyłu komendanta Porteousa Glavesa przybrała barwę popiołu.

Dla niego była to ostatnia deska ratunku. Maszerowała na nich ogromna armia ubranych na czarno fanatyków, a przygłupi cesarz trzymał ich za murami miasta. Będą tak siedzieć i wyklócać się, a Sephici przyjdą – i otoczą ich, a wszyscy skończą upieczeni żywcem nad rozżarzonymi węglami.

Oczekiwał jedynie bezpiecznego wyjścia z tego piekielnego bałaganu. Raz jeszcze zastanowił się na dziwnej ofercie, jaką otrzymał od tajemniczej kapłanki Gingo-La, która odwiedziła go w namiocie. Zaproponowała mu bezpieczną ucieczkę i to niemal za nic.

Gdy Paxion zakończył spotkanie i wszyscy zebrali się do Wyjścia, Porteous Glaves postanowił dać kapłankom to, czego chciały. Wyglądało mu to na jedyną szansę wyrwania się z objęć nadciągającej śmierci.

Poranek następnego dnia był jasny i słoneczny. Komendant Glaves opuścił namiot i przeszedł się do sekcji smoków. Zmarszczył nos na odór wielkich bestii –

przypominał zapach koni, był jednak bez porównania ostrzejszy. Nieważne, niedługo znajdzie się daleko stąd.

–Smokowy Hatlin! – zawołał. Smokowy założył czapkę i wygładził mundur, najwyraźniej lekko zaniepokojony widokiem swego przełożonego.

–Dzień dobry, sir. – Zasalutował energicznie. Glaves oddał honory z mniejszym animuszem i ujął smokowego za łokieć.

–Dziś rano zorganizowałem drużyną do ścinania drzew. Kucharze potrzebują opału, a inżynierowie domagają się ośmiostopowych belek. Osiem mil stąd znajduje się zakupiona przez nas część lasu.

–Tak jest, sir, ile smoków potrzeba?

–Trzy smoki z giermkami, oczywiście. Pójdą: Vlok, Chektor i Złamany Ogon.

Smokowy Hatlin uniósł brwi. Po raz pierwszy przekonał się, że ich komendant zna imiona smoków ze 109.

–Tak jest, sir. Dokładnie te smoki?

–Tak, smokowy.

Hatlin był zdezorientowany.

–Zrobiły coś złego, sir? Coś, o czym nie wiem?

–Nie, smokowy, nic z tych rzeczy. Wyślij wskazane smoki. Wrócą wieczorem.

–Tak jest, sir. Pomyślałem tylko, że wyślę Chama zamiast Chektora. Stopy starego Cheka są nieco poobcierane i potrzebuje każdej możliwej chwili odpoczynku, zwłaszcza w obliczu czekającego nas dłuższego marszu.

Komendant Glaves rozważał to przez chwilę, po czym wyraził zgodę.

–Dobrze pomyślane, smokowy, dobrze pomyślane. Poślemy Chama z Vlokiem i Złamanym Ogonem. Dopilnuj tego. Za pół godziny mają zameldować się u kwatermistrza.

Hatlin wykonał rozkaz. Obiecał smokom piwo i dodatkowe porcje na kolację. Pomruczały trochę, w końcu jednak podniosły się z ziemi i poszły do kwatermistrza. Towarzyszyło im pięciu żołnierzy, którzy mieli za karę rąbać ścięte przez smoki pnie.

Po ośmiu milach marszu dotarli do lasu na obrzeżach miasta. Kontrahent z Ourdh wskazał im zakupioną przez legion sekcję.

Smoki otrzymały masywne topory trolli, zdobyte dawno temu przez legiony i zatrzymane do specjalnych zadań.

Bazilowi z Quosh, Vlokowi i Chamowi towarzyszyli giermkowie, mający im pomagać. Przeważnie oznaczało to nie wchodzenie im w drogę.

Ścinanymi przez nich drzewami okazały się białe jesiony o średnicy pni nie przekraczających jednej stopy. Smoki powalały je kilkoma ciosami.

Od pamiętnej nocy w Kwa Relkin i Swane nie odzywali się do siebie. Swane i Tomas nadal mieli podrapane twarze. Temu ostatniemu brakowało dwóch przednich zębów, co wprawiało go w tak wielkie przygnębienie, że nie miał ochoty z nikim gadać. Relkinowi udało się w końcu wyciągnąć całą historię z Mono, choć nie było to łatwe. Chłopiec miał podbite oczy, naderwane prawe ucho i pokiereszowaną twarz.

Człowiek, którego wzięli za sutenera, kazał im poczekać na podwórku za piwiarnią. Uznali, że przyśle im dziewczyny, więc czekali na nie, śmiejąc się i dowcipkując.

**Nagle na dziedziniec wyskoczyła grupka mężczyzn z pałkami i stłukła ich na kwaśne jabłko. Nie mieli szans, zaskoczeni i przytłoczeni przewagą liczebną.**

**Na szczęście przygoda Relkina była zbyt niesamowita, by chciał się nią przechwalać. Myślał czasami o Miranswie i zastanawiał się, jak się jej powodzi. Pewnie przebywa gdzieś na tyłach pałacu. Wyglądało na to, że jego przekleństwem jest spotykanie pięknych dziewcząt z wyższych klas społecznych. Rozumiał, że jest tylko sierotą, podrzutkiem z Quosh, żadnym tam materiałem na księcia. Z pewnych względów nie miał ochoty opowiadać pozostałym o Miranswie.**

**Wszystko to powodowało, że smokom towarzyszyła tego ranka nadzwyczaj cicha grupka giermków, co zostało przez nie odpowiednio skomentowane. Po dotarciu do lasu i wzięciu się do roboty przez smoki, chłopcy trzymali się z dala od siebie, bez zbędnych słów pracując ze swoimi podopiecznymi.**

**Drzewa waliły się na ziemię w jednostajnym tempie, a żołnierze piłowali je, rozszczepiali i układali w sągi. Po wschodzie słońca zrobiło się ciepło i wszyscy porozbierali się do pasa. Jednak tempo pracy nie spadło, jako że wszyscy wiedzieli, iż nie odpoczną, dopóki całe zakontraktowane drewno nie będzie pocięte i odesłane do obozu.**

**Załadowali jeden wóz, drugi, a w połowie trzeciego podjechał do nich wózek z czterema antałkami piwa.**

**Z głośnym okrzykiem aprobaty ludzie porzucili narzędzia i otworzyli beczułki. Smoki zabrały się za swoje, odmierzając słuszne porcje giermkom.**

**Napili się i zjedli trochę chleba z serem i piklami. Każdy ze smoków zjadł tuzin pająk z akh.**

**Skończyli piwo i poczuli senność. Chłopcy, żołnierze i smoki zasypiali jeden po drugim. Zagajnikiem jesionów i sosen wstrząsnęło donośne chrapanie.**

**Nikogo nie obudziło przybycie wozu, który wjechał na polanę kilka minut później. Wyskoczył z niego tuzin mężczyzn, którzy pobiegli obejrzeć smoki i giermków.**

**Rozpoznali Relkina dzięki nienaruszonej twarzy. Związali go i wrzucili na wóz. Następnie pieczołowicie opasali rzemieniami cielsko smoka ze złamanym ogonem. Do więzów przyczepiono liny, które przeciągnięto przez przymocowane na wozie bloczki. Następnie dziesięciu ludzi wciągnęło smoka na wóz.**

**Przy wtórze trzaskania z batów opuścili polanę, zatrzymując się tylko, by ograbić śpiących z sakiewek i noży.**

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Lagdalen z Tarcho obudziło skrzypienie lin i zapach rzeki. Miała zawiązane oczy, skrępowane ręce i nogi i leżała na twardej powierzchni. Słyszała pluskanie fal o dziób i czuła ruch łodzi, z czego wywnioskowała, że nie jest to zbyt duża jednostka.

Początkowo nie mogła sobie przypomnieć, skąd się tu wzięła. Obserwowała czary lady Ribeli w komnacie na szczycie domu kupca Irhana. Myszy biegały, a ona miała je karmić.

A potem nic. Jej myśli napotykały ścianę pustki. Nie była w stanie przypomnieć sobie niczego, co wyjaśniałoby jej obecność na łódce.

Leżała tak przez chwilę, sprawdzając więzy. Związano ją ze znajomością rzeczy, ledwo mogła poruszać mięśniami. Łódka parła przez niewielkie fale. Co jakiś czas słyszała inne dźwięki, postękiwanie i skrzypienie lin na bloczkach.

Nagle przypomniała sobie. Usłyszała coś za drzwiami. Obróciła się i ujrzała milczących mężczyzn o ciemnych oczach i niesamowitej sile. Przewrócili ją i jeden z nich przyłożył jej do twarzy szmatkę nasączoną eterem. Natychmiast straciła przytomność. A teraz leżała na łódce, skrępowana i z zawiązanymi oczami. Została porwana. To jedyne, co przychodziło jej na myśl.

Przeraziło ją to. Zakładała, że wiozą ją do nieprzyjaciela w Dzu. Wyglądało na to, że nigdy już nie zobaczy Laminny. Ta myśl towarzyszyła jej niczym odległa, ciemna chmura, odkąd wyprawiła się do Ourdh. Lagdalen stawiała już czoła śmierci i wiedziała, jak realna potrafi ona być. Teraz jednak nie mogła tego znieść. Biedna Laminna! Biedna Lagdalen.

Łódź przycumowała. Ktoś podniósł ją i podał innemu na brzegu. Ciśnięto ją bezceremonialnie na kolejną twardą powierzchnię. Trzasnął bicz i poczuła ruch. Przeniesiono ją na wóz.

Nie jechali długo – milę, może dwie. Usłyszała otwierającą się bramę, która natychmiast zatrasnęła się za nimi. Przełożono ją na nosze. Dokoła słyszała kobiece głosy, rozmawiające ze sobą w języku podobnym do uld, lecz wystarczająco różnym, by nic nie mogła zrozumieć. Zaniesiono ją do chłodniejszego i cichszego miejsca, zdjęto z noszy i położono na słomie. Jej nozdrza wypełniła woń siana i intensywnych, jaśminowych perfum. Ktoś westchnął i poczuła dłoń, gładzącą jej twarz i ciało. Usłyszała kolejne westchnienie i odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Leżała w ciszy na boku, na grubej warstwie słomy.

Nic nie słyszała, spróbowała więc pozbyć się opaski z oczu. Podciągnęła kolana do twarzy i zaczęła mozolną pracę. Opaska była bardzo ciasna, w końcu jednak zsunęła ją z lewego oka, dzięki czemu mogła się rozejrzeć, odchylając mocno głowę w tył.

Rezultat rozczarował ją. Było dość ciemno. Jedyne źródłem światła okazała się poświata, bijąca z przerażającego wyobrażenia bogini Gingo-La. Była cała czerwona i miała siedem kończyn, w których trzymała noże lub ucięte głowy. Zachowała jednak przepiękne, jasnobrązowe oblicze i łagodne oczy, marzące o niebiańskich sferach. Blask bił od przerażających noży, które trzymała, oraz słońca, księżycy i gwiazd nad jej głową. Lagdalen nigdy jeszcze nie widziała takiego portretu, który ją wielce

poruszył. W Argonathcie nie spotykało się wyobrażeń Matki.

W poświęceniach noży Gingo-La obejrzała wyposażenie całkiem sporego -jak się okazało – pomieszczenia. Znajdował się tu stół, dwa krzesła i ciemna masa, która mogła być skrzynią.

Raz jeszcze wypróbowała więzy i doszła do wniosku, że sama nigdy się nie uwolni. Znieruchomiła na łóżku, starając się nie wyobrażać sobie czekającego ją losu. Nie mogła zrobić nic, mogła tylko czekać, aż przyjdą po nią.

\* \* \*

Gdy Królowa Myszy usłyszała, że cesarz nie wpuścił legionów do miasta, przestała nad sobą panować. Zerwała się z przekleństwem na ustach i udała prosto do generała Paxiona. Wkrótce potem ponownie odwiedziła pałac, tym razem w towarzystwie Holleina Keseptona i sześciu kawalerzystów z Talionu.

Przy bramie strażnicy i legionieści mierzyli się wyzywającymi spojrzeniami, dopóki czarownica nie zauroczyła wartowników, którzy bez dalszych przeszkód wpuścili Argonathczyków do środka.

Ribela usłyszała dalekie nawoływanie Lessis, by oszczędzała siły, kiedy działa w terenie. Jednak Królowa Myszy postanowiła przestać puszczać płazem czynione jej przez ludzi z Ourdh afronty. Byli mężczyznami, podstępnyimi, zdradliwymi i niewdzięcznymi. Miała ich dość.

W pałacu znowu natknęła się na mur milczenia. Od cesarskich apartamentów oddzielał ją tłum odzianych w szkarłat eunuchów z zatyczkami w uszach. Porozumiewali się, pisząc kredą na tabliczkach. Znali jedynie uld.

Ribela skinęła kapitanowi Keseptonowi. Ten wyszarpnął zatyczki najwyższemu rangą eunuchowi.

Czarownica wyrzuciła z siebie kilka sylab mocy, kończąc je odmianą. Proste zaklęcie unieruchomiło urzędnika, tak że Ribela mogła spojrzeć mu w oczy.

Wkrótce potem zmierzała w towarzystwie Keseptona i eunucha do komnat cesarza. Stanęli przed podwójnymi drzwiami, pilnowanymi przez parę strażników.

Byli głuchoniemi, lecz na widok wypisanego na tabliczce polecenia odsunęli się, otwierając drzwi.

Ribela wpadła do środka.

Cesarz i dwór osłupieli na to wtargnięcie. Czarownica nie dała im szans powrotu do siebie. Rzuciła im w twarz, co myśli o nich, ich polityce i tchórzostwie. Przyrównała ich do kapłanów, znieważyla ich odwagę, cały czas tkając wokół nich subtelne zaklęcia.

Banwi chciał wykrzyknąć rozkaz złapania i natychmiastowego stracenia tej baby w czarnych szatach ze srebrnymi mysimi czaszkami, spojrzawszy jednak w te jej przerażające oczy i nie mógł już zrobić nic, prócz siedzenia bez ruchu i wysłuchiwanie jej tyrady. Po chwili skoncentrowała się na nim, pochyliwszy się nad jego twarzą. Opisała mu ze szczegółami okropny los, jaki czekał go po zwycięstwie wroga, który zaciągnie go jako jeńca do Dzu.

Zdążył już o tym zapomnieć, lecz teraz wszystko wróciło. Dokładnie to samo przepowiadała mu kogucia głowa. Demon z Dzu zje go powoli jak cukiereczka. Banwi

wrzasnął, spadł z tronu i tarzał się po dywanie z pianą na ustach.

Korpulentny monstekir, Bornok z Chaji, wyprostował się mówiąc – Odejdź, wiedźmo, dokonałaś już zła. Cesarz dostał ataku.

Faktycznie tak było. Drobnego władcy ryczał z wściekłości, gryząc dywan. Ribela wypowiedziała jakąś formułkę i cesarz znieruchomiał.

Inny monstekir rzucił się naprzód. Ubrany był w kosztowny strój z zielonych i żółtych jedwabii o nadmiernie wywatowanych ramionach i w białe pończochy.

–Pani czarownico z wyspy, jeśli można, doradzałbym odniesienie cesarza do łóżka.

–Nie! – warknęła Ribela. – Musi wydać rozkazy wpuszczające legiony do miasta. Monstekirzy, stekirzy i wielki wezyr cofnęli się z sykiem. Czarownica starała się trzymać nerwy na wodzy.

–Nie możecie zostawić ich na zewnątrz. To wasza jedyna nadzieja na utrzymanie miasta podczas zbliżającego się oblężenia.

Zaczęło się nerwowe oblizywanie warg. Sytuacja wymykała się spod kontroli. Wszyscy słyszeli, że Sephici byli w połowie drogi do Ourdh. Za parę godzin ich zwiadowcy dotrą do przedmieść.

Banwi zawodził.

–Skończ wreszcie z tym głupim hałasem! – Ribela podeszła do cesarza, przykucnęła i wpatrzyła się mu w oczy.

Banwi podniósł się z ziemi. Krew odpłynęła mu z twarzy. Cieniem dawnego głosu poprosił o przybory do pisania. Do bram miał pójść rozkaz wpuszczenia Argonathu do środka.

Paxion natychmiast zabrał się za przenoszenie żołnierzy do miasta.

\* \* \*

Potężne mury miejskie miały pięć olbrzymich bram. Każda stanowiła centrum niewielkiej fortecy. Każda przewidziana była na dwa tysiące załogi. Ponadto miasta broniło siedem bastionów o połowę mniejszych od umocnień bram i przeznaczonych dla tysiąca żołnierzy każdy. Siedemnaście mil murów o wysokości czterdziestu stóp wzmocnionych było co dwieście jardów pięćdziesięciostopowymi wieżyczkami. Teoretycznie mogły je utrzymać niewielkie siły piętnastu tysięcy ludzi.

Paxion spotkał się z cesarskim generałem odpowiedzialnym za fortyfikacje. Był nim monstekir Bogry, otyły mężczyzna imieniem Sosinaga Vokosong. Był wyjątkiem od reguł rządzących jego klasą. Ten doświadczony wojownik z radością powitał przybycie legionów Argonathu. Wspólnie zgodzili się, że żołnierze Paxiona obsadzą mury po obu stronach bramy Fatan, w północno-wschodniej części miasta. Wezmą także odpowiedzialność za obronę samej bramy. Pozostanie tam jedynie stała obsada wrót i dyżurny oficer. Da to lordowi Vokosongowi dodatkowe dwa tysiące cesarskich żołnierzy, którzy wzmocnią niewystarczające załogi pozostałych bram.

Nim zapadła noc, legiony zajęły wyznaczone pozycje.

Przygotowania te obserwowała grupka zamożnych ludzi, zebranych w domu na Solusol, dzielnicy na południe od Zody.

Byli to wysoko postawieni funkcjonariusze administracji oraz kilku kupców.



**Witali się znakiem uniesionej dłoni i zamkniętych oczu nowicjuszy Padmasy. Określali siebie mianem „magów” i żądni byli poznać sekrety potężnej wiedzy tajemnej Władców.**

**Przemawiał do nich człowiek, którego znali jedynie jako „czarodzieja”. Słuchali go w pełnym szacunku milczeniu. Mieli natychmiast rozpocząć agitację przeciwko nieczystym „najeźdźcom” z Argonathu, którzy zakażą składania rytualnych ofiar ze zwierząt. Sprowadzą plagi na mieszkańców Ourdh. Powszechnie znani byli także z nienasyconych apetytów seksualnych i gwałcić będą każdego: mężczyznę, kobietę i dziecko. „Magowie” powinni natychmiast zacząć rozsiewać plotki o gwałtach i molestowaniu dzieci. Opisywać z przerażającymi szczegółami obsceniczne, barbarzyńskie orgie. Ponadto Argonathczycy słynęli z chciwości. Należało rozpowiadać o włamaniach i rabunkach, by tym bardziej podburzyć mieszczan.**

**Agenci wysłuchali go i zabrali się do pracy.**

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Pierwszą oznaką zbliżania się Sephitów był zazwyczaj dym. Kiedy wiał północny wiatr, feddowie unosili głowy i wyczuwali swąd płonących pól. Potem pojawiali się uciekinierzy i wieśniacy wkrótce do nich dołączali, zapychając drogi na południe.

Słyszeli, że Sephici brali każdego, od dzieci po starowinki, i wysyłali do budzącego grozę miasta Dzu. Nikt stamtąd nie wracał.

Zwykle już parę godzin po nich pojawiali się pierwsi zwiadowcy, drobni wojownicy na stepowych kucach – służący Władcom Baguti. Łapali każdego, kto nie zdążył uciec drogą. Starzy i chorzy, dzieci – wszyscy natychmiast zabierani byli na północ.

Następnie zjawiały się szwadrony kawalerzystów w czarnych uniformach, o fanatycznie błyszczących oczach. Większość z nich przywdziała fragmenty zbroi, zerwane z poległych cesarskich. Przetrzęsali wioski w poszukiwaniu ukrywających się i żywności. Na bieżąco informowali trzon armii.

Potem jechali dalej, za Baguti.

Następnie rozlegał się huk bębnow, obwieszczający nadciąganie zastępów Sephisa. Setki doboszy wydawały z siebie nie kończący się łoskot, który napełniał przerażeniem cały świat. Wreszcie horyzont przesłaniała czarna masa żołnierzy w czerni, która po niedługim czasie rozdzielała się na bezkresne kolumny, sunące naprzód każdą dostępną drogą.

Dziesiątki tysięcy żołnierzy, podzielonych na olbrzymie dywizje, maszerowały z fanatycznym błyskiem w oku.

Szli tak przy wtórze bębnow całymi godzinami. Pochód zamykała tylna straż – wyciągnięta linia jeźdźców gotowych zabić każdego marudera. Potem i oni znikali, a łoskot bębnow cichł, pozostawiając po sobie jedynie trzaskanie trawiących pola płomieni.

\* \* \*

W olbrzymim mieście Ourdh wybuchła panika. Lepiej urodzeni uciekali powozami i kolasami na południe cesarstwa, zatykając drogi do bram. Wypełnione po krawędzie burt statki wypływały z portu, ryzykując spotkaniem z rzecznyimi piratami. Lecz przeważająca masa ludności nie miała dokąd uciec.

Jednocześnie żołnierze cesarskiej armii i legionieści Argonathu szykowali obronę. Poszczególne regimenty odpowiedzialne były za utrzymanie konkretnych odcinków murów. Inżynierowie i smocze szwadrony wspólnie obmyślały taktyki kontrpodkopów. Smoki przeszkolono w posługiwaniu się łopatami i kilofami. Zwykle pracowały trójkami: kilof i dwa szpadle. Kiedy zmęczyła się pierwsza trójka, zastępowała ją druga, a pierwsza pokrzepiała się piwem i jedzeniem. W ten sposób zdolne były kopać szerokie tunele w iście zastraszającym tempie.

Tutejsza gleba nie była najlepsza do podkopów, gdyż często rozmiękała. Niestety ostatnimi czasy niewiele padało i grunt był suchy. Paxion oczekiwał znaczących wysiłków przeciwnika na tym polu.

Olbrzymie bestie trenowały również przewracanie wież oblężniczych. W tym celu wyposażono je w długie tyczki. Działając w grupach, były w stanie obalać je na bok.

Podczas wykonywania takich zadań trzeba je było oczywiście strzec. W tym celu

na murach rozwieszono ochronne plecionki

Władze Ourdh skarżyły się na nienasycone apetyty gadów. Każdy z nich jadł dziennie tyle co tuzin mężczyzn. Piły także za dużo. Po całym dniu wysłuchiwania tego typu narzekań Paxion postanowił zademonstrować oficjelom, dlaczego smoki były takie ważne.

Najpierw zapoznano ich z niebezpieczeństwem, jaki niósł ze sobą udany podkop wroga pod miejskie mury. Fortyfikacje Ourdh były masywne i dobrze zbudowane, można jednak było osłabić je podkopem. Jedynym sposobem zapobieżenia temu było wykonanie kontrpodkopu, wybite kopaczy i zawalenie tunelu przeciwnika.

Trzy młode skórzane smoki wkroczyły z łopatami i kilofami na trawnik przed bramą miasta cesarza i zaczęły kopać. Kilof wyrywał sześciostopowe bryły torfu, a łopaty zaczerpywały jard sześcienny ziemi na raz. Po paru minutach smoki wykopały dziesięciostopowy dół. Zarządcy Ourdh zmienili zdanie. Od tej pory smoki mogły jeść i pić do woli.

Demonstracja miała miejsce podczas słonecznego dnia przy północnym wietrzyku, który sprawiał, że warto było narzucić na ramiona lekki płaszcz. Po jej zakończeniu Porteous Graves udał się prosto do kwatery Paxiona na drugim piętrze Bramy Fatan. Miał złożyć raport w sprawie zniknięcia smokowego Relkina i Bazila Złamanego Ogona.

Komendant czekał niespokojnie, aż generał Paxion skończy pisanie listu i wysłę z nim kuriera. Wreszcie podniósł wzrok. Miał przekrwione oczy i znużoną twarz.

–Ach tak, komendant Graves. – Zacisnął z niesmakiem wargi. Nie zdążył jeszcze pozbyć się niechęci do tego człowieka i jego głupiego pomysłu ze skórzanymi obrożami.

Graves uśmiechnął się przymilnie.

–No i cóż odkryłeś, komendancie?

Porteous Graves rozłożył ręce i wzruszył przesadnie ramionami.

–Niewiele, sir. W tej sprawie znamy bardzo mało faktów. Jak pan wie, należeli oni do drużyny ścinającej drzewa na potrzeby kucharzy i inżynierów. Około południa zajechał do nich wóz z czterema baryłkami piwa, do których dosypano środków usypiających, choć nie udało się nam znaleźć żadnych dowodów rzeczowych. Wszyscy usnęli na parę godzin, smoki także. Kiedy się obudzili, zapadał zmrok, a smok i Relkin z Quosh znikli.

–Twoje przypuszczenia, komendancie?

Graves udał, że dzieli się nimi z prawdziwą niechęcią.

–Cóż, doskonale wiemy, że chłopak przekradł się przez mur w Kwa i powrócił z młodą kobietą wyraźnie szlachetnego urodzenia. Jak sądzę, wróciła do swojej rodziny w Ourdh. Niestety nie mogliśmy jej przesłuchać. Podejrzewam, że uwiodła chłopca, który zabrał ze sobą smoka, by ten służył jako osobista ochrona tamtego rodu. To dobra służba i o wiele mniej ryzykowna od legionów. – Przerwał. – Waham się przed wyciągnięciem ostatecznych wniosków, niemniej trapią mnie takie podejrzania.

Paxion cisnął pióro na stół, wstał i zaczął krążyć po komnacie.

–Nie podobają mi się takie przypuszczenia. Miałem okazję spotkać się z tą parą i nie wyglądali mi na dezertarów.

–To prawda, sir, to prawda. Jakby nie patrzeć, chłopak zdobył Gwiazdę Legionów. Smok otrzymał miecz wykuty przez kowala elfów. Wydaje się nieprawdopodobne, by pomimo takiej hojności porzucili legiony. Niemniej nie możemy przeoczyć takiej możliwości.

–Nadal nie łączyłbym tych dwóch spraw. Gdyby chcieli zdezerterować, mogli zrobić to wcześniej.

–Być może ukrywają się gdzieś w mieście. Te bogate rody mają wielkie możliwości. Możliwe, że czekali, aż dotrą do miasta. Być może pomogła im rodzina dziewczyny.

Paxion przełknął ślinę. Brzmiało to nedorzecznie. Jakież jednak mogło być inne wytłumaczenie? Chyba że z nieznanych przyczyn nieprzyjaciel chciał pojmać pojedynczego smoka i giermka. Wówczas jednak wymordowałby pozostałych. To nie miało sensu.

W końcu odprawił komendanta i posłał po kapitana Keseptona. Kiedy ten zaszalutował i usiadł, generał wypróbował na nim teorię Glavesa.

Kesepton odrzucił ją bez chwili wahania. Para Quoshitów była żołnierzami z krwi i kości, nigdy nie zgodziliby się na rolę tresowanych pudli u jakiejś zamożnej rodziny. Podejrzał robotę wrogich agentów. Być może wspomogli się lokalnymi przestępcami. Smok i giermek mogli być potrzebni nieprzyjacielowi do badań.

–Czego jednak chcieliby od chłopca?

–Któż zna smoka lepiej od jego giermka?

Paxion westchnął i zapytał o Lagdalen. Czy były jakieś nowe wieści? Czy czarownice coś odkryły? Kesepton pokręcił głową. Zmartwienia wryły bruzdy na młodej twarzy. Nie spał od paru dni.

Paxion odesłał go i oddał się samotnym zmaganiom z troskami. Borykał się z mnóstwem kłopotów, nic jednak nie niepokoiło go tak jak zniknięcie smoka i giermka. Nie mógł uwierzyć, by porzucili legiony, po prostu nie mógł.

W tym samym czasie Porteous Glaves jechał riksą przez zatłoczone ulice prosto do tylnego wejścia do świątyni Gingo-La. Tam przedstawił się i poprosił o natychmiastowe widzenie z kapłanką Fulaan.

Poprowadzono go do zaciemnionego pomieszczenia i kazano usiąść na niskim krzeselku.

Rozbłysła czerwona poświata i ujrzał górującą nad nim postać na tronie.

–Chciałeś mnie widzieć? – rozległ się znajomy głos. Ten sam, który zaoferował mu ucieczkę w zamian za smoka i chłopaka. Przemawiał w lekko akcentowanym verio.

–Zgadza się. Dostałaś to, co chciałaś.

Zapadła długa cisza.

–Tak.

–A ja chciałbym omówić to, co chcę w zamian. Jeszcze dłuższa cisza.

–Rozważałyśmy już to. Odniosłyśmy wrażenie, że jesteś głupcem, którego

**mogłybyśmy z łatwością oszukać. Było nie było, dopuściłeś się zdrady. Twoi dowódcy powiesiliby cię, gdyby tylko dowiedzieli się prawdy.**

**Glaves spłynął potem. Kobieta ciągnęła przemowę.**

**–Postanowiłyśmy jednak nie oszukiwać cię. Nie przychyliłyśmy się również do pomysłu zabicia ciebie lub zrobienia z ciebie niewolnika, którego po wykastrowaniu wypuściłybyśmy w jakimś oddalonym zakątku miasta.**

**–Nie!**

**–Pozbawiony języka i jąder szybko stałbyś się nikim.**

**Glaves otarł czoło. Ten koszmar chyba nigdy się nie skończy. Czy nie istniała żadna droga ucieczki? Ci oszukańczy, podstępni Ourdhici.**

**–Nie – kontynuowała kobieta – postanowiłyśmy dotrzymać naszej części umowy. Możesz mi teraz powiedzieć, co mogłybyśmy dla ciebie zrobić.**

**Glaves przełknął z trudem ślinę, zaschło mu w ustach. Nigdy, nigdy więcej nie wychyli nosa z Argonathu!**

**–Potrzebuję łodzi, lecz jeszcze nie teraz. Ucieknę, kiedy uznam, że wszystko stracone i wrogowie wedrą się na mury.**

**–Oho – kobieta roześmiała się głucho. – Chcesz, żebyśmy trzymały dla ciebie łódź w pogotowiu, czekając na odpowiedni moment.**

**–Tak.**

**Ponownie wybuchła niesamowitym śmiechem.**

**–Tak będzie.**

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Relkin otworzył oczy. Jęknął i spróbował przekręcić się na plecy, przekonał się jednak, że ręce ma skute i przytwierdzone łańcuchem do osadzonego w ścianie pierścienia. Znajdował się w wilgotnym, murowanym lochu. Ze świetlika pośrodku wysokiego sklepienia wpadało do celi słabe światło. Leżał na warstwie świeżej słomy, rozsypanej na kamieniach posadzki.

Znużony, zmienił pozycję na wygodniejszą. Jak, na starych, złych bogów, tu trafił? Aresztowano go? Czym sobie zasłużył na takie traktowanie?

Choć starał się, jak mógł, pamiętał jedynie wycinkę drzew. Pracowali przypiekani palącym słońcem, a potem na polanę wjechał wóz z posiłkiem i piwem do splukania gardła.

W końcu przypomniał sobie mgliście nagle oszołomienie po posiłku i przemożną potrzebę ucięcia sobie drzemki. Co było dziwne, gdyż wychylił raptem jeden kufel piwa.

Po namyśle stwierdził, że albo piwo, albo jedzenie było zatrute.

Któż jednak mógłby coś takiego uczynić i po co?

Został uśpiony i porwany. Co oznaczało, że nie było nikogo, kto zająłby się jego smokiem lub. Purpurowo-zielonym. Na tę myśl zabiło mu mocno giermkowskie serce. Pozbawione jego ochrony są wystawione na otrucie i kto wie, co jeszcze.

Wstał i zbadał łańcuch i pierścień w ścianie. Łańcuch był ciężki i solidnie wykonany. Pierścień na oko mógł oprzeć się wysiłkom Złamanego Ogona czy samego Purpurowo-zielonego.

Mimo to szarpnął za łańcuch. Okowy były mocne. Rozejrzał się za jakimś narzędziem. Nic nie znalazł. Pas, sztylet, nawet buty – wszystko zniknęło, zostawiając go w samej tunice i pończochach.

Utkwił tu, dopóki ktoś po niego nie przyjdzie. Dużym wysiłkiem powstrzymał się od rozważań, co porywacze mogą chcieć z nim zrobić. Nie było to łatwe. W Ourdh było mnóstwo niewolników, których znaczący odsetek został pozbawiony głosu poprzez obcięcie języka. Nagle jego przyszłość zaczęła rysować się ciemno i niepewnie.

Po jakimś czasie padający ze świetlika blask osłabł, po czym domyślił się, że dzień zbliża się do końca. Zapadły ciemności i Relkin nadstawił uszu, próbując wyłowić jakikolwiek dźwięk.

Jednakże przez długi czas nic nie mąciło ciszy, dopóki nagle nie usłyszał głośnego łupnięcia i kroków. Zazgrzytał klucz w zamku i drzwi do jego celi stanęły otworem.

W świetle wsadzonej do środka pochodni ujrzał trzy kobiety w czarnych garubach. Twarze skrywały woalki. Obejrzały go dokładnie, dyskutując w jednym z dialektów ourdh, którego nie znał.

Wybuchły śmiechem i jedna z nich uszczypnęła go w policzek. Warknął na nie, co wywołało kolejny wybuch radości. Potem wyszły z celi, pozostawiając go samego w ciemnościach.

W głowie kłębiły mu się gorączkowo pytania o przyszłość. Musiał jakoś uciec i

wrócić do 109 na czas, by uratować smoki. Będzie musiał znaleźć sposób na wydostanie się stąd.

Nie nasuwały mu się żadne odpowiedzi. Po chwili usnął. W snach wrócił do katakumb pod Tummuz Orgmeen. Armia szczurów niosła go na grzbietach przez tunele oświetlane luminescencją porostów. W uszach brzęczał mu głos, zachęcający go do odwagi. Obejrzał się na mówiącego, lecz ujrzał jedynie promień światła, niczym jasną gwiazdę za mgłą. Czy była to lady Lessis? Wsunął rękę w światło, a ono rozwiało się, a wraz z nim sen o Tummuz Orgmeen. Poruszył się niespokojnie na grzbiecie fali roztopionego ołowiu, przewalającej się pod burzliwym niebem. Nieopodal szybowały ptaki wojny.

Obudziło go delikatne potrząsanie za ramię. Ktoś pochylał się nad nim niby ciemniejsza plama mroku. Poczł zapach jaśminu. Rozbłysnął płomyk zapalniczki. Oczy szybko przyzwyczyły się do światła i zobaczył przed sobą twarz Miranswy. Miała uniesioną woalkę. Ubrana była w garub.

Otworzył usta, lecz położyła na nich dłoń.

–Cicho! – syknęła, oglądając się na drzwi. – Zabiją mnie, jeżeli mnie tu przyłapią, rozumiesz? A wtedy nikt nie pomoże ci w ucieczce i pójdiesz pod nóż bogini, a twoja krew spłynie na podłogę świątyni w noc pełni księżyca.

Wytrzeszczył mimowolnie oczy.

–Nóż bogini? – A to co, u diabła? Odkąd to Matka odbiera życie?

–Owszem – przytaknęła. – Masz zostać złożony w ofierze. Arcykapłanki pracują nad wielkim czarem i zamierzają złożyć ofiarę, by zapewnić sobie przychylność bogini.

Starał się zachować spokój.

–Cóż – szepnęła. – Masz może klucz do tych kajdan? Obejrzała je uważnie.

–Nie. Teraz jednak znam ich numer, a wiem, gdzie trzymane są wszystkie klucze.

– Zapalniczka wypaliła się. Po chwili zapaliła następną. – Tymczasem siedź cicho i nie zwracaj na siebie uwagi.

–Zaczekaj chwilę – wyszeptał. – Gdzie ja jestem? Czego ode mnie chcą?

Pochyliła się nad nim. Wyglądała piękniej niż kiedykolwiek.

–To Wyspa Bogini, na środku rzeki. – Dlaczego ja?

–W takich przypadkach zawsze lepiej jest rozlać krew cudzoziemca. Dziewczyna, którą złożą w ofierze wraz z tobą, także jest twoją krajanką.

–Dziewczyna z Argonathu.

–Tak. Widziałam ją dzisiaj podczas kąpieli w mleku Matki. Jest piękna na swój barbarzyński sposób. Żal mi jej. Podetną jej gardło i rozleją krew na oświetlone blaskiem księżyca stopnie świątyni. Jeśli wciąż jeszcze tu będziesz, jej krew zmiesza się z twoją.

Nagle przeszło go straszne podejrzenie.

–Skąd wzięli tę dziewczynę? Miranswa wzruszyła ramionami.

–Dokładnie nie wiem... chyba z miasta. Lagdalen! To mogła być tylko ona.

–Musimy ją uratować – szepnął z nagłą determinacją w głosie.

–Niemożliwe – odparła. – Ryzykuję wszystkim, by ochronić ciebie. Jej nie można

uratować. Trzymają ją w innym lochu, pod samą świątynią.

–Powiedz mi tylko, gdzie jest, i resztę zostaw mnie – oświadczył, choć nie czuł się tak pewnie, jak mogło to zabrzmieć.

–Głupcze! Uratuję cię tylko raz, w rewanżu za to, co zrobiłeś dla mnie. Okazałeś się człowiekiem honoru, jeśli jednak powtórnie cię złapią, nie będę w stanie ci pomóc. I tak ryzykuję dla ciebie życiem.

–Rozumiem to, oczywiście. – Jeśli jednak dziewczyną była Lagdalen z Tarcho, to jakże mógłby przynajmniej nie spróbować jej uratować?

Obrzuciła go zniesmaczonym spojrzeniem i zdmuchnęła płomyk. Po chwili usłyszał zamykające się za nią drzwi. Zapadła cisza.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Smoka obudził głód. Prawdziwy głód, od którego mógł rozgorzeć mu dech. Na starych bogów Smoczej Ojczyzny, mógłby przysiąc, że od miesiący nie czuł takiej potrzeby jedzenia. Miał wrażenie, jakby żołądek przywarł mu do kręgosłupa.

Następne odkrycie było jeszcze mniej przyjemne. Był związany wyjątkowo grubymi powrozami. Prawdę rzekłszy, bardziej przypominały liny. Łapy przyciśnięte miał do tułowia, tak samo nogi i ogon. Nawet szyję obwiązano mu sznurem i przytwierdzono do podłogi. Pomimo szaleńczych wysiłków nie był w stanie zerwać więzów, choć turlał się po podłodze i odbijał od drewnianych podpór.

Klnąc w smoczej mowie, wykręcał szyję, rozglądając się dokoła. Światło było słabe, lecz nozdrza podpowiedziały mu natychmiast, że znajdował się w stajniach i leżał na kamiennej podłodze. Smoki mają wzrok ostrzejszy od ludzi, toteż pomimo lichego oświetlenia szybko zorientował się w pewnych cechach charakterystycznych tego miejsca. Na drugim końcu znajdowały się szerokie, drewniane drzwi. Przez niewielkie szczeliny przy framudze przeświecał blask. Podwoił wysiłki, mające na celu zerwanie lin.

Okazały się rozczarowująco mocne. Próbował złapać je zębami i przegryźć, lecz powróż wokół gardła był szczególnie ciasno zadzierzgnięty i każda próba wygięcia długiej szyi pozbawiała go powietrza. Podał się z sapnięciem i przekleństwami.

Ryknął kilkakrotnie o jedzenie w złudnej nadziei, że jego oprawcy czekają pod drzwiami i zaraz wbiegną do celi z ciepłym chlebem, serem, może jagnięciem z rusztu. Bogowie, wystarczyłyby nawet legionowe kluski z akh.

Po piątym ryku do środka wpadli ludzie z włóczyniami. Za nimi weszły do celi kobiety w garubach Ourdh. Podeszły do niego ostrożnie i obejrzały dokładnie. Nie przyniosły choćby zapachu jedzenia.

Rozwścieczony zaryczał pytająco w verio.

Jedna z nich, która władała tym językiem, zemdląła, gdy dotarło do niej, że to wielkie, umięśnione zwierzę mówi do niej. Nie była na to przygotowana. Rozumowo może to wiedziała, lecz legendy o inteligentnych smokach z Argonathu to jedno, a rzeczywistość była czymś zupełnie innym. Pozostałe kapłanki cofnęły się przed rozmiarami i furją potwora.

Choć rzucał się po podłodze, nie był w stanie rozerwać powrozów ani uwolnić łap czy ogona. Mimo to mężczyźni zaczęli szturchać go włóczyniami, bardziej z chęci zrobienia czegokolwiek, byle mieć wrażenie panowania nad sytuacją. Zagrzewali się głośnymi okrzykami. Podobnie jak kapłanki, ich także bardzo zdenerwował fakt posługiwania się mową przez to olbrzymie i zapalczywe zwierzę.

Bazil sklął ich i opluł, żałując iż nie włada ognistym oddechem przodków. Jeden ryk starego Glabady i ci śmieszni ludzikowie przypiekliby się na chrupko.

Niestety współcześni potomkowie tamtych smoków nie dysponowali ogniwymi gruczołami. Bazil mógł jedynie donośnie beknąć.

Poinformował ich, że jeżeli zamierzają dalej tak go poszturchiwać, to równie dobrze mogą pójść dalej i od razu go zgładzić. I tak nie pożyje długo bez jedzenia.

Cofnęli się na ostre słowa jednej z kobiet. Bazil wykręcił szyję. Może przyślą mu jakąś zupę, rosół, choćby i kleik, jeśli było to wszystko, czym dysponowali.

Kobiety przypatrywały mu się z kamiennymi twarzami, po czym odwróciły się i wyszły. Podniósł głos. W ostateczności naprawdę mogą dać mu kleiku. Wystarczy nawet owies dla koni, cokolwiek.

Niestety goście opuścili celę, zamykając drzwi i gasząc światło bez okazania zrozumienia dla smoczego głodu.

Ryknął za nimi w bezradnej wściekłości. Bez rezultatu. Pozostawiono go w ciemnościach, sam na sam z tak wielką ilością pytań, że pewnie nigdy nie znajdzie na wszystkie odpowiedzi. Na przykład: co to za miejsce? Kim byli porywacze? Czego od niego chcieli?

Na ryk starych bogów, to dopiero przyjemna sytuacja dla smoka. Leżeć związanym jak jakiś drób, czekający na upieczenie na wolnym ogniu. Jak, na imię wszystkich chmur, tutaj trafił?

Ze smutkiem dumał, gdzie może być chłopiec Relkin. Doszedł do wniosku, że albo nie żyje, albo także został uwięziony. Co prawda, tajemnicą pozostawało, czego mogli od niego chcieć. Skoro zamierzali upiec sobie smoka na kolację, po co mieszały do tego chłopaka? Zapewne dali mu po głowie i cisnęli w krzaki.

Podczas gdy Bazil łamał sobie nad tym wszystkim głowę, dokoła działały się rzeczy wielkie. W olbrzymim zigguracie, pod którym był uwięziony, przygotowywano się do potężnego zaklęcia, które zostanie rzucone w chwili stanięcia księżycy w zenicie. Trudziło się nad tym tysiące kapłanek, artystów i niewolników. Do niewielkiego portu w północnej części wyspy zawinęły galery z elitą kultu Gingo-La, bogini śmierci. W ciągu najbliższej nocy zniszczą diabelskiego przeciwnika w Dzu, a chwała bogini spłynie na całą krainę. Nadejdzie chwila wyniesienia Gingo-La i odsunięcia wielbiących Aurosa heretyków.

Z drugiej strony, na brzegach rzeki manewrowały olbrzymie armie.

Na wschodnim brzegu niezmierna horda Sephitów podeszła pod miasto Ourdh. Pod miejskimi murami obozowało ponad sto tysięcy fanatyków. Doszło do masowego plądrowania przedmieść, głównie przez pozostających na służbie Węża feddów, którzy wyładowywali wrodzoną nienawiść do mieszczuchów i ich wyrafinowanego stylu życia.

Nieprzyjacielscy inżynierowie mieli pełne ręce roboty. W tuzinie miejsc budowano oblężnicze wieże. Belki pozyskiwano z rozbieranych domów.

Przyglądali się temu legionieści Argonathu i resztki cesarskiej armii, która pozostała przy cesarzu. Byli to najlepsi żołnierze w Ourdh, którzy nie obawiali się nadciągającej walki.

Cesarz także by uciekł, gdyby nie Ribela z Defwode, która przebywała non stop u jego boku, nie pozwalając mu na ruszenie się z pałacu. Banwi miał pozostać wraz z dworem w mieście, zagrzewając mieszkańców do walki.

Do Argonathu pchnięto posłańców z opisem sytuacji i prośbą o przysłanie posiłków morzem. Miały ich wesprzeć olbrzymie kupieckie trójpokładowce z Cunfshonu. W tym celu należało oczyścić rzekę z piratów. Do tego zaś konieczna

była flota okrętów wojennych.

Inżynierowie legionów i cesarskiej gwardii pracowali ramię w ramię przy naprawie murów i przygotowywaniu obrony.

Podstawę defensywy stanowiły smoki. Nie do przecenienia była ich umiejętność przewracania wież. Na wałach ustawiono kotły wrzącego oleju. Kiedy skończy się olej, przerzucą się na wrzątek. Utworzono armię służących, które miały podtrzymywać ogień i napełniać olejem słoiki.

Łucznicy z Kenoru zabrali się za wyrabianie strzał, podczas gdy kowale przekuwali najmniejsze okrawki metalu na tysiące grotów. W innych miejscach inżynierowie konstruowali katapulty i balisty, gromadząc do nich odpowiednie zapasy gładzów.

Generał Paxion sprostał wyzwaniu. Oto rodzaj bitwy – bitwy na zapasy – na jakim się znał. Zmuszał siebie i innych do maksymalnego wysiłku. Część Kadeińczyków oraz – ku jego wstydnemu – oficerów z Marneri nadal liczyło na ucieczkę statkiem. Okrętów nie wystarczyłoby jednak do przewiezienia jednego legionu, a co dopiero dwóch, Paxion zachęcał Kadeińczyków do większych wysiłków. Nakazał Pekelowi pozbycie się złudzeń o szybkiej ucieczce. Zanim zbierze się odpowiednia flota, dawno już znajdą się w ogniu walki. Legion Kadeinu był niezbędny do obrony, która w innym przypadku byłaby zwyczajnie niemożliwa. Miasto otaczało dwanaście mil murów i trzynaście fortów pomiędzy solidnymi Barakami na północy a Wieżą Portową na południu. Legiony odpowiadały za cztery forty i bramę Fatan. Mieli ponad trzy mile osłabionych murów, zwłaszcza w okolicach bramy Fatan, gdzie grunt był sypki, a umocnienia popękane. Inżynierowie uwijali się, gromadząc oręż przy najsłabszych odcinkach murów.

Mając poparcie Królowej Myszy, trzymającej cesarza za łokieć, Paxion bez problemu spełniał nawet najtrudniejsze żądania inżynierów. Pracował, dopóki nie padł, a po paru godzinach snu wracał do pracy. Nie był generałem otwartego pola, gdzie liczył się atak i agresja, lecz żywił przekonanie, że w tym rodzaju walki może stawać w szranki z najlepszymi.

Jak dotąd nie mieli kontaktu z wrogiem, nie ponieśli też żadnych strat. Sephici wystrzelili jedynie kilka strzał, oceniając odległości, i zablokowali drogi prowadzące do bram. Cechowała ich paskudna metodyczność. Olbrzymia armia zdobędzie miasto, kiedy będzie do tego gotowa, nie wcześniej.

Zachodni brzeg rzeki również nie był cichy i spokojny. Od Dzu dzieliło go tylko dwadzieścia mil. Po południu przybył stamtąd większy kontyngent żołnierzy.

Z brzegu bez trudu widzieli olbrzymi ziggurat bogini. Dowódcy rozeznali sytuację, po czym nakazali robotnikom rozebranie pobliskich wiosek i odzyskanie drewna. Inne drużyny przygotowywały się do budowy tratw.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

W lochu mijają powoli godziny; wreszcie noc ustąpiła świtowi. Relkin miał ponurą świadomość, że jeśli wkrótce nie ucieknie, będzie to ostatni świt, jaki widzi. Im bardziej dniało, tym większe czuł zdenerwowanie. Gdzie była Miranswa? Jeżeli się nie pośpieszy, będzie za późno. Skończy na kamiennym ołtarzu wysoko nad obecnym więzieniem.

Po długim czasie wyczuł słabnięcie dziennego światła. Zwątpił. Miranswa zawiodła. Może złapali ją, kiedy podbierała klucze. A może uznała, że to za ryzykowne. Być może będzie stała w tłumie młodych kapłanek i patrzyła, jak podrzynają mu gardło obsydianowym nożem, a potem wrywają serce i składają w ofierze księżycowi.

Na tę myśl ścisnęło go w gardle. Gorzej, że kiedy skończą z nim, położą na tym samym kamieniu Lagdalen, powtórzą ofiarę i zmieszają ich krew, spływającą po tysiącu stopni świątyni.

Skulił się pod ścianą i spróbował o niczym nie myśleć. Inaczej było zbyt boleśnie. Dzień definitywnie ustąpił mrokom nocy. Wkrótce wszędzie księżyc, a wtedy po niego przyjdą.

W tej właśnie chwili usłyszał otwieranie zewnętrznych drzwi. Za moment otworzyły się drzwi do celi. Zawział się. Nie okaże strachu, będzie trzymał głowę wysoko. Umrze jak przystoi żołnierzowi Argonathu.

Ale to nie byli strażnicy, tylko zdyszana Miranswa, trzymająca w ręku bezcenny klucz.

–Mam go – wyszeptała. Zapaliła światło.

Klucz wsunął się do dziurki w kajdanach, lecz utknął. Miranswa miała kłopoty z obróceniem go. Jej palcom brakowało siły. Mocowała się z nim, a Relkin starał się opanować strach. Próbowwała przekręcić klucz, a chłopiec doradzał jej, by poruszyła nim w zamku, gdyż czasami, zwłaszcza w starszych i zużytych zamknięciach, do otwarcia potrzebna była odpowiednia pozycja.

Nic nie pomagało i Relkin zaczął modlić się, żeby był to właściwy klucz. Czyżby się pomyliła? Jeśli tak, był zgubiony.

I nagle rozległo się szczęknięcie. Stęknęła triumfalnie i uczyniła ostatni wysiłek. Klucz przekręcił się ze zgrzytem i kajdany otwarły się. Chwilę później Relkina nie było już w celi. Wyglądał przez zewnętrzne drzwi, gotowy do biegu.

–Zaczekaj – syknęła Miranswa, podając mu kłęb ubrań. – Załóż to. Musisz wyglądać jak świątynny niewolnik.

Błyskawicznie zdjął porządne, wełniane spodnie Marneri i bawełnianą koszulę. Zauważył, że Miranswa nie odwróciła wzroku, lecz obejrzała go sobie uważnie. Zakłopotano go to, wdział więc szybko białą tunikę i obcisłe nogawice z szerokim, poziomym, czerwonym pasem.

–Teraz jesteś bezpieczny, dopóki ktoś nie zada ci pytania bezpośrednio. W tym mało prawdopodobnym przypadku udawaj niemego. Kiwnij głową, jakbyś zrozumiał i odejdz prędko, jak gdybyś wypełniał polecenie. Po wyjściu stąd skręć w prawo. Szybko dojdiesz do głównej drogi, prowadzącej pod świątynią z północy na

południe. Idź na północ, a po opuszczeniu świątyni udaj się przed siebie aleją. Ujrysz przed sobą światła portu. Są tam baraki dla niewolników, toteż twój marsz w tamtą stronę nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Kiedy już tam będziesz, musisz znaleźć sposób, by dostać się na łódź do miasta. Każdej nocy odplywa stąd kilka łódek.

–Dziękuję ci, Miranswo.

–Najlepiej mi podziękujesz, zabierając się stąd jak najszybciej. Niedługo po ciebie przyjdą, a gdy odkryją twoją nieobecność, wybuchnie wielki krzyk i zamieszanie. Nie chcesz chyba, żeby cię powtórnie złapali, co? – Lecz on nie wyszedł zgodnie z jej nakazami.

–Gdzie jest dziewczyna, o której mówiłaś? Miranswa zmarszczyła brwi.

–Nie wspominaj o niej. Nie można jej pomóc. Idź już!

–Gdzie ona jest?

–Idź, głupcze. – Miranswa popchnęła go. Złapał ją za ramiona i spojrzał w oczy.

–Jesteś moją przyjaciółką, Miranswo, i nie chcę cię skrzywdzić. Poza tym jestem twoim dłużnikiem, musisz mi jednak powiedzieć, gdzie trzymają lady Lagdalen. Jeśli mieliby mnie powtórnie złapać, dopilnuję, żeby mnie zabili. Nie zdradzę cię.

Zrozumiała, że był nieprzejeźdny. Nie była w stanie zmienić jego zamiarów.

–Ach, na co to wszystko? – zapytała samą siebie w uld. – Jesteś barbarzyńcą, a wszyscy wiedzą, że to sami szaleńcy.

Mimo to było jej ciężko na sercu i musiała walczyć ze wzbierającymi łzami.

Cóż, ona była całkowicie bezpieczna. Nie musiała się martwić. Jeśli go powtórnie złapią, co było więcej niż pewne, po prostu złożą go w ofierze, nie mając czasu na przesłuchanie go i zmuszenie do wyjawienia jej imienia. Wystarczy, że obetrze łyzy i odda ukradziony klucz, zanim kapłanka Guda obudzi się z drzemki.

Westchnęła. Jej wysiłek pójdzie na manie. Być może to bogini udzielała jej trudnej lekcji. Ci, których wybiera na swe ofiary, umierają dla niej i nic nie może zmienić ich losu.

Łamiącym się szeptem powiedziała mu, gdzie znaleźć dziewczynę z Argonathu.

–Na piętrze zigguratu, w pokoju blisko głównego ołtarza. Po południu wykapali ją w mleku Matki. Teraz czeka na nóż, owinięta w prześcieradła.

Rozluźnił uścisk, nie puszczał jej jednak.

–Dziękuję za wszystko, Miranswo. – Pochylił się i nagle pocałował ją w usta. Było w tym coś elektryzującego. Nie spodziewał się, że odda mu pocałunek. Czy znaczyło to, że dba o niego przynajmniej tak, jak on o nią? Jak zdoła ją jeszcze kiedyś zobaczyć? Zupełnie jakby żyli w różnych światach.

–Życz mi szczęścia – rzucił.

–Idź już – powtórzyła z kamienną twarzą, zaraz jednak złagodniała. Był szalonym barbarzyńcą, owszem, ale za to całkiem miłym, młodym barbarzyńcą. Wielka szkoda, że zamierzał zmarnować życie w taki sposób. Poza tym, uratował ją, za co na zawsze pozostanie jego dłużniczką. Wolałaby już śmierć na ołtarzu dla bogini niż wymuszoną prostytutkę, od której ją wybawił. Musiała spróbować ocalić go choćby dlatego, że miała sumienie, które nie pozwoliłoby jej spać, gdyby postąpiła inaczej. Był barbarzyńcą, zachował się jednak w tak prawy sposób, że ujęło ją to za serce. – Idź i

niech bogini mi wybaczy, a tobie daruje życie. Żegnaj.

Nadal stał, świdrując ją zauroczonym spojrzeniem.

–Miranswo.

–Idź. – Odepchnęła go. Odstąpił kilka kroków. – Powodzenia – szepnęła za nim.

Relkin wyslizgnął się na zewnątrz i podbiegł do owalnych drzwi, strzeżonych przez dwóch zwalistych mężczyzn w turbanach i z bułatami. Wartownicy obrzucili go przelotnym spojrzeniem. Strój sługi okazał się idealnym kamuflażem.

W głównym przejściu był jeszcze bezpieczniejszy. Korytarz miał trzydzieści metrów szerokości i tłoczyli się na nim świątynni niewolnicy, którzy wyglądali dokładnie tak jak on.

Wrócił myślami do czekającego go zadania. Musiał skądś zdobyć broń. Następnie powinien wspiąć się na ziggurat, znaleźć komnatę, w której więziono Lagdalen, i uratować ją.

Nie zostało mu zbyt wiele czasu. Wschodził księżyc.

Dotarł do skrzyżowania. Na prawo wznosiły się szerokie schody, prowadzące na powierzchnię. Stał w szerokim na sześćdziesiąt stóp korytarzu, którego środkiem jeździły konne zaprzęgi.

Przewalające się przejściem tłumy składały się głównie z kobiet. Ku swemu zaskoczeniu zauważył, że tutejsze kobiety nie okrywały się garubami ani woalkami. W murach świątyni bogini nosiły rozpuszczone włosy i suknie z jedwabiu i satyny różnego kroju i w jaskrawych barwach. Inaczej też się poruszały. Ich krok był zdecydowany i niezależny, niepodobny do tego, jaki widywał w Ourdh.

Ruszył przed siebie, szukając schodów na górę. W przecznicach znajdowały się sklepiki i świątynne biura. Często mijał kapliczki poświęcone różnym wcieleniom bogini. Część była pusta i zamknięta, w innych tłoczyły się wyznawczynie. Śpiewano hymny, a kapłanki wykonywały tajemne gesty i zapalały święte świece.

Uskoczył z drogi eleganckiej karecie, ciągniętej przez parę; pięknych, karych wałachów. Ruch nasilał się, poczuł morską bryzę.

Doszedł do końca szerokiej alei. Wyglądało na to, że nie było żadnych dostępnych wewnętrznych schodów. Będzie musiał wspiąć się na świątynię publicznymi rampami. Wędrówka będzie powolna ze względu na tłumy. Na szczycie barierka oddzielała widownię od ołtarza. Zadanie stawało się beznadziejne. Potrzebował czegoś mniej rzucającego się w oczy.

Postanowił jeszcze raz poszukać wewnętrznej klatki schodowej. Może prowadził do nich jakiś boczny korytarz. Zawrócił i skręcił na chybił trafił w pierwszą lepszą odnogę. Znalazł się na wąskim chodniku, szerokości nie większej niż dziewięć stóp. Po obu stronach ciągnęły się drzwi do niewielkich sklepików krawcowych. W oknach wystawione były przepyszne suknie do noszenia wewnątrz świątyni, piękne kreacje z turkusowego jedwabiu, białej satyny, koronek i wstążek. Podziwiając śliczne materiały i wzornictwo, nie zauważył, że jest na tej ulicy jedynym mężczyzną, prócz dwóch strażników, opartych o ladę herbaciarni.

To właśnie herbaciarka zauważyła go pierwsza i wskazała palcem, wykrzykując ostre słowa. Strażnicy podnieśli się z krzykiem, wymachując rękoma. Relkin

natychmiast pojął swój błąd. Pochylił głowę i zawrócił. Nie zauważył, niestety, otyłej kobiety w obfitej sukni z purpurowego jedwabiu z bufiastymi rękawami i koronkowym kołnierzem. Potrącona, przewróciła się z wrzaskiem na plecy, a on upadł na nią, co tylko podwoiło siłę jej krzyku.

Natychmiast zerwał się na nogi, zło jednak zdążyło się dokonać. Kobieta w purpurze głośno lamentowała, a strażnicy upuścili filiżanki z herbatą i skoczyli w jego kierunku.

Relkin wrócił biegiem do głównego korytarza. Za rogiem wpadł na następną kobietę, handlarke cytrynami, rozrzucając jej owoce. Podniósł się kolejny krzyk. Za plecami słyszał narastającą wrzawę.

Drogę zajechał mu biały powóz. Było w nim coś znajomego. Dostrzegł Aimlora, kapryśnego woźnicę księżniczki Zettili. Z tyłu pojazdu znajdował się stopień, na którym podczas procesji jechali lokaje.

Powóz przyspieszył, jadąc w stronę przeciwną do tej, z której szedł. Zasłonił go na chwilę przed pościgiem, który rozproszył się przed niezręcznym powożeniem Aimlora. Relkin wskoczył na stopień, umykając strażnikom. Nikt go nie zauważył – wszyscy rozglądali się za zbiegiem w tłumie przed sobą.

Aimlor takżenie obejrzał się, skupiony na wyprowadzaniu koni na otwartą przestrzeń. Na zewnątrz, pod nocnym niebem dreptał tłum, wspinający się na pierwszą kondygnację zigguratu. Na rogach schodów zapalono lampy, tysiące wyznawczyń niosło płonące świece. Relkinowi zabłysły oczy. Nareszcie ujrział prawdziwe rozmiary świątyni. Wznosiła się kondygnacja za kondygnacją, z których każdą oświetlały tysiące lamp i latarni. Poczul nieklamany podziw, w Argonathcie nie było ta- kich budowli. Przypominało to górę wzniesioną rękami człowieka.

Powóz toczył się przed siebie, nabierając prędkości w miarę, jak droga rozszerzała się w obramowaną niewielkimi budynkami aleję. Relkin omal nie spadł ze stopnia, gdy Aimlor skręcił gwałtownie w boczną drogę, by zaraz zawrócić do podnóża piramidy po jej wschodniej stronie.

Relkin już miał zeskoczyć, kiedy zbliżyli się do kompleksu stajni, wtulonych w masyw zigguratu.

Zatrzymali się wreszcie i chłopiec wskoczył w najbliższe otwarte drzwi do stajni. Korzystając z ciemności, obserwował Aimlora, jak otwiera drzwiczki pojazdu i pomaga wysiąść księżniczce Zettili. Zagłębiła się między budynki i spotkała u wrót stajennych z mężczyzną, któremu Relkin nie zdołał się dokładnie przyjrzeć.

Aimlor wrócił na kozioł. Relkin nasłuchiwał. Było tu wiele otwartych drzwi do stajni i tuziny koni. Dużo zamożnych wy- znawczyń bogini trzymało tu powozy z zaprzęgami tylko po to, by przejechać się aleją od doków do świątyni. Tej nocy jednak większości powozów nie było – zabrano je na przejażdżki po alei.

Stajenni zebrali się w jednym miejscu – słyszał ich wesołe rozmowy i okrzyki. Wszędzie panowała atmosfera święta.

Relkin cofnął się w mrok. Może znajdzie tu jakąś broń.

Ominął stajennych, trzymając się cieni. Tu i ówdzie na podtrzymujących dach słupach wisiały latarnie. Wziął jedną i przetrząsnął pomieszczenie z różnorakim

ekwipunkiem, nie znalazł jednak żadnej broni. Same uprząże i części do pojazdów.

Niedaleko przeszła grupka roześmianych stajennych. Zgasił lampę i cofnął się w ciemność, potykając się o coś. Jeden ze stajennych wybuchnął śmiechem i wszyscy zaczęli miauczeć, zaraz jednak poszli dalej.

Relkina bolały plecy w miejscu, gdzie wylądował na kole. Z jękiem podjął poszukiwania.

Trzymał się cieni, dopóki nie znalazł się na tyłach stajni.

Okolicę oświetlał słaby blask latarni wywieszonych na przedzie budynków. Skręcił za róg w boczne przejście między stodołami z sianem.

Gdzieś w ciemnościach zamiauczał kot. Odpowiedziało mu końskie parskanie z zagród. Ukrył się za snopkami słomy, próbując wymyślić sposób zdobycia miecza.

Stojące przed nim zadanie zdawało się być niewykonalne. Nie mógł znieść myśli, że Lagdalen umrze na ołtarzu, ponieważ on najzwyczajniej w świecie nie potrafił opracować żadnego planu. Musiał mieć plan!

Siedział tak przez kilka minut, pogrążając się w coraz większej rozpacz, kiedy usłyszał znajomy głos, domagający się jedzenia, czegokolwiek dla głodującego smoka. Podniósł się z bijącym sercem i walnął głową o belkę. Gwiazdy zawirowały mu przed oczami, ruszył jednak w stronę, skąd dobiegały smocze ryki.

Ujrzał przed sobą kilka latarni i uskoczył w mrok, kryjąc się przed dwójką strażników, którzy wyszli z zaciemnionych drzwi. Towarzyszyła im księżniczka Zettila, za którą zaraz zamknęli i zabarykadowali drzwi.

Smok wciąż domagał się jedzenia, wymieniając swoje ulubione smakołyki, poczynając od pieczonych kurczaków, a kończąc na pasztecikach i kluskach z akh.

Księżniczka zniknęła w towarzystwie strażnika. Drugi żołnierz ze stęknieniem wyszarpnął ze sterty wiązkę siana i usiadł na niej, opierając się plecami o ścianę. Odstawił włócznię i zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Oczy Relkina zalśniły w ciemnościach.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Strażnik Yoka oparł się o nieheblowane deski stojących wrót i westchnął z nudy. Olbrzymi potwór, leżący związany po drugiej stronie drzwi, wciąż prychnął i mamrotał do siebie. Yoka zastanawiał się leniwie, co to mogło znaczyć. Niezwykle, że to zwierzę potrafi mówić. Tak jednak twierdziły kapłanki – monstrum próbowało porozumieć się z nimi w barbarzyńskiej mowie północy.

Po raz nie wiadomo który Yoka splunął, modląc się, by liny okazały się wystarczająco mocne. Gdyby smok uwolnił się, bogini jedna wie, do jakich metod trzeba by się uciec, żeby go ponownie schwytać. Strażnik miał nadzieję, że pospieszą się i zabiją to przekłete bydło. Czyż nie zamierzały złożyć go w ofierze na koniec ceremonii i rozlać jego posokę na schody? Mówiły o czymś takim. Zdaniem Yoki powinno to nastąpić jak najszybciej.

Na oddech bogini, nienawidził tej służby. Żałował, że nie ma go teraz z To forem i resztą na straży trzeciego piętra. Rozciągał się stamtąd świetny widok na ceremonię.

Ziewnął. Na szczęście ta robota także miała swoje dobre strony. Mogłes usiąść, a nawet uciąć sobie drzemkę przy drugim strażniku. Ze swojego miejsca widział stajnie aż do głównego wejścia. Można było zobaczyć nadchodzących wystarczająco wcześnie, by zerwać się na nogi i przybrać czujny wygląd.

Mimo to brakowało mu atmosfery zabawy, jaka panowała na trzeciej kondygnacji. Na pewno otrzymali już beczułkę piwa, podeślaną przez kapłankę Tork, która stała tam zwykle w gronie asystentek. Była żoną bogatego obszarnika z Bogry i zawsze okazywała im szczodrość, jeśli chodzi o jedzenie i napitki. Strażnicy będą w dobrych humorach oglądać uroczystość i śpiewać. Wezwą boginię, by ocaliła swe sługi przed demonem z Dzu. Później, na głównej alei rozpocznie się karnawał. Jednak dopóki nie poświęcą smoka, Yoka nie będzie mógł brać w tym wszystkim udziału.

Nie spuszczał wzroku z głównego wejścia. Niedługo powinien wrócić drugi strażnik, Rozaw. Kiedy odprowadzi ich gościa, postara się o trochę piwa dla nich. Budka z piwem była niecałe pięćdziesiąt jardów stąd, Yoka był jednak pewny, że przed powrotem na stanowisko stary Rozaw wleje najpierw w siebie jeden lub dwa kufle. Nie spodziewał się go zbyt wcześnie. Zaklął, zaraz jednak zachichotał. Na jego miejscu postąpiłby tak samo.

Był tak zatopiony w myślach, że nie zauważył szczupłego, zdeterminowanego chłopaka, podkradającego się do niego wzdłuż ściany. Nie dostrzegł również solidnej, drewnianej nogi od stołu, którą tamten ścisnął w dłoni. Prawdę rzekłszy, dopiero w ostatniej chwili podniósł wzrok, zdążył jednak zauważyć tylko rozmyty kształt i poczuć cios w skroń.

Ostatnie, co zapamiętał, to że klęczy na ziemi, a jego hełm toczy się pod ścianę. Coś uderzyło go mocno w tył głowy i stracił przytomność.

Smokowy pierwszej klasy Relkin z Quosh pochylił się nad mężczyzną i sprawdził mu puls. Modlił się, żeby go nie zabił. Nie miał takiego zamiaru. Po chwili strachu wymacał puls. Odetchnął z ulgą i zabrał mu miecz, po czym zdjął sztabę z drzwi i wślizgnął się do środka.

Na klepisku leżało wielkie, mamroczące cielsko. W padającym z drzwi świetle Relkin zobaczył, że obwiązano je parokrotnie linami grubości męskiego nadgarstka.

–W porządku, to ja – wyszeptał, mając świadomość, że smok obserwuje, jak podchodzi do niego z obnażonym mieczem, a jest w bardzo złym nastroju.

Zapadła dłuższa chwila milczenia.

–Chłopiec Relkin?

–We własnej osobie.

–Chłopiec Relkin? – ryknął zaskoczony smok. – To świetnie, nie wierzyłem, że to możliwe.

–Dziękuję za wiarę we mnie.

–Nie ma za co. Proszę, użyj miecza i uwolnij tego oto smoka. Strasznie mnie swędzi.

–Cóż, chyba tak właśnie powinienem zrobić.

–Pospiesz się.

Relkin zabrał się za rozcinanie liny, którą smok miał związane nadgarstki. Miecz Yoki nie należał do najostrzejszych i trzeba było kilku ciosów, by przeciąć powrozy. W tym czasie smok zasypywał go pytaniami.

–Gdzie jesteśmy? I dlaczego? Co to za ludzie? Dlaczego chcieli zamorzyć mnie głodem?

–To jakaś wysepka na rzece z wielką piramidą – świątynią ich bogini. Zamierzali złożyć mnie w ofierze.

–Złożyć chłopca w ofierze?

–Taa...

–Czyli smoka też chcieli poświęcić, hę?

Relkin zamilkł na moment. Nie pomyślał o tym, teraz jednak, kiedy wspomniął o tym Bazil, faktycznie zabrzmiało to jak bardzo prawdopodobna przyczyna przewiezienia dwutonowego smoka na wyspę.

–Cóż, tak przypuszczam. Nie wyobrażam sobie innych powodów, dla których mieliby sobie robić tyle kłopotu ze ściągnięciem ciebie tutaj.

–Popelnili wielki błąd.

–Mają Lagdalen. – Co?

–Ją też zamierzają poświęcić.

–Rozumiem. Chłopiec i dziewczyna na przystawkę, a smok jako główne danie.

–Nie sądzę, żeby zjadali ofiary, Baz. To nie jest tak samo, jak kiedy my poświęcamy ziarno bogini lub zarzynamy dla niej wołu. Oni podcięliby nam gardła i upuścili krwi na główne schody. Tak to się tutaj odbywa.

–Duże marnotrawstwo, gdyby ktoś pytał tego oto smoka. Relkin usłyszał w smoczym głosie pewien szczególny ton i gwizdnął do siebie. Ktoś tu niedługo solidnie oberwie. Smok był zły.

–I mają Lagdalen, smoczą przyjaciółkę?

–Jest na wierzchołku piramidy. Musimy spróbować ją ocalić.

–Oczywiście. – Bazilowi załśniły ślepie. Był gotów zabrać się za porywaczy, niezależnie od ich liczby. Nagle dostrzegł poruszenie u wejścia do kompleksu

stajennego. – Lepiej się pospiesz, bo ktoś tu idzie.

Relkin podwoił wysiłki, piłując liny. Szło mu ciężko. Doszedł dopiero do połowy pierwszej.

Rozaw zobaczył bezwładne ciało Yoki. Odstawił z przekleństwem kufel i pobiegł do stajni, wyciągając po drodze miecz.

–Pospiesz się, chłopcze, albo wszystko stracone i skończymy jako ofiary – warknął smok.

Relkin starał się, lecz lina była oporna. Strażnik wbiegł do środka z mieczem w dłoni i runął do ataku, wrzeszcząc o pomoc.

Relkin uskoczył i sparował pierwszy cios. Potem przeszedł do kontrataku, przeciwstawiając swoją szybkość sile większego mężczyzny.

Skoczył naprzód i pchnął. Stary Roz poczuł, jak czubek miecza przecina mu kaftan na brzuchu. Sprawdził ręką i okazało się, że to tylko lekkie draśnięcie, niemniej było blisko.

Chłopiec krążył wokół niego. Stary Roz uświadomił sobie, jak bardzo brakuje mu kondycji. Ten chłopak omal go nie wy- patroszył. Zaczął żałować, że tak pochopnie tu wbiegł. Jego przeciwnik był dobrym szermierzem, a co gorsza, smok rzucał się szaleńczo po podłodze i wyglądało na to, że zaraz zerwie krępujące go więzy.

Pora sięgnąć po garść starych, wypróbowanych sztuczek. Roz nauczył się tego i owego za młodu, kiedy był jeszcze knajpianym rozrabiaką.

Przejął inicjatywę krótkim zamachem w kombinacji z lewym prostym. Cios dosięgnął ramienia chłopca i obrócił go dookoła. Roz zachichotał – stare sztuczki zawsze sprawdzają się w konfrontacji z młodziakami. Niestety Relkin zaraz odzyskał równowagę i kopnął go w wydatny brzuch. Rozaw zgiął się wpół i osunął na ziemię, nie mogąc złapać tchu. Chłopiec wrócił do przecinania liny. Ustępowała, ale strasznie wolno. Piłował ją z przekleństwami na ustach.

Stary Roz odzyskał oddech i zerwał się z wściekłością na nogi, atakując młodego. Chybił i stracił równowagę. Przypadkowo zawadził mieczem o nos Bazila, obcinając sam jego czubek. Trysnęła gorąca posoka, a Bazil zasyczał ogłuszająco. Napiął mocarne mięśnie. Nadwerężona lina poddała się z trzaskiem.

Roz stanął niezdecydowany. Zerwały się liny wiążące potwora! Jak mogło mu się to przydarzyć? Zepsuty taki wspaniały dzień.

Zaraz jednak uświadomił sobie, że smok wciąż jest unieruchomiony – ze skrępowanymi nogami i przytwierdzony do ściany. Katastrofę można jeszcze było odwrócić. Roz rzucił się naprzód z okrzykiem rozpaczony, napotykając ostrze Relkina. Ciął mocno i chłopiec uskoczył za słup. W powietrze prysły drewniane drzazgi.

Bazil zaryczał z frustracją, uwalniając ramiona ze zwojów lin. Złapał za pierścień w ścianie i szarpnął potężnie. Przez chwilę nic się nie działo, zaraz jednak metalowa szpila poddała się z głośnym trzaskiem i Bazil poleciał do tyłu, wtaczając się pomiędzy walczących.

Nadbiegali zwabieni hałasem stajenni. Relkin uskoczył przed kolejnym ciosem strażnika i spróbował własnego uderzenia. Rozaw odbił cios i zaatakował. Chłopiec wykonał unik, znowu jednak nadział się na jego pięść. Zachwiał się. Następny cios

trafił go w czoło. Rozległ się trzask gruchotanych kostek palców. Oszołomiony Relkin opadł na kolana. Jak z oddali usłyszał bolesny jęk strażnika.

Zdołał podnieść się z ziemi i ruszyć chwiejnie do ataku. Rozaw był wytrącony z równowagi i musiał cofnąć się parę kroków z wykrzywioną złością twarzą.

–Ty szczeniaku... – zaczął.

Nagle olbrzymie smocze łapy otoczyły go i poderwały w powietrze. Rozaw wrzasnął ze strachu i zemdłał. Smok upuścił go na ziemię i zabrał mu miecz.

Do pomieszczenia wpadli stajenni. Relkin był wciąż oszołomiony. Prawe ramię było równie użyteczne, co kawał mokrego drewna.

Wyzwał ich słabym okrzykiem. Ruszyli na niego z determinacją na twarzach. Brązowoskóry chłopak, na oko w jego wieku, zamachnął się na niego szczotką. Ledwo odbił cios. Próbowali kopnąć się nawzajem, lecz bez skutku. Pozostali zblizali się z nożem i pałką. Nie poradzi sobie z trzema naraz. Ledwo mógł unieść miecz.

Kij od szczotki palnął go w ramię. Cofnął się i zamachnął słabo na tego z nożem. Szczota zdzieliła go po nogach. Miał już szczerze dość tego „zamiatacza”, najbardziej agresywnego i aktywnego z całej trójki.

Nożownik rzucił się na niego, podczas gdy stajenny z pałką Czaił się po prawej stronie, a ze szczotką po lewej. Relkin zaczynał mieć złe przeczucia.

Raptem stajenni obrócili się na pięcie i uciekli.

–Co jest? – zawołał zdezorientowany Relkin. – Wracajcie tu, tchórze! – krzyknął.

Poczuł na ramieniu wielką łapę i stanął twarzą w twarz z uradowanym smokiem, który z rykiem uciechy uściskał go tak, że wydusił mu powietrze z płuc i zagrzechotał wszystkimi kośćmi.

Patrzyli przez chwilę na siebie.

–Chłopcze, odwaliłeś tu kawał solidnej roboty. Prawie mnie uwolniłeś.

–Cóż, nie chciałem, żeby przestało być interesująco – odparł Relkin, kiedy już złapał oddech. – Myślałem, że jako przyszła ofiara dobrze się tu bawisz.

–Udało ci się. Teraz musimy wydostać się stąd.

–Cóż, nie wyjdziemy tędy. – Chłopiec pokazał na umykających stajennych. Wciąż słyszeli ich krzyki.

–Jest jakaś inna droga?

–Tędy – rzucił Relkin, prowadząc smoka wzdłuż pustych straganów. W końcu dotarli do drewnianych drzwi.

Bazil zatopił pazury we framudze i przełamał ją na pół. Nie była zaprojektowana, by wytrzymać takie traktowanie.

Znaleźli się w magazynie siana z otworem w stropie, przez który wrzucano tu świeże snopki.

Relkin wspiął się na stertę siana i otworzył klapę. Zajrzał w głąb krótkiego korytarza dla wozów z sianem.

–Wejdz na siano.

–Świetny pomysł. Myślisz, że siano utrzyma smoka?

–Spróbuj. No dalej.

Smok wszedł na stertę siana. Utrzymała go przez moment, po czym zapadła się.

**Smok cofnął się na ziemię.**

**–Chłopiec znowu nie miał racji.**

**Relkin zeskoczył z powrotem na podłogę. Wskazał na stojący w rogu, solidnie wyglądający wóz na siano.**

**–To już wygląda lepiej.**

**Baz odgarnął leżące pod drzwiami snopki siana. W pół minuty umieścił wóz pod otworem.**

**–Pospiesz się, robi się gorąco – rzucił Relkin.**

**Słyszał już odgłosy pościgu. Nagle rozległy się donośne krzyki.**

**–Znaleźli strażników – domyślił się chłopiec. – Wkrótce tu będą.**

**Niestety wspięcie się dwutonowego smoka na wóz nie było najłatwiejszym zadaniem na świecie. Pojazd miał tendencję do przewracania się pod jego ciężarem. Wreszcie, za czwartą próbą, zdołał wystawić głowę przez klapę na zewnątrz. Czekala go najtrudniejsza część. Przełożył ramiona przez otwór i zaczął wciągać się powoli na górę.**

**Pomimo całej swojej siły, nie było mu łatwo podźwignąć cielsko i precyzyjnie się przez otwór.**

**–Pospiesz się, Baz, nadchodzą.**

**Relkin wskoczył na wóz i pchnął go. Omal nie został splaszczony, kiedy sfrustrowany smok machnął ogonem.**

**W drzwiach pojawiło się trzech strażników. Relkin obnażył miecz i wskoczył z powrotem na wóz.**

**–Wybacz – szepnął i dźgnął smoka w zad ostrym czubkiem klingi.**

**Ryjąc wściekle, Bazil wyprysnął na ulicę. Relkin wspiął się tuż za nim, miecz strażnika chybił o włos. Chłopiec natychmiast zatrzasnął za sobą klapę.**

**Smok przybrał bardzo niebezpieczny wyraz pyska.**

**–Smok nie lubi chłopca.**

**Relkin wiedział, że wykręty nic nie pomogą.**

**–Jesteśmy na zewnątrz, zgadza się? Żyjemy. Uspokój się.**

**Smok zasyczał.**

**–Słuchaj, przykro mi, ale nie cieszysz się, że wydostaliśmy się stamtąd?**

**Bazil syczał cicho przez dobre dwie minuty.**

**–Na ryk – odezwał się w końcu. Szczęki kłapnęły ze złością. – Pewnego dnia – warknął, powstrzymał się jednak z trudem. – No dobrze, gdzie, na ryk starych bogów, teraz jesteśmy?**

**Relkin przemykał już do wylotu wąskiej uliczki.**

**–Popatrz na to!**

**Bazil dołączył do niego.**

**Przyglądali się wspaniałej ceremonii.**

**Uliczka wychodziła na południową ścianę świątyni. Po prawej bok piramidy opadał w dół, do podnóża wielkich schodów, wspinających się na świątynię trzema długimi zakosami.**

**Wokół schodów tłoczyli się wielmoże, a po samych stopniach wspinały się**

**najważniejsze kapłanki. Były już w dwóch trzecich drogi na szczyt.**

**Scenę oświetlało tysiące wielkich lamp na mosiężnych, rzeźbionych podstawach, ustawionych w regularnych odstępach wzdłuż schodów.**

**Smok i giermek dostrzegli wystawność ceremonialnych szat. Kapłanki spowite były w koronki, satynę i szyfon w barwach różu, jasnej zieleni i żółci.**

**Ustawiona przed piramidą orkiestra zaintonowała głośną, szybką melodię. Zagrzały bębny. Wyznawczynie wezwały boginię, by doceniła splendor ceremonii na jej cześć.**

**–Kiedy dotrą na szczyt, zabiją Lagdalen, smoczą przyjaciółkę, zgadza się?**

**–Tak.**

**–Czeka nas długa wspinaczka.**

**–Obawiam się, że tak.**

**–Na ryk, ależ jestem głodny.**

**–Kiedy skończymy, najemy się za wszystkie czasy, obiecuję.**

**–Obiecywałeś już wcześniej i co z tego?**

**–Chciałbym zauważyć, że w dziedzinie wywiązywania się z obietnic mam całkiem niezłe wyniki.**

**–Tak twierdzisz, ale masz pamięć człowieka.**

**–Nie jestem pewny, czy mogę brać odpowiedzialność za inne typy pamięci – mruknął cicho Relkin.**

**–Hmmm. Chodźmy już.**

**–Zgoda.**

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Księżyc stał wysoko na niebie i ceremonia zbliżała się do punktu kulminacyjnego. Muzycy grali hymn bogini. Altówki wyciągały wysokie tony, a bębny wybijały rytm.

Kapłanki były już blisko szczytu. Nadeszła pora, by swoje miejsca zajęli pozostali uczestnicy ceremonii. Arystokratki w wykwinnych kreacjach rozpoczęły wspinaczkę w górę schodów. Trąbki były coraz głośniejsze. Bębnienie przybierało na sile, zwiastując kulminację.

Jedna z takich grup kobiet dostrzegła poruszenie w krzakach u podnóża schodów. Ku ich zdumieniu z zarośli wychynął dziesięciostopowy smok. Tuż za nim przemykał zwinny młodzieniec. W ich dłoniach lśniła stal.

Kobiety otworzyły usta do krzyku, lecz w tej samej chwili zagrały trąbki i krzyk przeszedł nie zauważony. Smok i chłopiec przedzierali się przez tłum zaszokowanych kobiet, wbiegając po schodach na pierwszą kondygnację. Ich przemarszowi towarzyszyła panika, która błyskawicznie ogarnęła całe piętro. Szlachetnie urodzone obywatelki Ourdh zapomniały nagle o ceremonii i dumie i uciekły, depcząc się i przepychając.

Zgromadzeni na pierwszym piętrze strażnicy dobyli mieczy i rzucili się wypełniać obowiązek. Robili to z pewnym wahaniem. Po Salpalangum krążyły opowieści, co takie smoki potrafią w walce. Dowódcy podsycali ich zapał okrzykami i razami lasek, zmuszając strażników do zejścia na dół.

Smok szedł im na spotkanie. Po drodze sprawdzał mosiężne stojaki na lampy. Dość szybko znalazł luźniej osadzoną sztukę. Cisnął miecz za siebie i złapał go zręcznie wyglądającym na złamany ogonem. Następnie chwycił za lampę i szarpnął. Bolce wyszły ze zgrzytem z marmurowych gniazd i podstawa lampy oderwała się.

Ważyla około dwustu funtów, a Bazil Złamany Ogon trzymał ją jak maczugę.

Strażnicy wysunęli przed siebie włócznie. Dowódcy wrzeszczeli o posiłki. Posłano po łuczników, którzy jednak musieli przedrzeć się przez zbitą masę ludzi, tłoczących się na schodach.

Gapie rozdarci byli sprzecznymi pragnieniami: chęcią natychmiastowej ucieczki i żądzą obejrzenia szykującego się widowiska. Świątynni strażnicy zaraz poćwiartują potwora. Któż nie chciałby tego zobaczyć? Tłuszcza przestała uciekać, gapiąc się na pierwszą kondygnację schodów.

Relkin biegł za smokiem, zupełnie jak podczas bitwy, tyle tylko, że teraz nie miał przy sobie kuszy. Mimo to wymachiwał mieczem Yoki. Ramię odzyskało nieco dawnej siły i był gotowy stawić czoła niebezpieczeństwu. Zdążył już przejść daleką drogę, odkąd przebudził się w ciemnościach.

Bazil dotarł do zapory z grotów włócznie. Zatoczył szeroki łuk lampą, łamiąc drzewce i przeganiając żołnierzy.

Część strażników dobyła mieczy i rzuciła się z samobójczą brawurą na smoka. Tłum nagrodził ich wiwatami. Lecz Bazil ponownie zamachnął się lampą, niczym dwuręcznym mieczem, atakując ich na poziomie pasa. Żołnierze przewracali się jak kręgle. Jeden tylko zdołał zanurkować pod słupem. Zerwał się zaraz na nogi, próbując zranić smoka w kolano.

Baz szarpnął się wstecz, omal nie tracąc równowagi. Podczas gdy balansował na stopniu, strażnik ciął go w bok. Relkin rzucił się naprzód, uderzając go w biodro i odtrącając do tyłu. Żołnierz zaklął i zaatakował chłopca, który sparował cios, wykonał unik, po czym z trudem zablokował następne uderzenie.

Strażnik był dobrym szermierzem, a Relkinowi zaczęło słabnąć ramię. Kolejny cios wytrącił mu miecz z ręki. Był bezbronny. Przeciwnik zakrzyknął triumfalnie, spinając się do śmiertelnego ciosu. Zamiast jednak rozszczępić Relkina na pół, klinga odbiła się od mosiężnej lampy, która znalazła się nagle na jej drodze.

Strażnik podniósł ogłupiały wzrok na smoka i zamarł, ulegając smoczemu paraliżowi.

Bazil nie marnował czasu. Kopnął go tak, że tamten poleciał piętnaście stóp do tyłu. Ciało stoczyło się bezwładnie ze schodów. Gapie zgodnie jęknęli.

Pozostali żołnierze zawahali się. Nie spodziewali się, że potwór potrafi tak walczyć nogami. Prawdę rzekłszy oczekiwali, że monstrum zostanie wniesione na koniec ceremonii po schodach na górę, a jego krew popłynie po stopniach ku chwale bogini. Dwóch najbardziej rozkojarzonych nie zdążyło cofnąć się na czas przed zamaszystym ciosem lampy. Ich ciała przeleciały nad głowami towarzyszy i wylądowały z głuchym łupnięciem na następnej kondygnacji. Reszta zawahała się, kilku rzuciło się do ucieczki.

Po schodach wbiegło dwóch odważnych cywili z małymi, ceremonialnymi mieczami w garściach. Relkin starł się z jednym z nich, ostrzegając smoka okrzykiem.

Baz dostrzegł nadbiegającego mężczyznę i zaatakował go mieczem ogonowym. Ten wymachiwał dzielnie ozdobnym ostrzem, które jednak szybko stracił.

Umknął pozbawiony broni. Jego kompan fechtował jeszcze przez chwilę z Relkinem, wycofał się jednak, kiedy nad głową świsnął mu miecz ogonowy. Nikt nie poszedł w ich ślady.

Wspinali się na kolejne kondygnacje, nie napotykając oporu, dopóki nie dotarli na szczyt. Tam drogę zastąpił im samotny strażnik.

Relkin gwizdnął na niego, a gdy ten obejrzał się, pokazał mu kciukiem, że powinien się wycofać. Żołnierz zawahał się, więc Bazil dał krótki pokaz możliwości podstawy lampy. Mężczyzna pobiegł do wejścia, gdzie wmieszał się w tłum bogato ubranych kobiet.

Giermek zauważył, że jego smok dyszy ciężko, a z pyska dobywają się kłęby pary. W takich warunkach gad mógł ulec przegrzaniu i odwodnieniu. Rozejrzał się dokoła i zakrzyknął radośnie na widok porzuconej przez strażników beczułki piwa. Leżała elegancko na kozłach, z których zwisało kilka kufli. – Chwileczkę, Baz. Czy jesteś równie spragniony jak ja?

Smok nie zawahał się ani chwili. Poderwał beczkę w jednej trzeciej wypełnioną piwem i wybił pazurem dziurę w dnie. Wziął długi łyk, po czym chlusnął do podstawionego przez chłopca kubka.

Napili się do syta i z ogniem w oczach ruszyli ku najwyższej kondygnacji. Bazil cisnął za siebie opróżnioną beczkę. Sturlała się z łomotem po schodach.



Do tego momentu zdumienie kapłanek zdążyło przerodzić się w przerażenie. Pognały do wyjść ze szczytu świątyni, na tym poziomie nie było ich jednak zbyt wiele, poza tym tłoczyły się w nich spanikowane szlachcianki. Wytworne suknie i bogate toalety darły się i rwały z trzaskiem. Stopy deptały jedwabie, a paznokcie rozszarpały szyfony i wátowania.

Smok i jego giermek dotarli na opustoszały wierzchołek zigguratu pół minuty później. Pośrodku stał samotny ołtarz bogini. Siedem miedzianych zwierciadeł skupiało blask księżyca na kamieniu, na którym miano ich poświęcić.

Stała tam garść przerażonych arcykapłanek, wpatrzonych w podchodzących z bronią w pogotowiu Relkina i Bazila.

–Gdzie jest lady Lagdalen z Marneri?! – krzyknął chłopiec.

–Głupi chłopaku – parsknął smok. – One mówią we własnym języku, nie rozumieją cię.

W tej samej jednak chwili Relkin rozpoznał jedną z nich.

–Tamta w czerni. To z nią rozmawiałem w Salpalangum. Faktycznie, to była księżniczka z białego powozu z jasnowłosym woźnicą. Stał przed nią.

–Jesteś księżniczką, która rozmawiała ze mną w Salpalangum.

Księżniczka Zettila wpatrywała się w niego ze zmieszaniem. Świat walił się jej na głowę. Ten chłopak był niczym ucieleśnienie najgorszego zła z piekła rodem.

Wskazał ją palcem.

–Wiem, że władasz językiem Argonathu, że mnie rozumiesz.

Jej wargi poruszyły się bezdźwięcznie.

Na brzegu wyspy lądowała właśnie wroga flota. Nie można było dokonać ofiary. Ceremonia legła w gruzach i wszystko było stracone. Nieprzyjacielska armia zaleje ich, roznosząc wszystko na swej drodze. Wielka świątynia bogini zostanie sprofanowana.

–Gdzie jest Lagdalen z Tarcho? – zapytał Relkin, przysuwając się bliżej. Wyglądała jak w transie. Stojąca po jej lewej stronie kapłanka dobyła małego, srebrnego noża.

Nie pozostało to nie zauważone. Smok uniósł lampę i kapłanka cofnęła się z cichym okrzykiem. Zettila wbiła wzrok w niszczyciela.

–Czego chcesz? – odezwała się w końcu. Przykładał jej miecz do gardła. Uznała, że nie chce umrzeć.

–Księżniczka czy nie, zabiję cię, jeżeli mi nie odpowiesz. Gdzie jest dziewczyna z Marneri?

Uniosła się gniewem.

–Nie wolno ci tego robić. Gubisz świat. Patrz! – Wskazała zachodni brzeg, oświetlony setkami pochodni. W ich blasku ujrzeli flotyllę tratw i łodzi, z których wysiadała cała armia.

–Kto to? – zapytał zaalarmowany Relkin.

–Głupcze! To słudzy Sephisa. Jeśli nie dokończymy ceremonii i nie wezwiemy mocy bogini, zdobędą świątynię i to będzie koniec.

–Ceremonia? Masz na myśli złożenie w ofierze mnie i Bazila? Jej wzrok

przepojony był rozpaczą.

–To bardzo ważne. Błagam, przyjmijcie ten honor. Na zawsze będziemy o was pamiętać. Połóż się na ołtarzu i przekonaj tę bestię, by postąpiła tak samo. Musisz. Tego żąda bogini. – Mówiąc to, spróbowała rzucić czar, lecz Relkin był czujny i odskoczył z przekleństwem.

–Sama się poświęć, pani. My nie jesteśmy zainteresowani. Poza tym, nie sądzę, żeby twoja magia wiele zdziałała przeciwko tej armii. Nie ma już na to czasu. Powiedz mi tylko, gdzie jest Lagdalen z Tarcho.

Złapał ją za nadgarstek. Twarz zastygła jej w szoku. Jeszcze nigdy nie dotknął jej ktoś z niższych warstw społecznych. To był przerażający kres cywilizacji.

–Gdzie jest Lagdalen?

Nie odpowiadała i Relkin już miał ją uderzyć. Mieli coraz mniej czasu.

Bazil wsadził pysk pomiędzy nich i zbliżył go do oblicza księżniczki.

–Odpowiedz chłopcu – zażądał cicho.

Zettila usłyszała przemawiające do niej monstrum i serce zamarło jej w piersi. Te oczy były takie wielkie! Żółte, o czarnych źrenicach i tym grzesznym połysku. Zettila skamieniała. Relkin uszczypnął ją w ramię, wrywając ze smoczego paraliżu.

–Gdzie jest dziewczyna?

To było beznadziejne. Relkin już miał uciec się do bardziej desperackich środków, gdy przemówiła inna kapłanka.

–W pokoju za ołtarzem. Relkin odstąpił.

–Cóż, lepiej późno niż wcale. Dziękuję ci, pani.

–Idź precz – syknęła kapłanka.

Relkin szybko odnalazł drzwi. Były zamknięte od zewnątrz. Otworzył je i ujrzał Lagdalen z Tarcho, związaną i zakneblowaną, leżącą na wąskiej pryczy.

W mgnieniu oka rozwiązał ją i wyjął knebel z ust. Wpatrywała się w niego zdumiona.

–Relkin? To naprawdę ty. Wydawało mi się, że słyszę twój głos. Myślałam, że śnię.

Chłopiec uściskał ją mocno.

–Jak, w imię Matki, mnie tu odnalazłeś?

–To długa historia. Pogadamy po drodze.

–Czy wróg wylądował już na wyspie? – spytała.

–Wiedziałaś o tym?

–Słyszałam, jak rozmawiały o tym po południu, asystując mi przy kąpieli w mleku. Nie wiedziały, że je rozumiem.

–Hej, ja i Baz też mieliśmy zostać złożeni w ofierze. Obrzuciła go przerażonym spojrzeniem.

–Powiedzmy, że miałem tu pewną przyjaciółkę. Pomogła mi. Znalazłem Bazila i uciekliśmy, wspięliśmy się tutaj i odnaleźliśmy ciebie.

–Cały stary Relkin. Znowu wpędziłeś kogoś w kłopoty.

–Wcześniej zaciągnęła u mnie poważny dług, Lagdalen z Tarcho.

Do środka zajrzał Bazil.

**–Co zrobili Lagdalen, smoczej przyjaciółce?**

**–Prawdę rzekłszy, niewiele, tyle tylko, że nie dawali mi nic do jedzenia.**

**–To samo zrobili smokowi. Okropność.**

**Usłyszeli krzyki dobiegające z lasów w zachodniej części wyspy.**

**–Wygląda na to, że powinniśmy się już zbierać.**

**Najszybciej jak potrafili, zeszli głównymi schodami na południowej ścianie zigguratu. Przed nimi zbiegały w dół kapłanki, między innymi Zettila, kierując się do doków. Poszli za nimi, trzymając się cieni.**

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Stojący wysoko księżyc oświetlał widmową scenę. Wyspę Gingo-La opanowała armia mężczyzn o martwych oczach, kierowanych obcą wolą. Pośród nich kroczyli giganci o pustych twarzach i ciałach z błota, obdarzonych jednak niezwykłą siłą.

Razem rozbili w puch niewielkie siły strażników, którzy spróbowali zastąpić im drogę w okolicach zigguratu Gingo-La. Olbrzymy poruszały się niczym dziwaczne automaty, unosząc wysoko kolana, jak w synchronicznym tańcu. Włócznie zagłębiały się w nich, nie czyniąc jednakże trwałych szkód. Miecze cięły głęboko, nie zdołały jednak ich zatrzymać. Stwory dzierżyły ciężkie maczugi i topory, którymi rozbijały głowy walczących z nimi ludzi.

Cała horda napastników przemknęła szybko przez świątynne ogrody. Tłoczące się na przystani kobiety zostały raptem napadnięte przez wysypujących się zza drzew mężczyzn. Noc rozdarły przeraźliwe wrzaski.

Rozpętało się okrutne pandemonium. Mężczyźni zganiłi kobiety w niewielkie grupki. Następnie wyciągali po jednej – dwie i ustawiali gęsiego, zapinając na szyjach niewolnicze obroże. Potem gnano je na zachód i przy wtórze trzaskania z batów oddawano w łapy oddziałów impów – karłowatych sług Mrocznych Władców Padmasy, powoływanych do życia w ich twierdzach w Górnym Hazogu. Odznaczały się szczególnie mocną budową i bladą skórą. Nosiły czarne mundury armii Sephisa i z absurdalnym upodobaniem trzaskały z biczów. Stojące w porcie statki pospiesznie odcinały cumy i odpływały, unosząc na pokładach dwie trzecie przebywających na wyspie kobiet. W ręce wroga wpadły setki wyznawczyń bogini.

Arystokratki powoli uświadamiały sobie, co je spotkało. Złapano je i oddano impom. Mogło to oznaczać tylko to, że powędrują w Góry Białych Kości do miasta Axoxo. Tam staną się rodzicielkami impów, dopóki nie umrą, wycieńczone wielokrotnymi ciężarami.

Ich lament odbił się echem od zigguratu Gingo-La, która, niestety, nie była w stanie ich uratować. Żarliwe modlitwy pozostały bez odpowiedzi i kobiety pomaszerowały w stronę tratw, na pokładach których rozpocznie się ich koszmarna wędrówka ku straszному przeznaczeniu.

Ostrzeżeni Bazil, Relkin i Lagdalen ominęli port i przez rozległy sad przekradli się nad rzekę.

Po drodze mijali pogubione fragmenty bogatych strojów kapłanek – tu zwisający z krzewu róży rękaw, tam połyskujący brylantami tren.

W pewnej chwili usłyszeli krzyki i obejrzel się. Zobaczyli grupkę żołnierzy, uciekających przed oddziałem gigantów, poruszających się dziwaczny, zgranym krokiem, niczym ogromne kukiełki. Na ramionach nieśli potężne maczugi. Po chwili obie grupy zniknęły w głębi ogrodu. Widać było jedynie głowy olbrzymów, podskakujące ponad czubkami drzew.

Bazil zastanawiał się, czy nie ma halucynacji.

–Bestie wyglądały jak ludzie, nie jak trolle – wycedził powoli.

Relkin był równie zdumiony.

–Nigdy w życiu nie widziałem takich trolli.

–To nie trolle. Poruszały się jak ludzie, a trolle chodzą jak niedźwiedzie.

–Nie wiem, czym są, ale było ich strasznie dużo. Naliczyłem dwanaście, a ty?

Z ogrodu dobiegły donośne krzyki. Tanecznie kroczące olbrzymy dogoniły uciekających ludzi. Maczugi uniosły się i opadły.

Bazil przypomniał sobie, że nie ma prawdziwego miecza, tylko wątle ostrze zabrane Rozawowi.

–Moim zdaniem za dużo ich dla nas. Lepiej uciekajmy.

–Ale nie ma tu żadnych łodzi – zauważyła Lagdalen, wskazując pusty brzeg.

Ogrody urywały się, przechodząc w piaszczystą plażę, a potem w rzekę lśniąca w księżycowym blasku.

–Popłyniemy – stwierdził Baz.

–Ale to parę mil, a tu mogą być krokodyle.

–Mówiono mi, że krokodyle są smaczne, nawet surowe. Przypominają kurczaki.

Smok uniósł miecz strażnika, jakby to był kuchenny nóż. Lagdalen zawahała się, zaraz jednak przypomniała sobie, co na polu walki potrafią rozjuszone smoki. Ta pewność siebie miała solidne podstawy. Wzruszyła ramionami.

–Przypuszczam, że nie mamy innego wyjścia.

Kiwające się głowy zwróciły się w ich stronę. Relkin poganiał ich. Giganci zmierzali ku nim, przedzierając się przez gąszcz niskich drzewek.

Zbiegli plażą do zimnej, wezbranej wody. Relkin z Lagdalen zawahali się, kiedy woda błyskawicznie sięgnęła im do kolan.

–Jest taka lodowata – rzuciła dziewczyna.

Smok uznał, oczywiście, że jest wspaniała, i już odpływał, wspomagając się pracą mocarnego ogona.

Relkin obejrzał się. Olbrzymy miały przynajmniej po dziesięć stóp wzrostu i parły w ich kierunku.

Woda była zimna i rwąca, lecz chłopiec był dobrym pływakiem, a Baz – jak większość gadów – to prawdziwa amfibie. Lagdalen także zupełnie dobrze radziła sobie w wodzie.

Zatrzymali się, by przyzwycząić organizmy do temperatury rzeki i obejrzeni się za siebie. Giganci krążyli po plaży, nie wchodząc jednak do wody. Obrócili się i ruszyli wzdłuż brzegu na północ. Dobiegające z tamtej strony krzyki cichły, w miarę jak większość kobiet odchodziła z impami w głąb wyspy.

Pozostali jeńcy, głównie słudzy i strażnicy, zostali rozebrani, związani i przygotowani do własnej, krótszej podróży do piekła. Pięćdziesięcioosobowe grupy wyruszały śladem kobiet do tratw, które powiozą ich do Dzu.

Bazil unosił się bez trudu na wodzie, chłodnej dzięki wiosennym prądom z północy. Jak większość gadów, w wodzie czuł się jak u siebie w domu. Być może była to zasługa jakiejś domieszki krwi morskich potworów, o których opowiadały legendy. Smoki były znakomitymi pływakami i potrafiły bez trudu pokonywać wielkie odległości. Niska temperatura także nie stanowiła dla nich problemu. Wręcz przeciwnie – sprawiała im ulgę.

Kiedy się zmęczyli, Relkin i Lagdalen popłynęli na smoczym grzbiecie. Choć byli

mokrzy i zmarznięci, potrafili zachwycić się tą nocną przejażdżką po rozległej rzece, w srebrzystym blasku księżyca. Smok przecinał fale niby nadzwyczaj wyrośnięty i żywotny krokodyl.

Oon była tak szeroka, że w pewnym momencie stracili z oczu ład, za wyjątkiem maleńkich wysepek. Na jednej z nich zatrzymali się na odpoczynek, gdyż nawet skórzany smok poczuł zmęczenie.

Kiedy po raz pierwszy weszli do wody, widzieli mnóstwo żagli, zarówno należących do niewielkich barek kapłanek Gingo-La, jak i innych, ciemniejszych, rozpiętych nad wąskimi łodziami pełnymi mężczyzn, ścigającymi barki. Po pewnym czasie te także znikły i dalej płynęli sami.

Wysepka była bardzo skromna – miała może czterdzieści metrów długości. Rosło na niej parę rachitycznych drzewek (żadne nie wyższe niż dziesięć stóp), ponadto postawiono tam latarnię – wypolerowaną, mosiężną kulę osadzoną na dwudziestostopowym słupie, błyszczącą w blasku księżyca i mającą ostrzegać żeglarzy przed okolicznymi mieliznami.

Po krótkim odpoczynku ujrzeli szybko zbliżający się żagiel. Niesiona wiatrem, dwumasztowa barka pędziła niebezpiecznie blisko mielizn. Ścigała ją długa, czarna galera. Wiosła wznosiły się i opadały w budzącym podziw tempie. Galera doganiała mniejszy stateczek.

Wszystko wskazywało na to, że staną się świadkami przejęcia statku i wpadnięcia kolejnych szlachetnie urodzonych mieszkanek Ourdh w ręce agentów Władców, lecz nagle galera zaryła w mieliznę i zatrzymała się. Wiosła poszybowały w powietrze, dziób łodzi roztrzaskał się i jednostka pogrążyła się dziesięć stóp w wodzie.

Baz westchnął.

–Wkrótce będziemy tu mieć towarzystwo – mruknął znużony.

–Lepiej płynij dalej – zaproponowała Lagdalen. Wrócili do wody i podjęli wędrówkę na wschód. Daleko przed nimi śmigła barka, uratowana dzięki obraniu ryzykownego kursu między mieliznami. Jej pasażerki przed świtem powinny znaleźć się w mieście, szczęśliwie unikając wpadnięcia w łapy piratów, którzy na pewno sprzedaliby je Sephisowi.

Pływakom ta sama podróż zabierze nieco więcej czasu, jednak prędzej czy później oni także dotrą na wschodni brzeg. Kiedy Bazil ponownie poczuł zmęczenie, pozwolili sobie na krótki dryf w dół rzeki, nim ponownie popłynęli na wschód.

Po drodze Relkin usiłował wpasować zajścia na wyspie w ogólną sytuację w Ourdh, tak jak on ją rozumiał.

–Może zabrzmie to nieco dziwnie, lecz nikt nie powiedział mi jeszcze, z czym tak dokładnie tutaj walczymy? Czym jest stwór zwany Sephisem? Czy to naprawdę ożywiony bóg?

Lagdalen zawahała się.

–Lady Ribela powiedziała mi, że jej zdaniem to demon. Mógł zostać uwięziony tutaj przez magię nieprzyjaciela i zmuszony do posłuszeństwa.

Relkin zadygotał. Postępki ciemnych mocy zawsze wprawiały go w zaniepokojenie, te jednak były szczególnie przerażające. Władcy przewyższali mocą

nawet potężne demony. Na tę myśl włosy stanęły mu dęba. Przypomniał sobie dziwaczne, człekokształtne wielkoludy o szarpanych ruchach. Czym były?

Płynęli w milczeniu. Księżyc zaszedł, lecz gwiazdy świeciły niemiłosiernie jasno. Relkin nie chciał rozmyślać o przyszłości. Przeżył niewolę u służebnic tajemniczej bogini, co dało mu asumpt do podejrzeń, że wielka Matka darzy go szczególnymi względami, gdyż raz po raz wikła go w rozliczne niebezpieczeństwa, z których jednak zawsze go wyplątuje. Tylko dlaczego on – sierota z niewielkiej wioski na wybrzeżu Argonathu? Nie był wystarczająco wysoko urodzony, by zwrócić na siebie jej uwagę. Co gorsza, nie był nawet zbyt gorliwym wyznawcą. Nie odwiedził świątyni od czasów, gdy uznał, że jest wystarczająco dorosły, by nie musieć tam chodzić. W razie potrzeby zawsze przyzywał starych bogów, a w szkole świątynnej uczono go, że nie należy tego robić.

Możliwe jednak, że rację mieli pewni myśliciele, twierdzący, iż starzy bogowie reprezentują tylko pewne aspekty Matki, nie dostrzegane zwykle przez śmiertelników. Idea ta służyła podtrzymaniu pamięci o ich imionach w czasach Imperium Róży i rządów czarownic.

Jego ulubieńcem był Caymo, bóg wina, piosenki i zabawy. Miał brązową skórę, śnieżnobiałą brodę, łysą głowę i wydatny brzuch, w który potrafił wlewać nadzwyczajne ilości napitków. Następny był Vok, bóg oceanów i żeglarstwa. Inni byli groźniejsi: Asgah – patron wojny i Gongo – władca śmierci. Relkin myślał o nich jako o zbiorowości, „starych bogach”.

Istnieli czy nie, jakieś bóstwo wiązało z nim swoje plany. Z jakiej innej przyczyny została przysłana Miranswa, by go uwolnić? Z jakiej innej przyczyny przeżył Tummuz Orgmeen, stawiając czoła śmiertelnie groźnym niebezpieczeństwom? Musiał być jakiś powód. Nie potrafił jednak powiedzieć, co by to mogło być.

W tym świetle wcześniejsze plany wycofania się ze służby i rozpoczęcia życia jako rolnik na pograniczu wydały się nagle zbyt konwencjonalne. Być może powinien mierzyć ambitniej. Może wybije się na wyższą pozycję niż smokowy. Czyżby należało złożyć podanie o przyjęcie do szkoły magii? Mógłby potem udać się na wyspę na wschodzie i zgłębić tajniki mocy.

Przypomniał sobie jednak o smoku, radośnie prującym lodowate fale, i zawstydził się. Jak mógł marzyć o porzuceniu Złamanego Ogona? Byli związani ze sobą aż do śmierci. Nawet na emeryturze pozostaną razem, tworząc samodzielną jednostkę ekonomiczną na pograniczu.

Poza tym znajdowali się setki mil od domu, wciągnięci w wojnę, która mogła mieć nieprzewidywalne konsekwencje. Możliwe, że nigdy więcej nie ujrzy Kenoru, co tu dopiero mówić o emeryturze.

Niebo na wschodzie pojaśniało. Świtało. Bazil odpoczął chwilę na kolejnej wysepce, a niedługo później wypatrzyli wschodni brzeg potężnej rzeki.

Wyczerpani i przemarznięci dobrnęli do błotnistego brzegu, porośniętego palmami i szkieletowymi drzewami. Byli głodni i zmęczeni. Relkin zapuścił się na zwiady w głąb lasu i odkrył wijącą się, błotnistą ścieżkę na północ.

Krajobraz tworzyła standardowa mieszanka niewielkich poletek i zbudowanych z

**błotnych cegieł wiosek oraz willi wszystkich rozmiarów, aż po prawdziwe pałace.**

**Łączyła je tylko jedna cecha – były puste. Cała kraina pozbawiona została ludzi.**

**Relkin i Bazil wiedzieli, co to oznacza. Rozpoczęło się oblężenie wielkiego miasta, a oni pozostali za murami i pozycjami wroga. Osamotnieni.**

**–Jesteśmy na południe od miasta – zauważył Relkin.**

**–Możemy znowu popłynąć.**

**–Pod prąd?**

**–Nie mamy wyboru.**



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Wieść rozeszła się na początku wieczornej zmiany. Smok o złamanym ogonie i jego giermek wrócili cali i zdrowi. Naturalnie mieli do opowiedzenia niesamowitą historię z udziałem pięknych kapłanek Gingo-La. Wszyscy chcieli jej wysłuchać.

Natychmiast rozpoczęło świętowanie. Legiony potrzebowały okazji, gdyż rozpoczęło się oblężenie, które wkrótce przekształci się w otwartą próbę sił.

Z cesarskich piwnic wytoczono piwo, każdy regiment rozpałił ognisko i wszyscy – mężczyźni, kobiety i smoki – zaczęli śpiewać pieśni o Argonathcie.

Najbardziej świętował 109 smoków. Utrata Złamanego Ogona była poważnym ciosem w morale jednostki. W oczach młodszych smoków Bazil uchodził za żywą legendę i źródło inspiracji. Były dumne, że służą u jego boku i to zniknięcie mocno je załamało.

Szczególnie ciężko przeżywał je Purpurowo-zielony. Smoki i smokowi na równi chodzili wokół niego na palcach. Nie odważył się podejść doń żaden z giermków, choć miał połamane łuski i rozszczepiony pazur. Wiadomość o powrocie Bazila sprawiła, że niemal wzbił się w powietrze. Rozłożył ogromne skrzydła i bijąc nimi, ryczał wyzwanie. Ludzie pochowali się i wielu narzekało później na dzwonienie w uszach.

Tego wieczoru idealnie wymierzył czas. W tej samej chwili, kiedy zajął miejsce w orszaku powitalnym, pojawił się Złamany Ogon z Relkinem na ramionach.

Wiwaty odbiły się echem od murów. Smoki ryczały powitalnie, a Purpurowo-zielony wystąpił z szeregu i trącił się łapą z Bazilem.

–Witaj z powrotem, przyjacielu ó złamanym ogonie.

–Myślałeś, że już nigdy nie zobaczysz tego oto smoka?

–Mówią, że przepłynąłeś rzekę.

–Pewnie, pływanie jest łatwe. Purpurowo-zielony zaryczał na samą myśl.

–Wy, naziemni, jesteście bardzo dziwni. Smoki nie pływają, tylko latają.

–Ludzie twierdzą, że przodkami smoków były bestie morskie. Oczywiście ludzie mówią wiele różnych rzeczy.

–Ludzie mówią za dużo, na ryk starych bogów, to szczerą prawdą.

Lecz Bazilowi już chodziło po głowie coś zgoła innego.

–Czyżbym czuł piwo?

–Mnóstwo piwa. Dostarczone na czas, by uczcić twój powrót – odezwał się spomiędzy smoków smokowy Hatlin. – Jesteśmy gotowi je odszypuntować.

Bazil wykonał zamaszysty salut. Relkin zeskoczył na ziemię.

–Smokowy Relkin i smok Złamany Ogon meldują się na rozkaz, sir!

–Spocznijcie, smokowy. Witajcie w domu. Wygląda na to, że wpakowaliście się w niezłą kabałę i to bez naszej pomocy.

–Cóż, były tam te przepiękne kapłanki i zamierzały złożyć nas w ofierze, ale przekonałem je, żeby nas uwolniły, a wtedy...

Hatlin uniósł dłoń.

–Ha, obawiam się, że nie chcę słyszeć reszty.

–Cudownie – parsknął Swane z Revenant. – My tu siedzimy o kaszy i wodzie, a

oni zabawiają się i uczują z bandą kapłanek.

–Przestań, Swane – rzucił Tomas Czarne Oko.

Bazil pochylił się nad Hatlinem.

–Ten oto smok nie jadł od wielu dni. Co mamy?

–Kucharze przewidzieli chyba twój powrót. Właśnie ugotowali kaszę i upiekli korzonki. Jesteśmy obłączeni. Dostawy żywności są coraz bardziej problematyczne. Ale mamy mnóstwo piwa. Cesarz otworzył przed nami swe piwnice. Nie chciał, lecz domyślałam się, że nie miał wyboru.

–Prowadź więc, masz przed sobą wyjątkowo spragnionego smoka.

Głośno wiwatując, młode smoki poniosły go na ramionach do ogniska. Reszta Ósmego Regimentu odpowiedziała głośnym rykiem. Ktoś podał Bazilowi kufel najlepszego cesarskiego piwa. Wzniósł toast, ochoczo oddany przez pozostałych.

Zabawa trwała, a jej odgłosy dotarły poza umocnienia obłąconego Ourdh, wprawiając w zakłopotanie szeregi ogromnej armii najeźdźców. Radosne okrzyki, śpiewy i bębnienie odbijały się echem od murów i wież argonackiego sektora Bramy Fatan.

Smok pochłonał tyle kaszy z akh, ile tylko zdołał, i zrobił się nagle śpiący. Po osuszeniu beczułki piwa zasnął natychmiast i nieodwołalnie.

Vlok złapał go za ramiona, a Purpurowo-zielony za nogi i razem odnieśli do kwater 109, wyznaczonych zaraz przy Bramie Fatan. Na miejscu Relkin dokonał szybkich oględzin ciała podopiecznego. Skrzywił się na widok licznych blizn, najpoważniejsza jednak była rana zadana mieczem strażnika w bok Bazila. Chłopiec wziął szmatkę i środek dezynfekujący, nóż do przycinania łusek oraz tępo zakończony pręt do badania ran.

Lagdalen z Tarcho nie brała udziału w uroczystościach. Jako pracownica Biura Śledczego miała swoje obowiązki do wykonania. Z wybrzeża udała się bezpośrednio do domu kupca Irhana, którego znalazła pogrążonego w żałobie. Lady Inula nie powróciła z Wyspy Gingo-La.

Zbyła pytania kupca o to, gdzie była i co się stało, dopytując się w zamian o lady Ribelę. Irhan natychmiast wysłał ją własnym powozem do cesarskiego pałacu.

Tam poprowadzono ją do komnat zajmowanych przez wielką czarownicę Ribelę, znajdujących się tuż obok osobistych komnat cesarza w Wielkim Pałacu.

Ribela przyjęła jej powrót bez większych emocji. Machnięciem ręki zbyła przeprosiny dziewczyny, że znikła podczas rzucania czaru.

.– To nie była twoja wina, dziecko. W domu kupca doszło do zdrady.

Uważnie, nie pomijając niczego ważnego, Lagdalen zreferowała jej wydarzenia ostatnich dni. Ribela słuchała uważnie, a kiedy tamta skończyła, uściśnęła jej dłoń.

–Znakomicie, moja droga. Z wielką ulgą widzę cię całą i zdrową. Przyniosłaś kilka ważnych informacji. Sugeruję, że.-byś udała się teraz prosto do swojej kwatery. Padłaś ofiarą dziwaczego, religijnego fanatyzmu. Potrzebujesz odpoczynku.

Zaskoczona, lecz wdzięczna Lagdalen poszła do siebie korytarzem wyłożonym przepięknymi płytkami w błękitno-białe wzory. Ku swemu zachwytowi, w oddanej do jej użytku komnacie znalazła oczekującego na nią męża.

–Cud – orzekła. – Lady?

–I generał Paxion. Uznali, że dobrze nam zrobi spędzenie razem przynajmniej jednej nocy.

–Och, mój mężu – rozluźniła się w jego silnych ramionach. To był cud. Zrobili, co tylko w ich mocy, by wynagrodzić sobie cały ten czas, który spędzili osobno. On był promienny, a ona ekstatyczna. Otrzymali nawet wieści z Marneri, w tym liścik od Wessary, piastunki malutkiej Laminny. Dziecko miało się dobrze i od czasu odpłynięcia matki ani razu nie zachorowało.

Otoczająca ją tak długo ciemność rozviała się. Lagdalen niemal pozwoliła sobie na zanurzenie się w iluzji szczęścia.

Przeszkadzał jej jednak ból wywołany koniecznością rozłąki z dzieckiem. Narastał w niej, aż wreszcie wybuchła cichym płaczem.

Hollein nie wypuszczał swojej młodej żony z ramion przez całą bezcenną noc. Robił, co tylko mógł, by ją pocieszyć. Był zbyt uradowany, żeby móc samemu zasnąć. Ostatnie dni były takie koszmarnie, kiedy czekał choćby na strzępek wiadomości o Lagdalen. A teraz wróciła do niego cała i zdrowa. To naprawdę zakrawało na cud. Obiecał solennie wesprzeć datkiem świątynię zaraz po powrocie do Marneri. Wielka Matka czuwała nad nim.

Musiał mieć nadzieję, że nadal tak będzie. Prawdę rzekłszy, trochę się niepokoił. Wrogowie budowali tuziny wież oblężniczych i przygotowywali się do frontalnego szturm. Ze słów generała Paxiona wywnioskował, iż posiłki przybędą nie wcześniej niż za kilka tygodni. Tak samo aprowizacja. Piraci rzeczni odstraszyli statki ze zbożem, a pozostała w mieście ludność szybko wyczerpywała zapasy. Z trudem wytrzymają dziesięć dni, a co dopiero mówić o dwóch czy trzech tygodniach. Po miesiącu będą jeść szczury, utrzymując smoki na krawędzi przeżycia.

Sądząc jednak po nieprzyjacielskich przygotowaniach, nie wytrzymają tak długo. Mury miały całe mile długości, a ich było zbyt mało, by je porządnie obsadzić. Mieszkańcy miasta wykazywali zdumiewający brak zainteresowania tym problemem. Przeciwnik wiedział o tym i budował tyle wież, by uzyskać przewagę liczebną nad obrońcami w jednym, zmasowanym ataku. Trudno było odmówić mu szansy osiągnięcia sukcesu.

Podczas gdy młody kapitan rozważał to wszystko, pogrążony w czulej, małżeńskiej harmonii, zaaranżowanej przez wielką czarownicę i generała Paxiona, zaledwie kilka komnat dalej dwójka ta prowadziła szczerą rozmowę na dokładnie te same tematy.

–Cesarz? – zapytał Paxion.

–Znów pod wpływem środków uspokajających. Od zniknięcia księżniczki Zettili popadł w depresję, miewa też napady złości.

–Muszę mu ponownie uzmysłwić, że powinniśmy uzyskać dostęp do lepszych zapasów jedzenia i wody. Powierzył zaopatrywanie nas handlarzom zbożem, a ci łupią nas, jak mogą. Kradną trzecią część każdej racji żywnościowej. To musi się skończyć.

Ribela pokiwała ponuro głową.

–Oczywiście. Pamiętaj jednak, że to człowiek słaby, od dawna rządzony przez eunuchów. Bez księżniczki Zettili, z którą wspólnie spiskowali, nie chce nikogo słuchać i brak mu energii. Z trudem nakłaniam go do zrobienia czegokolwiek.

–Przecież jest chroniony przed urokami i pułapkami wroga, czyż nie?

–Zbudowałam pewne bariery obronne przy współudziale przepowiadaczki pogody.

– Ribela wydawała się lekko rozdrażniona.

–W takim razie nie jest to wynik jakiegoś subtelnego ataku na cesarza?

–Pilnuję go od kilku dni. Poddano go działaniu prostego zaklęcia. Zarażono go irracjonalnym strachem przed Sephisem. Lęk był tak silny, że cesarz nie potrafił stawić mu czoła na tyle, by móc się bronić. Zniweczyliśmy ten czar. – Paxion skrzywił się na samą myśl, a Ribela ciągnęła – Niemniej nie wrócił jeszcze do siebie i trudno jest do niego dotrzeć.

–Zadziwiający, że nieprzyjaciel dostał się tak blisko cesarza.

–Obawiam się, że wcale nie jest to takie zaskakujące, biorąc pod uwagę jego seksualne skłonności. Odkryliśmy jednak, który eunuch wyniósł z pałacu krew i włosy władcy. Przepytaliśmy go dokładnie. Przysięga, że działał w pojedynkę. Jeszcze nie wiem, czy mu wierzyć. Będziemy go przesłuchiwać, dopóki nie uzyskamy pewności.

Paxion gwizdnął, wyobrażając sobie takie śledztwo.

–Cieszę się, że jesteś tutaj, pani, by pokierować cesarzem. Wolę nie myśleć, jak wyglądałaby nasza sytuacja, gdyby cię z nami nie było.

Ribela pozwoliła sobie na blady uśmiech.

–A mimo to sytuacja ta nie jest najlepsza, prawda?

–Niestety nie. Utrata generała Hektora wielce nas osłabiła.

Ciało pogrążonego w śpiączce generała wciąż znajdowało się w namiocie chirurgów. Ribela odwiedziła otrutego dostojnika i zrobiła, co w jej mocy, by poprawić jego stan, lecz nie obudziła go. Śpiączka to bardzo kapryśny stan.

–Teraz ty dowodzisz, generale. Paxion uśmiechnął się smętnie.

–Niestety, jak zapewne wiesz, moje prawa do dowództwa są podważane przez generała Pekela. Nie dowodziłem w polu od wielu lat. Pekel uważa, że nie powinno mnie tu być. Czasami sam się z nim zgadzam.

–Wymówki, generale?

–Skoro tak uważasz. Niemniej Kadeińczycy nie godzą się działać według planu Hektora bez jego osobistej perswazji. Nie pomaszerowaliby ze mną na Dzu.

–Wielka szkoda. Wtedy zniszczenie naszego przeciwnika było relatywnie łatwe. Obawiam się, że teraz będzie to znacznie trudniejsze. Wróg jest liczny, dysponuje poważnymi zasobami energii i wkrótce przetestuje naszą obronę.

–Budują trzydzieści sześć wież oblężniczych, lady. Wiele z nich naprzeciwko Wschodniej Bramy. Mur na północ od niej jest słabszy i już pracuje nad nim taran wroga. Spodziewam się, że za dzień lub dwa zrobią wyłom.

–Jakiej strategii ataku oczekujesz?

–Jednoczesnego, przy użyciu każdej wieży, którą zdołają doprowadzić pod mury. Jest ich strasznie dużo i jedyne, co muszą zrobić, to uzyskać przewagę

liczebną nad obrońcami.

Będziemy biegać z jednego miejsca w drugie, byle tylko ich odeprzeć.

–A gwardia cesarska? Będą walczyć?

–Tak, tak sędzę. Mają bardzo wysokie morale. Powiedzieli mi, że dzieje się tak dlatego, iż tym razem cesarz nie może ich porzucić.

Na surowej twarzy Ribeli pojawił się nieznaczny uśmiech.

–Cóż, mają rację. Banwi Shogemessar nie ma dokąd pójść. A posiłki dla nas nadejdą. Niestety zajmie to trochę czasu. Jeśli zaś chodzi o handlarzy zbożem, to zastanawiam się, czy przypadkiem nie pora wykonać naszego ruchu przeciwko nim i nie przejąć składów?

–Zaatakować straż miejską?

–Zwrócimy się z tym do generała Knazuda. Myślę, iż zechce nas poprzeć.

–No cóż, byłby to krok we właściwym kierunku. Jeśli zdobędziemy ziarno, będziemy w stanie prawidłowo odżywiać żołnierzy.

–Jest to do zrobienia. Czyż nie otworzyliśmy cesarskich piwnic?

Paxion zachichotał.

–Ta noc powinna poprawić morale. Zwłaszcza przed czekającą nas ciężką walką.

–Poza tym, generale, przybędą posiłki i zaopatrzenie. Godzinę temu otrzymałam wiadomość z Cunfshonu.

–Czego możemy oczekiwać? Ta wiadomość znacznie podniesie ducha legionistów.

–Cóż, pomoc nie nadejdzie natychmiast. Przybędą tu za dwa, może trzy tygodnie.

Generałowi zrzędła mina.

–Nadpływa legion z Cunfshonu wraz z flotą, która wiezie zapasy na wielomiesięczne oblężenie.

–To faktycznie dobre wieści. Jeśli przetrwamy zbliżającą się próbę sił, będziemy mieli szansę na wytrzymanie dłuższych walk. W tym celu trzeba jednak odpowiednio odżywiać smoki. Mają tak szybką przemianę materii, że muszą wciąż jeść, by zachować siły.

–Przejmiemy spichlerze i nakarmimy smoki. Spodziewam się, że kiedy tylko pozbędziemy się handlarzy, uzyskamy dostęp do odpowiednich zapasów. Jeszcze dziś porozmawiamy z generałem Knazudem.

Oczy Paxiona rozszerzyły się, kiedy usłyszał te władcze słowa. Wielka czarownica uznała, że pora porzucić dyplomatyczną kurtuazję na rzecz zapewnienia bytu legionom. Zastanawiał się, czemu sam o to nie poprosił. Uznał, że już za długo był „fortowym” generałem.

–Sędzę, iż powrót Złamanego Ogona także przyczynił się do podniesienia ducha.

–W rzeczy samej, lady.

–Cóż, przynajmniej możemy ogłosić, że posiłki są w drodze i to takie, iż będziemy w stanie wyruszyć w pole przeciwko nieprzyjacielowi. Wkrótce zjawi się drugi legion z Cunfshonu i legion wystawiony przez miasta, złożony z regimentów wydzielonych z miejskich garnizonów. Razem daje nam to pięć legionów.

–Dwadzieścia pięć tysięcy ludzi i osiemset smoków, pani. Taka siła może stawić

**czoła każdej armii na świecie.**

**–Owszem, generale, twe rachuby mogą okazać się słuszne.**

**–Jednak do tego czasu musimy utrzymać mury dziesięcioma tysiącami legionistów.**

**–Musimy. Lecz w ciągu dwóch miesięcy wyruszymy w pole i przebijemy się do Dzu, by odciąć źródło tej przerażającej mocy.**

**–Co z raportami o olbrzymach w szeregach wrogów? Co możemy z tym zrobić? Ribela zacisnęła wargi.**

**–Tak, krwawe sługi. To kolejny straszliwy wytwór mrocznej sztuki Władców. Potrzeba krwi wielu ludzi, by powołać do życia któregoś z nich, a i tak zachowa on swe siły tylko przez miesiąc od chwili powstania. Paxion zbladł.**

**–Mordują ludzi, by tworzyć te monstra?**

**–Nie słyszałeś, że zachodni brzeg rzeki jest ogołocony z mieszkańców? Nawet teraz do Dzu maszerują olbrzymie kolumny świeżych ofiar z Kwa i okolic.**

**–Aż tylu?**

**–Wkrótce ujrzymy sługi. To straszni przeciwnicy.**

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Oblężenie Ourdh trwało dziesiąty dzień, a już zapasy żywności uległy znacznemu uszczupleniu. Pod murami przeciwnik demonstrował potężną żądzę czynu. Z ruin przedmieść, przy wtórze trwającego dzień i noc piekielnego huku młotów, wynurzały się powoli drewniane wieże na solidnych kołach. Szóstego dnia zmontowano katapulty, które natychmiast rozpoczęły przerzucanie wielkich kawałów gruzu z bogatszych, podmiejskich rezydencji ponad murami miasta, gdzie rozbijały się na ulicach i uderzały w domy.

Od kilku dni pod umocnieniami toczyła się mordercza wojna na podkopy i kontrpodkopy. Tutaj też ujawniła się nowa broń wroga – giganci z błota. Stwory te miały ludzkie kształty, mierzyły jednak prawie dziesięć stóp wzrostu, a ważyły ponad pół tony. Jediną szansą smoków była niewielka inteligencja, skryta za pustymi twarzami. Walka z nimi przypominała bój z uzbrojonymi w młoty, niemal nieśmiertelnymi imbecylami. W mroku pod murami brakowało zwykle miejsca na manewry. Starcia przeradzały się w zapasy i rozdzieranie przeciwnika kłami i pazurami. Dawała o sobie znać pierwotna natura smoków. Mimo to posiłki błotoludów napływały niemal nie kończącym się strumieniem. Smoki robiły się zmęczone.

W miarę trwania oblężenia i kurczenia się zapasów, komendant Porteous Graves czuł zaciskające się wokół niego szczęki gigantycznej pułapki. W jego snach galopowały mrok i zagłada... Wypijał każdą ilość wina i whiskey, jaką był w stanie zdobyć, z każdą godziną było to jednak trudniejsze. W mieście kończyły się zapasy.

Z brakiem jedzenia narastały złe nastroje. Korupcja przybierała na siłę. Wszyscy rozkradali żywność dla legionów. Oznaczało to głodowe racje dla żołnierzy i oficerów: miska owsianki i garść suszonych owoców. Od wielu dni nie było mięsa, zostały już resztki sławnego piwa z Ourdh. Legioniści byli nieszczęśliwi jak diabli.

Sytuacja stawała się coraz gorsza.

Graves nie bawił się zbyt dobrze podczas długiego marszu spod Salpalangum lub wycieczki w dół Oon, lecz chociaż były one męczące, to przynajmniej otrzymywali odpowiednie ilości jedzenia. W Ourdh można było jednak kupić doskonałe wina. Patrząc wstecz uznał, iż w gruncie rzeczy było to nawet dość zabawne – siedzenie przy obozowym ognisku i słuchanie śpiewanych przez żołnierzy pieśni z Argonathu. Posiłki były, cóż, niewyszukane, a podróżna prycza Gravesa okazała się wąska i twarda, lecz wynagradzały to posługi Dandraxa i doskonałe wino z Ourdh. Wyobrażał sobie barwne opisy, którymi posłuży się w przyszłości w klubach politycznych Marneri. W świetle czasów, które miały dla niego nadejść, nawet bitwa pod Salpalangum zaczynała przybierać przyjemniejsze barwy.

Graves nigdy nie pojawił się na odcinku murów powierzonych jego regimentowi. Widok wież oblężniczych wpędzał go w zbyt wielką depresję. Zostawił inspekcje swoim kapitanom. Wiedział, że podwładni go nienawidzą. Prawdę rzekłszy, on także ich nienawidził. Poza tym czuł wstręt do smoków, piekielnie niewygodnych bestii. To one pozbawiły go nadziei na wczesne wymknięcie się z oblężenia.

Komendant przejął dom kupca Saubraja na ulicy Fatan. Nie było tam zbyt wiele

trunków, a i one szybko się skończyły, lecz Graves pozostał, zaszyty w salonie na pierwszym piętrze, podczas gdy Dandrax przetrząsał miasto w poszukiwaniu przyzwoitego wina lub resztek argonackiej whiskey.

Co pewien czas wyciągano go na narady komendantów u generała Paxiona. Szczerze nienawidził tych spotkań i z trudem powstrzymywał się przed publicznym oskarżeniem Paxiona o niekompetencję.

Jakby nie było, to on właśnie wpędził ich wszystkich w tę niebezpieczną sytuację. Generał Hektor był szalony, ale to Paxion uznał, że powinni bronić Ourdh. Czym przypieczętował ich zgubę. Zamiast uciekać wszystkimi dostępnymi statkami, Paxion zamknął się w mieście.

Nawet pogrążone w śpiączce ciało Hektora zostawało w Ourdh, gdzie przekłeli lekarze szturchali je i szarpali w bezowocnych próbach przywrócenia do życia. Graves widział je i wiedział, że nie przebudzi się nigdy. I bardzo dobrze. Hektor kazałby im pewnie ruszyć do ataku lub zrobić coś równie szalonego.

Niestety utrata bitnego generała nie uchroniła ich przed najgorszym. Byli tu uwięzieni i wkrótce rozpoczną walkę o życie na miejskich murach.

Porteous Graves doszedł do wniosku, iż nadeszła pora, by każdy zadbał o siebie. Uznał, że nie ma innego wyjścia. Przeklęte kapłanki złamały dane słowo, nie miał więc szansy na znalezienie łódki. Zachowywały się tak, jak gdyby jego winą było, iż Złamany Ogon wyrwał się na wolność.

Ten przeklęty smok! Co wypłoszyło ze świata ostatnie resztki współpracy? Wszystko było takie frustrujące.

I tak oto zwołał pierwsze tajne zebranie z dowódcami kadeińskich regimentów. Ci chętnie nadstawiali ucha. Należało wynegocjować pokój. Na kompletne szaleństwo zakrawało skazanie dwóch legionów na zagładę podczas beznadziejnego oblężenia. W tydzień lub dwa zagłodzą się tutaj na śmierć. Po prostu nie było zapasów.

Wreszcie powołano do życia Komitet Ratunkowy, składający się z komendantów Pierwszego Legionu Kadeinu Hayla i Vinblata, komendanta Gravesa z Drugiego Legionu Marneri, kapitanów Sikkera i Rokensaka z Kadeinu oraz kapitana Ferahra z batalionu Łuczników Kenoru.

U pozostałych dowódców Drugiego Legionu Marneri Graves nie znalazł posłuchu. Wydawali się ślepi na czekający ich los i zdeterminowani, by trwać u boku Paxiona, dopóki nie zmiażdżą ich rozsierdzone hordy Sephisa. Cóż, niechaj spełni się ich życzenie. Ułatwi to Gravesowi życie po powrocie do Argonathu.

Tego dnia zwołał komitet, by spotkali się z bardzo użytecznym Euxusem z Fozadu, będącym ich kontaktem z nieprzyjacielem. Euxus handlował z Dzu jeszcze przed odrodzeniem się Boga-Węża. Znał kapłanów Sephisa, od lat sprzedawał im wino i oliwę. Oczywiście prowadził także rozliczne interesy w Ourdh. Uważał, że może stanowić pomost pomiędzy armiami, ułatwiając rozpoczęcie negocjacji.

Kupiec miał pociągłą twarz i czarne wąsy oraz bezpośrednie, surowe spojrzenie ciemnych oczu. Nosił krótko przycięte, czarne włosy, ciemnobrązową szatę i drogie buty. Najwyraźniej dobrze prosperował, choć w jego zachowaniu było coś odpychającego. Niemniej potrafił być doskonale czarujący i pięknie przemawiał.



Kadeińczycy gotowi byli mu uwierzyć. Wydawał się taki godny zaufania. Rozpaczliwie szukali szansy ucieczki z oblężenia.

Weszli do komnat Glavesa z wyczekującymi, choć czujnymi minami. Dokonano prezentacji i rozpoczęły się rozmowy, które wkrótce przybrały ton ogólnego zrozumienia. Euxus z pewnością będzie idealnym emisariuszem.

–Pozostaje jeszcze jedna poważna trudność – odezwał się kupiec. Brwi powędrowały do góry. – Mam na myśli naszego dobrego generała Paxiona. Nie zgodzi się z nami.

Kadeińczycy wzruszyli ramionami. – W starego coś wstąpiło.

–To ta przeklęta wiedźma, którą przysłali z Cunfshonu, ot co – parsknął komendant Glaves.

–Czyżby był on tutaj ostateczną instancją? – wydał wargi Euxus.

–Powiadam, utrucemy Paxiona i wynieśmy generała Pekela. Stary Pekel da się przekonać – stwierdził komendant Vinblat.

Glaves ugryzł się w język. Znakomicie, robili postępy. Zerknął na Euxusa i przekonał się, że oczy tamtego lśnią, kiedy wpatrywał się w Vinblata. W tym wzroku był coś dziwnie niepokojącego.

–Czy mam wobec tego kontynuować me wysiłki w celu rozpoczęcia rozmów? – zapytał kupiec.

–Oczywiście – potwierdził Vinblat.

–Co z generałem Paxionem? – chciał wiedzieć kapitan Ferahr, kenorski łucznik. – Nie damy staremu Paxowi ostatniej szansy? Może przystać na nasze propozycje.

–Słuchajcie! Za parę dni zaczniemy jeść taliońskie wierzchowce. Potem zabierzemy się za skórzane pasy. Stary Pax po prostu musi zrozumieć, że pozostanie tutaj doprowadzi do kompletnej klęski – dodał kapitan Rokensak.

–Ale jak to zrobimy? Zapadła cisza.

–Musi ustąpić i przekazać władzę Pekelowi.

–A jeśli tego nie zrobi?

–Wówczas – mruknął Glaves – będziemy musieli go uwięzić. Skoro zamierza umierać w tak paskudny sposób, zostawimy go tutaj, żeby znaleźli go Sephici, kiedy już zdobędą miasto. Porzucimy go razem z cesarzem.

Wokół stołu rozbłysły uśmiechy. Cesarz Banwi nie był zbyt popularny wśród legionistów.

–Przez dwa tygodnie nie zobaczymy choćby odrobiny zapasów. Białe statki czy nie, nie wytrzymamy tak długo.

–Wszystko idzie źle. Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo, a teraz generał opuścił nas i wszystko poplątał.

–Ourdh nie ma zapasów na oblężenie. Te ich spichlerze – po prostu żalosne!

Euxus przedstawił im ostateczną wersję propozycji.

–Powinniśmy zaproponować opuszczenie miasta przez legiony, które udadzą się albo na południe, na spotkanie białych okrętów, albo na wschód, w kierunku gór, za którymi czeka je długi marsz do domu.

Zgodzili się wszyscy, choć łuczniaka Ferarha wciąż unieszczęśliwiała myśl o

położeniu rąk na generale Paxionie i „uwięzieniu” go. Glaves zapewnił go, że wszystkim zajmą się sami i Ferarh nie będzie musiał brać w niczym udziału. Kapitan zdawał się to akceptować.

Kadeińczycy wyszli, a wkrótce ich śladem podążył Euxus z Fozadu, czarujący, choć jednocześnie przejmujący chłodem. Glaves został z resztką whiskey na dnie ukradzonej przez Dandraxa butelki. Wyrzął przez okno na niewielki ogród, mur i domy po drugiej stronie ulicy. A więc ustalono konkretny kurs. Usuną Paxiona, wynegocjuj ą drogę ucieczki i wydostaną się z tej śmiertelnej pułapki, by pomaszerować na południe.

Z drugiej strony Glaves uznał, że lepiej byłoby, gdyby legiony udały się na wschód i wróciły do domu przez góry. Potrwa to całe miesiące, zaś Glaves popłynie do Argonathu pierwszym białym okrętem.

Jak tylko znajdzie się w Marneri, wystąpi z wojska i rozpocznie kampanię wyborczą w Aubinas. Miał tam silną pozycję. Opromieniony wojskową sławą, umocnioną zwycięstwem pod Salpalangum i przeżyciem klęski w Ourdh, rzuci miażdżące wyzwanie staremu Klosperowi, zajmującemu przynależne mu miejsce. Wreszcie zdobędzie prawdziwą władzę w białym mieście.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Tej nocy nad wielkim miastem grzmiało i błyskało. Na murach ludzie i smoki chowali głowy pod płaszcze lub uciekali pod gęste plecionki, mające chronić ich przed wrogimi strzałami. W świetle błyskawic widzieli wieże oblężnicze, majaczące zaledwie kilkaset stóp od nich. Nawet w taką pogodę w obozie wroga nie ustawała praca. Tysiące niewolników wykańczało wieże.

Pod murami trwała mordercza wojna na podkopy i kontrpodkopy. Jak dotąd miasto ratowały jedynie talenty przepowiadaczek pogody i skuteczność ich zaklęć, wyczuwających zachodzące w ziemi zmiany. Podkopywanie murów wzbudzało wibracje, których nie dawało się zamaskować. Wrażliwe przepowiadaczki pogody umiały dzięki nim zlokalizować miejsce prowadzenia prac.

Dysponując siłami smoków, które błyskawicznie drążyły w ziemi kontrpodkopy, raz za razem powstrzymywali wroga. Jak dotąd przeciwnik nie zdołał uszkodzić żadnego fragmentu murów. Tej nocy przypadła kolej na 109 z Marneri, żeby pospiesznie wykopać tunel na zachód od Bramy Fatan.

Kontrpodkop musiał być wąski, żeby nie zapadły się mury powyżej, a jednocześnie na tyle szeroki, by mogły pracować w nim smoki. Te ograniczenia owocowały klasycznym tunelem, drążonym w nadrzecznych skałach pod umocnieniami, o szerokości ośmiu stóp w najwęższym punkcie i około dziesięciu-dwunastu poza murami.

W tej ciasnocie grupa ubłoconych smoków kopała tunel wielkimi łopatami i zaostrzonymi prętami. Dobrze odżywiane smoki utrzymywały niesamowite tempo. W ciągu kilku godzin, które minęły od zluzowania 86 Szwadronu Smoków Marneri, posunęły się o czterdzieści stóp. Pomimo rozbitego nad wejściem do tunelu namiotu, dno było śliskie i grząskie od padającego deszczu, przesączającego się z powierzchni. Powietrze śmierdziało smoczymi wyziewami i ciepłą, wilgotną ziemią.

Podczas gdy smoki drążyły tunel, odrzucając za siebie urobek, drużyna równie ubłoconych ludzi wywoziła na powierzchnię ziemię w beczkach na kołach.

Druga linia mężczyzn wносиła belki do podpierania stropu chodnika. Inżynierowie starali się nadążyć z szalunkiem za pędzącymi naprzód gadami.

Przodek oświetlały dwie lampy, trzymane przez giermków, starających się uniknąć zgniecienia przez pracujące olbrzymy. Blask lamp wydobywał z mroku sceny rodem z przedsionka piekieł. Podłoże opadało, jak gdyby prowadząc ich do podziemi ze starożytnych mitów.

Co dziesięć stóp zatrzymywali się i inżynierowie z przepowiadaczką pogody wytężali słuch w przedzie tunelu. Czarownica pracowała tu od kilku dni bez żadnych przerw na sen, nie okazywała jednak ogarniającego ją zmęczenia. Z zamkniętymi oczami przytknęła głowę do ziemnej ściany. Otaczające ją smoki ucichły, uważnie ją obserwując.

Uniosła dłoń i zacisnęła ją w pięść w umówionym geście!

Byli już bardzo blisko.

Zaledwie parę stóp przed nimi znajdował się wrogi podkop. Co pewien czas jeździł nim ciężki wózek z ziemią i kamieniami. Obdarzeni dobrym słuchem byli w stanie

wychwycić jego turkot.

Grupa uderzeniowa przygotowała się, zastępując kopiące do tej pory smoki. Stary Chektor odłożył łopatę i precyzyjnie się na powierzchnię, a jego miejsce zajęli Purpurowo-zielony i Złoty Ogon. W kopaniu pomagał im Vlok z prętem do spulchniania ziemi. Wszyscy uzbrojeni byli w nową broń, wynalezioną przez giermków specjalnie do walki w tych ciężkich warunkach. Wobec braku miejsca do uderzania wielkimi mieczami, uzbroili swych podopiecznych w masywne noże, wykute pospiesznie przez legionowych kowali z zebranego w mieście żelaza. Noże były toporne, niemal trójkątne, lecz wystarczająco ciężkie i ostre, by uszkodzić błotoluda. Górne połowy ciał smoków chroniły żelazne kołnierze, napierśniki, hełmy i naramienniki. Tylne łapy pozostawały odkryte.

Za ich plecami czaiło się pięćdziesięciu żołnierzy i tyle samo włóczyków.

Czekali spięci na właściwy moment. Przepowiadaczka pogody naradziła się ze smokowym Hatlinem. Posłano na zewnątrz gońca z potwierdzeniem natknięcia się na podkop i prośbą o posiłki, po czym wydano rozkaz.

Smoki chwyciły za masywne łopaty i zaczęły kopać z furją, nie dbając już o czyniony hałas. Porzucono ostrożność.

Grunt był tutaj względnie miękki – rzeczny piasek, urozmaicany kamieniami i żwirem. Łopaty zagłębiły się w nim, wyrywając potężne kęsy ziemi i ciskając je do tyłu, na drużynę usuwających ją, umorusanych ludzi.

Ci z kolei biegali wzdłuż szeregu zbrojnych, czekających na przebicie się. Napięcie było nie do wytrzymania.

Purpurowo-zielony nie był zbyt obojętny ze sztuką prawidłowego trzymania łopaty i głównie wchodził w drogę pracującym we wściekłym tempie Bazilowi i Vlokowi. Szufle migały coraz szybciej i szybciej, odrzucając rozmiękłą ziemię zbyt prędko, by ludzie byli w stanie wywieźć ją na powierzchnię. Purpurowo-zielony skarżył się głośnymi sykami na padające na niego blocko, jednak w wąskim korytarzu nie można było tego uniknąć.

Kopali tak przez minutę, może dwie, po czym łopata Vloka zagarnęła powietrze i smok zasyczał, podekscytowany. Bazil poszerzył otwór. Przed nimi rozciągał się podkop nieprzyjaciela, iście piekielna scena.

Tysiące niewolników z powrozami na szyjach pchało ciężkie wózki z ziemią. Ładowała je masa gigantów, atakujących szpadlami czoło tunelu dalece szerszego od każdego, na jaki dotychczas natrafiali. Przodek miał czterdzieści stóp szerokości i gdyby podkop się udał, zawaliłby długi fragment murów. Kontrpodkop utworzył się w górnej części bocznej ściany. Podłoga znajdowała się pięć, sześć stóp niżej.

Bazil i Vlok zeskoczyli do podkopu. Niewolnicy rozpięchli się z wraskiem. Nadzorcy dobyli mieczy, zaraz jednak przemyśleli swoje postępowanie i wycofali się w głąb tunelu. Zapanował chaos.

W sztolni pojawił się Purpurowo-zielony, wstrząsając podłożem. Olbrzymi dziki smok wypełnił sobą cały tunel. Potknął się o wózek i wpadł prosto na nadbiegającą grupę błotoludów.

Pospieszyły za nim pozostałe smoki, legionieści i giermkowie z lampami. Gady

rzuciły się na błotoludy. Olbrzymy zaatakowały je młotami i oskardami w zwykłym dla siebie, mechanicznym rytmie. Smoki nauczyły się łapać je za ramię i dźgać raz za razem ciężkimi nożami. Trójkątne ostrza czyniły straszliwe spustoszenia, stwory nie umierały jednak zbyt łatwo. Młoty i oskardy odbijały się od smoczych hełmów i zbroi. Piekielne miejsce stało się scenerią zaciętej bitwy. Słysząc było przekleństwa smoków, uderzenia noży i młotów oraz wojenne okrzyki włączających się do walki legionistów Argonathu.

Relkin skoczył tuż za pierwsze smoki i omal nie został zgnieciony przez następnego, potężnego Chama. Gad odtrącił go bokiem, rzucając na kolana. Zerwał się zaraz na nogi, odskoczył z drogi następnym smokom i rozejrzał się w samą porę, by zobaczyć, jak Bazil rzuca się w sam środek pracujących na przodku olbrzymów. Tuż za nim parł Purpurowo-zielony. Smoki i błotoludy utworzyły gigantyczny kłęb moczujących się cielsk. Olbrzymy nie były zbyt skuteczne w tego typu starciu. Smoki rozkawałkowały swoimi nożami głupie, lecz przerażająco żywotne stwory z nasiąkniętego krwią błota.

Nadciągnęły następne błotoludy i zaczęły okładać łopatami na równi smoki, jak i swych pobratymców, Natychmiast wpadli na nich Vlok i Cham. Przeklinając sycząco, zerwali się z ziemi i z ponurymi minami zabrali za tłuczenie przeciwników.

Relkin przybliżył się do miejsca starcia ze sztyletem w pogotowiu. Nagle wyrosła przed nim krępa, niewysoka postać. Jej twarz była maską nienawiści, karykaturą ludzkiego oblicza z płaskim nosem i szerokimi ustami z palikami zębów. Był to bezsprzecznie imp, co niezwykle zdumiało Relkina. Impy należały do północy, tradycyjnego pola bitwy z tą nacją.

Przeciwnik przerwał wszelkie spekulacje, zamierzając się na giermka krótkim mieczem. Chłopiec odskoczył, odbił się od ściany i wpadł na impa. Ten złapał go silną ręką za kark i uniósł miecz, gotowy przeszyć go nim, kiedy ktoś rąbnął go w hełm, odwracając uwagę stwora na tyle, by Relkin zdołał wyrwać się z uścisku i wbić mu kolano w krocze. Przeciwnik przewrócił się z bolesnym stęknieniem.

Relkinowi mignęła twarz Swane'a z Revenant, oświetlona trzymaną przez Mono lampą. Chłopak mrugnął do niego, zaliczając sobie trafienie, które uratowało skórę Relkina. Imp wrócił do siebie i zaatakował go. Relkin w ostatniej chwili poderwał sztylet, blokując wymierzony w jego twarz cios.

Odskoczył w lewo i imp spróbował innego cięcia, które chłopiec także sparował, choć z pewnym trudem. Prawda była taka, że miecz tamtego był zbyt ciężki dla sztyletu i Relkinowi już zdrętwiało całe ramię. Zamachnął się rozpaczliwie trzymaną w drugiej ręce lampą i rozbił ją na hełmie impa. Płonący olej oblał plecy stwora, wydzierając z gardła skowyt bólu. Relkin doskoczył do niego, wbił głęboko sztylet, po czym zbił przeciwnika z nóg.

Imp miotał się konwulsyjnie na ziemi, a chłopiec przekroczył go i ruszył na spotkanie odzianych w czarne mundury wojowników Sephisa, którzy próbowali zająć smoki od tyłu. Dro- gę zastąpili im osamotnieni giermkowie. Sztylety i kusze przeciwko mieczom. Chłopcy nie byliby w stanie powstrzymać ich zbyt długo, zaraz jednak wsparli ich legioniści, wdając się w szermiercze pojedynki z Sephitami.

Rozgorzała zaciekała, chaotyczna walka. Światła latarni utonęły w skłębnym morzu wojowników i trudno było odróżnić wroga od sojusznika. Relkin wpadł na dwóch Sephitów. Próbował uwolnić sztylet, lecz w ścisku nie mógł tego zrobić. Za jego plecami utworzył się mur piechurów Marneri, wpychających go tarczami na wroga. Oczy Sephitów płonęły wściekłością. Chłopiec nie mógł dopatrzeć się w nich choć krztyny inteligencji. Na szczęście nikt nie był w stanie poruszyć się i przez chwilę był bezpieczny.

Nagle przez szeregi Sephitów przepchnął się błotolud, atakując młotem żołnierzy Marneri. Głowica młota ważyła trzydzieści funtów i trafienie nim oznaczało śmierć. Relkin ledwo zdołał uchylić się przed nadlatującym ze świstem młotem, który z trzaskiem zderzył się z tarczami za nim. Oręż unosił się i opadał, a legioniści siekli olbrzyma mieczami, te jednak nie czyniły mu większych szkód.

Kolejny cios zmiądzzył następnego wojownika. Relkin wbił potworowi sztylet w udo. Olbrzym poruszył się, wrywając chłopcu broń z ręki. Nie zwrócił uwagi na wbite w nogę ostrze, tak samo jak nie zauważał ran zadawanych mu przez szermierzy. Opuścił młot, wyrzucając w powietrze tarczę z trzymającym ją ramieniem.

Relkin był przywiązany do tego sztyletu, miał go od bardzo dawna. Zanurkował w pobliże błotoluda i spróbował go wyszarpnąć.

Gigant huknął go łokciem w skroń, cofając rękę dla nabrania zamachu przed następnym ciosem młota. Relkin potoczył się do tyłu, przed oczami miał gwiazdy.

Zaczął podnosić się z ziemi, a wtedy stojący za nim piechur uderzył go przypadkowo płazem miecza w hełm. Chłopiec upadł twarzą w błoto i stracił przytomność.

Nie widział już nic z toczącej się dalej bitwy w nieprzyjacielskim podkopie.

Ocknął się jakiś czas później, leżąc na noszach w ciemnym miejscu. Bolała go głowa, jego hełm zniknął, a na czole miał bandaż. Dotknął go palcami, a we włosach i na szyi poczuł zaschniętą krew, gęsta i kruszącą się.

Obrócił głowę na głośny syk za sobą. W ciemnościach poruszyła się jakaś zwalista postać i po chwili ujrzał znajomy, gadzi pysk.

–Ach, jak dobrze, chłopiec nareszcie raczył się obudzić. Dość długo na to czekałem.

–Co się stało?

–Długa, zażarta walka, ale zniszczyliśmy tunel.

–Gdzie jestem?

–W namiocie szpitalnym. Przynieśli cię tutaj, nic mi nie mówiąc. A ja przeszukałem cały przeklęty tunel i nie znalazłem ani śladu po nic nie wartym chłopcu, wobec czego uznałem, że musisz żyć.

–To chyba dobrze, nie?

–Na ryk przodków, pewnie że dobrze. Chłopiec jest może bez wartości, ale jeszcze gorzej byłoby zaczynać od nowa z innym.

Relkin poruszył się i załomotało mu w głowie. Jęknął i opadł na plecy. Pamiętał tylko mrok, Sephitów, błoto i olbrzyma. Właśnie wstawał, kiedy łup! – coś obaliło go

**z powrotem na ziemię. Ma szczęście, że jeszcze żyje. Podziękował dobrej Matce za jej opiekę. Jednocześnie, z pewnym poczuciem winy, podziękował za to samo starym bogom. Jak by nie było, nigdy nie wiadomo, kto w danej chwili się tobą opiekuje.**

**Smok zakończył oględziny i cofnął się.**

**–Tak, bezwartościowy chłopiec niech leży spokojnie i da wypocząć głowie. Smok się nim zaopiekuje.**

**Relkin westchnął na myśl o tej czulej opiece, trzymał jednak język za zębami i już po chwili osunął się w ramiona snu.**

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Cesarskie spichlerze stanowiły trio ogromnych, pozbawionych okien budynków z rudawych cegieł z błota, górujących nad ulicą Fatan w dzielnicy Tapazit. Ulica Fatan skręcała tu na zachód, a niedaleko wznosiły się świątynie, lecz to sześciopiętrowe składy zdominowały okolicę. Zwykle trwała wokół nich gorączkowa aktywność – uwijali się tu kupcy, robotnicy, sprzedawcy i tragarze.

Jednak od chwili przejścia spichlerzy przez legiony Argonathu w okolicy zapanował dziwny spokój. W kupieckich kantorach zaległa cisza. Budynki okupowała setka piechurów. Do środka nie wpuszczano lokalnych handlarzy. Jednym posunięciem zlikwidowano cały czarny rynek.

Legioniści skrzętnie racjonowali każdą odrobinę żywności. Bogacz nie mógł już zapłacić za dodatkową porcję zboża lub piwa. Miastem wstrząsnęła złość wyższych klas. Wywarto nacisk na cesarza, który wezwał czarownicę Ribelę i nakazał jej oddanie kontroli nad spichrzami cesarskiej administracji. Ribela odmówiła i Banwi Shogemessar musiał przekazać tę odpowiedź narzekającym na nowe, ścisłe wydzielanie żywności.

Młodzi legioniści o surowych twarzach wykonali wyrok na pierwszej przyłapanej parze złodziejów i zagrozili tym samym ludziom, którzy oferowali im łapówki. Mieszczanie wycofali się z zakłopotaniem.

Niestety natura ludzka jest taka, jaka jest, i po pewnym czasie i tak próbowano ich przekupić. Bezskutecznie. Przepowiadaczka pogody rzadko spuszczała legionistów z oka, poza tym w grę wchodził ich honor. Łapówkarze zostali uwięzieni, po czym rozebrano ich przed zgromadzonymi żołnierzami, przywiązano do kozłów i wymierzono po dwadzieścia razów.

Miasto zareagowało przerażeniem i wściekłością. Wrogie tłumy syczały na maszerujących żołnierzy. Z dalszych szeregów obrzucano ich kamieniami i końskim nawozem.

Generał Paxion zwołał spotkanie z przywódcami społeczności miasta i ostrzegł ich, że jeżeli mieszczanie będą dalej tak postępować, to on zabierze stąd legiony, przedrze się przez oblegających i zostawi Ourdh na pastwę Sephitów.

Rozpowszechniono tę wiadomość. Otwarta nienawiść do legionistów szybko przycichła. Niemniej społeczność Ourdh nie nawykła do niedostatku i narzekania przerodziły się w ciągły, kwaśny pomruk, tworzący napięcie pomiędzy nią, a broniącymi ją cudzoziemskimi wojskami. To obcy byli winni ich głodowi.

Zapewniwszy sobie kontrolę nad pozostałymi w mieście zapasami, generał Paxion mógł odpowiednio odżywiać smoki, tak by nie opadły z sił. Wszyscy rozumieli, czemu tak musi być. Widzieli gigantyczne błotoludy.

Każdego dnia giermkowie ze 109 udawali się na ulicę Fatan po wieczorne racje. Korzystali z wozu kuchennego, ciągniętego przez flegmatyczne muły o imionach: Darcy i Smutek.

Trzeci dzień po bitwie w podkopie nie różnił się niczym od poprzednich. Chłopcy, choć poobijani i zmęczeni, rażno dopadli wozu i pojechali do spichlerzy. Tam załadowali go workami owsa i jęczmienia. Dla nadania smaku zbożowej papce mieli



tylko kilka pomarszczonych rzep i cebul z cesarskiego warzywnika. Przynajmniej jednak wszyscy napelnią żołądki.

Relkin wciąż nosił opatrunek na głowie, niemniej od półtora dnia był już na nogach i powrócił do obowiązków.

Pomimo energicznego szorowania jego kurtka nadal była poplamiona krwią, a spodnie podarte na kolanach. Nawet bandaż był przybrudzony. Lecz kiedy rozejrzał się dokoła, zauważył, iż nie jest w swym zaniedbaniu osamotniony. Wszyscy byli nieźle poturbowani. Swane z Revenant także miał obandażowaną głowę, a spod rozpiętej koszuli prześwitywał opatrunek na piersi. Twarz Tomasa Czarnego Oka pokryta była zadrapaniami i skaleczeniami po zderzeniu się z tarczą przeciwnika. Shim miał złamany nos, a Mono utykał. Ubrania wszystkich nosiły ślady podziemnego starcia.

Mimo to ustawili się w kolejce, taszcząc worki jęczmienia i owsa na rampę. Po sprawdzeniu przez strażników załadowali żywność na wóz.

Kiedy tak zataczali się pod ciężarem sześćdziesięciofuntowych worków jęczmienia, podjechało do nich kilku oficerów na koniach. Zsiedli. Przygarbiony pod kolejnym pakunkiem Relkin nie podniósł wzroku. Zrzucił brzemień na wóz i obrócił się, stając twarzą w twarz z kapitanem Keseptonem. Zasalutowali sobie i uściskali się, po czym Kesepton odsunął go na odległość wyprostowanych ramion.

–Dzięki Matce, że przeżyłeś. – Zmarszczył brwi. – Choć z trudem. Lagdalen powiedziała mi, że wylądowałeś w lazarecie. Spałeś, kiedy cię odwiedziła, lecz był tam Złamany Ogon i wszystko jej opowiedział.

–Przyszła do mnie Lagdalen? Nic mi nie mówił. Przykro mi, że się nie obudziłem. Kesepton mocno ścisnął ramiona młodzieńca.

–Nigdy nie zapomnimy, co dla nas zrobiliście. Czuję się tak, jakbym zawdzięczał wam całe moje życie. Jestem pewny, że Tarcho będą chcieli wam to wynagrodzić. Po powrocie do domu przekonasz się pewnie, że twoje czyny zrobiły się dość sławne.

Relkin spuścił wzrok, nagle zakłopotany. Pozostali rzucali mu ukradkowe spojrzenia. A on dopiero co pozbył się opinii chwalipięty.

–Smok nie opuściłby wyspy bez swojej przyjaciółki – odparł. – Lagdalen jest dla nas bardzo ważna.

–Wierzę – przytaknął Hollein. – Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o starciu w podkopie. Zwłaszcza kiedy usłyszeliśmy, że cię poturbowano.

–Było gorąco – przyznał Relkin. Pozostali giermkowie mruknęli potakująco. – W pewnym sensie było gorzej niż pod Salpalangum.

–Lecz 109 dobrze się sprawił – rzucił Kesepton głośniejszym głosem, by usłyszeli go wszyscy chłopcy. Ci popatrzyli z dumą po sobie.

–Smoki walczyły jak wszyscy diabli, sir. Szkoda, że pan tego nie widział! – zawołał któryś.

–Słyszałem o tym, jak również, że smoczy giermkowie także zdrowo oberwali.

–Wszyscy są na posterunku, sir – stwierdził Relkin.

–Twarde sztuki, tak słyszałem. – Kesepton odszedł z Relkinem na bok. –

Smokowy, po powrocie do jednostki zameldujecie się w lazarecie. Ten opatrunek

wymaga zmiany.

–Sir?

–Będzie tam dzisiaj Lagdalen. Chętnie zobaczy się z tobą. Twarz Relkina natychmiast wyjaśniała.

–Tak jest, kapitanie.

Przerwał im tętent. Pod rampę podjechała kolejna grupka oficerów. Wśród nich sam generał Paxion. Generał często dokonywał niespodziewanych inspekcji spichlerzy. Był zdeterminowany, by podczas kryzysu zachować ścisłą kontrolę nad miejskimi zapasami żywności. Pod jego dowództwem nie było miejsca na korupcję.

Zeskoczył z konia i osobiście sprawdził dziennik. Z książką w ręku podszedł do skraju rampy i zasalutował smoczym giermkom.

–Dobra robota, chłopcy. 109 podtrzymuje reputację najlepszego szwadronu, jaki mamy!

Chłopcy przełknęli ślinę i z niespotykaną energią oddali honory generałowi. Dowódca dostrzegł Relkina i Keseptona i podszedł do nich.

–Z wielkim zadowoleniem przyjąłem wieść o tym, że przeżyliście, smokowy. Słyszałem, że tęgo oberwaliście.

–Dziękuję, generale, ale ze mną już wszystko w porządku.

–To dobrze, chociaż musicie zrobić coś z tą kurtką, smokowy, to nie uchodzi.

–Tak jest, sir.

Paxion rozluźnił się i uśmiechnął.

–Powiedz mi jeszcze, młodzieńcze, jak się miewa nasz przyjaciel, dziki Purpurowo-zielony?

–Obawiam się, że wciąż się adaptuje, sir. Jedzenie jest dla niego trochę zbyt monotonne.

–Spodziewam się. Ale przynajmniej dostaje je regularnie, co?

–Tak jest, sir.

–Co z jego stopami? Martwiłem się o nie. Jego rodzaj przyzwyczajony jest do latania, a nie do marszu.

–Rozwiązaliśmy ten problem. Dałem mu do noszenia sandały. Zrobili je jeszcze w forcie Dalhousie.

–Sandały, tak? Pomysłowe. Cóż, oby tak dalej, smokowy. – Paxion obrócił się do Keseptona. – Chcę zamienić z tobą słowo, kapitanie. Mam wiadomość dla lady Ribeli.

Odeszli na bok. Relkin wrócił do pozostałych i zaprzęgnięty wóz kuchenny poturlał się do obozu. Po drodze Relkin zauważył, że żołnierze przypatrują się mu z ciekawością. Nie codziennie generał ucina sobie pogawędkę z giermkim.

W głowie kręciło mu się od dziwnych ambicji. A więc Relkin Sierota i smok Złamany Ogon staną się sławni, zanim wrócą do domu. Generał Paxion interesował się dzikim smokiem i rozmawiał na jego temat z prostym smoczym giermkim. Wyglądało na to, że czeka go świetlana przyszłość.

Zaraz jednak przypomniał sobie, gdzie jest i co czyha za murami. Przyszłość równie dobrze może przynieść śmierć w nadchodzącej walce.

Nie odzywał się wiele po drodze, ignorując docinki Swane'a. Mieszczanie

przyglądali się im z nienawiścią i podejrzliwością. Ich przejazdowi towarzyszyły przekleństwa i plucie. Kobiety czyniły znak złego oka. Relkin nie zwracał na to uwagi.

Wreszcie dotarli do swoich kwater. Górowały nad nimi mury miejskie i solidne wieże po obu stronach bramy. Rozładowali wóz przy kuchni i poszli po wodę.

Po postawieniu wody na ogniu giermkowie wrócili do smoków z radosną wieścią, że posiłek już jest szykowany.

Po spożyciu swojej porcji owsa z cebulą Relkin wspiął się na wieżę i wyjrzał na przedpole twierdzy.

–Skończyli – powitał go Mono. – Tak, widzę – mruknął Relkin.

Praca nad ostatnią wieżą oblężniczą została zakończona. Ustało stukanie młotków. Machina miała sześćdziesiąt stóp wysokości i stała na czterech olbrzymich kołach. Przód i boki osłaniały ciągle mokre skóry, a szczyt zakrywały belki obite miedzią. Góra miała trzydzieści stóp szerokości i prowadziły do niej schody, którymi będą wspinać się hordy nieprzyjaciół.

–W takim razie to już niedługo – dodał, czując dreszcz niepokoju. Cztery wieże naraz. Spływający po mostach strumień błotoludów. A za nimi tłum Sephitów o szalonych oczach.

–Ciężkie czasy dla smoków. A już są zmęczone.

Wroga katapulta wystrzeliła głaz, który spadł z hukiem na dziedziniec za bramą.

–Obawiam się, że nie będziemy mieli zbyt wiele czasu na odpoczynek.

Przy wtórze gwizdków pojawiła się drużyna pociągowa -ludzie z łańcuchami na szyjach, popędzani batami jak zwierzęta. Podchodzili parami do tyłu wieży, gdzie przykuwano ich do wielkiego dyszla.

Otaczały ich impy w czarnych tunikach Padmasy. Relkin wzdrygnął się. Potężny wróg otwarcie angażował się w tutejszą wojnę. Błotoludy także nie były dziełem mieszkańców Ourdh – magia, która je stworzyła, była o wiele potężniejsza. Jeżeli zawiodą smoki, mury padną i pewną sławną sierotę z nieznannej szerzej wioski Quosh nie będzie czekała żadna przyszłość.

W ciągu pięciu minut niewolnicy zostali przykuci w odpowiednich miejscach. Baty strzeliły donośnie, impy wrzasnęły i wielka wieża zakolebała się, po czym ruszyła powoli przed siebie. Niewolnicy pokonali bezwładność maszyny, która w coraz szybszym tempie zbliżała się do murów.

Wzdłuż umocnień rozległy się przekleństwa. Kilka strzał utknęło w tarczach, chroniących niewolników.

Na kolejny rozkaz impów wieża zatrzymała się. Niewolnicy zmienili pozycje i wieża odtoczyła się z powrotem.

Relkin przypatrywał się temu ponuro.

Po drugiej stronie miasta, skryte w bujnych ogrodach i owiewane chłodną bryzą znad wielkiej rzeki znajdowało się miasto cesarskie, otoczone pięćdziesięciostopowymi murami – istna twierdza w twierdzy. Tam właśnie kapitan Hollein Kesepton szukał wielkiej czarownicy.

Zaczął od cesarskiego holu przyjęć, gdzie dowiedział się, że czarownica stanowczo dzisiaj nie przyjmuje. Wobec tego udał się do jej prywatnych komnat,

przylegających do sali tronowej. Dzięki temu przez cały dzień była blisko cesarza. Jej obecność spowodowała spore zmiany w codziennym porządku zajęć cesarstwa. Teraz cesarz był dostępny przez cały dzień. Skończyły się popołudniowe wizyty w haremie i kilkudniowe pijatyki. Zamiast tego Banwi Shogemessar po raz pierwszy w życiu zachowywał się jak prawdziwy monarcha.

Jednak według eunuchów, z ważnymi minami trzymających straż przy drzwiach, tam również jej nie było. Kiedy pokazał im pieczęć generała na piśmie, kazali mu udać się na dach pałacu. Miał do pokonania sześć pięter, przez co dotarł na miejsce lekko zdyszany, niemniej zastał tam czarownicę, stojącą na wprost dalekiego miasta Dzu. Wokół jej stóp biegło małe stado myszy.

Czy powinien jej przeszkodzić? Co będzie, jeśli jest właśnie w samym środku rzucania jakiegoś tajemniczego czaru? Zawahał się, a ona odwróciła się i poczuł na sobie nacisk tych ciemnych oczu. Z Ribelą nie było żartów. Otaczała ją aura mocy.

–Lady Ribelo, mam wiadomość dla ciebie od generała Paxiona.

–Mów, kapitanie.

–Wszystko jest napisane tutaj – podał jej list. Przebiegła go wzrokiem, po czym z powrotem przeniosła spojrzenie na żołnierza.

–Przybyłeś tu, żeby powiedzieć mi, iż generał Hektor zostanie przetransportowany na kuter *Gastes*. Statek wkrótce wypływa.

–Ach – mruknął niepewnie.

Ribela wychwyciła pytanie w jego oczach.

–Chcesz, żebym puściła twoją żonę do Marneri. Nie mógł wykrztusić słowa.

–Obawiam się, że nie mogę jeszcze zwolnić Lagdalen z Tarcho ze służby.

Potrzebujemy jej tutaj.

Jak na dziewczynę w jej wieku, Lagdalen zrobiła już dość. Była teraz matką, a jej dziecko tuliły cudze ramiona. Czy ta wiedźma nie była człowiekiem? Zachowywała się tak chłodno i z dystansem.

–Wiem, że podchodzisz do tego bardzo emocjonalnie. Teraz jednak musisz przypomnieć sobie o powinnościach wobec naszej sprawy. Moja misja trwa, a dla jej sukcesu potrzebuję kogoś z doświadczeniem Lagdalen.

–Jest za młoda, by tyle od niej wymagać – zaprotestował.

–Cicho, kapitanie, jest starsza od większości smoczyczych giermków. Służy i oddaje sprawie znaczne przysługi. Nie okrywaj jej służby niesławą powodowany ojcowską troską.

Zapłonęły mu oczy. Zaoferowała mu gałązkę oliwną.

–Kapitanie, za osiem dni będę mogła jakimś zastąpić. Flota opływa właśnie Przylądek Rzyka. Sześć białych okrętów, prawdziwa armada, wioząca zapasy i legion z Cunfshonu. Zastępstwo Lagdalen płynie na okręcie flagowym, *Świerku*.

Kesepton wziął głęboki wdech. A więc jeszcze jeden tydzień niebezpieczeństw, w ciągu którego Laminna może zostać sierotą. Czarownica spodziewała się, że to go zadowoli. Lepiej było nie sprawiać jej przykrości.

–Dziękuję, lady Ribelo.

–Pewnego dnia Lagdalen wstąpi do Biura Śledczego. Ma naturalny talent.

–Lady, ona zrezygnowała z tej pracy.

–Tymczasowo, kapitanie, jestem tego pewna. Ktoś taki jak Lagdalen odegra w życiu wiele ról. Teraz jest twoją młodą boginią-matką, żoną i matką twego dziecka. Za pewien czas bez wątpienia znajdzie sobie jednak nowe obowiązki. Lessis miała rację, że ją wybrała.

Dla Holleina Keseptona zabrzmiało to raczej jak wyrok przedwczesnej śmierci.

–Za tydzień otrzymamy solidne posiłki. Za *Świerkiem* płyną *Owies i Żyto*, nasze największe okręty.

–Cóż, pani, to faktycznie dobre wieści. Mam tylko nadzieję, że wciąż będę żył, by móc je powitać. Wróg wkrótce zaatakuje. Powstrzymanie go będzie niezwykle trudnym zadaniem.

–Musimy go powstrzymać, więc to zrobimy.

Olbrzymiej siły woli Ribeli nie można było pomylić z niczym innym. Wracając na posterunek przy Wschodniej Bramie, Kesepton zastanawiał się, czy sama siła woli wystarczy im, kiedy na mury wedrą się błotoludy.

\* \* \*

Relkin dotarł do lazaretu w samą porę, by zastać tam jeszcze Lagdalen, zajętą sortowaniem świeżo wypranych bandaży.

Objęli się. Wyglądała na wyczerpaną – młodą twarz pobruździło znużenie – a mimo to znalazła jeszcze siłę, by uściskać smoczego giermka i zarzucić go tuzinami pytań na minutę.

Opisał jej pokrótce walkę w podkopie i co wydarzyło się później.

–Lecz młody bohater z Quosh przeżył kolejne zapasy ze śmiercią – rzuciła lekko. Oczy jej zabłyśły na widok bandaża.

–To trzeba zmienić – orzekła stanowczo.

–Cóż, takie właśnie otrzymałem rozkazy od kapitana Keseptona.

–Oczywiście, mogłam się tego domyślić. Nie wyglądasz źle i mam nadzieję, że faktycznie dobrze się czujesz.

–Będę znowu walczył. Powstrzymamy ich.

Przeszedł ją lodowaty dreszcz strachu. Odważne słowa Relkina zabrzmiały dosyć niepewnie. Wróg będzie atakował tak długo, aż przedrze się do miasta.

–Słyszałem, że w ciągu tygodnia otrzymamy posiłki.

–Sześć białych okrętów z Cunfshonu. Powstrzymaj ą ich. Muszą.

–W razie potrzeby wszyscy staniemy na murach – oświadczyła.

–A Lagdalen z Tarcho potrafi walczyć mieczem. Sam widziałem.

Uśmiechnęła się. W ciągu roku nauczyła się wielu rzeczy, w tym takich, których wcześniej nawet nie umiałaby sobie wyobrazić.

–Będę walczyć, jeżeli będę musiała.

–Pewnie już bardzo długo tutaj pracujesz – powiedział. – Powinnaś się przespać, smocza przyjaciółko.

–Ach, sen, pamiętam jeszcze, co to jest. Prawdę rzekłszy, wybieram się do łóżka zaraz po tym, jak tylko zabiorą generała Hektora. Odsyłają go do domu na kutrze, który zawiął tu wczoraj.

Relkin widział ten statek – biały kadłub o pięknym kształcie, trzymasztowy bryg zbudowany z myślą o szybkości i ryzykownych manewrach na płytkich wodach, idealny do przebicia się przez dolny Oon i rzecznych piratów.

–Słyszałem, że generał już się nie obudzi.

–Nie wiem, Relkinie, może mu się uda. Jeśli gdzieś ma się mu poprawić, to tylko na Cunfshonie.

Lagdalen odwinęła bandaż i zmieniła Relkinowi opatrunek. Rana goiła się dobrze. Podczas gdy pracowała, chłopiec opowiadał jej o murach i nastrojach w 109. Smoki były zmęczone, lecz wciąż cieszyły się wysokim morale, głównie dzięki odniesionemu niedawno zwycięstwu w podkopie. Giermkowie byli poturbowani, lecz sprawni i gotowi na wszystko.

A czekało ich wiele.

Kiedy skończyła, został i pomógł jej posortować bandaże -długie do obwiązywania i krótkie na opatrunki. Uporali się z tym na chwilę przed pojawieniem się ludzi z kutra. Chirurdzy opuścili salę operacyjną, by po raz ostatni zbadać generała.

Relkin przekonał się, że Hektor przybrał teraz barwę wosku i miał zapadniętą twarz. W leżącym na noszach mężczyźnie trudno było rozpoznać wielkiego generała, który zaledwie kilka tygodni temu przejeżdżał przed szeregami legionów.

Po chwili ponieśli go ulicami Ourdh na biały kuter, który zabierze go w podróż do Cunfshonu.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Mężczyzna znany jako Euxus z Fozadu przemknął szybko przez tajemne przejście pod murami Ourdh. Tunel kończył się w piwnicy podmiejskiej willi, należącej kiedyś do prawdziwego Euxusa z Fozadu, nieszczęśnika odbywającego właśnie ponurą pielgrzymkę do Dzu.

Willa została w większości zdemolowana, a belki dachu zabrano do budowy powstającej nieopodal gigantycznej wieży obłączniczej. Mężczyzna, który naprawdę był czarodziejem Thrembode'em Nowym, opuścił ruiny i ruszył w stronę kwatery głównej armii Sephitów przy trakcie do Wschodniej Bramy. Uśmiechnął się na widok gotowej wieży. Nowa generalicja wymuszała na podwładnych nadzwyczajne tempo prac. Niemniej nie było to konieczne. On, Thrembode, trzymał w garści klucz do znacznie łatwiejszego zwycięstwa.

Spieszył się na naradę.

W namiocie generała Klenda ujrzał arcykapłana Odiraka i dwóch innych, nieznanym sobie duchownych, wysokich, bladych mężczyzn o surowych twarzach, którzy ledwo odpowiedzieli na jego powitanie.

Nagle uświadomił sobie jeszcze czyjąś obecność. Kłapa namiotu odsunęła się i do środka weszła istota wzrostu człowieka, stając dokładnie naprzeciwko czarodzieja. Ubrana była w czarny płaszcz do ziemi z ciężkim kapturem, rzucającym cień na jej oblicze, niemniej zdołał wychwycić połysk rogu. Wtem ujrzał oczy, niczym płonące w nicości małe ognie.

Władca? Zadygotał. Czyżby jeden z Najwyższych pofatygował się tutaj osobiście? Byłoby to wręcz nadzwyczajne.

Kaptur opadł, ukazując oblicze mezomistrza. Metamorfoza objęła dolną część twarzy. Nie miał warg ani zębów, jedynie lśniący dziób, otoczony zrogowaciałymi falbankami. Oczy także były nieludzkie, mimo to górna połowa oblicza pozostała człowiecza. Miał nawet kosmyk siwych włosów, związanych w węzeł.

A więc mezomistrz – istota znajdująca się w połowie drogi do dziwacznej fizjologii Władców. Bijąca od niego moc obezwładniała tych, którzy potrafili ją wyczuć. Thrembode zauważał ją na wielu planach i natychmiast zorientował się, że przypatruje się mu potężny intelekt. Nie czuł na sobie takiego wzroku od czasu kontaktów z Nieuchronną Zagładą w Tummuz Orgmeen.

Zerknął na Odiraka. Arcykapłan wspominał coś o wspierającej ich mocy, większej nawet od posiadanej przez demona w Dzu. Mezomistrz, na starych bogów, to ci dopiero obrót czarnych stronic!

–I oto nasz czarodziej Thrembode powraca z terytorium wroga – odezwała się nagle istota dziwnym, chrapliwym głosem. – Jakież wieści czarodziej przynosi mi o swojej bandzie zdrajców?

–Wciąż rozważają nasze warunki, mistrzu.

–Wciąż? Czyżby nie zdawali sobie sprawy z ich sytuacji? Zaatakujemy za parę godzin. Jeżeli twój plan ma zadziałać, musi to nastąpić teraz. W przeciwnym razie nacieramy i do diabła z nimi.

–Cóż, waham się wtrącać w sprawy przekraczające moje kompetencje, możemy

chyba jednak powstrzymać się ze szturmem dzień lub dwa. Wojownicy Argonathu słabną. Wierzę, iż niedługo pojmą swoją sytuację i wymaszerują z miasta, które wpadnie w nasze ręce bez zbędnych strat.

–Nie możemy zwlekać. Potrzebujemy ludności miasta do odnowienia sił sług.

Threbode'owi włosy stanęły dęba. Opowieści o tym, co wyprawiało się w Dzu, były wprost niewiarygodne. Odirak pochylił się naprzód i wtrącił.

–A jeśli legiony Argonathu przyjmą nasze warunki, złapiemy je na otwartym polu. Ani jeden żołnierz nie może wrócić do domu żywy. Tak chce bóg.

Threbode zbladł – byłoby to niewyobrażalne marnotrawstwo.

–Z pewnością nie oficerowie. Czyż nie chcemy wynagrodzić zdrajców i odesłać ich do domu, gdzie mogliby dla nas dalej pracować?

Mezomistrz wydał z siebie dziwny dźwięk, przypominający buczenie pszczoł.

–Hę hę hę, przebiegły ten nasz czarodziej. Zapomina jednak o celu. Walczymy, by przepoić wrogów strachem. Tylko całkowicie przerażony przeciwnik może być zgnieciony wystarczająco szybko, żebyśmy działali zgodnie z harmonogramem wysokiego dowództwa. Musimy trzymać się harmonogramu.

Ach, harmonogram! Threbode wzruszył w duchu ramionami i natychmiast zapomniał o zdrajcach, których zostawił w obozie wroga. Harmonogram wysokiego dowództwa był o wiele ważniejszy. Jakie głupie było to jego pytanie.

–Jeżeli nie ostanie się ani jeden świadek klęski, zgroza będzie tym większa – domyślił się.

Mezomistrz znowu zabuczał.

–Dokładnie. Znikną dwa pełne legiony. Argonath nigdy nie dowie się, co się stało. Stracą kontakt z Ourdh, a my będziemy w stanie stworzyć największą armię, o jakiej kiedykolwiek słyszał świat. Zmiażdżymy Argonath i wreszcie zniszczymy same wyspy, kładąc kres obrzydliwemu plugastwu, jakim jest kult czarownic.

Threbode zakołysał się na obcasach, trzymając język za zębami. Tak samo Odirak. Żadna odpowiedź nie byłaby mądra ani nawet dozwolona. To była wielka polityka. Mezomistrz zwrócił się do generała Klenda, który jak dotąd trwał w całkowitym milczeniu.

–Klend, zaatakujemy w południe.

Następnie wzrok istoty spoczął na Threbodzie.

–Wracaj, czarodzieju, i powiedz zdrajcom, że zostało im tylko parę godzin, by mogli udowodnić swą użyteczność. Potem ich chwila minie i umrą z pozostałymi.

–Natychmiast, panie. – Threbode uklonił się i zasalutował, przyciskając kułak do piersi.

\*\*\*

Threbode Nowy nie był jedyną osobą, pochwyconą przez nadciągającą nawałnicę, osobą, która czuła rozczarowanie kierunkiem, w jakim zmierzały sprawy.

W pałacu sam cesarz Banwi łkał w poduszkę. To była bardzo dobra poduszka, z jedwabną powłoczką z czasów dynastii Quuf, a Banwi Shogemessar wyplakiwał się w nią nie po raz pierwszy. Była do tego jak znalazł – świetnie wchłaniała.

Banwi płakał, ponieważ jeszcze nigdy w życiu nie czuł się taki samotny i



osierocony. Jak mógł znaleźć się w tej straszliwej sytuacji? Z trudem mógł uwierzyć, że to w ogóle możliwe.

Przez cały dzień siedział na niewygodnym tronie i zajmował się sprawami cesarstwa. Gdzieś na pustkowiach Bogry formowano nową armię cesarską. Pięćdziesięciotysięczne wojsko połączy się z zastępami monstekirów z południa, książąt Canfalonu i stekirów Ralezwarów. Ponad sto tysięcy wojowników miało szansę rozbić oblężenie i przepędzić hordę Sephitów. Niestety, wymagało to tysiąca decyzji dziennie. Banwi nienawidził podejmowania decyzji, lecz trzeba było to robić i musiał to robić on.

Najgorsze, że przez cały czas ta przeklęta wiedźma nie spuszczała z niego wzroku. Banwi prawie zapomniał o cielesnych przyjemnościach. Wiele tygodni minęło, odkąd wypił więcej niż jeden kufel ale. Jak nie ciągłe audiencje, udzielane generałom, monstekirów i ich przedstawicielom, to narady z czarownicą i generałami Argonathu. W trakcie dnia nie miał nawet godziny odpoczynku. Ta kobieta była nieludzka w swoich wymaganiach.

Tęsknił za księżniczką Zettilą. Niestety, zginęła podczas zawieruchy na wyspie Gingo-La. Nie będzie mu już więcej doradzać w walce z matką i jej faworytami. Zamiast tego, każdą bezsenłą godzinę spędzał nad interesami cesarstwa. Gdyby tylko mogła to zobaczyć, Zettila byłaby zachwycona zmianą, jaka zaszła w jej kuchni.

Banwi Shogemessar nie darzył jednak czarownicy miłością za tę przemianę. Nienawidził jej, a jednocześnie bał się. Najgorsze zaś było to, że czuł, jak w jego sercu rośnie respekt do czarownicy. Nawet nienawiść zabarwiona była szacunkiem! To było nie do zniesienia!

Musiał jednak przyznać, że machinacje matki ustały po pewnej bezksiężycowej nocy, kiedy to Ribela zrobiła coś tajemniczego. Otrzymał raport, z którego wynikało, że jego rodzicielka umknęła do rezydencji w odległej Patwie.

Jej miejsce zajęła stara, brzydka wiedźma, jej wymagania, wyniosły wzrok i okropne opowieści o tym, co dzieje się w Dzu i co stanie się z nim i jego poddanymi, jeżeli nie będzie jej słuchał i walczył o ocalenie cesarstwa.

A kiedy udawał się na spoczynek, nawiedzały go sny. Przeróżające koszmary, w których głos powtarzał mu, że porwie go potwór i powoli pożre.

Usłyszał szelest odciąganej zasłony. – Odejdź, chcę być sam – przemówił. Lecz intruz nie odszedł.

– Powiedziałem, że chcę być sam. – Wiedźma z pewnością nie odważy się niepokoić go więcej tego dnia. Na święty oddech Aurosa, zrobił już wystarczająco wiele. Od dziewięciogodzinnego siedzenia na tronie rozboleł go tyłek.

Ale to nie była czarownica. Przy łóżku stała ciotka Haruma, przypominając przysadzisty pudding w czarnym jedwabiu. Haruma!

– Jak śmiesz tak do mnie przychodzić... – zaczął.

To wszystko jej wina. To ona powiedziała mu, żeby zaufał Argonathowi. Haruma doradziła mu wydanie bitwy wrogowi. Haruma otworzyła drzwi przed całym tym horrorem.

**–Precz. To wszystko twoja wina.**

Haruma dała krok naprzód, uklękła i przycisnęła czoło do podłogi. Tego właśnie się obawiała. Przez ostatnie kilka dni fedafer rozpadł się na kawałki. Twarz miał czerwoną od płaczu.

**–Mój panie, mój fedaferze, twoja pokorna służka błaga, żebyś nie mówił takich rzeczy. Twoja pokorna służka pragnie tylko pomóc ci w walce z nadchodzącym złem, zagrażającym starożytniej, dobrze nawodnionej ziemi.**

**–Doradziłaś mi przyjęcie propozycji pomocy Argonathu. Uczyniłem tak i co się stało? Obce diabły okupują miasto i opanowały spichlerze. Jem owsiankę trzy razy dziennie! To jakieś wynaturzenie!**

**–Mój panie, mój fedaferze, twoja pokorna służka błaga o wybaczenie, ale pragnie zauważyć, że legiony Argonathu bronią również murów Ourdh przed wrogiem.**

**–Ale owsianka?! Nienawidzę owsianki, chcę kaczkę i pieczonego kozła, i trochę wina, i trochę czasu w haremie. Od dziesięciu dni nie skosztowałem żadnych słodkich warg!**

**–Mój panie, mój fedaferze, twoja pokorna służka przypomina ci, że trwa wojna; wszyscy twoi poddani cierpią niedostatek i niewygodę. Jednoczy ich miłość do ciebie, a ich morale rośnie na wieść, że dzielisz ich niedostatki, kierując obroną miasta i ich życia.**

**–Ba! Nie dowodzę obroną miasta. Nie dbam o obronę miasta. To robota generałów. Chcę pieczoną kaczkę z chrupiącą skórką w sosie słodko-kwaśnym z kokosowymi wiórkami, słyszysz?**

Odwrócił się plecami do niej i wtulił w poduszkę. Ciotka Haruma podeszła bliżej i przyklękła przy nim.

**–Mój panie i władco, kochany Banwi, pozwól sobie pomóc. Wiem, że wyczerpuje cię praca. Wiem, że nie jest łatwo wytrzymać z tą cudzoziemską czarownicą.**

**–Łatwo? To katorga. Jest jak nadzorca niewolników, potwór w ludzkiej skórze. Zabroniła mi korzystać z własnego haremu.**

**–Mój biedny bratanku, mój fedaferze, mój władco.**

**–To absolutnie okropne, ciociu. Żyję niczym jakiś wojskowy. Wiedźma chce, żebym wciąż myślał o wrogu, a ja nie mogę już tego znieść. Czekaają na mnie. Widziałem ich w Dzu, oczekujących mnie ze złymi uśmiechami. Nie mogę spać, sny są zbyt straszne.**

Wybuchł płaczem, a obfita, ciepła Haruma zrobiła to samo, co wiele razy przedtem. Przytuliła swojego małego cesarza do piersi, kołysząc go, dopóki nie usnął. Biedny Banwi nigdy nie nadawał się na władcę. Miał pecha, że to za jego rządów wybuchła ta przerażająca rebelia w Dzu.

**–Śpij, mój fedaferze – nuciła miękko.**

Za oknami śpiewały słowiki. Wschodził księżyc – gruby sierp, błyszczący jasno na wschodnim nieboskłonie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Komitet Ratunkowy zebrał się ponownie w kwaterze komendanta Glavesa na ulicy Fatan w atmosferze niepokoju i przygnębienia.

Przez ostatnich parę godzin komitet powiększył się liczebnie. Pojawił się chirurg Tubtiel z Pierwszego Regimentu Pierwszego Legionu Kadeinu, sławetnych „jednych i jedynych” oraz komendant Uzpy, także stamtąd. Widok tuzinów gotowych wież obłączniczych doskonale wspomógł procesy myślowe oficerów. Sam generał Pekił przysłał przedstawiciela, młodego kapitana imieniem Dashute.

Glaves z dreszczem podniecenia obserwował, jak jego salon przeradza się w oko wiru intryg, nowych informacji, plotek i strzępów plotek, dostarczanych przez kadeińskich oficerów, pozostających na peryferiach wydarzeń.

Jednak ekscytacja gwałtownie opadła wraz z powrotem Euxusa z Fozadu. Po jego przemowie Porteous Glaves odniósł wrażenie, jak gdyby świat stracił nagle kolory, pozostawiając jedynie burą glinę.

Kupiec przyniósł im złe wieści. Wróg zaatakuje nazajutrz w południe. Jeżeli chcą mu coś zaoferować, muszą to zrobić teraz. Tej nocy.

Praktycznie oznaczało to, że musieliby wzniecić bunt, pojmać generała Paxiona i zamknąć go pod strażą. Bardzo prawdopodobne, że powinni go zabić.

Tego już było za wiele.

–Staremu Paxowi zawsze towarzyszy straż, przynajmniej dwudziestu żołnierzy Marneri – zauważył smutno komendant Vinblat.

–Nie mogę oczekiwać od moich ludzi, żeby zbuntowali się razem ze mną- mruknął komendant Uzpy. – Nie są na to gotowi. Za szybko.

–Dlaczego musimy działać tak prędko? Czemu nie można poczekać?

Glavesa także to zastanawiało. Jaką różnicę sprawiłoby kilka godzin? Lecz Euxus z Fozadu był nieugięty. Jego kontakt z nieprzyjacielem twierdził, że atak nastąpi natychmiast, chyba że miasto się podda.

–Może uda się wam opanować bramę i otworzyć ją w nocy. Dowódcy Sephitów doceniliby to.

Kadeińczycy zbledli.

–Jawna zdrada! Tego właśnie chcesz? Zastąpienie generała Paxiona Pekiłem to jedna rzecz, a otwarcie bram przed wrogiem zupełnie inna – huknął łucznik z Kenoru, kapitan Ferarh.

–Nigdy nie zdradzę moich żołnierzy – warknął komendant Vinblat. – Przede wszystkim jestem człowiekiem honoru.

Euxus prychnął zdenerwowany. Głupcy!

–Co w was wstąpiło? Nie widzicie, że to wasza jedyna nadzieja? Jedyna szansa ucieczki?

–Na mnie nie licz! – rzucił inny dowódca.

–Ja także nie wezmę udziału w ordynarnej zdradzie – przemówił Tubtiel z sykiem oburzenia.

Glavesowi opadła szczęka. To było wręcz niewyobrażalne. Doprowadził ich tak daleko, a oni nie chcieli pójść jedyną możliwą drogą. Zwykle gładkie oblicze Euxusa z Fozadu wykrzywił grymas irytacji.

Glaves próbował rozpaczliwie ratować sytuację. Na pewno można coś wymyślić. Dzień czy dwa z pewnością nie powinny sprawić różnicy.

Euxus z Fozadu nie zgadzał się. Nie zależało to od niego, tak mu powiedziano. Wróg wierzył, że zdobędzie mury. Miał przytłaczającą przewagę. Na sygnał do ataku czekała ogromna armia, wzmocniona przerażającymi krwawymi sługami. Zdaniem nieprzyjaciela komitet nie zrobił dość, by traktować go poważnie. Muszą otworzyć bramę lub szykować się na śmierć z pozostałymi.

Niestety Kadeińczycy nie przystali na to i rozzłoszczeni opuścili zebranie. Zostawili Glavesa, który z wytrzeszczonymi oczami grzebał w barku w poszukiwaniu pełnej butelki whiskey. Puste, wszystkie były puste! Nie mógł nic znaleźć.

Lecz Euxus z Fozadu nie poddawał się. Skinął na Glavesa i podał mu płaską, srebrną flaszkę.

–Może zechciałbyś spróbować odrobinę mojego własnego destylatu?

Glaves porwał butelkę i wziął trzy łyki czarnego alkoholu. Jeszcze nigdy nie próbował czegoś takiego. Trunek był aromatyczny i naprawdę mocny.

Po chwili alkohol zadziałał i komendantowi oczy wyszły na wierzch. Euxus uśmiechnął się wyrozumiale i zasugerował, że Glaves mógłby jeszcze sam uratować sytuację. Wystarczy, że rozkaże swoim żołnierzom otworzyć Bramę Fatan.

Porteous Glaves z radością wykrzyczałby swoją zgodę, gdyby tylko czarny alkohol nie kontrolował jego języka. Jedną z jego właściwości było nakłanianie nie wprawionych do mówienia absolutnej prawdy.

Komendant zmagał się przez chwilę z samym sobą. Widział siebie, jak prowadzi żołnierzy na bramę, wiedział jednak, że oszukuje się i wizja rozviała się bezpowrotnie. Nie był w stanie skłamać.

–Moi ludzie nie posłuchają takiego rozkazu. Nie mogę tego zrobić.

–Z pewnością jesteś zbyt skromny. Wszak jesteś komendantem.

–Moi oficerowie nie wypełnią takiego polecenia.

–Czyż nie jesteś popularnym dowódcą, kochanym przez swych żołnierzy?

Glaves westchnął ciężko i zapadł się w fotelu.

–Moi żołnierze nienawidzą mnie, są brzydcy i niewdzięczni...

–Ach, tak. – Euxus z Fozadu tego właśnie się obawiał. – W takim razie, mój biedny przyjacielu, decyzja należy do ciebie. Może wymyślisz jakiś sposób, by samemu otworzyć Bramę Fatan tej nocy. Gdyby Sephici opanowali chociaż jedną bramę, cała obrona ległaby w gruzach. Straty byłyby o wiele niższe niż w przypadku szturm. I, oczywiście, gdybyś otworzył bramę i wyprowadził swoich ludzi z miasta, czekałaby cię sowita nagroda.

Porteous Glaves wpatrywał się przez chwilę w kupca, po czym zaczął chichotać. Wkrótce chichot przerodził się w gromki, niemal histeryczny śmiech. Poczzerwieniałą twarz wykrzywił obłąkańczy grymas, kiedy Euxus opuszczał jego kwaterę, znikając w cieniach.

**Śmiech przeszedł wreszcie w łkanie. Stojąc w oknie, Porteous Glaves wpatrywał się w skazane na zagładę miasto, nie zważając na ściekające po policzkach łzy. Było bardzo ciemno. Jedyne gdzieś niegdzie płonęła olejna lampa. Blask księżyca wydobywał z mroków świątynne piramidy. Nie pozostała mu już żadna nadzieja. Sam nic nie zdziała. Nawet Dandrax nie wykona samobójczego polecenia. Brama była silnie strzeżona. Jej załogi nie uda się wziąć z zaskoczenia. Wyglądało na to, że umrze tutaj, w tej śmierdzącej, cudzoziemskiej dziurze, i nie powróci, by ukarać Ruwata za podsunięcie mu szalonego planu wstąpienia do armii celem poprawy swych politycznych notowań. Oczy zaszły mu łzami wściekłości, spływającymi powoli po policzkach na brodę.**

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Poranek wstał jasny i przejrzysty. Po niebie szybowało kilka pierzastych chmurek, a z północy dmuchała chłodna bryza.

Przy Bramie Fatan kucharze ugotowali owsiankę i wszyscy najedli się do syta – żołnierze i giermkowie z misek, a smoki ze swoich kadzi. Doszło do zwyczajowych narzekań na brak przypraw, akh i monotonność posiłków, lecz przynajmniej wszyscy mieli pełne żołądki. Kiedy skończyli, zajęli pozycje i czekali.

Beznamiętnie obserwowali przedpole. Wiedzieli, co wydarzy się dzisiaj. Relkin pielęgnował swoje smoki, a pomagał mu smokowy Hatlin, który zaprzyjaźnił się z potężnym Purpurowo-zielonym.

Opatrywał jego zadrapania, umożliwiając Relkinowi zajęcie się Bazilem. Quoshita miał obrzęk na prawym ramieniu po ciosie młota błotoluda podczas walki w podkopie. Giermek wydobyl z podręcznego pudełka starych przyjaciół mazidło Sugustusa i tonik do łusek.

Skórzany smok wymachiwał ramionami, rozciągając mięśnie, zamarł jednak w bezruchu, umożliwiając chłopcu posmarowanie rany.

–Ramie wciąż piecze – chrząknął.

–Powinno dłużej wypoczywać.

–Jak ma odpoczywać, skoro przez cały dzień ćwiczymy z tyczkami?

Dobre pytanie, na które Relkin nie znalazł odpowiedzi. Pod ścianą ułożono gotowe do użytku żerdzie. Inżynierowie obliczyli, że cztery smoki napierające na jeden bok wieży oblężniczej tyczkami o długości czterdziestu stóp powinny móc ją przewrócić. Ku przerażeniu ogrodników w Cesarskim Mieście natychmiast wycięto i pozbawiono gałęzi rząd choinek. Od tej pory smoki bez ustanku ćwiczyły z tyczkami.

–Cały wczorajszy dzień kazali smokom trenować pchanie tymi drągami. Nienawidzimy ich.

–Stój bez ruchu, chcę dostać się pod te łuski.

Smok zaburczał, lecz znieruchomiał. Relkin rozsmarował dłonią mazidło po masywnym ramieniu. Muskule pod grubymi łuskami stwardniały od ciężkiej pracy i treningu. Dzięki małej ilości piwa w diecie i tylu ćwiczeniom smoki straciły trochę na wadze, były jednak u szczytu formy, choć Relkin martwił się brakiem świeżego jedzenia i akh. Gady potrzebowały swojej przyprawy dla zachowania zdrowia.

Oczywiście całe to nabieranie mięśni i rosnąca sprawność odbijała się na ich nastroju, a nawet morale. W obliczu tak monotonnych posiłków wielkie bestie musiały mieć na co czekać. W Ourdh tym czymś było wyśmienite piwo.

Purpurowo-zielony jako ostatni wspiął się na mury. Ponieważ umocnienia Ourdh zostały wzniesione na ludzką miarę, brakowało na nich miejsca dla smoków, nie było też odpowiednich schodów. Olbrzymy wspinały się na mury po specjalnych, drewnianych stopniach, zbudowanych naprędce przez inżynierów.

–Na ryk starożytnych, cóż, to dziwna rzecz dla smoka -odezwał się Purpurowo-zielony, siadając przy pozostałych i owijając się ogonem. – Wspinanie się na mur, żeby można było walczyć mieczem.

Nosił smoczy miecz i więcej opancerzenia niż zwykle, wliczając w to nowiutki,

wielki hełm, wykuty dla niego przez legionowych kowali. Relkin zdał sobie sprawę, że dziki smok zaczął pojmwować, jak niebezpieczne stało się obecnie jego życie. Niemniej poproszenie giermka o dodatkowe elementy zbroi było dla niego zbyt trudne, utraciłby twarz. Na szczęście w sukurs przyszedł mu smokowy Hatlin.

–Dziwna? – rzucił Bazil, dobywając z pochwy Ecatora i zabierając się do ostrzenia go oselką. – Dlaczego dziwna? Zawsze walczymy, to nasze zajęcie.

–Nie, mój smoczy przyjacielu, miałem na myśli, że dziwne jest wchodzenie. Jesteśmy smokami, powinniśmy pikować w dół i porywać ofiarę, tak to należy robić!

Bazil parsknął śmiechem.

–Chciałbym chociaż raz pofrunąć, żeby zobaczyć, jak to jest.

–Ba, bezskrzydły smoku, jesteś czołgającym się stworzeniem!

–Tak jest – odparł spokojnie skórzany, nie zgadzając się, by dziki smok zmierzwił mu łuski. – Ale to czołgające się stworzenie potrafi walczyć!

Purpurowo-zielony prychnął z kwaśnym rozbawieniem.

–Jeśli o to chodzi, to ja także jestem teraz czołgającym się stworzeniem. – Wyjął swoją oselkę i zaczął pracować nad własnym ostrzem. Przejechanie kamieniem wzdłuż długiego, lśniącego ostrza ze stali zabierało sporo czasu. Niemniej ostra klinga była teraz ważniejsza niż kiedykolwiek. Bez niej przecięcie błotoluda było bardzo trudne.

Słońce wspinało się powoli po niebie. Kiedy znalazło się w zenicie, sytuacja pod murami zaczęła się gwałtownie zmieniać. Ku tyłom wież pognały liczne grupy zakutych w łańcuchy mężczyzn, popędzanych przez impy z batami. Inni, odziani w czerń Sephisa, wspinali się szybko na szczyt machin oblężniczych.

Trzasnęły bicze, impy zaryczały słowa zachęty i wieże ożyły. Dygocząc i chrzęszcząc ruszyły naprzód. Ozwał się grzmot bębnow Sephisa – miarowe *bum, bum, bum-it-ti-bum*, które trwało i trwało, aż zdawać się mogło, że to łomocze krew w skroniach.

Z wież wystrzelono pierwsze strzały, mające służyć raczej określeniu dystansu. Z murów nie odpowiadano ogniem – obrońców powstrzymywała dyscyplina, zresztą nikt nie zamierzał marnować strzał.

Z przedmieść wyroiły się tysiące wojowników, zbierając się u podnóża wież. Wśród nich maszerowały grupy ciągnące katapulty i balisty. Jak tylko maszyny zajęły wyznaczone pozycje, rozpoczęły ostrzeliwanie miasta olbrzymimi skałami.

Prócz kamieni na Ourdh spadały butle płonącego oleju, wznecając tu i ówdzie pożary. Na szczęście większość budynków w pobliżu murów dawno już została opuszczona i rozebrana, robiąc miejsce do pracy inżynierom, co minimalizowało straty. Katapulty legionów, zbudowane z masztów ze stoczni, odpowiedziały ogniem, wstrzeliwując się powoli w nadciągające wieże. Wkrótce od boków machin odbijały się potężne głązy, rozdzierając i przebijając skóry.

Łucznicy mieli teraz więcej celów i w stronę wież poszybowały łukiem pierwsze strzały. Niedługo salwy zgęstniały. Wieże sunęły naprzód. Bębny dudniły wciąż głośniej i głośniej. Wrzaski ludzi i przekleństwa impów mieszały się z turkotem ogromnych kół.

Obrońcy murów skulili się za osłonami i czekali. Smoki i większość żołnierzy skryli się za plecionkami i tarczami, ustawionymi w połowie murów. Na umocnieniach pozostali tylko łucznicy z Kenoru i smoczy giermkowie. Chłopcy używali kusz z Cunfshonu, pięknej, małej broni, z której doświadczony strzelec mógł razić wroga szybko i skutecznie. Brakowało im tylko zasięgu. Kenorczycy władali długimi łukami, których naciągnięcie wymagało większej siły, lecz owocowało znacznie większym zasięgiem, a szybkość wystrzeliwania strzał zależała wyłącznie od siły łuczника.

Łucznicy rozpoczęli długodystansowe ostrzeliwanie górnych pomostów nadjeżdżających wież. Nacierający odpowiadali coraz gęstsza ulewą strzał, utykających przeważnie w ochronnych plecionkach.

Do sekcji murów Relkina zbliżała się wieża o bokach osłoniętych mokrymi skórą. Jedyny cel stanowili nieprzyjacielscy łucznicy, zgromadzeni na górnym pomoście.

Relkin załadował kuszę bełtem o grocie do przebijania zbroi i czekał. Koło niego znalazł się Swane z Revenant.

–Stalowy grot na pierwszy strzał? – zdziwił się.

–Nie będzie zbyt wiele okazji do oddania strzału, zanim opuszczą pomost.

Swane naszykował sobie bełt z drogim, szerokim grotem, jakby oczekiwał czystego strzału w odsłonięte ciało. Relkin powstrzymał się od komentarza. Przeciwnik w wieży w ogóle się nie odsłaniał.

Swane nie mógł usiedzieć na miejscu. Co i rusz celował, po czym rezygnował z niesmakiem. Klął pod nosem, lecz nie zmienił bełtu, wypatrując celu.

Niedaleko nich świsnęła nieprzyjacielska strzała. Swane prychnął coś niezrozumiale i strzelił, lecz jego pocisk utkwiał w podstawie pomostu.

–Nie strzelać mi tam – warknął Hatlin. – Utrzymamy dyscyplinę albo zapamiętam sobie nazwiska. Ogień tylko na rozkaz.

Swane zaburczał coś pod nosem i odszedł parę kroków. Relkin odwrócił wzrok. Typowe dla Swane'a to wysforować się przed szereg i wpędzić w kłopoty.

Był piękny dzień. Przez nieliczne puszyste chmurki przeświecało słońce, wiał chłodny wietrzyk, niosąc woń drzew owocowych. Wyobrażał sobie przez chwilę, że jest daleko od murów starożytnego Ourdh.

Niestety nieustający łomot bębnow przędko zniweczył iluzję. Z nieba spadł pierwszy wielki głaz. Uderzył o szczyt umocnień, odbił się i wyrwał dziurę w plecionce.

–Smoki: unieść tarcze – natychmiast zarządził Hatlin. Mieli szczęście. Pierwsza skała nie trafiła żadnego nie przygotowanego olbrzyma.

Nad umocnieniami zaświstały strzały, wbijając się w plecioną zasłonę. Nadleciały kolejne głazy. Relkin patrzył, jak jeden z nich wzbija się stromo w powietrze i uderza w mur niecałe sto stóp od wieży bramnej.

Mniejszy kamień huknął o umocnienia tuż nad nim i Swane'em, odbił się i przeleciał nad smokami, znikając między budynkami.

Stojąc na murze, patrzyli na toczącą się w ich stronę rozkołysaną wieżę. Nagle od jej prawego boku odbił się wystrzelony z miasta głaz. Olbrzymia struktura zatrzęsała



**się. Pocisk rozdarł skóry. Powstała wyrwa.**

**Do skraju muru podbiegł kenorski łucznik i wypuścił z długiego łuku strzałę, a zaraz za nią trzy następne. W dziurze pojawiły się ramiona, próbujące rozpaczliwie naciągnąć uszkodzoną skórę.**

**Wokół łuczniaka z Kenoru zaświstały strzały i Hatlin rozkazał giermkom ostrzelać górny pomost, który znalazł się na samym skraju zasięgu kusz.**

**Wieża zbliżała się. Z jej szczytu zasypała ich ulewa strzał. Kenorczyk stęknął, kiedy ramię przeszył mu nieprzyjacielski pocisk, omijając stalowy epolet.**

**Przyklął z jękiem na jedno kolano. Relkin podczołgał się do niego i obejrzał ranę. Strzała miała szeroki grot. Chirurg będzie musiał ją wyciąć. Przekazał łucznikowi złą wiadomość, po czym wrócił spojrzeniem do nadciągającego monstrum. Strzała odbiła się z głośnym brzękiem od jego hełmu. Schował się za murem, przeładował kuszę, wymierzył i strzelił. Bełt poszybował nad skórzaną kurtyną. Ładował i strzelał, używając tym razem masowo produkowanych, zwykłych grotów. Za jego plecami giermkowie zasypywali wieżę kolejnymi salwami pocisków. Każdy Sephita, który tylko się pokazał, stawał się natychmiast obiektem ataków.**

**Wieża była już blisko. Wkrótce będzie w stanie opuścić na umocnienia pomost, po którym zaleją ich wrogowie.**

**Po obu stronach gromadzili się żołnierze Marneri. Najpierw do giermków dołączył tuzin łuczników, wzmacniając ostrzał. Mury osiągnęły tym sposobem przewagę ognia. Jedynie od czasu do czasu łucznicy z wieży mogli odpowiadać pojedynczą strzałą.**

**Swane krzyknął coś i pokazał ręką. Relkin podniósł wzrok i dostrzegł opadający na nich głaz. Odskoczył wstecz i w lewo, kiedy kamień rozbił się o mur na setki odłamków.**

**Dokoła rozległy się jęki i okrzyki, on jednak jakimś cudem nie odniósł obrażeń. Podniósł się na kolana i wycofał się tyłem przez otwór do relatywnie bezpiecznej kryjówki za plecioną zaporą.**

**Smoki klęły i pocierały bolące miejsca. Kilka kawałków skały przebiło plecionkę, lecz ani Bazil, ani Purpurowo-zielony nie zostali ranni. Ktoś dotknął jego ramienia. Obrócił się na pięcie i stanął przed Hatlinem.**

**–Obaj są cali – uspokoił go.**

**Hatlin zmarszczył brwi.**

**–Zostawcie ich, smokowy, i wracajcie na pozycję! Relkin pognał z powrotem, przybiegając w samą porę, by ujrzeć następny rozpryskujący się głaz, niecałe sto stóp na prawo od niego. Tym razem wszyscy zawczasu przykucnęli i okrzyków bólu było znacznie mniej.**

**Chłopiec wyjrzał za mur. Niebo pociemniało od tysięcy strzał, kiedy zgromadzeni u podnóża umocnień łucznicy zasypali obrońców pociskami.**

**Wraz ze Swanem i pozostałymi przylgnął do muru, modląc się, żeby nie znalazła go żadna strzała ani skała. Pleciona zaporą była tak naszpikowana pociskami, że wyglądała jak porośnięta futrem.**

**Wieże oblężnicze przyspieszyły na ostatnim, dzielącym je od murów odcinku.**

**–Przygotować się na przyjęcie wroga! – zawołał Hatlin. Podobne okrzyki rozlegały się wzdłuż całych murów, w miarę jak podjeżdżały kolejne maszyny.**

**I nagle wieże zamajaczyły nad nimi, a Relkin nadal nie mógł wypatrzeć choćby jednego celu. Wreszcie, przez rozdarcie w skórze, ujrzał wojownika na zatłoczonych schodach. Stały tam setki żołnierzy. Relkin wstał i wystrzelił. Jego bełt utkwiał w boku Sephity. Usłyszał okrzyk bólu.**

**O mur tuż koło jego głowy odbiła się strzała i chłopiec pospiesznie przykucnął.**

**–Nadchodzą – prychnął Swane z Revenant, wstając i rażąc stojących nad nimi nieprzyjacielskich łuczników.**

**–Smoki do żerdzi! – ryknął Hatlin i giermkowie wycofali się, cały czas strzelając. Plecione barykady opadły, Smoki runęły naprzód i wystawiły tyczki za mury.**

**Wieża oblężnicza turlała się jeszcze do umocnień, kiedy żerdzie uderzyły w jej przód i zatrzymały. Następne tyki sięgnęły jej prawego boku. Bazil, Purpurowo-zielony i Vlok naparli na drzewce i wieża przechyliła się, odrywając olbrzymie koło od ziemi. Machina obróciła się pod naciskiem pchających ją niewolników, odsłaniając tył.**

**Pomagając sobie biczami, impy próbowały zmusić ludzi, żeby zawrócili i odciągnęli wieżę od grożącego jej niebezpieczeństwa.**

**Wrodzy łucznicy wypuścili z dołu nawałnicę strzał, które utykały jednak w skórzanych smoczycach kaftanach i odbijały się od zbroi.**

**Do przodu wystąpili kenorscy łucznicy, celując w tłum u podnóża skał, lecz w obliczu przygniatającej przewagi liczebnej osiągnęli jedynie nieznaczne zmniejszenie intensywności nieprzyjacielskiego ognia.**

**Na skraju muru znaleźli się teraz Cham i Chektor, także wpierając końce żerdzi w prawy bok wieży. Smoki pchnęły ze wszystkich sił i machina zakolebała się, przechyliła i utknęła z jednym kołem w powietrzu.**

**Strzały przeciwników świszczały wokół smoków, wbijając się w kaftany i twardą, smoczą skórę, lecz olbrzymy nie poddawały się. Jeden z pocisków trafił Purpurowo-zielonego w policzek i dziki smok zaczął wściekle warczeć. Nagle pchnął żerdzią z taką siłą, że drewno poszło w drzazgi, a wieża chybnęła się i przewróciła na bok z ogłuszającym trzaskiem pękających belek.**

**Obrońcy wzniesli radosny okrzyk, a kornety zagrały triumfalnie. Smoki zaryczały donośnie i trąciły się łapami.**

**Po czym obróciły się i poszły pomagać gdzie indziej, jako że tylko parę wież udało się przewrócić, inne zepsuły się lub zacięły się im opuszczane pomosty. Pozostałe jednak dotarły do murów. Rozgorzała bitwa.**

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Bitwa o mury sięgnęła szczytu. Wrogie strony zwały się ze sobą, a mroczny cień nieprzyjaciela padł na przyszłość wszystkich. Przegrana oznaczała zniszczenie Argonathu i wszystkich miast wschodniego wybrzeża. Ludzie i smoki stali ramię w ramię, zdeterminowani, by nie dać nawet kroku wstecz. Tylko śmierć mogła zmusić ich do opuszczenia pozycji.

Ponad ciągly zgiełk walki wybijały się bębny Sephitów, którym odpowiadały srebrzyste kornety legionów, grające sygnały „do ataku”, „okrażenie” i „kontratak”.

W ogłuszającym chaosie wojny wyróżniały się donośne, triumfalne ryki smoków, niczym echo smoczycich walk na pradawnych mokradłach Mammalii.

Na lewej flance 109 odkrył wieżę oblężniczą, która ominęła smocze tyczki i przetransportowała na mury oddział błotoludów. Pod ich naporem smoki z 66 cofnęły się kilka kroków. Z pomostu wylewała się rzeka Sephitów, zalewając obrońców. Na dobrych stu jardach umocnień rozpętała się chaotyczna walka. Nad bitwą królowały olbrzymy. Żołnierze wbijali włócznie w ich wilgotne ciała, lecz błotoludy nie zważały na to i parły dalej, wrywając im oręż z rąk i miażdżąc ciosami ciężkich młotów i wielkich maczug. Legioniści nie byli w stanie stawić im czoła – tarcze i hełmy kruszyły się pod tytanicznymi uderzeniami – wycofali się więc, unikając morderczych ciosów. Wróg opanował część murów. Żołnierze Argonathu nie mogli go powstrzymać. Nad wszystkimi zawisa zagłada.

Wówczas przybyły smoki ze 109. Cztery pierwsze gady zwały tarcze, tworząc ścianę stali i twardej skóry i wbiły się w masę wrogów niczym pług w gliniastą glebę.

Błotoludy natarły na nie z furją, lecz smoki mocniej obrywały od trolli, a wielkie, lśniące miecze wkrótce przeważały szalę zwycięstwa na ich stronę.

Bazil Złamany Ogon ciął pierwszego olbrzymia, na którego wpadł, rozszczepiając go Ecatorem od szyi po krocze.

–Obrzydliwe – sapnął, wytrzeszczając ślepie.

Wielki Puipurowo-zielony podniósł błotoluda nad głowę i cisnął go z murów niczym pocisk.

–Mnie także zapisz jednego – odparł.

Vlok sparował cios młota i uciął olbrzymowi głowę. Stwór kontynuował walkę.

–Co trzeba zrobić, żeby je zabić? – prychnął Vlok.

–Są jak walczące warzywa – zauważył Purpurowo-zielony. Bazil oparł stopę o klatkę piersiową błotoluda, wyciągając

Ecatora, który utkwiał w nim zbyt głęboko.

W bitewnym ścisku pojawiła się na moment wyrwa. Dzielny Sephita rzucił się w nią z włócznią, mierząc w bok smoka. Na szczęście manewr został zauważony. Relkin okręcił się na pięcie i wpakował w niego strzałę. Trafił go, lecz pocisk nie przebił kolczugi.

Wojownik uderzył znowu, znajdując przerwę między nagolennikiem a wystającą spod kaftana kolczugą. Próbował wbić włócznię głębiej, lecz Relkin skoczył na niego z wojennym okrzykiem, zbijając go z nóg. Przeciwnikowi broń wypadła z rąk, nie

raniać smoka. Biała stal Eatora zatoczyła oślepiający łuk i rozplątała błotoluda na dwoje.

Relkin podniósł się przed Sephita, lecz koło niego pojawiło się kilku następnych i giermek cofnął się przed szpicami włóczy.

–Uważaj na ten bok! – wrzasnął do podopiecznego i załadował kuszę. Kątem oka zauważył coś dużego i instynktownie uskoczył przed ogromnym młotem, który wzbil kłęb ceglanego kurzu w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem stał.

Relkin upadł na plecy i smoczy ogonomal nie roztrzaskał mu czaszki, kiedy Bazil brał zamach do następnego ciosu. Odotoczył się, unikając ogona Vloka, który wysunął przed siebie tarczę, wtykając jej krawędź pod pachę olbrzyma i przewracając go.

Ujrzał lśniącego w słońcu, opadającego Eatora, przeładował kuszę i znów odskoczył – tym razem przed ogonem Chama, wpychającego się pomiędzy Bazila a Vloka. Chłopiec ruszył naprzód, nie znalazł jednak zbyt wiele miejsca. Ścisk rósł, w miarę jak smoki spychały błotoludy wstecz, odpierając tym samym tłoczącą się za nimi armię Sepsitów.

–Śmierć! – ryknął Purpurowo-zielony, podrywając w powietrze kolejnego olbrzyma i strącając go z muru.

–Śmierć! – Dziki smok był w swoim żywiole, wywierając nareszcie zemstę za cierpienia, jakie zgotował mu niegdyś nieprzyjaciel. Skazali go na pieszą wojaczkę. Zapłacą mu za to, na ryk przodków, zapłacą!

A giermkowie bezustannie, nie myśląc, przeładowywali kusze, celowali i strzelali. Szyli bełtami w tłum za błotoludami, świadomi, iż żaden pocisk nie uczyni krzywdy gigantom. Ich bełty szerzyły spustoszenie wśród Sepsitów, niezdolnych do uników przez panujący ścisk.

Przeciwnicy cofali się pod impetem nacierającego 109. Drugi szereg zastąpił pierwszy i wypoczęte ramiona podjęły trud Bazila, Vloka, Purpurowo-zielonego i starego Chektora, którzy wycofali się na tyły dla zaczerpnięcia oddechu.

Natychmiast obskoczyli je giermkowie, sprawdzając, czy nie odniosły ran, czy nie uszkodziły broni, czy nie zerwały się rzemienie podtrzymujące zbroje, czy nie mają skaleczeń lub opuchlizn, czy nie przydarzyły się im setki rzeczy, które mogłyby obniżyć ich sprawność bojową.

Kornety grały jak oszalałe. Rozkazano włócznikom stanąć za smokami i starać się przyszpilać błotoludy do siebie, unieruchamiając je i ułatwiając smokom ich niszczenie.

Niestety włócznicy nie byli równie biegli w unikaniu chłuszczących ogonów jak smoczy giennkowie i kilku zostało ogłuszonych przez odzyskujące równowagę smoki. Po prawdzie, była to najtrudniejsza lekcja, którą musiał opanować każdy giermek – umiejętność wyczuwania ruchów smoczego ogona, potrafiącego pozbawić zmysłów dorosłego mężczyznę.

Włócznie wbiły się w błotne cielska, smocze miecze wzniosły się i opadły i dwa szwadrony smoków zaczęły przec ku sobie, ściskając jak w imadle szturmujących mury Sepsitów. Wiele błotoludów zostało rozczłonkowanych i zrzuconych z murów.

Inne, rozrąbane na pół, walały się po umocnieniach. Sepsici wdrapywali się z powrotem na wieże, powodując korek, który zmuszał pozostałych do skakania z murów. Raz jeszcze sztuka wojenna Argonathu sparaliżowała wroga.

Mimo to bój był ciężki i smoki jeszcze wiele razy zmieniły się w pierwszej linii, nim wreszcie skończyły.

Gdy tylko wieża oblężnicza wycofała się pokonana i ostatni błotolud został strącony z murów, nieprzyjacielskie katapulty podjęły bombardowanie umocnień.

Wśród smoków ozwały się ryki bólu. Wielki Guttupeg, żółty mosiężny z Aubinas, zginął na miejscu, trafiony głazem w głowę.

Kornety zagrały rozpaczliwie, a oficerowie rozbiegli się wzdłuż murów, zarządzając rozproszenie się obrońców, których zwarte grupy stanowiły kuszący cel dla celowniczych wroga.

109 i 66 otrzymały rozkaz wycofania się na odpoczynek. Sąsiadujące z nimi sektory także zostały oczyszczone z napastników. Szturmujący zostali odparci wszędzie, prócz kilku sekcji wokół bramy rzecznej, bronionych przez cesarską gwardię. Posłano tam z odsieczą smoki, które wnet odzyskały panowanie nad sytuacją.

Wyczerpane gady opadły na ziemię, ludzie także. Na nogach pozostali tylko łucznicy i giermkowie. Relkin wyjrzał za mur. U podnóża piętrzyła się sterta martwych wrogów, głównie Sepsitów. Między zwłokami ludzi połyskiwały kawały błotoludów, rozpuszczające się już w obrzydliwy, ciemny szlam. Zadrżał. Magia wroga była naprawdę straszna. Było dokładnie tak, jak mówiła czarownica – nie ma innego wyjścia niż walka.

Po tumulcie bitwy cisza była czymś dziwnym. Relkin nie widział w zasięgu wzroku żadnego celu – przeciwnicy wycofali się poza zasięg strzał. Nawet katapulty zamilkły, wyczerpawszy amunicję.

Relkin poprosił Hatlina o zgodę na opuszczenie stanowiska. Uzyskał ją i popędził do swoich smoków.

Olbrzymy zbiły się w posępną grupę, czyszcząc i ostrząc miecze. Poluzowały paski płytowych zbroi i ściągnęły hełmy.

Relkin spojrział na Swane'a i od razu zorientował się, o co chodzi. Smoki przejęły się śmiercią Guttupega, mosiężnego z Aubinas. Jego giermek, Jiro Belx, siedział na murku z czerwoną twarzą, powstrzymując łzy. Relkin nie musiał pytać, by wiedzieć, że ciało mosiężnego leżało na wozie na dole. Smoki będą opłakiwać młodego pobratymca. Przebyli długą drogę z południa jako oddział, walczyli razem pod Salpalangum i na murach Ourdh. Guttupeg ujął wszystkich cichym i pełnym szacunku sposobem bycia.

Nie była to jednak ich jedyna ofiara. Mooz, zielony z Sein-ster, miał złamane zebro, prawdopodobnie również ramię. Pomogli mu zejść po stopniach i odprowadzili do smoczego namiotu. Wielki Cham został zraniony włócznią, a Vlok i Swane mieli groty w ciałach.

Swane zacisnął zęby i nawet nie jęknął, kiedy chirurg wyjął mu zębate ostrze z pośladka. Zdobył tym sobie pewną dozę szacunku w oczach Relkina.

**U Bazila chłopiec odkrył płytkie skaleczenie od włóczni wciśniętej między nagolennik a kolczugę. Nie mógł tego zabanda-żować, więc tylko przyłożył tam czystą szmatkę nasączoną środkiem dezynfekującym, w którą zapakował dodatkowo starego Sugustusa. Miał nadzieję, że opatrunek wytrzyma i przez pewien czas nie będzie nowych ataków.**

**Purpurowo-zielony miał kilka długich zadrapań i skaleczeń od młotów. Relkin naszykował gorące okłady, które przyłożyć pomógł mu smokowy Hatlin.**

**–Dobre okłady, smokowy Relkin – rzekł. – Dziękuję, sir.**

**–Dobrze walczyłeś. Ta para tak samo.**

**–To prawda. Dziękuję, panie smokowy.**

**Smoki nie podniosły łbów. Nie obchodziły ich ludzkie troski. Mamrotały do siebie w smoczej mowie, przesuwając osetkami wzdłuż ostrzy.**

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Utrzymali mury. Argonath nie cofnął się, nie padł łupem straszliwego wroga.

Wręcz przeciwnie, przeciwnik poniósł poważne straty. Zniszczono trzecią część wież oblężniczych. Zginęły setki błotoludów. Zamilkły pozbawione amunicji katapulty i balisty.

Potężna machina wojenna, zaciskająca się wokół Ourdh z zamiarem zniszczenia legionów, zacięła się i zatrzymała. Trwała niesamowita cisza, przerywana jedynie krzykami rannych, dobiegającymi z namiotu chirurgów.

Przechadzając się między otaczającymi miasto namiotami, czarodziej Thrembode obserwował oznaki klęski. Żołnierze popadli w letarg, siedząc w milczeniu przy małych ogniskach, jedząc i pijąc. Mało kto podniósł na niego wzrok.

Raz jeszcze wkroczył do namiotu generała Klenda. Wojskowy nie wyglądał zbyt dobrze. Prawdę rzekłszy był trochę zielony na twarzy. Arcykapłan Odirak także sprawiał wrażenie nieco wyciszonego. Innych kapłanów nie było. Oczywiście przyczyną była przygarbiona sylwetka, stojąca samotnie w drugim końcu namiotu. Thrembode wyraźnie wyczuwał gniew mezomistrza. Na planie astralnym jego złość jaśniała jak rozpalona gwiazda. Odirak pospieszył poinformować czarodzieja.

–Władca jest niezadowolony z porażki generała Klenda.

Klend obrzucił go jadowitym spojrzeniem. Thrembode pokiwał głową. Ograniczony kapłan postrzegał inne plany nie lepiej od biednego generała, ten miał jednak choć tyle rozumu, by nie odzywać się do lepszych od siebie.

Mezomistrz nie raczył jeszcze zauważyć pojawienia się Thrembode'a. Postać w czarnym płaszczu skupiła się na niewielkim zwoju.

Czarodziej zerknął na Klenda. Ten odwrócił wzrok, unikając jego oczu. Thrembode uznał, że Klend nie nacieszy się zbyt długo światem.

Mezomistrz skończył nagle czytać. Pogardliwym gestem podał zwitek Klendowi.

–Dopilnuj przegrupowania ocalałych sił. Za dwa dni otrzymamy posiłki. W ciągu czterech dni będziesz gotowy do podjęcia szturm. Zrozumiano?

Generał pochwycił zwój jak tonący linę.

–Tak, panie, oczywiście.

–Potem nieprzyjaciel otrzyma wsparcie. Ich flota została opóźniona przez sprzymierzonych z nami piratów, nie można jej jednak powstrzymać ani zniszczyć. Władza wieźm na morzach ma solidne podstawy. Dlatego właśnie musimy być gotowi do ataku czwartego dnia, kiedy obrońcy będą najslabsi. Teraz są głodni, za parę dni będą umierać z głodu.

–Muszą zostać pokonani! – rzucił żarliwie Odirak. – Bóg domaga się ich ofiary!

Mezomistrza zmęczyło już bezrozumne oddanie Odiraka tej fałszywej religii. Istota w Dzu nie była bogiem, tylko malacostracańskim demonem, przykutym do świata Ryetelth i zmuszonym do uległości wobec Wielkich. Odirak był kapłanem dogorywającego kultu, nagle jednak został wyniesiony na niewyobrażalne dla siebie wyżyny. Zaczął irytować mezomistrza. Przed pozbyciem się kapłana powstrzymywała go jedynie świadomość, jak ważna dla organizacji wojennego wysiłku była hierarchia kultu Węża. Gdyby nie to, dawno już posłałby go do jeziora krwi.

**–Oczyścić namiot – wysyczał. – Muszę porozmawiać z cza- rodzajem na osobności.**

**Klend i Odirak pospiesznie wyszli. Dziwaczne oblicze z dziobem zwróciło się w stronę Thrembode’a.**

**–Czarodzieju, masz okazję dobrze się nam przysłużyć. Być może uzyskasz nawet przebaczenie Wielkich. Pozwolą ci zachować życie.**

**–Nic innego z pewnością nie wchodziło w rachubę.**

**–Ha! Młodemu czarodziejowi znów brak pokory w obliczu lepszych od siebie. Nie, nie zaprzeczaj, wiem o wszystkim, magu. Wiem, co się stało w Tummuz Orgmeen.**

**Thrembode zrobił wszystko, by nie zdradzić się z emocjami, lecz puls przyspieszył mu jak oszalały. Ile wiedzieli? Korzystając z upadku miasta uciekł i udał się na południe. Zimę spędził na Wyspach Korzennych.**

**–Tak, czarodzieju. Służyłeś Nieuchronnej Zagładzie, nie darzyłeś jej jednak miłością. Trudno ją pokochać, prawda? Prawdę rzekłszy, Zagłada uznała, że twej służbie brakowało skuteczności i poświęcenia. Niemal poniosłeś konsekwencje jej gniewu.**

**–Ja...**

**–Nie, nie próbuj zaprzeczeń ani matactw. Wiesz, że nie możesz ukryć przede mną prawdy!**

**–Uwierz mi, panie, że nie miałem takiego zamiaru.**

**–Uwierzyć ci? Uwierzyć czarodziejowi na twoim poziomie? Ha, a to dopiero. Nie uwierzę ci, lecz będę ci rozkazywał, a ty wypełnisz moje polecenia, bo jeśli nie... – W gorejących oczach zatańczyły płomienie.**

**–Tak, panie. – Thrembode wiedział, kiedy okazać uległość.**

**–W zeszłym roku spartaczyłeś parę operacji, czarodzieju. Twa niezdarność nie przeszła nie zauważona.**

**–Niezdarność?! Protestuję!**

**–Straciłeś całą siatkę szpiegowską w Kadeinie. W Marneri misternie przygotowany zamach wziął w łeb przez twoją nie- udolność. Musiałeś uciekać i wiedźma Lessis ścigała cię przez Gan do samego Tummuz Orgmeen.**

**–Ścigała to za mocne słowo.**

**–W Tummuz Orgmeen straciłeś księżniczkę Besitę i ściągnąłeś zniszczenie na Zagładę.**

**–Nie, nieprawda. Muszę zaprotestować!**

**–Twoje protesty są bezcelowe. Tego wszystkiego dowiedziałem się w Padmasie.**

**–Ekhm. – Thrembode poczuł, jak ściska go w gardle. Jeżeli w to właśnie wierzyli Władcy, to już było po nim.**

**–Prawda jest taka, że nasz postęp został brutalnie powstrzymany, co jest nie do przyjęcia. Musimy ponownie spróbować z twoimi zdrajcami. Skontaktujesz się z nimi i zorientujesz, czy byliby skłonni otworzyć przed nami bramę.**

**Mezomistrz uniósł dłoń w rękawicy. Thrembode wyobraził sobie skryte w niej pazury. Zastanawiał się, czy naprawdę warto było zdobywać tę moc kosztem zamiany w demona o ciemnozielonym dziobie i płomiennie-żółtych oczach?**



–Jeśli zdołasz oddać nam bramę, wstawię się za tobą u Wielkich.

–Tak, panie – Thrembode uświadomił sobie, jak potężnym sprzymierzeńcem może być Gog Zagozt. Czarodziej potrzebował takich przyjaciół, jeżeli miał jeszcze trochę pożyć, parając się swym zajęciem.

–Dobrze. Da się to zrobić, czarodzieju?

–Tak, panie, mamy kilka możliwości do rozważenia.

–Oszczędź mi szczegółów. Daj mi bramę.

–Tak, panie.

Dam ci bramę, dam ci nawet cały mur, zobaczysz – myślał Thrembode, szykując się do wyjścia.

Lecz mezomistrz miał ochotę z kimś porozmawiać. Czarodziej uśmiechnął się z uwagą. Takie okazje do zbliżenia się z potęgami były niezwykle rzadkie.

–Kłopotliwa sytuacja, czarodzieju. Widzisz, musimy zdobyć miasto i to szybko. Z wielu powodów. Masz dostęp do tajemnic trzeciego stopnia, pojmujesz więc słabość krwawych sług. Trzeba je szybko zastąpić. W tym celu potrzebujemy mieszkańców miasta.

Thrembode przewidywał rzeź. Wrzask, zgroza na planie psychicznym.

–Ważniejsze jednak jest – ciągnął mezomistrz Gog Zagozt – że uwięziliśmy tutaj potężną wiedźmę.

Zaalarmowany czarodziej podniósł wzrok. Wiedźma? Tutaj?

–Tak, czarodzieju – w głosie mezomistrza pojawiła się triumfalna nuta – wykryłem ją osobiście. Jest bardzo przebiegła, niewyczuwalna na planie astralnym. Ale wykryłem ją. To jedna z największych, być może nawet najpotężniejsza z nich. Jeśli zdołamy ją schwytać, to cóż, nie muszę ci chyba mówić, jak wielkie możliwości otworzą się przed nami.

Thrembode'em wstrząsały sprzeczne emocje. Z jednej strony pojmował, jak wielką szansę daje mu mezomistrz, z drugiej – ulegał starym lękom. Cudem przeżył kilka bliskich spotkań z jedną z nich.

–Czy to Szara Wiedźma, Lessis?

–Nie, nie – mezomistrz odchrząknął złowroźbnie. – To nie ona. Ta leży na śmiertelnych marach w Marneri. Zamach, w którym nie brał udziału żaden czarodziej. Mag nie posiadał się z radości.

–Cóż za wspaniała nowina, mistrzu. Gratuluję, ktokolwiek tego dokonał.

–Powinieneś, czarodzieju, powinieneś. Zatem, wiedząc, o jaką stawkę toczy się gra, wracaj i zdobądź dla nas bramę.

Thrembode opuścił generalski namiot i natychmiast wrócił do zrujnowanej willi. Raz jeszcze przeistoczył się w Euxusa z Fozadu i przekradł się do miasta.

Odniósł tam wrażenie bałaganu. Na rogach ulic gromadziły się tłumy głodnych mężczyzn i kobiet. W jednych miejscach stali cicho, wpatrując się w niewielki ruch uliczny. W innych wznosili gniewne okrzyki i wyśpiewywali hasła w ourdhi.

Odnotował te oznaki niezadowolenia z satysfakcją, spiesząc ulicą Fatan w stronę domu zajętego przez komendanta Glavesa. z Drugiego Legionu Marneri.

Glaves był pijany. Dandraxowi udało się okraść dom jakiegoś kupca z bardzo

**mocnego spirytusu, zwanego yaak. Glaves pił go przez cały dzień.**

**Porteous Glaves uznał, że nie jest w stanie już tego znieść. Aby uniknąć sądu wojennego i egzekucji, musiał objąć dowództwo i pojawić się na murach. Stracił kontrolę nad pęcherzem, kiedy niecałe pięć stóp od niego olbrzymi głaz zamienił żołnierza w miazgę. W jego pamięci wstyd mieszał się ze zgrozą.**

**Teraz ze wszystkich sił starał się zapomnieć. Widok Euxusa mocno go zdenerwował.**

**–Precz! Nie mamy o czym rozmawiać! Lecz kupiec nie odszedł.**

**–Wręcz przeciwnie – odparł z powagą. – Mamy do omówienia bardzo ważną sprawę. Najpierw jednak musisz wytrzeźwieć.**

**–Co? Jak śmiesz? Ty ourdycki ptaszku! Wynocha! – Glaves zamachnął się groźnie na Euxusa.**

**Ten złapał jego dłoń i ścisnął w specjalny sposób, powodując nieznośny ból. Glaves próbował zawołać pomoc, wezwać Dandraxa, lecz jego ust nie opuściły żadne słowa. Wpatrywał się jedynie w ciemne oczy Euxusa, a wokół niego pulsowały słowa mocy.**

**Złapał się wolną ręką za głowę. Wirowało mu przed oczami. Miał dziwne wrażenie, jak gdyby wrywano mu z ciała organ po organie, aż przewracało mu się w żołądku.**

**Potem, bez żadnego ostrzeżenia, ogarnęły go nudności tak intensywne, że wnętrzności wywróciły mu się na drugą stronę.**

**Zatoczył się do okna, wychylił i zwymiotował śmierdzącym strumieniem alkoholu i żółci. Wstrząsały nim silne konwulsje. Przestraszył się, że zaraz wyrzyga wszystkie flaki, nawet oczy chciały wyskoczyć mu z czaszki. Wreszcie sensacje skończyły się i wyczerpany Porteous Glaves opadł bezwładnie na krzesło, łapiąc powietrze. Tajemniczy człowiek, którego znał jako Euxusa z Fozadu, pochylił się i wbił w niego wzrok. Komendant nie był już dłużej pijany.**

**Threbode długo pracował nad argonackim dowódcą, w końcu jednak poddał się z niesmakiem. Mężczyzna był w kiepskim stanie, jego umysł przypominał galaretę. Wciąż płakał i złorzeczył na swój los.**

**Sytuacja była jasna. Legiony nie poddadzą bramy, zwłaszcza po pierwszym szturmie. Jeszcze przed bitwą można było przekonać Kadeińczyków, żeby wymaszerowali z miasta i udali się na południe, teraz jednak, kiedy stoczyli pierwszą bitwę i ponieśli straty, będą bronić murów, dopóki nie pokona ich śmierć lub głód.**

**–W takim razie będą głodować lub zginą. Na dłuższą metę nie ma to znaczenia. Ty zagłodzisz się wraz z nimi. Jesteś nieprzydatny.**

**Glaves obrócił ku niemu zapadniętą, umazaną wymiocinami twarz.**

**–Kim naprawdę jesteś?**

**Threbode uśmiechnął się.**

**–Obserwatorem, drogi głupcze, tylko obserwatorem.**

**–Znasz wroga. Co się stanie, kiedy zdobędzie miasto? Uśmiech czarodzieja przekształcił się w brzydkie wyszczerzenie zębów. Ten głupiec zasługiwał na odrobinę prawdy.**

**–Zaszlachtuj ą większą część populacji i utocz ą z niej krew, by dać życie nowym**

**olbrzymom.**

**Glaves wybałuszył oczy. Dotychczas blada twarz zrobiła się biała.**

**–Nikt nie ucieknie, prawda?**

**–Nikt. Żegnaj, komendancie. Postaraj się godnie umrzeć. Thrembode opuścił kwaterę Glavesa i znikł w tłumie. Skręcił do gospody Pod Niebieskim Pelikanem i poszedł na zaplecze. Zebrali się tam jego agenci, zwołani na jedno z rzadkich spotkań. Było to wielkie ryzyko, potrzebował jednak szybkiego działania, wobec czego zdecydował się je podjąć.**

**–Fundamenty zostały położone. Pora przystąpić do działania. Za parę dni Argonatczycy otrzymają posiłki. Musimy wykorzystać głód. Trzeba przytknąć zapałkę do tej sterty suchego chrustu.**

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Zapasy żywności kurczyły się z dnia na dzień. Dwa dni po zwycięstwie na murach legionowy komisarz zaprzestał wydawania racji żywnościowych dla mieszkańców miasta. Resztki prowiantu miały utrzymać przy życiu żołnierzy. Mieszczanie musieli zadowolić się własnymi mizernymi zapasami. Przynajmniej została jeszcze woda i oszczędzały ich choroby.

Po zatrzaśnięciu wrót przed spichrzami doszło do nieprzyjemnych scen. Gromadził się tłum, więc generał Paxion zarządził oczyszczenie ulicy. Jednocześnie wzmocnił siły pilnujące składów i wysłał konne patrole, krążące między składami a murami. Dało to zajęcie taliońskiej konnicy, a jemu zapewniło bezustanną aktualizację informacji o sytuacji w okolicach spichlerzy i dzielnicach pomiędzy nimi a umocnieniami.

Tłuszcza zareagowała narastającą agresją, lecz po paru poważnych starciach z legionistami tłum rozproszył się. Paxion nakazał oddziałowi łuczników rozprawić się ze snajperami i wkrótce przestały razić ich strzały z okolicznych uliczek. Z każdą godziną żołądek miasta był coraz bardziej zaciśnięty i coraz głośniej burczał.

Paxion rozważał pomysł opróżnienia spichlerzy i rozdania reszty prowiantu legionistom, uznał jednak, że biorąc pod uwagę krótki okres czasu, po jakim powinny pojawić się białe okręty z posiłkami, nie warto było podejmować ryzyka wywołania zamieszek. Utrzymają składy i mury – tylko to się liczyło.

Ribela sugerowała, iż ochroną należałoby także objąć cesarza, lecz Paxion zaklinał się, że nie robi niczego dla zdradzieckiego fedafera.

–Wątpię, żeby moi ludzie kiwnęli palcem dla uratowania go przed szubienicą, na którą słusznie zasługuje.

Ribela ustąpiła. W głowie dźwięczały jej słowa Lessis. Wojsko powinno zajmować się własnymi sprawami. Fedafera będą chronić tylko jego eunuchowie.

W tym czasie generał Paxion zauważył, że wróg zakończył naprawę ocalałych wież oblężniczych i budował nowe. Zastanawiał się nad urządzeniem zbrojnej wycieczki, nagłego, nocnego wypadu celem spalenia machin.

Jego pomysł nie został jednak przyjęty z entuzjazmem, szczególnie przez dowódców z Kadeinu. Nie mówili o niczym, tylko o stratach, jakimi to groziło. Paxion odparł, że to żołnierze Marneri zaryzykują i okryją się chwałą. To jeszcze bardziej rozwścieczyło Kadeińczyków, którzy zarzucili mu, że doprowadza do podziałów w sztabie i nadwątlą morale.

Paxion wycofał się z pomysłu, nie zapomniał jednak o nim. Flota wkrótce przyplynie i otrzymają solidne posiłki. Jeżeli do tej pory utrzymają mury, to potem wzmocnionym i nakarmionym pójdzie jeszcze łatwiej.

Zabrział gong na kolację i żołnierze otrzymali wieczorny posiłek. Dzwonienie i zapach gotowanej w olbrzymich kotłach kukurydzianej papki ściągnął tłumy mieszkańców Ourdh, stojących na skraju obozu, od których oddzielała ich linia mężczyzn z tarczami i włóczniami.

Legiony jadły. Drugi Marneri rozlokował się przy Bramie Fatan, wewnątrz której znajdowała się pusta przestrzeń, gdzie kucharze rozstawili kuchnie wśród namiotów

inżynierów, młodszych oficerów, administracji i tuzina innych. Relkin pobrał dwa wiadra owsianki dla swoich smoków i miskę kukurydzianej papki dla siebie. Nie było tego wiele, lecz przynajmniej na jakiś czas zapełni mu żołądek.

Tłum na zewnątrz był niespokojny. Słysząc było mnóstwo krzyków. Co chwilę z dalszych szeregów wylatywała w ich stronę cegła.

Odezwał się kornet i w ciągu paru sekund na dachu pobliskiego budynku pojawiła się para kenorskich łuczników. W stronę żołnierzy poszybowała kolejna cegła. Nie zdążyła jeszcze dotknąć bruku, kiedy w odpowiedzi w tłum poleciała strzała. Rozległ się nagły krzyk. Ciskanie cegłami ustało.

Relkin wspiął się na dach trzypiętrowej kamienicy, najwyższego budynku po tej stronie ulicy. Obserwował tłum z wywołaną najedzeniem ociężałością. Był coraz bardziej zmęczony. Zmęczony Ourdh, głodem, oblężeniem. Męczyły go marudne smoki, a potężne bestie były ostatnimi czasy nadzwyczaj kapryśne. Nienawidziły być głodne. Smocza dyscyplina, jedyna rzecz, która umożliwiała współistnienie tych wielkich drapieżców i ludzi w legionach, oparta była zawsze na ich właściwym karmieniu. Obecnie nie dostawały wystarczająco dużo, by ugasić pożar w brzuchach, co czyniło je trudnymi do zniesienia.

Wszyscy balansowali na krawędzi. Doszło do tego, że bolesna była sama myśl o jedzeniu. A jeśli plotki były prawdziwe, będzie tylko gorzej.

Przez chmury przebierało zachodzące słońce, a z południa wiała ciepła bryza. Miło było odprężyć się, patrząc na kłębiący się tłum, który wkrótce zaczął się rozchodzić.

Wreszcie słońce zaszło i Relkin opuścił dach, po czym udał się do obozowego kowala. Walczący legion bardzo potrzebował kowali, toteż żołnierze przejęli duży warsztat kowalski na ulicy Fatan. Jego właścicielowi zapłacono oczywiście dobrym srebrem – Paxion był bardzo czuły na punkcie własności.

Chłopiec miał w naprawie u kowala kilka rzeczy. Hełm Pur-puowo-zielonego otrzymał parę uderzeń młotem i miał wgniecenia. Lewy nagolennik Bazila był wgięty, niemal przebity, a kolczuga rozerwana podczas wściekłego starcia na murze. Dalej szedł wyszczerbiony miecz ogonowy i zestaw grotów do bełtów. Podobnie jak pozostali, musiał samemu zaopatrzyć bełty w pióra. Trzeba było przycinać większość nieprzyjacielskich strzał, by pasowały do kusz z Cunfshonu.

Relkin był zmęczony, cieszył się jednak z pretekstu do trzymania się z dala od smoków. Purpuowo-zielony zasyczał na niego i wyszczerzył kły, kiedy skaleczył go przy przycinaniu złamanego pazura. Teraz bolał go cały palec, co wprawiało dzikiego smoka w podły nastrój. Przez chwilę miał ochotę zdzielić chłopaka ogonem.

Relkin nie otarł się tak blisko o poturbowanie przez smoka od lat młodości, kiedy to był na tyle głupi, by dopuścić się bolesnego dowcipu z pinezką. Jeśli szybko nie dostaną zapasów, przebywanie w pobliżu smoków stanie się bardzo niebezpieczne.

W kuźni kłębił się tłum mężczyzn i giermków. Powietrze wypełniał łoskot kucia, zapach gorącego metalu i dymu. Hełm i nagolennik nie były jeszcze gotowe. Pomocnik, który udzielił mu informacji, był wyczerpany. Z poczerniałej od dymu twarzy wзираły przekrwione oczy. Relkin otrzymał tuzin grotów i wyszedł na pachnące, ciepłe powietrze na zewnątrz.

Wybrał się na spacer poza obóz. Ulicami chodziło niewielu ludzi. W obliczu nadciągającego głodu, większość wolała zostać w łózkach.

Tu i ówdzie na rogach ulic stali żebracy, przeważnie mężczyźni, choć wypatrzył również kilka kobiet, spowitych od stóp do głów w garub dla zaznaczenia, że nie są prostytutkami.

Kiedy ich mijał, wołali w łamanym verio o jedzenie. Nie miał nic, co mógłby im dać. Parę kroków przed nim wybuchła kłótnia. Dwóch mężczyzn wypchnęło na ulicę kobietę.

Relkin zatrzymał się przed nią a kiedy odwróciła głowę, natychmiast rozpoznał jej twarz.

–Lady Miranswa? – zapytał.

–Ty? – zdumiała się.

–Matka musiała tego chcieć- stwierdził.

–Chyba twoja bogini z północy, dość zimna, rzekłabym.

Prawdę powiedziawszy, chłopiec tak samo wierzył w Wielką Matkę, jak i w starych bogów, i nie zamierzał prowadzić dysput religijnych z nikim, a zwłaszcza nie z Miranswa. Silna była pamięć tamtego pocałunku na chwilę przed rozstaniem się w świątyni Gingo-La. Był przekonany, że obydwójce coś do siebie czują.

–Ty, który wyzwoliłeś mnie z niewolnictwa, a potem strzaskałeś potęgę mej bogini, przyszedłeś oto tutaj, by drwić z mej nędzy.

–Nie drwię z ciebie, Miranswo Zudeina. Pamiętam, co dla mnie zrobiłaś i co wydarzyło się później.

Zdenerwowała się.

–Przysięgam, że nie miałam pojęcia... myślałam, że może uda ci się uciec, nic ponadto. Nie przewidziałam, że wszystko zniszczysz.

–Niczego nie zniszczyłem. Uratowałem moją najlepszą przyjaciółkę pod słońcem i mojego smoka. Oddałbym życie za któreś z nich. Należy im się to ode mnie.

Dostrzegła w jego twarzy coś, co ją przeraziło.

–Co ja zrobiłam? Och, bogini ratuj!

–Miranswo, co ty tutaj robisz?

–Jedzenie – wyszeptała gorzko. Pokiwał głową.

–Masz coś do jedzenia, co mógłbyś mi dać? – zapytała z nagłym ożywieniem.

–Nie, ale coś zdobędę.

–Nie jadłam od wielu dni. Nie ma w tym mieście żywności dla kogoś takiego jak ja, pozbawionego rodziny i przyjaciół.

–Zrobiła ci to twoja rodzina?

–Ha! Zabiliby mnie, gdyby tylko mnie znaleźli. Moja ciotka Elekwa ma nad wszystkim kontrolę. Przejęła moje dziedzictwo i łatwo go nie odda.

Zbliżył się do niej.

–Pamiętam, co się stało.

–Na Wyspie Bogini? Zapomnij o tym, to nic nie znaczyło.

Prawda była jednak inna. Relkin znalazł jej miejsce do spania za jednym z wozów ustawionych pod murem w pobliżu Bramy Fatan, o rzut kamieniem od kuchni

**Ósmego Regimentu i 109 Szwadronu Smoków.**

**Poszedł do kucharza i poprosił o przysługę, wskutek czego otrzymał miseczkę jęczmiennej papki. Zaniósł ją Miranswie, która spałaszowała poczęstunek z gorączkową żarłocznością wygłodzonego.**

**Potem usnęła, a on jej pilnował. Była bardzo chuda i kompletnie wyczerpana. Przykrył ją własnym kocem i wrócił do pewnych dwóch marudnych smoków.**

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

W wygłodniałym mieście panowała atmosfera gorączkowych pogłosek i nienawiści. Nocą doszło do napaści na spichlerze dwustu-, trzystuosobowych band ludzi, doprowadzonych do ostateczności przez głód swój i ich rodzin.

Legioniści i łucznicy w zupełności wystarczali do odparcia tych ataków. Były to jednak oznaki rosnącego w mieście gniewu.

Niestety białe okręty były wciąż parę dni drogi od Ourdh. Odnosiło się wrażenie, że zanim przybędą wszystko może się wydarzyć. Oficerowie otrzymali rozkaz, by zapobiegać wszelkim incydentom, które mogłyby sprowokować tłumy, o ile w ogóle było to możliwe. Jednak zaatakowani mieli się bronić i obezwładnić napastników.

–Bądźcie w porządku, lecz twardzi – zarządził Paxion.

Olbrzymie, oceaniczne okręty znajdowały się nadal wiele mil na południe, przedzierając się przez gmatwaninę kanałów i walcząc z piratami, którzy opanowali dół rzeki.

Relkin wstał wczesnym rankiem i wybrał miseczkę jedzenia dla Miranswy. Niewiele mówiąc, zabrała się do konsumpcji. Jednak zanim odszedł, pocałowała go w policzek. Serce mu podskoczyło i pomimo zmęczenia ruszył rażno przed siebie, a wzrok mu się wyostrzył. Nie podniosła jednak głowy, kiedy próbował wciągnąć ją do rozmowy, więc zmieszany wrócił do kucharza i pobrał śniadanie dla smoków – po pół wiadra kukurydzianej papki.

Kiedy postawił je przed nimi, nie odpowiedziały na zwyczajowe powitanie. Ich zły nastrój pogłębiał się. Zabrały się za jedzenie z niewyraźnym chrząknięciem, mierząc go długimi spojrzeniami olbrzymich, drapieżnych ślepi.

To było straszne. Smok Relkina, jedyna rodzina, jaką znał, obracał się powoli przeciwko niemu. Tak naprawdę, ta potężna bestia, którą nazywał Bazem, była drapieżcą zjadającym ludzi i wszystko, co można było schwytać. Teraz patrzył na niego jak na jakąś potrawę.

Smok walczył z tym, lecz pomimo inteligencji i bezdyskusyjnej otoczki cywilizacji, jego umysł tracił panowanie nad sytuacją, ulegając pierwotnym instyktom swych przerażających przodków.

O wiele bardziej niebezpieczny kryzys przechodził Purpurowo-zielony. Znalazł się na krawędzi. Dziki smok nie miał żadnych moralnych oporów przed jedzeniem ludzkiego mięsa, które zostały wpojone smokom z Argonathu. Jego rozum i instynkty stanowiły jedność, w czym bardziej przypominał dziką bestię. Dzięki temu jednak lepiej panował nad swoimi popędami. Pytanie brzmiało, czy zechce to zrobić. Nie czuł respektu przed ludźmi, jaki okazywali jego pobratymcy. Jeśli pęknie, wyrządzi wielkie szkody, a inne smoki będą musiały go poskromić. Nigdy nie doszło do smoczego buntu. Generałowie Argonathu zawsze traktowali je jako formację, która mogła rozstrzygnąć losy bitwy. Niemniej głód nadwątlął smoczą dyscyplinę. Doszło do paru incydentów.

Szczególnie ciężko przeżywał to Relkin. Więź ze smokiem stanowiła oś jego egzystencji. Nigdy przedtem na ich relacje nie padł najłżejszy cień podejrzliwości. A



teraz zauważał ten głodny, smoczy wzrok, nagły błysk zimnego zainteresowania, od którego przechodziły go ciarki. Niemal ulegał smoczemu paraliżowi.

Jeśli chodziło o dzikiego smoka, to przebywał on głównie w smoczym namiocie. Relkin zostawiał jedzenie na zewnątrz, prawie nie zaglądając do środka. Purpurowo-zielony był zwyczajnie zbyt niebezpieczny, by przebywać w jego pobliżu. Niestety pojawił się pewien problem. Chłopiec zaniedbał swoje obowiązki, a smokowy Hatlin był zdaniem wszystkich zbyt niezręczny, by podjąć najważniejszemu z nich.

Złamanemu pazuruowi. U podstawy pazura powstała infekcja, którą trzeba było usunąć i oczyścić środkiem dezynfekującym. Rana zaczynała się jątrzyć i Relkin wątpił, by mógł sobie z tym poradzić.

Udał się do Bazila. Propozycja nie przypadła skórczanemu Quoshicie do gustu.

–Chcesz, żeby ten oto smok stanął pomiędzy tobą a dzikim smokiem? Prosisz mnie, żebym walczył z moim bratem?

–Walczył? Nie, po prostu chroń mnie przed zabiciem.

–Ba, bezużyteczny chłopaku, czemuż miałoby mnie to obchodzić?

–Nabawił się infekcji, która wkrótce będzie bardzo bolesna, o ile czegoś z nią nie zrobimy.

–Purpurowo-zielony z góry Hak sam podejmie decyzję.

–Wiesz, że nie można zbliżyć się do niego. Do ciebie zresztą też.

–Przeklęty, głupi chłopaku, umieram z głodu. Smok bojowy musi jeść. Coś się dzieje z moją głową. Nie zawsze wiem, co robię. Zupełnie jakbym tracił nad sobą kontrolę.

–No to zjedz jakiegoś cholernego Ourdhitę, ale nie zjadaj chłopca, dobrze?

–Myślisz, że to zabawne? Nie rozumiesz. Smok tego nie kontroluje, lecz to kontroluje smoka. Głoduję i wszędzie widzę pokarm.

–Zbliżają się statki. Będą tu za parę dni.

–Trudno tak długo czekać.

–Wiem, stary przyjacielu, wiem. Lecz Purpurowo-zielonemu spuchnie łapa, a to będzie naprawdę bolesne. Może ją stracić, a nawet umrzeć.

–Ba, ludzie myślą, że wiedzą o smokach wszystko. Purpurowo-zielony jest dzikim smokiem, co o nim wiesz?

Relkin przełknął ślinę.

–Niewiele, lecz jeśli mi pomożesz, oszczędzimy mu bólu i kłopotów. Czy nie warto spróbować?

Trzeba było trochę czasu i perswazji, w końcu jednak skórczany uległ. Oczywiście z początku Purpurowo-zielony nie chciał o niczym słyszeć.

–Powiedz im, żeby trzymali się ode mnie z dala – warknął. – Głodzą mnie i nie mogę przebywać zbyt blisko nich. Są jedzeniem.

Bazil tłumaczył mu cierpliwie, że skaleczony pazur będzie w coraz gorszym stanie i nie zadbane zacznie go boleć. Wbrew sobie Purpurowo-zielony musiał się z tym zgodzić. Wystarczająco długo przebywał w legionach, by dostrzec w tym trochę racji. Rany podobne do jego leczono szybko i względnie bezboleśnie. W przeszłości rany często gniły, zaogniały się i bardzo bolały. Dzikie smoki doświadczyły już

**dobrodziejstw opieki giermka. Dlatego właśnie musiał się wreszcie zgodzić.**

**Po skończeniu kolacji, co w odczuciu wszystkich zainteresowanych nastąpiło stanowczo zbyt szybko, Purpurowo-zielony znieruchomiał przy ognisku. Relkin podszedł do niego ostrożnie i zbadał pęknięty pazur.**

**Otaczała go żółknąca opuchlizna. Nie było chwili do stracenia. Powoli i uważnie wyjaśnił, co zamierza zrobić.**

**Bazil i Vlok zajęli pozycje w pobliżu dzikiego smoka, gotowi interweniować, w razie gdyby stracił nad sobą panowanie i zaatakował chłopca.**

**Relkin delikatnie nacisnął miejsce u podstawy pazura. Purpurowo-zielony zasyczał cicho, lecz trwał w bezruchu. Relkin wyciągnął ze skrzynki ostry szpikulec i szybkim dźgnięciem przebił bolące obrzmienie. Trysnęła ropa. Smok syknął głośnie. Relkin obejrzał się na Bazila i Vloka. Nie wyglądały na zaniepokojone. Chłopiec wziął głęboki wdech, nacisnął mocniej i powoli, ostrożnie wydusił ropę z rany.**

**Dziki smok mrucał donośnie podczas zabiegu i Relkin skończył cały spocony. Przyszła pora na prawdziwą próbę. Podniósł wzrok na Purpurowo-zielonego. Potwór zatracił się w niedostępnym ludziom otępieniu.**

**Giermek nasączył gazik środkiem dezynfekującym i zaczął czyścić ranę i całą podstawę pazura.**

**Dziki smok wzdrygnął się, kiedy poczuł ból, i zaczął głośno syczeć.**

**Bazil i Vlok zerwali się nerwowo na równe nogi.**

**Relkin wylał na ranę trochę płynu. Ogon Purpurowo-zielonego zaczął chłostać ziemię, przewracając z trzaskiem ułożony przy ognisku sąg drewna. Odgłos, dobywający się spomiędzy potężnych szczęk drapieznika, zbliżał się do ogłuszającego gwizdu. Relkin cofnął się powoli.**

**Wszyscy stali i czekali, aż dziki smok opanuje wściekłość.**

**Wciąż stali, kiedy przebiegło koło nich dwóch smoczych giermków, wrzeszcząc coś i znikając między namiotami. Jednocześnie Relkin usłyszał narastający hałas gdzieś w dalszej części ulicy Fatan.**

**Smoki wyprostowały się i wyteżyły wzrok. Purpurowo-zielony potrząsał zranioną łapą, obojętny na potężniejący rwetes. Z kuźni przybiegł Swane z Revenant, taszcząc naramienniki Vloka.**

**–Co się dzieje? – zapytał Relkin.**

**–Zamieszki w mieście. Przy spichrzach. Stary Pax posyła tam kawalerię.**

**Niedaleko rozległ się tętent podkutych kopyt. Relkin obejrzał się na smoki.**

**Węszyły w powietrzu.**

**–Miasto płonie – oświadczył Bazil.**

## ROZDZIA Ł CZTERDZIESTY PIĄTY

Miasto rozbrzmiewało gniewnymi okrzykami. Biedacy wyszli ze swych schronień i pognali ulicami do spichlerzy, które otoczyli rosnącym pierścieniem, głośno domagając się jedzenia. Kiedy nikt się nie pojawił, zaczęli łupić całą dzielnicę i podkładać ogień pod rezydencje bogaczy. Wkrótce w tuzinie miejsc pojawiły się słupy dymu.

Władze Ourdh szybko zaprzestały prób przywrócenia porządku. Zapanował chaos. Generał Paxion bez wahania posłał konnicę, by przebiła się przez tłum i wzmocniła obsadę spichlerzy. Gęstniejący tłum uniemożliwiał utrzymanie stałej łączności ze składami. Odcinki ulicy Fatan wymykały się spod kontroli, utrudniając przejazd drużynom miejskiej straży pożarnej.

To był obłęd, samobójcza furia skorpiona zamkniętego w kręgu płomieni. Nikt dokładnie nie wiedział, co zapoczątkowało rozruchy, wiele jednak wskazywało na beczułkę ciemnego alkoholu, podarowaną gangowi ulicznemu na Kanarkowej. To on powiódł tłum na spichlerze.

Tu i tam tłuszcza łapała pojedynczych legionistów, z różnych przyczyn oddalonych od swych jednostek. Ich głowy powędrowały na czubki pik, a ciała rozerwano na kawałki. Niektórzy zjadali szczątki.

Przywódcy na próżno starali się pohamować gniew mieszkańców miasta. Tłum wymknął się spod kontroli, opętany ksenofobiczną żądzą krwi.

Wrogo nastawieni mieszczanie zebrali się nawet na Zodzie, wzywając fedafera, by się im pokazał i zapewnił, że żyje i nie pozostaje pod kontrolą obcej wiedzy, jak głośiły niektóre plotki.

Cesarz odmówił i choć jedyną osobą, która mogła go do tego zmusić, była Ribela, to jednak nie uznała ona tego za celowe. Z kolei jej widok mógłby tylko dodatkowo rozjuszyć tłuszcę. Dlatego też cesarz kulił się tchórzliwie w pałacu, a czarownica nie opuszczała go, próbując kontrolować. Rozwścieczony tłum podpalił kilka otaczających Zodę budynków. Wrota miasta pozostały jednak zamknięte, a buntownicy nie byli w stanie ich sforsować.

Nieco zdezorientowana mewa przyniosła Paxionowi najświeższe wieści. Ptak kursował pomiędzy pałacem a osobistym namiotem generała z małym zwitkiem u nogi. Zwój był nasycony magią. Choć wyglądał jak zwykły papier, to zapisane na nim wiadomości zniknęły wkrótce po naniesieniu i pojawiały się tylko wówczas, gdy zwój odpieczętował adresat.

Paxion trzymał mury, bramy i spichlerze. Jego kawaleria opanowała odcinki ulicy Fatan i Trakt Wschodniej Bramy. Wielka czarownica czuwała nad cesarzem, sama fizycznie bezpieczna. Paxion zapewnił Ribelę, że w każdej chwili jest w stanie przebić się do Cesarskiego Miasta i odtransportować ją na mury.

Mewa odfrunęła, znikając w tumanach zasnuwających dzielnicę Bogra. Dym zgęstniał do tego stopnia, że przesłonił dalsze zigguraty.

Generał Paxion walczył z ogarniającą go powoli paniką. Wiedział, że muszą wytrzymać tylko parę dni, zanim otrzymają posiłki, lecz presja oblężenia w połączeniu z wybuchem zamieszek zaczęła go przytłaczać. Co gorsza, jego zaufanie

do siebie podkopywał generał Pekel. Legion Kadeinu niewątpliwie miał kłopoty z morale. Odsłużył już swoje i powinien wrócić do rodzinnego miasta. Spędził pięć lat na granicy. Żołnierze byli już spakowani i gotowi do opuszczenia fortu Redor, gdy nagle powiedziano im, że nie jadą do Kadeinu, tylko na południe, do cesarstwa Ourdh, na nie wiadomo jak długi okres czasu. Legion nie przyjął tego zbyt dobrze i choć żołnierze służyli bez zarzutu, to oficerowie demonstrowali niezadowolenie. Paxion coraz częściej wzdychał. Rozruchy wyglądały na zwiastuna zagłady. Jeszcze tylko kilka dni i dostaliby posiłki, umożliwiające nakarmienie ludności. Kto wie, co się teraz wydarzy. Być może miasto spłonie do cna. Martwił się, czy jeszcze kiedyś zobaczy żonę i dzieci, czy będzie miał okazję przespacerować się ulicą Wieżową w Marneri i odwiedzić operę w Kadeinie. Około godziny po pierwszym pożarze do namiotu dowódcy wszedł kapitan Kesepton. Został już tam, pracując na rozpostartym na podłodze wielkim planie miasta i zaznaczając na nim tereny rozruchów i pożarów. Planował ponadto trasy dla kawaleryjskich patroli wokół ogarniętych zamieszkami obszarów. Paxion wziął go na stronę, żeby poinformować, iż Lagdalen jest bezpieczna u boku wielkiej czarownicy. – Prawdopodobnie w całym mieście nie ma bezpieczniejszego miejsca – orzekł generał. Kesepton potwierdził to smętnym kiwnięciem. Paxion przyjrzał się mapie, nad którą ślęczał młody kapitan. Otaczająca spichlerze dzielnica Saubraj płonęła, a północny odcinek ulicy Fatan zapchany był gęstniejącym! tłumem.

Jeszcze więcej pożarów szalało wzdłuż drogi do Gunj, ciągnącej się od Wschodniej Bramy, a zgromadzona tam tłuszcza atakowała niewielkie osiedla cudzoziemców, ciemnoskórych przybyszów z kontynentu Eigo. Zajęci byli wieszaniem nieszczęśników na latarniach, rozładowując w ten sposób zadawnioną nienawiść do obcych.

–Nadal utrzymujemy odpowiednie ciągi komunikacyjne wzdłuż murów do wszystkich bram, a nasze obozy zostawiono w spokoju – zameldował Kesepton.

–W takim razie zamieszki mają lokalny zasięg.

–Tak naprawdę, to koncentrują się one w dwóch miejscach. Przy spichlerzach i na Trakcie Wschodniej Bramy. Niewielkie tłumy zgromadziły się w śródmieściu, a większa grupa ludności okupuje Zodeę.

Paxion uśmiechnął się ponuro.

–Słyszałem, że fedafer nie jest zbyt popularny wśród swego ludu.

–Uczciwie mówiąc, są gotowi go zabić.

–Bez wątplenia.

Nagle Paxion zdał sobie sprawę ze znajomych wibracji, wprawiającego wszystko w dygot miarowego dudnienia.

–Co to jest? – zapytał. Oficerowie wyszli na zewnątrz. Natychmiast wszystko stało się jasne. Zagrzały bębny Sephisa. Wróg atakował mury!

Za umocnień wyleciały skały, roztrzaskując się wśród namiotów i ognisk. Komety zagrały przenikliwie, wzywając legiony do boju.

Paxion pobiegł do namiotu, przypasał miecz i narzucił płaszcz, po czym wyskoczył na zewnątrz. Chwilę później na namiocie wylądowała ciężka skała,

**zrównując go z ziemią. Generał wpatrywał się w swoją kwaterę, przełykając ślinę. Głaz był tej samej wysokości, co on. Gdyby został w namiocie choćby sekundę dłużej, starłby go na miazgę. Poczłł chłód w żołądku.**

**Wokół niego trwał gorączkowy ruch – żołnierze, smoki i giermkowie wbiegali po schodach i drabinach na swoje pozycje na murach.**

**Sztab przenosił się pospiesznie w stronę Bramy Fatan. Rozbiją nowy namiot na tamtejszym dziedzińcu.**

**W błotnistej kałuży wylądował kolejny pocisk. Widząc to, ludzie jeszcze przyspieszyli.**

**Paxion ruszył w stronę wieży bramnej.**

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Wzdłuż linii biegali oficerowie, wykrzykując – Na mury!

Legiony ruszyły się.

–Nadjeżdżają wieże oblężnicze.

W szalonym pośpiechu ubierano smoki w zbroje i kaftany i przystawiano stopnie do murów. Gady nie potrzebowały rozkazów. Pały chęcią do walki, marząc o wyładowaniu na jakichś nieszczęśnikach złego nastroju spowodowanego ograniczonymi racjami żywnościowymi. Ktoś tu się przekona, jak poważnym błędem było podejmowanie próby zagłodzenia smoka!

Relkin musiał skrócić paski przy smoczych kaftanach -jego podopieczni stracili sporo na wadze. Byli smukli, twardzi i gotowi do walki, choć zastanawiał się, czy uszczerbku nie doznała także ich wytrzymałość.

Sytuacja na murach wyglądała dość znajomo. Strzały świszczą nad głową, a unoszące się gwałtownie ramiona katapult posyłały w powietrze tuziny gładów.

Relkin znalazł sobie bezpieczne miejsce. Koło niego przycupnął Swane.

–Jak się czuje Złamany Ogon?

–Głodny i gotowy kogoś za to zabić. A Vlok?

–Tak samo. Przerażają mnie, kiedy robią się takie.

–Taa, mnie też. Cieszę się, że nie muszę z nimi walczyć.

–Ha! Już byłbyś martwy.

Ton głosu Swane'a zmienił się, czegoś w nim brakowało. Większy od niego młodzieniec wyraźnie chciał coś powiedzieć.

–Hm, słuchaj Relkin, muszę to z siebie wyrzucić. Gdybyśmy nie mieli wyjść z tego żywi, to chciałbym, żebyś wiedział, że myliłem się co do ciebie. Uważałem cię za wietrznika, same przechwałki i zero ikry. Myliłem się.

Relkin przyglądał się Swane'owi przez dłuższą chwilę. A więc chłopiec z Revenantu chciał zakopać topór wojenny.

–Cóż, Swane, mam nadzieję, że to prawda. Myślę, że ta walka będzie próbą dla nas wszystkich. – Wyciągnął rękę, którą tamten uścisnął.

Pięć stóp od nich od parapetu odbiła się wielka skała, mijając plecionkę i znikając nad dachami kamienic. Spowiła ich ceglana kurzawa. Swane rozkaszał się i splunął.

–Tak, wiem, o co ci chodzi.

Bombardowanie nasilało się, a jedyne, co mogli zrobić, to mocniej wtulić się w osłonę i modlić, żeby żaden gład ich nie trafił. Około sto metrów od murów ustawiała się linia katapult i balist, które zasypywały miasto jednostajną ulewą pocisków.

Olbrzymi okruch skalny zniszczył część plecionej zapory. Ozwał się smoczy ryk bólu i zdjęty nagłym lękiem Relkin obejrzał się, lecz jego podopieczni byli cali i zdrowi. Poszkodowaną była Kasaset z 66 Szwadronu Smoków. Gład zmiażdżył jej nogę. Stoczyła się z umocnień.

Kolejny pocisk wzbil kłęby kurzu, Skulili się i modlili, żeby nic ich nie trafiło, podczas gdy giermkowie z 66 robili co mogli, by pomóc biednej Kasaset.

Wieża oblężnicza była już blisko murów, więc Hatlin nakazał smokom podjęcie żerdzi. Ulewa strzał zgęstniała, szpikując smocze kaftany i tu i ówdzie docierając do

skóry. Smoki syczały z ledwo hamowanej furii.

Wieża oblężnicza przyspieszyła. Smoki uderzyły w nią tyczkami i zakołysały. Machina zatrzymała się na moment, lecz impy natychmiast podprowadziły świeże drużyny niewolników, poganiając je biczami. Wieża dygotała, wstrząsana dwiema przeciwstawnymi siłami, po chwili jednak przedarła się przez smocze żerdzie z jękiem torturowanego drewna.

Rozwścieczone smoki zakłęły i przegrupowały się. Raz jeszcze przytknęły tyczki do boku wieży, zaparły się masywnymi łapami i pchnęły. Wieża zadrżała i zaczęła się przechylać. Smoki naparły na żerdzie, lecz maszyny oblężnicze obciążono dodatkowo u podstawy, przez co nie było można już tak łatwo ich przewrócić.

Pod murem impy wrzeszczały wściekle i chłostały niewolników. Machina zakolebała się, opadła na cztery koła i ominęła smocze żerdzie.

Dotarła pod mur. Ze zgrzytem łańcuchów opuszczono pomost, który oparł się z hukiem o parapet. Na umocnienia wdarła się grupa błotoludów. Jednocześnie uniosły młoty. Smoki stawiały im czoła i rozpętała się walka na miecze, tarcze i dudniącą stal.

W samym środku walki Relkin z Quosh strzelał z kuszy tak szybko, jak tylko nadszedł ją ładować, próbując nie dopuścić do głosu nieprzyjacielskich łuczników na szczycie wieży.

Smoki wyparły olbrzymy z murów. Jednak na umocnienia dostały się grupki Sepsitów, przez co giermkowie i legionieści mieli pełne ręce roboty z chronieniem smoczycy tyłów.

Bitwa trwała w najlepsze, gdy dotarła do nich przerażająca wieść z murów przy Wschodniej Bramie. Oddział z Kadeinu nie wytrzymał i uciekł. Smoki uległy przewadze liczebnej – trzy poległy, reszta została wyparta z murów. Do miasta wdarła się armia Sepsitów, atakując Wschodnią Bramę od tyłu.

109 walczył – nie mieli wyboru, w obliczu wciąż napływających olbrzymów, depreczających szczątki swych poprzedników. Wielkie miecze uniosły się i opadły. Smoki wskrzeszały resztkę sił, lecz zaczęła dawać o sobie znać uboga dieta ostatnich dni.

Giermkom skończyły się bełty. Rozpoczęły się gorączkowe poszukiwania jakichkolwiek użytecznych pocisków wroga. Niestety ich ogień osłabł, co dało szansę wykazania się ocalałym nieprzyjacielskim łucznikom. Ogień z góry zaczął szybko przynosić efekty. Strzała przeszła gardło Shima z Seantu – zmarł, zanim zdążyli obrócić go na plecy. Potężny mosiężny Likim będzie potrzebował nowego giermka, a Shim nie ujrzy więcej swych ukochanych wzgórz Seantu. Zaraz potem padł Krusp z Aubinas z dwiema strzałami w piersi. Teraz Berholt, najmłodszy skórzany, mógł zacząć werbunek. Smoki także ucierpiały od ulewy strzał. Z osłony szyi Purpurowo-zielonego, na noszenie której tak mocno nalegał Relkin, wystawał tuzin strzał. Zwykła, lecz gruba warstwa skóry chroniła odcinek między krawędzią hełmu a kołnierzem kaftana. Smoki nie lubiły osłon, gdyż krępowały ich ruchy, niemniej chroniły przed strzałami. Wszystkie gady były naszpikowane pociskami, lecz ich miecze wciąż unosiły się i opadały.

Niestety sytuacja była poważna i z każdą chwilą stawała się coraz cięższa.

Wreszcie przyszło najgorsze. Katapulty otworzyły ogień, nie dbając o to, czy trafią w swoich czy nie, byleby tylko unieszkodliwić smoki.

Wielki Kibol z Błękitnych Wzgórz padł trupem na miejscu, gdy głaz roztrzaskał mu czaszkę. Rupp, zielony ze wzgórz Mon-tok, został trafiony w ramię, tracąc w nim władzę. Wreszcie Berholt, młody skórzany smok, który przed chwilą stracił giermka, Kruspa, padł z przetrąconym kręgosłupem, kiedy ogromny kamień runął mu na plecy, gdy pochylony nad błotoludem usiłował wyszarpnąć zeń swój miecz. Pozostałe olbrzymy zatłukły go młotami.

Wojownik w czarnym stroju Sephity wskoczył w lukę niedaleko Relkina. Chłopiec strzelił do niego, lecz bełt utknął w tarczy, więc zaatakował go mieczem, kolaniem i pięścią. Przeciwnik był dla niego za duży – przyjął jego ciosy, po czym odsunął go na odległość wyciągniętego ramienia, robiąc sobie miejsce na zamach. To byłby koniec sieroty z Quosh, gdyby nie Swane, który uderzył go w bok, odwracając uwagę, dzięki czemu Relkin zdołał uchylić się przed ciosem. Chłopiec załadował ostatni bełt, wymierzył i strzelił. Pocisk utknął w twarzy mężczyzny, tuż pod okiem. Jednak przeciwnik nie upadł. Wrzasnął z bólu i wściekłości i zaatakował Relkina z uniesionym mieczem. Chłopiec rzucił się mu pod nogi, próbując go podciąć, lecz źle wymierzył i Sephita zatrzymał go kopniakiem w pierś, wyduszając mu z płuc całe powietrze. Stał nad nim i uniósł miecz. Nagle zniknął, zdmuchnięty uderzeniem olbrzymiego głazu, który spadł tak blisko Relkina, że ten aż podskoczył.

Swane pomógł mu wstać. Obydwu opryskała krew fanatyka. – Było cholernie blisko.

Relkin przytaknął, próbując odzyskać oddech. Ujrzał unoszącego się i opadającego Ecatora. Smoki były niewątpliwie zmęczone. Strumień błotoludów zdawał się nie mieć końca. Wciąż wylewali się pomostem na mury, wymachując młotami. Wyglądało na to, że pod 109 Szwadronem otworzyła się szczelina zagłady.

Niestety takie wrażenie odnosili wszyscy, z generałem Paxionem na czele. Wypadki toczyły się zbyt szybko, było zbyt wiele rozkazów do wydania. Paxion nie potrafił się skoncentrować, ulegał panice.

Na szczęście nie odbijało się to na jego efektywności – wciąż starał się zachować kontrolę nad sytuacją.

Aby zapanować nad wyłomem w obronie przy Wschodniej Bramie, posłał gońców z wiadomością do oddziałów walczących w pobliżu, żeby naciskali na flanki szturmujących. Jednocześnie rozkazał oddziałowi z Kadeinu, stacjonującemu na południe od bramy, by zszedł z murów i oczyścił zaplecze Wschodniej Bramy.

Dotarły do niego wieści o taraniu, podciągniętym pod Wschodnią Bramę. Chwilę później wszyscy usłyszeli miarowe dudnienie, wstrząsające całą strukturą bramy.

Do nieprzyjacielskiego przyczółka na murze podjechała druga wieża, podwajając napływ szturmujących.

Paxion umierał z niepewności. Co działo się na północ od wyłomu? Stracili komunikację z tamtym odcinkiem, a wysiłki zmierzające do zepchnięcia nieprzyjaciela z murów najwyraźniej nie przynosiły efektów. Wysłał kapitana Keseptona, by przywrócił łączność z wojskami na północy.



**A wtedy dowiedział się, że zdesperowany tłum podłożył ogień pod spichlerze. Rozwścieczeni nieustępliwą obroną wrót buntownicy wrzucili przez okna pochodnie, podpalając zalegający wewnątrz kurz zbożowy. Kilka pomieszczeń rozerwała eksplozja, a płomienie trawiły pozostałe ziarno.**

**Wyczerpany, rozczochrany kadeiński oficer przyjechał z informacją, że oczyszczanie tyłów bramy idzie bardzo powoli. Sepsitów było zwyczajnie za dużo, a wspierali ich schodzący z murów olbrzymi. W obliczu błotoludów żołnierze mogli jedynie powstrzymać napór wroga, a i to pod warunkiem, że w walce będą brały udział smoki. A te męczyły się coraz szybciej.**

**Kolejny goniec przywiózł meldunek, że nieprzyjacielska kolumna wdziera się w głąb miasta w okolicy dzielnicy Norit, atakując posterunki położone dalej od murów.**

**Paxion złapał się za głowę. Byli zgubieni. Nie mogli zlikwidować wyłomu ani zatamować wlewającej się tamtędy fali napastników. Otoczą ich na murach i wymordują.**

**–Odwrót – wymamrotał. – Natychmiastowy odwrót do Cesarskiego Miasta. To nasza jedyna nadzieja.**

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Rozkaz opuszczenia muru dotarł do 109 podczas krótkiej drzemki. Smoki zepchnęły błoto ludy na pomost, a dzielny inżynier oddał życie, podpalając go. Olbrzymy nie chciały zbliżyć się do płomieni – pierwsza zaobserwowana przez Relkina oznaka, że nie są jedynie automatami.

Nastąpiła chwila niepewności. Mieli się wycofać? Dokąd? Jak mogli pozwolić wrogowi opanować mury? Lecz kornety grały ponaglająco i wpojona dyscyplina wprawiła ich w ruch. Zeszli smoczymi stopniami, niszcząc je za sobą i trzymając błotoludy na dystans.

Trwał generalny odwrót. Ludzie, wozy, konie i smoki tworzyły mieszający się potok, płynący ulicą Fatan prosto w piekło płonących spichlerzy.

109 utworzył szyk i wymaszerował. Smokowy Hatlin posłał Relkina przodem, by rozeznał sytuację.

Chłopiec przedarł się przez Ósmy Regiment i wpadł na jakieś wozy. Wśród nich odnalazł ten, w którym ukrył Miranswę.

Podbiegł do niego i wskoczył na tył. Leżały tam tuziny rannych żołnierzy. Przeszedł na przód i odkrył, że to Miranswa powozi. Zacisnęła szczęki w skupieniu, ledwo obdarzając go przelotnym spojrzeniem.

Gwizdnęła.

–Ty? Na oddech bogini, powinnam była wiedzieć. Powinnam wiedzieć, że przeżyjesz. – Roześmiała się gorzko.

–Nie wygląda na to, żebyś potrzebowała pomocy.

–Oczywiście, że nie. – Szarpnęła mocno za wodze. – Pamiętaj jednak, że nie robiłam tego od ostatnich letnich wakacji na wsi. Wyszłam trochę z wprawy.

Relkin był zdumiony. Miranswa naprawdę zdawała się wiedzieć, co robi. Był po wrażeniu.

–Co się stało na murach? – zapytała.

–Nie wiem. Słyszeliśmy, że przedarli się koło Wschodniej Bramy. Wepchnęliśmy ich z powrotem na wieżę oblężniczą, a wtedy dowiedzieliśmy się, że mamy się wycofać. To jakieś szaleństwo.

–A więc wycofujemy się do Cesarskiego Miasta, gdzie umrzemy z głodu.

–Nie, mówiłem ci, że nadpływają białe okręty. – Uwierzę, jak zobaczę.

–Nadpływają. Na pokładzie jest cały legion. Będziemy mogli bronić się w nieskończoność. Miranswa wzruszyła ramionami.

–Skoro tak twierdzisz. Mówiłeś też, że będę bezpieczna na wozie.

–Tak, cóż, nie sądziłem, że oddamy mury.

–Miejmy nadzieję, że nie myliłeś się co do tych białych okrętów.

Próbował ją pocałować, lecz odwróciła twarz. Ześlizgnął się z wozu i wrócił do Hatlina.

Dołączył do maszerujących w ciasnej formacji smoków, przygnębionych i surowych. Smoki nienawidziły marszu w zbrojach, które ocierały im skórę. Teraz jednak nie było czasu, by je zdejmować. Musieli przebić się przez płonące miasto do ostatniego schronienia, jakie im pozostało – Cesarskiego Miasta.

Przed smokami jechał oddział taliońskiej kawalerii, który oczyszczaniem drogi odwdzięczał się za utrzymywanie murów do tej pory. Na flankach maszerowali łucznicy z Kenoru, zabezpieczający boczne ulice i unieszkodliwiający snajperów i procarzy.

Niestety nie mogli nic poradzić na pożary, prócz obchodzenia największych z nich i ostrożnego przedzierania się przez jeszcze gorące zgliszcza po innych.

Ariergardę tworzyły oddziały Ósmego Regimentu, które przy wsparciu łuczników powstrzymywały Sepsitów przed zbyt mocnym deptaniem im po piętach.

Marsz był długi. Mijali wiele wstrząsających widoków. Szerokim łukiem obeszlili płonące zabudowania spichlerzy. Gęsty dym wciskał się do gardeł i płuc. Szybko zużyli ostatnie resztki wody.

Maszerowali przed siebie, porządkując szyk i grupując się powoli w rozpoznawalne jednostki, między którymi jechała zwarta kolumna wozów. Jednostajny, miarowy krok umożliwiał pograżenie się we własnych myślach.

Relkin czuł, jak ogarnia go dziwna obojętność. Wyparto ich z murów. Spichrze spłonęły. Czy to możliwe, żeby ponieśli tu klęskę? Przypomniawszy sobie szereg bitew, większych i mniejszych, lecz nigdy jeszcze nie zaznał gorzkiego smaku takiej porażki jak ta. Nie do pomyślenia, a jednak wszystko do tego zmierzało. Miranswa mogła mieć rację. Zagłodziła się do takiego stopnia, że będą zbyt słabi, by powstrzymać nieprzyjaciela szturmującego Cesarzowskie Miasto.

Wzruszył ramionami. Śmierć była nieodłączną towarzyszką legionisty, a on wychodził cało z gorszych opresji. Zmusił się do myślenia o broni. Podeszedł do swoich smoków i zaczął ukradkiem badać ich ekwipunek. Hełm Purpurowo-zielonego miał jeszcze więcej wgnieceń. Miecz ogonowy Bazyla wyszczerbił się. Będzie musiał zanieść je do kowala, jak tylko otworzy polową kuźnię.

Szli ulicą Fatan przez dzielnicę świątyni. Na ogromnym zigguracie Aurosa schroniły się rzesze wiernych, wzywające boga rozumu, by zstąpił do nich i ocalił przed demonem u bram. Ledwo zauważyli przemarsz legionów. Relkin dorzucił własną modlitwę. Nie wiedział zbyt wiele o bóstwie rozumu. Nazywali go

morskim bykiem i miał podobno największego penisa w całym wszechświecie – tyle słyszał – lecz o jego religii nie miał zielonego pojęcia. Nie był pewny, czy w ogóle istnieją jacyś bogowie i boginie, zakładał jednak, że skoro był jeden, to równie dobrze mogą ich być tuziny, wobec czego zwracanie się do nich nie było niczym nagannym. Zmówił modlitwę do starych bogów, zwłaszcza Asgaha, patrona wojny. Jeżeli Asgah przypomni sobie o 109 Szwadronie, to może wyciągnie pomocną dłoń do białych okrętów, przedzierających się w górę rzeki? Nie prosił chyba o zbyt wiele.

Przecieli Zodę, otoczeni oburzonym tłumem, obrzucającym ich obelgami. Czasem nawet poleciała w ich stronę jakaś cegła. Na szczęście wzdłuż maszerującej kolumny uwijali się łucznicy, redukujący do minimum napaści na żołnierzy.

U wrót Cesarzowskiego Miasta doszło do utarczki, kiedy część eunuchów próbowała uniemożliwić legionom wejście na święte ziemie cesarskiej posiadłości. Jednak żołnierze szybko rozprawili się z nimi i strażnikami, po czym zajęli stanowiska na murach.

Poważniejsza walka wybuchła w fortecy Zadul, bastionie broniącym południowej części miasta. Tu eunuchom towarzyszyła cesarska gwardia. Legioniści próbowali negocjować, lecz zbyto ich i musieli wyciąć część gwardii, by oczyścić twierdzę. W końcu paru żołnierzy złamało dyscyplinę i strąciło z najwyższej wieży kilku eunuchów, których wyciągnęli z kryjówek.

W tym czasie biedny generał Paxion walczył o pozostanie przy zdrowych zmysłach. Źle poszło wszystko, co tylko mogło, i teraz znalazł się w pułapce. Presja porażki była miazdząca. Na szczęście otaczający go dowódcy pomagali ze wszystkich sił, nawet generał Pikel. Regimenty Kadeinu zajęły wieże: Północną i Wodną oraz północny odcinek murów. Oddziały Marneri obsadziły południową część miasta i fortecę Zadul, która miała siedem wież i rozbudowany system podziemi i lochów. Kapitan Kesepton pracował ze wszystkich sił na rzecz

harmonijnego współdziałania wszystkich członków sztabu i dzięki daleko posuniętej kooperacji zdołano powoli zaprowadzić pewien porządek i roztrasować dwa legiony, kawalerię Talionu i tabory w Cesarskim Mieście, które już było zapchane armią eunuchów, seksualnych niewolnic i siłami gwardii.

Podczas tego zamieszania inżynierowie oglądali mury, rozpoczynając gorączkowe naprawy w najbardziej nadwątlonych miejscach. Ogólny stan murów nie był najlepszy. Nie remontowano ich od wieków, a cegły z błota, z których je wzniesiono, zaczynały się kruszyć. Jedynie umocnienia fortecy Zadul znajdowały się w doskonałym stanie.

Natychmiast rozpoczęto naprawę murów, montaż katapult i balist oraz zakwaterowywanie smoków, koni i legionistów w dawnych pomieszczeniach eunuchów i niewolnic.

Paxion nie zgodził się na wyrzucenie eunuchów za bramę, czego domagali się jego oficerowie. W zamian zamknięto ich w getcie niewolników – kilkuakrowej enklawie ciągnącej się wzdłuż północnego muru, w pobliżu Północnej Wieży. Roilo się tam od wygłodniałych sług i niewolnic, lecz jakkolwiek ciężkie będzie życie pałacowych eunuchów wśród tych, którymi wcześniej rządili, na pewno spotka ich lepszy los od tego, który czekał mieszkańców metropolii.

Zaczęło się zaraz po opanowaniu miasta przez Sefhitów. Odziani w czerń żołnierze skutecznie przeczesywali całe dzielnice, wyciągając mieszczan z domów i ekspediując ich za mury w licznych, wystraszonych grupach.

U bram napotykali oddziały impów, które przejmowały nad nimi kontrolę, trzaskając z batów i bijąc pałkami. Wiązały ich za szyje, karmiły z koryt papką z ziarna, po czym wysyłały na północ, w daleką podróż do Dzu.

Późnym popołudniem wróg zgromadził na Zodzie balisty, katapulty i wieże oblężnicze. Legioniści przyglądali się temu z murów Cesarskiego Miasta, a ich nadzieje topniały z godziny na godzinę. Zdawało się, że wszystko było stracone. Nieprzyjaciel postanowił pokonać ich, wykorzystując spowodowane głodem osłabienie. Północny wiatr spychał kłęby dymu z płonących dzielnic nad kompleks pałacowy i fortecę Zadul. Żołnierze umilkli, zatopieni w myślach, żegnając się w duchu z bliskimi i światem i szykując się na śmierć.

Aż nagle, przed zapadnięciem zmroku, niczym uskrzydłony cud, ujrzeli w oddali statek o wysokim maszcie. Bryza wydeła jego żagle i rozpoznali w nim biały okręt z Cunfshonu. Rozległy się wiwaty. Wieść o wydarzeniu w kilka sekund obiegła całą twierdzą. Ktoś zaintonował hymn Argonathu, reszta podchwyciła i z murów huknęła gromka pieśń. Praca przy machinach oblężniczych zamarła i przeciwnicy podnieśli zdumiony wzrok.

Na pałacowym wybrzeżu zgromadził się tłum, wypatrując kolejnych okrętów. Niestety okazało się, że statek płynie sam, powoli, lecz nieustępliwie. Zrzucił kotwicę ćwierć mili od miasta.

Od brzegu natychmiast odbiła cesarska barka z kapitanem Keseptonem, wiozącym pismo od generała Paxiona. Wkrótce stateczek powrócił z kapitanem Peekiem na pokładzie, dowódcą *Brązowego Orzecha* z Cunfshonu, odwołanego ze swej zwykłej trasy po Morzu Jasnym i wysłanego do Ourdh z ładowniami pełnymi pszenicy dla legionów. *Brązowy Orzech* nie był największym statkiem białej floty. Ze swoimi ośmiuset tonami wyporności nie był nawet w połowie tak wielki, jak *Owies* czy *Żyto*. Mimo to przywiózł wystarczającą ilość zboża, by zapewnić legionom wyżywienie na wiele tygodni. O ile tak długo wytrzymają.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Oblężenie trwało i choć stolica z jej ludnością przepadła, to same legiony otoczone murami Cesarskiego Miasta znajdowały się teraz w lepszej sytuacji, niż kiedy były rozciągnięte wzdłuż całych umocnień Ourdh. Dodatkowym wzmocnieniem było przybycie *Brązowego Orzecha*, co napełniło wszystkim brzuchy i odnowiło nadzieje. Dla wielu było to niczym rozbłysk jasnego światła w całkowitych ciemnościach. Razem z żywnością otrzymali wieści, że najdalej za dwa dni do portu zawinie flota białych okrętów ze *Świerkiem* i *Żytem* na czele, przywożąc posiłki i zapasy na kilka miesięcy.

Musieli tylko utrzymać się do tego czasu. Wszystko świadczyło o tym, że wróg przypuści szturm na mury przed przybyciem wsparcia. Wieże oblężnicze pięły się w górę przy wtórze grzmotu młotków.

Przy słabym miejscu umocnień w pobliżu Północnej Bramy ustawiono taran, który wkrótce zaczął kruszyć mur. Generał Paxion – człowiek o wychudzonej twarzy i nawiedzonych oczach – wahał się przez pewien czas, obawiając się ryzyka, w końcu jednak pozwolił kapitanowi Keseptonowi poprowadzić wycieczkę na zewnątrz.

W murze niedaleko tarana była ukryta furtka, która otworzyła się po zapadnięciu zmroku. Ochotnicy z trzeciego regimentu Kadeinu, który swego czasu uciekł z murów, wypadli na zewnątrz i natarli na taran i jego obsadę. Uciekła ledwie garstka nieprzyjaciół, a taran został rozbity na kawałki przez smoki.

Przeciwnik natychmiast rozpoczął budowę nowego tarana, otaczając go znacznymi siłami. Niemniej wypad zrobił swoje, zyskując im kilka cennych godzin.

Na Cesarskie Miasto non stop spadała ulewa pocisków. Ogromny kamień przebił dach komnaty, zabijając parę tuzinów eunuchów. Wielki kawał ściany z jakiegoś budynku rozbił się na dziedzińcu przed Wielkim Pałacem, raniąc przechodniów i strażników.

Inżynierowie Argonathu robili wszystko, by zmniejszyć przewagę wroga. Rozebrano stajnie i część domostw eunuchów, a z pozyskanego materiału zbudowano balisty i katapulty, które bardzo pracowicie odsyłały zrzucone na twierdzę głazy. Wkrótce siła ognia Sephitów drastycznie zmalała.

Mimo to co parę minut rozlegał się okrzyk – Uwaga na niebo! – i wszyscy unosili głowy, odprowadzając wzrokiem koziółkujący w powietrzu fragment ceglanej ściany, wydarty z jakiegoś budynku i roztrzaskujący się z hukiem gdzieś w Cesarskim Mieście.

Małe pałace: Błękitna Porcelana, Zielony Jadeit i Żółty Lakier były w opłakanym stanie. Nie wzniesiono ich z myślą o stawianiu czoła takim napaściom. Wielki Pałac, choć solidniejszy, także wyglądał nie najlepiej. Tutaj jednak straty były czysto zewnętrzne. Obtłuczone stiuki odsłaniały brąz cegieł z suszonego błota. Grube mury pałacu wytrzymały ciężki ostrzał.

To samo dotyczyło małych zigguratów Aurosa i Gingo-La w centrum Cesarskiego Miasta. Skryte pod białymi, błyszczącymi stiukami budowle były tak solidne, że doznawały jedynie nieznaczących uszkodzeń.

Legiony roztasowały się w bezpiecznych kwaterach gwardii u podstawy murów i

wież, głównie w fortecy Zadul. Część oddziałów zajęła pałacowe piwnice.

Na rozkaz Paxiona mieszkańcy Cesarskiego Miasta, armia kapłanów i niewolników, utrzymująca w ruchu maszynę cesarstwa, miała przebywać wyłącznie w swoich komnatach, za wyjątkiem eunuchów, których przegnano do enklawy niewolników.

Paxion ustanowił kwaterę główną w fortecy Zadul, obsadzonej przez żołnierzy Marneri. Legioniści utrzymywali także bramę i najsłabszy punkt – wąską wieżę, strzegącą południowy mur miasta nad samą wodą. Wieża była mała i źle zbudowana. Miała słabe fundamenty i odchylała się od muru. Niewiele będzie trzeba, żeby runęła.

Przeciwnik szykował taran poza zasięgiem katapult. Za kilka godzin będzie gotowy do pracy. Najdalej za jeden dzień wieża upadnie i wróg przypości szturm.

Mimo to nastroje w Ósmym Regimentzie i 109 Szwadronie były niemal radosne. Stacjonowali w piwnicach Wielkiego Pałacu. Było tu przestronnie, sucho i ciepło. Od wielu dynastii składowano tu zakurzone meble i ogromne dywany. Smoki odepchnęły sprzęty pod ściany i rozłożyły na posadzce trzy warstwy dywanów, na których spały.

Giermkowie przynieśli im kolejny obfity posiłek złożony z chleba, akh i gulaszu z fasoli i warzyw. Dostały nawet trochę piwa, ciemnego ale z Cunfshonu, którym przepłukały gardła. Smoki przywykły już do piwa z Ourdh, jasnego i lekko słodkawego. Mimo to szybko przestawiły się na nowy trunek, jak zresztą na każdy, byleby tylko był dobrze uwarzony.

Oczywiście oplakiwały swych poległych, lecz smoczy duch był trudny do przytłumienia, więc po toaście za pamięć tych, którzy odeszli, nastroje szybko się poprawiły. Zaśpiewały nawet kilka pieśni. Wszyscy zgodzili się, że nowy 109 przekuł się w doświadczoną jednostkę bojową. Żal im było każdego wroga, który będzie musiał stawić im czoła.

Wkrótce usnęły i piwnicami wstrząsnęło smocze chrapanie. Po przebudzeniu znalazły kolejny duży posiłek, złożony ze słodkich, pszennych ciasteczek z dużą dozą akh i kotłem gorącego kalutu.

Rytmiczne łomotanie tarana trwało. Nocą milkło co jakiś czas, kiedy inżynierowie wypróbowywali nowe sposoby zrywania z niego dachu lub przewracania na bok, wkrótce jednak machina podejmowała swe dzieło na nowo.

Bazil z Quosh ostrzył miecz, otoczony stertami zabytkowych mebli. Niedaleko niego dziki smok przymierzał nowy kaftan i pancerz. Relkin skracał paski po naprawie rozdarcia. Oba smoki obudziły się po sześciu godzinach zdrowego snu w nastroju spokojnej zadumy.

Nie trwało to długo. Vlok, który ostatnimi czasy zaprzyjaźnił się z Bazilem i Purpurowo-zielonym, podszedł do nich ciężkim krokiem.

–Miałem sen – obwieścił.

Smoki rzadko miewały sny. Pozostałe podniosły łby z zainteresowaniem.

–To niezwykle – stwierdził Bazil.

–Pomyślałem sobie, że opowiem wam o nim, gdyż wielce mnie zaniepokoił.

–Czemu wybrałeś nas, by o tym opowiedzieć? – zapytał Bazil.

–Zrozumiesz, jak go poznasz.

–Aha. No to zaczynaj.

–Na początku ujrzałem świat przodków, rządzony tylko przez smoki.

–Przed pojawieniem się ludzi?

–Zgadza się. Świat stał przed smokami otworem i było ich wiele rodzajów, i żyły na wiele różnych sposobów. Aż pewnego dnia słońce zniknęło z niebios, wody pociemniały i nic już nie rosło.

Osełka Bazila znieruchomiała.

–W mroku rozbłysnął ogień, który spalił ląd. A my, wszystkie smoki legionów, staliśmy na brzegu.

–Brzegu oceanu? – zapytał dziki smok.

–Tak. Ziemia płonęła nam pod stopami. Palił się cały świat, aż dym przesłonił niebo.

Vlok przerwał. Wszyscy milczeli.

–Nie byliśmy w stanie walczyć z ogniem i musieliśmy wycofać się do wody. Fale zamknęły się nad naszymi głowami. Odrzuciliśmy broń i zdjęliśmy zbroje i hełmy, i odpłynęliśmy od płonącego lądu. Nie mogliśmy wrócić.

Vlok zamilkł.

–To wszystko? – spytał Purpurowo-zielony.

–Tak. Nie rozumiem tego.

Dziki smok zasyczał i obrzucił Vloka spojrzeniem.

–Smok nie rozumie tego snu?

–Raczej nie.

–Cóż, ja tak. To proste. Wszyscy tu umrzemy, a nasze dusze połączą się z cieniami przodków.

To ostatnie powiedziane zostało w smoczej mowie, lecz Rel-kin wszystko zrozumiał po reakcjach innych.

Gwizdnął. Smocze łby obróciły się ku niemu i przeszyły go wzrokiem.

–Chłopiec nie ma o tym pojęcia – rzucił Bazil.

–Nic nie powiedziałem.

–Dobrze. Tak jest najlepiej.

–Zaczekaj, moim zdaniem sen jest jasny.

–Jest jasny.

–Nie oznacza jednak, że wszyscy tu pomrzemy. Może odnosi się do przeszłości, do czasów sprzed pojawienia się człowieka.

–Jest jasny. Wszyscy tu zginiemy. W swym śnie Vlok ujrzał przyszłość – oświadczył stanowczo Purpurowo-zielony.

Zamilkli, przytłoczeni tą wizją.

Osełka Bazila podjęła wędrówkę wzdłuż klingi Ecatora, nadając błyszczącej stali ostrości, która umożliwi jej przecięcie wszystkiego, co nie było stalą lub skałą.

–Ten oto smok nie odda łatwo swego życia – było wszystkim, co powiedział.

\* \* \*

Niedaleko inna grupa z równą troską rozmyślała o przyszłości. W piwnicy Błękitnej Porcelany zwołano nadzwyczajne po-



siedzenie Komitetu Ratunkowego. Uczestniczyli w nim Porteous Glaves, generał Pekel i kilku kadeińskich oficerów. Nie byli zbyt szczęśliwi.

–To śmiertelna pułapka – oświadczył Glaves.

–Już to mówiłeś – zauważył Pekel.

–Cóż, nikt zdaje się nie zauważać, że istnieje tylko jedno rozwiązanie.

–Chcesz, żebyśmy uciekli jak tchórze i zostawili naszych żołnierzy na pewną śmierć?

–Z oficerami czy bez żołnierze i tak zginą. My musimy przeżyć.

–Godna podziwu myśl – odezwał się kapitan Rokensak.

–Ba, toż to bzdura. Cały świat napiętnuje nas jako tchórze. Nigdy już nie mógłbym pokazać się publicznie z podniesionym czołem. – Generał Pekel nie mógł się z tym pogodzić.

–Cóż, za późno już na podjęcie negocjacji z wrogiem. Zamierzają niedługo zburzyć mury.

–Przed zmierzchem będziemy walczyć w wyłomach.

–Będą szturmować, dopóki nie padniemy. Jest ich tak dużo.

–Jeszcze więcej błotoludów.

–Tysiące. Zmiażdżą smoki i wszyscy tu umrzemy.

–Śmierć w tej śmierdzącej dziurze daleko od domu. Wolałbym umrzeć w Kadeinie.

–Ma rację...

–To takie proste. *Brązowy Orzech* może zabrać około tysiąca pasażerów.

Powinniśmy przenieść na jego pokład rannych i najstarszych oficerów. Najpierw jednak trzeba przekonać Pasiona, by przeniósł tam swoją kwaterę.

Popatrzyli na Porteousa Glavesa.

–Ha, ha, to będzie piękny dzień – rzucił ktoś.

–Wątpię, żebyśmy dożyli takiego widoku – stwierdził kapitan Rokensak.

–Stary Pax prędzej rzuci się na własny miecz, niż zrobi coś takiego.

Pekel wstał.

–Wybaczcie mi, panowie, mam jednak niecierpiącą zwłoki sprawę do załatwienia.

– Co rzekłszy, wyszedł.

Glaves poniósł klęskę. Jego zdradzieckie knowania po raz kolejny spaliły na panewce. Ogryzał kciuk, patrząc bezradnie, jak pozostali wychodzą. Rozpaczliwie potrzebował alkoholu, lecz nawet Dandrax nie był w stanie znaleźć mu nowych butelek.

Wymknęli się wszyscy, prócz kapitana Rokensaka.

–Słuchaj, komendancie, będę z tobą szczery. Bardziej interesuje mnie całość mojej skóry niż wojskowa reputacja. Jestem z tobą.

Glaves obrócił się ku niemu z desperacją tonącego.

–W takim razie musimy znaleźć sposób na zwerbowanie wystarczającej ilości ludzi, by móc opanować statek.

Rokensak wciągnął gwałtownie powietrze.

–Na cycki Wielkiej Matki, czy to aby nie piractwo?

–Jakie ma znaczenie, jak to nazwą, jeżeli dzięki temu przeżyjemy? Umrą wszyscy,

którzy tu zostaną. Powiemy, że jesteśmy jedynymi ocalałymi.

–Będziemy musieli wymordować załogę *Brązowego Orzecha*.

–Tak. Przykra sprawa. Trzeba będzie coś wymyślić, lecz jeśli tego nie zrobimy, to nie mamy co myśleć o czymkolwiek.

Rokensak zastanawiał się przez chwilę.

–Co z twoim kontaktem, Euxusem z Fozadu?

–Straciłem go. Kiedy widziałem go po raz ostatni, twierdził, że wszystkich nas wymordują. Zmieszają naszą krew z błotem, z którego stworzą następne olbrzymy.

–Zabiją wszystkich?

–Nikt nie przeżyje.

Rokensak wypuścił głośno powietrze.

–Czyli nie mamy wyjścia. Spróbujemy twego planu. Znajdę ludzi, a ty zapewnisz nam wejście na statek.

Uścisnęli sobie ręce i rozstali się.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Kiedy uporał się już z naprawą kaftana Purpurowo-zielonego i wymianą skórzanych pasków przy napierśniku, Relkin zorientował się, że na razie nie ma nic więcej pilnego do zrobienia. Oba smoki spały i on też powinien udać się na spoczynek, lecz rytmiczne łomotanie tarana wprawiało go w zbyt wielkie napięcie, żeby się zdrzemnąć.

Odmeldował się u Hatlina i przespacerował nad rzekę, gdzie przysiadł na niskim murku koło przystani. Widział stąd *Brązowego Orzecha*, kołyszącego się na kotwicy około pół mili od brzegu. Rzeka pachniała solą i życiem. Pomogła mu oczyścić nozdrza ze swądu dymu i spalenizny. Pożary w wielkim mieście wypaliły się, lecz smród pozostał.

Ziemia dygotała co pół minuty, wstrząsana uderzeniami tarana rozbijającego południową wieżę. Relkin westchnął. Za parę godzin będą walczyć w wyłomie, odpierając szturm. Nie wiadomo jak długo wytrzymają, choć chłopiec uważał, że jego smoki będą walczyć do ostatniego tchu.

Jeśli chodziło o niego, to cóż – miał tylko garść strzał i miecz. Być może niewiele, czuł się jednak silniejszy niż parę dni temu. Kilka solidnych posiłków na nowo roznieciło w nim ogień. Będzie walczył do ostatka. Nigdy się nie podda.

A potem? Potem przekona się, czy istnieje bogini lub bóg, czy bogów nie ma wcale, czy może wręcz przeciwnie -jest ich mnóstwo. Jakkolwiek by było, uważał, że powinien mieć spore szanse na dostanie się do nieba, o ile takowe istniało. Miał na sumieniu kilka sprawek, które lepiej byłoby przemilczeć, był jednak żołnierzem, czego więc można było od niego oczekiwać? Poza tym opiekował się dwiema olbrzymimi bestiami bojowymi i czasami musiał robić rzeczy dyskusyjne, żeby wywiązać się z obowiązków. Wielka Matka z pewnością jest w stanie to zrozumieć. I tak był lepszy od pewnych kwatermistrzów i smokowych, których znał.

Nagle uświadomił sobie z lodowatym wstrząsem, że będzie mu brakować świata. Nie chciał umierać. Szkoda byłoby tracić przyszłość, którą sobie wymarzył i tylekroć omówił z Bazilem. Z jakichś względów wydawało się to okropnie nie w porządku.

Przepatrzył zamglony horyzont. Czy flota przybędzie na czas? Czy wróg będzie bez wytchnienia szturmować wyłom? Jak daleko były wielkie statki? Jak długo wytrzymają legiony?

Wzruszył ramionami i splunął, pozbywając się z ust gorzkiego posmaku. Za dużo pytań, na które nie miał odpowiedzi.

Ujrzał jakiś ruch. *Brązowy Orzech* spuścił na wodę szalupę. Łódź odbiła od burty i zbliżała się gładko do nabrzeża. Sześciu ludzi pracowało przy wiosłach, szparko pokonując rzekę. Po paru minutach zobaczył dwie postacie, zbliżające się nabrzeżem w jego stronę.

W jednej z nich natychmiast rozpoznał Lagdalen z Tarcho. Druga była wysoka i kanciasta, odziana w czarny płaszcz, noszony z istic królewską dumą. Uznał, że to Ribela, Królowa Myszy.

Grunt zadrżał od kolejnego uderzenia tarana.

Kobiety nachyliły się ku sobie. Dojrzał podłużną, wąską twarz Ribeli i błysk tych przerażających oczu. Relkin zrozumiał natychmiast, że nie jest to wielka czarownica, jaką znalazł w misji w Tummuz Orgmeen. Lessis z Valmes zachowywała się zupełnie inaczej.

Zastanawiał się, czy może zawołać Lagdalen, nie robiąc jej kłopotów. Jednak dziewczyna zauważyła go i krzyknęła radośnie, po czym podbiegła do niego, uściskała i zwróciła się do czarownicy.

–Lady, oto mój przyjaciel, smokowy, o którym ci opowiadałam. Czy mogę go przedstawić?

Czarownica obrzuciła go badawczym wzrokiem. Relkinowi natychmiast zrobiło się nieswojo, jak gdyby na światło dzienne wypłynęły wszystkie jego grzeszki.

–Możesz.

–Wobec tego przedstawiam ci, pani, Relkina z Quosh, smokowego ze 109 Szwadronu Marneri, służącego w Drugim Legionie.

–Ach, tak. – W czarnych oczach zalśniło zainteresowanie. – Jesteś giermkim słynnego smoka o złamanym ogonie.

–Mam ten zaszczyt, lady. To najwspanialszy z żyjących smoków.

–Oczywiście, jestem tego pewna. Opiekujesz się także najniezwyklejszym smokiem w legionach – dzikim, skrzydlatym smokiem, który sam wstąpił na służbę. Czyż nie?

–Tak, lady.

–Niezwykle. Musisz być śmiertelnie zmęczony. Jak rozumiem, praca giermka praktycznie nigdy się nie kończy.

–Zmęczony, o tak, pani. Lecz przy Purpurowo-zielonym pomaga mi smokowy Hatlin.

–I wie, że tutaj przesiadujesz?

–Tak, lady, oba smoki śpią.

–Rzadki to moment. Cóż, powiedz mi coś, chłopcze. Czy dziki smok odzyskał władzę w skrzydłach?

–Nie, lady.

–Moja szacowna koleżanka Lessis próbowała mu pomóc.

–Zgadza się, lady.

–Lecz rany były zbyt głębokie i zabiłszy się, przez co nasza magia nie mogła nic więcej wskórać.

Relkin tylko na nią patrzył. Czarownica zdawała się wszystko wiedzieć. Było to trochę przerażające.

–Pamiętam, że dyskutowaliśmy o tym - ciągnęła wiedźma. – Lessis i ja. Niestety niewiele wiem o smokach i ich towarzyszach broni. Lessis jest znacznie bardziej biegła w tych zagadnieniach.

Relkin milczał, oniemiały na myśl, że takie potęgi rozmawiały o jego smoku.

–Ty zaś, mój młody przyjacielu, całkiem dobrze się sprawiasz jak na kogoś o opinii łobuziaka. Udowodniłeś swoją wartość, ratując dla nas młodą Lagdalen. Niemal straciłam już nadzieję.

Chłopiec zapomniał języka w ustach. Kobieta uśmiechnęła się.

–Lagdalen może posiedzieć tu z tobą przez kilka minut. Wiem, że jesteście dobrymi przyjaciółmi i macie sobie wiele do powiedzenia. Cieszę się, że cię poznałam. Mam nadzieję, że my także zostaniemy przyjaciółmi.

Ziemia zakołysała się.

–Taran – odezwała się Lagdalen.

–Tak – czarownica podniosła wzrok i zacisnęła wargi. – To już niedługo, prawda?

Relkin spojrzał jej w oczy.

–Tak, moja lady, już niedługo.

Ribela zostawiła ich i Lagdalen usiadła na murku koło Relkina. Położyła mu na chwilę głowę na ramieniu.

–Tak się cieszę, że cię widzę. Mam ci tyle do powiedzenia.

–Wielka Matka musiała tego chcieć. Spojrzała na niego.

–I to mówisz ty, który zawsze wzywasz starych bogów?

–Nie wzywam jej imienia nadaremno, przynajmniej nie przy tobie.

–To dobrze. – Lagdalen złamała wszelkie możliwe zasady i została wyrzucona z nowicjatu, lecz mimo to jej wiara w Wielką Matkę była bardzo silna.

–Może posiłki przybędą na czas. Dodatkowy legion będzie dużą pomocą.

–Kapitan Peek zapewniał Ribelę, że flota przybędzie tutaj jutro.

–Mam taką nadzieję. Ponoć wieża dłużej nie wytrzyma. Wieczorem będziemy walczyć na jej gruzach.

–Tak prędko?

–Tak. Odbudowali taran. Teraz dach okrywa go do samej ziemi. Nie możemy już go przewrócić.

Obrócili głowy, słysząc krzyk z dalszej części murów.

–Uwaga na niebo – podawano sobie z ust do ust do samej przystani.

Relkin podniósł głowę i pokazał ręką. W powietrzu koziółkował wielki kawał muru, który po chwili wylądował z ogłuszającym trzaskiem na południowej ścianie zigguratu Aurosa, cesarza wszechświata. W powietrze wzbił się wielki kłęb tynku i ceglanego proszku, a otoczenie świątyni zasypały kawałki gruzu.

Zagrały kornety i z baraków gwardii u podnóża murów wysypali się żołnierze. Rzucili się do katapult i obrócili je na południe. Mężczyźni z flagami sygnałowymi porozumieli się z czujkami na murach.

Po kilku minutach legionowe katapulty wycelowały i pospiesznie wyprostowały ramiona, obrzucając głazami potężną machinę przeciwnika.

–Trudno mówić o czymś przyjemnym, kiedy dokoła dzieją się takie rzeczy.

–Nigdy nie jest trudno rozmawiać z Lagdalen z Tarcho.

–A jednak to nużące. Modlę się, by okręty przyplłynęły na czas.

–Jak my wszyscy. Oczywiście nie oznacza to końca naszych kłopotów. Nadal będziemy walczyć na tych lichych murach. Umocnienia nie wytrzymają zbyt długo, a wówczas wróg wykorzysta swą przewagę liczebną. Lepiej byłoby nam walczyć w otwartym polu, gdzie smoki miałyby więcej miejsca na manewry.

–Jeżeli będziemy musieli, zaokrętujemy się na statki. Widziałeś kiedyś *Świerka*?

–Nie, ale w zatoce Marneri widziałem *Pszenicę i Jęczmienia*. Są prawie równie duże.

–W takim razie jesteście uratowani – okręty przyłyną jutro. Relkin uśmiechnął się i uściskał ją.

–Dziękuję ci, Lagdalen z Tarcho, za wiadomość, która wzmocni nasze serca.

Pogadali jeszcze chwilę o innych miejscach i czasach, odległych od Cesarskiego Miasta Ourdh, w końcu jednak Lagdalen podniosła się.

–Musisz karmić dwa wielkie smoki, Relkinie, a ja dwa tuziny małych myszy.

–Myszy?

–Pamiętasz szczury w Tummuz Orgmeen i ich moc?

–Jakże mógłbym zapomnieć?

–To coś podobnego. – Uśmiechnęła się, widząc jego brak zrozumienia. – Do widzenia, przyjacielu, niechaj Matka cię strzeże i dodaje siły twemu ramieniu, jak również mojemu przyjacielowi, smokowi Złamanemu Ogonowi.

Relkin pomachał jej na pożegnanie i westchnął. Smutna prawda była taka, że był dla niej za młody.

Obrzucił ostatnim spojrzeniem *Brązowego Orzecha*. Przypomniawszy sobie sen Vloka i zdrzął, czując lekkie ukłucie niepokoju.

–Ziemia płonęła nam pod stopami...

Raptem wyczuł czyjąś obecność. Obrócił głowę i zdumiał się. Ujrzał Miranswę w bawełnianej sukience i sandałach.

–Witaj, Relkinie – powiedziała.

–Gdzie byłaś? – zapytał. – Wszędzie cię szukałem. Miranswa uśmiechnęła się enigmatycznie.

–Widziałam cię, jak rozmawiasz z dziewczyną.

–Tak, no cóż, to była Lagdalen z Tarcho, moja najlepsza przyjaciółka na świecie.

–Mogła dostąpić zaszczytu złożenia z siebie ofiary. Jej krew spłynęłaby po stopniach zigguratu.

Relkin zacisnął wargi.

–Nikt jej nie zabije, kiedy będę w pobliżu. Jesteśmy jak brat i siostra.

Usiadła koło niego i przysunęła się.

–Wpatrujesz się w statek. Na jego pokładzie bylibyśmy bezpieczni.

–Nie ja – mówisz o dezercji. Powiesiliby mnie, i słusznie.

–A co zrobicie, kiedy wędrują na mury?

–To proste – będziemy walczyć do upadłego.

–Myślenie o śmierci jest takie przerażające. Nie chcę umierać.

–Ani ja, Miranswo.

Nagle przytuliła się do niego. Objął ją, a ich usta zetknęły się.

–Byłeś kiedyś w łóżku z kobietą, Relkinie?

–Prawdę rzekłszy, nie, choć bynajmniej nie dlatego, że nie chciałbym spróbować.

Uśmiechnęła się.

–Tak sądziłam.

–Gdzie spałaś?

–Nie mogłam zostać na wozie. Przeszukiwali je, a nie chciałam wylądować w getcie niewolników. Ukryłam się. Chodź ze mną, to bezpieczne miejsce, możemy pójść tam teraz.

–Moje smoki... – zaczął niepewnie.

–Godzinę mogą poczekać. Wiem, że śpią – sprawdziłam to za ciebie. Chodź, oferuję ci coś, czego nigdy nie zaznałeś i być może nigdy już nie zaznasz: – Wzięła go za rękę.

Poszedł z nią przez sad owocowy cesarskich ogrodów do małej świątynki Gingo-La w północno-wschodniej części Cesarskiego Miasta.

Pociągnęła za niewielkie drzwiczki pod schodami. Krył się za nimi niewielki pokój. Relkin wskazał na inskrypcję na ścianie w uld.

–Co to znaczy? Zerknęła.

–Oto dom bogini miłości. – Tutaj?

–To jej świątynia.

–Nie mam najlepszych wspomnień z wizyt w przybytkach twojej bogini.

–To dom świątyni miłości. To, co tutaj robimy, jest święte, Relkinie. Chodź, połóż się ze mną i poznaj sztukę miłości.

Relkin zaprzestał dalszej dyskusji.

\* \* \*

W Wielkim Pałacu Lagdalen i Ribela przygotowywały się do rzucenia kolejnego potężnego zaklęcia. Czarownica owinęła nadgarstki pasmami czarnej tkaniny i naszykowała do spalenia gałązki lissimu.

Następnie obróciła się ku Lagdalen.

–Z przyjemnością poznałam nareszcie twego wybawcę. Wiele słyszałam o młodym Relkinie z Quosh. Wygląda na człowieka honoru, a nie na łapserdaka, jak go sobie wyobrażałam.

Lagdalen spuściła wzrok na miskę, do której kruszyła chleb.

–Bardzo wydorósł od zeszłego roku. Jest teraz prawdziwym żołnierzem.

–Tak, widziałam to w jego twarzy. Przyjrzał się już trudniejszej stronie życia.

Wiem, oczywiście, czego razem dokonaliście. Wasza odwaga w tamtym przerażającym miejscu zapewniła wam już poczesne miejsca w poczcie bohaterów.

Lagdalen poczerwieniała. Lady Ribela nigdy wcześniej nie rozmawiała z nią o wydarzeniach w Tummuz Orgmeen.

–To zasługa Szarej Lady. Moja rola była naprawdę niewielka.

–To było bardzo długie i niełatwe zaklęcie. Moim zdaniem tamtego dnia prowadziła cię sama Matka, a robi to tylko dla tych, którzy zasługują na jej względy. Twe serce jest odważne i prawe, Lagdalen z Tarcho. To jedna z przyczyn, dla których

nalegałam, żebyś towarzyszyła mi, zostawiając małe dziecko. Moja droga, masz moc, dzięki której zostaniesz wielką czarownicą, o ile tylko wykażesz się cierpliwością i chęcią.

Lagdalen osłupiała. Nigdy nie myślała o sobie jako o potencjalnej czarownicy. Wyrzucono ją z nowicjatu. Jej kariera naukowa skończyła się kompletnym fiaskiem. I

oto Królowa Myszy mówi jej, że może zostać nie jakąś tam większą czarownicą, lecz samą wielką czarownicą.

–Już czas – stwierdziła Ribela. – Zaryglujesz drzwi, kochanie, i nie będziesz opuszczać pokoju, chyba że okaże się to naprawdę konieczne. Nie powinnam być w transie dłużej niż godzinę czy dwie. Często karm myszy, przyjdą do ciebie jak zwykle. Będą bardzo głodne.

Królowa Myszy otworzyła klatkę, którą trzymały w tej komnacie. Wysypały się z niej tuziny zwierzątek, które natychmiast rzuciły się na nasączony oliwą i posolony chleb. Ribela zamruczała coś cicho, sięgnęła w dół i pogłaskała myszy.

Jej głos wzniósł się w wyższe rejestry. Rozpoczęło się rzucanie czaru.



## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

W zamkniętej komnacie Lagdalen czuwała nad tkającą zakłęcie czarownicą. Powietrze zdawało się wirować i iskrzyć. W pewnym momencie usłyszała odległą muzykę. Po chwili był to delikatny zapach oceanu. Zwykle złudzenia zmysłów, wywołane magiczną mocą.

Jej rola w całym procesie była bardzo prosta. Po paru odmianach wprawiła się w stan czuwania. Kruszyła chleb do miski i karmiła myszy.

Ribela wyrzuciła z siebie gwałtowny strumień naładowanych mocą sylab, a myszy zawirowały wokół jej stóp, tworząc zamglony krąg. Z warg czarownicy spłynęły ukształtowane przez odmiany słowa mocy, które pograżyły ją w stan głębokiego transu.

Jej świadomość ponownie opuściła ciało, swobodnie się unosząc. Jednak do tej misji nie korzystała z czystej projekcji astralnej. Będzie musiała działać, a nie tylko obserwować. To w olbrzymim stopniu zredukowało jej „węzeł” w morzu mrocznego chaosu, dając jednocześnie odrobinę fizycznej obecności. Oczywiście oznaczało to, że będzie wrażliwa na ataki tamtejszych drapieżników.

Ostatnie słowa wybuchły gejzerem energii. Poczuła, że zapada się w sobie, a jej umysł przenika do chaotycznego podświata.

Wielowiekowa praktyka wyrobiła w niej umiejętność odczytywania wzorów wirujących, bezkształtnych fal szarości. Słyszała odgłosy podświata, przenikliwe dźwięki, przypominające melodie wygrywane na piszczałce w rejestrach niesłyszalnych dla ludzkiego ucha. Trudno jednak było wyłowić je z szumu i zgrzytania elektrycznych wyładowań, srożących się w królestwie chaosu.

Skoncentrowała się na nasłuchiowaniu i zbadała otoczenie. Nie wykryła charakterystycznych pisków pomiota. Poszukała innych, mniejszych drapieżców. Walka z którymś z nich narobiłaby tyle hałasu, że natychmiast zwabiłaby pomiota.

Odkryła w pobliżu kilka niebezpiecznych stworzeń, żadne jednak nie znajdowało się na jej drodze.

Odległość nie była duża, toteż mogła obyć się bez Czarnej Zwierciadła, które także mogło przyciągnąć większe drapieżniki. Szybowała przez eter. Może nie tak szybko, jak projekcja astralna, lecz szybciej, niżli fizyczna podróż przez Czarne Zwierciadło.

Pomknęła ku interesującemu ją miejscu. Zbliżając się, uważnie obserwowała otoczenie, niepewna, czego powinna się spodziewać. W magii zła, tkanej tutaj przez Mrocznych Władców, pojawiło się coś nowego, z czym nie zetknęła się nigdy wcześniej.

Ujrzała przed sobą tajemniczą fontannę mrocznej energii, powtarzający się w regularnych odstępach czasu rozbłysk czerni na tle eterycznych przestworzy.

Ruszyła ku źródłu energii. Kolejny rozbłysk. Wybuchy mocy były silne, lecz w oczekiwanych przez nią granicach. Magia Władców wyższego poziomu.

Przeniknęła z podświata do Ryetelth, przybierając postać sześciocalowego, błękitnego płomyka. Jej węzeł dryfował nad isticie piekielną sceną.

Z ogniska, rozpalonego w końcu magazynów, buchał gęsty dym. Szeregi impów z

mieczami i batogami stłaczały masy ludzi, wpychając je na szerokie schody.

Po drugiej stronie hali, na podwyższeniu, ustawiono rząd szubienic. Pod nimi półnadzy mężczyźni mieszały rozległe bajory błota.

Na podwyższeniu podcinano ludziom gardła, a ciała wieszano na szubienicach głowami w dół, wykrwawiając je nad bezcennym blokiem.

Jak z oddali usłyszała zgiełk czyniony przez przyszłe ofiary. W postaci płomyka miała bardzo niedoskonały słuch. Błoto nalewano do form. Widok wypełniającej je krwawej zupy mroził krew w żyłach.

Poczuła obecność potężnej mocy. Do pomieszczenia wkroczyła mroczna, przygarbiona postać. To było źródło czarnego ognia, istota, którą wykryła w pobliżu demona w Dzu podczas jej poprzedniego rekonesansu.

Postać zaintrygowała ją. Władca? Tutaj, w Ourdh, zaangażowany w tak mało istotny konflikt? Dlaczego nie posłali czarodzieja czy choćby Zagłady? Niemniej natychmiast wyczuła, że moc garbusa dalece przewyższa możliwości każdej Zagłady.

Postać wykonała tajemny gest i jedną z matryc wypełniła mroczna energia. Ribela wyczuła, jak w błocie zatliła się isierka życia. Zaklęcie było prymitywne, oparte na energii śmierci, a jednocześnie bardzo podatne na jej dywersję.

Kolejny rozbłysk i jeszcze jeden, i jeszcze, zupełnie jakby w hali uderzały czerwone pioruny. Trwało to, dopóki nie zaszczepiono życia we wszystkich przygotowanych formach. Ribelę zdumiała wykorzystywana tu potęga. Mroczne arkana Władców faktycznie wyniosły ich na poziom dalece przewyższający wszystko, co znano na Ryetelth. Znaleźli się już tam, gdzie pojedynkowały się gammadiony i sokole laufry.

Drużyny spoconych niewolników odciągały formy na bok, podstawiając do napełnienia puste. Świeżo zapłodnione matryce ustawiano wzdłuż ściany, obok stosu innych. Mroczna istota obróciła się i opuściła to miejsce śmierci. Ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nią z hukiem.

Na podwyższeniu natychmiast podjęto zabijanie. Niewolnicy zaczęli mieszać błoto. Ze sklepienia opadł błękitny płomyk, uwijając się przy matrycach i zasiewając w każdej z nich ziarno zepsucia, małe zaklęcie odwracające ożywienie błota. Płomyczek miał do odwiedzenia tysiące form – wróg pracowicie szykował nową armię błotoludów. Wkrótce stwory stwardnieją i będą gotowe do wielkiego szturmu na wylom.

Błotoludy stwardnieją, nawet przebudzą się. Lecz w momencie obudzenia się w nich świadomości swoje dzieło rozpocznie czar zepsucia. Po pewnym czasie olbrzymy zmiękną i rozplyną się.

Wreszcie skończyła, wzbila się w powietrze i omiotła komnatę spojrzeniem. Zrobione. Przeniknęła do podświata chaosu. Dryfowała przez chwilę swobodnie, zbierając myśli. To był błąd, gdyż w pobliżu czatował olbrzymi pomiot. Macki wystrzeliły naprzód. W mgnieniu oka została pochwycona i pociągnięta ku spodowi bestii, gdzie receptory już rozgrzewały się w oczekiwaniu na ucztę.

Nie było innej drogi ucieczki, prócz natychmiastowego przeniesienia się z powrotem na Ryetelth. Ribeli trudno było się skoncentrować, lecz zmusiła się do

wysiłku i po chwili udało się jej wyslizgnąć z uścisków pomiotła i pojawić jako niebieskawy płomyk w okolicy przerażającego magazynu, w którym tworzone błotoludy.

Pod nią tłoczyli się ludzie, wpychani przez impy do budynku.

Miała poważny kłopot. Mogła powrócić do Cesarskiego Miasta pod postacią płomienia i dokończyć przemianę. Taka podróż byłaby męcząca, lecz możliwa. Mogła też poczekać tutaj i po jakimś czasie ponowić próbę zanurzenia się w otchłań chaosu. Problem polegał na tym, że jako płomyk nie mogła przenikać przez ściany ani drzwi. Będzie musiała poczekać na zewnątrz, aż ktoś otworzy wrota. Z drugiej strony, pomioty bywały niesamowicie uparte. Drapieżca, który przepędził ją z podświata, mógł tkwić w tamtym miejscu godzinami, w nadziei, że znowu się pojawi.

Westchnęła w duchu i podjęła decyzję. Obróciła się i poszybowała ku odległej rzece i Cesarskiemu Miastu. Zapadły ciemności. Nieprzyjacielski taran pracował. obrońcy czekali na wyrok.

\* \* \*

Południowo-zachodnia wieża runęła około północy. Wszystko stało się bardzo szybko. W dolnej części zewnętrznej ściany pojawiło się pęknięcie, które poszerzało się gwałtownie, w miarę jak taran rozbijał zewnętrzne warstwy cegieł. Nagle wieża poddała się. Jej front rozpadł się i zawałił, zasypując taran.

Reszta wieży stała jeszcze przez chwilę, po czym zapadła się powoli i z gracją, wpadając do wody.

Rozległy się chrapliwe wiwaty wroga i bębnienie straszliwych werbli Sephisa.

Do dzieła natychmiast zabrały się katapulty i balisty, ciskając pociskami ponad pozostałym z wieży rumowiskiem.

Żołnierze wydobywali z ruin nielicznych ocalałych. Gruzy zasypały tuziny obrońców, w tym kilku inżynierów. Reszta rzuciła się do stawiania barykady na szczycie sterty cegieł, służącej teraz za ekwiwalent muru. Rozpoczął się pojedynek łuczników, lecz nocą przewagę mieli Sephici, gdyż legioniści bardzo odcinali się od skąpanych w księżycowym blasku jasnobrązowych ruin, a zalegające za murami ciemności utrudniały dostrzeżenie wroga.

Przy wtórze dudnienia bębnow przed wyłomem uformowała się falanga błotoludów. Wokół nich skupiał się coraz większy tłum Sephitów, wspartych odrażającymi impami – istotami wyhodowanymi w lochach Axoxo pod Górą Białych Kości. Wyszkolono je do walki ze smokami – miały przecinać ścięgna, atakować krocza, przebijać stopy.

Do obrony wyłomu wyznaczono 109, 66 i 25 szwadron smoków. Gady czekały na tyłach, aż zasypywani strzałami ludzie

skończą wznoszenie barykady, po czym na dźwięk kornetów ruszyły naprzód. Za każdym smokiem giermek, a z tyłu piechota i włócznicy z Ósmego Regimentu. Giermkowie zbierali po drodze pociski, napełniając i tak opasłe kołczany.

Wspinali się po stromym usypisku. Inżynierowie zdążyli zmontować smocze stopnie. Niestety wystrzelony z katapulty głaz roztrzaskał jedne z nich i 109 musiał wchodzić na umocnienia do spółki z 66. Zrobił się tłok, który spowolnił ich pojawienie

się na szczycie.

Z nieba wciąż spadały głązy, lecz katapulty obrońców coraz lepiej wstrzeliwały się w maszyny wroga, uciszając jedną po drugiej lub zmuszając do przeciągnięcia ich na nowe, bezpieczniejsze pozycje.

Niestety koniec kamiennego gradu oznaczał rozpoczęcie prawdziwej próby. Po gruzach wspinał się silny oddział błotoludów. Za ich plecami grzmiały bębny.

Smoki wciągnęły powietrze i dobyły wielkich mieczy. Olbrzymy zgodnym ruchem uniosły młoty, wymachując nimi w szalonym, mechanicznym rytmie. Starli się z hukiem stali, tarczą w tarczę. Miecze unosiły się i opadały, młoty krzeszały skry ze smoczycich hełmów i tarcz.

Stojący wysoko na niebie księżyc oświetlał bezlitosnym światłem zrujnowaną wieżę i walczące na jej grzbiecie olbrzymy. Bój był ciężki i zdawało się, że nie będzie miał końca. Błotoludy napływały ciągłym strumieniem i wkrótce nawet w najdzielniejsze serce zakradł się cień znużenia.

Giermkowie mieli pełne ręce roboty. Nowy gatunek impów sprawiał im wiele kłopotów. Ponieśli pewne straty, w tym nawet jednego smoka, skórzanego Kreuzuna znad Jeziora Gana w Błękitnych Wzgórzach. Poległo dwóch giermków. Geff, który walczył ze smoczą Kafskellą z Aubinas, miał rozpruty brzuch, a Solly'emu od Rolda młot błotoluda zmiażdżył nogę. Śmiały imp przeciął Kreuzunowi ścięgna i skórzany smok padł pod ciosami młotów.

Mono dorobił się skaleczenia na udzie i drugiego z boku głowy, nadal jednak trzymał się na nogach. Cios miecza w hełm zamroził na chwilę Swane'a. Chłopiec kuśtykał ze zranioną kostką, mimo to brał udział w walce. Tomas Czarne Oko oberwał młotem olbrzyma i miał niesłychane szczęście, że nie skończył z połamanymi kośćmi. Cios pogiął mu tarczę i wprawił w drżenie ramiona. Relkin miał pręgę na żebrach od tarczy impa i lewe ramię rozorane pazurami konającego wroga.

Impy były zawziętymi wojownikami i zostały dobrze wyszkolone. Sami giermkowie nie mieliby z nimi szans, na szczęście wspierali ich żołnierze z Ósmego Regimentu, gdyż inaczej impy wyrznęłyby ich co do jednego i zabrały się za smoki.

Wyrwę w umocnieniach zaścielały zwłoki ludzi i szczątki tuzinów błotoludów. Wreszcie napór ustał. Olbrzymy przestały atakować. Wzmógł się ogień argonackich katapult oczyścił przedpole. Niemniej w pewnej odległości gromadziły się nowe zastępy błotoludów. Dojdzie do kolejnego szturmu.

Na szczęście 109 i 66 nie będą musiały stawiać mu czoła. Zagrały kornety i znużone smoki wycofały się, zastąpione świeżymi szwadronami.

Smoki potruczały do swoich schronień, gdzie położyły się z jękiem. Wyczerpani giermkowie porwali skrzyneczki z lekami i zabrali się do pracy, oczyszczając i opatrując rany, szukając połamanych kości, sprawdzając miecze i hełmy.

Za murami znów ozwały się bębny i wróg ponowił natarcie, krzycząc ochryple. W wyłomie raz jeszcze rozgorzała walka. Księżyc zalewał pole bitwy złowrogim światłem.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY

–To prosty plan, komendancie, a twój w nim udział jest kluczowy dla powodzenia całej operacji. – W ten sposób kapitan Rokensak starał się umocnić pewność siebie Porteousa Glavesa. Wszyscy bali się, że komendant nie sprosta zadaniu.

–Mam tylko nadzieję, że się powiedzie – rzucił poirytowany Glaves. Miał na sobie letni płaszcz i kompletny mundur. Za jego plecami czaił się Dandrax.

–Słyszycie? – odezwał się jeden z ludzi Rokensaka. Miał na myśli bitwę o wyłom. Specyficzny odgłos, z jakim

smocze miecze przecinały zbroje i hełmy, rozlegał się raz po raz, niczym dzwon śmierci wybijający się ponad chrapliwe głosy ludzi, zjednoczone w chórze wojny. Glaves wzdrygnął się.

–To tylko kwestia czasu. Odeprzemy ich na kilka godzin, lecz co się stanie, kiedy smoki opadną z sił? – zapytał kwaśno mężczyzna z czarną przepaską na oku i w obszarpanym mundurze ze znakiem podwójnej koniczyny. Oznaczało to, że należał on do Drugiego Regimentu Pierwszego Legionu Kadeinu, słynnego oddziału o długiej, chwalebnej historii.

–Kwestia czasu. – Słowa kołatały się w czaszce Glavesa.

–To najlepsze, co możemy zrobić, Rokensak. Ktoś musi wrócić i opowiedzieć, co się tu wydarzyło.

Czarna Przepaska szturchnął go z obrzydliwą poufalością, która w innej sytuacji kosztowałaby go dwadzieścia batów.

–A tym kim ś równie dobrze możemy być my, co, komendancie?

Usłyszał chichot Dandraxa. Ostatnimi czasy jego osobisty strażnik zrobił się bardzo niemiły. Trzeba będzie pozbyć się go zaraz po powrocie do Marneri. Za dużo wiedział.

Podniósł głowę i wyprostował się, mówiąc sobie, że to jedyne wyjście.

–Nie zaciągaliśmy się do legionów z myślą o zbiorowym samobójstwie – jęczał do kogoś sierżant Villers z Dziewiątego Regimentu Kadeinu. – Mieliśmy wrócić do domu. To niesprawiedliwe.

–Uciszyć się, Villers – warknął Rokensak. – Naprzód.

Weszli na przystań – trzydziestu desperatów, z czego połowa na wozie i w bandażach, reszta pozornie w równie oplakany stan.

Na końcu przystani kołysały się przycumowane szalupy z *Brązowego Orzecha*, pilnowane przez wioślarzy. Glaves wręczył im pismo.

–Przewieźcie mnie i tych rannych żołnierzy na pokład. Mam rozkazy dla kapitana od generała Paxiona.

To był kluczowy moment. Jeżeli wioślarze podniosą alarm, będą skończeni. Lecz na statek co i rusz wybierali się jacyś posłańcy. Tak więc kapitan Rokensak i jego ludzie zajęli miejsca w łodziach, które natychmiast ruszyły w stronę statku.

W mrokach nocy niosły się odgłosy bitwy na murach.

Glaves spodziewał się, że zlustrowają ich uzbrojone w lunety bystre oczy, lecz noc i przebranie rannych powinno je oszukać.

Podpłynęli pod burzę okrętu, z którego opuszczono haki i drabinki. Porteous Graves powędrował w górę na krzeselku. Reszta wspięła się po siatkach lub także skorzystała z krzesełek.

Na pokładzie Graves natknął się na krzepką kobietę w brązowym uniformie i skórzanym kapeluszu.

–Kapitan Peek?

–Nie, sir, jestem bosman Doon. Kapitan Peek śpi.

–Ach tak. Bądź tak dobra i natychmiast poprowadź mnie do niego. Przynoszę ważne rozkazy.

–A któż taki domaga się obudzenia kapitana?

Porteous wyprostował się i włożył w swój głos każdy gram autorytetu, jaki posiadał.

–Jestem komendant Graves z Drugiego Legionu Marneri. Jestem osobistym wysłannikiem samego generała Paxiona, który jest tutaj głównodowodzącym.

Oczy kobiety roziskrzyły się. Napatrzyła się już dosyć na nadęte ropuchy w mundurach, a ten szczur lądowy należał do najlepszego ich gatunku. Kapitan Peek zjadał takich na śniadanie.

–Chcesz niepokoić kapitana Peeka, komendancie? Jesteś tego pewny? Nie możesz po prostu przekazać rozkazów mnie?

–Moja dobra kobieto, trwa bitwa na śmierć i życie. Nie widzisz? Zaszła potrzeba ściślejszej koordynacji naszych sił. Generał Paxion przysłała mnie, żebym współdziałał z kapitanem Peekiem. Tyle możesz wiedzieć, lecz reszta przeznaczona jest wyłącznie dla uszu kapitana.

–Cóż, w takim razie proszę tędy – rzuciła bosman Doon. – Proszę tylko później nie mówić, że nie próbowałam pana ostrzec. Kapitan Peek nie lubi być budzony, chyba że w naprawdę istotnych sprawach.

Graves skinął na Rokensaka i Dandraxa, żeby mu towarzyszyli. Reszta ich grupy wkrótce znajdzie się na pokładzie. Przyszła pora na kapitana Peeka. Udali się prosto do jego kabiny.

Doon wskazała im właściwe drzwi. Graves przepchnął się koło niej i załomotał w nie, po czym, nie czekając na zaproszenie, wparował do środka.

Kajuta kapitana Peeka była skromnie wyposażona. Krzesła, stół, stojaki na zwoje i przyrządy. Gospodarz wyplątywał się właśnie z hamaka.

–Co u diabła? – huknął.

Graves był zaskoczony. Kapitan okazał się być olbrzymim mężczyzną, wytatuowanym na twarzy i silnych ramionach, na które spływały długie, siwe włosy. Z oczu wзираła mu dzikość.

Komendant zawahał się i obejrzał na Rokensaka, który właśnie zamykał drzwi.

–Kapitanie Peek, zostałem przysłany przez generała Paxiona, by przejąć władzę nad statkiem. Musimy natychmiast wywieźć stąd naszych rannych.

–Przejmiecie statek po moim trupie! – ryknął Peek. – Nie macie tu żadnych praw. Podpisałem kontrakt z Cunfshonem i żaden Argonatczyk nie ma tu nic do powiedzenia.

–Kapitanie, to przejściowa sprawa. Przegraliśmy bitwę. Legiony skazane są na zagładę. To kwestia godzin. Trzeba ratować rannych.

–Niech was licho, to ja jestem kapitanem tego statku i nikt,;; nawet generał Paxion, nie może mi nic zrobić. Będziemy stać na kotwicy, dopóki nie postanowię inaczej. Jeżeli sytuacja jest tak ciężka, jak ją opisujesz, to zgadzam się, że powinniśmy spróbować wypłynąć z jak największą ilością ludzi na pokładzie. Opuścimy na wodę wszystkie szalupy, zbudujemy tratwy, znajdziemy sposób, by uratować wszystkich.

Glaves uznał, że nie uda im się skaptować Peeka.

Skinął na Dandraxa.

Peek zauważył to i natychmiast dobył kordelas. Dandrax wyciągnął miecz. Kapitan zaatakował go, wrzeszcząc niczym banshee. Dwa wielkoludy zwały się i zaczęły mocować. Odrzucony na bok Glaves wczółgał się pod stół.

Peek zdobywał przewagę, rozkrzyżowując Dandraxa na stole i uwalniając rękę z kordelasek do zadania śmiertelnego ciosu.

Rokensak zaszedł go od tyłu i dźgnął w plecy. Trzeba było jeszcze dwóch ciosów, by kapitan osunął się na podłogę.

–Dobra, dobywajcie broni, wychodzimy walczyć – mruknął blady Rokensak.

Szarpnęli za drzwi i wypadli na zewnątrz. Nie dali bosman Doon czasu na reakcję. Ściął ją miecz Rokensaka. Wbiegli po schodach na mostek kapitański, gdzie zabili sternika i uwięzili drugiego oficera.

Na śródokręciu „ranni” zerwali się z pokładu i zaatakowali żeglarzy. Zaskoczyli ich. Doświadczonej załodze *Brązowego Orzecha* na myśl nie przyszła możliwość takiej zdrady.

Walka trwała kilka minut. Część marynarzy zginęła, część dostała się do niewoli, pozostali wyskoczyli za burtę. Napastnicy zatrzasnęli luki, zamykając resztę załogi wewnątrz statku. Następnie podnieśli główny żagiel, kotwicę, zrobili zwrot i wypłynęli z portu skazanego na zagładę miasta Ourdh.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Czerwonooki cesarz nie miał już sił do dalszego płaczu. Leżał rozczochrany w rozbabranym łóżku. Dokoła wałały się poduszki i pledy, porozrzucane podczas kolejnego napadu wściekłości.

Biedny cesarz był słaby i nie mógł już znieść nękających go koszmarów. *To* przemawiało do niego. Zupełnie jak gdyby znajdowało się w tej samej komnacie co on. Było takie rzeczywiste, takie potwornie rzeczywiste. Chciało go. Chciało jego miłości. Chciało jego duszy. Było takie pewne zwycięstwa. Biedny, mały cesarz umierał i nikt nie był w stanie mu pomóc. Kapłani byli bezużyteczni. Powtarzali w kółko – „Bądź racjonalny. Żąda tego Auros.”

–Mam być racjonalny?! – wrzasnął na nich. – Jak mam być racjonalny? W lochach pod Dzu żyje bóg śmierci, który chce zamienić mnie w sługę. Jak mam podchodzić do tego racjonalnie, kiedy on zniszczył moje armie i zdobył mury?

Kapłani Aurosa patrzyli na niego smutnymi, krowimi oczyma. Prawdę rzekłszy, oni także byli zgubieni. Brakowało im odpowiedzi i sami zaczęli poddawać w wątpliwość istnienie Aurosa.

Monstekirowie okazali się jeszcze mniej użyteczni. Już dawno uciekli z miasta. Dlatego właśnie zabrakło dla niego łodzi. Wszyscy popłynęli na południe, do Canfalonu.

Księżniczka Zettila zginęła na Wyspie Gingo-La. Oddanie dla bogini obróciło się w końcu przeciwko niej. Banwi załkał. Bardzo za nią tęsknił.

Wreszcie odeszła ciotka Haruma. Obwieściła mu, że zmęczyło ją jego ciągle mazgajstwo i że okrywa hańbą ród Shogemessarów, po czym zamknęła się w swoich komnatach.

Zostali już tylko strażnicy przy drzwiach i paru eunuchów, którzy przynosili mu pożywienie. Był sam.

Wyjątek stanowiła czarownica. Odwiedzała go często, wręcz zbyt często.

Znów u niego była, z tą młodą pięknnością u boku, do której nie wolno mu było powiedzieć więcej niż dwa słowa, zanim mu przerywała. Wchodziły bocznymi drzwiami, do których tylko one miały dostęp. Odwiedzała go bez zapowiedzi, bez uśmiechu, terroryzując tymi przerażającymi, ciemnymi oczami, którymi przeszywała człowieka na wskroś, odkrywając najlepiej strzeżone sekrety.

Podźwignął się do półleżącej pozycji.

–Jak widzisz, wszyscy mnie opuścili. Chcę na statek. Musisz pozwolić mi udać się na statek, zanim będzie za późno! – zaskrzeczał.

Ribela nie uśmiechnęła się, nie zdradziła też żadnych emocji.

–Znów miałeś złe sny, ekscelencjo. Czy przyjmiesz wreszcie moją pomoc? Znam się na przeganianiu nocnych koszmarów.

–Ha! Mam pozwolić ci na całkowite przejęcie kontroli nad moim umysłem? Nigdy, niech cię diabli. Po prostu puść mnie na ten statek. To wszystko, czego teraz pragnę. Wejdę na pokład i na zawsze porzucę ojczyznę.

–Wasza Wysokość musi wziąć się w garść. Koniec z tym mazgajstwem! Jesteś mężczyzną i fedaferem dobrze nawodnionego kraju. Nie wolno ci hańbić swych



przodków.

–Moi przodkowie są martwi. Przeżyli swoje. Ja żyję i chcę pozostać przy życiu.

–Musisz zostać w Cesarskim Mieście razem ze swoimi żołnierzami. Formuje się nowa armia, nadciąga pomoc. Do jutrzejszego wieczoru przybędzie kolejny legion i tyle jedzenia i broni, że będziemy w stanie bronić się w nieskończoność. Być może przejdziemy nawet do kontrofensywy.

Banwi Shogemessar, fedafer fedaferów dobrze nawodnionego kraju zagapił się na nią. Wiedźma oszalała.

–Nic nie rozumiesz, obłąkana kobieto. Zburzyli wieżę. Szturmują i będą szturmować do skutku. Nie rozumiesz? Wiem, czego on chce! Chce mnie, mówi mi o tym w moich snach.

–Wasza Wysokość jest bardzo cenny. Jesteś fedaferem dobrze nawodnionego kraju.

–Zgadza się, a oni w każdej chwili mogą wdrzeć się do miasta, schwytać mnie i powlec do Sephisa Straszliwego!

–Nie wymawiaj tego imienia, panie. Plugawi powietrze. To żaden bóg! Nie ma takich bogów. Bałwany, które czcicie w starych krainach, nie są bogami, nie ma w nich grama boskości. Istota, z którą walczymy, jest tylko demonem, służącym wbrew swej woli nieprzyjacielowi. Nie jest sam. Potężny wróg wyciągnął swe ramię. Nie wymawiaj imion starych bogów. Oni odeszli. To nie bóg kryje się w lochach pod Dzu, lecz zwykły demon.

Banwi wpadł w furję. Przeklęta wiedźma ośmieliła się lekceważyć bogów Ourdh jako martwych i nieobecnych. Te zniewagi nie miały końca. To było nie do wytrzymania. Wybuchł.

–To ty tak twierdzisz, lecz twe słowa są zwykle bezwartościowe. Przeklęta kobiety, doprowadziłyście nasz dumny kraj do upadku. Powinienem był wiedzieć, że tak się stanie, odkąd tylko zasugerowano mi ten sojusz. Od samego początku knujecie i oszukujecie. Tego właśnie chciałyście – obalenia tronu i przejęcia władzy przez mrocznego Węża.

Ribela otworzyła szeroko oczy.

–Panie, nie życzę sobie wysłuchiwać czegoś takiego. Imperium Róży wsparło cię i tylko dlatego wciąż jesteś fedaferem Ourdh.

–Miasto upadło. Nie zapominaj, kobieto, że zostaliśmy pokonani. Teraz to tylko kwestia czasu.

–Przyznaję, że zostały popełnione błędy. Uwierz mi jednak, panie, że niedługo sytuacja znacząco się polepszy.

–Ha! Wy, wiedźmy, wszystkie żyjecie w świecie fantazji. Nie chcę mieć z wami więcej nic wspólnego.

Cesarz sięgnął do dzwonka, by przyzwać strażę. Ribela wstała.

–Przykro mi, że nie mogę ci dłużej towarzyszyć, Wasza Wysokość – odezwała się oficjalnym tonem. – Opuśćcie cię teraz. Bądź dobrej myśli, nie lękaj się. Przetrywamy napór ciemności.

Wyszła z komnaty z Lagdalen u boku. Straże patrzyły za nimi ze szczerą

**podejrzliwością i niechęcią.**

**Drzwi zatrzasnęły się za nimi i kobiety ruszyły korytarzem. Nie uszły jednak dziesięciu kroków, kiedy z cesarskiej sypialni dobiegł je przeszywający wrzask. Zawróciły. Strażnicy już wbiegali do środka.**

**Rozległ się zgiełk rozpaczliwej walki. Jeden z żołnierzy wyleciał na korytarz z pierśią zmiażdżoną ciosem młota. Stal zabrzęczała o stal.**

**Ribela nie zawahała się. Lagdalen pospieszyła za nią, żałując że ma jedynie długi nóż w ręku. Strażnicy nie żyli. Stały nad nimi człekokształtne istoty wysokie na dziesięć stóp, z młotami w dłoniach.**

**Cesarz Banwi Shogemessar, fedafer fedaferów, cesarz cesarzy etc. etc. był bezceremonialnie wpychany do wora przez trzy krzepkie impy. Jego wrzaski wywoływały w nich napady szaleńczego śmiechu.**

**Olbrzymy obróciły się przeciwko nim. Lagdalen krzyknęła. Nie miały twarzy, żadnych rysów. Przypominały niedokończone posągi. Najbliższy zamachnął się na nie młotem o głowicy rozmiarów arbuza i obie kobiety uskoczyły i potoczyły się po podłodze. Młot zaświszczał im tuż nad głowami.**

**Lagdalen była już przy drzwiach. Ribela zatrzymała się i plunęła strumieniem ognistych słów. Z czubków jej palców wystrzeliła wiązka błękitnej energii, uderzając w istotę. Postać zakolebała się, ogarnięta siatką błękitnawych wyładowań. Nagle węże energii zmieniły kolor na czerwony. Stwór odzyskał równowagę i ruszył na nich.**

**Ribela wykrzyczała przenikliwie kolejne zaklęcie, chcąc rozpuścić zewnętrzną powłokę napastnika. Błoto lud wzniósł młot. Zdawał się nieczuły na pospiesznie rzucone czary.**

**Czarownica rzuciła się do drzwi, lecz był tam już drugi olbrzym.**

**Kątem oka dostrzegła, że worek z cesarzem jest znoszony przez impy schodami, znikającymi pod podłogą sypialni.**

**W jej stronę mknęły dwa młoty. Odskoczyła i poczuła, jak stalowa głowica przecina powietrze tuż przed jej twarzą.**

**Mogła tu umrzeć.**

**Kolejny cios młota odbił się od ściany parę centymetrów od jej głowy. Odskoczyła od olbrzymów, oddalając się tym samym od drzwi. Obróciły się jednocześnie – dziwny widok. Poruszyły się razem, w tej samej chwili unosząc i opuszczając młoty. Wyglądały jak ogromne maszyny.**

**Czarownica wpadła w pułapkę. Obejrzała się na ukrytą w podłodze klapę. Znajdowała się pod dywanem. Komnata była zdemolowana, łóżko przewrócone. Olbrzymy uniosły je z takim impetem, że ściągnęły dywan, wywracając stojące na nim meble.**

**Koło niej znów przemknęły ze świstem młoty. Spróbowała prześlizgnąć się pomiędzy nimi, lecz drogę zagrodziła jej wielka noga. Odbiła się od niej i wylądowała na podłodze. Przewróciła się na plecy. Istoty górowały nad nią.**

**Nie były już jednak takie jak przed chwilą. Ich ruchy spowolniały. Patrzyła ze ściśniętym gardłem, jak młoty wypadają im z rąk, upadając z brzękiem na marmurową posadzkę. Błotoludy zaczęły rozpylać się. Obserwowała to, próbując**

złapać oddech. W pół minuty olbrzymy przekształciły się w bezkształtne sterty rozpuszczającego się blocka, które rozlało się brunatną powodzią po sypialni.

Dzięki niech będą Matce!

Podniosła się z podłogi, łapiąc powietrze i dygocząc.

– Nic ci nie jest, moja lady? – Lagdalen znalazła się błyskawicznie przy niej z błyszczącym sztyletem w dłoni.

– Och, moja droga, niewiele brakowało, doprawdy niewiele! – Wyprostowała się. – Wykuty przez nas czar działa dość wolno. Prawdopodobnie ze względu na swoje niewielkie rozmiary, które uodparniają go na systemy obronne wroga. – Westchnęła. – Niemniej, zdołał urosnąć, w ostatniej fazie nawet całkiem szybko. – Skinęła ręką na brązowy szlam. – Walka wkrótce dobiegnie końca.

Faktycznie – z murów dobiegły ich fanfary kornetów. Coś się tam działo.

– A cesarz?

– Porwany przez impy, tamtymi schodami. Biedak miał rację. Zawiodłyśmy – nie upilnowałyśmy go. Zbadamy, co tam jest?

Lagdalen przełknęła ślinę. W towarzystwie wielkiej czarownicy można było spodziewać się takiego obrotu sprawy. Jednak to, co stało się po chwili, przerosło jej najśmielsze oczekiwania.

Ribela stanęła na pierwszym stopniu i zamarła. Zbliżało się coś strasznego, co potrafiło powstrzymać nawet Królową Myszy.

Z mroku wyłoniła się postać rozmiarów człowieka, spowita w gruby, czarny płaszcz i otoczona aurą mocy. Ribela cofnęła się i wyprostowała. Istota zatrzymała się w połowie schodów. W miejscu oczu Lagdalen ujrzała u niej płomienie. Instynktownie przykucnęła za kolumną, starając się być niewidoczną.

Ribela przemówiła w nieznanym dziewczynie chrapliwym języku. Istota zaśmiała się brzękliwie. W rzucanym przez kaptur cieniu błyszczało coś, jakby róg lub dziób. Oczy przybysza były niby okna na piekło.

Przemówił w tej samej, charkoczącej mowie. Ribela krzyknęła coś i uniosła dłoń, lecz mroczna postać zasyczała gwałtownie i z jej dłoni wytrysnął czerwony pocisk, który ugodził czarownicę w pierś. Ribela wydała nieartykułowany okrzyk i osunęła się na podłogę. W powietrzu rozszedł się zapach spalonego materiału i ciała. Wysoka postać w płaszczu wynurzyła się z mroku i stanęła nad powaloną czarownicą. Po chwili kopnęła jej bezwładne ciało.

Lagdalen kucała za kolumną, zbyt przerażona, by poruszyć choćby jednym mięśniem.

Wokół przybysza w czerni zaroilo się od impów. Wskazał ręką na czarownicę i natychmiast zakuto ją w kajdany i zniesiono na ramionach na dół.

Na widok impów Lagdalen poczuła znajomy, wściekły gniew. Podkraśla się do napastnika i skoczyła na niego.

Ujrzał ją w ostatniej chwili i zamachnął się, chcąc ją odtrącić. Zanim jednak zdążył rzucić nią o ziemię, zatopiła mu sztylet w piersi.

Lagdalen dźwignęła się na kolana, wpatrzona w oblicze człowieka, który przekształcił się w bladokóre monstrum z dziobem. Przeciwnik zaskrzeczał

**niespokojnie i wyszarpnął z ciała nóż Marneri. W blasku lamp zaśniła czerwona krew. Istota prychnęła i skinęła na nią ręką.**

**Impy podbiegły, by ją schwytać. Zdzielila jednego pięścią w twarz, lecz kopnął ją, pozbawiając tchu. Silne ręce chwyciły ją za ramiona i związały. Uniesiono ją z podłogi i powleczono w mrok.**

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

General Paxion nie opuści kwatery w fortecy Zadul. Wycofał się i nie zamierzał odpowiadać za to przed swoim sztabem. Kiwając głową, mamrotał modlitwę o wybaczenie.

Przestał rozumieć świat. Zupełnie jakby rzucono na niego klątwę. Był zwykłym człowiekiem, umiarkowanie odważnym, żołnierzem przez całe swoje dorosłe życie. Może nie był najlepszy w dowodzeniu w polu – zgadzał się z tym. Jednak ciężko pracował, zarządzając fortem Kenor, i był w tym dobry. Zyskał solidną reputację.

Niesprawiedliwe było, że wszystko zostanie zaprzepaszczone przez tę szaloną, straszną kampanię w upale i kurzu Ourdh. Jeśli jednak taki właśnie los wybrała dla niego bogini, pogodzi się z tym.

Był gotowy na śmierć. Zabrał miecz i szykował się do wyjścia na zewnątrz i znalezienia końca w walce, kiedy błotoludy przedrą się wreszcie przez wyłom. Lecz śmierć nie była mu pisana. W zamian skazano go na wieczną hańbę.

Wydarzyło się coś niewytłumaczalnego. Wszyscy nazywali to cudem, a ci, którzy do tej pory odtrącali świątynię, zaczęli poważnie zastanawiać się nad swoim stosunkiem do religii. Orientujący się w mocach Królowej Myszy domyślali się, z jak potężną magią mieli tu do czynienia. Przynajmniej Paxion to rozumiał.

Zanim jednak zdążył uradować się wymknięciem z objęć śmierci, spadła na niego wiadomość o ataku na *Brązowego Orzecha* i dezercji komendanta, kapitana i trzydziestu pięciu żołnierzy z Legionu Kadeinu. Przytłoczył go ciężar hańby.

Wreszcie usłyszał o największej katastrofie. Podczas bitwy porwano cesarza. Co gorsza, zniknęła także Ribela, Królowa Myszy, wraz z asystentką. Jedynym wyjaśnieniem było, że pojmano je razem z cesarzem.

Cała ekspedycja kończyła się klęską. Stracili Ourdh, stracili cesarza, a teraz stracili wielką czarownicę Ribelę. Paxion zdawał sobie sprawę, że jego imię przejdzie do historii jako synonim wojskowego nieudacznika.

Obrócił twarz do ściany i pograżył się w recytacji modlitwy. Nie miał ochoty na rozmowę z kimkolwiek. Zupełnie jakby go tutaj nie było.

Skonsternowany sztab zostawił go w spokoju. Poinformowali generała Pekela, który przejął dowództwo. Niestety on także znajdował się w dziwnym stanie. Chodził w kółko, bez przerwy zacierając ręce i mamrocząc do siebie.

Kiedy Kesepton udał się do niego z prośbą o zgodę na ściganie wroga tunelem, odkrytym w cesarskiej sypialni, generał zdawał się go nie słuchać. Niemniej zgodził się. Kesepton chciał pójść sam. Nie spodziewał się, że wróci.

Prawda była taka, że generał Pekel wciąż myślał o tym przeklętym tchórze Glavesie i kapitanie Rokensaku. Byli na tamtym spotkaniu z przebiegłym Euxusem z Fozadu. Wiedzieli, że gotowy był paktować z wrogiem. Jeśli złapie ich ktoś inny niż generał Pekel, wszystko wyśpiewają.

Na samą myśl o tym Pekel oblewał się potem.

Oto uratował ich cud, białe statki znajdowały się ledwie parę godzin drogi stąd, a on, Horatius Pekel, był skończony. Jeśli schwytają tych tchórzy, może pożegnać się

**z dalszą karierą.**

**Ledwie słuchał poważnego, młodego kapitana, pojął jednak, czego ten od niego chce. Skoro zamierzał popełnić samobójstwo, próbując odzyskać żonę, to Pekel nie miał nic przeciwko temu.**

**Nie dbał także o cesarza i wiedźmę. Podobnie do innych, nie cierpiał rządzącej elity Ourdh, a w szczególności cesarza. Ponadto, jak wielu mężczyzn Kadeinu, nie ufał wiedźmom i nie podobało mu się ich wtrącanie się w męskie sprawy.**

**Dlatego też pozwolił Keseptonowi wyruszyć na spotkanie pewnej śmierci i wrócił do nerwowego spacerowania. Nadpływały białe okręty. Wkrótce zorganizowany zostanie pościg za *Brązowym Orzechem*. Pekel spoglądał w wyjątkowo niepewną przyszłość.**

**W cesarskiej sypialni Kesepton natknął się na grupkę oczekujących go młodych, ponurych ludzi i smoków. Wyglądali, jakby dopiero co stoczyli ciężką walkę. Część miała spowite bandażem głowy, a wszyscy nosili świeże skaleczenia i zadrapania.**

**Na ich czele stał Relkin z Quosh z dwoma mocarnymi smokami za plecami. Był brudny i sponiewierany. Jedynie bandaż na głowie lśnił czystością.**

**–Zbadałem pół mili tunelu, sir – zameldował. – Potem skręca lekko w prawo.**

**–Dziękuję, smokowy – odrzekł Kesepton ze skąpym uśmiechem.**

**–Kapitanie Kesepton?**

**–Tak, o co chodzi?**

**–Idziemy z panem. Nie zostawimy jej w łapskach wroga.**

**–Nie mogę się na to zgodzić, będziecie potrzebni tutaj. Złamany Ogon pochylił się i zagrział.**

**–Smocza przyjaciółka Lagdalen nie umrze samotnie. Kesepton przełknął i zasalutował smokowi.**

**–Czynisz nam wielki zaszczyt, przyjacielu, nie mogę jednak na to pozwolić.**

**Drugi olbrzym wysunął się gwałtownie do przodu. Kesepton omal nie uległ smoczemu paraliżowi. Zapomniał, jak wielka jest ta dzika bestia.**

**–Nie powstrzymasz nas, kapitanie. Idę ze Złamanym Ogonem. Umrzemy razem. Być może to dobra chwila na śmierć.**

**Przez chwilę Kesepton nie był w stanie odpowiedzieć. Te potężne potwory wojny gotowe były oddać życie dla jego żony i niego. Ścisnęło go w gardle.**

**Naprzód wystąpiły kolejne dwa smoki. Z początku kapitan nie rozpoznał ich, lecz wielkim mosiężnym okazał się być Chektor.**

**–Kapitanie, walczyłem w Ossur Galan i na Górze Czerwonego Dębu. Ją też idę.**

**–Dziękuję ci, Chektorze.**

**U boku swojego smoka stał Mono. Kesepton przypomniał sobie, że Relkin i Mono byli jedynymi ocalałymi z pierwotnego składu 109 Szwadronu Smoków.**

**Drugi był skórzany smok.**

**–Vlok idzie także. Gdzie Złamany Ogon i Dziki, tam i Vlok.**

**–Swane z Revenant, sir! – przedstawił się giermek.**

**–Sir? – zaczął Relkin.**

**–O co chodzi, smokowy?**

**–Legiony otrzymają dzisiaj posiłki, prawda?**

**–Zgadza się.**

**–A wróg nie będzie w stanie zaatakować przez kilka najbliższych godzin.**

**–Taką mamy nadzieję.**

**–Wobec tego musimy pójść. Mieliśmy zaszczyt walczyć u boku lady Lessis.**

**Wiemy, jak ważne są wielkie czarownice. Musimy to zrobić – musimy odbić czarownicę. To jest nawet ważniejsze od zobowiązań wobec przyjaciółki. W przeciwnym razie cała nasza ekspedycja zakończy się totalną klęską.**

**Kesepton pokiwał głową.**

**Chłopak miał rację. Kapitan upomniał się do ducha, że choć Relkin jest młody, to jedna Wielka Matka wie, jakim okropnościami stawał czoła w katakumbach Tummuz Orgmeen.**

**–Niech będzie. Może tego właśnie chcą od nas niebiosy. Może sama Matka wyznaczyła nam takie zadanie.**

**–Może – przytaknął Bazil. – Lecz smocze serce wie, że nie istnieje przeznaczenie. Przyszłość tworzona jest przez teraźniejszość.**

**Kesepton zszedł po schodach i zajął do tunelu, przyświecając sobie pochodnią. Przejście było obszerne i pokryte pajęczynami.**

**–Wystarczająco duże dla konnego powozu – zauważył Relkin, który zszedł zaraz za kapitanem.**

**–To samo sobie pomyślałem.**

**–Przesłuchaliśmy paru eunuchów – odezwał się Swane. – Zeznali, że tego przejścia używały cesarzowe, by dostać się na wyspę na rzece, gdzie spotykały się z kochankami.**

**Kesepton gwizdnął.**

**–Dawne cesarzowe musiały mieć ognisty temperament.**

**–Mówili także, że wszyscy niewolnicy, którzy budowali to przejście, zostali wymordowani dla zachowania tajemnicy.**

**–Niemniej ktoś poznał sekret.**

**–Odkrył to pierwszy cesarz z dynastii Shogemessarów. Eunuchowie zapomnieli nas o tym uprzedzić.**

**–Domyślam się, że wrogowie dowiedzieli się bez najmniejszego problemu – mruknął gorzko Kesepton. Cesarski dwór był trudny, pyszny, wymagający, reakcyjny i ksenofobiczny. Wielka cywilizacja Ourdh nie wywarła na Keseptonie najlepszego wrażenia.**

**–Chciałem zabić tych przeklętych eunuchów, lecz powstrzymał mnie smokowy Hatlin.**

**–I słusznie. Nie będziemy mordować naszych sojuszników bez ważnych przyczyn.**

**–Sir, nienawidzimy tutaj eunuchów. Prawdę rzekłszy, nienawidzimy wszystkich mieszkańców tego miasta.**

**Kesepton przytaknął.**

**–To zrozumiałe. Lecz zasada wciąż obowiązuje. Nie zabijamy nikogo, prócz sług nieprzyjaciela.**

**–Tak jest, sir – odparł Swane z Revenant.**

**Kesepton ruszył w głąb tunelu.**

**–Chodźmy. Nie mamy czasu do stracenia, jeżeli zamierzamy je znaleźć.**

**Zeszli do tunelu – trzech giermków i cztery smoki, w tym jeden dziki.**

**–Musieli użyć niewielkiego powozu. – I kucyków – warknął Bazil.**

**–Jak już będzie po wszystkim, zjem jakiegoś konia – oznajmił Purpurowo-zielony.**

**– Na ryk przodków, ciasno w tej ludzkiej dziurze.**

**Ruszyli żwawym krokiem, przyświecając sobie pochodnią. Mieli ze sobą zapas łuczyw, na wypadek, gdyby pierwsze zdążyło się wypalić.**



## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Tunel ciągnął się całymi milami pod korytem rzeki. Początkowo żartowali sobie z cesarzowych Ourdh i odległości, jakie musiały pokonywać, by w ciszy i spokoju spotkać się ze swymi kochankami. Szybko jednak sprzykrzyło się im to. Korytarz był chłodny i wilgotny. Przed sobą mieli lekko zakręcające ściany i nie kończące się pajęczyny. Przy kopaniu tunelu musiały pracować setki, może nawet tysiące niewolników. Olbrzymi wysiłek, który na pewno kosztował fortunę.

Wreszcie ściany skończyły się. Znikające w górze stopnie prowadziły do masywnych drzwi. Przytknęli do nich uszy, jednak nic nie usłyszeli.

Na rozkaz Keseptona Chektor wyważył drzwi. Były wielkie i solidne, lecz nie wykonano ich z myślą o stawianiu oporu smokowi. Wyszli w ciemności nocy. Świtało. Stali wśród ruin dużego domu. Dach i wyższe piętra przestały dawno istnieć. Pozostały jedynie resztki ścian.

Dom otaczał gąszcz palm i sosen. Przedzierali się przez chaszczę dobre ćwierć mili, nim dotarli do zatoczki nad ciemną rzeką. Spłoszone małpy pierzchły w las, wrzeszcząc alarmująco. Rzeka ciągnęła się po rozświetlany świtem horyzont. Dokoła ani śladu ładu.

–To wschodni brzeg – oznajmił Kesepton. – Zobaczymy, co kryje się po drugiej stronie wyspy.

Wyspa miała milę długości i trzecią część mili szerokości. Gdy dotarli na jej najdalej na południe wysunięty skrawek, natychmiast zauważyli światło na rzece. Poruszyło się lekko i po chwili zgasło. Zaraz jednak zabłysło kolejne, niemal w tym samym miejscu.

–Statek – orzekł Kesepton po dłuższej obserwacji przez lunetę polową.

Faktycznie, był to duży okręt o kwadratowych żaglach, stojący w odległości mili na zachód od nich, pod osłoną wyspy. Było w nim jednak coś dziwnego. Nie miał postawionych żagli i zdawał się nie poruszać. Powinien unosić go choćby prąd rzeczny.

Kesepton natychmiast domyślił się przyczyny.

–Utknął na mieliznie, przyjaciele. Jest odpływ i podszedł za blisko do wyspy.

Oglądał dalej okręt ledwo widoczny w szarówce świtu. Nagle gwizdnął.

–Taką miałem nadzieję – to *Brązowy Orzech*, Wszyscy wlepili wzrok w szarzące ciemności.

–Jak tam jest głęboko? – zapytał Mono.

–Po tej stronie wyspy powinno być płytko – mielizna jest rozległa.

–Trudno pływać w zbrojach i z tarczami – zauważył Basil Złamany Ogon.

–Zostawimy je. Jeśli nam się powiedzie, to wrócimy po nie później – stwierdził Kesepton.

Relkin wskazał na wschód.

–Wkrótce świt.

–Pospieszmy się zatem, zanim wzejdzie słońce. Za godzinę ktoś może nas zobaczyć.

**Bez zbędnych słów zaczęli brodzić w kierunku statku.**

**Po przejściu połowy mili woda sięgnęła giermkom do pasa, a światło przybierało na sile, choć wciąż jeszcze panował półmrok.**

**Usłyszeli ze statku niewyraźne pokrzykiwania, odgłosy dalekiego spora. Wrzaski i przekleństwa mieszały się ze sobą, jednemu okrzykowi odpowiadało kilka innych.**

**–Wygląda na to, że się pokłócili – zauważył z wyraźną satysfakcją Swane.**

**–Jeśli się pospieszymy, to może podejdziemy nie zauważeni – rzucił Kesepton.**

**Musieli przepłynąć ostatnie kilkaset jardów, czego dokonali, trzymając się grzbietów smoków, które potrafiły płynąć pod prąd szybciej niż jakikolwiek człowiek.**

**Dotarli do przechylonej burty statku. Kłótnia trwała. Wyglądało na to, że utworzyły się dwa stronnictwa, obrzucające się nawzajem zniewagami i klątwami. Co pewien czas rozlegał się brzęk stali, a za burtę wypadał jakiś ciśnięty przedmiot.**

**Po drugiej stronie statku spuszczone z pluskiem szalupę, wokół której zaroilo się od mężczyzn. Ciskano za nimi różnymi przedmiotami, lecz uszli z życiem i po paru minutach wiosłowania wydostali się poza zasięg rzucających, nie szczędząc im obelg.**

**Do tej pory giermkowie zdążyli wdrapać się na pokład i zrzucić w dół linowe siatki, które opadły z grzechotem tuż przed smokami.**

**Ktoś ich nareszcie dostrzegł i podniósł alarm.**

**–Piraci!**

**Pobiegli na nich z wyciągniętymi mieczami.**

**–Żadni piraci – prychnął inny głos. – Smoczy giermkowie!**

**–Co u licha?**

**Na pokładzie pojawił się kapitan Kesepton i mężczyźni zatrzymali się.**

**–To jakiś zdradziecki kapitan sztabowy – rzucił ktoś z tyłu. Kesepton podszedł do nich, nie okazując lęku.**

**–Jesteście dezterami i zawiśnecie, jeżeli natychmiast nie poddacie się i nie pomożecie mi w mojej misji.**

**–Toż to ten pisklak, Kesepton.**

**–Ulubiony oficer Paxiona, bardzo dobrze ustosunkowany. – Co wy na to, chłopcy, żebyśmy wzięli go jako zakładnika? – zawołał mężczyzna w mundurze oficera.**

**Kesepton zwrócił się bezpośrednio do niego.**

**–Kapitanie Rokensak, dlaczego nie jesteście ze swoimi ludźmi na posterunku?**

**Rokensak wygiął szyderczo wargi.**

**–Bo jestem tutaj, ty głupi kastracie z Marneri. Pozostanie tam oznaczało śmierć. A co ty tu, u diabła, robisz'?**

**Pomiędzy mężczyznami błysnął miecz Rokensaka i Kesepton cofnął się nieznacznie.**

**–Skończysz zhańbiony, Rokensak. Nie rozumiem tego.**

**–Głupi skurczygnacie z Marneri, niech mój miecz ci to wyjaśni. – Rokensak rzucił się na Keseptona i ich miecze skrzyżowały się ze szczękiem.**

**Pozostali Kadeińczycy także ruszyli naprzód i giermkowie musieli stawić im czoła ze swoimi lekkimi mieczkami. Legioniści byli doświadczonymi wojownikami i powoli,**

lecz stale, spychali chłopców w stronę burty.

Nagle pojawiło się smocze ramię i dwutonowy skórzany smok z ogłuszającym stęknieniem wydzwignął się na pokład, błyskawicznie stając na nogach i dobywając smoczego miecza.

Tuż za nim wlaził drugi smok. Pierwszy pomógł mu przeleźć przez burtę.

Kadeińczycy popatrzyli po sobie, obrócili się na piętach i uciekli. Kesepton i giermkowie ścigali ich, lecz ci z Rokensakiem na czele rzucili się do rzeki i odpłynęli.

Smoczy giermkowie otworzyli luki i w nagrodę usłyszeli parę wiązanek od rozwścieczonych marynarzy, których trzymano od paru godzin w zamknięciu.

–Co się stało? – zapytał Kesepton.

–Skąd mamy wiedzieć? Nagle ktoś zarygłował luki i nie mamy pojęcia, co wydarzyło się przez ostatnich kilka godzin. Czy to bunt?

–Obawiam się, że z Legionu Kadeinu zdezerterowało kilkudziesięciu żołnierzy.

–Gdzie jest kapitan Peek?

Przeszukali kapitańską kajutę, lecz nie znaleźli śladu po dowódcy *Brązowego Orzecha*, natrafili za to na komendanta Glavesa i jego sługę, Dandraxa, ukrytych za drzwiami od początku walki.

Wywlekli go na zewnątrz. Groził im i przeklinał, lecz kiedy ujrzał kapitana Keseptona i smoki, zwyczajnie zemdłał.

Dandrax wyszedł spokojnie, kiedy szturchnięciem wygonili go z zza kredensu, gdzie się schował. Związali im ręce w nadgarstkach i posadzili na ławce.

Glaves milczał. Był w szoku. Na wszystkie pytania Dandrax odpowiadał wzruszeniem ramion.

–Pracuję dla niego. Co miałem robić?

–Gdzie jest kapitan Peek? I bosman Doon?

–Nie macie żadnych dowodów, że ma to cokolwiek wspólnego ze mną. Zapytajcie Kadeińczyków.

–Kadeińczyków tu nie ma, a ty jesteś – odparł Kesepton. Dandrax splunął.

–Czeka cię sąd, tyle tylko powiem.

–Co się stało w mieście? – zapytał Dandrax. – Jak uciekliście?

–Już po bitwie, przynajmniej na razie. Błotoludy przestały napływać. Coś im się stało. Rozpuściły się.

Dandrax gwizdnął.

–Potężne czary.

Kesepton przytaknął. Wiedział, że musiała to być robota wielkiej czarownicy. Nigdy nie zapomni rzeczy, które widział w zeszłym roku.

–Tak.

Dandrax westchnął ciężko.

–No to mój pan sknocił sprawę, a ja razem z nim. Pograżony w apatii Glaves patrzył przed siebie. Nie odpowiadał na żadne pytania.

–Nie musiałeś go słuchać, kiedy kazał ci zabijać... Ani porywać statek.

–Co? – w ściekł się Dandrax. – Żeby nie zapłacił mi po tym wszystkim, co tu przeżyłem? Jest mi winny mnóstwo złota.

**–Czyli twoje motywy są czysto finansowe. Zawieszysz, jeżeli zabiłeś kapitana Peeka dla pieniędzy.**

**Dandrax zwiesił głowę.**

**–A więc to tak? Zwalicie wszystko na mnie? Puście tego grubego drania wolno, tak? Dadzą mu naganę, a mnie powieszają! Oto sprawiedliwość miast. Bogatym darują, biednych wieszają.**

**Kesepton odwrócił się od niego.**

**–Zostaniesz sprawiedliwie osądzony. Jeżeli zabiłeś kapitana Peeka lub bosman Doon, zostaniesz za to powieszony, zapewne na rei tego statku. Jeśli nie – będziesz żyć, choć możliwe, że odsiedzisz swoje w więzieniu. Niemniej zostaniesz osądzony sprawiedliwie, tak samo jak twój pan.**

**Kesepton wypadł na pokład, gotując się ze złości na zdradę Glavesa.**

**–Dokąd chcesz popłynąć, kapitanie? – zapytał go oficer.**

**–Możesz zabrać nas do miasta Dzu? Jeszcze dzisiaj musimy znaleźć się tak blisko niego, jak to tylko możliwe.**

**–Dzu, miasto Dzu? – Tak.**

**–Cóż... tak, oczywiście... możemy jednak spotkać piratów.**

**–Musimy dostać się do Dzu. Ze smokami na pokładzie odeprzemy każdego piratów, którzy odważą się wejść na pokład.**

**–Będziemy tam w południe.**

**–W takim razie musimy płynąć wolno, ponieważ powinniśmy wejść do miasta pod osłoną ciemności.**

**–Tak też będzie, kapitanie.**

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Po paru godzinach drzwi do celi otworzyły się i grupka impów wniosła lady Ribelę na noszach do środka. Położyli ją na podłodze koło Lagdalen.

Niewolnik o straszliwie pokiereszowanej twarzy przyniósł jej trochę gorącej wody i czyste szmaty. Następnie zapalił małą lampkę olejową i postawił ją przy noszach. Próbował wyszeptać coś przez połamane zęby, lecz natychmiast przerwał mu silny cios.

–Dobra, wystarczy, zjeżdżaj stąd – huknął szorstki głos. Niewolnik skulił się i wycofał. Stał nad nią potężny mężczyzna w kapturze. Wokół pasa owinał sobie długi bicz. – Trochę ją pokaleczyliśmy. Zaopiekujesz się nią i dopilnujesz, by była gotowa do podróży. Wybiera się na wycieczkę w góry.

–Co masz na myśli? – Lagdalen dokonywała drobiazgowych oględzin czarownicy. Była w okropnym stanie. Nie miała już żadnych paznokci u rąk, wszystko pokrywała zaschnięta krew. Przedramiona i brzuch nosiły ślady przypalania gorącym żelazem i szarpania obcęgami. Dziewczyna czuła, jak rośnie w niej gniew. Nagle osiłek pochylił się, złapał ją za włosy i odciągnął jej głowę do tyłu.

–Poleci. Wysłano już po nią rukhbata. Zabierze ją do Axoxo. Jestem pewny, że słyszałaś tę nazwę.

Axoxo – synonim śmierci dorównujący Tummuz Orgmeen. Forteca Zagłady. Lecz reszta słów była kompletnie niezrozumiała. Poleci? Rukhbat? Co to znaczy?

–Może nie być w stanie, hmm, latać po tym, co jej zrobiliście.

–Jeśli nie będzie mogła wyruszyć w drogę, stracisz głowę. Tego żąda władca. Choć osobiście uważam, że zabijanie takiej ślicznotki byłoby okropnym marnotrawstwem. Nieczęsto dostajemy próbki piękności z Wysp Czarownic. Nie wiedziałem, że jesteście takie atrakcyjne. – Podrapał się w krocze, wyszczerzył do niej w uśmiechu, po czym puścił ją i wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim i została sama.

Woda była gorąca, lecz nie pozostanie taka wiecznie. Lagdalen natychmiast zabrała się do pracy, czyszcząc i opatrując wszystkie możliwe miejsca. Serce jej pękało, wreszcie jednak skończyła i usiadła, wpatrując się w czarownicę i modląc się, żeby przeżyła. Zrobiła się senna i zdrzemnęła się. Nagle ocknęła się. Czarownica nie spała, wpatrywała się w nią.

–Dziewczyno – wyszeptała – nic ci nie jest?

–Nie, pani.

–Czy rozmowa tutaj jest bezpieczna? – ciągnęła gardłowo, chrapliwie.

–Tak sędzę. Jesteśmy same. To więzienie, chyba z dwa piętra nad ziemią.

Przyprowadzili mnie tu po tym, jak nas rozdzielono.

–Skrzywdzili cię?

–Nie, moja lady.

–Dzięki niech będą Matce. Dziękuję ci, Lagdalen, za opiekę. – Uniosła zabandażowane palce. – Przy Szarej Lady wiele się nauczyłaś.

–To prawda, moja pani.

–Dobrze. Dlatego właśnie cię wybrałam. Posłuchaj mnie teraz – mamy wiele do

zrobienia, jeżeli chcemy odwrócić klęskę.

–Tak, moja lady.

–Leżąc tutaj, opracowałam plan. – Lagdalen przysunęła się do niej i Ribela zaczęła jej szeptać na ucho.

W czasie kiedy Królowa Myszy wykladała szeptem swoje przemyślenia, wróg odbywał niewielką naradę w celi raptem sto jardów dalej.

Trzymali tu cesarza Banwiego Shogemessara. Płakał i błagał pod drzwiami, nie doczekał się jednak żadnej odpowiedzi. Przysnął na wąskiej macie, zatracony w oplakiwaniu dawnego życia.

Nagle drzwi otworzyły się i do środka wkroczyła wysoka postać w czarnym płaszczu. Pochłodziła, pomieszczenie zadygotało od mocy. Banwiemu zaschło w ustach i ścisnęło w gardle. Pochyliła się nad nim nieludzka twarz ze ślepiami niczym żółtawe płomyki. Istota ozwała się dziwacznym, ochryplym głosem.

–Witaj, bezcenny cesarzu, witaj w świątyni Sephisa.

–Proszę, nie róbcie mi krzywdy.

–Boisz się zwykłych, fizycznych tortur?

–Boję się wszystkiego, panie. – Banwi runął na kolana.

–Wiesz, kim jestem? – zapytał głos.

–Nie i w żadnym razie nikomu nic nie powiem. Po prostu pozwól mi odejść, błagam. Bardzo mi przykro, nigdy nie zamierzałem...

–Zamilcz! – warknął szorstki głos. – Jestem mezomistrz Gog Zagost.

Banwi zadrzał. On naprawdę istniał. Tak jak mówiła mu ciocia Haruma. Miała rację, a kapłani i księżniczka Zettilla mylili się. Teraz jednak było już za późno. O wiele za późno.

–Czego ode mnie chcesz? – zdołał w końcu wykrztusić.

–Niedługo rozpoczniesz nowy rozdział swego żywota. Do tej pory byłeś bezużyteczny, stanowiąc ciężar dla tych, o których miałeś dbać. Fedafer dobrze nawodnionego kraju! Ha! Ponury żart.

Postać pochyliła się i ujęła twarz Banwiego. Tuż przed nim rozbłysły oczy. Cesarz resztką sił powstrzymywał się przed wrzaskiem.

–Teraz staniesz się nareszcie użyteczny. Dożyjesz swych dni jako wierny sługa Sephisa.

Mezomistrz wybuchnął gromkim śmiechem, puścił Banwiego i odepchnął.

Na chrapliwą komendą do celi wbiegła grupa impów, które pochwyciły Banwiego, związały i popchnęły przed sobą wyłożonym kamieniami korytarzem. Doszli do drzwi strzeżonych przez dwóch wielkich wojowników z mieczami i tarczami. Popatrzyli z góry na cesarza, którego impy wepchnęły do środka. Tuż za nim weszła postać w czarnym płaszczu.

Znaleźli się w rozległym pomieszczeniu, oświetlanym jedynie przez płomień na czubku dużego, kamiennego ołtarza. Za ołtarzem czaił się gęstszy mrok, jak gdyby znajdowała się tam jakaś dziura. Banwi wyczuł, że coś tam jest. Włosy stanęły mu dęba. Próbował uciec.

Impy zarechotały i pchnęły go naprzód. Na ramieniu trzasnął mu bicz, drugi ciął

go po pośladkach i cesarz podskoczył z przenikliwym okrzykiem.

–Cisza! – zawołał ktoś donośnie. – Znajdujesz się w świętej obecności samego Sephisa.

Pojawiło się dwóch wysokich kapłanów. Podeszli bliżej, wzięli jeńca pod ramiona i powlekli do ołtarza.

–Nie! – zawył Banwi Shogemessar, zapierając się obcasami butów. Zwaliłci kapłani poderwali go w powietrze i ponieśli do majaczącej w ciemnościach kamiennej płyty. Banwi uświadomił sobie, że faktycznie stoi nad bezdenną otchłanią, z której dobywał się silny, rybi fetor.

Mezomistrz wszedł na kamienny ołtarz. Zmówił krótką inkantację. Coś poruszyło się w mrocznych głębinach.

Banwi poczuł, jak jelita zamieniają mu się w lód. Coś ogromnego sunęło z otchłani w jego stronę. Było większe od wieloryba, grube na dziesięć stóp, wężowe cielsko o czterech długich ramionach, uzbrojonych w szczypcę i pazury. Ciało okrywała nie łuska, lecz chitynowe płytki.

Spojrzały na niego czarne ślepie rozmiarów dużych talerzy. Banwi utkwiał w nich wzrok i poczuł, jak wolna wola wycieka z niego niczym krew ze śmiertelnej rany. To, co z niego zostało, gotowe było służyć Bogowi-Wężowi.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Kraina na zachodnim brzegu wielkiej rzeki była cicha i ciemna. Na całej równinie żadnych świateł, żadnych przyjaznych żółtych lampek.

Powyżej miasta Ourdh rzeka rozdzielała się. Główny nurt biegł dalej na południe, omywając nabrzeże Ourdh. Druga odnoga skręcała na zachód i po trzydziestu milach zmieniała kierunek na południowo-zachodni, po czym ponownie się rozdzielała. Tam, na północnym brzegu, wzniesiono starożytne miasto Dzu.

Minęli ciąg ogromnych zigguratów.

–Pachipandi – wyjaśnił oficer. – Świątynie starego boga, Boga-Węża.

–Lubili tu budować świątynie, co? – wtrąciła się sterniczka, stara Tarano. – Są wszędzie, gdzie nie spojrzeć. Muszą wzbudzać śmiech Matki za każdym razem, kiedy tu spogląda. – Oficer zachichotał.

–To musi mieć coś wspólnego z życiem w takim płaskim kraju-przypuszczał Kesepton, zdumiewając się wysiłkiem, jaki włożono w budowę tych olbrzymich, wietrzejących piramid. – Ci ludzie potrzebowali prawdziwych gór, które by ich inspirowały. Powinni zobaczyć nasze szczyty w Kenorze.

–Moim zdaniem powinienes cieszyć się, że lud Ourdh nigdy nie zawitał do Kenoru – mruknęła stara Tarano.

–Dlaczego?

–Jest ich bardzo wielu. Przepelniliby Kenar.

*Brązowy Orzech* zacumował w wąskiej zatoczce w połowie odległości od miasta.

–Nie możemy bliżej. Zauważyliby żagiel. Kesepton przytaknął.

–Dziękuję wam wszystkim. Tutaj was opuścimy. Razem z giermkami stanął przy burcie i zbadał wzrokiem zachodni brzeg zatoczki. Nie dostrzegli żadnych śladów ludzkiej aktywności, więc dali znak smokom. Potężne bestie zeszły do wody po siatkach linowych. Następnie opuszczono im zbroje i tarcze. Smoki utworzyły łańcuch do samego brzegu, podając sobie pakunki. Giermkowie wciągnęli całe żelastwo na plażę, podczas gdy Kesepton trzymał straż.

Po chwili na brzegu znalazły się także smoki. *Brązowy Orzech* podniósł kotwicę, wycofał się na szerszy kanał i zawrócił. Zostali sami.

O ile Kesepton dobrze odczytał mapę, znajdowali się parę mil od miasta. Musieli przeciąć podstawę półwyspu. Smoki założyły zbroje i zarzuciły na plecy tarcze i miecze.

Giermkowie sprawdzili wszystkie paski i wiązania. Pracowali po omacku, wyczuwając raczej, niż widząc, lecz zdążyli już tak dobrze poznać zapięcia kaftanów, że szło im lepiej niż w dzień.

Kiedy już wszystko było gotowe, wyruszyli krótką kolumną na zachód, z chłopcami na przedzie jako zwiadem, Keseptonem w środku i smokami z tyłu.

Pierwsza rzecz, jaką odkryli, to że kraina jest naprawdę wyludniona. Pogłoski okazały się prawdziwe. Minęli wioskę, gdzie pootwierane drzwi wisiały na zawiasach, a uliczki zaścielały śmieci. Na skrzyżowaniu walał się kościotrup. Na czubku wbitej w ziemię dzidy wciąż sterczała czaszka.



Wzdłuż drogi leżały szkielety krów i osłów. Minęli kolejną wymarłą wioskę, potem jeszcze jedną. Zupełnie jakby szalała tu jakaś straszliwa zaraza, unicestwiając całą populację.

–Gdzie są wszyscy? – zapytał po dłuższej chwili Mono.

–Obawiam się, że odeszli na spotkanie z nowym bogiem w Dzu – odrzekł Kesepton.

–Co on z nimi robi?

–Czarownica powiedziała mi, że błotoludy powstają z ludzkiej krwi.

–Chroń nas, Matko!

–Plotki były prawdziwe – odezwał się Swane. – Słyszeliśmy je. Zwyczajnie nie mogłem w nie uwierzyć. W takie zło.

–Nieprzyjaciel zawsze używa życia do swojej magii – powiedział Kesepton. – Niszczy je, żeby zdobyć moc. Tak mnie uczono i widzę, że to prawda.

Hollein Kesepton robił co mógł, żeby nie myśleć o Lagdalen, o którą troszczył się bardziej niż o własne życie. Nie rozważał tego w kategoriach zemsty. Po prostu modlił się, żeby jeszcze żyła i żeby jej nie skrzywdzili. Na zemstę przyjdzie czas później.

Przeszli przez szeroki most i znaleźli się na przedmieściach niegdyś olbrzymiej metropolii. Dawniej centrum potęgi, teraz zwykłe ruiny.

Mury zniknęły, rozebrane na budulec. Budynki pozapadały się. Część spłonęła. Całą dzielnicę porastały krzaki i niewielkie drzewka.

Tę część miasta dawno już pozbawiono mieszkańców. Wędrowali wymarłymi ulicami, gdy nagle całkiem blisko usłyszeli stukot podkutych końskich kopyt.

Smoki błyskawicznie ukryły się w ruinach domów. Patrząc na ten pokaz czysto drapieżniczych umiejętności, Kesepton poczuł dreszcz przebiegający mu wzdłuż kręgosłupa. Przypomniawszy sobie, że dzikie smoki jedzą wszystko, co tylko uda im się schwytać, także ludzi.

Dawną główną aleję przekłusował konny patrol w mundurach Sephisa. Część wierzchowców wyczuła delikatną woń smoków, reagując na nią rżeniem i nerwowymi ruchami. Jednak jeźdźcy niczego nie zauważyli i potruchtali dalej, nie badając okolicy.

Wyszli z kryjówek. Keseptona wciąż zdumiewała zwinność, z jaką poruszały się smoki.

Zaczekali za długą, zrujnowaną ścianą na powrót Relkina, który wybrał się na samotny zwiad.

–Co tu się stało? – szepnął Swane, wskazując na ruiny. – Zupełnie jakby było tu tak od bardzo dawna.

–Kiedy obalili prawdziwego Sephisa, porzucili miasto. To było dawno temu.

–Martwe miasto, poświęcone bogowi śmierci. Chroń nas, Matko – mruknął Mono.

Powrócił Relkin, opisując im dalszą okolicę. Kesepton ruszył zaproponowaną przez chłopca trasą, po czym przyzwał pozostałych. Przemykali cicho między ruinami.

W końcu zauważyli jakąś aktywność. W centrum miasta wyremontowano część

budynków. Olbrzymia świątynia Sephisa była okrągłą, siedmiopiętrową budowlą, po części także zrujnowaną, choć wciąż górującą nad resztą miasta. Zamieniono ją na przybytek Aurosa, co zapewniło jej choć minimum opieki.

W śródmieściu na ulicach pojawiły się wozy i oddziały żołnierzy w czarnych uniformach. Zobaczyli nawet grupkę impów. Ubrane były w czarne nogawice, wysokie do kolan buty i skórzane peleryny z białymi wykończeniami u szyi i przy ramionach. Bazil i Relkin nigdy jeszcze nie widzieli takiego stroju u impów.

–Impy Zagłady z Axoxo, władczyni Gór Białych Kości – wyjaśnił Kesepton.

–Widzieliśmy impy nadzorujące niewolników ciągnących wieże oblężnicze. Tamte jednak nie miały bieli przy szyjach – zauważył Relkin.

–Tamte przybyły z głębokiego Hazogu, razem z inżynierami wroga. Nieprzyjaciel musiał od dawna planować tę wojnę.

Zbliżyli się ukradkiem do serca miasta.

–Smoki ukryją się tutaj, a my przeprowadzimy zwiad – zarządził Kesepton.

Ludzie ruszyli naprzód, a smoki schowały się w pozostałościach po wielkim browarze. Olbrzymie kadzie rozbito, nadal jednak znajdowały się tam zbiorniki fermentacyjne, wypełnione do połowy gruzem ze stropów. W nich właśnie ukryły się smoki.

–My siedzimy, oni poszli, co będzie, jak nie wrócą? – zapytał Purpurowo-zielony.

–Jest takie powiedzenie – zjemy tego konia, jak do niego dojdziemy – odparł Bazil.

–Masz odpowiedź na wszystko, skórzany smoku.

–Bazil jest sprytny – przyznał Vlok.

–Sprytniejszy od Vloka, to pewne – parsknął stary Chektor. Vlok warknął, nie wyzwał jednak wielkiego Chektora.

–Co to za stwór, którego idziemy zabić? – chciał wiedzieć Purpurowo-zielony. – Słyszałem różne rzeczy, ale ich nie rozumiem.

Chektor zerknął na Bazila.

–Czemu patrzysz na mnie?

–Czyż nie jesteś przyjacielem wielkiej czarownicy Lessis? Powinieneś wiedzieć takie rzeczy.

–To chłopiec mówi mi wszystko, co wiem. – Więc?

–Więc jest to demon, istota nie z tego świata.

–Co to znaczy? – dociekał Purpurowo-zielony.

–Istnieje wiele światów – tyle wiem – a ta istota przybyła tu z któregoś bardzo odległego od naszego.

–Czy na tamtym świecie są smoki?

–Na ryk, skąd niby mam to wiedzieć?

–No cóż, wiesz bardzo dużo o tych sprawach.

–Nie jestem czarownicą! Jestem smokiem bojowym. – Bazil podniósł głos.

–Psyty! – rzucił Chektor. – Ktoś idzie.

Zamilkli. Dzierżące miecze ogony napięły się, tak na wszelki wypadek.

Ale to był tylko Relkin.

**–Smoczy giermek! – syknął Chektor.**

**–Doskonale wycucie czasu, jak zwykle.**

**–Jak wygląda sytuacja? – zapytał Bazil.**

**–Chyba znaleźliśmy drogę. Chodźcie.**

**–Zaczekaj – zatrzymał go Złamany Ogon. – Albo ją macie, albo nie. Co masz na myśli mówiąc „Chyba znaleźliśmy drogę”?**

**–Znaleźliśmy drogę. Musicie tylko trochę podskoczyć. Przeszli pustymi ulicami do zniszczonego akweduktu, który dostarczał kiedyś świeżą wodę do domów bogaczy.**

**Idąc nim, zdołali pokonać szeroką aleję i pozostać w ukryciu, pomimo stałej obecności wrogich strażników.**

**Zleźli z akweduktu w sąsiedztwie zrujnowanych rezydencji. Nad nimi wznosiły się palmy. Przekradli się ogrodami, które zdążyły przekształcić się w zagajniki, do ogromnego, siedmiopiętrowego budynku, otoczonego rusztowaniami. Świątynia Sephisa była pospiesznie restaurowana.**

**Z cienia wynurzył się Kesepton.**

**–Znaleźliśmy drzwi wystarczająco duże dla smoków. Są strzeżone, lecz słabo. Wróg nie spodziewa się napaści. To samo serce jego potęgi.**

**–Zrobimy mu niespodziankę – powiedział Bazil.**

**–Nie tylko, na ryk przodków, nie tylko – zawtórował mu Purpurowo-zielony.**

**–Po przejściu tych drzwi znajdziemy się na nieznanym terenie – ciągnął Kesepton – to jednak wiecie. Musimy uderzyć najszybciej i najmocniej, jak tylko potrafimy. Uratujemy Lagdalen i czarownicę tylko wtedy, gdy zniszczymy tutejszą mroczną moc. Zaskoczenie to nasza jedyna taktyka. Wszystko zależy od nas.**

**–Jeżeli da się to zabić – mruknął Purpurowo-zielony – to zrobimy to.**

**–Nie będzie to łatwe, mój potężny przyjacielu. Nie jest to istota z naszego świata. Przybyła z gorętszego i cięższego miejsca. Powiedziała mi to wiedźma. Nazwała ją malacostracańskim gammadionem.**

**–Czy stal ją zrani? – zapytał Bazil.**

**–Tak, tak sądzę.**

**Bazil uniósł błyszczącą klingę Ecatora.**

**–W takim razie zabijemy ją.**

**Zgodzili się z nim. Pod osłoną ciemności kapitan Kesepton przemknął przez ulicę i wtulił się w mur świątyni. Tuż za nim ruszyli giermkowie. Podeszli wzdłuż ściany do drzwi, strzeżonych niedbale przez parę strażników. Żołnierze nie spodziewali się kłopotów. Kto o zdrowych zmysłach chciałby wtargnąć do siedziby Sephisa? Dodatkowo ogłupiało ich zaklęcie kontrolujące, jakie rzucono na ich umysły.**

**Swane i Mono przyklękli i strzelili z odległości dwudziestu kroków. Nie mogli chybić. Obydwaj wojownicy zakrzusili się i zatoczyli, kiedy bełty przeszły im gardła.**

**Natychmiast skoczył na nich Kesepton. Pierwszego ciął z zamachu, drugiemu przebił sztychem serce.**

**Pchnęli wierzeje, zajrzeli do środka i skinęli na smoki, które jednocześnie przebiegły ulicę i wbiegły do budowli.**

**Nie zauważeni znaleźli się w wielkiej świątyni Sephisa.**

**Tuż za drzwiami było ciemno, lecz z końca długiego korytarza padało światło.**

**Przejście prowadziło do wielkiego holu, oświetlonego zawieszonymi na ścianach lampami. Przynajmniej tuzin wojowników trzymał straż przed olbrzymimi, podwójnymi drzwiami.**

**Kesepton odwrócił się i uściśnął smokom łapy, nawet potężnemu Purpurowo-zielonemu.**

**Od tej pory będą szli naprzód tylko prawem miecza.**

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Królowa Myszy rozluźniła mięśnie i spowolniła oddech. Wymamrotała serię subtelnych odmian, formując jedną potężną inkantację, którą uwolniła niczym długo wstrzymywany oddech.

Koła świadomości jej umysłu zatrzymały się powoli i przeniknęła do świata astralnego. Nie był to podświat chaosu – nie wymagał mocy, by w nim przebywać lub podróżować. Ta sfera egzystencji była subtelnym destylatem wyższych światów takich jak Ryetelth.

Oczyma duszy postrzegala ją jako pole bilionów na wpół przejrzystych, błękitnych baniek, odbijających się nawzajem na swoich powierzchniach. Skupiła się. Bańki skończyły się, ucięte nożem percepcji, i oto unosiła się w czystym eterze, rozświetlanym jednolicie mentalną energią żywych istot wokół niej. Zupełnie jakby szybowala między gwiazdami gigantycznej galaktyki.

W pobliżu wyczuła potężną obecność, cień pożerający światła. Istota w mrocznej otchłani. Niedaleko niej znajdowała się inna potężna obecność - światło tak jaskrawe i twarde, że przybierało fioletowy odcień, zabarwiony czernią. Dziobaty władca, który zaskoczył ją w Ourdh.

Otaczały ją ludzkie umysły, olbrzymia liczba białych i żółtych punktów. Żaden jednak nie był tym, którego szukała. Ten znajdował się bliżej, w znacznie skromniejszych warunkach. Skoncentrowała się na najbliższym otoczeniu i mniejszej skali.

Odkryła tu wielką liczbę maleńkich światełek, złocistych punkcików w mroku – umysły myszy i owadów.

Wśród nich odszukała gniazdo os, zbudowane w szczelinie w ścianie świątyni. Było niedaleko, nadawało się więc do jej celów.

Skupiła się na królowej gniazda, małej, zadziornej osobowości. Królowa os troskała się głównie jedzeniem, składaniem jaj i liczbą pracujących w tej chwili córek. Części brakowało. W pobliskiej ścianie uwiły sobie gniazdo ptaki. Zakłóciło to dostawy pożywienia, a mieli bardzo dużo głodnych larw do wykarmienia. Kontakt z Ribelą sprawił ją w rozdrażnienie. Zaczęła gryźć córki i siostry, gniewnie trzepocząc skrzydełkami. Nie rozumiała, co się dzieje. Przestała nad sobą panować. Bzyczała szaleńczo, podrygując odwłokiem i poruszając szczękami. Nagle przestała, kiedy Ribela rzuciła na nią zaklęcie uspokajające.

Nie było to proste. Umysł owada był w przerażającym stopniu wypełniony wartościami absolutnymi. Wreszcie jednak czarownica skończyła i wycofała się. Królowa wróciła do swoich spraw, przygotowana do tego, co miało nastąpić.

Czarownica wróciła do własnego ciała i zapadła w głęboki sen. Kiedy obudziła się po godzinie, Lagdalen także już nie spała.

–Rozmawiałam ze strażnikami, moja lady. Błagałam ich, żeby mnie uwolnili.

–Świetnie. Wobec tego możemy kontynuować.

Ribela ponownie zawitała na plan astralny. Teraz było jej trudniej -w jej wieku godzina snu nie wystarczała do zregenerowania sił. Wręcz przeciwnie, była bliska

wyczerpania. Nie miała jednak pod ręką żadnej myszy, która dostarczyłaby jej mocy dla potężniejszej magii. Z trudem rozluźniła się, nie usypiając przy tym. Wreszcie zdołała osiągnąć niezbędny stan umysłu.

Tuż za drzwiami stało dwóch strażników. Wiedzieli, że Lagdalen jest w środku i słyszeli jej delikatny głos, proszący ich, żeby ją wypuścili. Teraz czarownica musiała wzbudzić w jednym z nich mordercze żądze.

Sama od stuleci obywatła się bez pożądania. Z wielkim wysiłkiem przypomniła sobie mechanizmy i impulsy rządzące ludzką naturą. Powoli utkała zaklęcie, wyczarowując obraz zamkniętej w celi przepięknej młodej kobiety o lśniących włosach i jędrnym ciele.

Wybranego przez nią strażnika szybko ogarnęło podniecenie. Drugi spał, oparty na włócznie. Wróg nie spodziewał się kłopotów ze strony dwóch zamkniętych w celi kobiet.

Żołnierz kręcił się niespokojnie przez parę minut, jednak nie opuszczała go myśl o bujnym ciele młodej dziewczyny w celi. Nagle uległ pokusie. Dobył miecza i ciosem w bok zabił swego kamrata. Nieszczęśnik skonał, nie wydając z siebie najcichszego odgłosu.

Strażnik położył go na podłodze i otworzył drzwi wielkim kluczem, przytroczonym u pasa.

Lagdalen przycisnęła rękę do ust i cofnęła się bojaźliwie pod ścianę. Zdjęła nogawice.

Mężczyzna zerknął na czarownicę, która udawała nieprzytomną, po czym wszedł do celi, złapał dziewczynę i zaczął ją rozbierać. Lagdalen zwiła mu bezwładnie w rękach – Ribela doradziła jej nie ruszać się.

Żołnierz położył się na niej, nieporadnie usiłując ją zgwałcić. Lagdalen stawiała mu bierny opór, zaciskając zęby, kiedy czuła na sobie gorący oddech, drapiącą brodę i obmacujące ją łapska.

Nagle w celi rozległo się głośnie brzęczenie. Przez szczelinę wentylacyjną pod sufitem wleciał do środka rój rozjuszonych czarno-żółtych os. Królowa wyczuła napaść i potraktowała ją jako bezpośrednie zagrożenie dla gniazda. Osy dopadły strażnika, żądając go, gdzie tylko mogły. Głośnie przeklinając, mężczyzna zerwał się na równe nogi i zaczął gorączkowo oganiać się przed brzęczącym wokół niego rojem.

Nie zwrócił uwagi na wstającą Lagdalen. Kopnęła go prawą stopą i zgiął się wpół, trzymając się za brzuch. Ucięła ją osa, lecz pamiętając ostrzeżenie Ribeli, dziewczyna starała się nie ruszać. Kilka owadów usiadło jej na ramionach i twarzy, nie czyniąc jej jednak krzywdy. Po chwili wróciły do żądlenia biednego strażnika, który wciąż klęczał na ziemi, jęcząc z bólu po jej kopniaku.

Lagdalen błyskawicznie porwała włóczęnię wojownika i już chciała go przebić, lecz powstrzymały ją ostre słowa czarownicy.

–Okaż miłosierdzie, siostrze Lagdalen. Ten biedny mężczyzna jest niewolnikiem rządzącego tu demona. Nie wie, co czyni.

Dziewczyna przełknęła ślinę i mocniej ścisnęła włóczęnię, nie wbiła jej jednak w strażnika. Osy krążyły wokół niej przez chwilę, zaraz jednak z powrotem rzuciły się

na mężczyznę, który upadł na podłogę, wciąż jęcząc.

Obróciła włócznię w rękach i zdzieliła go grubszym końcem w potylicę. Nie była zbyt delikatna. Znieruchomiał. Po chwili osy przestały go żądlić. Nieprzytomny nie czuł bólu.

Owady odleciały do wentylatora w górnej części ściany i zajęły się własnymi sprawami.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Zamknęły je za sobą po wciągnięciu do środka drugiego wartownika i dokładnym wytarciu krwi. Zabrały strażnikom miecze i ruszyły przed siebie marmurowym korytarzem. Drugiego końca strzegli żołnierze, musiały więc wycofać się i skręcić w długi tunel z licznymi drzwiami.

Dotarły do częściowo zrujnowanej sekcji świątyni. Tu także byli strażnicy, lecz nie na tym piętrze. Odnalazły zniszczone schody. Zniknęły stopnie prowadzące w dół, ocalała jednak część wiodąca na górę. Patrząc w dół, widziały jedynie kolejne ruiny i stertę gruzu na samym parterze.

Wspięły się po schodach, które wytrzymały ich ciężar. Wyższy poziom znajdował się w równie opłakanym stanie. Pełno tu było pozbawionych drzwi pustych komnat o zawalonych stropach. Ukryły się za kupą gruzu, usypaną na samym środku dużego pomieszczenia. Lagdalen udała się na poszukiwania drewna na niewielkie ognisko. Ribela znieruchomiała, przyzywając licznie tu żyjące dzikie myszy.

Postanowiła już, co powinna zrobić. Musiała wezwać Sinni. Żadna czarownica nie mogła marzyć o zmierzeniu się z istotą, która czatowała w otchłani – gammadionem, stworem z cięższego świata.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

Pierwsi ruszyli giermkowie, przemykając z kuszami w pogotowiu przez hol w stronę strażników. Nie zauważeni, podeszli całkiem blisko. Z pięćdziesięciu stóp rzadko chybiali. Gdy znajdowali się w jednej trzeciej drogi, strażnicy nareszcie podnieśli głowy. Rozległy się krzyki. Dobyto mieczy. Jeszcze kilka kroków i giermkowie wystrzelili. Trzech strażników osunęło się na podłogę z bełtami wystającymi z oczu.

Reszta skoczyła na nich z mieczami i włóczniami.

Teraz jednak z ukrycia wynurzyły się smoki z kapitanem Keseptonem na czele. Na widok mających za chłopcami cielsk wojownikom opadły szczęki. Zawrócili i pobiegli do drzwi, wzywając pomocy.

Próbowali bronić wejścia, lecz wokół zaświstały bełty, a zaraz potem natarły na nich smoki. Wojownicy padli tam, gdzie stali. Reszta umknęła za drzwi.

Wierzeje eksplodowały i gady wpadły do środka z Purpurowo-zielonym na czele. Znalazły się w gigantycznej, mrocznej hali. Słyszały, jak ocalali strażnicy wzywali pomocy, zbiegając schodami na dół.

W samym środku wyłożonej kamiennymi płytami podłogi czerniał okrągły otwór, studnia nicości, zdająca się sięgać w niewiadome głębie.

Otwór otaczało półkole galerii z siedziskami.

Przy samej studni skupiło się około pięćdziesięciu ludzi w czarnych mundurach, odznaczających się dodatkowo białymi wyłogami lub czerwonymi strzałami. U podnóża schodów stał kolejny tuzin wojowników oraz trzech ocalałych z pogromu, nie będących raczej w stanie potykać się ze smokami.

Gady zbiegły po schodach. Giermkowie zasypali strażników pociskami.

Strzegący otchłani ludzie tworzyli elitę władzy, skupionej wokół odrodzonego boga i jego świątyni: czarodzieje i oficerowie z Padmasy, wysłannicy Zagłady z Axoxo, lokalni dowódcy oraz kapłani Sephisa, odznaczający się wygolonymi głowami i złotym rąbkiem na krawędziach szat.

Wszyscy wpatrywali się z otwartymi ustami w zbiegających po schodach olbrzymich intruzów. W smoczych łapach lśniły ogromne miecze. Jeden ze strażników zachwiał się i padł z bełtem w czaszce. Władcy Dzu wydali zgodny krzyk przerażenia.

Dwóch kapłanów potknęło się i wpadło z wrzaskiem do otchłani. Wojownicy dobyli mieczy i cofnęli się pod ściany.

Smoki dotarły na parter. Między nimi przemykali giermkowie. Kesepton stanął przed grupką i wznosił miecz.

Ruszyli do ataku.

Strażnicy byli doświadczonymi wojownikami, w dodatku zahipnotyzowanymi przez odrodzonego boga. Podjęli walkę, jednak smocze miecze i bełty zmiotły ich w pół minuty.

Władcy Dzu rozpierzchli się pod ściany, gdzie skulili się z obnażonymi mieczami i wytrzeszczonymi oczami. Kapłani wspięli się na galerię i pognali na sam jej koniec.

Relkin trzymał ich w szachu swoją kuszą.



Skupieni pod ścianami mężczyźni nie kwapili się do ataku. Cofali się stopniowo wzdłuż murów, wypatrując sposobu przemknięcia koło Chektora i Mono, którzy pilnowali schodów do drzwi.

Kesepton zajrzał do studni. Istota, którą przybyli zniszczyć, czaiła się gdzieś w dole. Pytanie brzmiało -jak mieli ją zwabić, by stanęła do walki?

Stanął przy Relkinie i zawołał do kapłanów – Czy ktoś tu mówi w verio?!

Kilku przytaknęło.

–Powiedzcie mi w takim razie, jak przyzwać to coś z dziury.

Skulili się i odwrócili od nich twarze.

–Bóg Sephis wkrótce przybędzie i zabierze was wszystkich – oznajmił kapłan ze złotą siateczką na czarno-złocistych szatach.

–Bóg ich zabierze – zawtórował mu monotony zaśpiew pozostałych.

–Powiedzcie mi, jak przyzwać waszego boga albo powrzucam was do niego.

Nie podnieśli głów.

Kesepton już miał podejść do nich i zagrozić im bardziej dosadnie, kiedy wyczuł czyjąś obecność. W rozległej sali coś się zmieniło. Obrócił głowę. W drzwiach u szczytu schodów stała postać w czarnym płaszczu.

Przybysz zszedł szybko po schodach i ruszył w ich stronę. Czerwonawe ślepie lśniły pod kapturem niczym ognie piekieł. Wokół postaci gromadził się cień, aż wydawała się równie wielka jak Purpurowo-zielony.

Obcy zatrzymał się przed nimi. Ujrzeni wyrastający z ludzkiej czaszki dziób. Postać wybuchła śmiechem, widząc wstrząs, jaki wywołał w nich jego widok.

–A więc armia Argonathu zmniejszyła się do takiej obszarpanej bandy! – parsknęła. – Grupka gadów, mężczyzna i trzech chłopców. To wszystko, na co was stać? To ma być ten cios, który nas zniszczy?

Spod szaty wysunęły się dłonie zakończone czarno-zielonymi pazurami.

–Ha! – Istota wzniosła ramiona nad głowę. – Ośmieliliście się wtargnąć na tę świętą ziemię?

Poczuli budujące się wokół nich napięcie.

–Potężny zabierze was. Zabawi się wami. Będzie was pożerał całymi dniami.

Relkin zadrżał. Przybysz przemawiał w verio z mrozącą krew w żyłach precyzją. Podskoczył. To Swane trącił go łokciem w bok.

–Co to za stwór?

–Skąd niby mam wiedzieć?

–Cóż, uchodzisz za takiego, który wie wszystko o takich rzeczach.

–Nigdy tak nie twierdziłem.

–Widzę człowieka do zabicia – oznajmił Purpurowo-zielony.

–Czarownik wroga – splunął Kesepton.

–Co to takiego, kapitanie? – zapytał Swane.

–Jakiś wytwór Władców Mroku, to wszystko, co wiem.

–No to zabijmy go – zagrział Basil.

Lecz mezomistrz wypowiedział ciąg głośnych, chrapliwych słów. Błysnęło i pomiędzy jego dłońmi pojawiła się czerwona, roziskrzona kula.

Wyciągnął ją w stronę smoków. Rubinowy promień trafił w najbliższego olbrzyma, Vloka, który ryknął z zaskoczenia. Poderwał tarczę, zasłaniając się przed następnymi smugami światła i klnąc donośnie w smoczej mowie.

Pozostałe smoki także zasłoniły się tarczami i rozejrzały dokoła. Vlokowi nic się nie stało. Dały długi krok w stronę czarownika. Miały wrodzoną odporność na człowieczą magię.

Światło uderzało w nie raz za razem, w miarę jak Gog Zagozt wykorzystywał swe najpotężniejsze mentalne ciosy. Chłopcy i Kesepton osunęli się na kolana, łapiąc się za ręce za każdym razem, kiedy trafiały ich rykoszety tych myślowych pocisków. Ludzie pod ścianą byli w podobnej sytuacji. Człowiek jest zbyt delikatny do takich zabaw.

Smoki zrobiły kolejny długi krok. Gog Zagozt uświadomił sobie, że prawdą jest to, co mówiło się o smoczej odporności na magię. Dał krok wstecz.

Smocze miecze były dłuższe od człowieka. Jednym ciosem ścinały drzewo. Smoki ważyły po dwie tony, a gigant w samym środku był jeszcze potężniejszy.

Mezomistrz od dawna nie zaznał uczucia strachu. Stwierdził, że jest bardzo nieprzyjemne. Przenikliwym wrzaskiem przyzwał z otchłani Potężnego.

–Niechaj te odporne smoki spotkają swe przeznaczenie!

Świsnęły smocze miecze i mezomistrz uciekł, wykrzykując pospiesznie rozkazy.

Mrok w studni zakotłował się. Gog Zagozt pognął do schodów. Smoki za nim. Zapadła cisza. Smoki uświadomiły sobie raptem czyjąś obecność.

Z otchłani wyłaniał się odrodzony bóg – ogromny wąż, zakuty w złociste płyty malacostracańskiej zbroi. Górował nad nimi. Ciało miał grubości całego Purpurowo-zielonego, lecz wielokrotnie dłuższe. Spojrzały na nich oczy rozmiarów obiadowych talerzy, przypominające odcieniem węgiel drzewny. Olbrzymia paszcza, pełna ostrych zębów, rozwarła się, wydając głośny syk. Powietrze wypełnił zapach siarki.

Z tułowia pod głową wyrastały cztery chwytne ramiona, uzbrojone w trzy pazury każde. Istota przewaliła się przez skraj studni i ruszyła na nich, gniewnie zaciskając pięści. Próbowwała zahipnotyzować ich wzrokiem, jak czyniła to z ludźmi, lecz smoki okazały się odporne.

Gady utworzyły duże V. Chektor i Vlok zajęli pozycje na flankach, a Bazil i Purpurowo-zielony czekali na potwora pośrodku. Kesepton i giermkowie czuwali, by do walki nie wtrącił się żaden kucający pod ścianą poplecznik Sephisa.

Bełty odbiły się bezradnie od złocistej zbroi. Inne utknęły wokół oczu lub wewnątrz paszczy – najwyraźniej jedynych wrażliwych miejscach. Potwór zasyczał jeszcze głośniej.

Smoki rzuciły się naprzód i uderzyły mieczami. Klingi odbiły się od złotych płytek i gady odskoczyły nieco zdezorientowane. Takie ciosy rzadko nie przynosiły efektu.

Ślepią monstrum momentalnie rozbłysły i długie cielsko wyprysnęło naprzód z szybkością atakującego węża, uderzając we Vloka, który potoczył się po podłodze. Swane odskoczył w samą porę, by uniknąć zmiążdżenia przez demona. Ogromne szczęki kłapnęły w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem się znajdował.

Vlok właśnie podnosił się z ziemi, kiedy łeb opadł i wokół niego zacisnęły się

szczęki. Smok ryknął boleśnie i wraził miecz w bok paszczy potwora.

Istota wzdrygnęła się konwulsyjnie i Vlok przeleciał piętnaście metrów, lądując z głuchym łupnięciem, aż cała budowla zatrzęsała się w posadach. Smok znieruchomiał.

Z nieartykułowanym krzykiem Swane pognał na potwora, dźgając go bezsilnie krótkim mieczem w opancerzone ciało. Istota odtrąciła go jednym z ramion i zgryzłaby go, gdyby nie Purpurowo-zielony, który rzucił się naprzód i zdzielił demona tarczą w pysk, po czym rąbnął mieczem z taką siłą, że ostrze zagłębiło się na cal w złocistym karku. Z rany trysnął żółtawy fluid, okrywając dzikiego smoka od stóp po głowę. Potwór upuścił Swane'a, który odtoczył się podrapany, lecz bez większych szkód, i zwrócił się przeciwko Purpurowo-zielonemu.

Dziki smok nigdy nie stawiał czoła niczemu większemu od siebie samego, odkąd wyzwał i pokonał poprzedniego pana góry Hak. Demon przewyższał rozmiarami wszystko, co chodziło po ziemi od czasów starożytnych smoczycy władców.

Lecz serce Purpurowo-zielonego nie знаło trwogi. Ogarnęła go furia, zaćmiewając instynkt samozachowawczy. Tylko śmierć mogła go teraz powstrzymać.

Od ścian i sufitu sali odbił się zew bojowy władców góry Hak. Miecz opadł, wgryzając się głęboko w złocisty bok.

Jednocześnie stary Chektor trzasnął tarczą w demoniczny pysk, łamiąc przeciwnikowi zęby. Ogromne cielsko rzuciło się, odtrącając Chektora niczym czterotonową piłkę, a przy okazji zbijając z nóg Purpurowo-zielonego. Relkin uskoczył z drogi koziółkującemu dzikiemu smokowi, wystrzelił i trafił bełtem w nie mrugające oko stwora. Potężny łeb śmignął ku niemu, lecz odbił się od smoczej tarczy.

Zabłyła biała stal – to Basil ciął Ecatorem. Ostrze przeniknęło przez pancerz gammadiona i uwięzło głęboko.

Wężowa szyja wygięła się w łuk i szczęki próbowały zacisnąć się na grzbiecie Bazila, ten jednak obrócił się na tyle szybko, by wstawić pomiędzy nie swoją tarczę. Demon złapał ją zębami, targnął głową i podrzucił skórzanego smoka w powietrze, lecz Złamany Ogon dźgnął Ecatorem prosto w okryte łuskami gardło. Klinga Ecatora była doskonale wykuta, niosąc śmierć nieprzyjaciółom – bez trudu przeszła przez złotą zbroję.

Monstrum puściło tarczę i cofnęło się. Ogromny łeb zakołysał się, a zimne oczy zmierzyły trzymającego się na nogach smoka badawczym spojrzeniem. Pozostali dopiero podnosili się z ziemi.

Demon znów uderzył. Szczęki kłapnęły tuż przed smokiem, odwracając jego uwagę, podczas gdy dwudziesto tonowe cielsko runęło na niego, chcąc go zmiążdżyć. Basil nie był w stanie uniknąć śmiercionośnych splotów, zdołał jednak na nie wskoczyć, wbić w złociste cielsko swój miecz i przytrzymać się rękojeści. Stracił co prawda tarczę, lecz Eicator zagłębił się pewnie w ciało wroga i Złamany Ogon uniósł się w górę, kiedy przeciwnik wygiął się, chcąc pochwycić go paszczą. Baz rozpaczliwie wyszarpnął miecz z rany i ześlizgnął się wstecz. Ogromne szczęki trzasnęły tuż poza zasięgiem klingi. Monstrum zwinęło się.

Purpurowo-zielony podźwignął się na nogi, poruszał się jednak powoli, wciąż

zamroczony. Chektor podnosił się chwiejnie. Vlok leżał nieruchomo.

Jeden skórzany smok nieustępliwie stawiał czoła potwornemu gammadionowi. Przeciwnik zaatakował, wyginając ciało w lewo i jednocześnie atakując go bezpośrednio głową. Smok uskoczył szybko w prawo, trzymając oburącz miecz w pogotowiu. Niestety ogon demona chlasnął go po nogach i Bazil stracił równowagę.

Szczęki natychmiast śmignęły po zdobycz, napotkały jednak na swej drodze tarczę i miecz Purpurowo-zielonego. Smocza klinga zdzieliła potwora przez łeb, nie zdołała jednak pokonać płytowego pancerza. Mimo to w potężnej czaszce aż zadudniło od ciosu i demon wycofał się na chwilę, mierząc dzikiego smoka iście morderczym wzrokiem.

Do boju runął stary Chektor. Zderzył się z olbrzymim, węzowym cielskiem, wpadając pod nie. Mono poszybował wstecz, a potwór przewalił się przez Chektora, gniatając go swym ciężarem.

Relkin wbiegł na potwora i popędził po grzbiecie w stronę łba. Demon wyczuł go, obrócił głowę i potworne szczęki kłapnęły stopę od niego, kiedy skoczył rozpaczliwie, ratując życie.

Bazil podźwignął się na nogi. Przeklęty chłopak zamierzał dać się zabić. Złamany Ogon wziął głęboki wdech. Przeklęci giermkowie zawsze pakowali się w kłopoty. Raz jeszcze ruszył do starcia.

Relkin próbował przewrotu przy lądowaniu, lecz nie do końca mu to wyszło. Leżał bez tchu na plecach, niezdolny do ruchu, wpatrując się w ogromne cielsko, które za chwilę go zmiażdży. Potwór sunął niepowstrzymanie naprzód. Chłopiec próbował odtoczyć się, jednak było już za późno. Zawisła nad nim śmierć.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Mocno zaciśnięte powieki uniemożliwiły Relkinowi ujrzenie wybawienia w postaci skórzanego smoka, który całym pędem wpadł na demona, wbijając mu głęboko miecz w bok.

Wąż okręcił się, by zetrzeć się z Bazilem i o włos minął chłopca. Miecz zaśpiewał i monstrum straciło jedno z czterech ramion. Z kikuta trysnęła fontanna żółtej krwi. Smok cofał się wolno, trzymając ostrze tuż przed demonicznym pyskiem. Pchany przemożnym gniewem ogromny wąż ścigał go, nie zapominając jednak o świeżo nabytej obawie przed tą straszliwą klingą.

Powoli, bardzo powoli, Relkin wycofał się z pola walki. Oddychał z trudem, a całe ciało bolało go jak nigdy dotąd.

Wrogowie spod ściany ruszyli się, zachęceni sukcesem gammadiona. Z dobytymi mieczami zaatakowali Keseptona i giermków, chcąc zająć smoki od tyłu.

Mezomistrz popędzał ich szorstkimi słowami. Kesepton, nie czekając, z głośnym okrzykiem popędził im na spotkanie, powstrzymując pierwszego z nich szybkimi mchami miecza. Pozostali także stanęli. Mezomistrz zahuczał gniewnie, uniósł dłonie i poraził Keseptona pociskiem czerwonej energii. Oficer upadł na kolana, trzymając się za głowę.

Wyciągnięta ręka Relkina namacała kuszę. Podźwignął się do siedzącej pozycji, nałożył belt i naciągnął cięciwę.

Przeciwnicy nacierali, podbudowani wsparciem czarownika. Baz cofał się przed Sephisem, a pozostałe smoki były albo martwe, albo nieprzytomne, lub dopiero powoli dochodziły do siebie.

Gotowi do zabijania wrogowie mieli okrutne uśmiechy na twarzach. Relkin wycelował.

I nagle ogromną halę rozświetlił oślepiający blask. W powietrzu pojawiły się zdumiewające postacie. Złociste istoty, przypominające insekty o długości sześciu stóp, unosiły się w zielonkawej sferze światła.

Po chwili zniknęły.

Mezomistrz pogonił podwładnych przeszywającym okrzykiem. Relkin potrząśnięciem głowy pozbył się plamek sprzed oczu i wypalił. Belt utknął w gardle najbliższego atakującego, który osunął się na kolana. Chłopiec zauważył wbiegające do komnaty dwie szczupłe postacie, podkradające się schodami do mezomistrza. W ich dłoniach lśniła stal.

W ostatniej chwili Gog Zagost wyczuł je i obrócił się na pięcie. Odtrącił sztylet Ribeli. Czarownik dobył miecza, odpędzając nim Lagdalen.

–Jak udało się wam uciec? – parsknęła, zwracając się do Ribeli.

Nie odpowiedziała, podchodząc z utkwionymi w nim szarymi oczami.

–A więc – ciągnął mezomistrz – wróciłaś po dalszą pokutę! Otrzymasz ją, więdźmo!

Plunął słowami mocy i uniósł dłoń. Z nicości wychynęły cieniste ramiona, łapiąc czarownicę. Ribela zawołała coś. Błysnęło białe światło, rozrywając mroczny chwyt.

Ramiona znikły.

–Przepadnij, szkarado – przemówiła. – Zbyt długo już ścigałeś nieszczęście na świat.

Uniosła ramiona i uwolniła kolejny pocisk białej energii. Strzała ugodziła mezomistrza w pierś, odpychając krok wstecz. Czarownik pozbiierał się szybko i zarechotał rozbawiony.

–Słabo! – zawyrokował złowieszczo. – Jestem silniejszy od ciebie!

Zauważył dziewczynę, podkradającą się do niego z mieczem w ręku. Pamiętał tamten cios sztyletu. Do teraz leczył ranę.

–Aha! Pięknotka też tu jest. Wiesz, więdźmo, jak już skończymy, wezmę ją sobie. Używając jej, będę często myślał o tobie. Zostanie moją niewolnicą.

Ribela ponownie podniosła dłoń. Błysnęło. Tym razem Gog Zagozt nawet nie drgnął.

–Ba! Marnujesz siły, więdźmo. Zbliża się twoja śmierć. Pod sufitem ponownie pojawiło się zielono-białe światło.

Machnął w jego stronę.

–Wezwałaś na pomoc Sinni?

–Tak.

–Nie wejdą tutaj. Znamy sposób na trzymanie ich z dala.

Przeraziła ją ta wiadomość. Sinni pochodzili z wyżej rozwiniętego świata. Władali ogromną mocą. Czy Władcy naprawdę stali się tak potężni? Zaiste, straszna nowina.

Raz jeszcze spróbowała pokonać mezomistrza, lecz jej oręż zawodził. Bez pomocy myszy była po prostu zbyt słaba.

–Dosyć zabawy! – Mezomistrz klasnął w dłonie, warknął zakłęcie i z miażdżącą siłą uderzył Ribelę. Osunęła się powoli na podłogę sali. Gog Zagozt odrzucił głowę do tyłu i zarechotał szaleńczo, podczas gdy moc rozgniałała czarownicę o posadzkę niczym ogromny palec rozduszający muchę.

Lagdalen rzuciła się na czarownika, powstrzymała ją jednak uniesiona dłoń. Zamachnęła się mieczem, lecz cios został sparowany. Dziób wykrakał chrapliwą frazę i dziewczyna przestała oddychać. Złapała się rękoma za gardło i opadła na kolana. Nie była w stanie wciągnąć powietrza do płuc.

Mezomistrz wybuchnął śmiechem.

Przerwał mu raptowny wrzask.

Obejrzał się i zobaczył odrodzonego boga, rzucającego się konwulsyjnie po podłodze z okropnie rozchlastaną gardzielią. Żółtawy fluid pryskał na wszystkie strony, błyskawicznie parując w siarkową chmurę. Zniknął w otchłani, przegnany ostrzem Eatora. Skórzany smok stał zgarbiony nad studnią. Żółta posoka skapywała z olbrzymiego miecza na podłogę.

Bazil obrócił się i udał ku schodom. Purpurowo-zielony stanął chwiejnie na nogach. Jego potężny miecz trzymał w szachu ludzi z Dzu, niechętnych starciu ze smokiem bojowym.

Mezomistrz cofnął się o krok. Sytuacja zrobiła się niezręczna. Musiał uwolnić więdźmę spod magicznej prasy. Starucha leżała na ziemi, łapiąc powietrze. Te

**przeklęte więdźmy były takie trudne do zabicia!**

**Podniósł wzrok. Piekielne smoki były stanowczo za blisko. Obrócił się i pognał do schodów. Musi tu ściągnąć jakieś błoto-ludy. Tuzin czy dwa powinny wystarczyć, by zatłuc te gadziny na śmierć. Popatrzy na to z niekłamaną przyjemnością.**

**Wyczuł podbiegającą do niego z prawej strony postać i kątem oka dostrzegł smoczego giermka. Coś owinęło się mu wokół kostek i wyłożył się jak długi zaledwie kilka kroków od, stopni.**

**Przeklęty chłopak przewrócił go! Ze wściekłym wrzaskiem uderzył go pazurzastą pięścią aż chłopak poleciał wstecz.**

**Padł na niego wielki cień. Smok.**

**–Teraz umrzesz – zapowiedziała bestia.**

**Niepojęte. Jak mogło do tego dojść, kiedy zwycięstwo było już tak blisko?**

**Kawał białej stali opadł ze świstem w dół, kładąc kres żywotowi mezomistrza.**

**Nagle powietrze wypełniła odległa muzyka. Potężny chór głosów, zjednoczonych nieziemską harmonią. Złociste owady szybowwały jakieś dwadzieścia stóp nad podłogą.**

**Kulący się pod ścianami ludzie zawyli z przerażenia. Lagdalen usiadła, wciągając wielkie hausty powietrza.**

**Lady Ribela podeszła chwiejnie do bezwładnego Relkina. Chłopiec był nieprzytomny. Podniosła głowę i napotkała spojrzenie wielkich, smoczych ślepi.**

**–Co z chłopcem? Namacała palcami puls.**

**–Żyje. Wyjdzie z tego. Smoki sapnęły.**

**–To dobrze – przemówił któryś.**

**Ribela wstała. Jeden ze smoków delikatnie podniósł ciało Relkina i trzymał je w potężnych łapach.**

**Lagdalen podniosła się na nogi. Raptem Ribela wzięła ją w ramiona. Lagdalen była zdumiona jak jeszcze nigdy w życiu.**

**–Moja lady... – zaczęła.**

**–Dziękuję ci, Lagdalen z Tarcho. Na Matkę, Lessis dokonała dobrego wyboru!**

**Ponownie uściskała dziewczynę.**

**–Przybyli Sinni. Odesłali gammadiona do ojczystego świata.**

**–Och, moja lady, myślałam, że nie żyjesz.**

**–Być może tak było. Ożywili mnie Sinni. Wygląda na to, że jeszcze będą mnie potrzebować.**

**Jej oczy rozblęły, kiedy popatrzyła na tulących się do ściany ludzi i olbrzymie smoki – Złamanego Ogona i Purpurowo-zielonego – stojących nad nieruchomym ciałem mosiężnego smoka.**

**–Precz! – przemówiła do władców złej mocy. – Obwieście światu, że bóg Sephis zginął. Wasi władcy raz jeszcze ponieśli klęskę.**

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Z pomocą ocalałych kapłanów Sephisa wyprowadzili ranne smoki na zewnątrz i ułożyli je na chodniku. Był sam środek nocy. Wysoko na niebie jaśniała smocza gwiazda, czerwony Rasulgab.

Vlok odzyskał przytomność, lecz cierpiał strasznie przez połamane nogi i ogon. Relkin pomógł Swane'owi umieścić zmaltretowane kończyny smoka w łubkach z dyszli wozów. Vlok syczał przez chwilę, nie odezwał się jednak ani słowem. Swane miał łzy w oczach.

W pewnej chwili podszedł do niego Bazil i uścisnął mu łapę.

–Wygląda na to, że też zostaniesz Złamanym Ogonem.

Vlok próbował się roześmiać, za bardzo go jednak bolało.

Biedny Chektor był w znacznie gorszym stanie. Bazil usiadł przy starym towarzyszu, mrużąc w smoczej mowie słowa otuchy. Stary Chek był tego ledwie świadom – miał połamane żebra. Walczył o złapanie tchu.

Mono usiadł przy swoim smoku i drapał go za uszami, walcząc ze łzami. Miał złamaną prawą rękę, toteż niewiele więcej mógł zrobić. Lagdalen przemywała wszystkim rany i zadrapania wodą, przyniesioną z kuchni armii Sephitów. Żołnierze wroga rozpierzchli się, porzucając starożytne miasto Dzu.

Kesepton i Ribela wrócili z przesłuchania Odiraka. Śmierć mezomistrza złamała potęgę wroga w Dzu, a interwencja Sinni odesłała gammadiona do jego własnego świata. Utrata malacostracańskiego demona przetrąciła kręgosłup fanatycznej armii. Zniknęła hipnotyzująca siła, trzymająca w ryzach wyznawców Sephisa, którzy snuli się teraz po okolicy, zdezorientowani i pozbawieni zdrowych zmysłów. Oblężenie Ourdh zakończyło się.

Kesepton i Relkin poszli nad rzekę, by rozpałić ognisko i dać sygnał załodze *Brązowego Orzecha*, czekającego tuż za horyzontem wielkiej rzeki.

Relkin zgromadził chrust. Usypali stertę opału na dawnym nabrzeżu Dzu i Relkin oderwał z koszuli skrawek materiału, którym owinął czubek noża. Kesepton przyglądał się mu, podziwiając umiejętności chłopca. Smoczy giermkowie byli twardzi –jeśli kiedykolwiek to kwestionował, ta kampania rozwiała wszelkie wątpliwości.

Chrust zajął się ogniem i zabrali się do usypywania dwóch następnych stosów, chcąc nadać umówiony wcześniej sygnał.

Po krótkiej chwili ujrzeli na rzece dwa światła i wiedzieli, że nadpływa *Brązowy Orzech*.

Godzinę później do zrujnowanego nabrzeża przybiły ostrożnie szalupy. Kesepton przekazał im nowiny, wzbudzając radosną wrzawę. Po chwili odpowiedziały im wiwaty z okrętu.

Szybko przenieśli na statek Vloka i Chektora, związując ze sobą trzy łodzie i wciągając ranne bestie na pokład za pomocą bloczków i wielokrążków.

Wędrując jakiś czas później po świątyni, Relkin i Swane usłyszeli zza zamkniętych drzwi tajemniczy hałas. Wyważyli je i uwolnili Banwiego Shogemessara, fedafera dobrze nawodnionego kraju, cesarza Ourdh, władcy wielkiej rzeki etc. etc.

Paplał do nich w uld, którego nie rozumieli, toteż zabrali go ze sobą do przystani.



**Na widok Ribeli mały cesarz wrzasnął i próbował uciec. Relkin złapał go za kołnierz i z pomocą marynarzy zapakował na łódź, która zabrała ich na statek.**

**Świtało. Z rannymi smokami na pokładzie *Brązowy Orzech* podniósł kotwicę i postawił żagle. Ribela stała samotnie na dziobie, snując pełne troski i zadumy rozważania. Obejrzała się na zrujnowane miasto.**

**Zaskoczyły ją dobiegające z pobliza dźwięki. Obejrzała się przez ramię. Nieopodal stali Relkin i skórzany smok z Quosh. Ribela chciała coś powiedzieć, lecz uprzedził ją chłopiec, wskazując na miasto.**

**–Patrz, pani.**

**Dostrzegła w powietrzu nad miastem jakiś ruch. Nad świątynią kołowało coś wielkiego, dorównującego rozmiarami smokom.**

**–Rukhbat – mruknęła. Z lodowatym dreszczem uświadomiła sobie, jak bliska była wpadnięcia w ręce Władców.**

**Rukhbat zakrzyczał przejmująco i zawrócił na północ.**

**–Co to takiego? – zapytał Bazil.**

**–Twój nieprzyjaciela. Miał zabrać mnie do Padmasy.**

**–Za późno.**

**–Faktycznie, panie smoku, za późno, i to dzięki tobie. Baz chrząknął i trzepnął rękojeść Ecatora.**

**–Za późno dzięki temu oto mieczowi!**

## EPILOG

W dalekich, lodowatych katakumbach Padmasy wieści o zniszczeniu Sephisa i śmierci mezomistrza Goga Zagozta wywołały wściekłość wśród Wielkich.

Zwołano nadzwyczajne spotkanie. Władcy zebrali się w jednej komnacie. Nagromadzona w pomieszczeniu psychiczna moc była tak wielka, że nawet mezomistrzowie nie mogli znieść jej dłużej niż przez parę minut.

Sytuacja na wschodzie stawała się coraz gorsza. Najpierw pokonano ich w Tummuz Orgmeen, teraz w Ourdh. Te niewielkie, aroganckie miasta-państwa na wybrzeżu Argonathu stawały się poważnym zagrożeniem. Nadeszła pora, by Władcy wykorzystali przeciwko nim swoje zasoby. Najwyższy czas całkowicie unicestwić Argonath.

This file was created with BookDesigner program  
bookdesigner@the-ebook.org  
2010-10-30

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*